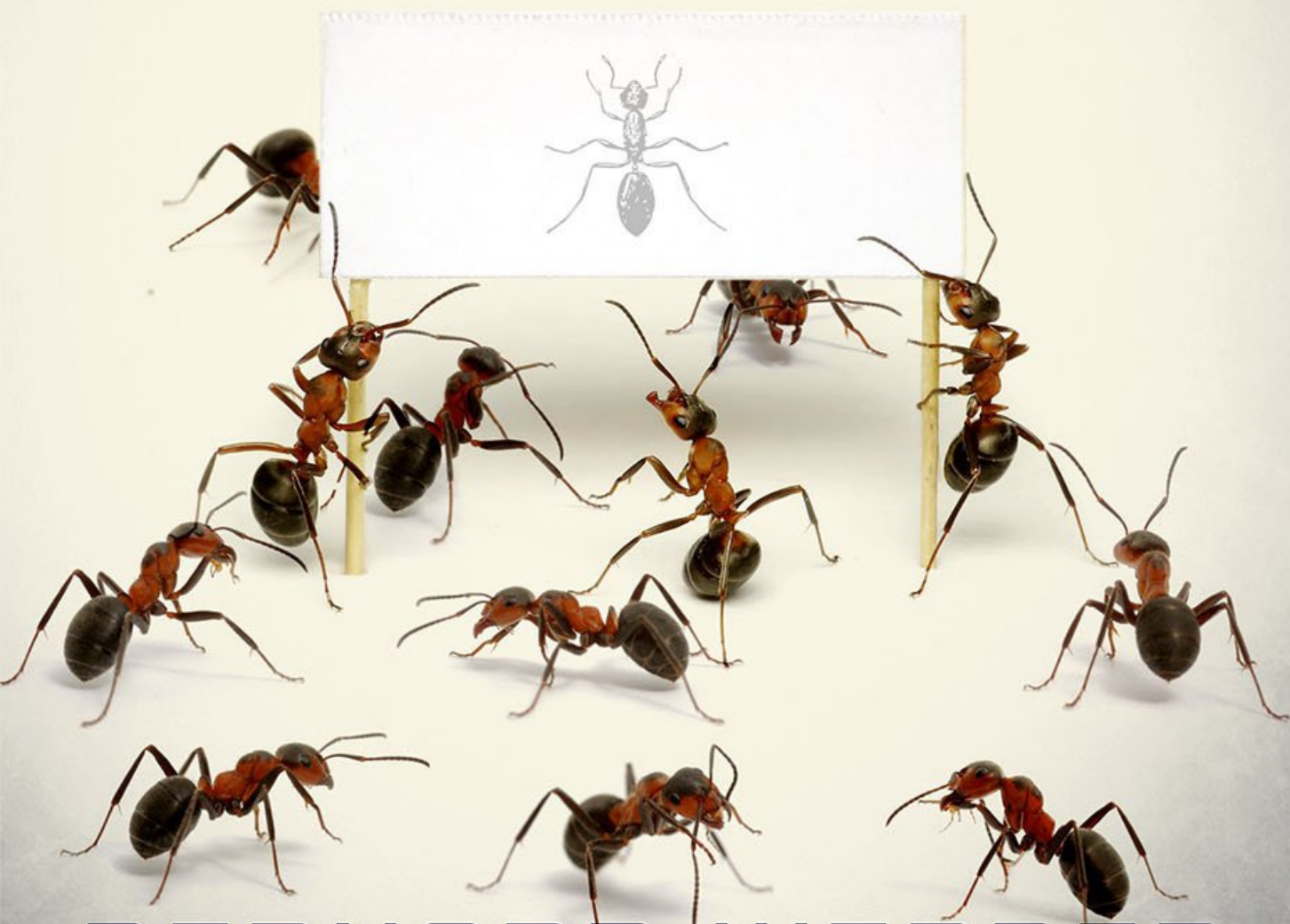


TRZECI TOM BESTSELLEROWEJ TRYLOGII SPRZEDANEJ
W PONAD 20 MILIONACH EGZEMPLARZY!

REWOLUCJA MRÓWEK



BERNARD WERBER

BERNARD WERBER

REWOLUCJA

MRÓWEK

Z języka francuskiego przełożyli:
Oskar Hedemann, Marta Olszewska,
Agnieszka Rasińska-Bóbr



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

LA REVOLUTION DES FOURMIS

Copyright © Editions Albin Michel S.A. – Paris 1996

Published by arrangement with Literary Agency “Agence de l’Est”

Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska

Korekta: Barbara Meisner

Konsultacja merytoryczna: Paweł Zawidlak

ISBN: 978-83-7999-404-5

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Pierwsze rozdział: KIER](#)

[Drugie rozdział: PIK](#)

[Trzecie rozdział: KARO](#)

[Czwarte rozdział: TREFL](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Dla Jonathana

$1 + 1$

$= 3$

(w każdym razie wierzę w to z całego serca)

*Encyklopedia wiedzy względnej
i absolutnej*

EDMUND WELLS

Pierwsze rozdanie:

KIER

1. KONIEC

Ręka otwiera książkę.

Oczy biegną od lewej do prawej strony, a potem, kiedy sięgną już końca linijki, schodzą niżej.

Oczy otwierają się szerzej.

Powoli słowa interpretowane przez mózg dają początek obrazowi, ogromnemu obrazowi.

W głębi czaszki włącza się wewnętrzny, gigantyczny panoramiczny ekran. To początek.

A pierwszy obraz przedstawia...

2. SPACER PO LESIE

...olbrzymi wszechświat, granatowy i lodowaty.

Przyjrzyjmy się bliżej temu obrazowi i zrobmy zbliżenie na obszar obsypany miriadami różnokolorowych galaktyk.

Na końcu ramienia jednej z tych galaktyk: stare połyskujące słońce.

Obraz wysuwa się jeszcze bardziej do przodu.

Wokół tego słońca: malutka i ciepła planeta pokryta żyłkami opalizujących obłoków.

Pod tymi chmurami fioletowo-różowe oceany, obrębione kontynentami w kolorze ochry.

A na tych kontynentach: łańcuchy górskie, równiny i kłębiące się turkusowe lasy.

Pod konarami drzew: tysiące gatunków zwierząt. A pośród nich dwa, które osiągnęły wyjątkowy poziom ewolucji.

Słysząc odgłos kroków.

Ktoś przeszedł przez wiosenny las.

Była to młoda istota ludzka płci żeńskiej. Miała długie gładkie i ciemne włosy. Ubrana była w czarny zakiet i długą spódnicę w takim samym kolorze. Na

jasnoszarej tęczęwce jej oczu wyrysowane były skomplikowane motywy o niemal wypukłym reliefie.

Tego marcowego poranka kobieta szła zdecydowanym krokiem. Raz po raz jej klatka piersiowa unosiła się z wysiłkiem.

Kilka kropli potu perliło się na czole i powyżej ust. Kiedy zsunęły się do warg, od razu je połknęła.

Ta młoda dziewczyna o jasnoszarych oczach nazywała się Julie i miała dziewiętnaście lat. Przemierzała las w towarzystwie swojego ojca, Gastona, i psa Achillesa, gdy nagle stanęła jak wryta. Przed nią wznosił się niczym palec ogromny głaz z piaskowca zawieszony nad wąwozem.

Podeszła tuż pod głaz.

Wydawało się jej, że w dole dostrzega prowadzącą do niecki drogę, z dala od ubitych ścieżek.

Uniosła dłonie do ust i krzyknęła:

– Hej, hej, tato! Chyba odkryłam nową drogę. Chodź za mną!

3. CIĄG DALSZY

Pędzi przed siebie. Zbiega po zboczu. Biegnie slalomem, starając się omijać młode pączki topoli, które wznoszą się wokół niej niczym purpurowe spadochrony.

Bicie skrzydeł. Motyle rozwijają swoje ozdobione galonami żagle i mielą powietrze, ścigając się.

Naraz piękny liść przyciąga jej uwagę. Tak, to ten wyśmienity gatunek, który sprawia, że zapomina się o wszystkim, co miało się zamiar zrobić. Przerywa swój bieg, podchodzi bliżej.

Wspaniały liść. Wystarczy pociąć go na małe kawałki, nieco rozetrzeć, a następnie pokryć warstwą śliny, aż zacznie fermentować, tworząc białą kulkę wypełnioną aromatyczną i słodką grzybnią. Jednym cięciem żuwaczki stara mrówka rudnica odcina łodyżkę u podstawy i unosi liść nad głową, niczym rozłożysty żagiel. Niestety, owad nie zdaje sobie zupełnie sprawy z zasad żeglowania. Mimo swoich twardych mięśni, stara mrówka jest zbyt lekka, by stanowić dla liścia przeciwwagę. Straciwszy równowagę, zatacza się. Ze wszystkich sił chwyta się gałęzi, lecz podmuch wiatru jest zbyt silny. Odrywa się

od ziemi.

Zdąży jeszcze puścić swój łup, zanim ten uniesie się zbyt wysoko.

Liść miękko opada, zataczając kręgi w powietrzu.

Stara mrówka obserwuje go i stwierdza, że nic się nie stało. Są jeszcze inne, mniejsze.

Liść spada i spada, falując. Dużo czasu zajmuje mu wylądowanie na ziemi.

Ślimak również zwraca uwagę na ten przepiękny liść topoli. Znosi się na pyszny podwieczorek!

Jaszczurka dostrzega ślimaka, szykuje się do połknięcia go, gdy także zauważy liść. Wygodniej będzie poczekać, aż ślimak go zje – będzie wtedy tłuszcieszy. Czekać w bezpiecznej odległości, przygląda się posiłkowi ślimaka.

Łasica trafia na ślad jaszczurki i postanawia ją pożreć, gdy naraz zauważy, że ta zdaje się czekać, aż ślimak zje swój liść, zatem również postanawia się wstrzymać. Wśród gałęzi trzy istoty uzupełniające się w systemie ekologicznym czyhają jedna na drugą.

W pewnej chwili do ślimaka zbliża się drugi osobnik tego gatunku. A jeśli będzie chciał porwać jego skarb? Nie tracąc czasu, ślimak zabiera się do jedzenia smakowitego liścia i pochłania go aż do ostatniego włókna.

Ledwie ukończył swój posiłek, jaszczurka rzuca się na niego i połyka niczym nitkę makaronu. Nadszedł czas dla łasicy, żeby zapolować z kolei na jaszczurkę. Wskakuje z ukrycia wśród korzeni, pędzi, lecz nagle uderza w coś miękkiego...

4. NOWA DROGA

Dziewczyna o jasnoszarych oczach nie zauważyła nadbiegającej łasicy. Wskakując z zarośli, zwierzątko zderzyło się z jej nogami.

Podskoczyła z wrażenia, a jej stopa poślizgnęła się na skraju piaskowej skały. Z trudem łapiąc równowagę, spoglądała w dół, w głęboką przepaść. „Byle nie upaść”. Najważniejsze, żeby nie upaść.

Dziewczyna zamachała rękami, mieszając powietrze i próbując odzyskać równowagę. Niewiele brakowało. Czas jakby zwolnił swój bieg.

Spadnie? Nie spadnie?

Przez chwilę sądziła, że uda jej się z tego wyjść cało, lecz nagły powiew wiatru

przemienił jej długie czarne włosy w potargany woal.

Wszystko sprzysięgło się, żeby upadła na złą stronę. Popchnął ją wiatr. Jej stopa znowu się poślizgnęła. Ziemia usunęła się spod stóp. Jej jasnoszare oczy otworzyły się szeroko. Żrenice się rozmyły. Rzęsy zatrzepotały.

Młoda dziewczyna bezwolnie zaczęła zsuwać się do jaru. Kiedy spadała, długie czarne włosy pokryły jej twarz tak, jakby chciały ją chronić. Próbowwała się wczepić w nieliczne rośliny porastające zbocze, ale te wymykały się spomiędzy jej palców, pozostawiając jej ledwie swoje kwiaty i iluzje. Staczała się teraz po kamieniach.

Nierówności terenu były zbyt duże, aby była w stanie się podnieść. Poparzyła się o kurtynę pokrzyw, próbowała wczepić się w kępę jeżyn, a potem stoczyła się na dywan paproci, gdzie miała nadzieję, że wreszcie się zatrzyma. Niestety, gęste łodygi skrywały kolejny jar, o jeszcze bardziej stromych zboczach. Na kamieniach poobcierała sobie ręce. Kolejna kępa paproci okazała się równie zdradliwa jak poprzednia. Dziewczyna przebiła się przez nią i spadała dalej. Wszystkiego razem pokonała siedem ścian roślin, znowu otarła sobie skórę, tym razem wpadając w dzikie maliny, a nad nią, niczym obłok gwiazd, wznosiły się teraz kłęby kwiatów mniszka. Wciąż się zsuwała.

Uderzyła stopą o wielki i zaostrozony kamień, a po chwili poczuła przeszywający ból w pięcie. Na koniec wpadła do kałuży wypełnionej beżowym błotem, która powitała ją jak lepka przystań. Usiadła, wstała, wytarła się kciukiem traw. Wszystko było beżowe. Ubranie, twarz, włosy, wszystko pokryte było błotnistą ziemią. Czowała ją także w ustach, a jej smak był gorzkawy. Młoda dziewczyna o jasnoszarych oczach rozmasowywała obolałą piętę. Jeszcze nie całkiem otrząsnęła się ze zdziwienia, kiedy poczuła jak coś zimnego i śliskiego przesuwają się po jej nadgarstku. Przeszedł ją dreszcz. Wąż. A raczej węże! Wpadła prosto do ich gniazda, a one teraz starały się do niej przyłgnąć.

Krzyknęła z przerażenia.

Chociaż węże nie mają słuchu, to jednak niezwykle wrażliwy język pozwala im odbierać wibracje powietrza. Dla nich ten krzyk zabrzmiał jak detonacja. Teraz one z kolei były przerażone i uciekały we wszystkich kierunkach. Zaniepokojone węzowe matki przygarnęły do siebie małe wężyki, zwijając się nerwowo w kształt litery „S”. Dziewczyna przesunęła dłoń po twarzy, odsunęła kosmyk włosów, który zakrywał jej oczy, wypluła gorzką ziemię i spróbowała wspiąć się po zboczu.

Było jednak zbyt stromo, a ból w pięcie był coraz silniejszy. Postanowiła jednak usiąść i zawołać.

– Na pomoc! Tato, na pomoc! Jestem tutaj, na samym dole. Pomóż mi! Na pomoc!

Krzyczała tak przez dłuższy czas. Daremnie. Była teraz sama, na dnie przepaści, a ojciec nie przybywał jej z pomocą. Czyżby i on się zgubił? W takim razie kto odnajdzie ją w tym gęstym lesie, daleko za masywami paproci?

Dziewczyna o jasnoszarych oczach oddychała głęboko, starając się uspokoić mocno bijące serce. „Jak wydostać się z tej pułapki?”. Otarła błoto, które przywarło jej do czoła, i popatrzyła wokół siebie. Po prawej stronie, na brzegu niecki, dostrzegła trochę ciemniejszy obszar przecinający wysokie trawy. Z trudem bo z trudem, ale ruszyła w tę właśnie stronę. Oset i cykorja maskowały wejście do czegoś w rodzaju tunelu wykopanego w ziemi. Zastanawiała się, jakież to zwierzę mogło zbudować tę ogromną norę. Za duże jak na zając, lisa czy borsuka. A niedźwiedzi w tym lesie nie było. A może to kryjówka wilka?

W każdym razie było wystarczająco dużo miejsca, żeby osoba średniego wzrostu mogła wejść. Czuła się trochę nieswojo, decydując się tam zagłębić, ale liczyła na to, że przejściem tym uda się jej w końcu dokądś dotrzeć. Na czworaka ruszyła gliniastym korytarzem.

Poruszała się po omacku. Było tam coraz ciemniej i coraz bardziej zimno. Jakaś kulista forma pokryta kolcami wymknęła się spod jej dłoni. Bojaźliwy jeź zwinął się w kulkę na jej drodze, a po chwili pomknął w przeciwną stronę. Ona zaś posuwała się dalej, w całkowitych ciemnościach, słysząc wokół siebie trzepotanie.

Ze schyloną głową posuwała się do przodu, opierając się na łokciach i kolanach. Dość długo trwało, zanim jako dziecko najpierw nauczyła się stać prosto, a potem chodzić. Podczas gdy większość niemowląt zaczyna chodzić mając rok, jej zabrało to osiemnaście miesięcy. Pozycja pionowa wydawała się dla niej stanowczo zbyt niepewna. Na czterech łapkach było zdecydowanie bezpieczniej. Można było z bliska przyjrzeć się temu, co leżało na podłodze, a jeśli się spadało, to z mniejszej wysokości. Zresztą z chęcią pozostała część swojej egzystencji spędziłaby na poziomie wykładziny, gdyby jej matka i opiekunki nie zmuszały jej do stania prosto.

Tunel wydawał się nie mieć końca... Żeby dodać sobie odwagi i podążać dalej,

zmusiła samą siebie do podśpiewywania takiej oto wyliczanki:

*Zieloną myszkę,
Która po trawie biegnie,
Złapmy za ogonek
I pokażmy tym panom.
A panowie ci rzekną:
Zanurzcie ją w oliwie,
Zanurzcie ją w wodzie,
A zrobi się z niej gorący ślimaczek!*

Trzy czy cztery razy, za każdym razem coraz głośniej, powtarzała tę piosenkę. Jej nauczyciel śpiewu, profesor Yankélévitch, nauczył ją operować wibracjami głosu tak, aby tworzył on obronny kokon. Ale tutaj było naprawdę zbyt zimno, żeby wydierać się na cały głos. Po pewnym czasie z wyliczanki pozostała jedynie para wydobywająca się z zimnych ust, która potem przemieniła się w rzęzący oddech.

Niczym dziecko, które trwając w uporze, chce dobrnąć aż do samego kresu głupoty, ani przez chwilę nie pomyślała o tym, by zawrócić. Julie czołgała się pod naskórkiem planety.

Wydało się jej, że w oddali widzi jakieś światełko.

Wycieńczona pomyślała, że to halucynacja, gdy nagle światło rozpadło się na wiele drobnych migocących na żółto światełek; niektóre z nich pulsowały.

Dziewczyna o jasnoszarych oczach pomyślała przez chwilę, że podziemia te pełne są diamentów. Przysuwając się bliżej, rozpoznała świetliki, fosforyzujące insekty, które obsiadły idealny sześcian.

Sześcian?

Wyciągnęła palce i natychmiast świetliki zgasły i znikły. Julie nie mogła liczyć na swój wzrok w całkowitych ciemnościach. Dotknęła tego sześcianu, odwołując się do najbardziej odległych obszarów zmysłu dotyku. Był gładki. Twardy. Zimny. Nie był to ani kamień, ani też odłamek jakiegoś głazu. Rączka, zamek... Był to przedmiot wykonany ludzką ręką.

Malutka walizka w kształcie sześcianu.

Ledwie żywa ze zmęczenia, wydostała się wreszcie z tunelu. Na górze radosne szczekanie uzmysłowiło jej, że ojciec ją odnalazł. Stał tam razem z Achillesem,

a swoim miękkim głosem krzyczał gdzieś z oddali:

– Julie, jesteś tam, moja córeczko? Odpowiedz, proszę, daj mi jakiś znak!

5. ZNAK

Głową wykonuje ruch po linii trójkąta. Liść topoli rozdziera się. Stara mrówka rudnica chwytą inny i kosztuje go, stojąc u podnóża drzewa, nie czekając, aż sfermentuje. Nawet jeśli posiłek nie jest zbyt smaczny, jest przynajmniej wzmacniający. Zresztą i tak nie przepada za liśćmi topoli, woli mięso, ale ponieważ nic jeszcze nie jadła od momentu ucieczki, nie może wybrzydnąć.

Zjadłszy, nie zapomina o tym, by się umyć. Końcem pazura chwytą długi prawy czulek i przyciąga go ku przodowi, aż do pyszczka. Następnie przesuwą czulek pod zuwaczkami, kierując do otworu gębowego, i ssie, aby go oczyścić.

Pokrywszy oba czułki pianką ze śliny, wygładza je małą szczoteczką mieszczącą się poniżej pyszczeli.

Stara rudnica przeciąga mocno stawy odwłoka, klatki piersiowej i szyi. Pazurkami oczyszcza także setki swoich siatkowych oczu. Mrówki nie mają powiek, które chroniłyby i nawilżały ich oczy – jeśli zaniedbają ciągle przecieranie soczewek ocznych, po jakimś czasie są w stanie odróżniać jedynie niewyraźne kształty.

Im czystsze są oczy, tym lepiej widzą, co się przed nimi znajduje. No proszę, tu coś jest. Wielkie, wręcz olbrzymie, pokryte kolcami, rusza się.

Uwaga, niebezpieczeństwo: gigantyczny jeż wychodzi z jamy!

Trzeba uciekać, i to szybko. Jeż – ogromna kula składająca się z ostrych żądeł – szarżuje z otwartą paszczą.

6. SPOTKANIE Z KIMŚ ZADZIWIAJĄCYM

Była pogryziona na całym ciele. Instynktownie obmyła odrobiną śliny najgłębsze ukąszenia. Kuśtykając, zaniósła sześcienną walizeczkę do swojego pokoju. Na chwilę usiadła na łóżku. Powyżej na ścianie, od lewej do prawej strony, wisiały plakaty z Callas, Che Guevarą, Doorsami i Attylą Hunem.

Julie z trudem podniosła się, żeby pójść do łazienki. Wzięła gorący prysznic i nacierała się energicznie mydłem o zapachu lawendy. Potem owinęła się w wielki ręcznik, wsunęła stopy w gąbczaste papucie i zabrała się do oczyszczania czarnych ubrań z beżowej ziemi, którą były pokryte.

Nie było mowy o tym, żeby założyć z powrotem buty. Jej poraniona pięta powiększyła się dwukrotnie. W głębi szafki znalazła parę starych letnich sandałów, których rzemyki miały tę podwójną zaletę, że nie opierały się na pięcie, a duży palec pozostawał odsłonięty. Owszem, Julie miała małe, ale jednocześnie bardzo szerokie stopy. Tymczasem większość producentów butów proponowała obuwie wąskie i długie, co powodowało u niej nieprzyjemny skutek w postaci bolesnych nagniotków. Jeszcze raz rozmasowała piętę. Po raz pierwszy wydawało się jej, że odczuwa wszystko to, co znajduje się wewnątrz tej części stopy, jakby kości, mięśnie i ścięgna czekały właśnie na ten moment, żeby dać o sobie znać. Teraz były obecne w całej okazałości na samym końcu nogi. Istniały. Manifestowały swoją obecność, wysyłając sygnały o ratunek.

Cichym głosem pozdrowiła ją: „Dzień dobry, moja pięto”. Rozbawiło ją witanie się z częścią własnego ciała. Zainteresowała się piętą tylko dlatego, że była ona obolała. Ale gdy dobrze się nad tym zastanowić, to właściwie czyż nie zdarza jej się myśleć o zębach tylko wtedy, gdy pojawia się próchnica? Podobnie odkrywamy, że istnieje wyrostek robaczkowy dopiero wtedy, gdy następuje atak. W taki sam sposób musi istnieć w ciele cała masa różnych organów, których istnienia nie podejrzewała dlatego właśnie, że nie były one na tyle nieuprzejme, żeby wysyłać jej sygnał, że cierpią.

Jej wzrok znowu powędrował ku walizce. Była zafascynowana tym przedmiotem wydobytym z wnętrza ziemi. Biorąc walizkę w ręce, potrząsnęła nią. Skrzyneczka była ciężka. Zestaw pięciu przycisków, każdy z kodem, strzegł zamknięcia.

Walizeczka wykonana była z grubego metalu. Potrzebny byłby młot pneumatyczny, żeby się przewiercić przez jej ściankę. Julie przyjrzała się dokładnie zamkowi. Na każdym z pięciu przycisków były wyryte cyfry i symbole. Manewrowała, zdając się na przypadek. Miała może jedną szansę na milion, żeby wpaść na właściwą kombinację.

Znowu potrząsnęła walizką. W środku coś było, jakiś pojedynczy przedmiot.

Tajemnica coraz bardziej rozbudzała jej ciekawość.

Do pokoju wszedł ojciec: wysoki, rudy, silny facet z wąsami. W spodniach do gry w golfa wyglądał na szkockiego myśliwego.

– I jak, lepiej? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Wpadłaś na teren, na który można się dostać tylko przebijając się przez prawdziwą ścianę pokrzyw i ostu – wyjaśnił. – Coś jakby polanę, którą natura stara się ukryć przed ciekawskimi i spacerowiczami. Miejsce nie jest nawet zaznaczone na mapie. Całe szczęście, że Achilles wywąchał, że tam byłaś! Co byśmy zrobili bez psów?

Pogłaskał czule irlandzkiego setera, który wszedł wraz z nim do pokoju, a teraz, jakby w odpowiedzi, oślinił nogawkę jego spodni i zaszczekał radośnie.

– Ha, co za historia! – powiedział ojciec. – Dziwny ten zamek zabezpieczony kombinacją cyfr. Może to coś w rodzaju sejfu, którego nie udało się otworzyć włamywaczom?

Julie wstrząsnęła czarnymi włosami.

– Nie – odpowiedziała.

Ojciec zważył przedmiot w ręce.

– Gdyby w środku były jakieś monety albo sztabki, ważyłoby to znacznie więcej, a gdyby tam były zwoje banknotów, słyszelibyśmy, jak obijają się jedne o drugie. Może jakaś torba z narkotykami porzucona przez przemytników. A może... bomba.

Julie wzruszyła ramionami.

– A gdyby tak w środku była ludzka głowa?

– W takim razie najpierw łowcy z plemienia Jivaros musieliby ją zmniejszyć – odrzekł ojciec. – Twoja skrzyneczka nie jest na tyle duża, żeby zmieściła się w niej ludzka głowa normalnych rozmiarów.

Spojrzał na zegarek, przypomniał sobie o ważnym spotkaniu i wyszedł. Jego pies, zadowolony bez żadnych wyraźnych powodów, poszedł za nim, merdając ogonem i głośno posapując.

Julie raz jeszcze potrząsnęła walizką. Bez wątpienia było tam coś miękkiego, a jeśli była to głowa, to po takim obracaniu we wszystkie strony, z pewnością złamała jej już nos. Nagle walizka wzbudziła w niej odrazę i pomyślała sobie, że lepiej będzie się nią już nie zajmować. Za trzy miesiące zdawała maturę i nie

chciała zimować czwarty rok w maturalnej klasie, czas więc najwyższy zająć się powtarzaniem materiału.

Julie wyciągnęła książkę do historii i zabrała się do czytania. Rok 1789. Rewolucja francuska. Zdobycie Bastylli. Chaos. Anarchia. Najważniejsze postaci: Marat, Danton, Robespierre, Saint-Just. Terror. Gilotyna...

Krew, krew i jeszcze raz krew. „Historia jest jedną wielką rzezią” – pomyślała, naklejając plaster na jednym ze skaleczeń, które się znowu otworzyło. Im dłużej czytała, tym większe narastało w niej obrzydzenie. Myśl o gilotynie przypomniła jej obraz odciętej głowy w walizce.

Pięć minut później, uzbrojona w gruby śrubokręt, zaatakowała zamek. Walizka opierała się jednak skutecznie. Julie wzięła młotek i uderzyła w śrubokręt, żeby zwiększyć jeszcze efekt dźwigni, ale rezultat był taki sam. Pomyślała więc: „Potrzebne byłoby imadło”, a zaraz potem: „Cholera, nie dam sobie z tym rady”.

Wróciła do książki i do rewolucji francuskiej. Trybunał ludowy. Konwencja. Hymn Rouget de Lisle’a. Flaga niebiesko-biało-czerwona. Wolność – Równość – Braterstwo. Wojna domowa. Mirabeau. Chénier. Proces króla. I wciąż gilotyna... Jak można interesować się taką masakrą? Słowa wchodziły jednym okiem, a wychodziły drugim.

Skrobanie w jednej z drewnianych belek przyciągnęło jej uwagę. Ten pracujący termit podsunął Julie pewną myśl.

Słuchać.

Przyłożyła ucho do zamka w walizce i powolutku przesunęła pierwszy przycisk. Wychwyciła coś jakby leciutkie stuknięcie zapadki. Zębaty trybik znalazł swój odpowiednik. Julie cztery razy powtórzyła tę operację. W końcu mechanizm zaskoczył, a zamek zazgrzytał. Bardziej zatem skuteczniejszy od gwałtownych działań z użyciem śrubokrętu i młotka okazał się jej wyostrzony słuch.

Oparty o framugę drzwi, ojciec zapytał ją ze zdziwieniem:

– Udało ci się to otworzyć? W jaki sposób?

Przyjrzał się zamkowi, na którym można było odczytać: „ $1 + 1 = 3$ ”.

– Hm..., nic nie mów, już wiem. Zastanowiłaś się. Jest tak: szereg liczbowy, ciąg symboli, szereg liczbowy, ciąg symboli, szereg liczbowy, ciąg symboli, szereg liczbowy, ciąg symboli i wreszcie szereg liczbowy i ciąg symboli. Wydedukowałaś, że chodzi o równanie. A potem pomyślałaś, że ktoś, kto chciałby zachować

tajemnicę, nie zastosuje logicznego równania w rodzaju dwa plus dwa równa się cztery. Spróbowałaś więc z jeden plus jeden równa się trzy. Takie równanie można często znaleźć w dawnych rytuałach. Oznacza ono, że dwa połączone talenty są czymś więcej niż prostym ich zsumowaniem i dodaniem do siebie.

Ojciec uniósł rude brwi i wygładził wąsy.

– Naprawdę tak się do tego zabrałaś?

Julie popatrzyła na niego z leciutką przekorą w jasnoszarych oczach. Ojciec nie lubił, kiedy się z niego żartowało, ale nic nie powiedział. Uśmiechnęła się.

– Nie.

Nacisnęła na guzik. Sprężyna w jednej chwili uniosła przykrywkę sześciennej walizki.

Ojciec i córka nachylili się.

Podrapane dłonie Julii chwyciły to, co było w środku, i położyły na biurku w świetle lampy.

Była to książka. Wielka i gruba księga, z której wysuwały się miejscami poprzyklejane kartki.

Na okładce wielkimi stylizowanymi literami wykaligrafowano:

ENCYKLOPEDIA WIEDZY WZGLĘDNEJ I ABSOLUTNEJ PROFESORA EDMUNDA WELLSA

Gaston zaczął zrzędzić.

– Dziwny tytuł. Rzeczy są albo względne, albo absolutne. Nie mogą być jednocześnie i takie, i takie. Jest w tym antynomia.

Poniżej, mniejszymi literami, uwaga:

TOM III

A jeszcze niżej – rysunek: okrąg z wpisanym weń trójkątem, z wierzchołkiem u góry, a w nim jeszcze coś przypominającego literę „Y”. Gdy lepiej się temu przyjrzeć, ramionami „Y” były mrówki dotykające się nawzajem czułkami. Mrówka po lewej stronie była czarna, mrówka po prawej stronie – biała, a mrówka w środku, jako odwrócona podstawa litery „Y”, była w połowie biała i w połowie czarna.

Wreszcie pod trójkątem powtórzony był wzór pozwalający otworzyć zamek sześcienną walizeczki:

$$1 + 1 = 3$$

– Wygląda jak grymuar – mruknął ojciec.

Julie widząc, że okładka jest całkiem nowa, uznała z kolei, że wręcz odwrotnie. Pogładziła dłonią okładkę. Była śliska i miła w dotyku.

Dziewczyna o czarnych włosach i jasnoszarych oczach otworzyła księgę na pierwszej stronie i zaczęła czytać.

7. ENCYKLOPEDIA

Dzień dobry! Dzień dobry, nieznanemu czytelniku.

Dzień dobry ci po raz trzeci lub dzień dobry po raz pierwszy.

Tak naprawdę to, czy odkryjecie tę książkę na początku, czy na końcu, nie ma większego znaczenia.

Książka ta jest bronią, która ma zmienić świat.

Nie, nie śmiecie się. To jest możliwe. Możecie to zrobić. Wystarczy tylko czegoś naprawdę chcieć i może się to stać. Bardzo mała przyczyna może wywołać bardzo duży skutek. Mówi się, że uderzenie skrzydeł motyla w Honolulu wystarczy, by wywołać tajfun w Kalifornii. A przecież wasz oddech wywołuje ruch silniejszy od tego, który wywołany jest uderzeniem skrzydeł motyla, nieprawdaż?

Ja jestem martwy. Przykro mi, gdyż będę mógł wam pomóc jedynie pośrednio, tylko przez tę książkę.

A proponuję przeprowadzić rewolucję. Albo może raczej, powinienem powiedzieć, „ewolucję”. Ponieważ nasz bunt wcale nie musi być naznaczony przemocą ani też nie musi być spektakularny jak rewolucje w przeszłości.

Widzę ją bardziej jako rewolucję duchową. Jako bunt mrówek. Dyskretnie i bez przemocy. Jako serię drobnych posunięć, które mogą wydawać się bez znaczenia, lecz które dodane jedno do drugich, ostatecznie pozwolą przenosić góry.

Myślę, że błędem dawnych rewolucji była niecierpliwość i nietolerancja. Utopiści myśleli jedynie o najbliższej przyszłości. Dlatego, że za wszelką cenę chcieli jeszcze za życia zobaczyć owoce swojej pracy. Trzeba zaś pogodzić się z tym, że chociaż to my sadzimy roślinę, to kto inny ją zerwie znacznie, znacznie później.

Rozmawiajmy o tym wspólnie. Tak długo, jak długo trwał będzie nasz dialog, od was zależy, czy będziecie mnie słuchać, czy nie. (Potrafiliście wsłuchać się już w zamek, a zatem jest to dowód na to, że potraficie słuchać, prawda?)

Możliwe też, że się mylę. Nie jestem mentorem ani guru, ani świętym. Jestem człowiekiem świadomym tego, że przygoda ludzka zaledwie się rozpoczyna. Jesteśmy jedynie prehistorycznymi ludźmi. Nasza niewiedza jest nieograniczona i wszystko należy dopiero wymyślić.

Tyle jest do zrobienia... A wy jesteście zdolni dokonać tak wielu cudów.

Jestem jedynie falą, która wchodzi w interferencję z waszą falą jako czytelnika. Interesujące jest właśnie to spotkanie-interferencja. I dlatego każdy czytelnik będzie odbierać tę książkę inaczej. Trochę tak, jakby była ona czymś żywym i jej sens zmieniałby się w zależności od wiedzy, wspomnień i wrażliwości konkretnego czytelnika.

A jak będę oddziaływał jako „książka”? Po prostu opowiadając wam proste historie o rewolucjach, utopiach, o zachowaniach ludzi i zwierząt. I to wy powinniście odkryć, co z tego wynika. To wy musicie wyobrazić sobie odpowiedzi, które pomogą wam podążać własną drogą. Ja osobiście bowiem nie mam wam żadnej prawdy do zaproponowania.

Jeśli będziecie tego chcieli, ta książka będzie czymś żywym. I mam nadzieję, że stanie się ona dla was przyjacielem; takim przyjacielem, który będzie mógł pomóc wam w waszej przemianie i w przeobrażaniu świata. A teraz, jeżeli jesteście gotowi i pragniecie tego, proponuję, abyśmy wspólnie wykonali, i to natychmiast, coś ważnego: przewróćmy kartkę.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

8. ZARAZ NASTĄPI EKSPLOZJA

Kciuk i palec wskazujący prawej dłoni delikatnie musnęły róg strony, uchwyciły i już miały ją przewrócić, gdy z kuchni rozległ się głos.

– Do stołu! – krzyknęła matka.

To nie był już czas na czytanie.

Julie miała teraz dziewiętnaście lat, była szczupłą. Jej czarne, błyszczące włosy,

proste i jedwabiste, spadały niczym kurtyna aż do bioder. Jasna cera, prawie półprzezroczysta, pozwalała czasami dostrzec niebieskawe żyłki z trudem skrywające się na dłoniach i skroniach. Blade oczy Julie były mimo to żywe i gorące. Miały kształt migdałów i wydawały się zamykać w sobie życie pełne złości i ustawicznego ruchu, nadając jej wyraz małego i niespokojnego zwierzątka. Czasami zaś wpatrywały się w określonym kierunku tak, jakby przeszywający promień światła miał się wydobyć z tych oczu, aby zniszczyć to, co mogłoby się nie spodobać młodej dziewczynie. Julie oceniała samą siebie jako osobę bez wyrazu. Dlatego właśnie nigdy nie przeglądała się w lustrze.

Nigdy nie używała perfum. Żadnego makijażu. Żadnego lakieru do paznokci. A zresztą czemu miałyby to służyć, skoro wciąż te paznokcie obgryzała.

Nie podejmowała też żadnego wysiłku, gdy idzie o strój. Skrywała swoje ciało w obszernych i ciemnych ubraniach.

Jej edukacja przebiegała bardzo nierównomiernie. Aż do ostatniej klasy liceum była o rok młodsza od pozostałych uczniów, a jej nauczyciele chwalili ją za poziom intelektualny i dojrzały umysł. Ale od trzech lat nic jej się nie udawało. W wieku siedemnastu lat nie zdała matury. To samo się stało, gdy miała lat osiemnaście. W wieku dziewiętnastu lat przygotowywała się, żeby po raz trzeci zdawać ten egzamin, chociaż oceny miała teraz gorsze niż kiedykolwiek. Jej szkolne niepowodzenia zbiegły się w czasie z pewnym wydarzeniem, a mianowicie ze śmiercią nauczyciela śpiewu. Był to stary, głuchy i despotyczny człowiek, który nauczał za pomocą oryginalnych metod. Nazywał się Yankélévitch i był przekonany, że Julie ma talent i że powinna nad nim pracować.

Nauczył ją panować nad pracą brzucha i płuc, nad przeponą, a także nad pozycją szyi i ramion. Wszystko miało wpływ na jakość głosu.

Odnosiła czasami wrażenie, że w jego rękach jest jak kobza, którą nauczyciel muzyki chce uczynić doskonałą. Teraz potrafiła już zgrać bicie serca z oddychaniem. Yankélévitch nie zapomniał też i o pracy nad twarzą. Pokazał jej, jak zmieniać kształt twarzy i ust, żeby jeszcze bardziej udoskonalić instrument, jakim jest jej ciało.

Uczennica i mistrz wspaniale się uzupełniali. Wprawdzie był głuchy, jednak obserwując ruchy jej ust i kładąc jej rękę na brzuchu, ten siwy nauczyciel potrafił rozpoznać jakość dźwięków wydawanych przez dziewczynę. Wibracje jej głosu

rezonowały we wszystkich jej kościach. „Jestem głuchy. I co z tego? Beethoven też był głuchy, a nie przeszkodziło mu to wykonać całkiem niezłą robotę” – zwykł mawiać przy niejednej okazji.

Nauczył Julie, że śpiew daje władzę wykraczającą znacznie poza samą tylko zdolność tworzenia słyszalnego piękna. Nauczył ją tak modulować emocje, aby poradzić sobie ze stresem i za pomocą samego tylko głosu pokonywać pojawiające się lęki. Nauczył ją też słuchania śpiewu ptaków po to, żeby i one wzięły udział w jej edukacji.

Kiedy Julie śpiewała, z jej ciała wypływała kolumna energii, a dla niej samej było to doznanie bliskie ekstazy.

Sam zaś profesor wciąż myślał o tym, jak pokonać swoją głuchotę. Na bieżąco śledził najnowsze metody leczenia. Któregoś dnia pewien nadzwyczaj zręczny młody chirurg wszczepił mu do mózgu elektroniczną protezę, co ostatecznie zlikwidowało jego inwalidztwo.

Od tej chwili stary nauczyciel śpiewu postrzegał dźwięki tego świata takimi, jakie były w rzeczywistości. Prawdziwe dźwięki. Prawdziwa muzyka. Yankélévitch usłyszał głosy ludzi i listę przebojów w radiu. Usłyszał klaksony samochodów i szczekanie psów, padający deszcz i szemrzący strumyk, odgłos kroków i skrzypiące drzwi. Usłyszał kichanie i śmiech, westchnienia i szloch. Wszędzie w mieście słyszał włączone bez przerwy telewizory. Dzień, w którym został wyleczony, miał być dniem szczęścia, lecz okazał się dniem przepełnionym rozpaczą. Stary nauczyciel śpiewu zorientował się, że prawdziwe dźwięki w niczym nie przypominają tych, które sobie wyobrażał. Wszystko było hałasem i kakofonią, wszystko było gwałtowne, krzykliwe, nieznośne. Świat nie był wypełniony muzyką, ale fałszywie brzmiącymi dźwiękami. Stary człowiek nie był w stanie znieść tak wielkiego rozczarowania. Wymyślił więc taki sposób zadania sobie śmierci, który byłby zgodny z jego ideałami. Wspiął się na dzwonnice katedry Notre Dame w Paryżu. Głowę umieścił pod sercem dzwonu. Dokładnie w południe był już martwy, gdy uniosła go potężna energia dwunastu monumentalnych i muzycznie doskonałych wibracji.

Wraz z jego zniknięciem Julie nie tylko straciła przyjaciela, ale też i przewodnika, który pomagał jej rozwijać najważniejszy dla niej dar.

Owszem, znalazła innego nauczyciela śpiewu, ale był on jednym z tych, którzy

zadowalają się ćwiczeniem gam przez swoich uczniów. Zmusił Julie, by poprowadziła swój głos aż do poziomu zbyt wysokich dla jej gardła rejestrów. Odczuwała bardzo silny ból.

Wkrótce potem laryngolog zdiagnozował guzki na strunach głosowych Julie. Nakazał jej przerwać lekcje. Przeszła operację i przez kilka tygodni, zanim nie zabiłszy się struny głosowe, nie odzywała się ani jednym słowem. Potem zaś rehabilitacja w celu przywrócenia zwykłej zdolności mówienia okazała się bardzo trudna.

Od tamtej pory stale poszukiwała prawdziwego nauczyciela śpiewu, który potrafiłby nią pokierować tak, jak czynił to Yankélévitch. Nie mogąc znaleźć nikogo takiego, stopniowo zamykała się coraz bardziej na świat.

Yankélévitch twierdził, że kiedy posiada się jakiś dar i nie wykorzystuje się go, to jest się jak królik, który nie dostaje czegoś twardego do gryzienia: stopniowo jego siekacze wydłużają się, wyginają, rosną bez końca, przebijają podniebienie, aż ostatecznie przeszywają mózg. Chcąc zobrazować to niebezpieczeństwo, nauczyciel trzymał u siebie czaszkę królika, z której siekacze wystawały niczym dwa rogi. Lubił czasami pokazywać krnąbrnym uczniom ten makabryczny obiekt, żeby zachęcić ich do pracy. Ba, posunął się tak daleko, że czerwonym atramentem napisał na przedzie czaszki królika:

*Największym grzechem jest nierozwijanie
naszego naturalnego talentu.*

Pozbawiona możliwości kształcenia swojego daru, Julie po etapie wzmożonej agresji przeszła przez okres anoreksji. Po tym nastąpiła faza bulimii, kiedy to pochłaniała całe kilogramy ciastek, patrząc pustym wzrokiem, ze środkiem przeczyszczającym lub wywołującym wymioty pod ręką. Przestała się uczyć, przysypiała w klasie.

Jej stan coraz bardziej się pogarszał. Oddychała z trudem i, co nie poprawiało sytuacji, cierpiała od niedawna na ataki astmy. Wszystko, co śpiew przyniósł jej dobrego, teraz przeobrażało się w zło.

Matka Julie pierwsza zasiadła za stołem w jadalni.

– I gdzie byliście dzisiaj po południu? – zapytała.

– Poszliśmy się przejść po lesie – odpowiedział ojciec.

– I tam się tak strasznie podrapała?

– Julie wpadła do wąwozu – wyjaśnił ojciec. – Nic wielkiego jej się nie stało, ale zraniła się w piętę. Odkryła też dziwną książkę w tym parowie...

Ale matka interesowała się już tylko dymiącym daniem na talerzu.

– Opowiesz mi o tym później. Jedźmy szybko, bo pieczone przepiórki nie mogą czekać. Jak są ledwie ciepłe, tracą cały smak.

Matka Julie rzuciła się na jedzenie i pochłaniała z zapałem pieczone przepiórki pokryte korynckimi rodzynkami.

Jedno precyzyjne uderzenie widelcem sprawiło, że z przepiórki uszło powietrze, tak jakby była to wypełniona parą piłka do rugby. Wzięła upieczonego ptaszka, wyssała co się dało przez otwór w dziobie, końcami palców oderwała skrzydełka, które natychmiast wsunęła między wargi i wreszcie głośno zmiażdżyła trzonowymi zębami malutkie opierające się kosteczki.

– Nie jesz? Nie lubisz tego? – zapytała Julie.

Dziewczyna przyglądała się upieczonemu ptaszekowi, ściśniętemu cienkim sznurkiem, leżącemu sztywno na jej talerzu. Na głowie ptaszek miał rodzynek, z którym wyglądał jakby nosił cylinder. Puste oczodoły i na wpółotwarty dziób wydawały się wskazywać, że ptaszek został oderwany od swoich zajęć przez potworne wydarzenie, przez coś, co w jego skali mogło być niczym nagła erupcja wulkanu w Pompejach.

– Nie lubię mięsa... – rzuciła Julia.

– To nie jest mięso, tylko drób – ucięła dyskusję matka.

Po chwili jednak, już w bardziej pojednawczym tonie:

– Przecież nie zaczniesz na nowo z tą anoreksją. Musisz być zdrowa, żeby udało ci się zdać maturę i żebyś dostała się na wydział prawa. To dzięki temu, że twój ojciec skończył prawo, kieruje teraz wydziałem prawnym Zarządu Gospodarki Wodnej i Lasów i dlatego właśnie, że kieruje wydziałem prawnym Zarządu Gospodarki Wodnej i Lasów, udało się załatwić to, że liceum zgodziło się, żebyś po raz trzeci powtarzała maturalną klasę. A tobie pozostaje teraz studiować prawo.

– Olewam prawo – oświadczyła Julie.

– Ale musisz skończyć studia, żeby należeć do społeczeństwa.

– Olewam społeczeństwo.

– To co cię w takim razie interesuje? – zapytała matka.

– Nic.

– A na co poświęcasz czas? Zakochałaś się w kimś, co?

Julie mocniej oparła się na krześle.

– Olewam miłość.

– Olewam, olewam... Tylko to wciąż powtarzasz. Przecież coś musi cię interesować, coś albo ktoś – nalegała matka. – Jesteś taka ładna, pewnie nie możesz się opędzić od chłopców.

Julie zrobiła dziwny grymas. Jej jasnoszare spojrzenie zastygło.

– Nie mam żadnego narzeczonego i chcę cię przy tej okazji powiadomić, że wciąż jestem dziewicą.

Wyraz zdziwienia przemieszanego z oburzeniem pojawił się na twarzy matki. Po chwili wybuchła śmiechem.

– Tylko w książkach *science fiction* można znaleźć dziewiętnastoletnie dziewice.

– Nie mam zamiaru brać sobie kochanki ani wychodzić za męża, ani mieć dzieci – ciągnęła dalej Julie. – A wiesz dlaczego? Bo się boję, że upodobniłabym się do ciebie.

Matka odnalazła nagle pewność siebie.

– Moja biedna córeczko, jesteś jednym wielkim problemem. Na szczęście umówiłam cię z psychoterapeutą! Wizyta w najbliższy czwartek.

Matka i córka przyzwyczyły się już do tego rodzaju potyczek. Ta zaś trwała jeszcze przez jakąś godzinę, a z całej kolacji Julie zjadła tylko wisienkę w Grand Marnier, która zdobiła mus z białej czekolady.

Ojciec zaś, mimo licznych znaków dawanych przez córkę pod stołem, jak zawsze zachowywał kamienną twarz, pilnując się bacznie, żeby nie wtrącać się do rozmowy.

– No, Gaston powiedz coś – odezwała się właśnie jego żona.

– Julie, powinnaś słuchać matki – rzucił lakonicznie ojciec, składając serwetkę.

I wstając od stołu, oświadczył, że musi dzisiaj położyć się wcześniej, gdyż nazajutrz rano chce wyruszyć o świcie i pójść na długi spacer z psem.

– Mogę iść z tobą? – zapytała dziewczyna.

Ojciec pokręcił głową.

– Nie tym razem. Chcę się przyjrzeć z bliska temu wąwozowi, który odkryłaś, i poza tym chcę trochę pobyć sam. A do tego twoja matka ma rację. Zamiast

chodzić po lesie, powinnaś wreszcie trochę się pouczyć.

Kiedy pochylił się nad nią, żeby ją pocałować i życzyć jej dobrej nocy, Julie szepnęła mu:

– Tato, nie zostawiaj mnie.

Zrobił minę, jakby nic nie usłyszał.

– Miłych snów – powiedział po prostu.

Wyszedł, ciągnąc na smyczy psa. Achilles, bardzo podekscytowany, chciał popędzić jak strzała, ale za długie i pozawijane pazury sprawiły, że zaczął się ślizgać po starannie wypastowanej podłodze.

Julie nie miała ochoty przedłużać rozmowy sam na sam ze swoją rodzicielką. Wymówiła się pilną potrzebą i pobiegła do łazienki.

Kiedy już starannie zamknęła za sobą drzwi, młoda dziewczyna o jasnoszarych oczach miała wrażenie, że wpadła w głęboką przepaść, znacznie głębszą niż ta w lesie. Tym razem nikt jej stąd nie wyciągnie.

Zgasiła światło, żeby być całkiem sama ze swoimi myślami. Żeby się odrobinę pokrzepić, zanuciła znowu „Zieloną myszkę, która po trawie biegnie...”, lecz wszystko w niej było teraz pustką. Czuła się zagubiona w świecie, który ją przerastał. Czuła się całkiem mała, malutka jak mrówka.

9. PROBLEMY Z NARZUCANIEM SWOJEGO ZDANIA

Mrówka gna ze wszystkich sił swoich sześciu nóżek, aż pęd wiatru wygina jej czułki do tyłu. Pyszczkiem trze po mchu i porostach.

Wielokrotnie skręca i zawraca wśród nagietków, bratków i kwiatów podobnych do jaskrów, lecz ścigający nie daje za wygraną. Jeź, niczym uzbrojony w długie kolce mastodont, podąża za nią uparcie, a ohydny zapach piżma zatruwa atmosferę. Ziemia drży pod jego krokami. Szczątki poprzednich ofiar jeszcze ciągle są przyczepione do kolców, a gdyby mrówka przyjrzała się dokładniej, dostrzegłaby chmarę szarych pcheł wspinających się i zsuwających wzdłuż szpikulców.

Stara mrówka rudnica zeskakuje z małego nasypu w nadziei zmylenia ścigającego. Jeź jednak nawet nie zwalnia. Kolce chronią go przed upadkiem i służą przy okazji za amortyzatory. Zwija się w kulę, wywija kozła, następnie staje

z powrotem na czterech łapkach.

Stara ruda mrówka przyspiesza. Naraz dostrzega na wprost siebie jakiś gładki i biały tunel. Nie udaje jej się zidentyfikować obiektu. Wejście jest jednak wystarczająco szerokie, by mrówka mogła się przedostać do środka. Cóż to może być? To zbyt duże, by być norką szarańczy albo konika polnego. Być może jest to schronienie kreta albo pająka?

Ponieważ czułki ma zbyt mocno odgięte do tyłu, nie jest w stanie nic wyczuć. Mrówka musi zdać się na wzrok, który pozwala otrzymać dokładny obraz tylko z niewielkiej odległości. Teraz – gdy znajduje się już bardzo blisko – widzi. Ten biały tunel w żadnym razie nie jest bezpiecznym schronieniem. To szeroko otwarta paszcza... węża!

Z tyłu jeż, z przodu wąż. Ten świat zdecydowanie nie został stworzony dla małych samotnych istot.

Stara mrówka rudnica widzi tylko jedno rozwiązanie: gałązkę, na którą błyskawicznie się wspina. W ostatnim momencie, bo właśnie jeż o długim pyszczku zaklinowuje się w gardle gada.

Zdążył jeszcze się wycofać i ugryźć węża w szyję. Ten się natychmiast zwinął. Nie lubi, gdy ktoś zagląda mu do gardła.

Z wierzchołka swojej gałązki stara rudnica obserwuje, oszołomiona, walkę dwóch drapieżników.

Długa, zimna rura kontra gorąca i kłująca kula.

Żółte, czarno prążkowane oczy żmii nie wyrażają ani strachu, ani nienawiści, jedynie troskę o to, by okazać się skuteczną. Stara się odpowiednio ustawić swoją śmiertcioną paszczę. Jeż panikuje. Unosi się i próbuje zaatakować kolcami brzuch gada. Jest obdarzony niezwykłą zręcznością. Jego małe nóżki o ostrych pazurkach uderzają mocno w łuski, które stawiają opór kolcom. Lodowaty bicz zwija się i zaciska. Paszcza żmii otwiera się i wysuwa w mgnieniu oka rozdwojony haczyk z jadem, ociekający płynną śmiercią. Jeże są bardzo odporne na jadowite ugryzienia żmij, chyba że tym uda się trafić w delikatną okolicę na czubku pyszczka.

Zanim będzie jej dane poznać wynik bitwy, stara ruda mrówka czuje, że unosi się w górę. Ku jej wielkiemu zdumieniu gałązka, na którą się wdrapała, zaczyna się powoli poruszać. Jej pierwszą myślą było, że to wiatr, lecz gdy gałązka odrywa się

od grubszego konara i rusza naprzód, mrówka jest całkowicie zdezorientowana. Gałązka przemieszcza się powoli, kołysząc się z lekka, i wspina się na inną gałąź. Po krótkim odpoczynku postanawia wspiać się po pniu.

Stara mrówka, zaskoczona, daje się ponieść wędrującej gałązce. Patrzy w dół i wreszcie pojmuje. Gałązka ma oczy i nóżki. To nie cudowne drzewo. To nie gałązka, lecz patyczak.

Owady o wydłużonym i delikatnym ciele chronią się przed drapieżnikami, stosując mimetyzm, dzięki któremu przyjmują wygląd gałązek, gałęzi, liści lub łodyg, na których siadają. Temu patyczakowi kamuflaż udał się wyjątkowo, jego ciało jest pokryte śladami przypominającymi włókna drewna, brązowymi plamkami i szczelinami, jak gdyby został nadgryziony przez termita.

Jeszcze jedna zaleta patyczaka: jego wolny chód stanowi element mimetyzmu. Nikomu nie przychodzi do głowy atakowanie stworzenia tak powolnego, niemal nieruchomego. Stara mrówka miała już okazję być świadkiem zalotów patyczaków. Samiec, mniejszych rozmiarów, zbliżał się do samicy, robiąc jeden krok na dwadzieścia sekund. Samica nieco się oddaliła, a samiec był tak powolny, że nie był w stanie jej dogonić. Trudno! Zamiast wyczekiwać ślamazarnych samców, samice patyczaków w końcu się przystosowały. Niektóre gatunki znalazły oryginalny sposób na rozwiązanie problemu z rozmnażaniem się: partenogenezę. Nie ma potrzeby łączenia się w pary: patyczaki nie potrzebują partnera, by się rozmnażać, dzieci powstają ot tak, z samej chęci ich posiadania.

Gałązka, na której usadowiła się ruda mrówka, okazuje się samicą, gdyż oto zaczyna składać jajeczka. Jedno po drugim, oczywiście w bardzo wolnym tempie, wydaje na świat małe kuleczki, które odbijają się od liści niczym twarde krople deszczu. Sztuka kamuflażu patyczaków rozwinęła się do tego stopnia, że nawet ich jajeczka przypominają ziarenka.

Mrówka nadgryza leciutko gałązkę, żeby sprawdzić, czy jest jadalna. Lecz patyczaki oprócz mimetyzmu znają jeszcze inne sposoby obrony: potrafią udawać martwe. Tak więc, gdy tylko owad dostrzegł czubek żuwaczki, popadł w stan katalepsji i upadł na ziemię.

Mrówka nic na to nie może poradzić. Ponieważ wąż i jeź zdążyły już uciec, schodzi za patyczakiem na ziemię i zjada go. Żalosne zwierzę nie pozwala sobie nawet na ostatnie drgnięcie w agonii. W połowie zjedzony, pozostaje

niewzruszony niczym prawdziwa gałązka. Zdradza go jednak jeden szczegół: drugi koniec gałązki nadal składa jajeczka-ziarenka.

Dość już emocji na dziś. Robi się chłodniej, zbliża się godzina codziennej hibernacji. Stara mrówka rudnica znajduje schronienie wśród mchu. Jutro ruszy dalej na poszukiwanie drogi do rodzinnego gniazda. Musi za wszelką cenę „je” przestrzec, zanim będzie zbyt późno.

Ze spokojem czyści czułki szczoteczkami znajdującymi się na piszczelach, by wyraźniej postrzegać otoczenie. Następnie zasłania kamyczkiem wejście do swojej małej kryjówki, żeby nikt już jej nie przeszkadzał.

10. ENCYKLOPEDIA

RÓŻNICA W POSTRZEGANIU: Ze świata postrzegamy jedynie to, do postrzegania czego zostaliśmy przygotowani. Na potrzeby eksperymentu z fizjologii, w małym pomieszczeniu wyłożonym pionowymi wzorami zamknięto koty, które dopiero co się urodziły. Kiedy minął już czas kształtowania się mózgu, koty zostały zabrane z tego pomieszczenia i umieszczono je w pudełkach wyłożonych wzorami przedstawiającymi linie poziome. Linie te wskazywały miejsca, gdzie znajdowało się pożywienie lub też drogi wyjścia, żaden jednak z kotów wychowanych w pomieszczeniach ozdobionych pionowymi wzorami nie potrafił ani znaleźć pożywienia, ani też nie umiał stamtąd wyjść. Sposób wychowania ograniczył ich percepcję do zdarzeń pionowych.

My również funkcjonujemy w takich samych granicach percepcji. Nie potrafimy pojąć niektórych wydarzeń, ponieważ zostaliśmy uwarunkowani tak, że umiemy postrzegać rzeczy tylko w pewien określony sposób.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

11. POTĘGA SŁÓW

Ręka otworzyła się, po czym zamknęła nerwowo, zanim zacisnęła się na poduszce. Julie śniła. Śniła, że jest księżniczką w średniowieczu. Olbrzymi wąż złapał ją, żeby

pożreć. Rzucił ją w bagniste i beżowe ruchome piaski wypełnione pełzającymi węzami, ona zaś coraz bardziej pogrążała się w gęstej melasie. Młody książę, osłonięty zbroją z zadrukowanego papieru, przybył na białym koniu i walczył z ogromnym węzem. Wyciągnął długi, czerwony, ostry miecz, błagając księżniczkę, żeby się nie poddawała. Przybywał jej z pomocą.

Lecz ogromny wąż posłużył się paszczą niczym miotaczem ognia. Papierowa zbroja rycerza nie przydała mu się na zbyt wiele. Jeden płomyk wystarczył, by zajęła się ogniem. Spętanych sznurkiem księcia i jego konia podano upieczonych na talerzu razem z bladym ziemniaczanym purée. Piękny książę stracił cały swój splendor: skórę miał brunatno-czarną, oczodoły puste, a jego głowę zdobił, niczym znak hańby, koryncki rodzynek. Olbrzymi wąż schwycił wówczas Julie jadłowitymi zębami, uniósł ją ponad bagnem, żeby wrzucić do białej czekolady z Grand Marnier, która zamknęła się nad jej głową. Chciała krzyczeć, lecz mus z białej czekolady zalewał ją ze wszystkich stron; wdzierał się do jej ust, nie pozwalając, by wydobył się z nich jakikolwiek dźwięk. Dziewczyna obudziła się, podskakując nerwowo. Przerazenie było tak silne, że natychmiast postanowiła sprawdzić, czy nie straciła głosu.

– A-a-a-a, a-a-a-a! – wydobyło się z głębi jej gardła.

Koszmarne sny o utracie głosu pojawiały się coraz częściej. Czasami torturowano ją i obcinano język. Kiedy indziej wypełniano jej usta jedzeniem. Jeszcze innym razem przecinano jej struny głosowe nożyczkami. Czy podczas snów naprawdę koniecznie muszą pojawiać się sny? Miała nadzieję znowu zasnąć i o niczym nie śnić przez resztę nocy.

Przesunęła rozpaloną dłoń po wilgotnej krtani. Usiadła, oparłszy się o poduszkę, popatrzyła na budzik i stwierdziła, że jest szósta rano. Za oknem była jeszcze noc. Gwiazdy migotały za skrzyżowaniem. Usłyszała jakiś hałas na dole, kroki i szczekanie psa. Tak jak zapowiedział, ojciec wyruszał wczesnym rankiem na spacer do lasu ze swoim psem.

– Tato, tato...

Jedyną odpowiedzią był trzask zamykanych drzwi.

Julie wyciągnęła się na łóżku, daremnie oczekując na sen.

Co też mogło się kryć za pierwszą stroną *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* profesora Edmunda Wellsa?

Wzięła do rąk grubą księgę. Była tam mowa o mrówkach i rewolucji. Książka wyraźnie nakłaniała do buntu i pisano też o równoległej cywilizacji, która mogłaby jej w tym pomóc. Otworzyła szeroko oczy. Pośród krótkich tekstów napisanych nerwowym pismem, tu i tam, w samym środku słowa, pojawiała się duża litera albo rysunek.

Przeczytała wybrany na chybił trafił fragment:

Układ tego dzieła jest odwzorowaniem Świątyni Salomona. Pierwsza litera tytułu każdego rozdziału odpowiada jednemu z wymiarów Świątyni.

Zmarszczyła brwi: jaki też mógł istnieć związek między pismem a architekturą Świątyni?

Przewróciła kolejne strony.

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej była olbrzymią graciarnią, w której piętrzyły się stosy informacji, rysunków i różnych zapisków. Zgodnie z tym, co sugerował tytuł, księga zawierała teksty dydaktyczne, lecz były tam także poematy, niezdarnie powycinane fragmenty broszur, przepisy kulinarne, wydruki z programów informatycznych, wycinki z czasopism, zdjęcia aktualnych wydarzeń lub erotyczne fotografie słynnych kobiet podobne do malowanych miniatur.

Były tam też kalendarze, w których podawano, w jakim okresie należy zasiać ziarno, posadzić takie czy inne warzywo lub owoc. Były też kolaże z płótna i rzadkich gatunków papieru, mapa nieba i plany metra w wielkich miastach, fragmenty osobistej korespondencji, matematyczne zagadki, zapożyczone z obrazów renesansu szkice przedstawiające perspektywę.

Niektóre obrazy były trudne do zniesienia, przedstawiały przemoc, śmierć albo katastrofy. Teksty napisane były czerwonym, niebieskim lub zapachowym atramentem. Niektóre ze stron wydawały się zapisane sympatycznym atramentem albo sokiem z cytryny. Na innych znowu tekst napisany był tak drobnymi literami, że aby go odszyfrować, konieczna była lupa.

Dostrzegła też plany wyobrażonych i nieistniejących miast, biografie postaci historycznych zapomnianych przez historię i porady, jak zbudować przedziwne urzędnictwa...

Bezużyteczny kram czy też skarb? Julie pomyślała, że potrzebowałaby co najmniej dwóch lat, żeby to wszystko przeczytać, kiedy jej wzrok zatrzymał się na

niezwykłych portretach. Zawahała się w pierwszej chwili, ale nie, nie myliła się: chodziło rzeczywiście o głowy. Lecz nie głowy ludzkie, ale głowy mrówek przedstawione jak popiersia znamienitych postaci. Nie było tam dwóch identycznych mrówek. Rozmiar oczu, długość czułków, kształt głowy wyraźnie różniły się między sobą. Zresztą każda z nich miała nazwę składającą się z ciągu cyfr, przypisaną do portretu. Przerzuciła kolejną kartkę.

Wśród hologramów, kolaży, przepisów kulinarnych i map, temat mrówek powracał jak leitmotyw.

Partytury Bacha, pozycje seksualne zalecane przez Kamasutrę, księga szyfrów wykorzystywana przez francuski ruch oporu podczas II wojny światowej... Cóż za eklektyczny i interdyscyplinarny umysł był w stanie to wszystko zgromadzić?

Dalej kartkowała tę mozaikę.

Biologia. Utopie. Przewodniki, vademecum, instrukcje obsługi. Anegdoty o różnych ludziach i ciekawostki z różnych dziedzin nauki. Techniki manipulowania tłumem. Heksametrami *I ching*.

Przebiegła wzrokiem jedno ze zdań. *I ching jest wyrocznią, która wbrew temu, co zwykło się sądzić, nie przepowiada przyszłości, lecz wyjaśnia czas teraźniejszy.* A dalej natknęła się na strategie odwołujące się do Scypiona Afrykańskiego i do Clausewitza.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie jest to indoktrynacja, ale potem, na jednej ze stron, przeczytała taką oto radę:

Wystrzegajcie się wszelkich partii politycznych, sekt, korporacji czy religii. Nie oczekujcie od innych, że wskażą wam, co powinniście myśleć. Nauczcie się myśleć samodzielnie i bez poddawania się wpływom innych.

Jeszcze dalej zacytowano pieśniarza Georges'a Brassensa:

Zamiast chcieć zmieniać innych, spróbujcie zmienić samych siebie.

Jeszcze inny fragment przyciągnął jej wzrok:

Krótki traktat o pięciu wewnętrznych i pięciu zewnętrznych zmysłach. Istnieje pięć zmysłów fizycznych i pięć zmysłów psychicznych. Pięć zmysłów fizycznych to: wzrok, powonienie, dotyk, smak i słuch. Pięcioma zmysłami psychicznymi są: emocje, wyobraźnia, intuicja, powszechna świadomość, inspiracja. Jeśli się żyje, używając tylko pięciu fizycznych zmysłów, to tak, jakby się wykorzystywało jedynie pięć palców lewej ręki.

Cytaty łacińskie i greckie. Nowe przepisy kulinarne. Chińskie ideogramy. Jak

wykonać koktajl Mołotowa. Zasuszone liście z drzew. Kalejdoskop obrazów. Mrówki i rewolucja. Rewolucja i mrówki.

Oczy zaczynały ją szczytać. Czuła się odurzona tym informacyjnym i wizualnym szaleństwem. Wpadła na kolejne zdanie:

Nie należy czytać tej książki po kolei, strona po stronie, ale raczej należy wykorzystać ją w następujący sposób: kiedy odczuwacie taką potrzebę, wybieracie jakąś stronę na zasadzie przypadku, czytacie i próbujecie się zorientować, czy wnosi ona interesującą informację dla problemu, który chcecie w tym momencie rozwikłać.

I jeszcze dalej: Trzeba bez wahania pomijać fragmenty, które wydają się wam zbyt długie. Książka nie jest świętością.

Julie zamknęła księgę i obiecała sobie, że korzystać z niej będzie tak, jak jej to uprzejmie doradzono. Poprawiła koc i tym razem jej oddech się uspokoił, temperatura lekko spadła i zasnęła łagodnie.

12. ENCYKLOPEDIA

SEN PARADOKSALNY: W czasie snu mamy do czynienia ze szczególną fazą, nazywaną „snem paradoksalnym”. Trwa ona od piętnastu do dwudziestu minut, aby powrócić na dłuższy czas po półtorej godzinie. Dlaczego tak nazwano ten fragment snu? Dlatego, że paradoksalne jest oddawanie się nerwowej i intensywnej działalności wtedy, gdy sen jest najgłębszy.

Jeżeli nocą niemowlęta są mocno pobudzone, to dlatego, że przechodzą przez tę właśnie fazę snu paradoksalnego (proporcje: jedna trzecia normalnego snu, jedna trzecia lekkiego snu, jedna trzecia snu paradoksalnego). Podczas tej fazy snu niemowlęta często mają dziwną mimikę, która sprawia, że robią miny dorosłych albo wręcz starców. Na ich fizjonomii rysuje się raz złość, kiedy indziej znowu radość, smutek, lęk, zdziwienie, chociaż nie zaznały jeszcze nigdy wcześniej takich emocji. Powiemy, że powtarzają sobie taki wyraz twarzy, który pokazywać będą później.

Potem, w dorosłym życiu, fazy snu paradoksalnego skracają się wraz z wiekiem, aż w końcu stanowią tylko jedną dziesiątą albo nawet jedną dwudziestą czasu snu.

Doświadczenie to jest przeżywane jako przyjemność i może wywoływać u mężczyzny erekcję.

Wydaje się, że każdej nocy otrzymujemy jakieś przesłanie. Przeprowadzono następujące doświadczenie: osobę dorosłą obudzono w samym środku snu paradoksalnego i poproszono ją, żeby opowiedziała, o czym w danej chwili śniła. Następnie pozwolono jej zasnąć ponownie, budząc ją podczas kolejnej fazy snu paradoksalnego. Stwierdzono w ten sposób, że nawet jeśli historie, jakie pojawiają się w tych dwóch snach, różnią się, to jednak mają one wspólny trzon. Wszystko dzieje się tak, jakby przerwany sen powracał w inny sposób, żeby przekazać jednak to samo przesłanie.

Ostatnio badacze sformułowali nową koncepcję. Sen miałby być sposobem na to, żeby zapomnieć o naciskach społecznych. Śniąc, odrzucamy wiedzę o tym, czego musieliśmy się nauczyć w ciągu dnia, a co pozostawało w głębokim konflikcie z naszymi najgłębszymi przekonaniem. Wszelkie uwarunkowania narzucane z zewnątrz są wymazywane. Tak długo, jak długo ludzie śnią, tak długo niemożliwe jest całkowite manipulowanie nimi. Sen jest naturalnym hamulcem dla totalitaryzmu.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

13. SAMA WŚRÓD DRZEW

Nastał poranek. Jest jeszcze ciemno, lecz mimo to ciepło. To jeden z paradoksów marca.

Księżyc oświetla gałęzie niczym niebieskawa gwiazda. Poświata ta budzi mrówkę i daje jej energię konieczną do wyruszenia w dalszą drogę. Odkąd wędruje sama po tym olbrzymim lesie, nie zaznała zbyt wiele spokoju. Pająki, ptaki, trzyszczce, mrówkolwy, jaszczurki, jeże, a nawet patyczaki jednoczą się, żeby ją dręczyć.

Gdy mieszkała tam, w mieście, z innymi, nigdy nie miała do czynienia z tyloma problemami. Jej mózg łączył się w razie potrzeby z „umysłem kolektywu” i nie musiała nawet używać własnych sił, żeby się zastanawiać.

Lecz tutaj znajduje się z dala od gniazda i od swoich. Mózg zmuszony jest działać w trybie „indywidualnym”. Mrówki mają cudowną właściwość – dysponują dwoma trybami funkcjonowania: kolektywnym i indywidualnym.

Na razie tryb indywidualny jest jedyną opcją, a mrówka odczuwa już zmęczenie, musząc bez przerwy myśleć o sobie, żeby przeżyć. Myślenie o sobie, na dłuższą metę, powoduje strach przed śmiercią. Być może jest wręcz pierwszą mrówką, która z tego powodu zaczęła obawiać się o własne życie.

Jak nisko upadła!

Podąża w okolice wiązu. Brzęczenie brzuchatego chrząszcza zmusza ją do spojrzenia w górę.

Na nowo odkrywa, jak cudowny jest las. W świetle księżyca wszystkie rośliny stają się fioletowe lub białe. Unosi czułki i dostrzega fiołek leśny otoczony wesołymi motylami, które sondują jego serce. Nieco dalej gąsienice o pręgowanych grzbietach skubią liście bzu. Natura najwyraźniej stara się być jeszcze piękniejsza, by uświetnić jej powrót.

Potyka się na zasuszonych zwłokach. Cofa się i obserwuje. Stos martwych mrówek układa się przed nią w formę spirali. To czarne mrówki żniwiarki. Zna to zjawisko. Mrówki za bardzo oddaliły się od gniazda, a gdy opadła zimna nocna rosa, nie wiedząc, dokąd się udać, zbiły się w ciasny krąg i kręciły się, kręciły aż do końca. Gdy nie rozumie się otaczającego świata, egzystencja polega na kręceniu się w kółko aż po kres swoich dni.

Stara mrówka rudnica zbliża się, by czubkiem czułków lepiej przeanalizować tragedię. Mrówki znajdujące się po zewnętrznej stronie spirali zginęły pierwsze, dopiero później te ze środka.

Przez chwilę kontempluje tę przedziwną spiralę śmierci, podkreśloną jeszcze przez fioletowe światło księżyca. Pierwotna reakcja! Wystarczyło schronić się pod gałązką lub wykopać obozowisko w ziemi, by obronić się przed zimnem. Te niemądre czarne mrówki nie potrafiły wpaść na nic innego, jak tylko kręcić się w kółko, jak gdyby taniec mógł zażegnać niebezpieczeństwo.

Zdecydowanie mój lud musi się jeszcze wiele nauczyć – nadaje stara ruda mrówka.

Przechodząc pośród czarnych paproci, rozpoznaje zapachy dzieciństwa. Woń pyłków ją oszalała.

Potrzeba było wiele czasu, by osiągnąć taki stopień perfekcji.

Na początku zielone morskie algi, przodkowie wszystkich roślin, pojawiły się na kontynencie. By się tam zaczepić, zmieniły się w porosty. Porosty opracowały następnie strategię wynagradzania ziemi, tworząc jednocześnie podłoże idealne

dla wykarmienia kolejnego pokolenia roślin, które dzięki jeszcze głębszym korzeniom mogły wyrosnąć wyższe i odporniejsze.

Każda roślina ma od tej pory swoją strefę wpływów, istnieją jednak tereny konfliktów. Stara mrówka widzi duszącą lianę figowca, ruszającą dziarsko do ataku na nieporuszoną dziką wiśnię. W tym pojedynku biedna wiśnia nie ma żadnych szans. Z kolei inne duszące figowce, którym zdaje się, że są zdolne do pokonania szczawiu, marnieją, otrute toksycznym sokiem.

Nieco dalej jodła gubi igły, żeby zakwasić glebę, dzięki czemu wyginą wszystkie pasożytnicze trawy i małe, starające się z nią konkurować rośliny.

Każdy posiada swoją broń, każdy ma swój sposób obrony, swoje strategie pozwalające na utrzymanie się przy życiu. Świat roślin nie zna litości. W porównaniu ze światem zwierząt jedyną różnicę stanowi fakt, że morderstwa roślinne odbywają się w wolniejszym tempie, i przede wszystkim w ciszy.

Niektóre rośliny przedkładają białą broń nad truciznę. Są tutaj, by przypomnieć przechadzającej się mrówce o pazurach liści ostrokrzewu, o brzytwach ostu, haczykach męczennicy i kolcach akacji. Mrówka przemierza zagajnik przypominający korytarz wypełniony ostrymi żyłkami.

Stara mrówka czyści czułki, a następnie unosi je wysoko nad głową, by lepiej wyczuć wszystkie zapachy unoszące się w powietrzu. Szuka zapachu-ślądu prowadzącego do jej rodzinnej krainy. Teraz liczy się każda sekunda. Musi za wszelką cenę ostrzec swoje miasto, zanim będzie za późno.

Opary zapachowych cząsteczek dostarczają przeróżnych informacji, dla niej bez żadnej wartości, na temat życia i zwyczajów okolicznych zwierząt.

Mimo to dostosowuje rytm swoich kroków, by nie utracić niczego z zapachów, które ją intrygują. Wślizguje się w prądy powietrza, żeby zidentyfikować nieznane zapachy. Nie udaje jej się to jednak, próbuje więc znaleźć jakąś metodę.

Pokonuje małe wzniesienie, wydostaje się na pniak sosny, prostuje i powoli zaczyna kręcić czułkami. W zależności od intensywności ruchów wyłapuje całą gamę zapachowych częstotliwości. Przy czterystu wibracjach na sekundę nie zauważa niczego istotnego. Zwiększa ruchy swojego węchowego radaru. Sześćset, tysiąc, dwa tysiące wibracji na sekundę. Nadal nic ciekawego. Rozpoznaje jedynie zapachy roślin i owadów niebędących mrówkami: kwiatów, sporów grzybów, chrząszczy, gnijącego drewna, liści dzikiej mięty...

Jeszcze bardziej nasila drzenie czułków. Dziesięć tysięcy drgań na sekundę. Kręcąc się, czułki tworzą prądy powietrza, które zasysają i przyciągają w jej kierunku wszystkie pyłki. Musi je oczyścić, zanim ponowi swoje wysiłki.

Dwanaście tysięcy wibracji na sekundę. Wreszcie udaje jej się wychwycić odległe cząsteczki świadczące o obecności jakiejś mrówki. Udało się. Kierunek na zachód – południowy zachód, dwunasty stopień kąta w stosunku do poświaty księżycy. Naprzód.

14. ENCYKLOPEDIA

O ZNACZENIU RÓŻNICY: Wszyscy jesteśmy zwycięzcami. Gdyż wszyscy pochodzimy od tego mistrzowskiego plemnika, który zwyciężył w rywalizacji z trzystoma milionami konkurentów.

Zdobył prawo do przekazania swojej serii chromosomów, które sprawiły, że jesteście tym, kim jesteście, a nie kimś innym.

Wasz plemnik był kimś naprawdę uzdolnionym. Nie zagrzebał się gdzieś w jakimś zakamarku. Potrafił znaleźć właściwą drogę. Może nawet zdobył się i na to, żeby zablokować drogę innym rywalizującym z nim plemnikom.

Przez długi czas sądzono, że to najszybszemu z plemników udaje się zapłodnić jajeczko. Nic z tych rzeczy. Kilkaset plemników dociera w tym samym czasie do jajeczka. Są tam i wyczekują, machając ogonkiem. Tylko jeden z nich będzie jednak tym wybranym.

A więc to jajeczko wybiera sobie zwycięskiego plemnika spośród całej masy plemników, które niczym petenci tłoczą się u drzwi. Ale według jakich kryteriów? Naukowcy długo się nad tym zastanawiali. Ostatnio znaleźli wreszcie rozwiązanie: jajeczko wybiera tego, „kogo charakteryzują najbardziej odmienne cechy genetyczne od tych, które samo posiada”. Kwestia przeżycia. Jajeczko nie wie, kim są dwaj partnerzy walczący ponad nim, więc stara się jedynie uniknąć problemów z pokrewieństwem. Natura chce, aby nasze chromosomy starały się wzbogacać tym, co jest odmienne, a nie tym, co podobne.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

15. WIDAĆ JĄ Z DALEKA

Słysząc kroki na ziemi. Była godzina siódma rano i gwiazdy wciąż jeszcze lśniły na firmamencie.

Idąc z psem po stromych ścieżkach, w samym sercu lasu Fontainebleau, na świeżym powietrzu, Gaston Pinson, spokojny, czuł się doskonale razem ze swoim psem. Wygładził rude wąsy. Wystarczyło, że dotarł do tego lasu, i od razu poczuł się wolnym człowiekiem.

Po lewej stronie wijąca się dróżka prowadziła do stosu kamieni. Na koniec wspinaczki dotarł do wieży Denecourt, na skraju skały Cassepot. Stamtąd rozciągał się przepyszny widok. W ten ciepły i rozgwieżdżony jeszcze świt światło olbrzymiego księżyca wystarczało, żeby przed nim rozpostarła się wspaniała panorama.

Usiadł na ziemi i polecił psu, żeby uczynił to samo. Pies jednak stał. Wspólnie kontemplowali niebo.

– Widzisz, Achillesie, niegdyś astronomowie sporządzali mapy nieba tak, jakby chodziło o płaskie sklepienie. Podzielili je na dwadzieścia osiem konstelacji, jak na dwadzieścia osiem departamentów stanowiących niebiańskie państwo. Dla mieszkańców półkuli północnej większość z nich nie jest dostrzegalna każdej nocy z wyjątkiem jednej: Wielkiej Niedźwiedzicy. Przypomina ona garnek, który składa się z kwadratu czterech gwiazd, przedłużonego o uchwyt złożony z trzech gwiazd. To Grecy nazwali ją Wielką Niedźwiedzicą w hołdzie dla księżniczki Kallisto, córki króla Arkadii. Była ona tak piękna, że Hera, żona Zeusa, z zazdrości przemieniła ją w wielką niedźwiedzicę. Tak, tak, Achillesie, takie właśnie są kobiety: wszystkie zazdrosne o siebie nawzajem.

Pies potrząsnął głową, wydając ciche i łagodne skomlenie.

– Ważne jest, żeby dostrzec tę konstelację, gdyż jeśli przedłużymy długość garnka pięciokrotnie, wtedy zauważymy, że nad nim unosi się popcorn, który też łatwo jest zauważyć: Gwiazda Polarna. Widzisz, Achillesie, w ten sposób wiemy dokładnie, gdzie znajduje się północ, co nie pozwoli nam się zgubić.

Pies niczego nie zrozumiał z tych wyjaśnień. Słyszał tylko „bedebedebe, Achilles, bedebedebe, Achilles”. Z całej ludzkiej mowy rozumiał jedynie tę właśnie zbitkę sylab, A-chil-les, która, jak wiedział, była jego imieniem. Zmęczony tym

całym bełkotem, irlandzki seter postanowił położyć się między parą swoich uszu, przyjmując minę pełną współczucia. Jego pan jednak odczuwał zbyt silną potrzebę rozmowy, żeby na tym poprzestać.

– Druga z gwiazd, licząc od uchwyty garnka – ciągnął dalej – składa się nie z jednego, lecz z dwóch światła. Kiedyś, dawno temu, arabscy wojownicy mierzyli ostrość wzroku zdolnością dostrzeżenia tych dwóch gwiazd, Alcor i Mizar.

Gaston zmrużył oczy, spoglądając w niebo, pies tymczasem ziewnął. Słońce zaczynało się przebijać, dyskretnie wygaszając gwiazdy, które stopniowo wycofywały się, by zrobić mu miejsce. Gaston wyciągnął z chlebaka kanapkę (szynka-ser-cebula-korniszon-pieprz), którą zjadł zamiast śniadania. Głęboko westchnął z zadowolenia. Nie było nic przyjemniejszego niż wstać właśnie tak wcześnie rano i wyruszyć do lasu, żeby popatrzeć na wschód słońca.

Przepiękna feeria barw. Słoneczna gwiazda zaczerwieniła się, potem zaróżowiła, przeszła w kolor pomarańczowy, później żółty i wreszcie stała się biała. Nie mogąc rywalizować z tak wielkim przepychem, księżyc wolał się wycofać.

Wzrok Gastona przesunął się z gwiazd na słońce, ze słońca na drzewa, z drzew zaś na panoramę doliny. Cały olbrzymi obszar dzikiego lasu ukazywał się teraz bardzo wyraźnie. Fontainebleau składało się z równin, pagórków; obszarów pokrytych piachem, piaskowcem, gliną i wapieniami. Była tam też cała masa strumyków, wąwozów i lasów brzoźowych.

Pejzaż był zaskakująco różnorodny. Może nawet był to najbardziej zróżnicowany las w całej Francji. Zamieszkiwały go setki gatunków ptaków, gryzonie, gady, owady. Gaston już kilkakrotnie spotkał na swojej drodze warchlaki i dziki, a pewnego razu natknął się nawet na łanię ze swoim jelonkiem.

Zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od Paryża można było tutaj nadal wierzyć, że cywilizacja ludzka niczego nie zniszczyła. Żadnych samochodów, klaksonów, zanieczyszczeń. Żadnych trosk. Tylko cisza, szelest liści pieszczonych przez wiatr, świergot klójących się ptaków.

Gaston zamknął oczy, zachłannie wciągając ciepłe poranne powietrze. Dwadzieścia pięć tysięcy hektarów dzikiej przyrody przepełnione było zapachami, które nie zostały dotąd zinwentaryzowane przez producentów perfum. Nadmiar bogactwa. I to za darmo.

Dyrektor wydziału prawnego Zarządu Gospodarki Wodnej i Lasów chwycił za lornetkę i zmierzył cały otaczający go pejzaż. Znał w tym lesie każdy zakątek. Po prawej stronie przełom Apremont, skrzyżowanie Grand-Veneur, droga Cul-de-chaudron, potężny belweder, jaskinia złoczyńców. Na wprost przełom Franchard, stary Ermitaż, droga la Roche-qui-Pleure, belweder Druidów. Po lewej zaś polodowcowy kocioł Demoiselles, skrzyżowanie Soupirs, wzgórze Morillon.

Stąd można było dojrzeć wrzosowiska, teren skowronka borowego. Dalej nieco rozciągała się równina Chanfroy z jej dzieciętymi zielonosiwymi. Gaston wyregulował lornetkę i skierował ją na drzewo Jupitera, wielki czterechsetletni dąb, wysoki na trzydzieści pięć metrów. „Jaki piękny jest las” – zachwycił się, odkładając lornetkę.

Mrówka właśnie zatrzymała się na futerale. Chciał ją stamtąd zrzucić, lecz przyczepiła się do jego ręki, a potem zaczęła wspinać się po swetrze.

Powiedział do psa:

– Te mrówki zaczynają mnie niepokoić. Do tej pory ich gniazda były oddalone od siebie. Ale teraz mrowiska łączą się z tajemniczych powodów. Zaczęły tworzyć federacje, a obecnie federacje te łączą się między sobą, żeby stworzyć imperia. Tak jakby mrówki starały się teraz dokonać tego, czego my, ludzie, nie byliśmy w stanie przeprowadzić do końca, a mianowicie stworzyć organizację społeczną wyższego rzędu.

Gaston przeczytał w gazetach, że ostatnio pojawiło się coraz więcej superkolonii mrowisk. We Francji, w Jurze, zaobserwowano skupiska od tysiąca do dwóch tysięcy mrowisk połączonych ze sobą podziemnymi korytarzami. Gaston był przekonany, że są one teraz na etapie tworzenia nowej formy społeczności, doprowadzając ją do najbardziej całościowej postaci.

Kiedy tak przyglądał się okolicy, nagle jego wzrok przykuł zastanawiający obraz. Zmarszczył brwi. W oddali, niedaleko skały z piaskowca i wąwozu, który odkryła jego córka, między drzewami połyskiwał jakiś trójkąt.

Błyszczący kształt był zamaskowany gałęziami, ale dzięki zbyt prostym liniom konstrukcja ta odcinała się od tła. Natura nie zna linii prostych. Musiał to więc być albo namiot rozbity przez kogoś, kto nie powinien był się tam znaleźć, albo jakieś odpady porzucone w środku lasu przez beztroskich i nie zważających na środowisko ludzi.

Poirytowany Gaston zbiegł ścieżką w kierunku trójkątnego światła. W jego umyśle pojawiały się kolejne hipotezy: a może to jakiś nowy model przyczepy? Samochód o metalizowanym lakierze? Jakaś szafa?

Zajął mu godzinę, żeby przebijając się przez jeżyny i osty, dotrzeć wreszcie do tej tajemniczej formy. Był zmordowany.

Z bliska przedmiot ten był jeszcze bardziej intrygujący. Nie był to namiot, nie była to przyczepa ani szafa. Przed nim wznosiła się piramida wysoka na mniej więcej trzy metry, o ścianach w całości pokrytych lustrami. Sam zaś szczyt był półprzezroczysty jak kryształ.

– No, mój dzielny Achillesie, jak na niespodziankę to jest niezłe...

Pies przytaknął i zaszczekał. Warczał, wystawiając nadpsute kły i wydobywając swoją tajemną broń: cuchnący oddech, który niejednego kota zmusił do ucieczki z rynny.

Gaston obszedł wokół konstrukcję. Na pierwszy rzut oka wysokie drzewa i gęste kłęby wysokich paproci dosyć skutecznie skrywały piramidę. Gdyby poranne słońce nie oświetliło jej jednym ze swoich promieni, Gaston nigdy by jej nie zauważył. Urzędnik przyjrzał się budowli nieco uważniej: żadnych drzwi i okien, żadnego komina, żadnej skrzynki na listy. Nie było nawet ścieżki, która by prowadziła do piramidy. Irlandzki seter wciąż warczał, wachając ziemię.

– Myślisz to, co ja, Achillesie? Widziałem już takie rzeczy w telewizji. A może są to... przybysze z innej planety? Jednakże psy, zanim przyjmą jakąś hipotezę, muszą najpierw zgromadzić informacje. Zwłaszcza setery irlandzkie. – Achilles wydawał się zainteresowany lustrzaną ścianą. Gaston przystawił do niej ucho. – Coś takiego!

Wewnątrz słyszał jakieś dźwięki. Wydawało mu się nawet, że wychwycił ludzki głos. Zastukał w lustro:

– Jest tam ktoś w środku?

Bez odpowiedzi. Wewnątrz zapadła cisza. Ślad pary pozostawiony przez wypowiedziane słowa na lustrzanej ścianie rozmył się zupełnie. Z bliska piramida nie miała w sobie nic pozaziemskiego. Była zbudowana z betonu i pokryta płytkami szkła, które można znaleźć w pierwszym lepszym sklepie dla majsterkowiczów.

– Komu też mogło wpaść do głowy, żeby wznieść piramidę w samym środku

lasu Fontainebleau, masz jakiś pomysł, Achillesie?

W odpowiedzi pies zaszczekał, ale ludzka istota nic z tego nie zrozumiała. Za Gastonem rozległo się ledwie słyszalne brzęczenie.

Bzzz...

Gaston nie zwrócił na to uwagi. W lesie pełno było komarów i różnego rodzaju owadów. Brzęczenie przybierało na sile.

Bzzz... Bzzz...

Poczuł lekkie ukłucie w szyję. Już uniósł rękę, żeby przegonić natrętnego insekta, lecz jego gest nagle się zatrzymał. Otworzył szeroko usta i zakręcił się wokół własnej osi. Wypuścił smycz z ręki, oczy wyszły mu na wierzch, a po chwili upadł głową do przodu w sam środek porastających ziemię cyklamenów.

16. ENCYKLOPEDIA

HOROSKOP: W Ameryce Południowej, u Majów, uprawiano oficjalną i obowiązkową astrologię. W zależności od dnia urodzin przypisywano dziecku szczególny i prognostyczny kalendarz. Opisywano w nim całe przyszłe życie: podana była data, kiedy osoba ta znajdzie pracę, kiedy się ożeni lub wyjdzie za mąż, kiedy przydarzy jej się wypadek, kiedy umrze. Śpiewano o tym, kiedy dziecko było jeszcze w kołysce, ono zaś uczyło się swojej historii na pamięć i też podśpiewywało sobie tę pieśń, żeby wiedzieć dokładnie, na jakim jest etapie swojego życia.

System ten funkcjonował dosyć sprawnie, gdyż astrologzy Majów starali się, żeby ich prognozy były ze sobą zgodne. Kiedy jakiś młody człowiek w słowach swojej pieśni miał powiedziane, że takiego a takiego dnia spotka taką a taką dziewczynę, spotkanie to dochodziło rzeczywiście do skutku, ponieważ dziewczyna miała w swojej własnej pieśni-horoskopie taką samą informację. Podobnie w interesach: jeżeli w pieśni powiedziane było, że tego a tego dnia kupimy dom, wówczas sprzedający miał w swojej pieśni zapis o obowiązku sprzedania domu w tym właśnie dniu. Jeżeli któregoś dnia miała się odbyć jakaś bijatyka, wszyscy jej uczestnicy byli o tym od dawna poinformowani.

Wszystko znakomicie funkcjonowało, a system umacniał się jakby samoistnie.

Wojny były zapowiedziane i opisane. Wiadomo było, kto będzie zwycięzcą,

a astrologowie podawali liczbę zabitych i rannych na polu walki. Gdy liczba zabitych nie pokrywała się z prognozami, należało poświęcić więźniów.

Jakże te wyśpiewywane horoskopy ułatwiały życie! Nic nie było pozostawione przypadkowi. Nikt też nie obawiał się tego, co stanie się następnego dnia. Astrologowie rzucali światło na każde ludzkie życie, od początku do samego końca. Każdy wiedział, dokąd zmierza jego życie, a nawet dokąd doprowadzi ono innych ludzi.

Co więcej, Majowie przewidzieli też... koniec świata. Miał on nastąpić takiego a takiego dnia w dziesiątym wieku tego, co gdzie indziej nazywało się erą chrześcijańską. Astrologowie Majów doszli do całkowitej zgody co do dokładnej godziny. W przeddzień wyznaczonego dnia i godziny, zamiast czekać na katastrofę, mężczyźni podpalili swoje miasta, zabili własnoręcznie członków swoich rodzin, a następnie popełnili samobójstwo. Nieliczni, którzy ocalili i opuścili płonące miasta, błąkali się potem po równinach.

A przecież cywilizacja ta wcale nie była dziełem ludzi prostych i naiwnych. Majowie znali cyfrę zero, znali też koło (choć nie zrozumieli znaczenia tego odkrycia), zbudowali drogi. Ich kalendarz, z trzynastoma miesiącami, był dokładniejszy niż nasz.

Kiedy w szesnastym wieku Hiszpanie przybyli na Jukatan, nie mieli nawet tej satysfakcji, że unicestwili cywilizację Majów, gdyż już dawno temu ona sama dokonała samounicestwienia. A jednak jeszcze dzisiaj żyją Indianie podający się za dalekich potomków Majów. Nazywa się ich „Lacandon”. I, rzecz dziwna, ich dzieci podśpiewują sobie dawne pieśni, w których wyliczane są wszystkie ważne wydarzenia z ludzkiego życia. Nikt jednak nie wie, jaki jest ich dokładny sens.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

17. SPOTKANIE POD GAŁĘZIAMI DRZEW

Dokąd prowadzi ta droga? Mrówka jest zmęczona. Od wielu już dni podąża śladem odnalezionego zapachu.

W pewnej chwili przydarzyło jej się coś dziwnego, nie bardzo wie, co to było: nastąpiła nagle na jakiś przedmiot, gładki i ciemny, poczuła, że coś unosi ją

w górę, przeszła po różowej pustyni porośniętej rzadkimi, czarnymi trawami, aż wreszcie została rzucona na splecione włókna roślinne. Uczepiła się ich, lecz mimo to wykonała szeroki łuk w powietrzu.

To musiał być jeden z „Nich”.

„One” pojawiają się coraz częściej w lesie.

To nie ma znaczenia. Nadal żyje, a tylko to się liczy.

Z początku słabe zapachy-feromony stają się coraz wyraźniejsze. Z pewnością znajduje się na szlaku myrmecjeńskim. O tak, bez wątpienia: dróżka prowadząca przez wrzosa i rosnący obok dziki tymianek pachną znajomo. Mrówka węszy i natychmiast identyfikuje koktajl węglowodorów: to $C_{10}H_{22}$, wydzielany przez gruczoły umieszczone pod odwłokiem belokanijskich mrówek eksploratorek.

Mając słońce za sobą, stara rudnica podąża tą zapachową trasą. Wokoło gęste paprocie tworzą nad nią zielone sklepienie. Prężące się wilcze jagody przypominają chlorofilowe kolumny. Cisy służą jej cieniem. Dostrzega śledzące jej kroki tysiące czułków, oczu i pyszczków ukrytych w trawach i listowiu. Dopóki jakieś zwierzę nie pojawi się przed nią, może mieć nadzieję, że to ona je odstrasza i onieśmiela. Chowa głowę w ramiona, by uwydatnić swoją wojowniczą postawę, i kilkoro oczu znika.

Naraz, za zakrętem małej kępki niebieskiego łubinu, pojawia się dwanaście sylwetek myrmecjeńskich. Tak jak i ona, są to rude leśne mrówki. Rozpoznaje nawet zapach ich rodzinnego miasta: Bel-o-kan. To rodzina. Siostrzyczki!

Z żuwaczkami naprzód, biegnie ku tym cywilizowanym istotom. Dwanaście mrówek zatrzymuje się, unosi czułki w górę ze zdziwienia. Rozpoznaje w nich młode bezpłciowe wojowniczkę, należące do podkasty eksploratorek-myśliwych. Stara ruda mrówka zwraca się do stojącej najbliżej, prosząc o trofalaksję. Tamta na znak przyzwolenia odchyła czułki do tyłu.

Owady przystępują do niezmiennego rytuału wymiany pożywienia. Bębniąc nawzajem czułkami po swoich czaszkach, obie mrówki przekazują sobie informacje, jedna na temat potrzeb swojej rozmówczyni, druga na temat tego, co ma jej do zaoferowania w zamian. Następnie, rozkładając żuwaczki, stają naprzeciw siebie i stykają się pyszczkami. Dająca wycofuje z wola socjalnego płynne pożywienie, ledwie napoczęte, i formuje z niego sporą kulę, którą przekazuje zgłodniałej. Ta z kolei połyka ją łapczywie.

Część trafia do głównego żołądka, co pozwoli mrówce natychmiast odzyskać siły, druga część do zapasów socjalnego wola, aby, gdy zajdzie taka potrzeba, móc również wesprzeć którąś ze swoich siostr. Stara rudnica aż drży z zadowolenia, podczas gdy dwanaście kadetek porusza czułkami prosząc ją, by się przedstawiła.

Każdy z jedenastu odcinków czułka emituje szczególny feromon, niczym jedenaście ust wydających jednocześnie jedenaście różnych zapachowych dźwięków. Te jedenaście ust nadaje komunikaty, lecz może je również odbierać, pełniąc funkcję jedenastu uszu.

Młoda ofiarowująca się mrówka dotyka pierwszego znajdującego się najbliżej czaszki segmentu czułka starej samotnej rudnicy i otrzymuje informacje na temat jej wieku: trzy lata. Z drugiego wyczytuje, do jakiej należy kasty i podkasty: wojowniczką bezpłciową i polującą na zewnątrz eksploratorką. Trzeci segment określa jej gatunek i rodzinne miasto: ruda mrówka leśna, pochodząca z miasta-matki Bel-o-kan. Czwarty odcinek czułka podaje numer jajeczka, z którego się wykluła, a zatem i jej imię: 103 683. Jajeczko zniesione na wiosnę przez królową. Nazywa się zatem „103 683”. Piąty segment informuje o stanie jej umysłu: 103 683 jest zarazem zmęczona i podniecona, gdyż ma do przekazania ważną informację.

Młoda mrówka na tym kończy swoje badanie olfaktyczne. Pozostałe segmenty niczego nie przekazują. Piąty służy do rozpoznawania cząsteczek-śladów, szósty do prowadzenia podstawowych rozmów, siódmy jest zarezerwowany dla złożonych dyskusji, ósmy jedynie do rozmów z matką. Trzy ostatnie wreszcie mogą w razie potrzeby pełnić funkcję małych maczug.

Teraz przyszła kolej 103 683, aby przyjrzeć się dwunastu eksploratorkom. To młode wojowniczkę, wszystkie w wieku stu dziewięćdziesięciu ośmiu dni. To bliźniaczki, a mimo to różnią się między sobą.

5 jest o kilka sekund starsza od pozostałych. Podłużna głowa, wąski tułów, długie żuwaczki, odwłok w kształcie kija. Jest smukła, a jej ruchy są precyzyjne i wystudiowane. Ma masywne uda i długie, szeroko rozstawione pazury.

6, jej najbliższa siostra, jest dla odmiany cała zaokrąglona: okrągła głowa, kształtny odwłok, masywna klatka piersiowa, czułki zwinięte w delikatne spirale. 6 ma pewien tik: przeciąga często prawą nóżką po oku, jak gdyby coś ją tam swędziało.

7, o krótkich żuwaczkach, grubych nóżkach i bardzo dystyngowanym wyglądzie,

jest dokładnie wymyta. W lśniącym pancerzu odbija się niebo. Jej ruchy są pełne gracji, a koniec odwłoka kreśli nerwowo zygzaki, które właściwie nic nie znaczą.

8 jest owłosiona na całym ciele, ma włoski nawet na czole i żuwaczkach. Silna, zwalista, niezgrabna. Żuje gałązkę, którą przesuwając czasami od żuwaczek w stronę czułków, by po chwili przeciągnąć ją ponownie w drugą stronę.

9 ma okrągłą głowę, trójkątną klatkę piersiową, kwadratowy odwłok i cylindryczne nóżki. Choroba wieku dziecięcego pozostawiła otwory na jej mosiężnym pancerzu. Ma piękne przeguby, jest tego świadoma i bawi się nimi bez przerwy. Słysząc przyjemny odgłos dobrze naoliwionych stawów.

10 jest najmniejsza. Właściwie ledwie przypomina mrówkę. Mimo to jej czułki są bardzo długie, dzięki czemu pełni funkcję radaru olfaktycznego całej grupy. Ruchy jej czułków świadczą o wrodzonej ciekawości.

103 683 równie dokładnie lustruje 11, 12, 13, 14, 15 i 16.

Po zakończonej inspekcji stara samotna mrówka zwraca się do 5. Nie tylko jest najstarsza, ale na dodatek jej czułki aż ociekają olfaktycznymi informacjami, co świadczy o towarzyskim charakterze. Zawsze łatwiej dogadać się z kimś rozmownym.

Oba owady stykają się czułkami i zaczynają rozmowę.

103 683 dowiaduje się, że dwanaście wojowniczek należy do nowej podkasty wojskowej, do elitarnego komanda Bel-o-kan. Wysyła się je na zwiady, by infiltrowały szeregi wroga. Przy okazji walczą przeciwko innym mrówczym miastom i uczestniczą w polowaniach na wielkie drapieżniki, takie jak jaszczurki.

103 683 pyta, co robią tak daleko od rodzinnego gniazda. 5 odpowiada, że została im powierzona misja na odległym terenie. Już od wielu dni maszerują ku wschodowi, w poszukiwaniu krańca świata.

Dla mieszkańców mrowiska Bel-o-kan świat istniał i będzie istniał zawsze. Nie zaznawszy narodzin, nie doświadczy również śmierci. Dla nich planeta ma kształt sześcianu. Wyobrażają sobie, że kostka ta otoczona jest powietrzem, a następnie warstwą chmur. Poza nimi znajduje się woda, która czasami przenika przez chmury w formie deszczu.

Taka jest ich kosmologia.

Obywatelki Bel-o-kan wierzą, że znajdują się w pobliżu wschodniego krańca Ziemi, i od tysięcy lat wysyłają ekspedycje, których zadaniem jest określenie jego

dokładnego położenia.

103 683 oznajmia, że również należy do grona belokanijskich eksploratorek. Wraca ze wschodu. Udało jej się dotrzeć na kraniec świata.

Ponieważ dwanaście mrówek nie chce jej wierzyć, stara ruda mrówka proponuje im schowanie się w zagłębieniu korzenia i utworzenie kręgu przez zetknięcie się czułkami.

Tam szybko relacjonuje im historię swojego życia, dzięki czemu wszystkie poznają jej nieprawdopodobną odyseję. Dowiadują się również o poważnym niebezpieczeństwie, które zagraża ich miastu.

18. SYNDROM ROBAKA

Z przodu zaparkowanej przed domem limuzyny łopotała czarna chorągiewka. Na piętrze dobiegały końca przygotowania. Każdy podchodził do zwłok, żeby po raz ostatni ucałować rękę zmarłego.

Zaraz potem ciało Gastona Pinsona włożono do wielkiego plastikowego worka zamykanego na suwak i wypełnionego kulkami naftaliny.

– A po co naftalina? – zapytała Julie jednego z pracowników zakładu pogrzebowego.

Mężczyzna w czerni przybrał niezmiernie profesjonalny wyraz twarzy.

– Żeby zabić robaki – wyjaśnił nienaturalnym tonem. – Ludzkie ciało przyciąga robactwo. Teraz na szczęście, dzięki naftalinie, można uchronić ludzkie ciało.

– A więc nie zjadają już nas?

– Niemożliwe – zapewnił specjalista. – Poza tym trumny są teraz przykryte płytą z cynku, co uniemożliwia robakom przedostanie się do środka. Nawet termitom nie udaje się przez nią przebić. Pani ojciec będzie pochowany czysty i takim pozostanie przez bardzo długi czas.

Mężczyźni w ciemnych kaszkietach włożyli trumnę do limuzyny.

Orszak pogrzebowy musiał czekać kilka godzin w korkach ulicznych, pośród gęstych spalin, zanim dotarł wreszcie na cmentarz. Kolejno wjeżdżały: limuzyna-karawan, następnie samochód, w którym zajęła miejsca najbliższa rodzina, potem samochody z dalszymi krewnymi, dalej przyjaciele i na końcu procesji samochody ze znajomymi z pracy zmarłego.

Wszyscy ubrani byli na czarno i przybrali zasmucony wyraz twarzy.

Czterech grabarzy przeniosło na barkach trumnę nad brzeg otwartego grobu.

Ceremonia toczyła się bardzo powoli. Przytupując, żeby się rozgrzać, zebrani szeptali sobie stosowne do takiej okazji zdania: „To był wspaniały człowiek”, „Zbyt wcześnie od nas odszedł”, „Cóż za strata dla wydziału prawnego Zarządu Gospodarki Wodnej i Lasów”, „To był święty człowiek, wielkiej dobroci, niesłuchanie hojny”, „Wraz z nim odchodzi nieprzeciętny profesjonalista, wielki strażnik lasów”.

Wreszcie pojawił się ksiądz, żeby wypowiedzieć słowa, jakie wypadało powiedzieć w takiej chwili: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... Ten wspaniały mąż i ojciec był dla nas wszystkich przykładem... Wspomnienie o nim na zawsze pozostanie w naszych sercach... Wszyscy go kochaliśmy... Ale na każdego przychodzi kres. Amen”.

Wszyscy zaczęli tłoczyć się wokół Julie i jej matki, żeby złożyć kondolencje.

Prefekt Dupeyron zjawił się osobiście.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie prefekcie.

Tymczasem prefekt okazywał wyraźną chęć zwrócenia się do córki.

– Moje kondolencje. Ta strata musi być dla pani okrutna.

Przysuwając się do niej i prawie ocierając się o nią, szepnął Julii do ucha:

– Ponieważ darzyłem pani ojca ogromnym szacunkiem, proszę pamiętać, że zawsze znajdzie się dla pani miejsce w służbach naszej prefektury. Gdy tylko ukończy pani studia prawnicze, proszę się do mnie zgłosić. Znajdę dla pani ciekawą pracę.

Wysoki urzędnik zdecydował się wreszcie porozmawiać z matką:

– Już zdążyłem wyznaczyć jednego z naszych najlepszych ludzi, żeby wyjaśnić zagadkę śmierci pani męża. To komisarz Linart. Prawdziwy as. Dzięki niemu będziemy wiedzieli wszystko, i to bardzo szybko.

I ciągnął dalej:

– Rzecz jasna, szanuję żalobę, ale czasami dobrze jest oderwać się myślami od tego wszystkiego. Przy okazji podpisania umowy o współpracy partnerskiej naszego miasta z japońskim miastem Hachinoe w najbliższą sobotę odbędzie się przyjęcie w sali recepcyjnej na zamku w Fontainebleau. Proszę przybyć razem z córką. Znałem Gastona. Wiem, że sprawiłoby mu przyjemność, gdyby wiedział,

że może się pani trochę oderwać od zmartwień.

Matka przytaknęła, podczas gdy ludzie podchodzili jedni po drugich, żeby rzucić kilka suchych kwiatów na trumnę.

Julie podeszła nad brzeg otwartego grobu i wyszeptała z zaciśniętymi zębami:

– Żałuję, że nie udało nam się nigdy ze sobą naprawdę porozmawiać. Jestem pewna, tato, że na swój sposób byłeś dobrym facetem...

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w sosnową trumnę.

Zaczęła obgryzać paznokieć u kciuka. Ten był najbardziej bolesny. Kiedy obgryzała paznokcie, mogła zdecydować o tym, w którym momencie przestać. Była to jedna z zalet zadawania sobie samej bólu, mogła bowiem kontrolować cierpienie, zamiast mu się poddawać.

– Szkoda, że było między nami tyle barier – zakończyła.

Pod trumną, wciśnięta w maluteńkie szpary w betonie, grupka wygłodniałych robaków uderzała w cynkową płytę. One także powtarzały sobie:

Jaka szkoda, że między nami jest tyle barier.

19. ENCYKLOPEDIA

SPOTKANIE DWÓCH CYWILIZACJI: Spotkanie między dwiema różnymi cywilizacjami zawsze jest delikatną sprawą.

Można było obawiać się najgorszego, kiedy 10 sierpnia 1818 roku kapitan John Ross, kierownik brytyjskiej ekspedycji polarnej, spotkał mieszkańców Grenlandii, Inuitów (Inuita oznacza „być ludzkim”, gdy tymczasem Eskimos znaczy, bardziej pejoratywnie, „zjadacz surowych ryb”). Inuici zawsze sądzili, że są sami na świecie. Najstarszy z nich podniósł do góry kij i dał im znać, żeby odeszli.

John Saccheus, tłumacz z języka południowogrenlandzkiego, wpadł wtedy na pomysł, żeby rzucić mu do stóp swój nóż. Kto to widział, żeby w ten sposób pozbawić się broni, rzucając ją pod nogi istot zupełnie nieznanym! Lecz gest ten wyprowadził z równowagi Inuitów, którzy chwycili za nóż i zaczęli krzyczyć, szczypiąc się po nosie.

Saccheus okazał się na tyle przytomny, że natychmiast zaczął ich naśladować. Najtrudniejsze zostało zrobione. Nie można bowiem odczuwać chęci zabijania wobec kogoś, kto zachowuje się tak samo.

Stary Inuita podszedł bliżej i dotykając kijem koszuli Saccheusa, zapytał go, z jakiego zwierzęcia można uzyskać tak cienkie futro. Tłumacz odpowiedział najlepiej, jak potrafił (dzięki znajomości języka pidżyn zbliżonego do języka Inuitów), a już zadano mu kolejne pytanie: „Czy przybywacie z Księżyca, czy ze Słońca?”. Ponieważ Inuici wierzyli, że poza nimi nie ma nikogo na świecie, nie widzieli innej możliwości, aby wyjaśnić przybycie obcych.

Kiedy Saccheusowi udało się wreszcie przekonać ich, by spotkali się z angielskimi oficerami, Inuici wsiedli na ich statek, a tam ogarnęła ich panika na widok świni. Po chwili jednak już zataczali się ze śmiechu na widok swojego odbicia w lustrze. Wpadli w zachwyty, widząc zegar, i pytali, czy jest on do zjedzenia. Poczęstowano ich biszkoptami, które jedli z nieufnością, po czym wypluli z obrzydzeniem. Ostatecznie, w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków, sprowadzili swojego szamana, który nawoływał dobre duchy do wypędzenia wszystkich złych duchów, jakie mogły znaleźć się na brytyjskim statku.

Następnego dnia John Ross wbił w ziemię flagę narodową, przywłaszczając sobie bogactwa tej ziemi. Inuici nie zauważyli, że w ciągu godziny stali się poddanymi brytyjskiej korony. Tydzień później ich kraj pojawił się na wszystkich mapach w miejsce napisu terra incognita.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

20. STRACH PRZED TYM, CO NA GÓRZE

Stara, samotna mrówka rudnica opowiada im o nieznanym terenie, o podróży, o obcym świecie. Dwanaście eksploratorek nie może uwierzyć własnym czułkom.

Wszystko się zaczęło, gdy 103 683, zwykła wojowniczką, przechadzała się po korytarzach Zakazanego Miasta Bel-o-kan, w pobliżu łoża królewskiej. Dwie płciowe mrówki, samiec i samica, pojawiły się, prosząc ją o pomoc. Twierdziły, że pewna ekspedycja łowiecka została zmieciona z powierzchni ziemi dzięki tajemniczej broni, umożliwiającej eksterminację dziesięciu wojowniczek naraz.

103 683 przeprowadziła swoje śledztwo i doszła do wniosku, że za atakiem stoją ich odwieczni wrogowie, karłowate mrówki z miasta Shi-gae-pou. Wypowiedziano im wojnę, lecz karłowate nie użyły w walce gigantycznej broni

o rozplaszczających właściwościach. A zatem to nie one ją posiadały.

Postanowiono zatem szukać broni po stronie innego stałego wroga: termitów. Stojąc na czele ekspedycji łowieckiej, 103 683 wyruszyła w stronę termitiery na wschodzie. Znalazły tam jednak tylko miasto zniszczone przez trujący gaz. Ocalała jedynie królowa termitów. Twierdziła, że wszystkie te powtarzające się katastrofy są dziełem „olbrzymich potworów, strażników krańca świata”.

103 683 ruszyła więc na wschód, poza wielką rzekę, i po wielu perypetiach odkryła ten słynny orientalny kraniec świata.

Przede wszystkim okazało się, że świat nie ma formy sześcianu, jego kraniec nie jest zatem przyprawiającą o zawrót głowy przepaścią. Według niej, brzeg świata jest płaski. 103 683 stara się go opisać. Przypomina sobie szaro-czarny obszar, od którego silnie czuć było benzynę. Gdy tylko zbliżała się do niego jakaś mrówka, natychmiast zostawała zmiażdżona przez wielką masę cuchnącą gumą. Wiele mrówek starało się przedostać na drugą stronę, lecz wszystkie zginęły na miejscu. Kraniec świata jest płaski, lecz jest to strefa natychmiastowej śmierci.

103 683 już miała zamiar zawrócić, gdy do głowy przyszedł jej pomysł, żeby wykopać tunel pod tym piekielnym pasem. Tym sposobem udało jej się przedostać na drugi brzeg świata i odkryła tam egzotyczną krainę, zamieszkaną przez te osławione olbrzymie zwierzęta, strażników świata, o których opowiadała królowa termitów.

Dwanaście eksploratorek jest zafascynowanych opowieścią.

– *Kim są te olbrzymie zwierzęta?* – pyta 14, zaintrygowana.

103 683 waha się, wreszcie odpowiada jednym słowem:

– *PALCAMI.*

W jednej chwili dwanaście wojowniczek, przyzwyczajonych przecież do walki z najgorszymi drapieżnikami, drgnęło i z zaskoczenia przerwało krąg komunikacji.

– *Palcami?*

Słowo to oznacza dla nich wcielenie najgorszego koszmaru.

Wszystkie mrówki znają historie, jedne straszliwsze od drugich, na temat Palców. Palce są najbardziej przerażającymi potworami wśród całego Stworzenia. Niektórzy twierdzą, że przemieszczają się one zawsze stadami po pięć osobników. Inni zapewniają, że potrafią zabić mrówkę ot tak, bez powodu, nawet jej później

nie zjadając.

W leśnym świecie śmierć jest zawsze uzasadniona. Zabija się, by zjeść. Zabija się, by się bronić. Zabija się, by powiększyć terytorium polowań. Zabija się, by zdobyć gniazdo. Lecz Palce zachowują się absurdalnie. Eksterminują mrówki... bez powodu!

Tym sposobem w świecie myrmeczeńskim Palce zasłużyły na miano chorych psychicznie potworów, których zachowanie przechodzi wszelkie wyobrażenie. Każdy znał przerażające historie krążące na ich temat.

Palce...

Niektóre mrówki twierdzą, że Palce niszczą całe miasta, kopiąc w nich, przewracając do góry nogami całe dzielnice, z których wypadają kiście przerażonych obywateli. Demolują nawet żłobki, tworząc straszliwy widok wylewających się, na wpół zgniecionych jajeczek.

Palce...

W Bel-o-kan opowiada się, że Palce nie szanują niczego, nawet królowych. Niszczą wszystko. Mówi się też, że są ślepe i że to z zemsty za to, że zostały pozbawione wzroku, zabijają wszystko, co żyje i widzi.

Palce...

Wszystkie opowieści opisują je jako olbrzymie, gładkie, różowe kule bez oczu i ust, bez czułków i nóżek, obdarzone fenomenalną siłą, mordujące wszystko na swojej drodze i niezjadające następnie niczego.

Palce...

Niektórzy twierdzą, że eksploratorom, które zbyt blisko do nich zbliżą, wyrywają nóżki jedna po drugiej.

Palce...

Nikt już nie wie, co z tego wszystkiego jest prawdą, a co legendą. W miastach myrmeczeńskich nadaje się im tysiące przezwisk: „mordercze różowe kule”, „ciężka śmierć przychodząca z nieba”, „władcy dzikusów”, „różowy terror”, „pięciokrotny strach”, „niewysławialne”.

Palce...

Istnieją również mrówki, które myślą, że Palce tak naprawdę nie istnieją i że to jedynie niańki czerpią przyjemność ze straszenia w ten sposób niedojrzałych larw, które zbyt szybko chcą opuścić gniazdo.

Nie wychodźcie na zewnątrz, tam jest pełno Palców!

Któż nie słyszał tej przestrogi w dzieciństwie? Któż nie słyszał mitów na temat sławnych wojowniczek, które wyruszały polować na Palce z gołymi zuwaczkami?

Palce...

Dwanaście wojowniczek trzęsie się już na samą myśl o nich. Mówi się również, że Palce znęcają się nie tylko nad mrówkami. Zaczepiają wszystkie żyjące istoty. Nadziewają robaki na zakrzywione kolce i zanurzają je w wodach rzeki, trzymając je tam, dopóki jakaś litościwa ryba wreszcie ich nie uwolni!

Palce...

Twierdzi się, że w kilka chwil potrafią powalić tysiącletnie drzewa. Że odrywają żabom tylne nóżki, a następnie wrzucają je, jeszcze żywe, do sadzawki.

I gdybyż to było wszystko! Słyszano również, że Palce ukrzyżowują motyle za pomocą szpikulców. Zabijają komary w locie. Obrzucają ptaki gradem małych okrągłych kamyków, zmieniają jaszczurki w miazgę, zdzierają skórę z wiewiórek. Grabią pszczele ule. Duszą ślimaki w zielonym, pachnącym czosnkiem tłuszczu...

Dwanaście mrówek przygląda się 103 683. A więc ta stara wojowniczka twierdzi, że zbliżyła się do nich i wróciła nietknięta.

Palce...

103 683 upiera się przy swoim. Palce oblegają cały świat. Zaczynają nawiedzać również i las. Nie da się ich już dłużej ignorować.

5 nadal ma wątpliwości. Prostuje czułki:

– *Dlaczego więc ich nie widzimy?*

Stara ruda mrówka ma na to odpowiedź:

– *Są tak duże i wysokie, że stają się niewidoczne.*

Dwanaście eksploratorek milknie. Być może ta stara mrówka nie opowiada jednak bredni...

Czyżby Palce naprawdę istniały? Ich czułki, narząd węchu, nie wiedzą, co emitować i co odbierać. To szaleństwo. Palce mogą naprawdę istnieć i planować opanowanie lasu. Starają się wyobrazić sobie kraniec świata i jego strażników, czyli Palce.

5 pyta starą mrówkę eksploratorkę, dlaczego wraca do Bel-o-kan.

103 683 ma zamiar poinformować wszystkie mrówki na Ziemi, że Palce się zbliżają i że już wkrótce nic nie będzie takie jak dawniej. Muszą jej uwierzyć.

Wysyła najcięższe i najbardziej przekonujące cząsteczki.

– *Palce istnieją.*

Jest uparta. Trzeba obwieścić to całemu wszechświatowi. Wszystkie mrówki muszą wiedzieć, że tam, wysoko, ukryte gdzieś wśród chmur, Palce je śledzą i mają zamiar wszystko odmienić. Prosi, by dwanaście mrówek ponownie ustawiło się w kręgu, 103 683 ma im jeszcze coś do powiedzenia.

Gdyż to nie koniec jej opowieści. Po zakończeniu pierwszej podróży, gdy wróciła do rodzinnego Bel-o-kan i zrelacjonowała swoje przygody nowej królowej, ta, zaniepokojona, postanowiła zorganizować wielką krucjatę mającą na celu unicestwienie wszystkich Palców na ziemi.

Belokanijki szybko zgromadziły trzytysięczną armię mrówek o odwłokach wypełnionych po brzegi kwasem mrówkowym. Droga jednak była długa i jedynie pięćset z nich dotarło na kraniec świata. Tam odbyła się pamiętna bitwa. Wszystkie te, które wyszły z niej cało, zginęły w strumieniach pieniącej się wody. 103 683 była jedną z nielicznych, o ile nie jedyłą, które ocalały.

Miała wtedy zamiar powrócić do gniazda, by przekazać pozostałym złą wiadomość, lecz jej ciekawość okazała się silniejsza. Zamiast wracać, postanowiła pokonać strach i zwiedzić drugi brzeg świata, krainę, w której żyją olbrzymie Palce.

I zobaczyła je.

Królowa Bel-o-kan myliła się. Trzy tysiące wojowniczek nie było w stanie pokonać wszystkich Palców świata, gdyż jest ich zdecydowanie więcej niż można to sobie wyobrazić.

103 683 opisała ich świat. Na swoim terytorium Palce zniszczyły naturę, a na jej miejscu umieściły przedmioty własnej produkcji, o tyle dziwne, że idealnie geometryczne.

Wszystko w kraju Palców jest gładkie, zimne, geometryczne i martwe.

Tu stara eksploratorka przerywa. Wyczuwa w oddali nieprzyjazną obecność. Szybko, nie zastanawiając się, biegnie w bezpieczne miejsce wraz z dwunastoma pozostałymi mrówkami. Któż to może być?

21. LOGIKA PSYCHOTERAPEUTYCZNA

Żeby wywołać u swoich pacjentów dobre samopoczucie, lekarz urządził swój gabinet jak salon. Nowoczesne obrazy z wielkimi czerwonymi plamami nie gryzły się z nadto ze starymi mahoniowymi meblami. Pośrodku pokoju ciężka waza Ming, też czerwona, próbowała utrzymać równowagę na wątlym stoliczku ze złoconymi brzegami.

To tutaj właśnie matka Julie przyprowadziła córkę, gdy ta miała pierwszy epizod z anoreksją. Specjalista od razu dopatrywał się czegoś na tle seksualnym. „Czy może ojciec molestował ją w dzieciństwie? A może jakiś przyjaciel domu pozwolił sobie na zbytnią poufałość? A czy przypadkiem młodej dziewczyny nie dotykał jej nauczyciel śpiewu?”. Myśl ta wywołała u matki lęk. Wyobrazila sobie swoją małą córeczkę w rękach tego starca. „A więc wszystko wzięło się właśnie stąd...”.

– Może pan mieć rację, gdyż pojawiły się u niej także inne zaburzenia, coś jakby fobia. Nie znosi, kiedy ktoś ją dotyka.

Dla specjalisty było ewidentne, że mała musiała przeżyć głęboką traumę, i trudno mu było uwierzyć, że wynikało to po prostu z braku możliwości ćwiczenia głosu.

Tak naprawdę psychoterapeuta był przeświadczony, że większość jego klientek padła ofiarą molestowania seksualnego w dzieciństwie. Był o tym tak mocno przekonany, że w sytuacji, gdy nie można było udowodnić, że chorobliwe zachowania wynikały z tego rodzaju traumy, sugerował swoim pacjentkom, aby same sobie taką traumę wmówiły. A potem łatwiej już było mu je leczyć i w ten sposób stawały się jego pacjentkami do końca życia.

Kiedy matka zadzwoniła w sprawie ustalenia terminu wizyty, zapytał ją, czy córka odżywia się teraz normalnie.

– Nie, wciąż, niestety, nie – odpowiedziała. – Coś tam podskubuje, ale odmawia jedzenia wszystkiego, co bardziej lub mniej przypomina mięso. Według mnie ona cały czas trwa w anoreksji, nawet jeśli objawy są teraz znacznie mniej widoczne niż kiedyś.

– Cóż, zapewne to właśnie wyjaśnia jej amenorrheę.

– Amenorrheę?

– Tak. Zwierzyła mi się pani, że w wieku dziewiętnastu lat pani córka wciąż nie miała okresu. Jest to raczej anormalne opóźnienie w jej rozwoju. To, że je tak mało, jest prawdopodobnie tego przyczyną. Amenorrhea jest często powiązana

z anoreksją. Ciało posiada swoją własną mądrość. Nie produkuje jajeczka, jeśli nie czuje się zdolne do tego, by wyżywić płód i pozwolić mu rozwinąć się aż do końca, nieprawdaż?

– Ale czemu ona się tak zachowuje?

– Julie, w naszym żargonie, prezentuje objawy tego, co nazywamy „kompleksem Piotrusia Pana”. Chce pozostać na etapie dzieciństwa. Odmawia stać się dorosłą. Wierzy, że jeśli nic nie będzie jadła, jej ciało nie będzie się rozwijać i że na zawsze pozostanie małą dziewczynką.

– Rozumiem – westchnęła matka. – I pewnie z tych samych powodów nie chce zdać matury.

– Oczywiście, matura oznacza wejście w wiek dorosły. A ona nie chce stać się dorosłą. Julie staje więc dęba jak znarowiony koń, żeby tylko nie przeskoczyć przez przeszkodę, nieprawdaż?

Przez domofon sekretarka zapowiedziała przybycie Julie. Psychoterapeuta zaprosił ją do środka. Julie pojawiła się w towarzystwie psa Achillesa. Trzeba jakoś wykorzystać ten seans, bo i tak należy przecież zapewnić psu codzienny spacer.

– I jak się dzisiaj czujemy, Julie? – zapytał psychoterapeuta.

Dziewczyna przyjrzała się temu masywnemu, lekko spoconemu mężczyźnie o przerzedzonych włosach związanych w kucyk.

– Julie, jestem tutaj po to, żeby ci pomóc. Wiem, że w głębi serca cierpisz z powodu śmierci ojca. Ale młode dziewczyny są skryte i dlatego nie ośmielasz się wyrażać swojego bólu. A musisz go wyrazić, żeby się od niego uwolnić. W przeciwnym razie będzie się on w tobie macerował jak gorzka żółć i będziesz jedynie jeszcze bardziej cierpieć. Rozumiesz mnie, nieprawdaż?

Cisza. Żadnej reakcji na zamkniętej twarzy.

Psychoterapeuta wstał z fotela i położył dłonie na jej ramionach.

– Jestem tu po to, żeby ci pomóc, Julie – powtórzył. – Wydaje mi się, że odczuwasz lęk. Jesteś małą dziewczynką, która się boi, która jest sama w ciemnościach i której trzeba dodać odwagi. Na tym właśnie polega moja praca. Moim zadaniem jest przywrócić ci wiarę w siebie, wymazać twoje lęki i umożliwić ci wyrażenie tego, co w tobie najlepsze, czyż nie?

Julie dyskretnie wskazała Achillesowi, że w cennej chińskiej wazie znajduje się kość. Pies spojrzał na nią, jego powieki nieco opadły i prawie że zrozumiał, lecz nie

odważył się poruszyć w tym nieznanym dla niego otoczeniu.

– Julie, jesteśmy tu po to, żeby rozwikłać wspólnie zagadki z twojej przeszłości. Przeanalizujemy, jeden po drugim, wszystkie epizody z twojego życia, nawet te, o których, jak ci się wydaje, zapomniałaś. Będę cię słuchał i wspólnie zobaczymy, w jaki sposób przekłuć te wrzody i zaleczyć rany, nieprawdaż?

Julie nadal próbowała dyskretnie rozdrażnić psa. Pies patrzył na Julie, patrzył na wazę i starał się, jak mógł najlepiej, zrozumieć, jaki jest związek między jednym a drugim. Jego psi mózg był mocno zakłopotany, gdyż wyczuwał, że dziewczyna nakazuje mu wykonać coś bardzo ważnego.

„Achilles – waza. Achilles – waza. Jaki może być związek?” Achillesowi w jego psim życiu bardzo przeszkadzało to, że nie odnajdywał relacji między rzeczami lub wydarzeniami z ludzkiego świata. Na przykład zajęło mu sporo czasu, żeby zrozumieć, co łączy listonosza ze skrzynką na listy. Dlaczego ten człowiek wypełniał skrzynkę na listy kawałkami papieru? W końcu zdał sobie sprawę, że ten głupek brał skrzynkę na listy za jakieś zwierzę, które żywi się papierem. A wszystkie pozostałe istoty ludzkie pozwalały mu na to, pewnie z litości.

Ale czego w tej chwili chciała od niego Julie?

Targany wątpliwościami, irlandzki seter cichutko zaskowyczał. Może to wystarczy, żeby ją zadowolić?

Tymczasem psychoterapeuta utkwiał wzrok w jasnoszarych oczach dziewczyny.

– Julie, wyznaczam dwa podstawowe cele naszego wspólnego działania. Przede wszystkim muszę przywrócić ci wiarę w siebie. Po drugie, moim zadaniem będzie nauczenie cię pokory. Zaufanie jest niczym pedał gazu dla osobowości, pokora zaś jest dla niej hamulcem. Z chwilą, gdy panujemy zarówno nad pedałem gazu, jak i nad hamulcem, kontrolujemy nasz los i w pełni korzystamy z drogi naszego życia. Możesz to zrozumieć, nieprawdaż?

W końcu Julie zgodziła się spojrzeć lekarzowi w oczy i odrzekła:

– Olewam ten pana hamulec i ten pedał gazu. Psychoanaliza została wymyślona po to, żeby pomagać dzieciom w tym, aby nie powielały nieudanych schematów z życia własnych rodziców, nic ponadto. A i tak, ogólnie rzecz biorąc, zadziała to raz na sto przypadków. I niech pan przestanie się do mnie zwracać jak do ograniczonej nastolatki. Tak jak i pan, przeczytałam *Wprowadzenie do psychoanalizy* Zygmunta Freuda, a znam też i te wasze numery z psychoterapii. Nie jestem

chora, a jeśli cierpię, to nie z braku czegokolwiek, ale raczej z nadmiaru. Aż za dobrze zrozumiałam, co w tym świecie jest przestarzałe, reakcyjne, sklerotyczne. Nawet ta pańska rzekoma psychoterapia jest jedynie środkiem na to, żeby babrać się wciąż i bez końca w przeszłości. Nie lubię patrzeć wstecz, a kiedy kieruję samochodem, nie jadę, patrząc bez przerwy w tylne lusterko.

Lekarz był zaskoczony. Do tej pory Julie zawsze była dyskretna i mało mówna. I żaden z jego klientów nie pozwolił sobie na to, by w tak bezpośredni sposób zakwestionować jego słowa.

– Nie mówię o tym, że trzeba patrzeć w przeszłość, ale że trzeba wejrzeć w samego siebie, nieprawdaż?

– Siebie też nie chcę wcale oglądać. Kiedy prowadzę, nie przyglądam się sobie. Jeśli chcemy uniknąć wypadku, to znacznie lepiej jest patrzeć przed siebie, i to tak daleko, jak to tylko możliwe. Tak naprawdę to najbardziej denerwuje pana to, że jestem za bardzo... przenikliwa. Woli więc pan sobie myśleć, że to ja jestem ta nienormalna. A to pan wydaje się chory z tą manią powtarzania na końcu każdego zdania „nieprawdaż?”. – Julie ciągnęła dalej, niewzruszona: – A wystrój tego gabinetu? Zastanowił się pan nad tym? Cała ta czerwień, te meble, te czerwone wazy? Czyżby był pan zafascynowany krwią? A ten kucyk na głowie? Czy to po to, żeby lepiej wyrazić kobiece skłonności?

Przez chwilę specjalista poczuł, że chce się wycofać. Powieki zadrgały jak dwie nierówne tarcze. Nigdy nie wchodzić w konflikt z pacjentem na własnym terenie, taka była podstawowa reguła w jego zawodzie. Wycofać się, i to szybko. Ta dziewczyna wyraźnie starała się go zdestabilizować, kierując przeciw niemu jego własną broń. Rzeczywiście, musiała przeczytać parę książek z psychologii. Ta czerwień... to prawda, że kierowała jego myśli na coś bardzo konkretnego. A jego kucyk...

Chciał się jakoś zebrać w sobie, ale jego niedoszła pacjentka nie dała mu odetchnąć.

– Zresztą sam wybór zawodu psychoterapeuty jest symptomatyczny. Edmund Wells napisał: „Spójrz, jaką specjalizację wybrał taki czy inny lekarz, a zrozumiesz, w czym tkwi jego problem. Okuliści zazwyczaj noszą okulary, dermatolodzy mają często trądzik albo łuszczycę, endokrynolodzy mają problemy hormonalne, a psychiatrzy są...”.

– A kim jest Edmund Wells? – przerwał lekarz, chwytając tym samym okazję, by zmienić bieg konwersacji.

– Przyjacielem, który dobrze mi życzy – odparła oschle.

Psychoterapeucie wystarczyła zaledwie jedna chwila, by znowu odzyskać pewność siebie. Jego zawodowe nawyki były w nim zbyt mocno zakorzenione, żeby nie był gotowy podjąć w każdej chwili gry. Pomijając wszystko, ta dziewczyna była tylko klientką, a specjalistą był przecież on.

– Ale może coś więcej na jego temat? Edmund Wells... Czy jest jakiś związek z H. G. Wellsem, autorem *Niewidzialnego człowieka*?

– Żadnego. Mój Wells jest znacznie lepszy. Napisał książkę, która „żyje i mówi”. Zorientował się, jak wybrnąć z tego impasu. Podszedł do niej bliżej.

– A o czym jest ta „książka, która żyje i mówi”, tego Wellsa?

Stał teraz tak blisko Julii, że czuła jego oddech. Nie cierpiała oddychać czyimś oddechem. Odwróciła twarz na tyle, ile mogła. Oddech był silny i zmieszany z resztkami jakiegoś miętowego płynu.

– Tak właśnie sobie pomyślałem. Jest w pani życiu ktoś, kto panią manipuluje i sprowadza na złą drogę. Kim jest ten Edmund Wells? I czy możesz mi pokazać tę „książkę, która żyje i mówi”?

Psychoterapeuta zwracał się teraz do niej raz per ty, raz per pani, lecz stopniowo przejmował kontrolę nad rozmową. Julie to dostrzegła i postanowiła przerwać tę potyczkę.

Lekarz otarł pot z czoła. Im bardziej ta mała pacjentka mu się sprzeciwiała, tym wydawała mu się piękniejsza. Zaskakująca była ta dziewczyna, z zachowaniami dwunastoletniej pannicy, z pewnością siebie trzydziestoletniej kobiety i czymś w rodzaju zastanawiającej wiedzy książkowej, która tylko dodawała jej uroku. Pożerał ją wzrokiem. Lubił, kiedy ktoś mu się opierał. Wszystko w niej go zachwycało, jej zapach, oczy, piersi. Ledwie powstrzymał się, żeby jej nie dotknąć.

Ale ona, szybka jak pstrąg, już się wyswobodziła, oddaliła i stała tuż przy drzwiach. Rzuciła mu uśmiech z lekką nutką wyzwania, poprawiła rzemyki plecaka, upewniwszy się wcześniej, że w środku nadal jest *Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej*.

Wyszła, trzaskając drzwiami.

Achilles ruszył za nią.

Gdy znalazła się już na zewnątrz, dała zwierzakowi solidnego kopniaka. Teraz już zapamięta, że trzeba było rozbić wazę Ming, tę, którą mu pokazywała, i dokładnie w momencie, gdy ją pokazywała.

22. ENCYKLOPEDIA

NIEPRZEWIDYWALNA STRATEGIA: Umysł logiczny i obdarzony zmysłem obserwacji zdolny jest przewidzieć każdą ludzką strategię. A jednak istnieje sposób na to, żeby pozostać nieprzewidywalnym: otóż do procesu decyzyjnego należy wprowadzić element przypadkowości. Na przykład zdać się na los, rzucając kośćmi przed podjęciem decyzji o kierunku następnego ataku wojsk. Nie dość, że wprowadzenie odrobiny chaosu do strategii globalnej pozwala uzyskać efekt zaskoczenia, to dodatkowo umożliwia zachowanie w tajemnicy logiki, za którą kryją się istotne decyzje. Nikt nie jest w stanie przewidzieć wyniku, jaki uzyskamy, rzucając kośćmi. Podczas wojny, rzecz jasna, niewielu generałów odważy się powierzyć losowi wybór kolejnego manewru. Sądzą oni bowiem, że sama inteligencja wystarczy. Tymczasem rzut kością jest z pewnością najskuteczniejszym sposobem wywołania niepokoju u przeciwnika, który poczuje, że przerósł go mechanizm refleksji, którego tajników nie pojmuje. Zagubiony i zdezorientowany przeciwnik zareaguje strachem i stanie się wówczas całkowicie przewidywalny.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

23. TRZY EGZOTYCZNE POMYSŁY

Wystawiwszy czułki z kryjówki, 103 683 i jej towarzyszki spostrzegają nowo przybyłe. To karłowate mrówki z miasta Shi-gae-pou. Mrówki niewielkich rozmiarów, lecz bardzo nieprzyjemne i waleczne.

Zbliżają się. Wyczuły zapach belokanijskiej grupy i szukają pretekstu do starcia. Lecz co one robią w tej okolicy, z dala od swojego gniazda?

103 683 przychodzi wówczas do głowy, że przyciągnął je tutaj ten sam powód co jej nowe towarzyszki: ciekawość. Karłowate także chcą zwiedzić wschodnie

granice świata. Pozwala im przejść.

Następnie mrówki ponownie ustawiają się w kręgu pod korzeniem buka, stykając się czubkami czułków. 103 683 kontynuuje swoją opowieść.

Tak więc, znalazła się sama w świecie pełnym Palców. Na każdym kroku dokonywała nowych odkryć. Najpierw spotkała karaluchy, które twierdziły, że udało im się oswoić Palce do tego stopnia, że te każdego dnia składały im olbrzymie ilości darów w ofierze, w wielkich zielonych czaszach.

103 683 zwiedziła następnie gniazda Palców. Były naturalnie olbrzymie, lecz miały również i inne cechy charakterystyczne. Były całkowicie sztywnymi równoległociętanami. W każdym z gniazd krąży ciepła i zimna woda, powietrze i martwe pożywienie.

Lecz nie to jest najdziwniejsze. Przypadkiem 103 683 odkryła Palec, który nie okazywał mrówkom żadnej niechęci. Niesamowity Palec, który chciał nawiązać kontakt między oboma gatunkami.

Palec ten skonstruował aparaturę, która pozwalała na zmianę języka węchowego mrówek na język słuchowy Palców. Sam ją opracował i umiał się nią posługiwać.

14 wycofuje się z kręgu.

Wystarczy. Dość już usłyszała. Ta mrówka stara się im wmówić, że „rozmawiała” z Palcem! Pozostałe zgadzają się z nią: bez wątplenia 103 683 jest szalona.

103 683 prosi, by jej wysłuchały bez uprzedzeń.

5 przypomina, że Palce rozpruwają miasta. Rozmowa z Palcem to jawna kolaboracja z największym wrogiem mrówek, i z pewnością najokrutniejszym.

Towarzystki kiwiają czułkami na znak uznania.

103 683 ripostuje argumentem, że zawsze powinno się starać zrozumieć swoich wrogów, choćby po to, by skuteczniej z nimi walczyć. Jeśli pierwsza krucjata przeciwko Palcom zmieniła się w jedną wielką rzeź, to dlatego, że urojone wyobrażenia mrówek na ich temat mijały się całkowicie z prawdą.

Dwanaście mrówek się waha. Tak naprawdę nie mają wcale ochoty słuchać dalszego ciągu historii starej samotnej mrówki, gdyż wydaje im się ona zbyt dziwna. Lecz u mrówek ciekawość jest genetyczna. Krąg ponownie się zamyka.

103 683 przytacza swoją rozmowę z „Palcem, który potrafił się porozumiewać”.

Dzięki jego wyjaśnieniom ileż informacji będzie mogła teraz przekazać młodszym od siebie! Mrówki widzą jedynie przedłużenia odnóży Palców, te zaś są większe niż mrówki mogłyby sobie to wyobrazić. Jeśli nie udało im się nigdy dostrzec ust ani oczu Palców, to dlatego, że umieszczone są one bardzo wysoko.

A jednak Palce jak najbardziej obdarzone są ustami, oczami i odnóżami. Nie posiadają czułków, gdyż nie są im one potrzebne. Zmysł słuchu pozwala im się porozumiewać, a zmysł wzroku wystarcza, by postrzegać świat.

To jednak nie wszystko. Palce posiadają jeszcze bardziej zaskakujące cechy: utrzymują równowagę w pozycji pionowej, stojąc na dwóch tylnych nogach. Zaledwie na dwóch! Ich krew jest ciepła, są stworzeniami społecznymi, mieszkają w miastach.

– *Ile ich jest?*

– *Wiele milionów.*

5 nie chce wierzyć własnym czułkom. Miliony olbrzymów zajmują przecież mnóstwo miejsca, widać by je było z daleka, dlaczego więc mrówki wcześniej nie zdawały sobie sprawy z ich istnienia?

103 683 tłumaczy, że ziemia jest większa niż się wydaje mrówkom, a większość Palców mieszka daleko stąd.

Palce to stosunkowo młody gatunek zwierząt. Mrówki zamieszkują Ziemię od stu milionów lat, Palce zaledwie od trzech. Przez długi czas ich cywilizacja nie była rozwinięta. Dopiero niedawno, najwyżej kilka tysięcy lat temu, wynalazły rolnictwo i hodowlę, zaczęły wznosić miasta.

Tymczasem, choć Palce stanowią w pewnym sensie opóźniony w rozwoju gatunek, mają jednak olbrzymią przewagę nad wszystkimi pozostałymi istotami żyjącymi na planecie: końce ich odnóży, które zwą rękami, składają się z pięciu palców zdolnych do szczypania, chwytania, cięcia, ściskania i zgniatania. Nie posiadają twardego pancerza, dlatego produkują „ubrania” przy użyciu fragmentów splecionych włókien roślinnych. By zastąpić brak ostrych żuwaczek, używają noży wykonanych z ociosanych i wypolerowanych minerałów. Nie zostały obdarzone nogami, które umożliwiłyby im szybkie poruszanie się, korzystają zatem z samochodów, czyli ruchomych gniazd napędzanych dzięki reakcji ognia i węgłowodoru. Tak więc, za pomocą rąk, Palcom udało się nadrobić opóźnienie w stosunku do gatunków bardziej rozwiniętych.

Dwunastu młodym mrówkom trudno uwierzyć w to, co mówi starsza.

– Wykorzystując swoją „maszynę do tłumaczenia”, Palce naopowiadały jej samych bredni – nadaje 13.

6 uważa natomiast, że to wina zaawansowanego wieku 103 683. Plecie trzy po trzy, Palce nie istnieją, to jedynie wymysł nianiek mający na celu straszenie jajeczek.

Stara mrówka prosi ją, by ta polizała ślad, który nosi na czole. To specjalny ślad, którym naznaczyły ją Palce, by móc ją rozpoznać wśród innych mrówek biegających po Ziemi. 6 zgadza się na to, liże, wącha. To nie odchody ptaka ani resztki pożywienia. 6 przyznaje, że ma do czynienia z taką substancją po raz pierwszy.

To normalne, tryumfuje 103 683. Ta trwała i lepka materia to zaledwie jedno z licznych tajemniczych mazideł, które potrafią przygotować Palce.

– Nazywają to „lakierem do paznokci” i jest to jeden z rzadszych produktów. Zaszczycają tą maścią jedynie istoty, które są dla nich ważne.

103 683 wykorzystuje ten konkretny dowód na swoją znajomość z Palcami, by zyskać większą wiarygodność. Aby dobrze zrozumieć jej przygody, trzeba jej wierzyć na słowo.

Audytorium ponownie zaczyna jej słuchać.

W swoim gigantycznym kraju Palce zachowują się wyjątkowo nierozsądnie, nie do pojęcia dla zwykłej mrówki. Lecz ze wszystkich nietypowych zachowań trzy wyjątkowo zainteresowały 103 683 i wydają jej się godne pogłębienia.

– Humor. Sztuka. Miłość – mówi.

Humor, tłumaczy, to chorobliwa potrzeba, jaką odczuwają niektóre Palce, by opowiadać historie, które powodują u nich nerwowe skurcze i pozwalają im łatwiej znosić życie. Sama nie bardzo rozumie, o co chodzi. Palec porozumiewający się z nią opowiadał jej „dowcipy”, które jednak nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

Sztuka to równie intensywna potrzeba Palców, by tworzyć przedmioty, które uważają za bardzo ładne, a które nie służą do niczego. Ani do jedzenia, ani do obrony, ani do utrzymania się przy życiu. Przy użyciu „rąk” Palce wykonują kształty, malują kolory lub łączą ze sobą dźwięki, których ciągi wydają im się wyjątkowo melodyjne. To również wywołuje u nich spazmy i pozwala lepiej znosić

życie.

– *A miłość?* – pyta bardzo zainteresowana 10.

– *Miłość jest jeszcze bardziej enigmatyczna.*

Miłość występuje wtedy, gdy jakiś samiec Palca mnoży przedziwne zachowania, by doprowadzić do trofalaksji z Palcem samicą. Gdyż u Palców trofalaksje nie są automatyczne, czasami nawet się ich odmawia!

Odmówić trofalaksji... Mrówki są coraz bardziej zdziwione. Jak można odmówić pocałowania kogoś? Jak można odmówić zwrócenia pożywienia do ust drugiego osobnika?

Koło słuchaczek się zacieśnia, by mogły lepiej zrozumieć.

Według 103 683, miłość wywołuje u Palców skurcze mięśni, które pozwalają im lepiej znosić życie.

– *To taniec godowy* – podpowiada 16.

– *Nie, to coś innego* – odpowiada 103 683, lecz nie może nic więcej na ten temat powiedzieć, bo nie ma pewności, czy dobrze wszystko pojęła. Jest jednak pewna, że to uczucie nietypowe, nieznanne owadom.

Grupka mrówek waha się.

10 chciałaby lepiej poznać Palce. Ciekawia ją miłość, humor i sztuka.

– *Po cóż nam miłość, humor i sztuka?* – argumentuje 15.

16 zależy na zlokalizowaniu ich królestwa, chociażby w celu zaznaczenia go na mapach chemicznych.

13 uważa, że nadchodzi czas, by zjednoczyć cały świat, stworzyć olbrzymią armię złożoną z mrówek i wszystkich innych zwierząt, by razem zniszczyć potworne Palce.

103 683 kręci głową. Nie da się ich zabić. Łatwiej byłoby je... oswoić.

– *Oswoić?* – dziwią się pozostałe.

Ależ tak! Mrówkom udało się oswoić już wiele innych zwierząt: mszyce, koszenile... Więc dlaczego nie Palce? W końcu Palce dostarczają już pożywienia karaluchom. To, co im się udało, mrówki mogłyby powtórzyć na znacznie większą skalę.

103 683, która przecież rozmawiała z Palcami, uważa, że nie są szalonymi potworami siejącymi wokół śmierć. Można spróbować nawiązać z nimi stosunki dyplomatyczne, pozwolić im skorzystać z wiedzy mrówek, a następnie osiąść

z kolei ich wiedzę.

Wróciła do swoich, by podzielić się tym spostrzeżeniem ze wszystkimi gatunkami. Prosi dwanaście eksploratorek o wsparcie. Pomysł nie jest może łatwy do zaakceptowania przez ogół mrówek, jednak gra jest warta świeczki.

Grupa mrówek jest zdumiona. Najwyraźniej pobyt wśród tych dziwnych istot zaburzył umysł 103 683. Współpracować z Palcami! Oswoić niczym zwykle stado mszyc!

Równie dobrze można próbować zawrzeć pakt z najdzikszyimi istotami żyjącymi w lesie, na przykład z olbrzymimi jaszczurkami. Zresztą mrówki nie mają w zwyczaju bratać się z kimkolwiek. Mają wystarczające trudności, by porozumieć się same między sobą. Ich świat jest pełen konfliktów. Wojny między kastami, miastami, dzielnicami, wojny siostrobójcze...

A ta stara eksploratorka o brudnym czole i pancerzu naznaczonym śladami niezliczonych ciosów proponuje im pakt z... Palcami! Istotami tak wielkimi, że nie da się nawet dostrzec ich ust ani oczu!

Cóż za dziwaczny pomysł!

103 683 nalega. Powtarza w kółko, że tam, w górze, Palce, a w każdym razie niektóre Palce, mają taki sam cel: nawiązać porozumienie z mrówkami. Podtrzymuje swoją teorię, że nie należy lekceważyć tych zwierząt pod pretekstem, że są inne i mało znane.

– *Zawsze dobrze jest mieć przy sobie kogoś większego* – twierdzi.

W końcu Palce potrafią bardzo szybko powalić drzewo i pociąć je na kawałki. Mogą stanowić bardzo przydatnych sojuszników. Będąc z nimi w koalicji, wystarczy wskazać im wybrane miasto, a natychmiast je zniszczą.

Wojna to sprawa najwyższej wagi dla mrówek, argument ten odnosi zatem zamierzony skutek. Stara mrówka rudnica ma tego świadomość i kontynuuje:

– *Teraz możecie sobie zdać sprawę z siły, jaką byśmy dysponowały, gdyby w szeregi naszej armii wstąpił oddział oswojonych Palców!*

Ukryte w zagłębieniu pnia buka mrówki mają uczucie, że są świadkami decydującej chwili w historii ich gatunku. Jeśli tej starej wojownicze uda się je przekonać, zapewne zdoła ona także nakłonić do swojego pomysłu całe mrowisko. A wtedy...

24. MAGICZNY BAL NA ZAMKU

Palce się splotły. Tancerze mocno objęli swoje partnerki.

Bal na zamku w Fontainebleau.

Aby uczcić zawarcie umowy o współpracy partnerskiej miasta Fontainebleau z japońskim miastem Hachinoe wydano bal w tym historycznym miejscu. Wymiana flag, wymiana medali, wymiana upominków. Pokazy tańców folklorystycznych. Miejscowe chóry. Prezentacja tablicy FONTAINEBLEAU – HACHINOE: MIASTA PARTNERSKIE, która od tej chwili będzie stać przy wjeździe do obu miast.

Wreszcie degustacja japońskiej sake i francuskiej śliwowicy.

Samochody ozdobione flagami obu krajów zatrzymywały się jeszcze na głównym dziedzińcu, wysiadały z nich spóźnione pary w strojach wieczorowych.

Julia i jej matka, ubrane w czerń na znak żałoby, weszły do sali balowej. Dziewczyna o jasnoszarych oczach nie była przyzwyczajona do takiego przepychu. W środku oświetlonej sali orkiestra smyczkowa zagrała walca Straussa, pary zaczęły wirować, a czerń smokingów mieszała się z bielą wieczorowych sukien kobiet.

Kelnerzy w liberiach krążyli wśród gości, roznosząc na srebrnych tacach rzędy różnokolorowych ptifurków w papierowych serwetkach.

Muzycy zwiększyli tempo: zabrzmiały ostatnie takty *Nad pięknym modrym Dunajem*. Pary przypominały teraz czarno-białe wirujące bączki wydzielające ciężki zapach.

Prefekt odczekał do przerwy, aby wygłosić przemówienie. Rozpromieniony wyraził satysfakcję z powodu zawarcia przez jego ukochane miasto Fontainebleau umowy partnerskiej z tak przyjaznym miastem jak Hachinoe. Sławił niezłomną przyjaźń francusko-japońską i wyraził nadzieję, że będzie ona trwać wiecznie. Wymienił najważniejsze osobistości pośród obecnych: wielkich przemysłowców, znanych naukowców, wysokich urzędników, wojskowych, sławnych artystów. Wszyscy głośno klaskali.

Prezydent japońskiego miasta wygłosił w odpowiedzi krótkie wystąpienie na temat porozumienia między kulturami mimo panujących między nimi różnic.

– Zarówno wy, jak i my mamy jednak to szczęście, że żyjemy w małych,

spokojnych miastach. Natura rozkwita tu w rytm pór roku i wzbogaca ludzkie talenty – oświadczył.

Po tych mocnych słowach i kolejnej burzy oklasków znów zagrano walca. Aby różnicować przyjemności, tancerze postanowili tym razem kręcić się odwrotnie do ruchu wskazówek zegara.

Trudno było usłyszeć się w takim hałasie. Julie, jej matka i Achilles usiedli przy stole w rogu, gdzie przyszedł ich powitać prefekt. Towarzyszył mu wysoki blondyn, z którego twarzy wyzierała para wielkich niebieskich oczu.

– Oto nadinspektor Maximilien Linart, o którym już paniom wspominałem – powiedział prefekt. – Odpowiada za śledztwo w sprawie śmierci pani męża. Mogą mieć panie do niego pełne zaufanie. To znakomity policjant. Wykłada w szkole policyjnej w Fontainebleau. Będzie umiał szybko określić przyczyny śmierci Gastona.

Mężczyzna wyciągnął rękę. Wymiana uścisków spoconych dłoni.

– Bardzo mi miło.

– Bardzo mi miło.

– Mnie również.

Nie mając nic do dodania, oddalili się. Julie i jej matka z pewnej odległości obserwowały zabawę, która rozkręciła się na dobre.

– Czy mogę z panią zatańczyć?

Młody, bardzo pretensjonalny Japończyk skłonił się przed Julie.

– Nie, dziękuję – odparła.

Japończyk zaskoczony tą reakcją przez chwilę stał niezdecydowany, zastanawiając się, jak powinien zachować się zgodnie z normami francuskiego *savoir-vivre'u* kawaler, który spotyka się z odmową w czasie oficjalnej uroczystości. Z pomocą przyszła mu matka Julie:

– Proszę wybaczyć mojej córce. Jesteśmy w żałobie. We Francji czerń jest kolorem żałoby.

Z jednej strony uspokojony tym, że sprawa nie dotyczy go osobiście, z drugiej jednak zmieszany z powodu popełnionej gafy, chłopak zgiął się wpół przed stolikiem.

– Przepraszam, że panie niepokoiłem. U nas jest odwrotnie, biel jest kolorem żałoby.

Prefekt postanowił urozmaicić wieczór, opowiadając dowcip małej grupie otaczających go słuchaczy:

– Eskimos wyrąbuje przerębę w lodzie. Zarzuca wędkę z haczykiem i przynętą. Czeką, gdy nagle słyszy bardzo mocny głos, od którego drży ziemia: TU NIE MA RYB! Przestraszony Eskimos oddala się nieco i wyrąbuje kolejną dziurę. Zarzuca wędkę i czeka. Znowu grzmi straszny głos: TU TEŻ NIE MA RYB! Eskimos idzie jeszcze dalej i wyrąbuje trzecią dziurę. Znowu słyszy głos: PRZECIEŻ MÓWIŁEM, ŻE TU NIE MA RYB! Eskimos przeczesuje wzrokiem okolicę, nie widzi nikogo i coraz bardziej przerażony wznosi wzrok do nieba: „Kto do mnie mówi? Czy to Bóg?”. I znów rozbrzmiewa potężny głos: NIE, DYREKTOR LODOWISKA...

Miejscami słychać śmiech. Gratulacje. Potem druga fala śmiechu tych, którzy zrozumieli z pewnym opóźnieniem.

Ambasador Japonii również postanawia opowiedzieć anegdotę.

– Pewien człowiek siada przy stole, otwiera szufladę, wyciąga z niej lusterko i długo się w nim przegląda, sądząc, że widzi w nim wizerunek swojego ojca. Jego żona, zauważając, że często po nie sięga i bawi się nim, wyobraża sobie, że to prawdopodobnie zdjęcie kochanki. Któregoś popołudnia wykorzystuje nieobecność męża, żeby wyjaśnić tę sprawę. Sprawdza, co to za dziwny obrazek mąż trzyma w ukryciu. Natychmiast po powrocie męża pełna zazdrości zadaje mu pytanie: „Kim jest ta zgorzkniała stara kobieta, której portret trzymasz w szufladzie?”.

Znów salwa śmiechu, przy czym część osób śmieje się z grzeczności. Druga fala tych, którzy zrozumieli z opóźnieniem. Później trzecia fala tych, którym wyjaśniono, o co chodzi.

Prefekt Dupeyron i ambasador japoński, ciesząc się odniesionym sukcesem, opowiedzieli inne dowcipy. Zauważyli, że nie jest łatwo znaleźć takie, które byłyby równie zabawne dla obu narodów, gdyż dowcipy pełne są odniesień kulturowych zrozumiałych jedynie w kraju, z którego pochodzą.

– Czy sądzi pan, że istnieją żarty uniwersalne, które bawią wszystkich? – zapytał prefekt.

Spokój powrócił dopiero, gdy *maitre d'hôtel* zadzwonił, aby oznajmić, że wszyscy mogą zasiąść do stołu, gdyż będzie podany obiad. Kelnerki położyły przed każdym talerzem okrągłe bułeczki.

25. ENCYKLOPEDIA

PRZEPIS NA CHLEB: Dla tych, którzy go nie pamiętają.

Składniki:

600 g mąki

1 opakowanie suchych drożdży

1 szklanka wody

2 łyżeczki cukru

1 łyżeczka soli, odrobina masła

Wsypać drożdże i cukier do wody, odczekać pół godziny. Powstanie gęsta, szarawa masa. Wsypać mąkę do miski, dodać sól, wydrążyć w środku otwór i wolno wlać płyn. Przykryć miskę i postawić na kwadrans w ciepłym miejscu, z dala od przeciągów. Idealna temperatura wynosi 27 stopni Celsjusza, ale jeśli nie można jej zapewnić, lepiej pozostawić miskę w niższej temperaturze. Wyższa zabiłaby drożdże. Gdy ciasto wyrośnie, należy je wyrobić. Następnie pozostawić, aby rosło, na około 30 minut. Potem można je piec przez godzinę w piecu lub na węglu drzewnym.

Jeżeli nie ma się do dyspozycji pieca ani węgla drzewnego, można je piec na kamieniu w mocnym słońcu.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

26. GROŹBA

103 683 prosi swoje towarzyski o jeszcze chwilę uwagi. Nie skończyła mówić. Stara się dotrzeć do swojego rodzinnego gniazda jak najszybciej, gdyż miastu Bel-o-kan zagraża straszne niebezpieczeństwo.

Palce są świetnymi majsterkowiczami. Potrafią długo pracować, by osiągnąć to, czego potrzebują. Tak więc, chcąc jej pozwolić za wszelką cenę zrozumieć ich świat, skonstruowały miniaturowy telewizor dostosowany do jej rozmiarów.

– *Co to jest „telewizor”?* – pyta 16.

Stara mrówka mówi niezrozumiale. Porusza czułkami, rysując w powietrzu kwadrat. Telewizor to pudełko z jednym czułkiem, który zamiast odbierać

zapachy, odbiera krążące w powietrzu świata Palców obrazy.

– *A zatem Palce mają czułki?* – dziwi się 10.

– *Tak, ale są to nietypowe czułki, za pomocą których nie można się porozumiewać. Służą wyłącznie jako receptory obrazów i dźwięków.*

Wyjaśnia, że obrazy te pokazują wszystko, co dzieje się w świecie Palców. To odbicie ich rzeczywistości, dostarczające informacji niezbędnych, by móc ją zrozumieć. 103 683 zdaje sobie sprawę z tego, że trudno jest to pojąć. Ponownie muszą zaufać jej słowom. Dzięki telewizji, bez konieczności przemieszczania się, stara ruda mrówka mogła zobaczyć i poznać świat Palców.

Tak więc pewnego dnia zobaczyła w telewizji, w audycji regionalnej, białą tablicę umieszczoną zaledwie kilkaset kroków od mrowiska Bel-o-kan.

Dwanaście wojowniczek unosi czułki, wyrażając zdziwienie.

– *Co to jest tablica?*

103 683 tłumaczy: gdy Palce umieszczają gdzieś białe tablice, zapowiada to, że zamierzają w danym miejscu wycinać drzewa, niszczyć miasta i zrównywać wszystko z ziemią. Jedna tablica i w krótkim czasie okolica zmienia się w płaską pustynię, twardą, bez trawy, która następnie zmienia się w gniazdo Palców.

To właśnie teraz następuje. Trzeba za wszelką cenę przestrzec Bel-o-kan, zanim nadejdzie destrukcja i śmierć.

Dwanaście mrówek zastanawia się.

Mrówki nie znają pojęcia szefa czy hierarchii, a zatem rozkazy czy obowiązek posłuszeństwa są im obce. Każda robi, co chce i kiedy chce. Towarzyszki nie naradzają się długo. Ta stara eksploratorka dała im właśnie znać, że ich rodzinne miasto znajduje się w niebezpieczeństwie. Nie ma nad czym deliberować. Rezygnują z wyprawy na kraniec świata i postanawiają wrócić jak najszybciej do Bel-o-kan, żeby ostrzec siostry przed niebezpieczeństwem, jakim jest straszliwa „tablica Palców”.

Naprzód, na południowy zachód.

Jednak, mimo wysokiej temperatury, zapada noc i jest już zbyt późno, by ruszyć w drogę. Nadeszła pora wieczornej minihibernacji. Mrówki gromadzą się w szczelinie drzewa, podwijają nóżki i czułki, żeby następnie przyłgnąć jedne do drugich, chcąc w ten sposób wykorzystać całą ciepłość swoich ciał. Po chwili wszystkie niemal jednocześnie zasypiają, śniąc o przedziwnym świecie Palców,

olbrzymów o głowach ukrytych wysoko, w koronach drzew.

12 wyobraża je sobie w trakcie posiłku.

27. PIERWSZE WZMIANKI O TAJEMNICZEJ PIRAMIDZIE

Pojawili się kelnerzy maszerujący w rzędach, niosąc półmiski na wysoko uniesionych dłoniach. Szef protokołu z wysoka i z daleka śledził ich balet, na podobieństwo dyrygenta wydając polecenia małymi, nerwowymi ruchami dłoni.

Każdy półmisek był prawdziwym arcydziełem.

Prosięta z zastygłym uśmiechem, trzymając w pysku piękny czerwony pomidor, siedziały na górach kapusty. Tłuste kapłony przeżyły się tak, jakby nie przeszkadzał im farsz z kasztanów, którym były wypchane. Całe cielęta składały w darze swoje filety. Homary trzymały się za szczypcę, tworząc wesoły krąg na tle atrakcyjnych sałatek z warzyw ozdobionych błyszczącym majonezem.

Prefekt Dupeyron postanowił wznieść toast. Uroczyście wyjął kartkę z „tradycyjnym przemówieniem na okoliczność umów partnerskich”, bardzo wymiętą i pożółkłą, ponieważ korzystał z niej już kilkakrotnie w czasie obiadów z zagranicznymi ambasadorami, a następnie oświadczył:

– Pragnę wznieść toast za przyjaźń między narodami i porozumienie między ludźmi dobrej woli wszystkich krajów. Budzicie nasze zainteresowanie, mam nadzieję, że z wzajemnością. Wierzę, że niezależnie od obyczajów, tradycji, technologii, możemy tym bardziej wzbogacać się nawzajem, im większe dzielą nas różnice...

Wreszcie zniecierpliwionym pozwolono usiąść i skoncentrować się na zawartości talerzy.

Kolacja była kolejną okazją do wymiany żartów i anegdot. Prezydent Hachinoe opowiedział o jednym z niezwykłych mieszkańców swojego miasta. Był to pustelnik, który urodził się bez ramion i malował przy użyciu stóp. Nazywano go „mistrzem dużych palców”. Nie tylko malował, ale wystarczająco władał dużymi palcami, aby strzelać z łuku i myć zęby.

Anegdota wywołała żywe zainteresowanie zebranych, którzy chcieli się dowiedzieć, czy był żonaty. Prezydent Hachinoe utrzymywał, że nie, mistrz dużych palców miał jednak liczne kochanki, a kobiety szalały za nim

z niewyjaśnionych przyczyn.

Nie chcąc pozostać w tyle, prefekt Dupeyron wspomniał, że miasto Fontainebleau również może pochwalić się pewną liczbą niezwyklej mieszkańców. Najbardziej ekstrawaganckim z nich wszystkich był bez wątpienia szalony naukowiec Edmund Wells. Ten pseudouczony starał się przekonać swoich współobywateli, że mrówki stanowią równoległą cywilizację, z którą we własnym, dobrze pojętym interesie ludzie powinni porozumieć się na zasadach równości!

Julie nie mogła najpierw uwierzyć własnym uszom, ale prefekt rzeczywiście wypowiedział nazwisko Edmund Wells. Nachyliła się, aby lepiej słyszeć. Inni współbiednicy także się przysunęli, żeby usłyszeć historię tego szalonego naukowca, specjalisty od mrówek. Szczęśliwy, że udało mu się skupić uwagę otoczenia, prefekt kontynuował:

– Profesor Wells był tak bardzo przekonany o słuszności swojej obsesji, że skontaktował się z prezydentem republiki, aby zaproponować mu utworzenie... utworzenie... nigdy byście nie odgadli czego!

Cedząc słowa w celu wzmocnienia efektu, oznajmił:

– ...Ambasady mrówek. Z ambasadorem mrówek w naszym kraju!

Zapadła długa cisza. Każdy starał się zrozumieć, jak można było w ogóle rozważać tak dziwną koncepcję...

– Ale jakim sposobem wpadł na tak dziwny pomysł? – zapytała małżonka ambasadora Japonii.

Dupeyron wyjaśnił:

– Profesor Edmund Wells zapewniał, że opracował maszynę, która może tłumaczyć mowę mrówek na mowę ludzką i odwrotnie. Sądził, że dzięki niej możliwy będzie dialog między cywilizacją ludzką a myrmecęską.

– Co oznacza „myrmecęską”?

– To znaczy „mrówczą” po grecku.

– A czy to prawda, że można porozumiewać się z mrówkami? – zapytała inna pani.

Prefekt wzruszył ramionami.

– Ależ skąd! Moim zdaniem ten wybitny uczony przesadził trochę z naszą doskonałą lokalną wódką.

Po tych słowach dał znak kelnerom, aby znów napełnili kieliszki.

Przy stole siedział dyrektor jednego z biur projektów, który bardzo chciał otrzymać zlecenia i dotacje z urzędu miasta. Skwapliwie skorzystał z tej okazji, aby zwrócić na siebie uwagę radnych. Niemal wstając z krzesła, włączył się do rozmowy:

– Ja z kolei słyszałem, że można osiągnąć pewne wyniki, produkując syntetyczne feromony. Podobno potrafimy powiedzieć do nich: „Alarm” i „Chodźcie za mną”, sygnały podstawowe, w pewnym sensie. Wystarczy odtworzyć molekułę. Potrafimy to od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Można więc sobie wyobrazić, że jakiś zespół rozwinął tę technikę do tego stopnia, że rozszerzył ten zasób na inne słowa czy wręcz na całe zdania.

Poważny ton tej uwagi zmroził zebranych.

– Jest pan pewien? – zapytał prefekt.

– Przeczytałem to w bardzo poważnym czasopiśmie naukowym.

Julie także to przeczytała, ale nie mogła podać jako źródła *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*.

Inżynier ciągnął dalej:

– Aby odtworzyć molekuły języka zapachowego mrówek, wystarczy posłużyć się dwiema maszynami: spektrometrem masowym i chromatografem. Polega to na zwykłej analizie i syntezie molekuł. To tak, jakbyśmy kopiowali pewien zapach. Feromony języka mrówek są jedynie zapachami. Nie przekracza to umiejętności ucznia szkoły perfumeryjnej. Za pomocą komputera do każdej molekuły zapachowej podporządkowuje się następnie wypowiedziane słowo, i odwrotnie.

– Słyszałam o rozszyfrowywaniu języka tańca pszczół, ale nie języka zapachowego mrówek – zauważyła inna pani.

– Bardziej interesujemy się pszczołami, bo możemy je wykorzystać w gospodarce. Produkują miód, podczas gdy mrówki nie produkują nic użytecznego dla ludzi, być może dlatego zaniedbaliśmy badania nad ich językiem – odparł inżynier.

– I może także dlatego, że badania nad mrówkami są finansowane tylko przez firmy... produkujące środki owadobójcze – zauważyła Julie.

Zapadła niezręczna cisza, którą pospiesznie przerwał prefekt. Przecież jego goście nie przyszli do zamku na lekcję entomologii. Przyszli, żeby się rozerwać, potańczyć i dobrze zjeść. Prefekt odwrócił uwagę zebranych, wracając do

komicznych aspektów propozycji Edmunda Wellsa.

– Ale czy wyobrażają sobie państwo, jak by wyglądało utworzenie ambasady mrówek w Paryżu? Ja widzę tę scenę bardzo wyraźnie: mała mróweczka we fraku i w muszce przechadzała się między gośćmi przybyłymi na oficjalne przyjęcie. „Kogo mam oznajmić?” – zapytałby portier. – „Ambasadora świata mrówek” – odpowiedziałby mały owad, wręczając mu małą wizytówkę. – „Och, przepraszam – powiedziała by na przykład pani ambasador Gwatemali – wydaje mi się, że nadepnęłam na pana przed chwilą”. – „Wiem – odpowiedziałaby mrówka – jestem właśnie nowym ambasadorem świata mrówek, czwartym, który został zadeptany od początku obiadu!”.

Zaimprovizowany żart wszystkich rozbawił. Prefekt był zadowolony. Znowu udało mu się ściągnąć powszechną uwagę.

Potem śmiech ucichł:

– A... zakładając, że można z nimi rozmawiać, po co miałyby się tworzyć ambasadę mrówek? – zapytała żona ambasadora Japonii.

Prefekt poprosił gości, aby podeszli bliżej tak, jakby miał wyjawic im jakąś tajemnicę.

– Nie uwierzą państwo. Ten facet, profesor Edmund Wells, utrzymywał, że mrówki są potęgą gospodarczą i polityczną na ziemi, na mniejszą skalę niż my, ale mimo wszystko znaczną.

Prefekt zrobił pauzę w celu wzmocnienia efektu. Tak, jakby ta informacja sama w sobie była tak niesamowita, że potrzeba było nieco czasu, aby ją przyswoić.

– W zeszłym roku grupa tych „mrówczych szaleńców”, zwolenników profesora, zwróciła się do ministra badań naukowych, a nawet do samego prezydenta republiki, z wnioskiem o utworzenie ambasady mrówek. O, momencik, prezydent przesłał nam kopię tego pisma. Antoine, niech pan je znajdzie!

Sekretarz prefekta pogrzebał w teczce i podał mu kartkę.

– Proszę posłuchać, przeczytam je państwu – oznajmił prefekt.

Począł, aż zapadnie cisza, a następnie odczytał:

Żyjemy już od pięciu tysięcy lat, a nie zmieniamy naszych poglądów: demokrację wymyślili już starożytni Grecy, nasza matematyka, nasza filozofia, nasza logika liczą sobie już co najmniej trzy tysiące lat. Nic nowego pod słońcem. Nic nowego, ponieważ ciągle te same mózgi ludzkie funkcjonują w ten sam sposób. Poza tym te mózgi nie są w pełni

wykorzystywane, gdyż ich możliwości hamują ludzkie władze, którzy bojąc się utraty stanowisk, powstrzymują pojawianie się nowych koncepcji czy nowych idei. Dlatego właśnie ciągle mamy te same konflikty z tych samych przyczyn. Dlatego właśnie panuje to samo nieporozumienie między pokoleniami.

Mrówki oferują nam nowy sposób widzenia i myślenia o naszym świecie. Mają rolnictwo, technologię, dziwne wybory społeczne, które mogą rozszerzyć nasze własne horyzonty. Znalazły oryginalne rozwiązania problemów, których my nie potrafimy rozwiązać. Na przykład żyją w miastach liczących kilkadziesiąt milionów mieszkańców bez niebezpiecznych przedmieść, bez korków i bez problemu bezrobocia. Ambasada mrówek stanowiłaby oficjalny pomost między dwiema najbardziej rozwiniętymi ziemskimi cywilizacjami, które zbyt długo wzajemnie się ignorowały.

Dosyć długo gardziliśmy sobą. Dosyć długo się zwalczyliśmy. Nadszedł czas, aby ludzie i mrówki współpracowali jak równy z równym.

Po ostatnim zdaniu nastąpiła cisza. Następnie prefekt zaśmiał się krótko, a w ślad za nim śmiechem wybuchali kolejni współbiesiadnicy.

Ich rechot ustał dopiero, gdy wniesiono danie główne, sztufadę jagnięcą na maśle.

– Z pewnością pan Edmund Wells był trochę zaburzony! – powiedziała żona ambasadora Japonii.

– Był zupełnym wariatem!

Julie poprosiła o list. Chciała go przeanalizować. Długo nad nim rozmyślała, tak jakby chciała nauczyć się go na pamięć.

Goście byli przy deserze, gdy prefekt pociągnął komisarza Maximiliena Linarta za rękaw i poprosił go o rozmowę z dala od niedyskretnych uszu. Wtedy poinformował go, że przyjaźń między narodami nie była jedynym powodem, dla którego pofatygowali się tu ci wszyscy japońscy przemysłowcy. Należą do dużej grupy finansowej, która chce wybudować kompleks hotelowy w samym środku lasu Fontainebleau. Usytuowany pośród stuletnich drzew, na łonie dzikiej jeszcze przyrody, w pobliżu zabytkowego zamku, przyciągnąłby, ich zdaniem, turystów z całego świata.

– Ale las Fontainebleau został uznany za rezerwat przyrody zarządzeniem prefekta – zdziwił się komisarz.

Dupeyron wzruszył ramionami.

– Oczywiście nie jesteśmy na Korsyce czy na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie deweloperzy podpalają lasy, aby móc podzielić obszary chronione na działki budowlane. Ale musimy brać pod uwagę interes ekonomiczny.

Ponieważ Maximilien Linart się wahał, dodał tonem perswazji:

– Ma pan z pewnością świadomość, jak wysokie jest bezrobocie w naszym regionie. Pociąga to za sobą spadek bezpieczeństwa. Pociąga to za sobą kryzys. Nasze hotele zamykają się jeden po drugim. Nasz region umiera. Jeżeli nie zareagujemy szybko, młodzi ludzie wyjadą stąd i podatki lokalne nie wystarczą na zaspokojenie potrzeb naszych szkół, administracji i policji.

Komisarz Linart zastanawiał się, dokąd zmierza Dupeyron, wygłaszając to krótkie przemówienie, którego był jedynym odbiorcą.

– Czego pan zatem ode mnie oczekuje?

Prefekt podał mu kawałek ciasta malinowego.

– Na jakim etapie jest pańskie śledztwo w sprawie śmierci dyrektora wydziału prawnego Zarządu Gospodarki Wodnej i Lasów, Gastona Pinsona?

– To dziwna sprawa. Zwróciłem się o przeprowadzenie sekcji do wydziału medyczno-prawnego – odpowiedział policjant, biorąc do ręki deser.

– Czytałem w pana raporcie wstępnym, że ciało znaleziono w pobliżu betonowej piramidy wysokości około trzech metrów, której nikt dotychczas nie zauważył, ponieważ była ukryta pod wysokimi drzewami.

– W istocie. I co w związku z tym?

– To, że najwyraźniej są już ludzie, którzy nie przejmują się wcale zakazem stawiania budynków w samym środku chronionego rezerwatu przyrody. Wybudowali tę piramidę bez żadnych problemów, nikt się tym nie przejął, co stanowi niewątpliwie interesujący precedens w sprawie naszych przyjaciół, japońskich inwestorów. Czego się pan dowiedział na temat tej piramidy?

– Niewiele, z wyjątkiem tego, że nie figuruje w katastrze.

– Musi się pan koniecznie dowiedzieć więcej na ten temat – nalegał prefekt. – Nic nie stoi na przeszkodzie, aby prowadził pan jednocześnie śledztwo w sprawie śmierci Pinsona i budowy tej tajemniczej piramidy. Jestem pewien, że te dwa zdarzenia są ze sobą powiązane.

Powiedział to tonem nieznoszącym sprzeciwu. Ich rozmowę przerwał pewien obywatel, który prosił prefekta o pomoc w sprawie miejsca w żłobku.

Po deserze znowu rozpoczęły się tańce.

Było późno. Matka Julie zgodziła się pójść do domu. Kiedy wychodziła z córką, komisarz Linart zaproponował, że je odprowadzi.

Lokaj podał im płaszcze. Linart wsunął mu do ręki monetę. Czekali na podjeździe, aż ktoś z obsługi przyprowadzi samochód komisarza, gdy Dupeyron szepnął mu do ucha:

– Naprawdę bardzo mnie interesuje ta tajemnicza piramida. Zrozumiał pan?

28. LEKCJA MATEMATYKI

– Tak, proszę pani.

– Jeśli więc zrozumiałaś, powtórz pytanie.

– Jak przy użyciu sześciu zapalek zbudować cztery równe trójkąty równoboczne?

– Dobrze, podejdź do katedry, aby przedstawić nam odpowiedź.

Julie wstała z ławki i podeszła do tablicy. Nie miała najmniejszego pojęcia, jakiej odpowiedzi oczekiwała od niej nauczycielka matematyki. Pani profesor górowała nad nią z wyżyn katedry.

Julie bezradnie spojrzała dookoła. Klasa obserwowała ją złośliwie. Niewątpliwie wszyscy pozostali uczniowie znali rozwiązanie, na które ona nie mogła wpaść.

Popatrzyła na całą klasę w nadziei, że ktoś przyjdzie jej z pomocą.

Na twarzach uczniów malował się wyraz oscylujący między rozbawioną obojętnością, litością a ulgą, że nie jest się na jej miejscu.

W pierwszym rzędzie królowała złota młodzież, chłopcy nienagannie ubrani i pilni. Za nimi siedzieli ci, którzy im zazdrościli i przygotowywali się już do tego, aby ich słuchać. Następni byli średniacy i grupa „można się po tobie więcej spodziewać”, pracusie, którzy bardzo się starali, ale osiągnęli mierne wyniki. Wreszcie całkiem z tyłu, koło kaloryfera, rozsiadł się margines.

Było to „Siedmiu Krasnoludków”, od nazwy utworzonej przez nich grupy rockowej. Ci uczniowie raczej nie integrowali się z pozostałą częścią klasy.

– No więc, jak brzmi odpowiedź? – zapytała nauczycielka.

Jeden z Siedmiu Krasnoludków zaczął jej dawać znaki. Łączył i rozdzielał palce, jakby chciał utworzyć jakąś formę, której znaczenia nie rozumiała. – Cóż, moja

panno, rozumiem, że jesteś przygnębiona śmiercią ojca, ale w niczym nie zmienia to praw matematyki, które rządzą światem. Powtarzam: z sześciu zapalek można utworzyć cztery równe trójkąty równoboczne, pod warunkiem... Że jak się je rozmieści? Spróbuj myśleć inaczej. Daj upust swojej wyobraźni. Sześć zapalek, cztery trójkąty, pod warunkiem, że ułoży się je w kształt...

Julie zmrużyła jasnoszare oczy. Co to miała być za forma? Teraz chłopak coś pracowicie artykułował, dzieląc wyraźnie słowo na sylaby. Starła się czytać z ruchów warg. Pi... ro... ni... dy... – Pironidy – powiedziała.

Cała klasa wybuchnęła śmiechem. Jej sprzymierzeniec wyglądał na zrozpaczonego.

– Ktoś ci źle podpowiedział – oznajmiła nauczycielka. – Nie „pironidy” tylko pira-mi-dy. Ta forma obrazuje trzeci wymiar, oznacza głębię. Przypomina, że można utworzyć świat, aby z płaskiej powierzchni przejść do bryły. Nieprawdaż... Davidzie?

Dwa susy wystarczyły, aby znalazła się w głębi klasy, obok wyżej wymienionego.

– Davidzie, naucz się, że w życiu możesz oszukiwać pod warunkiem, że nie dasz się złapać. Widziałam twoje sztuczki. A panna niech wraca na swoje miejsce.

Napisała na tablicy:

CZAS

– Dziś nauczyliśmy się o trzecim wymiarze, głębi. Jutro tematem lekcji będzie czwarty wymiar: czas. Pojęcie czasu także ma swoje miejsce w matematyce. Gdzie, kiedy, w jaki sposób coś, co zdarza się w przeszłości, wywołuje skutek w przyszłości. Będę mogła zatem zadać wam jutro pytanie: „Dlaczego Julie Pinson dostała zero, w jakich okolicznościach i kiedy dostanie kolejne zero?”.

Kpiący śmiech kilku lizusów rozległ się z pierwszych rzędów. Julie wstała.

– Usiądź, Julie. Nie prosiłam, żebyś wstała.

– Nie, wolę stać. Mam pani coś do powiedzenia.

– Na temat zera? – spytała ironicznie nauczycielka. – Jest za późno. Twoje zero zostało już wpisane do dziennika.

Julie utkwiała swoje metalicznie szare oczy w nauczycielce matematyki.

– Powiedziała pani, że ważne jest, aby myśleć inaczej, ale pani myśli cały czas w ten sam sposób.

– Chciałabym, żebyś przestała być niegrzeczna.

– Nie jestem niegrzeczna, ale uczę pani przedmiotu, który nie ma żadnego praktycznego zastosowania w życiu. Stara się pani po prostu złamać nasze umysły, aby uczynić je uległymi. Jeżeli ktoś wbije sobie do głowy te pani historie o okręgach i trójkątach, to potem będzie w stanie zgodzić się absolutnie na wszystko.

– Czy chcesz dostać drugie zero, moja panno?

Julie wzruszyła ramionami, wzięła torbę, podeszła do drzwi i trzasnęła nimi ku ogólnemu zdziwieniu.

29. ENCYKLOPEDIA

ŻAŁOBA NIEMOWLĘCA: W wieku ośmiu miesięcy dziecko przeżywa okres szczególnego lęku, który pediatrzy nazywają „żałobą niemowlęcą”. Za każdym razem, gdy matka się oddala, niemowlę sądzi, że już nigdy więcej nie wróci. Ten strach wywołuje czasem łzy i symptomy lękowe. Nawet gdy matka wróci, niemowlę przestraszy się ponownie, kiedy ta znów odejdzie. W tym właśnie wieku niemowlę zaczyna rozumieć, że na tym świecie dzieją się pewne rzeczy, nad którymi nie panuje. „Żałobę niemowlęcą” można wytłumaczyć uświadomieniem sobie własnej autonomii w stosunku do świata. Dramat: „ja” jest inne od wszystkiego, co je otacza. Niemowlę i jego mama nie są nierozdzielnie związani, można zatem zostać samemu, można mieć kontakty z „obcymi, którzy nie są mamą” (za obcych są uważani wszyscy ci, którzy nie są mamą, i, ewentualnie, tatą).

Dopiero gdy dziecko osiągnie wiek osiemnastu miesięcy, akceptuje chwilowe zniknięcie matki.

Większość innych lęków, które człowiek poznaje później, aż do okresu starczego: strach przed samotnością, strach przed utratą ukochanej osoby, strach przed obcymi, będzie wynikać z tego pierwszego uczucia rozpacz.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

30. PANORAMA

Jest zimno, lecz strach przed nieznanym dodaje im sił. Rankiem dwanaście eksploratorek i stara mrówka ruszają w drogę. Trzeba się pospieszyć, żeby przestrzec rodzinne miasto przed groźbą „białej tablicy”.

Docierają do stromej skały górującej nad doliną. Zatrzymują się, by podziwiać widok i znaleźć najwygodniejszą ścieżkę prowadzącą w dół.

Możliwości wzrokowe mrówek różnią się zasadniczo od tych, którymi dysponują ssaki. Na każdą z ich gałek ocznych składa się wiele rurek, z których każda jest zbudowana z wielu soczewek optycznych. Dzięki temu dociera do nich niezliczona ilość rozmytych obrazów, które dopiero zebrane razem, dają jeden ostry obraz. Tak więc mrówki zdecydowanie gorzej niż ssaki zauważają szczegóły, lecz za to znacznie szybciej odnotowują najmniejszy ruch.

Spoglądając od lewej strony ku prawej stronie, eksploratorki widzą rozciągające się przed nimi torfowisko, nad którym latają brązowozłociste muchy i przekorne bąki, następnie wielkie, szmaragdowozielone i ukwiecone góry, żółtą prerię ziemi północy oraz czarny las zamieszkały przez paprocie, orlice i płochliwe zięby.

Ciepłe powietrze przyciąga komary, które puszczają się w pogoń za piegżami o niebieskawych piórkach.

Jeśli chodzi o paletę kolorów, wrażliwość mrówek również jest wyjątkowa. Bezbłędnie rozpoznają ultrafiolet, zdecydowanie gorzej czerwień. Ultrafiolet pozwala im dostrzec kwiaty i owady kryjące się pośród traw. Widzą nawet na kwiatach linie, będące pasami startowymi dla pszczoł zbierających nektar.

Po obrazach czas na zapachy. Czułki-radary eksploratorek wibrują z prędkością ośmiu tysięcy razy na sekundę, by lepiej chłonać otaczające je wonie. Wyczuwają w ten sposób zwierzynę łowną i drapieżniki. Wdychają zapach drzew i ziemi. Ziemia pachnie zarazem poważnie i łagodnie... Bez związku z jej cierpkim i słonym smakiem.

Obdarzona najdłuższymi czułkami 10 wspina się na cztery tylne nóżki, by wylapać jak najwięcej feromonów. Stojące przy niej towarzyszki rozkoszują się cudowną zapachową scenerią roztaczającą się wokół.

Mrówkom zależy na znalezieniu jak najkrótszej drogi do Bel-o-kan, muszą zatem przedostać się przez zagajnik dzwonków, których zapach czuć już z daleka, i nad którymi latają liczne motyle rusalki o skrzydłach ozdobionych motywem wielkich, zdumionych oczu. Lecz 16, znawczyni kartografii chemicznej,

przestrzega, że zakątek ten pełen jest skaczących pajaków i długonosych węży. Ponadto hordy wędrujących mrówek-kanibali przeprawiają się właśnie przez tę okolicę, i gdyby nawet belokanijki próbowały się przedostać górą, po gałęziach, z pewnością padłyby ofiarą tych bestii, które swego czasu karłowatym udało się zepchnąć aż na północ. 5 uważa, że najlepszym rozwiązaniem będzie zejście po zboczu góry, po prawej stronie.

103 683 słucha uważnie tych informacji. Wiele się wydarzyło, od kiedy opuściła Federację. Chciałaby wiedzieć, jaka jest nowa królowa Bel-o-kan. 5 odpowiada, że ma mały odwłok. Jak wszystkie władczynie tego miasta, nazywa się Belo-kiu-kiuni, lecz daleko jej do poprzedniczek. Po nieszczęściach minionego roku w mrowisku zabrakło płodnych mrówek. Aby zatem zwiększyć szanse na przeżycie zapłodnionej królowej, lot godowy odbył się w zamkniętym pomieszczeniu.

103 683 zauważa, że 5 sprawia wrażenie, jakby nie darzyła zbyt dużym szacunkiem nowej królowej, lecz w końcu żadna mrówka nie ma obowiązku podziwiać nawet własnej matki.

Dzięki przyczepnym poduszeczkom na nóżkach wojowniczkki schodzą po niemal pionowej ścianie skalnej.

31. MAXIMILIEN OBCHODZI URODZINY

Komisarz Maximilien Linart był człowiekiem szczęśliwym. Miał czarującą żonę o imieniu Scynthia i uroczą trzynastoletnią córkę Marguerite. Mieszkał w pięknej willi i cieszył się tymi dwiema rzeczami, symbolami dostatku, jakimi są duże akwarium i szeroki, wysoki kominek. W wieku czterdziestu czterech lat wydawało mu się, że osiągnął już wszystko. Ten dobry uczeń, zdobywca licznych dyplomów, był dumny ze swojej kariery. Rozwikłał już tyle spraw, że poproszono go, aby został wykładowcą w szkole policyjnej w Fontainebleau. Przełożeni mieli do niego zaufanie i nie ingerowali w prowadzone przez niego śledztwa. Od niedawna interesował się nawet polityką. Należał do bliskich znajomych prefekta, który dodatkowo cenił go jako tenisowego partnera.

Po powrocie do domu rzucił kapelusz na wieszak i zdjął marynarkę.

W salonie córka oglądała telewizję. Z jasnymi warkoczami upiętymi z tyłu przybliżała swoją delikatną twarz do ekranu. Niebieskie ruchome światło odbijało

się na jej twarzy całkowicie pochłoniętej obrazami, podobnie jak na twarzach około trzech miliardów innych istot ludzkich dokładnie w tej samej sekundzie. Z pilotem w ręce zmieniała kanały w poszukiwaniu niemożliwego do znalezienia idealnego programu.

Kanał 67. Film dokumentalny. Skomplikowane obyczaje seksualne szympanów karłowatych w Zairze zwróciły uwagę zoologów. Samce walczą ze sobą, posługując się swoim członkiem w zwodzie jak mieczem. Jednak w innych sytuacjach szympansy karłowate nigdy się nie kłócą. Co więcej, wydaje się, że ten gatunek zastąpił przemoc seksem.

Kanał 46. Program społeczny. Pracownicy służb oczyszczania miasta rozpoczęli strajk. Śmieciarze zaczną opróżniać kubły dopiero wtedy, gdy spełnione zostaną ich żądania. Domagają się rewaloryzacji płac i emerytur.

Kanał 45. Film erotyczny. „Tak! Ach, ach, ach! Ooo! Ach, och, och, nie! Och, tak! TAK! Jeszcze, jeszcze... Och, ach...! Nie, nie, nie, dobrze, tak, tak”.

Kanał 110. Wiadomości. Z ostatniej chwili. Masakra w przedszkolu, przed którym został zaparkowany samochód-pułapka. Obecny bilans to dziewiętnaścioro zabitych i siedmioro rannych wśród dzieci, dwie ofiary śmiertelne wśród opiekunów. Do ładunków wybuchowych dodano gwoździe i śruby, aby jeszcze zwiększyć zniszczenia na dziedzińcu rekreacyjnym. W komunikacie skierowanym do prasy do zamachu przyznało się ugrupowanie o nazwie „IP” – „Islam Planetarny”. W tekście zaznaczono, że zabijając jak największą liczbę niewiernych, jej członkowie mają pewność, że pójdą do raju. Minister spraw wewnętrznych apeluje do społeczeństwa o zachowanie spokoju.

Kanał 345. Rozrywka. Program *Żart dnia*. Oto nasza codzienna zabawna historyjka, którą będziecie mogli opowiedzieć swoim znajomym, aby ich rozśmieszyć: Pewien naukowiec bada lot muchy. Obcina jej jedną łapkę i mówi: „Leć”. I zauważa, że nawet bez tej łapki mucha nadal lata. Obcina dwie łapki i mówi: „Leć”. I znowu mucha leci. Obcina skrzydło i powtarza: „Leć”. Zauważa, że mucha już nie lata. Wtedy zapisuje w kajeciku: „Gdy musze obetnie się skrzydło, traci słuch”.

Marguerite zapisała w pamięci tę historię. Ale ponieważ wszyscy na pewno usłyszeli ją w tym samym momencie, z góry wiedziała, że nigdzie nie będzie mogła jej opowiedzieć.

Kanał 201. Muzyka. Nowy klip piosenkarki Alexandrine: „...cały świat jest miłością, miłością na zawsze, miłość, kocham cię, wszystko jest jedynie...”.

Kanał 622. Teleturniej.

Marguerite podeszła i odłożyła pilota. Lubiła ten teleturniej, *Pułapka w rozumie*, w którym należało rozwiązać czysto logiczną zagadkę. Uważała, że w telewizji ten program bez wątpienia należał do najbardziej przyzwoitych. Prowadzący powitał tłum, który przyjął go owacyjnie i ustąpił miejsca raczej pulchnej, starszej kobiecie uwięzionej w nylonowej sukience w kwiaty. Wydawała się zagubiona za grubymi szklami okularów w szylkretowej oprawie.

Prowadzący obnażył olśniewająco białe zęby. Wziął mikrofon:

– Cóż, pani Ramirez, zadam pani naszą nową zagadkę: Czy posługując się nadal sześcioma zapalkami, potrafiłaby pani utworzyć nie cztery ani nie sześć, ale OSIEM równych trójkątów równobocznych?

– Wydaje mi się, że za każdym razem osiągamy dodatkowy wymiar – westchnęła Juliette Ramirez. – Najpierw należało odkryć trzeci wymiar, później połączenie kątów dopełniających, a teraz... – Trzeci krok – włączył się prowadzący. Musi pani odnaleźć trzeci krok. Ale mamy do pani pełne zaufanie. Jest pani mistrzynią nad mistrzyniami *Pułapki*... – ...w *rozumie* – uzupełniła jednym głosem publiczność.

Pani Ramirez poprosiła o sześć zapalek. Natychmiast podano jej sześć cienkich, długich drewnianych patyków, których końce były pomalowane na czerwono, aby widzowie i telewidzowie nie stracili ani jednego, najdrobniejszego nawet gestu, czego z pewnością nie dałoby się uniknąć, gdyby posługiwała się zwykłymi zapalkami.

Poprosiła o odpowiedź. Prezenter otworzył kopertę i przeczytał:

– Pierwsze zdanie, które pani pomoże, brzmi: „Trzeba rozszerzyć swoje pole świadomości”.

Komisarz Maximilien Linart słuchał jednym uchem, kiedy jego wzrok padł na akwarium. Po powierzchni pływały martwe ryby, brzuchami do góry.

Czyżby przekarmił ryby? Chyba że zdziesiątkowały je wojny wewnętrzne. Silni niszczyli słabych. Szybcy niszczyli wolnych. W zamkniętym świecie szklanej klatki panował drapieżny darwinizm: przeżywali jedynie najgorsi i najbardziej agresywni.

Skorzystał z tego, że rękę miał już zanurzoną w wodzie, aby poprawić na dnie akwarium gipsowy okręt piracki i kilka plastikowych roślin wodnych. Być może ryby uważały tę operetkową dekorację za prawdziwą.

Policjant zauważył, że pompa filtru nie funkcjonuje. Przetarł palcami gąbki pełne ekskrementów. „Ileż odpadów wytwarza dwadzieścia pięć gupików!”. Dodatkowo dołał im też wody z kranu.

Wsypał trochę pokarmu tym, które przeżyły, sprawdził temperaturę wody i pozdrowił mieszkańców akwarium.

Ryby nie przejmowały się wcale staraniami swojego pana. Nie rozumiały, dlaczego palce wyjęły trupy gupików, celowo umieszczone w miejscu, w którym najlepiej fermentowałyby aż do momentu, gdy ich rozmiękłe ciała łatwiej można by rozdrobnić. Nie miały nawet prawa jeść nawzajem swoich kup, bo natychmiast wchłaniała je pompa. Najinteligentniejsi spośród mieszkańców akwarium zastanawiali się od dawna nad sensem życia, ale nie potrafili zrozumieć, jak to się dzieje, że codziennie jedzenie pojawia się cudownym zrządzeniem losu na powierzchni wody ani dlaczego pożywienie nigdy się nie rusza.

Dwie chłodne dłonie spoczęły na oczach Maximiliena.

– Wszystkiego najlepszego, tatusiu!

– Zupełnie zapomniałem, że to dziś – powiedział, całując żonę i córkę.

– A my nie! Przygotowałyśmy dla ciebie coś, co ci się spodoba – oznajmiła Marguerite.

Podniosła do góry tort czekoladowy ozdobiony połówkami orzechów, na którym rósł płonący las świeczek.

– Przeszukałyśmy wszystkie szuflady, ale znalazłyśmy tylko czterdzieści dwie – zauważyła.

Jednym dmuchnięciem zgasił wszystkie świece, a potem ukroił sobie kawałek tortu.

– Kupiliśmy ci też prezent!

Żona podała mu pudełko. Przełknął ostatni kęs czekolady, otworzył paczkę, w której leżał laptop ostatniej generacji.

– Co za znakomity pomysł! – ucieszył się.

– Wybrałam model lekki, szybki i z bardzo dużą pamięcią – podkreśliła żona. – Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił.

– Oczywiście, bardzo wam dziękuję, moje kochane.

Dotychczas zadowalał się wielkim komputerem biurowym, którego używał jako maszyny do pisania i liczenia. Mając w domu taki mały laptop, będzie mógł wreszcie wykorzystać wszystkie możliwości, jakie daje informatyka. Jego żona miała szczególny talent do znajdowania idealnych prezentów.

Córka oznajmiła, że też ma prezent. Dodała do komputera grę informatyczną o nazwie *Ewolucja*. „Stwórzcie sztuczną cywilizację, a zrozumiecie wasz świat tak, jakbyście byli jego bogami” – głosiła reklama.

– Spędzasz tyle czasu, zajmując się tym twoim akwarium z gupikami – oświadczyła Marguerite – że pomyślałam, że będziesz się dobrze bawił, mając do dyspozycji cały wirtualny świat, ludzi, miasta, wojny, właściwie wszystko!

– Wiesz, ja i gry... – powiedział, całując mimo wszystko ofiarodawczynię, żeby nie poczuła się zawiedziona.

Marguerite włożyła płytę do czytnika i zadała sobie wiele trudu, żeby wyjaśnić mu zasady funkcjonowania tego najnowszego, bardzo modnego produktu informatycznego. Na ekranie pojawiła się wielka równina, na której 5 tysięcy lat przed Chrystusem gracz miał za zadanie osiedlić swoje plemię. Następnie miał stworzyć osadę, ogrodzić je palisadą, a potem powiększać swoje tereny łowieckie, zbudować kolejne osady, prowadzić zwycięskie wojny z sąsiednimi plemionami, rozwijać zdobycze naukowe i artystyczne, budować drogi, wytyczyć pola, wprowadzić rolnictwo, przekształcić osady w miasta, aby plemię utworzyło naród, przetrwało i ewoluowało jak najszybciej.

– Zamiast zabawiać się z dwudziestoma pięcioma rybkami, będziesz miał do dyspozycji setki tysięcy wirtualnych ludzi. Podoba ci się?

– Oczywiście – odparł policjant, nie do końca jeszcze przekonany, starając się nie rozczarować swojej córki.

32. ENCYKLOPEDIA

KOMUNIKACJA NIEMOWLĄT: W trzynastym wieku król Fryderyk II postanowił przeprowadzić doświadczenie, aby ustalić, jak wyglądał język „naturalny” istot ludzkich. Umieścił sześćcioro niemowląt w jednym miejscu i nakazał mamkom, aby je karmiły, usypiały, kąpały, ale przede wszystkim... nigdy

do nich nie mówiły. Fryderyk II miał nadzieję, że dzięki temu odkryje, jaki język wybiorą te niemowlęta w naturalny sposób, „bez wpływu zewnętrznego”. Sądził, że będzie to łacina albo greka, jedyne – jego zdaniem – czyste, oryginalne języki. Jednakże eksperyment nie przyniósł oczekiwanych wyników. Nie tylko żadne z niemowląt nie zaczęło mówić w jakimkolwiek języku, ale cała szóstka zachorowała, a w końcu umarła. Niemowlęta mają potrzebę porozumiewania się, aby przeżyć. Mleko i sen nie wystarczają. Komunikacja jest również czymś niezbędnym do życia.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

33. PSOTNIKI, WCIORNASTKI I MAJKOWATE

Przyroda skalistej okolicy charakteryzuje się szczególną roślinnością i fauną. Schodząc niemal pionowo po skale, dwanaście młodych eksploratorek i stara wojowniczką odkrywają nieznaną okolicę. Goździki o czerwonych kielichach, parzące rozchodniki o mięsistych liściach i pieprzowym zapachu, inne o okrągłych liściach rosnące przy małych, białych kwiatkach, goryczka o długich niebieskich płatkach, rojniki o ostrych płatkach i ciasno przylegających do siebie liściach.

Trzyńście mrówek pokonuje tę ścianę z piaskowca, czepiając się jej swoimi lepkiemi poduszczkami na nóżkach.

Naraz, okrążywszy większy kamień, grupa myrmeczeńska wpada na stado psotników. Te małe owady, swego rodzaju skalne pchły, mają wyłupiaste oczy, pyszczyk przystosowany do mielenia pokarmu i czułki tak cienkie, że na pierwszy rzut oka są niemal niezauważalne.

Psotniki, zajęte lizaniem żółtych alg rosnących na skale, nie spostrzegły zbliżających się mrówek. Zresztą mrówki alpinistki nie są zbyt częstymi gośćmi w tej okolicy. Psotniki uważały do tej pory, że wertykalny świat zapewnia im pewien spokój – marny ich los, skoro teraz mrówki zaczynają przemierzać skałę w górę i w dół!

Nie zwlekając, uciekają.

Mimo swojego zaawansowanego wieku 103 683 celnie strzela pociskami z kwasu mrówkowego, trafiając za każdym razem w biegnące owady. Towarzyszki są pełne

podziwu. Jej odwłok jest jeszcze bardzo precyzyjny.

Grupa wędrowniczek zjada psotniki i stwierdza ze zdziwieniem, że smakują prawie tak samo jak samce komarów. A dokładniej, jak coś między samcem komara a zieloną ważką, lecz pozbawione są miętowego aromatu, charakterystycznego dla tej ostatniej.

Trzyście mrówek rudnic okrąży kolejne kwiaty: białe skalnice, inne o małych, gładkich płatkach oraz krzaczastą cieciorę.

Nieco dalej atakują stado wciornastków. 103 683 nawet ich nie rozpoznała. Życie wśród Palców spowodowało, że zapomniała o istnieniu niektórych gatunków. A trzeba przyznać, że jest ich wiele. Wciornastki, małe owady roślinożerne o delikatnych skrzydłach, sucho trzaskają w żuwaczkach. Rzeczywiście są kruche, lecz pozostawiają kwaśny posmak, który niespecjalnie zachwyca kubki smakowe belokanijek.

Belokanijki zabijają jeszcze kilka omacnic, czyli niezbyt urodziwych, lecz mięsistych motyli, krwistych krasanek natrawek, leniwych ważek o pełnych gracji ruchach: łagodnych gatunków, których jedyną zaletą jest bycie jadalnymi dla mrówek rudnic.

Zabijają chrząszcze z rodziny majkowatych, pękate owady, których krew i narządy płciowe zawierają kantarydynę, czyli substancję pobudzającą.

Gdy tak idą, wiatr rozwiewa ich czułki niczym niesforne kosmyki włosów. 14 strzela do młodej pomarańczowej biedronki w czarne kropeczki. Ze wszystkich stawów nożnych zwierzęcia wycieka cuchnąca, żółta krew.

103 683 nachyla się, żeby lepiej się jej przyjrzeć. To podstęp. Mała biedronka udaje martwą, lecz strzał z kwasu odbił się od jej zaokrąglonego pancerza, nie raniąc jej. Stara samotna mrówka zna tę taktykę. Niektóre owady wydzielają substancję, najczęściej o odrzucającym zapachu, gdy tylko zwęszą niebezpieczeństwo, chcąc w ten sposób zniechęcić drapieżnika. Płyn taki albo tryska wszystkimi otworami, albo też wypełnia pęcherzyki skórne i wypływa w okolicach stawów. W każdym wypadku fenomen ten odbiera apetyt nawet najbardziej wygłodniałym drapieżnikom.

103 683 zbliżyła się do ociekającego ohydłą substancją zwierzęcia. Zdaje sobie sprawę z tego, że te wymuszone krwotoki ustaną same z siebie, mimo to jest zafascynowana. Informuje towarzyszkę, że ten owad nie jest jadalny i mała

biedronka rusza w swoją stronę.

Belokanijki tymczasem nie tylko schodzą, zabijają i zjadają. Szukają też najdogodniejszej trasy. Lawirują wśród gzymsów i śliskich ścian. Czasami muszą się uwiesić, trzymając się jedynie nóżkami i zuwaczkami, żeby pokonać przepaście przyprawiające o zawrót głowy. Tworzą drabiny i pomosty z własnych ciał. Najważniejsze jest zaufanie – jeśli choćby jedna z trzynastu mrówek zawiedzie, cały żywy most się zawali.

103 683 wyszła z wprawy i ciężko jej zmusić się do tak dużego wysiłku. Tam, poza krańcem świata, w sztucznej okolicy zamieszkaney przez Palce, wszystko było w zasięgu zuwaczek.

Gdyby nie uciekła stamtąd, stałaby się słaba i leniwa jak Palec. Przekonała się bowiem, oglądając telewizję, że Palce są zwolennikami jak najmniejszego wysiłku. Nie potrafią nawet same zbudować własnego gniazda. Nie potrafią też polować. Nie potrafią uciekać przed drapieżnikami. Zresztą żaden im już nie zagraża.

Pewne przysłowie myrmeczeńskie mówi: *Funkcja tworzy narząd, brak funkcji niszczy narząd.*

103 683 wspomina czas spędzony w innym świecie.

Na czym mijały jej dni?

Jadła martwe pożywienie spadające z nieba, oglądała miniaturową telewizję i rozmawiała przez telefon (tłumaczący jej feromony na słyszalne słowa). „Jeść, telefonować, oglądać telewizję”: to trzy główne zajęcia Palców.

Nie o wszystkim opowiedziała swoim młodym towarzyszkom. Nie zdradziła im, że Palce porozumiewające się z nią były bardzo gadatliwe, lecz przy tym niekoniecznie skuteczne. Nie udało im się nawet przekonać pozostałych Palców, że rozmowa ich dwóch cywilizacji mogłaby mieć dla wszystkich ogromne znaczenie.

Ponieważ im się to nie udało, teraz 103 683 musi zadziałać: przekonać mrówki, że konieczny jest pakt z Palcami. Zresztą jest przekonana, że byłoby to niezwykle korzystne dla obu ziemskich cywilizacji. Powinny działać, łącząc swoje talenty, a nie przeciwstawiając je sobie.

Wspomina swoją ucieczkę. Nie było to wcale łatwe. Palce nie chciały pozwolić jej odejść. Zaczekała, aż zapowiedzą w miniaturowej telewizji sprzyjającą jej pogodę, i skorzystała ze szczeliny w siatce, by zbiec wczesnym rankiem.

Przed nią najtrudniejsza część zadania. Musi przekonać swoje siostry. To, że dwanaście młodych wojowniczek nie odrzuciło od razu jej projektu, dobrze wróży jej przedsięwzięciu.

Stara mrówka rudnica i jej towarzyszki skończyły wędrówkę po pionowej skale i znalazły się na brzegu przepaści. 103 683 zachęca pozostałe, żeby skracały jej imię.

– *Nazywam się 103 683. Ale możecie mnie nazywać 103.*

14 zauważa, że nie jest to jeszcze najdłuższe imię, z jakim się zetknęła. Swego czasu do ich oddziału należała młoda mrówka o imieniu 3 642 451. Bardzo dużo czasu zajmowało wywoływanie jej. Na szczęście podczas jednego z polowań została pożarta przez mięsożerną roślinę.

Kontynuują marsz.

Zatrzymują się w jednej z grot i wymieniają trofalaksje złożone z psotników i roztartych majkowatych. Stara mrówka czuje niesmak. Zdecydowanie majkowate są niesmaczne – zbyt gorzkie – nawet drobno zmielone.

34. ENCYKLOPEDIA

W JAKI SPOSÓB SIĘ ZINTEGROWAĆ: Trzeba wyobrazić sobie, że świadomość jest odsłoniętą częścią naszego umysłu. Mamy 10% odsłoniętej świadomości i 90% zastłoniętej podświadomości.

Kiedy zabieramy głos, nasze 10% świadomości musi zwrócić się do 90% podświadomości naszych słuchaczy.

W tym celu należy przełamać barierę braku zaufania, która nie pozwala informacjom dotrzeć na poziom podświadomości.

Jeden ze środków, aby to osiągnąć, polega na naśladowaniu tików drugiej osoby. Widać je jasno w trakcie posiłków. Wykorzystajcie więc ten kluczowy moment na uważną obserwację siedzącej naprzeciwko osoby. Jeżeli mówi, zasłaniając usta ręką, naśladujcie ją. Jeżeli je frytki palcami, zachowujcie się podobnie, a jeżeli często wyciera usta serwetką, idźcie raz jeszcze za jej przykładem. Postawcie sobie tak proste pytania, jak: „Czy patrzy na mnie, gdy mówi?”, „Czy mówi, gdy je?”.

Odtwarzając jej tiki, pojawiające się w najbardziej prywatnym momencie, jakim jest jedzenie, przekażecie automatycznie podświadome przesłanie: „Należę do tego

samego plemienia co ty, mamy te same obyczaje, a zatem z pewnością to samo wykształcenie i te same problemy”.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

35. LEKCJA BIOLOGII

Po matematyce była biologia. Julie od razu przeszła do pracowni „nauk ścisłych” ze zlewami z białego fajansu, słojami z embrionami zwierząt pływającymi w formalinie, brudnymi probówkami, osmalonymi palnikami Bunsena i nieporęcznymi mikroskopami.

Po dzwonku uczniowie i nauczyciel weszli do pracowni biologicznej. Każdy wiedział, że na te zajęcia należy się przebrać w odpowiedni strój, to znaczy białą bluzę. Ta jedna czynność wystarcza, aby sprawić wrażenie, że nosi się mundur „tych, którzy wiedzą”.

Na pierwszą część, nazywaną teoretyczną, nauczyciel wybrał temat „świat owadów”. Julie wyjęła zeszyt i zamierzała wszystko dokładnie zapisywać, aby sprawdzić, czy słowa nauczyciela odpowiadały konkretnym fragmentom *Encyklopedii*.

Nauczyciel rozpoczął:

– Owady stanowią 80% królestwa zwierząt. Najstarsze z nich, karaczany, pojawiły się co najmniej trzysta milionów lat temu. Następne były termity, dwieście milionów lat temu, potem mrówki, sto milionów lat temu. Abyście lepiej mogli zdać sobie sprawę z tego, od jak dawna owady żyją na naszej planecie, wystarczy, abyście przypomnieli sobie, że nasz najstarszy znany przodek istniał najwyżej trzy miliony lat temu.

Nauczyciel biologii podkreślił, że owady są nie tylko najstarszymi, ale również najliczniejszymi mieszkańcami Ziemi.

– Entomolodzy opisali około pięciu milionów różnych gatunków, a codziennie odkrywa się około stu nieznanymi. Dla porównania musicie wiedzieć, że również każdego dnia odkrywa się jeden nieznanymi gatunek ssaków.

Napisał wielkimi literami na tablicy: 80% królestwa zwierząt.

– A zatem ze wszystkich zwierząt żyjących na Ziemi owady są najstarszymi,

najliczniejszymi i, dodałbym, najslabiej znanymi.

Przerwał, a w pracowni rozległo się przeciągłe *bzzz...* Celnym ruchem nauczyciel złapał owada, który zakłócał lekcję, i pokazał jego zmiażdżone zwłoki, przypominające poskręcaną rzeźbę, z której wyłaniały się dwa skrzydła i głowa z jednym czułkiem.

– To była latająca mrówka – wyjaśnił. – Niewątpliwie królowa. U mrówek jedynie seksualne mają skrzydła. Samce giną w momencie kopulacji w czasie lotu. Królowe kontynuują lot bez nich, szukając dogodnego miejsca do złożenia jaj. Jak możecie stwierdzić sami, wobec ogólnego ocieplenia klimatu, obecność owadów jest bardziej odczuwalna.

Popatrzył na zmiażdżoną królową mrówek.

– Seksualne wlatują przeważnie tuż przed początkiem burzy. Obecność tej królowej wśród nas świadczy o tym, że jutro może padać.

Nauczyciel biologii rzucił umierającą zmiażdżoną królową na pożarcie stada żab, które mieszkały w akwarium długości około metra na pół metra szerokości. Płazy przepychały się, aby ze smakiem zjeść zdobycz.

– Ogólnie rzecz biorąc – kontynuował przerwany wykład – obserwujemy olbrzymi wzrost liczby owadów, i to owadów coraz bardziej odpornych na środki owadobójcze. W przyszłości możemy mieć jeszcze więcej karaluchów w szafkach, mrówek w cukrze, termitów w boazeriach, komarów i księżniczek-mrówek w powietrzu. Zaopatrzcie się w środki owadobójcze, aby się ich pozbyć.

Uczniowie zanotowali. Nauczyciel oznajmił, że teraz nadszedł czas, aby przejść do „części praktycznej” zajęć.

– Zajmiemy się dzisiaj systemem nerwowym, a ściślej nerwami obwodowymi.

Poprosił uczniów z pierwszego rzędu, aby wzięli ze zlewu słoje i rozdali je kolegom. W każdym słoju znajdowała się jedna żaba. Sam też podniósł jeden i wyjaśnił, na czym będzie polegać ćwiczenie. Najpierw należało wrzucić do pojemnika wacik nasączony eterem, aby uspić żabę, a następnie wyjąć płaza, ukrzyżować go za pomocą igieł na kauczukowej podkładce w zlewku, później zaś umyć go pod kranem, aby usunąć krew.

Potem mieli zdjąć skórę przy użyciu pincety i skalpela, odsłonić mięśnie, a następnie za pomocą baterii elektrycznej i dwóch elektrod znaleźć nerw odpowiedzialny za skurcze prawej nogi.

Wszyscy ci, którym uda się wywołać rytmiczne ruchy prawej nogi żaby, otrzymają automatycznie najwyższą ocenę.

Nauczyciel sprawdzał kolejno, jak postępują prace uczniów. Niektórym nie udało się uśpić żaby. Mimo że wrzucali kolejne waciki nasączone eterem do słoja, żaba nie dawała za wygraną. Innym wydawało się, że udało im się uśpić żabę, ale gdy próbowali ją przytwierdzić do kauczukowej podkładki za pomocą igieł, żaba rozpaczliwie machała w powietrzu wolną nogą.

Julie w ciszy obserwowała swoją żabę i przez moment miała wrażenie, że to ona sama patrzy na siebie z drugiej strony słoja. Koło niej Gonzague z dużą precyzją przebił już żabę dwudziestoma igłami z nierdzewnej stali.

Gonzague spojrział na swoją ofiarę. Zwierzę przypominało świętego Sebastiana. Nie do końca uśpione, starało się uwolnić, ale dobrze rozmieszczone igły nie pozwalały mu na żaden ruch. Ponieważ nie mogło krzyczeć, nikt nie mógł zrozumieć jego cierpienia. Żabie udało się tylko wydobyć z siebie słabe, żalodne „kooa”.

– Znam świetny dowcip. Wiesz, jaki jest najdłuższy nerw w ciele ludzkim? – zapytał Gonzague jednego ze swoich sąsiadów.

– Nie.

– Cóż, to nerw optyczny.

– Tak? Ale dlaczego?

– Bo wystarczy pociągnąć się za jeden włos na tyłku, aby mieć łzy w oczach!

Zarechotali, a Gonzague ucieszony z dobrego dowcipu szybko zdarł skórę, potem muskuł i znalazł nerw. Zręcznie przyłożył elektrody i prawa noga żaby wyraźnie zadrgała. Wiła się między igłami, którymi była przebita, i otworzyła pysk, ale sparaliżowana bólem nie była w stanie wydać żadnego dźwięku.

– Dobrze, Gonzague, dostajesz najwyższą ocenę – oznajmił nauczyciel. Ponieważ skończył pierwszy, nie mając innych zajęć, najlepszy uczeń w klasie przystąpił do poszukiwania innych nerwów, które mogłyby spowodować równie interesujące odruchy bezwarunkowe. Odsunął płaty skóry i wydobył szare mięśnie. W kilka sekund ciągle jeszcze żywa żaba została całkiem pozbawiona skóry, a Gonzague znajdował nowe nerwy, które również mogły wywołać ciekawe skurcze.

Dwóch kolegów podeszło, aby mu pogratulować i przyjrzeć się widowisku.

Z tyłu mniej zręczni, którzy nie mieli odwagi, aby użyć wystarczającej ilości eteru lub zbyt mocno wbić igieł, z zaskoczeniem obserwowali żaby, które wyskakiwały ze zlewu z ciałami pokłutymi bardziej niż ciała adeptów akupunktury. Żaby skakały po sali, nawet te, które miały jedną nogę całkowicie rozkrwawioną, potrząsając szaro-różowymi mięskami i wywołując zarówno chichot, jak i litość uczniów.

Julie zamknęła oczy z przerażenia i obrzydzenia. Jej własny system nerwowy zamieniał się w strumień kwasu chlorowodorowego. Nie miała siły, aby zostać w klasie.

Chwyciła słoje ze swoją żabą. A potem bez słowa opuściła salę.

Przebiegła przez dziedziniec szkolny, biegła wzdłuż kwadratowego trawnika, na którego środku wznosił się maszt z flagą ozdobioną dewizą szkoły: Z inteligencji rodzi się rozum.

Odłożyła słoje i postanowiła wzniecić pożar w kontenerze ze śmieciami. Starła się kilkakrotnie podpalić je zapalniczką, ale bez skutku. Ogień nie chciał się rozpaść. Podpaliła nawet kawałek papieru i wrzuciła go do śmietnika, ale płomień natychmiast zgasł.

„W gazetach bez przerwy piszą o tym, że wystarczy bezmyślnie rzucony niedopałek, aby spłonęły całe hektary lasu, a ja, mając papier i zapalniczkę, nie jestem w stanie nawet podpalić śmietnika!” – denerwowała się, nie ustając w wysiłkach.

Wreszcie udało jej się wzniecić mały pożar, na który patrzyły z żabą z równym zainteresowaniem.

– Ogień jest piękny, pomścimy cię, mała żabko... – wyszeptała.

Popatrzyła na płonący kontener ze śmieciami. Ogień jest czarny, czerwony, żółty, biały. Śmietnik płonął, zmieniając ohydne odpadki w ciepło i kolory. Płomienie osmały mury. Wąska smuga gryzącego dymu zaczęła unosić się nad kontenerem.

– Żegnaj, okrutne liceum – westchnęła Julie, oddalając się.

Uwolniła żabę, która nie oglądając już dłużej pożaru, umknęła szybko wielkimi susami, aby schować się w kratce kanalizacyjnej.

Julie zatrzymała się na chwilę, aby z oddali zobaczyć, czy zapali się całe liceum.

36. U STÓP GÓRY

Udało się. Koniec tego etapu podróży.

Trzynaście mrówek dotarło do podnóża skały.

Nagle 103 zaczyna drżeć. Porusza czułkami. Pozostałe zbliżają się do niej. Stara wojowniczką jest chora. To przez ten wiek... Ma trzy lata. Bezpłciowa mrówka rudnica żyje zazwyczaj około trzech lat.

Dotarła zatem do kresu swojej egzystencji. Tylko płodne mrówki, a konkretnie królowe, mogą żyć nawet piętnaście lat.

5 jest zaniepokojona. Obawia się, że 103 umrze, zanim opowie pozostałym o Palcach i o zagrożeniu białą tablicą. Koniecznie muszą lepiej je poznać. Odejście 103 w tej chwili byłoby niepowetowaną stratą dla całej cywilizacji myrmeczeńskiej. Dla mrówek jajeczka są zdecydowanie cenniejsze niż starsze osobniczki, lecz tu po raz pierwszy 5 dochodzi do znanej od dawna w innym wymiarze prawdy, że „gdy umiera starzec, wraz z nim ginie cała biblioteka”.

5 wpycha w chorą mrówkę miazgę złożoną z psotników. O ile jedzenie nie zwalnia procesu starzenia się, o tyle z pewnością go umila.

– *Musimy wspólnie znaleźć sposób na to, by ją ocalić* – rozkazuje 5.

W świecie mrówek twierdzi się, że na wszystko musi znaleźć się sposób. Jeśli się go nie znajduje, oznacza to jedynie, że źle się szuka.

103 zaczyna wydzielać zapachy kwasu oleinowego, opary śmierci charakterystyczne dla starych mrówek u kresu życia.

5 zwołuje swoje towarzyszy na Porozumienie Absolutne. Polega ona na podłączeniu swojego umysłu do umysłów innych osobników. Dwanaście umysłów stanie się jednym.

Pytanie brzmi: Jak rozbroić bombę biologiczną z opóźnionym zapłonem, która zagraża życiu tej cennej eksploratorki?

Padają przeróżne odpowiedzi. Najbardziej szalone pomysły. Każda chce przedstawić swoją propozycję.

6 proponuje, by nakarmić 103 korzeniem wierzby płaczącej, zawierającym kwas salicylowy, będący według niej najskuteczniejszym lekarstwem na każdą dolegliwość. Odpowiadają jej jednak, że starość to nie choroba.

8 sugeruje, że skoro jedynie jej mózg zawiera te cenne informacje, można by go

wydobyć z czaszki 103 i umieścić w młodym i zdrowym ciele. Na przykład w ciele 14. 14 nie jest zachwycona tym pomysłem. Pozostałe także nie. To zbyt ryzykowne, stwierdza grupa.

– *Czemu zatem nie wyssać jak najszybciej wszystkich feromonów z jej czułków?* – nadaje 14.

– *Jest ich zbyt dużo* – wzdycha 5.

103 pokasłuje, jej wargi drżą.

7 zauważa, że gdyby 103 była królową, miałyby przed sobą jeszcze dwanaście lat życia.

– *Gdyby 103 była królową...*

5 rozważa ten pomysł. Zmiana 103 w królową nie jest całkowicie niemożliwa. Wszystkie mrówki wiedzą, że istnieje substancja pełna hormonów, pszczele mleczko, dzięki której bezpłciowy owad może zmienić się w płodnego osobnika.

Przyspieszają tok myślenia. Nie mogą użyć pszczelego mleczka produkowanego przez pszczoły. Te dwa gatunki zbyt się różnią pod względem genetycznym. Jednak pszczoły i mrówki łączy pewien wspólny przodek: osa. Osy nadal istnieją, a niektóre z nich potrafią jeszcze produkować pszczele mleczko, żeby sztucznie tworzyć zastępcze królowe-osy w sytuacji, gdy ich królowa przypadkowo zginie.

A więc istnieje sposób na odsunięcie w czasie starości. Czułki dwunastu mrówek poruszają się żywo. Ale gdzie znaleźć mleczko os?

12 twierdzi, że zna pewne gniazdo os. Ponadto ponoć była kiedyś przypadkowym świadkiem metamorfozy bezpłciowej osy w królową. Poprzednia królowa zmarła wskutek nieznannej choroby, a robotnice wybrały jedną spośród nich, by ją zastąpiła. Podały jej ciemną substancję do zjedzenia i już po kilka chwilach kandydatka na królową zaczęła wydzielać zapachy samicy. Inna robotnica została wówczas wydelegowana, by posłużyć jej za samca. Podobna substancja spowodowała, że zaczęła ona po chwili pachnieć samcem.

12 nie uczestniczyła w zbliżeniu dwóch płciowych os stworzonych w wyniku awaryjnej sytuacji, lecz wiele dni później, znalazłszy się ponownie w tamtej okolicy, stwierdziła, że gniazdo nadal jest aktywne, a populacja znacznie się powiększyła.

– *Czy umiałyby trafić w to miejsce, gdzie żyją te osy?* – pyta 5.

– *Znajduje się w pobliżu północnego dębu.*

103 jest bardzo podekscytowana. Stać się płciową... Posiadać płęć. Więć to możliwe? Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewała się takiego cudu. Natychmiast wróciłyby jej siły i zdrowie.

Jeśli to naprawdę możliwe, to tak, chce tego! W końcu to niesprawiedliwe, że jedynie przypadek decyduje o tym, że jedne mają wszystko, a drugie nic. Stara eksploratorka unosi czułki i zwraca je w stronę dębu.

Pozostaje jeszcze jeden istotny problem: wielki dąb rośnie daleko stąd i aby do niego dotrzeć, trzeba pokonać jałowe terytoria północne, zwane suchą i białą pustynią.

37. PIERWSZY RZUT OKA NA TAJEMNICZĄ PIRAMIDĘ

Wszędzie wilgotne drzewa i zieleń.

Komisarz Maximilien Linart kierował się ostrożnie w stronę tajemniczej piramidy w lesie.

Zauważył węęa dziwnie pokrytego kolcami niczym jeę, ale wiedział, że las kryje wiele niesamowitych stworzeń. Policjant nie lubił lasu. Było to dla niego wrogie środowisko, pełne pełzających, latających, mrowiących się, obślizgłych zwierząt.

Las był miejscem wszystkich czarów i uroków. Niegdyś podróżnych obrabowywali tutaj bandyci. Zaszywały się tu czarownice, aby oddawać się praktykom ezoterycznym. Większość ruchów rewolucyjnych właśnie w lasach organizowało *guerille*. Wykorzystał też to miejsce Robin Hood, aby uprzykrzyć życie szeryfowi w Sherwood.

Kiedy był młodszy, Maximilien marzył o tym, że pewnego dnia las zniknie. Wszystkie te węęe, wszystkie te komary, wszystkie te muchy i pająki już zbyt długo kpiły sobie z ludzi. Marzył o betonowym świecie, w którym nie będzie już ani kawałeczka dżungli. Nic, tylko betonowe płyty po horyzont. Byłoby to bardziej higieniczne. Poza tym można by wtedy jeędzić na rolkach na długie dystanse.

Aby nie zwracać uwagi, Maximilien ubrał się jak na spacer.

„Prawdziwy kamuflaż nie polega na kopiowaniu pejzaęu, ale na wtopieniu się weń w naturalny sposób”. Zawsze tego uczył młodych rekrutów w szkole policyjnej: na pustyni łatwiej zauważyć człowieka w ubraniu w kolorze piasku niż wielbłąda.

Wreszcie dostrzegł podejrzany obiekt.

Maximilien Linart wyjął lornetkę i zaczął obserwować piramidę.

Odbicie drzew zwielokrotnione przez lustrzane tafle na pierwszy rzut oka maskowało budynek. Zdradzał go jednak pewien szczegół. Były dwa słońca. O jedno za dużo.

Podszedł bliżej.

Lustro było świetnym sposobem na kamuflaż. Właśnie za pomocą luster prestidigitatorzy sprawiają, że znikają dziewczęta zamknięte w skrzyniach przebijanych ostrą szablą. To zwykłe złudzenie optyczne.

Wyjął notes i skrzątnie zapisał:

1. Śledztwo w sprawie piramidy w lesie.

a. Obserwacja z pewnej odległości.

Przeczytał to, co zapisał, i czym prędzej wyrwał kartkę. To nie była piramida, tylko czworościan. Piramida ma cztery boki i dodatkowo podstawę, to znaczy razem pięć boków. Czworościan ma trzy boki i podstawę, to znaczy razem cztery boki. Poprawił więc:

1. Śledztwo w sprawie czworościanu w lesie.

Jedną z mocnych stron Maximiliena Linarta była właśnie zdolność do dokładnego określania tego, co widział, podczas gdy inni skupiali się na tym, co sądzili, że widzą. Ten dar „obiektywizmu” pozwolił mu już unikać licznych błędów.

Studia w dziedzinie rysunku wzmocniły u niego tę zdolność. Kiedy się rysuje, widząc drogę, myśli się o drodze i ma się ochotę narysować dwie kreski równoległe. Jeśli jednak odwzorowuje się „obiektywnie” to, co się widzi, perspektywa sprawia, że patrząc w przód, droga wygląda jak trójkąt, jej dwie krawędzie to zbiegające się linie, które łączą się w głębi, na horyzoncie.

Maximilien Linart wyostrzył lornetkę i wrócił do badania piramidy. Zdziwił się. Nawet jego ogarnęła obsesja słowa „piramida”. Prawdą jest, że „piramida” przywodziła na myśl zagadkę i tajemnicę. W związku z tym wyrwał kartkę. Raz jedyńy nie będzie dbał o doskonałą dokładność.

1. Śledztwo w sprawie piramidy w lesie.

a. Obserwacja z pewnej odległości.

– Budynek dosyć wysoki. Ma około trzech metrów. Zamaskowany przez krzewy

i drzewa.

Po ukończeniu szkicu policjant podszedł bliżej. Znajdował się w odległości zaledwie kilku metrów od piramidy, gdy zobaczył w miękkiej ziemi ślady stóp i łap psa, które z pewnością pozostawił Gaston Pinson i jego irlandzki seter. Również je narysował.

Maximilien obszedł budynek. Nie było drzwi, okna, komina ani skrzynki na listy. Nic nie przypominało siedziby ludzkiej. Jedynie beton pokryty taflami lustra i przezroczysty wierzchołek.

Cofnął się pięć kroków i długo przyglądał się budowli. Jej proporcje i forma były harmonijne. Niezależnie od tego, kim był architekt, który zaprojektował tę dziwną piramidę w środku lasu, osiągnął doskonałość architektoniczną.

38. ENCYKLOPEDIA

ZŁOTA LICZBA: Złota liczba to dokładny stosunek długości dwóch odcinków, dzięki któremu można budować, malować, rzeźbić, wzbogacając własne dzieło w ukrytą moc.

Na podstawie tej liczby zbudowano piramidę Cheopsa, świątynię Salomona, Partenon i większość kościołów romańskich. Wiele renesansowych obrazów odpowiada również zasadzie złotego podziału.

Uznaje się, że każda budowla, przy której powstawaniu nie uwzględniano w żaden sposób tej zasady, w końcu się zawali.

Złotą liczbę oblicza się w następujący sposób:

$$\frac{1 + \sqrt{5}}{2}$$

To jest 1,6180335.

To tysiącletnia tajemnica. Ta liczba nie jest jedynie czystym wytworem ludzkiej wyobraźni. Sprawdza się także w przyrodzie. Odpowiada na przykład odległości między liśćmi na drzewach, która sprawia, że nie rzucają na siebie wzajemnie cienia. To także liczba określająca położenie pępka w stosunku do całego ciała ludzkiego.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

39. WYJŚCIE ZE SZKOŁY

Budynek liceum miał kształt kwadratu.

Trzy betonowe skrzydła w kształcie litery „U” zamykało metalowe ogrodzenie pociągnięte płynem antykorozyjnym.

„Liceum w formie kwadratu kształtujące logicznie myślące umysły”.

Miała nadzieję, że płomienie obejmą niedługo mury tego budynku, który – jej zdaniem – przypominał więzienie, koszary, przytułek, szpital, azyl dla wariatów, krótko mówiąc: jedno z tych geometrycznych miejsc, gdzie w odosobnieniu trzyma się ludzi, których nie chce się spotkać na ulicy.

Dziewczyna obserwowała ciemną smugę dymu, która unosiła się nad śmietnikiem. Wkrótce pojawił się uzbrojony w gaśnicę woźny i przykrył początek katastrofy warstwą suchego lodu.

Niełatwo jest walczyć ze światem.

Szła przez miasto. Wszystko dookoła niej cuchnęło zgnilizną. Z powodu strajku śmieciarzy ulice pełne były kubłów, z których wysypywały się odpady typowe dla ludzi: małe, dziurawe, niebieskie torby plastikowe pełne rozkładającej się żywności, brudne papiery, lepkie chusteczki...

Julie zatkała sobie nos. Gdy przechodziła przez pustą o tej porze dzielnicę willową, miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. Odwróciła się, ale nie zobaczyła nikogo, i szła dalej. Ponieważ wrażenie to się nasilało, rzuciła okiem na lusterko wsteczne samochodu zaparkowanego na chodniku, i stwierdziła, że się nie myli. Szło za nią trzech osobników. To byli uczniowie z jej klasy, należący do kasty uczniów z pierwszych rzędów, na czele z Gonzague’em Dupeyronem, zawsze ubranym w koszulę z jedwabną apaszką na szyi.

Instynktownie wyczuła niebezpieczeństwo i przyspieszyła kroku.

Zbliżali się do niej, jeszcze bardziej więc przyspieszyła. Nie mogła biec, ponieważ bolała ją pięta po upadku w lesie. Słabo znała tę dzielnicę. Zwykle szła inną drogą. Skręciła w lewo, a potem w prawo. Nadal dudniły za nią kroki chłopców. Skręciła jeszcze raz. Oj! Ta droga kończyła się ślepym zaułkiem, nie można było zawrócić. Schowała się pod portykiem, ściskając na piersi plecak z *Encyklopedią wiedzy względnej i absolutnej*, tak jakby miał posłużyć jej za tarczę.

– Musi gdzieś tu być – odezwał się jakiś głos. – Nie mogła uciec. To ślepa uliczka.

Zaczęli po kolei przeszukiwać portyki. Zbliźali się. Dziewczyna czuła, jak zimny pot spływa jej wzdłuż kręgosłupa.

W głębi portyku były drzwi i dzwonek. „Sezanie, otwórz się” – błagała Julie, rozpaczliwie naciskając przycisk.

Za drzwiami słycać było jakieś hałasy, ale drzwi się nie otworzyły.

– Gdzieś się podziała, Pinsoneczko moja mała – zarechotała banda.

Julie skuliła się przy drzwiach, podciągając kolana do podbródka. Nagle pojawiły się trzy roześmiane twarze.

Ponieważ Julie nie mogła uciec, postanowiła stawić im czoła. Wstała.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytała głosem, który miał uchodzić za stanowczy.

Zbliżyli się.

– Zostawcie mnie w spokoju.

Zbliźali się coraz bardziej, wolno, spokojnie, napawając się przerażeniem malującym się w jasnoszarych oczach i widząc, że dziewczyna nie ma możliwości ucieczki.

– Na pomoc! Chcą mnie zgwałcić!

W zaułku natychmiast zamknęły się nieliczne otwarte okna i pogasły światła.

– Na pomoc! Policja!

W dużych miastach trudno było skontaktować się z policją, przyjeżdżała późno, zatrudniała za mało ludzi. Nie było naprawdę skutecznej ochrony indywidualnej.

Trzech elegancików nie spieszyło się. Zdecydowana, że nie da się złapać, Julie podjęła ostatnią próbę: ze spuszczoną głową rzuciła się do przodu. Udało jej się wyminąć dwóch prześladowców, chwyciła głowę Gonzague’a tak, jakby chciała go pocałować, i czołem uderzyła go w nos. Rozległ się suchy trzask przypominający odgłos łamanego drewna. Ponieważ podniósł rękę do nosa, Julie skorzystała z okazji, aby kolanem kopnąć go między nogi. Gonzague opuścił rękę w kierunku penisa i zgięty wpół wydał słaby jęk.

Julie od zawsze wiedziała, że to słaby, a nie mocny punkt.

O ile Gonzague był chwilowo wyłączony z walki, o tyle dwóch pozostałych było w pełni sił. Chwycili ją za ręce. Gdy próbowała się wyrwać, spadł jej plecak, z którego wypadła *Encyklopedia*. Usiłowała przesunąć ją nogą i jeden z chłopców zrozumiał, że ta książka jest dla niej ważna. Schylił się, żeby ją podnieść.

– Nie dotykaj tego! – wrzasnęła Julie, podczas gdy trzeci kompan, nie

przejmując się jej rozpaczliwymi ruchami, wykręcał jej ręce na plecach.

Gonzague, krzywiąc się jeszcze, ale jednocześnie starając się uśmiechać, jakby chciał powiedzieć: „nawet mnie nie zabolalo”, sięgnął po skarb dziewczyny.

– En-cy-klo-pe-dia wie-dzy wzglę-dnej i ab-so-lut-nej... tom trzeci – przeczytał. – Co to ma być? Wygląda na podręcznik czarnej magii.

Najsilniejszy trzymał ją mocno, a dwóch pozostałych kartkowało książkę. Natrafili na przepisy kulinarne.

– To jakieś babskie bzdury! To idiotyczne! – wrzasnął Gonzague, wrzucając do rynsztoka tajemną księgę Edmunda Wellsa.

Każdemu *Encyklopedia* ujawniała inne oblicze.

Uderzając z całych sił zdrową piętą w palce u nóg oprawcy, Julie udało się na chwilę uwolnić i złapać książkę w ostatnim momencie, zanim wpadła do kratki ściekowej. Ale trzech chłopców już rzuciło się na nią. Walała na oślep pięściami, chciała podrapać im twarze, ale nie miała paznokci. Została jej jeszcze jedna naturalna broń: zęby. Wbiła siekacze w policzek Gonzague’a. Poląła się krew.

– Ugryzła mnie, wariatka. Nie puszczajcie jej! – zakwiczał prześladowca. – Zwiążcie ją!

Przywiązali ją do latarni za pomocą chusteczek.

– Zapłacisz mi za to – wymamrotał Gonzague, pocierając rozkrwawiony policzek.

Z kieszeni wyjął nóż segmentowy i obrócił go, błyskając ostrzem.

– Teraz ja potnę ci ciało, moja słodka!

Plunęła mu w twarz.

– Trzymajcie ją mocno, chłopcy. Wytnę jej kilka symboli geometrycznych, które pomogą jej powtórzyć matematykę.

Przedłużając przyjemność, rozciął jej od dołu do góry długą, czarną spódnicę, wyciął z niej kawałek materiału, który wsunął do kieszeni. Nóż posuwał się do góry nieznośnie wolno.

„Głos również może przemienić się w broń, która zadaje ból” – uczył ją Yankélévitch.

– Y-I-I-I-A-A-A-A-I-I-I-I-A-H-H-H-H-H-H-H...

Krzyczała potwornie głośno na trudnych do zniesienia wysokich tonach. Na ulicy zadrżały szyby w oknach. Chłopcy zatkali sobie uszy.

– Trzeba będzie ją zakneblować, aby móc spokojnie pracować – stwierdził jeden z nich.

Pospiesznie wtłoczyli jej do ust jedwabną chustkę. Julie z trudem rozpaczliwie łapała powietrze.

Popołudnie dobiegało końca. Latarnia zapaliła się dzięki fotokomórce reagującej na słabsze światło dzienne. Pojawienie się sztucznego światła nie zaniepokoiło prześladowców dziewczyny. Dalej stali w oświetlonym stożku, bawiąc się nożem. Ostrze sięgnęło kolan. Gonzague zrobił długie poziome nacięcia w delikatnej skórze Julie. – To za mój nos.

Jedno nacięcie pionowe, w kształcie krzyża.

– A to za cios między nogi.

Trzecie nacięcie na kolanie, w tę samą stronę.

– Za ugryzienie w policzek. A to dopiero początek.

Nóż znowu zaczął powoli przesuwac się w górę spódnicy.

– Potnę cię tak, jak żabę na biologii – oznajmił jej Gonzague. – Wiem doskonale, jak to zrobić. Dostałem najwyższą ocenę, pamiętasz? Nie. Nie pamiętasz. Żli uczniowie wychodzą przed końcem lekcji.

Raz jeszcze zaświecił ostrzem noża, aby je bardziej wysunąć.

Zacząła tracić oddech, przerażona, na skraju omdlenia. Przypomniała sobie, że przeczytała w *Encyklopedii*, że w wypadku niebezpieczeństwa, przed którym nie można uciec, należy wyobrazić sobie kulę nad głową i po kolei umieścić w niej wszystkie części swojego ciała, aż stanie się ono pustą powłoką, pozbawioną ducha.

Piękna teoria, łatwo można to sobie wyobrazić, gdy siedzi się spokojnie w fotelu, ale trudno wprowadzić ją w czyn, gdy jest się przywiązany do metalowego słupa i dręczony przez łobuzów!

Podeksytowany przez tak ładną, obezwładnioną dziewczynę, najgrubszy z nich trzech dmuchnął jej w twarz ciężkim oddechem i pogładził długie, czarne, miękkie jak aksamit włosy. Drżącymi palcami dotknął białej, przezroczystej szyi o nabrzmiąłych żyłach.

Związana Julie nerwowo się poruszyła. Mogła znieść dotyk przedmiotu, nawet ostrza noża, ale w żadnym wypadku nie znosiła dotyku ludzkiej skóry. Jej źrenice się rozszerzyły. Twarz przybrała w jednej chwili kolor piwonii. Całe ciało przeszedł

dreszcz i wydawało się, że eksploduje. Wypuściła powietrze nosem. Gruby się cofnął. Nóż zatrzymał się w powietrzu.

Największy z nich widział już podobny stan.

– Ma atak astmy – oznajmił.

Chłopcy cofnęli się przerażeni tym, że ich ofiara cierpi ból, którego jej nie zadali. Dziewczyna zrobiła się purpurowa. Szarpała swoje więzy tak, że aż porozcinała sobie skórę.

– Zostawcie ją – rozległ się głos.

Długi cień na trzech nogach rozciągał się u wylotu zaułka. Napastnicy odwrócili się i rozpoznali Davida: trzecią nogę stanowiła laska, dzięki której mógł chodzić mimo zeszywniającego zapalenia mięśni kręgosłupa.

– Co to, Davidzie, uważasz się za Goliata? – zakpił Gonzague. – Przykro mi, stary, ale jest nas trzech, a ty jesteś sam, do tego malutki i niespecjalnie umięśniony.

Banda zarechotała. Ale śmiech nie trwał długo.

Inne cienie kładły się już koło trzech nóg. Mimo wytrzeszczonych oczu Julie rozpoznała Siedmiu Krasnoludków, uczniów z ostatniego rzędu.

Ci z pierwszego rzędu rzucili się na nich, ale Siedmiu Krasnoludków się nie cofnęło. Najgrubszy z nich zadawał ciosy brzuchem. Azjata uprawiał jakąś bardzo skomplikowaną walkę wschodnią w rodzaju taekwondo. Chudzielec uderzał prosto w twarz. Krępa dziewczyna z krótkimi włosami walczyła łokciami, a szczupła z jasną grzywą posługiwała się dziesięcioma paznokciami jak dziesięcioma ostrzami. Ich zniewieściały kolega celnie kopał po łydkach. Najwyraźniej nie umiał nic innego, ale to rzeczywiście potrafił. Wreszcie David zakręcił laską uderzając trzech napastników po rękach.

Gonzague i jego poplecznicy nie chcieli tak łatwo oddać pola. Skupili się, także rozdając ciosy i tnąc powietrze nożem. Ale przy stosunku sił siedmiu na trzech szala zwycięstwa szybko przechyliła się na korzyść większości i prześladowcy Julie woleli uciec, czyniąc obraźliwe gesty.

– Jeszcze się policzymy! – krzyknął Gonzague, uciekając.

Julie nadal się dusiła. Zwycięstwo nie uśmierzyło ataku astmy. David pospieszył z pomocą w stronę latarni. Delikatnie wyjął knebel z ust dziewczyny, a potem za pomocą paznokci rozwiązał więzy krępujące jej nadgarstki i kostki, które

rozluźniła, wrywając się.

Gdy tylko ją uwolnił, rzuciła się do plecaka, z którego wyjęła inhalator. Mimo że była bardzo słaba, zdołała zgromadzić wystarczająco energii, aby włożyć sobie końcówkę do ust i nacisnąć ze wszystkich sił. Zaczęła łapczywie wdychać lekarstwo. Każdy oddech przywracał jej kolory na twarzy i uspokajał ją.

Potem pospiesznie podniosła *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*, którą szybko schowała do plecaka.

– Całe szczęście, że tędy przechodziliśmy – zauważył Ji-woong.

Julie rozmasowywała sobie nadgarstki, aby przywrócić krążenie krwi w dłoniach.

– Ich szefem jest Gonzague Dupeyron – powiedziała Francine.

– Tak, to banda Dupeyrona – potwierdziła Zoé. – Należą do małej grupy o nazwie Czarne Szczury. Zdążyli już nieźle nabroić, ale policja nie interweniuje, bo wujek Gonzague’a jest prefektem.

Julie milczała, skupiona w tej chwili wyłącznie na tym, aby odzyskać oddech. Obiegła wzrokiem Siedmiu. Rozpoznała niskiego chłopca z laską, Davida. To on starał się jej pomóc na lekcji matematyki. Pozostałych znała jedynie z imienia: Ji-woong – Azjata, Léopold – wysoki milczek, zniewieściały sarkastyczny Narcisse, Francine – smukła rozmarzona blondynka i Paul – spokojny grubas.

Siedmiu Krasnoludków z końca klasy.

– Nikogo nie potrzebuję. Świetnie daję sobie radę sama – oświadczyła Julie, nadal starając się uspokoić oddech.

– Świetnie, jeszcze tego brakowało! – krzyknęła Zoé. – Co za niewdzięczność! Chodźmy stąd, chłopcy, i niech ta lalunia bez nas wykaraska się ze swoich kłopotów.

Sześć sylwetek się oddaliło. David został z tyłu. Zanim odszedł, odwrócił się i szepnął Julie:

– Jutro nasza grupa rockowa ma próbę. Jeśli chcesz, przyjdź do nas. Ćwiczymy w małej salce pod kafeterią.

Julie schowała *Encyklopedię* na samym dnie plecaka, zaciągnęła paski i bez słowa odeszła krętymi i wąskimi uliczkami.

Horyzont rozciąga się nieskończenie daleko, przed nimi nie widać najmniejszego wyróżniającego się punktu.

103 idzie na poszukiwanie obiecanej płci. Jej stawy trzeszczą, czułki wysychają i traci wiele energii na nawilżanie ich trzęsącymi się wargami.

Z każdą sekundą 103 bardziej odczuwa postępującą starość. Czuje, że śmierć krąży wokół niej, stale o sobie przypominając. Jakże krótkie jest życie! Zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli nie otrzyma płci, wszystkie jej doświadczenia przepadną, pokona ją nieubłagany przeciwnik: czas.

Za nią podąża dwanaście wojowniczek, które zdecydowały się towarzyszyć jej w tej podróży.

Mrówki zatrzymują się dopiero wtedy, gdy drobny piasek zbyt mocno pali je w nóżki. Ruszają ponownie w drogę, gdy tylko chmura zasłoni słońce. Chmury nawet nie zdają sobie sprawy ze swojej mocy.

Ziemia pod ich stopami zmienia się: drobny piasek, żwir, kamienie, skały, sproszkowane kryształy. Znajdują się tutaj minerały pod wszystkimi postaciami, lecz niemal brak roślinności i zwierząt. Gdy pojawia się przed nimi skała, wdrapują się na nią. W obawie przed utonięciem, omijają łachy piasku tak drobnego, że zdaje się niemal płynny. Wokół nich rozciągają się przepiękne krajobrazy różowej sierry i jasnoszare doliny.

Nawet gdy są zmuszone znacznie zboczyć z drogi, by ominąć zbyt drobny piasek, zawsze odnajdują właściwy kierunek. Mrówki dysponują dwoma wyjątkowymi sposobami na orientowanie się w przestrzeni: potrafią kierować się za pomocą feromonów-śladów oraz obliczać kąt padania promieni słońca na horyzont. Podczas podróży przez pustynię wykorzystują jeszcze trzecią opcję: organ Johnstona, złożony z małych kanalików mózgowych wypełnionych cząsteczkami bardzo wrażliwymi na ziemskie pole magnetyczne. Gdziekolwiek się pojawią na powierzchni ziemi, potrafią ustalić swoją lokalizację na podstawie tych niewidzialnych danych.

Na razie organ Johnstona podpowiada im, że w okolicy nie ma wody. Ani nad nimi, ani poniżej, ani wokół. A jeśli chcą dotrzeć do wielkiego dębu, muszą iść prosto przed siebie.

Są coraz bardziej głodne i spragnione. W tej pustynnej okolicy brakuje zwierzyny. Na szczęście w pewnym momencie wyczuwają obecność jakiegoś

zwierzęcia. To para skorpionów w trakcie tańca godowego. Te pajęczaki mogą okazać się niebezpieczne, mrówki wolą zatem poczekać, aż skończą swoje figle, i zabić je, gdy będą wystarczająco zmęczone.

Taniec się rozpoczyna. Samica, którą można rozpoznać po pękatym brzuchu i brązowym kolorze, chwyta swojego wybranka za szczypce i ściska, jakby chciała porwać go do tańca. Następnie popycha go naprzód. Samiec, szczuplejszy i jaśniejszy, cofa się, uległy swojej pani. Ich spacer trwa dość długo, a mrówki podążają za nimi, nie mając odwagi im przerwać. Skorpion zatrzymuje się, chwyta suchą muchę, którą wcześniej zabił, i podaje ją do zjedzenia samicy. Ponieważ ta nie ma zębów, chwyta szczypcami pożywienie i przenosi je na biodra o ostrych brzegach. Pociąwszy muchę na kawałki, wysysa ją. Następnie oba pajęczaki ponownie ujmują się za szczypce i wracają do przerwane go tańca. Wreszcie samiec, trzymając swoją umiłowaną jednym szczypcem, drugim draży grootę. Pomagając sobie nóżkami i ogonem, odgarnia piasek i kopie.

Gdy grotka jest wystarczająco głęboka, żeby przyjąć parę, samiec skorpion zaprasza swoją wybrankę do nowego mieszkania. Zagłębiają się pod ziemię i zamykają za sobą włącz. Zaciekawione, mrówki kopią obok. Podziemny spektakl jest niezwykle interesujący. Brzuch przy brzuchu, ostrze przy ostrzu, dwa skorpiony sprzęgają się. Następnie samica, ponieważ cała ta przygoda spowodowała, że zgłodniała, zabija wycieńczonego samca i połyka go. Wychodzi na zewnątrz sama, syta i zadowolona.

Mrówki oceniają, że to dobry moment na atak. Szczątki kochanka jeszcze zwisają z jej boków, lecz samica nie ma ochoty walczyć z tymi wojowniczo nastawionymi mrówkami. Woli zbiec. Biegnie szybciej niż one.

Trzyście mrówek żałuje teraz, że nie wykorzystało momentu zbliżenia, by ją zabić. Strzelają do niej kwasem mrówkowym, lecz pancierz skorpionów jest wystarczająco odporny. Grupa wojowniczek musi zadowolić się resztkami samca.

To oduczyciel podglądania. Mięso skorpiona jest niesmaczne, a głód nadal im doskwiera.

Iść, iść, ciągle iść przez niekończącą się pustynię. Piasek, kamienie i znowu piasek. W oddali dostrzegają dziwny okrągły obiekt.

Jajko.

Co robi jajko pośrodku pustyni? Czy to fatamorgana? Nie, jajko wygląda na

całkiem rzeczywiste. Mrówki stają wokół niego w kręgu, przyglądają się świętemu monolitowi, który znalazł się na ich drodze być może po to, żeby dać im okazję do medytacji. Węszą. 5 rozpoznaje zapach. To jajko zniesione przez ptaka z południa, gissime.

Gissime przypomina białą jaskółkę o czarnym dziobie i oczach. Ma pewną charakterystyczną cechę: jego samica składa tylko jedno jajko i nie zakłada gniazda. Kładzie więc jajko byle gdzie. Naprawdę byle gdzie. Najczęściej na chwiejącej się gałęzi, na liściu na szczycie skały – nie stara się znaleźć dla niego bezpiecznego miejsca. Nie można się zatem dziwić drapieżnikom, które na nie trafiają – jaszczurkom, ptakom czy węzom – że z radością rzucają się na takie jajko. A jeśli go nie znajdą, zwykły podmuch wiatru może spowodować, że jajko spadnie i się stłucze. Jeśli jednak mimo wszystko pisklęciu uda się wykluć, musi bardzo uważać, by nie spaść z gałęzi czy skały, na której się znajduje. Niestety, najczęściej pisklę, próbując wydostać się ze skorupki, samo strąca jajko i ginie zmiażdżone. Tym dziwniejszy wydaje się fakt, że gatunek tego ptaka zdołał przetrwać do naszych czasów.

Mrówki krążą wokół tajemniczego przedmiotu.

To jajko musiała porzucić jakaś wyjątkowo beztroska matka. Jej jedyny i cenny potomek znalazł się pośrodku pustyni. Na łasce i niełasce otaczającego je świata.

„Chociaż właściwie... Może to nie był najgorszy pomysł – zastanawia się 103. – Jeśli istnieje miejsce, z którego nie można spaść, to jest nim właśnie pustynia”.

5 rozpędza się i uderza głową w twardą powierzchnię skorupki. Jajko ani drgnie. Cała grupa zabiera się do roboty. Słychać głuchy odgłos przypominający uderzenia padającego gradu – wszystko na nic. Jakże denerwujące jest, że będąc tak blisko olbrzymiego zapasu pożywienia, nie można jednak z niego skorzystać.

103 przypomina sobie wtedy pewien film dokumentalny. Chodziło w nim o zasadę dźwigni i jej skuteczność przy podnoszeniu ciężarów. To idealny moment, by wykorzystać tę wiedzę w praktyce. Proponuje, żeby umieścić suchą gałązkę pod jajkiem, a następnie wspiąć się na nią tworząc przeciwagę. Oddział posłusznie stosuje się do jej rozkazów, wojowniczkę zwisają w powietrzu i poruszają nóżkami, by zwiększyć napór. 8, zafascynowana nowym pomysłem, jest najbardziej aktywna. Podskakuje, chcąc jeszcze bardziej zwiększyć nacisk. Udało się: monumentalne jajo zostaje wytrącone z równowagi i, niczym wieża

w Pizie, zaczyna się pochyłać, aż wreszcie upada.

Jest jednak pewien problem: jajko upadło miękko na piasek, gdzie leży teraz nienaruszone na boku. 5 ma pewne wątpliwości co do palcowych technik i postanawia powrócić do mrówczych sposobów. Układa żuwaczki w szpic i przymierza się do skorupki, kręcąc głową w lewo i prawo, działając na zasadzie świdra. Skorupka jest naprawdę twarda: ponad sto ruchów zostawia na niej jedynie nieznaczny ślad. Tyle wysiłku, by osiągnąć tak marny rezultat! Żyjąc wśród Palców, 103 przyzwyczaiła się, że wszystko działa natychmiast, i straciła cierpliwość i upór, jakie posiadają jej towarzyszeki.

5 jest wycieńczona. Zastępuje ją 13, później jeszcze inna mrówka. Po kolei zmieniają swoje głowy w świderki. Po kilkudziesięciu minutach pojawia się szczelina, przez którą tryska gejzer przezroczystej galarety. Mrówki rzucają się na pożywną ciecz.

Zadowolona 5 kołysze czułkami. Metody Palców są dość oryginalne, za to mrówcze okazały się skuteczne. 103 sugeruje, by dyskusję na ten temat odłożyć na później. Ma co innego do roboty. Wkłada głowę do dziury i wysysa smakowitą żółtą substancję.

Ziemia jest tak nagrzana i sucha, że jajko zmienia się na piasku w biały omlet. Lecz mrówki są zbyt głodne, żeby zainteresować się tym fenomenem.

Jedzą, piją i tańczą w jajku.

41. ENCYKLOPEDIA

JAJKO: Ptasie jajo jest arcydziełem natury. Przypatrzmy się najpierw strukturze skorupki. Składa się ona z trójkątnych kryształków soli mineralnych. Ich ostre końce skierowane są do środka jaja. Dzięki temu, jeżeli na kryształki napiera jakaś siła z zewnątrz, wbijają się w siebie, zacieśniają się i ścianki stają się jeszcze bardziej wytrzymałe. Na podobieństwo łuków katedr romańskich – im nacisk jest silniejszy, tym konstrukcja staje się mocniejsza. Z kolei jeśli nacisk pochodzi z wewnątrz, trójkąty oddalają się od siebie i całość łatwo się otwiera.

Tym sposobem jajo jest wystarczająco solidne z zewnątrz, aby znieść ciężar wysiadującej go matki, ale także wystarczająco delikatne od środka, aby młode pisklę mogło rozłupać skorupkę i wyjść.

Ma ono także inne zalety. Aby embrion ptasi dobrze się rozwijał, musi zawsze znajdować się nad żółtkiem. Zdarza się jednak, że jajo się przewraca. Nie ma to znaczenia, gdyż żółtko jest otoczone dwoma elastycznymi sznurami, przytwierdzonymi po bokach blaszki, na których jest zawieszona. Ponieważ sznury są sprężyste, kompensują ruchy jajka i przywracają pozycję embriona, działając na podobnej zasadzie jak nurek Kartezjusza.

Gdy jajko zostaje zniesione, gwałtownie obniża się jego temperatura, co powoduje rozdzielenie dwóch blaszek wewnętrznych i powstanie komory powietrznej. Pozwoli ona pisklęciu oddychać przez kilka krótkich sekund, aby miało siłę rozbić skorupkę, a nawet piszczeć, żeby wezwać matkę w wypadku kłopotów.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

42. GRA „EWOLUCJA”

Gdy lekarz sądowy robił sobie omlet z ziołami w kuchni instytutu medyczno-prawnego, przeszkodził mu dzwonek. Był to komisarz Maximilien Linart, który przyszedł zapytać o przyczyny zgonu Gastona Pinsona.

– Może chce pan kawałek omletu? – zaproponował lekarz.

– Nie, dziękuję, już jadłem obiad. Czy skończył pan sekcję zwłok Gastona?

Lekarz wrzucił w siebie ostatnie kęsy omletu, popił szklanką piwa, a potem włożył wreszcie fartuch i poprowadził policjanta do laboratorium.

Wyjął dokumentację.

Ekspert przeanalizował niektóre składniki krwi denata i stwierdził, że nastąpiła bardzo silna reakcja alergiczna. Zauważył czerwoną pręgę na szyi zmarłego i wywnioskował, że śmierć nastąpiła w wyniku... użądlenia przez osę. Zgony spowodowane użądleniem osy nie należały do rzadkości.

– Wystarczy, żeby osa użądliła przypadkowo w żyłę prowadzącą bezpośrednio do serca, aby trucizna stała się śmiertelna – zapewnił lekarz sądowy.

Wyjaśnienie zaskoczyło policjanta. A zatem coś, co uznał za morderstwo, okazało się zwykłym wypadkiem w lesie. Banalnym użądleniem przez osę.

Pozostawała jednak piramida. Nawet jeśli chodziło tylko o zwykły zbieg okoliczności, śmierć z powodu użądlenia przez osę u stóp piramidy zbudowanej

bez zezwolenia w samym środku lasu objętego ochroną była dziwna.

Policjant podziękował lekarzowi sądowemu i szedł przez miasto ze zmarszczonym czołem.

– Dzień dobry!

W jego stronę zmierzało trzech młodych ludzi. Maximilien rozpoznał wśród nich Gonzague'a, bratanka prefekta. Jego twarz znaczyły siniaki i krwiaki, na policzku miał ślady ugryzienia.

– Biłeś się z kimś? – zapytał policjant.

– Tak jakby! – wykrzyknął Gonzague. – Zlaliśmy całą bandę anarchistów.

– Nadal interesujesz się polityką?

– Należymy do Czarnych Szczurów, awangardy młodzieżowej nowej skrajnej prawicy – oznajmił inny chłopiec, podając mu ulotkę.

Cudzoziemcy won! – przeczytał policjant i wymamrotał:

– Ach tak, rozumiem.

– Nasz problem polega na tym, że nie mamy broni – zwierzył mu się trzeci wspólnik. – Gdybyśmy mieli chromowany rewolwer, tak jak pan, wszystko „politycznie” byłoby dla nas prostsze.

Maximilien Linart stwierdził, że szelki z kaburą wystawały mu spod rozpiętej marynarki, i szybko ją zapiął.

– Wiesz, rewolwer to nic wielkiego – zauważył. – To tylko narzędzie. Liczy się mózg kontrolujący nerw na końcu palca, który naciska spust. To bardzo długi nerw...

– Ale nie najdłuższy – zachichotał jeden z nich.

– No, to dobranoc – zakończył policjant, sądząc, że to dowcip „w młodzieżowym stylu”.

Gonzague zatrzymał go.

– Proszę pana, wie pan, że my jesteśmy za porządkiem – powiedział z naciskiem. – Jeśli któregoś dnia potrzebowałby pan pomocy, niech pan bez wahania da nam znać.

Podał mu wizytówkę, którą Maximilien, nie zatrzymując się, grzecznie wsunął do kieszeni.

– Zawsze jesteśmy gotowi pomóc policji – krzyknął jeszcze do niego licealista.

Komisarz wzruszył ramionami. Czasy się zmieniały. W młodości nigdy nie

ośmieliłby się zwrócić do policjanta, tak bardzo onieśmiałała go ta funkcja. A oto młodzi ludzie bez żadnego wykształcenia proponowali, że będą odgrywać policjantów-wolontariuszy! Przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej wrócić do żony i córki.

Na głównych ulicach Fontainebleau panowało ożywienie. Matki pchały wózki z dziećmi, żebracy prosili o pieniądze, kobiety ciągnęły wózki ze sklepu, dzieci skakały na jednej nodze. Mężczyźni zmęczeni po całym dniu pracy spieszyli się do domów, ludzie grzebali w śmierdzących śmietnikach, przepelnionych z powodu strajku.

Ten smród zgnilizny...

Maximilien jeszcze bardziej przyspieszył. To prawda, że w tym kraju brakowało porządku. Ludzie rozlazili się na wszystkie strony, bez żadnej organizacji, bez żadnego wspólnego celu.

Podobnie jak lasy zarastały pola, chaos ogarniał miasta. Pomyślał, że zawód policjanta jest pięknym zawodem, bo polega na wycinaniu chwastów, ochronie dużych drzew, wyrównywaniu żywopłotów. Właściwie to zawód ogrodnika. Utrzymywanie obszarów żywych tak, żeby były one możliwie najczystsze i najzdrowsze.

Po powrocie do domu nakarmił rybki i zobaczył, że jedna z samiczek gupików urodziła młode i gonila narybek, aby go pożreć. W akwarium nie obowiązują żadne zasady moralne. Patrzył przez chwilę na ogień w kominku, zanim żona zawołała go na kolację.

Menu dnia: główizna w ostrym sosie i sałatka z endywii. Przy stole rozmawiano o prognozie pogody, zawsze niekorzystnej, o wiadomościach, zawsze złych, pogratulowano jednak Marguerite dobrych ocen w szkole i doskonałej kuchni pani Linart.

Po kolacji, podczas gdy żona wkładała brudne talerze do zmywarki, Maximilien poprosił Marguerite, aby mu wyjaśniła zasady tej dziwnej gry komputerowej, którą kupiła mu na urodziny: *Ewolucji*. Odpowiedziała, że musi skończyć odrabianie lekcji. Najprościej będzie, jak zainstaluje na jego komputerze inny program: *Nikt*.

Nikt to – jak powiedziała – program komputerowy, który może układać zdania, tak jakby odpowiadał. Zdania były następnie wypowiedzane przez syntezator mowy i emitowane przez dwa głośniki umieszczone po obu stronach ekranu. Marguerite

wyjaśniła ojcu, jak uruchomić program, i wyszła.

Policjant usiadł przed komputerem, który szumiał. Na ekranie pojawiło się wielkie oko.

– Nazywam się *Nikt*, ale możesz mnie nazywać, jak chcesz – oznajmił komputer przez małe głośniczki. – Czy chcesz zmienić moje imię?

Rozbawiony policjant zbliżył się do wewnętrznego mikrofonu.

– Nadam ci szkockie imię: Mac Yavel.

– Od tego momentu jestem Mac Yavelem – oznajmił komputer. – Czego ode mnie chcesz?

Oko cyklopa zamrugło powieką.

– Żebyś mnie nauczył grać w *Ewolucję*. Znasz tę grę?

– Nie, ale mogę podłączyć się do instrukcji – odpowiedziało oko.

Po otwarciu różnych plików, prawdopodobnie po to, aby przeczytać zasady, oko Mac Yavela zmniejszyło się do małej ikonki w rogu ekranu i uruchomiło grę.

– Najpierw należy stworzyć plemię.

Program Mac Yavel był czymś więcej niż instrukcją do programu *Ewolucja*. To była prawdziwa pomoc. Wskazał mu, gdzie należy umieścić wirtualne plemię, najlepiej w pobliżu wirtualnej rzeki, aby miało dostęp do wirtualnej słodkiej wody. Miasteczko nie powinno znajdować się zbyt blisko brzegu, aby uniknąć ataków piratów. Nie powinno też być położone zbyt wysoko, aby łatwo mogły do niego docierać karawany kupieckie.

Maximilien słuchał go i wkrótce na ekranie pojawiła się, z zachowaniem perspektywy i trzech wymiarów, mała wioska, nad którą unosił się dym dobywający się prosto z krytych strzechą dachów. Małe, zgrabnie narysowane ludziki wchodziły i wychodziły przez drzwi, zajmując się w przypadkowy sposób przypadkowymi zajęciami. Wyglądało to dosyć realistycznie.

Mac Yavel pokazał mu, jak przekonać plemię o sensowności budowania ścian z gliny zmieszanej ze słomą, wyrabiania glinianych cegieł i włóczni z grotami utwardzonymi przez ogień. Chodziło oczywiście jedynie o symulacje na ekranie, ale po każdej ingerencji Maximiliena wioska przedstawiona na ekranie stawała się bardziej funkcjonalna, siano piętrzyło się w stodołach, pionierzy wyruszali, aby założyć sąsiednie osady, liczba ludności rosła, co było oznaką powodzenia.

W tej grze po dokonaniu jakiegoś wyboru politycznego, militarne, rolnicze

lub przemysłowego wystarczyło nacisnąć spację, aby minęło dziesięć lat. Mógł w ten sposób natychmiast zobaczyć skutki swoich decyzji w średniej i długiej perspektywie. Kontrolował poziom sukcesu u góry po lewej stronie ekranu na czymś w rodzaju tablicy zbiorczej, która wskazywała liczbę mieszkańców, ich bogactwo, zapasy żywności, wykorzystane odkrycia naukowe i prowadzone badania.

Maximilienowi udało się założyć małą cywilizację, którą ukierunkował w ten sposób, że rozwinęła sztukę na podobieństwo kultury egipskiej. Udało mu się nawet skłonić ją do budowy piramid. Poza tym ta gra dowodziła sensowności konstruowania monumentalnych budowli, obiektów, które aż dotąd uważał za stratę pieniędzy i energii. Takie budowle tworzą tożsamość kulturową narodu. Ponadto przyciągają elity kulturalne narodów sąsiednich i zapewniają spójność społeczności skupionej wokół budowli jako symbolu.

Niestety! Maximilien nie wytwarzał glinianych naczyń ani nie przechowywał zboża w hermetycznych dzbanach. Zapasy żywności jego społeczności zostały zniszczone przez owady przypominające karaczany. Z pustym żołądkiem jego osłabiona armia nie mogła stawić czoła atakom najeźdźców numidzkich przybyłych z południa. Wszystko trzeba było zacząć od początku.

Gra zaczęła go bawić. Nigdzie nie uczono dzieci, że wytwarzanie glinianych naczyń ma kluczowe znaczenie. Dana cywilizacja mogła zginąć, jeżeli nie pomyślano o przechowywaniu zboża w szczelnie zamkniętych dzbanach, chroniąc je w ten sposób przed karaczanami i mącznikami.

Cała „jego” wirtualna społeczność, to jest sześćset tysięcy ludzi, zginęła w trakcie gry, ale jego doradca Mac Yavel powiedział, że wystarczy rozpocząć nową partię, aby zacząć wszystko od nowa z „nową” społecznością. W *Ewolucji* można było tworzyć próbne cywilizacje, aby potrenować.

Zanim wcisnął klawisz, który ponownie miał uruchomić grę, komisarz zatrzymał wzrok na rozciągającej się na małym kolorowym ekranie szerokiej równinie z dwiema porzuconymi piramidami. Jego myśli poszybowały w inną stronę.

Piramida nie była przypadkową budowlą. Stanowiła potężny symbol.

Co mogła zatem kryć jak najbardziej prawdziwa piramida w lesie Fontainebleau?

43. KOKTAJL MOŁOTOWA

Oaza spokoju. Po dotarciu bardzo okrężną drogą do domu, Julie położyła się pod prześcieradłem i w świetle latarki wygodnie czytała *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*. Chciała dokładnie zrozumieć, o jakiego rodzaju rewolucji pisał ten Edmund Wells.

Tok myślenia pisarza wydawał się jej niejasny. Chwilami mówił o „rewolucji”, kiedy indziej o „ewolucji”, w każdym razie „bez przemocy” i „unikając spektakularnych wydarzeń”. Chciał zmieniać mentalność dyskretnie, niemal w sekrecie.

Wszystko to było co najmniej sprzeczne ze sobą. Na całych stronach rozpisywał się o rewolucjach i trzeba było przewrócić wiele kartek, aby się dowiedzieć, że jak dotąd żadna nie zakończyła się powodzeniem. Tak jakby każda rewolucja nieuchronnie musiała zgnieć lub zakończyć się klęską.

Niemniej jednak Julie odkryła, że za każdym razem, gdy otwierała książkę, znajdowała kilka interesujących fragmentów, między innymi przepisy na koktajl Mołotowa. Było parę rodzajów tego koktajlu. Niektóre z nich zapalają się dzięki korkowi z materiału, inne, skuteczniejsze, wybuchają dzięki tabletkom, które krusząc się, uwalniają łatwopalne związki chemiczne.

„Wreszcie jakieś praktyczne rady, jak zrobić rewolucję” – pomyślała. Edmund Wells określał proporcje składników koktajlu. Wystarczyło go jedynie zrobić.

Poczuła ból w pokaleczonym kolanie. Podniosła opatrunek i obejrzała ranę. Postrzegając każdą kość, każdy mięsień, każdą chrząstkę. Nigdy dotąd jej kolano tak bardzo nie istniało. Powiedziała głośno:

– Dzień dobry, kolanko.

I dodała:

– To stary świat cię zranił. Pomszczę cię.

Udała się do komórki, gdzie były przechowywane produkty i narzędzia ogrodnicze. Znalazła tu wszystkie składniki niezbędne do wyprodukowania bomby zapalającej. Wzięła szklaną butelkę. Wlała do niej chloran sodowy, benzynę i inne nieodzowne produkty chemiczne. Jedwabna chustka, którą zwędziła matce, posłużyła za korek. Koktajl był gotowy.

Julie ścisnęła w dłoniach swoją małą chałupniczą bombę. Wcale nie było

powiedziane, że forteca liceum będzie jej wiecznie stawiać opór.

44. CZAS PIASKU

Mrówki są wykończone. Od dawna tyle nie jadły i zaczynają dotkliwie odczuwać brak wilgoci: czułki i stawy u nóg drętwieją, sferyczne oczy pokrywają się warstwą kurzu – szkoda im śliny na ich przemywanie.

Trzyście eksploratorek wypytuje napotkanego skoczogonka o drogę do wielkiego dębu. Gdy tylko ten udzielił im odpowiedzi, natychmiast go zjadają. Są chwile, gdy słowo „dziękuję” jest luksusem, na który nie można sobie pozwolić. Wysysają do ostatniej kropelki całą wilgoć ze stawów zwierzęcia.

Jeśli pustynia ciągnie się jeszcze daleko – zginą. 103 zaczyna mieć problemy z chodzeniem.

Czego by nie dała za choćby pół kropelki rosy! W ciągu ostatnich kilku lat temperatura planety znacznie wzrosła. Wiosny są gorące, lata upalne, jesień ciepła, jedynie zimą da się odczuć nieco chłodu i wilgoci.

Na szczęście mrówki potrafią chodzić z dwiema nóżkami w górze. To technika mrówek z miasta Yedi-bei-nakan. Trzeba posuwać się do przodu tylko na czterech ze swoich sześciu nóg, a następnie zmienić na inne cztery. Dzięki temu zawsze dwie nóżki mogą odpoczywać od oparzeń powodowanych przez piasek.

103, którą zawsze interesowały inne gatunki zwierząt, podziwia roztocza, „owady owadów”, które opanowały tę pustynię, z dala od wszelkich zagrażających im drapieżników. Zakopują się w ziemi, gdy jest zbyt gorąco, i wychodzą na powierzchnię, kiedy robi się chłodniej. Mrówki postanawiają zrobić to samo.

– Są z pewnością tak małe, jak my musimy być dla Palców, a mimo to, w tym wypadku, pokazują nam, jak przeżyć.

Po raz kolejny 103 ma dowód na to, że trzeba starać się doceniać zarówno większych, jak i mniejszych od nas.

– Stanowimy równowagę między roztoczami a Palcami.

Ponieważ temperatura nieco opadła, mrówki decydują się wyjść ze swojego zagłębienia w piasku. Czerwony żuk przebiega przed nimi. 15 już ma w niego wycelować, gdy 103 zauważa, że zabijanie go nie ma najmniejszego sensu. Owad ten nie jest czerwony bez powodu. W naturze bowiem wszystko, co przywdziewa

rzucające się w oczy kolory, jest zazwyczaj toksyczne lub przynajmniej niebezpieczne.

Owady nie są bezmyślne. Nie będą paradować przed wszystkimi w rażąco czerwonym stroju, by natychmiast zwabić drapieżniki. Jeśli zaś to robią, to aby pokazać całemu światu, że szukanie z nimi zwady nie ma sensu.

14 twierdzi jednak, że niektóre owady są czerwone, by inni wierzyli w ich toksyczność, tymczasem są one zupełnie nieszkodliwe.

7 dodaje, że widziała podobne istoty. Dwa gatunki motyla mają taki sam motyw na skrzydłach. Jedne są jednak toksyczne, drugie zaś nie. Mimo to gatunek nietoksyczny jest równie bezpieczny jak ten drugi, gdyż ptaki unikają ich tak samo, jak przedstawiciele toksycznego gatunku.

103 uważa jednak, że lepiej będzie nie ryzykować zatrucia.

15, zasmucona, pozwala żukowi odejść. 14, nieco bardziej uparta, biegnie jednak za nim i zabija go. Smakuje. Wszystkie są niemal pewne, że zginie. A jednak nie. Był to właśnie przykład mimetyzmu, który udawał toksyczność.

Delektują się czerwonym owadem.

Idąc dalej, mrówki dyskutują nad znaczeniem mimetyzmu i rolą kolorów. Dlaczego niektóre gatunki są kolorowe, a inne nie?

Pośrodku gorącej pustyni dyskusja ta może wydawać się nieco dziwna. 103 odnosi wrażenie, że to ona ma tak zły wpływ na pozostałe, wszystko przez jej umysł, zdegenerowany przez życie wśród Palców. Mimo to przyznaje, że nawet jeśli podczas rozmowy traci się jeszcze więcej wilgoci, dzięki temu mniej odczuwa się zmęczenie i ból.

16 opowiada o swoim spotkaniu z gąsienicą, która przybrała kształt ptasiej głowy, by odstraszać inne ptaki. 9 z kolei twierdzi, że widziała muchę, która wyglądała zupełnie jak skorpion i dzięki temu pająki omijały ją szerokim łukiem.

– *Czy należała do przechodzących całkowitą metamorfozę, czy też połowiczną?* – pyta 14.

U insektów jest to niekończący się temat do dyskusji. Bardzo przyjemnie rozmawia się o metamorfozie. Od zawsze istniał rozłam między owadami, które przeszły całkowitą metamorfozę, i tymi, które przeszły ją jedynie częściowo. W wypadku metamorfozy całkowitej rozróżnia się cztery fazy: jajeczko, larwa, poczwarka i osobnik dorosły. Takie etapy przechodzą motyle, mrówki, osy, pszczoły, a także pchły i biedronki. W metamorfozie częściowej istnieją tylko trzy

fazy: jajeczko, larwa i osobnik dorosły. Owady te rodzą się w postaci miniatuerek dorosłych osobników i stopniowo się zmieniają. Tak dzieje się w wypadku koników polnych, skorków, termitów i karaluchów.

Nie wszyscy o tym wiedzą, lecz owady mogące poszczycić się „całkowitą metamorfozą” mają w pogardzie te, które przechodzą jedynie „częściową metamorfozę”. Zawsze z podtekstu wynika, że te, które nie miały formy larwalnej, nie są odpowiednio uformowane, nie są kompletnymi stworzeniami. To dzieci, które stają się starymi dziećmi, a nie dzieci, które przeobrażają się w dorosłych.

– *Ta mucha przeszła całkowitą metamorfozę* – odpowiada 9, jak gdyby chodziło o rzecz oczywistą.

103, idąc, spogląda na słońce, które powoli skrywa się za horyzont, rozsiewając wokół żółtopomarańczowy blask. Przychodzą jej do głowy najdziwniejsze pomysły, spowodowane być może zbyt długim wystawieniem się na działanie promieni słonecznych. Czy słońce jest zwierzęciem, które przechodzi całkowitą metamorfozę? A Palce? Dlaczego natura kazała jej się spotkać z tymi potworami? I dlaczego tylko jej? Czemu na jednym tylko stworzeniu musi ciążyć aż tak wielka odpowiedzialność?

Po raz pierwszy zaczyna mieć wątpliwości co do swojej misji. Chcieć mieć pleć, życzyć sobie ewolucji świata, liczyć na nawiązanie porozumienia między Palcami i mrówkami – czy to naprawdę ma sens? A jeśli tak, dlaczego natura wybiera tak trudną drogę, by do tego doprowadzić?

45. ENCYKLOPEDIA

ŚWIADOMOŚĆ PRZYSZŁOŚCI: Co odróżnia człowieka od pozostałych gatunków zwierząt? Posiadanie kciuka położonego po przeciwnej stronie w porównaniu z pozostałymi palcami? Mowa? Rozwinięty mózg? Pozycja wyprostowana? Być może po prostu świadomość przyszłości. Wszystkie zwierzęta żyją teraźniejszością i przeszłością. Analizują zdarzenia i porównują je z tym, czego już doświadczyły. Natomiast człowiek stara się przewidzieć to, co się stanie. Ta skłonność do oswojania przyszłości pojawiła się zapewne wtedy, gdy człowiek w czasach neolitu zaczął interesować się rolnictwem. Zrezygnował wówczas ze zbieractwa i polowania, dostarczających przypadkowego pożywienia, na rzecz

przewidywalnych przyszłych zbiorów. Od tej chwili, zgodnie z logiką, wizja przyszłości stała się subiektywna, a więc odmienna dla poszczególnych istot ludzkich. Ludzie zaczęli zatem całkiem naturalnie opracowywać język dla opisania przyszłości. Wraz ze świadomością przyszłości narodził się język, który ją opisuje.

Dawne języki cechował mały zasób słów i prosta gramatyka dla wyrażenia przyszłości, podczas gdy nowoczesne języki cały czas tę gramatykę doskonalą.

Aby obietnice przyszłości mogły się spełnić, zgodnie z logiką należało wymyślić technologię. Na tym właśnie zasadza się cały mechanizm.

Bóg jest nazwą nadawaną przez ludzi temu, co wymyka się spod ich kontroli nad przyszłością. Ale ponieważ technologie pozwalają im coraz lepiej kontrolować przyszłość, Bóg stopniowo znika, a zastępują go meteorolodzy, futurologi i wszyscy ci, którym się wydaje, że dzięki użyciu maszyn wiedzą, jak będzie wyglądało jutro i dlaczego jutro będzie takie, a nie inne.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

46. SIŁA WZROKU

Maximilien Linart długo w milczeniu patrzył na piramidę. Ponownie narysował ją w notesie, aby lepiej uchwycić kształt i dziwny charakter budowli znajdującej się w środku lasu. Następnie skrupulatnie przeanalizował rysunek, aby się upewnić, że w każdym punkcie przypomina to, co znajdowało się naprzeciw niego. W szkole policyjnej komisarz Linart zapewniał, że jeżeli długo obserwuje się coś lub kogoś, w końcu otrzymujemy od niego tysiące cennych informacji. I najczęściej to wystarcza do rozwiązania całej zagadki.

Nazywał to zjawisko „syndromem Jerycha”, z tą różnicą, że zamiast chodzić w kółko dookoła celu, dmąc w trąby i czekając, aż sam się otworzy, on chodził wokół, rysując go i obserwując pod każdym kątem.

Tą samą techniką posłużył się, aby zdobyć swoją żonę, Scynthię. Była kobietą w rodzaju wyniosłej piękności i miała w zwyczaju dawać kosza kolejnym starającym się o jej rękę.

Maximilien zauważył ją na pokazie mody, gdzie była zdecydowanie najbardziej podniecającą, a zatem najbardziej pożądaną przez wszystkich obecnych

mężczyzn. Długo ją obserwował. Na początku to ciągle i przenikliwe spojrzenie przeszkadzało młodej kobiecie, potem ją zaintrygowało. Wyłącznie patrząc na nią, odkrył bardzo różne elementy, które później pozwoliły mu nadawać na tej samej długości fal. Miała na szyi medalion ze swoim znakiem zodiaku: Rybami. Nosiła kolczyki, które wywoływały u niej podrażnienie uszu. Używała bardzo ciężkich perfum.

Przy stole usiadł koło niej i skierował rozmowę na astrologię. Rozwodził się nad siłą symboli, różnicą między znakami wody, ziemi i ognia. Scynthia, po początkowym okresie nieufności, w całkiem naturalny sposób wyraziła swoją opinię. Potem rozmawiali o kolczykach. Wspomniał o zupełnie nowym środku antyalergicznym, który pozwalał nosić biżuterię z najróżniejszych stopów. Następnie rozmowa przeszła na temat jej perfum, makijażu, diet, wyprzedaży. „W pierwszym momencie trzeba zapewnić drugiemu dobre samopoczucie, poruszając się po jego terenie”.

Po omówieniu tematów, które znała, poruszyli te, których nie znała: rzadkie filmy, kuchnię egzotyczną, niskonakładowe książki. W drugim stadium jego strategia miłosna była prosta, posłużył się paradoksem, który zauważył wcześniej: piękne kobiety lubią, gdy mówi się im o ich inteligencji, kobiety inteligentne lubią, gdy mówi się im o ich urodzie.

Na trzecim etapie ujął ją za rękę i przyglądał się jej liniom. Zupełnie się na tym nie znał, ale powiedział jej to, co każda istota chce usłyszeć: że czeka ją szczególne przeznaczenie, przeżyje wielką miłość, będzie szczęśliwa, będzie miała dwójkę dzieci: dwóch chłopców.

Wreszcie na ostatnim etapie, aby się upewnić, że ją zdobył, udawał, że interesuje się najlepszą przyjaciółką Scynthii, wskutek czego natychmiast wzbudził u niej zazdrość. Trzy miesiące później wzięli ślub.

Maximilien oglądał piramidę. Ten trójkąt trudniej będzie zdobyć. Podszedł bliżej. Dotknął go. Pogłaskał.

Wydawało mu się, że słyszy hałas w środku budowli. Chowając notes, przyłożył ucho do lustrzanej ściany. Usłyszał głosy. Z całą pewnością we wnętrzu tego dziwnego budynku byli ludzie. Nasłuchiwał uważnie, gdy nagle rozległ się strzał.

Zaskoczony, cofnął się w pierwszej chwili. Ulubionym zmysłem policjanta był wzrok i nie chciał opierać dedukcji wyłącznie na słuchu. Był mimo wszystko

pewien, że detonacja pochodziła z wnętrza piramidy. Jeszcze raz przyłożył ucho do ściany i tym razem usłyszał krzyki, po których nastąpił pisk opon kół samochodu. Wielki hałas. Muzyka klasyczna. Oklaski. Rżenie końskie. Seria z karabinu maszynowego.

47. WAŻKA OSTATNIEJ SZANSY

Trzynaście mrówek ma już dość. Nie nadają już nawet najkrótszych zdań feromonowych. Muszą oszczędzać wilgoć.

103 zauważa pewien ruch na jednolitym niebie. To ważka. Te olbrzymie owady są dla mrówek niczym mewy dla zagubionych marynarzy: wskazują, że w bliskiej odległości znajduje się strefa roślinna. Wojowniczkom powraca odwaga. Trą oczy, żeby wyostrzyć wzrok i móc obserwować lot ważki.

Ta schodzi nieco niżej, niemal muska je swoimi czterema żyłkowanymi skrzydłami. Mrówki nieruchomieją, żeby przyjrzeć się majestatycznemu owadowi. W każdej z żyłek pulsuje krew. Ważka to prawdziwa królowa przestworzy. Nie tylko potrafi utrzymywać się nieruchomo w powietrzu, ale na dodatek jest jedynym owadem, który potrafi latać do tyłu.

Olbrzymi cień zbliża się do mrówek, nieruchomieje, rusza ponownie, krąży wokół nich. Wydaje się, że chce je poprowadzić w stronę zbawiennej zieleni. Spokojny lot wskazuje na to, że jej ciało nie cierpi z powodu braku wilgoci.

Mrówki podążają za nią. Wreszcie czują chłodniejszy podmuch. Jakaś kępka pojawia się na szczycie łysego wzgórza. Trawa. Trawa! A tam, gdzie jest trawa, muszą być też soki roślinne, czyli chłód i wilgoć. Są ocalone!

Trzynaście mrówek pędzi w stronę tej bezpiecznej przystani. Pożerają kilka młodych pędów trawy i kilka nic nieznaczących dla świata owadów. Górując nad trawami, pochylają się ku nim kwiaty: melisa, narcyzy, pierwiosnki, hiacynty, cyklameny. Na krzakach rosną borówki i czarny bez, a oprócz nich bukszpan, dzika róża, orzechy, głóg i derenie. Istny raj.

Dawno nie widziały tak bujnej przyrody. Wszędzie owoce, kwiaty, trawy, drobna zwierzyna poruszająca się wystarczająco wolno, by mogły jej dosięgnąć pociski z kwasu mrówkowego. Powietrze pełne jest cudownych pyłków kwiatowych, ziemię pokrywają nasiona. Ogólny dostatek.

Mrówki napełniają po brzegi swoje wole socjalne. Wszystko smakuje przewybornie. Głód i pragnienie dodają jedzeniu wyjątkowego smaku. Najmniejsze nasionko mniszka pospolitego nabywa tysiąca smaków, od słodkiego po słony, nie pomijając gorzkiego. Nawet rosa, którą spijają ze słupków kwiatowych, smakuje wspaniale.

5, 6 i 7 przekazują sobie włókna etaminy jedynie po to, by je lizać albo żuć jak gumę do żucia. Najzwyklejszy nawet korzonek wydaje im się wykwinnym daniem. Kąpią się w pyłku stokrotki i oszołomione rzucają w siebie ulepionymi z niego żółtymi kulkami.

Nadają tryskające energią i radością feromony, które aż je łaskoczą przy odbiorze.

Jedzą, piją, myją się, potem znowu jedzą i piją. Wreszcie, zmęczone, tarzają się w trawie i leżą w niej, rozkoszując się życiem.

Trzynastu wojowniczkom udało się przebyć wielką białą pustynię – i nadal są całe i zdrowe. Są syte, spokojne. Czas teraz na zbiórkę i naradę.

10 prosi 103, by opowiedziała im coś więcej o Palcach. Być może obawia się, że stara eksploratorka umrze, zanim wyjawi im wszystkie swoje tajemnice.

103 opisuje pewien przedziwny wynalazek Palców: trójkolorowe płomienie. Są to znaki, które Palce ustawiają na ścieżkach, by uniknąć korków. Gdy płonie zielony kolor, wszystkie Palce posuwają się ścieżką. Gdy pojawia się czerwony płomień, wszystkie nieruchomieją, jakby były martwe.

5 wpada na myśl, że mógłby to być idealny sposób, aby zatrzymać inwazję Palców. Wystarczyłoby wszędzie umieścić czerwone znaki. 103 rozwiewa jednak jej nadzieje, mówiąc, że istnieją też Palce, które nie przestrzegają tych znaków. Poruszają się, jak tylko mają ochotę. Trzeba znaleźć inny sposób.

– *A czym jest humor?*

103 postanawia opowiedzieć im jeden z palcowych dowcipów. Jednak stwierdza, że nie zrozumiałszy żadnego z nich, żadnego również nie zapamiętała. Ma w pamięci fragmenty historii o Eskimosie stojącym na krze lodowej, lecz, niestety, nigdy nie pojęła, czym jest Eskimos ani też zresztą, czym jest kra lodowa.

Chociaż nie. Jest chyba jeden dowcip, który jest w stanie opowiedzieć. O mrówce i koniku polnym.

– *Pewien konik polny śpiewał sobie przez całe lato i w końcu przychodzi po jedzenie do*

mrówki. Tamta odpowiada, że nic mu nie da.

Na tym etapie historii dwanaście mrówek nie może pojąć, dlaczego mrówka nie zjadła jeszcze konika polnego. 103 wyjaśnia, że o to właśnie chodzi w dowcipach. Niczego się nie rozumie, a mimo to wywołują one drgawki u Palców. 5 domaga się zakończenia tej dziwacznej historii.

– Konik polny odchodzi i umiera z głodu.

Mrówki stwierdzają, że dowcip ma dość przykre zakończenie. Zadają pytania, chcąc lepiej zrozumieć. Dlaczego konik polny śpiewał całe lato, skoro jest rzeczą powszechnie wiadomą, że owady te śpiewają jedynie w celu przywołania swoich partnerów seksualnych, a następnie, po zbliżeniu, milkną? Dlaczego mrówka nie wyruszyła na poszukiwanie zwłok konika polnego, by następnie pociąć go na kawałki i przerobić mięso na paszteciki?

Dyskusja zostaje nagle przerwana. Wszystkie poczuły, że trawa zadrżała, płatki kwiatów zacisnęły się, maliny zmieniły smak swojego soku. Zwierzęta się chowają. W powietrzu wisi niebezpieczeństwo. Co się dzieje? Czy to trzynaście mrówek wywołuje taką panikę?

Nie. Głucha groźba powoduje, że gałęzie drżą. Daje się wyczuć woń strachu. Niebo ciemnieje. Jest zaledwie południe, jest ciepło, a mimo to słońce, ulegając silniejszemu przeciwnikowi, rzuca ostatnie kilka promieni i znika.

Trzynaście mrówek unosi czułki. Ciemna chmura zbliża się, przesuwając się po niebie. Z początku podejrzewają, że zbliża się burza. Lecz nie. Mylą się. Nie chodzi ani o deszcz, ani o wiatr. 103 sądzi, że być może to latające Palce pojawiły się tu przez przypadek. To jednak również nie one.

Mrówki nie widzą zbyt dobrze na duże odległości, powoli jednak dociera do nich, co oznacza ta ciemna i ponura chmura unosząca się w powietrzu. Można już usłyszeć szum. Silny zapach przesiąka wszystkie segmenty ich czułków. Ta chmura na niebie to...

– Szarańcza!

Chmura migrującej szarańczy!

Zazwyczaj rzadko odwiedzają Europę. Odnotowano jedynie kilka inwazji w Hiszpanii i we Francji, na Lazurowym Wybrzeżu, ale odkąd daje o sobie znać globalne ocieplenie, zwierzęta z południa coraz częściej przekraczają Loarę. Monokultury również wpłynęły na rozmiary tych niebezpiecznych chmar

szarańczy.

Migrująca szarańcza! O ile świerszcze, jako pojedyncze osobniki, są uważane za przesympatyczne owady, urocze, uprzejme i smaczne, o tyle zgromadzone w dużej liczbie w jednym miejscu uważane są za jedną z groźniejszych plag.

Samotny świerszcz przybiera szarą, skromną szatę. Lecz gdy tylko znajdzie się wśród innych świerszczy, zmienia kolor na czerwony, różowy, pomarańczowy, a wreszcie i żółty. Szafranowa barwa wskazuje na to, że jest w szczytowej fazie podniecenia seksualnego. Wtedy też wzrasta jego apetyt i parzy się ze wszystkimi napotkanymi samicami. Ten seksualny szał jest równie spektakularny jak szał żywieniowy. Aby zaspokoić obie potrzeby, jest gotów zniszczyć wszystko, co stanie na jego drodze.

Odosobniony świerszcz skacze sobie nocami. Będąc w grupie – lata całymi dniami. Samotny świerszcz wałęsa się po pustyniach, bardzo dobrze bowiem radzi sobie bez wody. Świerszcz żyjący w stadzie lubi wilgoć i napada na uprawy, zarośla i lasy.

Czyżby była to jeszcze jedna z manifestacji tego, co Palce nazywają „siłą tłumu”? Liczna grupa znosi zakazy, niszczy konwencje, nie ma szacunku dla życia innych.

5 daje sygnał do odwrotu, lecz wszystkie zdają sobie sprawę z tego, że jest już na to za późno.

103 przygląda się zbliżającej się chmurze śmierci.

Są ich tam miliardy, wysoko, i za kilka sekund runą na ziemię. Trzydzieści belokanijek nastawia ciekawe i przestraszone czułki.

Ciemna chmara krąży w powietrzu, jakby miała zamiar najpierw przestraszyć na śmierć wszystko, co żyje poniżej. Prądy powietrzne formują z tej masy figury przypominające wstęgę Möbiusa. Kilka eksploratorek nadal się łudzi, że to może jedynie tuman kurzu, wyjątkowo gęstego kurzu.

Chmura rozciąga się, tworząc symbole ezoteryczne, zwiastuny zagłady.

Poniżej nikt już się nie rusza. Wszystkie czekają. Czekają przede wszystkim, aż 103, z tak bogatym bagażem doświadczeń, wpadnie na jakiś oryginalny pomysł.

103 nie ma pomysłu. Sprawdza swój zapas kwasu mrówkowego w odwołku i zastanawia się, ile świerszczy będzie mogła w ten sposób zabić.

Chmura obniża swój lot, cały czas wirując. Coraz wyraźniej daje się słyszeć chrzęst łapczywych żuwaczek. Trawy kulą się, podświadomie czując, że wraz

z tymi świerszczami zbliża się ich koniec.

103 stwierdza, że niebo staje się coraz ciemniejsze. Trzynaście mrówek staje w kole, z wypiętymi w górę odwłokami, gotowe do strzału.

I stało się – niczym spadochroniarze zwiadowcy olbrzymiej latającej armii, pierwsze świerszcze padają niezdarnie na ziemię. Bardzo szybko odnajdują równowagę i zaczynają pożerać wszystko, co się rusza.

Jedzą i kopulują.

Gdy tylko jakaś samica stawia nogę na ziemi, już dołącza do niej samiec. Po zakończonym akcie samice natychmiast zaczynają składać jajeczka w ziemi. Potężną bronią świerszczy jest zdolność do masowego rozprzestrzeniania swoich jajeczek.

Seks świerszczy ma większą moc niż kwas mrówkowy i jest bardziej przerażający niż różowe końce Palców!

48. ENCYKLOPEDIA

DEFINICJA CZŁOWIEKA: Czy z uwagi na to, że wszystkie jego członki są już rozwinięte, sześciomiesięczny płód jest człowiekiem? Jeżeli tak, to czy trzymiesięczny płód jest człowiekiem? Czy ledwie zapłodnione jajeczko jest człowiekiem?

Czy chory w śpiączce, który nie odzyskał przytomności od sześciu lat, ale jego serce bije, a płuca oddychają, jest nadal człowiekiem?

Czy ludzki mózg, żywy, ale odizolowany i umieszczony w płynie odżywczym, jest człowiekiem?

Czy komputer zdolny odtworzyć wszystkie mechanizmy odruchów ludzkiego mózgu zasługuje na miano człowieka?

Czy robot przypominający z zewnątrz człowieka i wyposażony w podobny mózg jest istotą ludzką?

Czy człowiek sklonowany, będący wytworem manipulacji genetycznych, mający stanowić rezerwę organów służących temu, aby zapobiec ewentualnym wadom rozwojowym swojego brata bliźniaka, jest istotą ludzką?

Nic nie jest oczywiste. W starożytności, a nawet jeszcze w średniowieczu uznawano, że kobiety, cudzoziemcy i niewolnicy nie są istotami ludzkimi.

W zasadzie jedynie ustawodawcy przypisywana jest zdolność oceniania, co jest, a co nie jest „istotą ludzką”. Należałoby dodać do niego biologów, filozofów, informatyków, genetyków, duchownych, poetów, fizyków. Bo tak naprawdę pojęcie „istoty ludzkiej” będzie coraz trudniejsze do zdefiniowania.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

49. POCZĄTEK ROCKA

Stając przed wielkimi, solidnymi, dębowymi drzwiami na tyłach liceum, Julie zrzuciła plecak. Wyjęła koktajl Mołotowa własnej produkcji. Potarła zapalniczkę – pojawiły się iskry, ale nie płomień: kamień był starty. Przeczesała przepastne czeluście plecaka i wreszcie znalazła pudełko zapalek. Tym razem mogła bez przeszkód rzucić koktajlem Mołotowa w drzwi. Zapaliła zapalniczkę i patrzyła na mały pomarańczowy płomyk, od którego wszystko miało się zacząć.

– To jednak przyszłaś, Julie?

Instynktownie schowała bombę zapalającą. Któż to znowu przeszkadzał jej wszystko spokojnie spalić? Odwróciła się. Ponownie David.

– Zdecydowałaś się więc przyjść posłuchać, jak gramy? – zapytał tajemniczo.

Dozorca, nieufny, szedł w ich stronę.

– Właśnie tak – odpowiedziała, chowając jeszcze głębiej butelkę.

– To chodź ze mną.

David poprowadził Julie do małej salki pod kafeterią, gdzie urzędowało Siedmiu Krasnoludków. Niektórzy stroili już instrumenty.

– O, mamy gościa... – zauważyła Francine.

Pomieszczenie było małe. Było tu zaledwie miejsce na estradę zarzuconą instrumentami muzycznymi. Ściany oklejone były zdjęciami grupy, występującej na przyjęciach urodzinowych lub wieczorkach tanecznych.

Ji-woong zamknął drzwi, żeby nikt im nie przeszkadzał.

– Baliśmy się, że nie przyjdiesz – stwierdził z ironią Narcisse, zwracając się do Julie.

– Chciałam tylko zobaczyć, jak gracie, to wszystko.

– Nie masz tu nic do roboty. Nie potrzebujemy turystów! – krzyknęła Zoé. –

Jesteśmy grupą rockową, albo ktoś z nami gra, albo się wynosi.

Samo to, że jest odrzucana, sprawiło, że dziewczyna o jasnoszarych oczach nabrała ochoty, żeby zostać.

– Wasze szczęście, że macie swoje miejsce w liceum – westchnęła.

– Potrzebowaliśmy go koniecznie, aby mieć gdzie robić próby – wyjaśnił David.

– W tej sprawie dyrektor rzeczywiście wykazał wolę współpracy.

– Przede wszystkim chciał się wykazać i udowodnić, że w jego liceum prowadzona jest działalność kulturalna – uzupełnił Paul.

– Pozostała część klasy uważa, że macie po prostu ochotę trzymać się od niej z daleka – powiedziała Julie.

– Wiemy – odparła Francine. – To nam nie przeszkadza. „Aby być szczęśliwymi, żyjmy w ukryciu”.

Zoé podniosła głowę.

– Nie zrozumiałaś? – zapytała z naciskiem. – My ćwiczymy i chcemy zostać we własnym gronie. Nie masz tutaj nic do roboty.

Ponieważ Julie się nie ruszała, do dyskusji włączył się przyjaźnie Ji-woong.

– Czy umiesz grać na jakimś instrumencie? – zapytał.

– Nie, ale chodziłam na lekcje śpiewu.

– I co śpiewasz?

– Śpiewam sopranem. Przede wszystkim arie Purcella, Ravela, Schuberta, Fauré, Satiego... A wy, jaki rodzaj muzyki gracie?

– Rocka.

– Sam rock nic nie znaczy. Jakiego rocka?

Paul zabrał głos:

– Nasze wzorce to Genesis, pierwszy okres, album *Nursery Crime*, *Foxtrot*, *The Lamb Lies Down On Broadway*, aż do *A Trick of Tail*... I cały Yes, a nasze ulubione albumy to *Close to the Edge*, *Tormato*... i cały Pink Floyd, a szczególnie *Animals*, *I Wish You Were Here* i *The Wall*.

Julie pokiwała głową z miną koneserki.

– Ach tak! Bardzo stary, zakurzony rock progresywny lat siedemdziesiątych!

Uwaga została źle przyjęta. Najwyraźniej tę muzykę cenili najwyżej. David znowu jej pomógł:

– Powiedziałaś, że uczyłaś się śpiewu. To może spróbowałybyś z nami

zaśpiewać?

Potrząsnęła swoimi ciemnymi włosami.

– Nie, dziękuję. Mam chory głos. Zoperowano mi guzki i lekarz poradził mi, abym nigdy więcej nie nadwerężała strun głosowych.

Spojrzała na nich po kolei. Właściwie miała wielką ochotę, żeby z nimi śpiewać, i wszyscy to czuli, ale tak bardzo się przyzwyczaiła, żeby zawsze mówić „nie”, że teraz automatycznie odrzucała każdą propozycję.

– Jeśli nie masz ochoty śpiewać, to cię nie zatrzymujemy – powtórzyła Zoé.

David nie dopuścił do zaostrzenia sytuacji.

– Możemy spróbować starego bluesa. Blues jest na pograniczu muzyki klasycznej i progresywnego rocka. Będiesz improwizować, wymyślisz słowa. Nie musisz wyęczać głosu. Możesz tylko nucić.

Z wyjątkiem Zoé, która wykazywała sceptycyzm, cała reszta się zgodziła.

Ji-woong wskazał jej mikrofon na środku pomieszczenia.

– Nie przejmuj się – powiedziała Francine. – My też mamy klasyczne wykształcenie. Przez pięć lat uczyłam się gry na fortepianie, ale mój profesor był takim konformistą, że bardzo szybko postanowiłam przerzucić się na jazz, a potem na rock, tylko po to, żeby zrobić mu na złość.

Wszyscy zajęli swoje miejsca. Paul podszedł do konsoli i ustawił potencjometry.

Ji-woong zaczął wybijać prosty rytm na dwa. Zoé dołączyła do niego powtarzającym się i niecierpliwym dźwiękiem gitary basowej. Narcisse wycisnął dwa tradycyjne akordy bluesa: osiem *mi*, cztery *la* i znowu cztery *mi*, dwa *si*, dwa *la*, dwa *mi*. David je powtórzył, grając arpeggia na harfie elektronicznej, tak samo jak Francine na syntezatorze. Podkład muzyczny był na miejscu, brakowało tylko głosu.

Julie wolno ujęła mikrofon. Miała wrażenie, że na chwilę stanął czas, a potem jej wargi oderwały się od siebie, szczęki się rozluźniły, usta się otworzyły i skoczyła w przepaść.

Na tę melodię bluesa zaśpiewała pierwsze słowa, jakie przysły jej do głowy.

Zieloną myszkę, która po trawie biegnie...

Jej głos wydał jej się najpierw drżący, ale przy drugiej zwrotce rozgrzane struny głosowe nabrały większej mocy. Julie towarzyszyła kolejno poszczególnym instrumentom, a Paul nie musiał nawet dotykać żadnej gałki wzmacniacza. Nie

było już słycać gitary, harfy, syntezatora, jedynie głos Julie rozbrzmiewający w małej salce i w tle perkusję Ji-woonga.

A zroby się z niej gorący ślimaczek.

Zamknęła oczy i wydała z siebie czysty dźwięk.

Oooooooooooooo.

Paul starał się wyregulować wzmacniacz, ale nie było co wzmacniać. Głos wychodził poza zakres dynamiczny mikrofonu.

Julie przerwała.

– Sala jest mała. Nie potrzebuję wzmacniacza.

Zaśpiewała jeden dźwięk i rzeczywiście, zadrżały ściany. Ji-woong i David byli pod wrażeniem, Francine zafałszowała, Paul obserwował zdumiony wskaźniki na tarczach. Głos Julie wypełniał całą przestrzeń, niósł się po sali, wchodził do przewodów słuchowych jak strumień świeżej wody.

Zapadła długa cisza. Francine oderwała się od klawiatury i zaczęła klaskać pierwsza, a w ślad za nią poszła szybko reszta Siedmiu Krasnoludków.

– To oczywiście różni się od tego, co robimy zazwyczaj, ale jest interesujące – stwierdził Narcisse, po raz pierwszy poważnie.

– Zdałaś egzamin wstępny – oznajmił David. – Jeśli chcesz, możesz zostać z nami i być członkiem grupy.

Do tej pory Julie dobrze pracowało się tylko z jednym profesorem. Ale chciała spróbować funkcjonować w grupie.

Ponownie zaczęli próbę i razem zaintonowali mocniejszy kawałek: *The Great Gig in the Sky* Pink Floyd. Julie mogła śpiewać coraz wyżej i wyżej, aż do granic możliwości głosu, i osiągać wspaniałe rezultaty. Nie mogła się temu nadziwić. Jej gardło się obudziło. Jej struny głosowe wróciły.

„Dzień dobry, moje struny głosowe” – przywitała je w myślach.

Siedmiu Krasnoludków zapytało ją, jak nauczyła się tak wspaniale operować głosem.

– To kwestia techniki. Trzeba dużo ćwiczyć. Miałam wspaniałego nauczyciela śpiewu. Nauczył mnie doskonale kontrolować siłę głosu. Umieszczał mnie w zamkniętych pomieszczeniach i tam, w ciemności, miałam wydawać dźwięki, które pozwoliłyby mi ocenić wielkość pomieszczenia, a następnie zająć całą jego przestrzeń, pamiętając o tym, aby zatrzymać dźwięk tuż przed ścianą, żeby nie

było rezonansu. Kazał mi też śpiewać z głową w dół albo pod wodą.

Julie opowiedziała, że Yankélévitch, jej nauczyciel, nieraz pracował z grupą uczniów, którzy próbowali utworzyć „Egregor”, co oznaczało, że wszyscy wykonywali tę samą pieśń aż do momentu, gdy udało im się uzyskać ten sam dźwięk, tak jakby wszyscy tworzyli jedno usta.

Julie zaproponowała Siedmiu Krasnoludkom, aby ponowili razem z nią tę próbę. Wydobyła precyzyjny dźwięk: pozostali próbowali z lepszym lub gorszym skutkiem podążać za nią i dołączyć do niej. Rezultat nie był zbyt przekonujący.

– W każdym razie przyjmujemy cię – podkreślił Ji-woong. – Jeżeli masz na to ochotę, od dzisiaj będziesz naszą oficjalną solistką.

– Ale...

– Przestań się popisywać – szepnęła jej do ucha Zoé. – W końcu nas to zmęczy.

– No to... zgoda.

– Brawo! – wykrzyknął David.

Wszyscy jej pogratulowali i przedstawiono jej poszczególnych członków grupy.

– Ten wysoki skośnooki brunet siedzący za perkusją to Ji-woong. W świecie Siedmiu Krasnoludków byłby Mędrkiem. To mózg. Zachowuje spokój nawet w największych tarapatach. W razie potrzeby poproś go o radę.

– Czy to ty jesteś szefem?

– Nie mamy szefa! – wykrzyknął David. – Jesteśmy zwolennikami samorządnej demokracji.

– A co oznacza „samorządna demokracja”?

– Że każdy robi to, na co ma ochotę, pod warunkiem, że nie przeszkadza to innym.

Julie odeszła od mikrofonu i usiadła na małym taborecie.

– I wam się to udaje?

– Jednoczy nas muzyka. Kiedy razem gramy, musimy zestrajać nasze instrumenty. Myślę, że tajemnica naszego porozumienia polega na tym, że stanowimy prawdziwą grupę rockową.

– Poza tym jest nas niewielu. W siedem osób nietrudno jest wyznawać samorządną demokrację – zauważyła Zoé.

– Zoé, ta z gitarą basową, mogłaby być Gburkiem. A właściwie Gburką...

Gruba dziewczyna z krótkimi włosami skrzywiła się, słysząc swoje przezwisko.

– Zoé najpierw protestuje, a potem mówi rozsądnie – wyjaśnił Ji-woong.

David kontynuował:

– Paul przy wzmacniaczu to nasz Gapcio. Jest tłuściutki. Ciągłe się boi, że popełni jakąś gafę, i zdarza mu się to. Wszystko, co znajduje się w jego zasięgu i wygląda na jedzenie, bierze do ust na spróbowanie. Uważa, że za pośrednictwem języka można najlepiej poznać otaczający świat.

Paul się zachmurzył.

– Léopold, flecista, to Nieśmiałek. Mówi się, że jest wnukiem wodza indiańskiego plemienia Nawaho, ale ponieważ jest niebieskookim blondynem, sprawa nie jest oczywista.

Léo starał się zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, charakterystyczny dla jego przodków.

– Interesuje się przede wszystkim domami. Jak tylko ma wolną chwilę, rysuje dom swoich marzeń.

Prezentacja trwała nadal.

– Francine, przy organach, to Śpioszek. Cały czas jest rozmarzona. Poświęca dużo czasu na gry komputerowe, dlatego ma zawsze czerwone oczy od patrzenia na ekran.

Dziewczyna o półdługich blond włosach uśmiechnęła się, a potem zapaliła skręta z marihuany i wypuściła długą niebieską spiralkę dymu.

– Z gitarą elektryczną, Narcisse, nasz Śmieszek. Wygląda na grzecznego chłopczyka, ale szybko się przekonasz, że zawsze umie znaleźć właściwe słowo, aby wszystkich rozbawić lub ostudzić atmosferę. Cały czas ze wszystkiego kpi. Jak widzisz, jest bardzo elegancki, zawsze dobrze ubrany. Prawda jest taka, że sam szyje sobie ubrania.

Zniewieściały chłopak mrugnął do Julie i uzupełnił:

– Wreszcie, z harfą elektryczną, David. Nazywamy go Apsikiem. Cały czas się boi, być może z powodu choroby kości. Ciągłe jest niespokojny, czasami do granic paranoi, ale mimo wszystko jakoś to znosimy.

– Teraz rozumiem, dlaczego nazywają was Siedmioma Krasnoludkami – wtrąciła Julie.

– „Krasnoludek” oznacza gнома, a gnom pochodzi z greckiego *gnômê*, co znaczy „wiedza” – podjął David. – Każdy z nas ma własną ulubioną dziedzinę i w ten

sposób doskonale się uzupełniamy. A ty, kim jesteś?

Zawahala się:

– Ja... Ja oczywiście jestem Królową Śnieżką.

– Jesteś bardzo ciemna jak na Królową Śnieżkę – zauważył Narcisse, wskazując na czarne ubranie dziewczyny.

– To dlatego, że jestem w żałobie – wyjaśniła Julie. – Niedawno straciłam ojca w wypadku. Był dyrektorem wydziału prawnego Zarządu Gospodarki Wodnej i Lasów.

– A poza tym?

– Poza tym... mimo wszystko ubieram się na czarno – przyznała tonem żartu.

– Czy tak jak ta Królowa Śnieżka z bajki czekasz na księcia, który obudzi cię pocałunkiem? – spytał Paul.

– Mylisz ją ze Śpiącą Królową – odparła Julie.

– Paul, popełniłeś kolejną gafę – zaznaczył Narcisse.

– Nie jestem pewien. We wszystkich bajkach jest dziewczyna, która drzemie, czekając, aż obudzi ją ukochany...

– Może znów byśmy coś zaśpiewali? – zaproponowała Julie, której na nowo zaczęło to sprawiać przyjemność.

Wybierali coraz trudniejsze kawałki. *And You and I* Yes, *The Wall* Pink Floyd, a wreszcie *Super's Ready* Genesis. Ten ostatni trwał dwadzieścia minut i każdy mógł się pokazać, grając własną solówkę.

Julie tak dobrze panowała teraz nad głosem, że udało jej się osiągnąć ciekawe rezultaty w każdym z trzech utworów, mimo różnic stylu.

Wreszcie zdecydowali się wrócić do domu.

– Pokłóciłam się wczoraj z matką i nie bardzo mam dziś wieczór ochotę na powrót do domu rodzinnego. Czy mogłabym się przespać u kogoś z was? – zapytała Julie.

– David, Zoé, Léopold i Ji-woong mieszkają w internacie. Ale Francine, Narcisse i ja mieszkamy we własnych domach. Będziesz u nas spać przez kolejne noce, jeżeli chcesz. Możesz spędzić tę noc u mnie – zaproponował Paul. – Mamy pokój gościnny.

Pomysł zdawał się nie wywoływać entuzjazmu Julie. Francine zrozumiała, że nie ma wcale ochoty spać u chłopaka, i zaproponowała, żeby raczej skorzystała z jej

gościny. Tym razem Julie się zgodziła.

50. ENCYKLOPEDIA

RUCH SAMOGŁOSEK: W kilku starożytnych językach: egipskim, hebrajskim, fenickim, nie ma samogłosek, są tylko spółgłoski. Samogłoski są przedstawieniem głosu. Jeżeli za pomocą przedstawienia graficznego dalibyśmy słowu głos, dalibyśmy mu zbyt wielką siłę, bo dalibyśmy mu jednocześnie życie.

Jak mówi przysłowie: „Gdybyś był zdolny napisać w sposób doskonały słowo «szafa», mebel spadłby ci na głowę”.

Chińczycy dzielali to odczucie. W drugim wieku po Chrystusie największy malarz swojej epoki, Wu Daozi, został wezwany przez cesarza, który kazał mu narysować doskonałego smoka. Artysta namalował smoka bez oczu. „Dlaczego zapomniałeś o oczach?” – zapytał cesarz. „Bo gdybym narysował oczy, smok odleciałby” – odparł Wu Daozi. Cesarz nalegał, malarz dorysował oczy i – jak mówi legenda – smok odleciał.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

51. WYSŁANNIK CHMUR

103 i jej towarzyszki są u kresu sił w walce ze świerszczami. Kieszeń na kwas mrówkowy 103 jest już prawie pusta. Stara wojowniczką może już jedynie walczyć żuwaczkami, co jest jeszcze bardziej męczące.

Świerszcze właściwie nie stawiają oporu. Nawet się nie biją. Zagrożenie stanowi jedynie ich liczba, gdyż bez przerwy spadają z nieba – grad nówek i wygłodniałych żuwaczek.

Nie widać końca tego ponurego deszczu.

Ziemię, jak okiem sięgnąć, pokrywa teraz sześć, a może nawet siedem warstw świerszczy. 103 zanurza swoje żuwaczki w tę masę i tnie, kroi i kosi ciała niczym kosiarka. Nie podda się przecież teraz gatunkowi, którego jedyna mądrość życiowa polega na masowym płodzeniu dzieci.

Samice Palców – wspomina – w wypadku przeludnienia połykają hormony, zwane tabletkami, żeby ograniczyć swoją płodność. To jest zatem rozwiązanie – nakarmić agresywne świerszcze hormonami. Jaki sens ma produkowanie dwadzieściora dzieci tam, gdzie potrzebne jest jedno lub dwoje? Po co składać olbrzymie ilości jajeczek, skoro wiadomo, że nie będzie można się nimi opiekować ani też należycie wychować młodych, sama populacja zaś może się rozwijać, jedynie pasożytując na innych gatunkach?

103 odmawia poddania się dyktaturze tych szalonych stworzeń. Szczątki świerszczy wirują wokół niej. Łapią ją już skurcze ze zmęczenia.

Naraz promień słońca przedziera się przez ciemną chmurę i pada na krzak borówki. To znak. 103 wdrapuje się nań ze swoimi współniczkami. By odzyskać nieco sił i odwagi, opychają się pękatymi jagodami, granatowymi balonami pękającymi pod ostrzami żuwaczek.

– *Jedyny ratunek w ucieczce.*

103 próbuje odzyskać spokój. Unosi czułki ku górze. Ziemię pokrywa warstwa skrzydeł, lecz powyżej deszcz świerszczy ustaje i wyłania się słońce. Dla kurazu wojownicza zaczyna nucić starą pieśń belokanijską:

Słońce, przeniknij nasze puste szkielety,

Porusz obolałe mięśnie,

Zjednocz rozdzielone myśli.

Trzynaście mrówek zwisa z najwyższych gałęzi krzewu borówki, tymczasem fala świerszczy zbliża się do nich. Są niczym igła pośrodku morza nieustannie wyginających się grzbietów.

52. U FRANCINE

Siódme piętro. Bez windy to męczące. Odzyskały oddech przed wejściem. Dobrze było dotrzeć na miejsce. Wysoko czuły się bezpieczne, z dala od zagrożeń czyhających na ulicy.

To było przedostatnie piętro, ale smród odpadów pozostawionych przez strajkujących śmieciarzy docierał tu mimo wszystko. Dziewczyna z półdługimi blond włosami szukała kluczy na dnie wielkiej kieszeni, która służyła jej za torebkę, i po dłuższym grzebaniu w masie różnorakich drobiazgów zwycięsko

wyjęła ich wielki pęk.

Otworzyła cztery zamki w drzwiach, a następnie pchnęła je mocno ramieniem, „bo drewno wypaczyło się od wilgoci i drzwi się blokowały”.

U Francine były jedynie komputery i popielniczki. To, co szumnie nazywała swoim „mieszkaniem”, było w gruncie rzeczy maciupenką garsonierą. Sufit zdobiła wilgotna okrągła plama, wynik dawnego zalania przez sąsiadów z góry. W blokach z reguły u sąsiadów z góry woda wylewa się z wanny. Natomiast sąsiedzi z dołu zapychają zsymp za dużymi workami ze śmieciami.

Tapety były brunatne. Najwyraźniej Francine nie poświęcała wiele czasu na sprzątanie. Wszędzie gromadził się kurz. Julie uznała całość za dosyć deprymującą.

– Czuj się jak u siebie w domu, rozgość się – powiedziała Francine, wskazując na rozwalony fotel, niewątpliwie przyniesiony z jakiegoś śmietnika.

Julie usiadła i Francine zobaczyła, że jej kolano ropicje.

– To rany, które zadały ci Czarne Szczury?

– To mnie nie boli, ale mam wrażenie, że czuję każdą kość w środku. Jak ci to wytłumaczyć? To tak, jakbym nabierała świadomości istnienia moich kolan. Postrzegam moje rzepki, moje stawy, cały ten skomplikowany system, który pozwala dwóm kościom funkcjonować razem.

Francine zbadała ranę z siną obwódka i zaczęła się zastanawiać nad tym, czy Julie nie jest trochę masochistką. Wyglądało na to, że lubi swoją ranę, bo przypomina jej o istnieniu kolana...

– Powiedz, naćpałaś się? – zapytała Francine. – Odpaliło ci? Mimo wszystko się tym zajmę. Myślę, że mam gdzieś watę i gencjanę.

Francine rozcięła najpierw nożyczkami długą spódnicę Julie, która przykleiła się do rany, i tym razem z własnej woli dziewczyna o jasnoszarych oczach odsłoniła uda.

– Moja spódnica nadaje się do wyrzucenia!

– Tym lepiej – odparła Francine, opatrując ją. – Dzięki temu będzie wreszcie widać twoje nogi. Poza tym są ładne. Pierwsze ustępstwo na rzecz kobiecości: pokaż je. Rana zaschnie szybciej.

Francine zapaliła następnie skręta z sensemilli i podała jej go:

– Nauczę cię uciekać w myślach. Może niewiele umiem, ale nauczyłam się żyć

w wielu równoległych rzeczywistościach i, uwierz mi, moja droga, świetnie jest mieć wybór. W życiu wszystko rozczarowuje, chyba że nauczysz się przeskakiwać między rzeczywistościami i wtedy życie staje się bardziej znośne.

Skierowała się w stronę komputerów. Kiedy włączyła ekrany, pokój zmienił się w kokpit ponaddzwiękowego samolotu. Diody migąły, twarde dyski szumiały i nawet zapominało się o nędznym wyglądzie pomieszczenia.

– Masz wspaniałą kolekcję komputerów – stwierdziła z podziwem Julie.

– Tak, pochłaniają całą moją energię i wszystkie oszczędności. Moją pasją są gry. Nastawiam stary kawałek Genesis w tle, zapalam skręta i bawię się w tworzenie sztucznych światów. Obecnie najbardziej podoba mi się *Ewolucja*. Za pomocą tego programu odtwarzasz cywilizacje i wysyłasz je, aby ze sobą wojowały. Równocześnie rozwijasz rzemiosło, rolnictwo, przemysł, handel, jednym słowem: wszystko! Pozwala ci to miło spędzić czas i masz wrażenie, że na nowo tworzysz historię ludzkości. Chcesz spróbować?

– Czemu nie?

Francine wyjaśniła jej, jak zakładać uprawy, zarządzać postępem technologicznym, prowadzić wojny, budować drogi, wysyłać odkrywców na morza, zawierać układy dyplomatyczne z sąsiednimi cywilizacjami, wyprawiać karawany kupieckie, wykorzystywać szpiegów, ogłaszać wybory, przewidywać skutki uboczne, konsekwencje krótko-, średnio- i długookresowe.

– Bycie bogiem danego narodu nawet w sztucznym świecie nie jest łatwym zadaniem – podkreśliła Francine. – Kiedy zagłębiam się w tę grę, wydaje mi się, że lepiej rozumiem naszą historię i przeczuwam prawdopodobną przyszłość. Na przykład grając, zrozumiałam, że w ewolucji narodu niezbędny jest pierwszy etap despotyzmu i jeżeli chciałoby się przeskoczyć ten etap, i wprowadzić od razu ustrój demokratyczny, despotyzm pojawi się później. To trochę tak, jak ze skrzynią biegów w samochodzie. Należy wrzucić kolejno pierwszy bieg, następnie drugi, a potem trzeci. Jeśli chciałoby się ruszyć na trójce, silnik zgaśnie. Tak właśnie tworzę moje cywilizacje. Długa faza despotyzmu, po której następuje monarchia, a wreszcie, gdy naród staje się rozsądny, popuszczam cugle i rozważam wprowadzenie demokracji. I naród to docenia. Ale państwa demokratyczne są bardzo delikatne... Zdasz sobie z tego sprawę, jak zaczniesz grać.

Przebywając tak długo w sztucznych światach kolejnych partii *Ewolucji*,

Francine zdawała się prowadzić analizę własnego świata.

– A nie sądzisz, że istnieje wielki gracz, który nami też manipuluje? – spytała Julie.

Francine wybuchnęła śmiechem.

– To znaczy jakiś Bóg? Tak, być może. Prawdopodobnie. Problem polega na tym, że jeżeli Bóg istnieje, pozostawił nam wolną wolę. Zamiast wskazywać nam, co należy robić, co jest dobre, a co złe, tak jak ja to robię z moim narodem w *Ewolucji*, pozwala nam to odkryć samodzielnie. Moim zdaniem jest nieodpowiedzialny.

– Może czyni to świadomie. To dlatego, że Bóg pozostawił nam wolną wolę, mamy prawo popełniać głupstwa. A nawet popełniać straszne głupstwa, a On w to nie ingeruje.

Ta uwaga zdawała się dawać wiele do myślenia Francine.

– Masz rację. Być może pozostawił nam wolną wolę z ciekawości, aby zobaczyć, jak się nią posłużymy – odpowiedziała zamyślona.

– A jeśli dał nam wolną wolę dlatego, że nie bawiło go patrzenie na masę identycznych, posłusznych, równie miłych i równie uległych poddanych? Może dlatego, że Bóg nas kocha, ofiarował nam tak wielką wolność. Całkowicie wolna wola to największy dowód miłości, jaki Bóg może dać swojemu ludowi.

– Szkoda w takim razie, że sami siebie nie lubimy wystarczająco, by inteligentnie z niej korzystać – podsumowała Francine.

Na razie wołała wskazywać swoim poddanym właściwe zachowanie. Nacisnęła klawisze komputera, aby nakazać swojemu ludowi rozpoczęcie badań agronomicznych, które pozwolą udoskonalić uprawę zbóż.

– Siedząc w domu, pomagam im dokonywać odkryć. Informatyka daje nam wreszcie prawo do całkowitej i nieszkodliwej megalomanii. Ja jestem autokratyczną boginią.

Grały przez godzinę, obserwując wirtualny lud i kierując nim. Julie potarła oczy. Każde mrugnięcie powiekami tworzy co 5 sekund warstwę łez grubości 7 mikronów, aby nawilżyć, oczyścić i zmiękczyć rogówkę. Ale długie przebywanie przed ekranem wysuszało jej oczy. Wołała odwrócić wzrok od wirtualnego świata.

– Jako młoda bogini – powiedziała Julie – proszę o przerwę. Pilnowanie świata kończy się bólem oczu. Jestem pewna, że nawet nasz Bóg nie obserwuje naszej planety przez całą dobę. Chyba że ma dobre okulary.

Francine wyłączyła komputer i potarła oczy.

– A ty, Julie, masz inne pasje poza śpiewem?

– Ja mam coś znacznie lepszego od twoich komputerów. Mieści się to w plecaku, waży sto razy mniej niż komputer, ma bardzo szeroki ekran, praktycznie nieograniczoną autonomię, zaczyna działać zaraz jak się go otworzy, zawiera miliony informacji i nigdy się nie psuje.

– Superkomputer? Zainteresowało mnie to – powiedziała Francine, zakraplając sobie oczy.

Julie się uśmiechnęła.

– Powiedziałam, że to coś „lepszego od twoich komputerów”. Poza tym nie boją od tego oczy.

Wyjęła opasty tom *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*.

– Książka? – zdziwiła się Francine.

– To nie byle jaka książka. Odkryłam ją w głębi tunelu w lesie. Nosi tytuł *Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej* i została napisana przez starego mędrca, który z całą pewnością objechał świat dookoła, aby zdobyć całą wiedzę swoich czasów o wszystkich krajach, wszystkich epokach i we wszystkich dziedzinach.

– Przesadzasz.

– Dobrze. Przyznaję, że nie wiem nic na temat tego, kto ją napisał, ale przeczytaj kawałek, będziesz naprawdę zaskoczona.

Podła jej książkę, którą zaczęły razem kartkować.

Francine odkryła fragment, w którym autor zapewniał, że informatyka jest środkiem pozwalającym zmienić świat, ale aby to osiągnąć, należy dysponować komputerem o bardzo dużej mocy. Komputery będące w powszechnym użyciu mają jedynie ograniczone możliwości, bo są zhierarchizowane. Podobnie jak w monarchii, główny mikroprocesor steruje peryferyjnymi elementami elektronicznymi. Należało zatem koniecznie stworzyć demokrację w komputerowych układach scalonych.

W miejsce wielkiego centralnego mikroprocesora profesor Edmund Wells proponował wykorzystanie dużej liczby małych mikroprocesorów, które pracowałyby równocześnie, stale komunikowały się ze sobą i kolejno podejmowały decyzje. Nazywał tę maszynę swoich marzeń „komputerem o demokratycznej strukturze”.

Francine zainteresowała się tym. Przeanalizowała plany.

– Jeżeli ta maszyna przyszłości spełni pokładane w niej nadzieje, to wyślę do muzeum wszystkie istniejące komputery. Ten gość miał zabawne pomysły. Opisuje tu komputer nowego rodzaju, wyposażony nie w jeden czy nawet cztery mózgi funkcjonujące równolegle, ale w pięćset współdziałających mózgów. Czy wyobrażasz sobie moc takiego urządzenia?

Francine zrozumiała, że *Encyklopedia* nie była jedynie zbiorem aforyzmów, ale dziełem bezpośrednio dotyczącym życia, proponującym całkiem praktyczne i możliwe do zrealizowania rozwiązania.

– Do tej pory produkowano jedynie komputery o strukturze równoległej. Ale dzięki maszynie, którą opisuje twoja encyklopedia, i tej „demokratycznej strukturze” możliwości każdego programu wzrosną pięćset razy!

Dziewczyny popatrzyły na siebie. Właśnie nawiązała się między nimi bardzo silna nić porozumienia. W jednej chwili bez słowa obie zrozumiały, że będą zawsze mogły na siebie liczyć. Julie poczuła się mniej samotna. Bez powodu wybuchnęły śmiechem.

53. ENCYKLOPEDIA

PRZEPIS NA MAJONEZ: Bardzo trudno jest mieszać bardzo różne składniki. Jednak istnieje substancja dowodząca, że dodanie do siebie dwóch różnych substancji powoduje powstanie trzeciej, która je uszlachetnia – to majonez. Jak zrobić majonez? Ukręcić w salaterce żółtko z musztardą, używając drewnianej łyżki. Dodawać stopniowo oliwy w małych ilościach, aż sos zgęstnieje. Gotowy majonez należy doprawić solą, pieprzem i łyżką octu winnego. Uwaga: należy uwzględnić temperaturę. Sekret majonezu: jajko i oliwa muszą mieć dokładnie tę samą temperaturę. Idealna temperatura to 15 stopni C. Dwa składniki połączą w gruncie rzeczy maleńkie pęcherzyki powietrza, które zostaną wprowadzone przy ucieraniu. $1 + 1 = 3$

Jeżeli majonez się nie uda, można go uratować, dodając powoli do oliwy i jajka łyżkę musztardy, cały czas mieszając. Uwaga: najważniejsze, by robić to stopniowo.

Poza tym technika wyrobu majonezu była podstawą słynnej tajemnicy

flamandzkiego malarstwa olejnego. Bracia van Eyck w piętnastym wieku wpadli na pomysł, aby posłużyć się tego typu emulsją do uzyskania doskonale kryjących kolorów. Ale w malarstwie zamiast mieszanki woda-oliwa-żółtko wykorzystuje się mieszankę woda-oliwa-białko.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

54. TRZECIA WIZYTA

Na trzecią wizytę w piramidzie komisarz Maximilien Linart zaopatrzył się w sprzęt detekcyjny, który wyjął z torby. Kiedy doszedł do podnóża piramidy, wyciągnął mikrofon ze wzmacniaczem. Przyłożył go do ściany i zaczął nasłuchiwać.

Znowu detonacje, śmiechy, sonata fortepianowa, oklaski.

Nadstawił ucha. Ludzie rozmawiali.

– Jak, posługując się jedynie sześcioma zapalkami, utworzyć nie cztery ani sześć, ale osiem równych trójkątów równobocznych, nie sklejjając, nie składając ani nie łamiąc zapalek?

– Czy może pan podać jeszcze jedno zdanie, aby mi podpowiedzieć?

– Oczywiście. Zna pani zasady naszej gry. Może pani przychodzić w kolejne dni i za każdym razem dajemy pani nową podpowiedź. Dziś zdanie brzmi następująco: „Aby znaleźć odpowiedź... wystarczy się zastanowić”.

Maximilien rozpoznał zagadkę z sześcioma zapalkami, którą zadawano w programie *Pułapka w rozumie*. A zatem wszystkie te dźwięki dochodziły z włączonego telewizora!

Ten, ta lub ci, którzy znajdowali się wewnątrz piramidy bez drzwi i okien, oglądali po prostu telewizję. Policjant sformułował różne hipotezy. Najbardziej prawdopodobną była hipoteza jakiegoś pustelnika, którego tu zamurowano, aby mógł spędzić resztę swoich dni na oglądaniu telewizji tak, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Musiał mieć zapasy żywności, może nawet był pod kroplówką, i siedział tak, na wprost ekranu, z dźwiękiem wzmocnionym do maksimum.

„Na jakim świecie my żyjemy” – pomyślał komisarz. Oczywiście telewizja nabierała coraz większego znaczenia w życiu ludzi, wszędzie na dachach

rozkwitały anteny, ale żeby aż zamykać się w więzieniu bez drzwi i okien, by móc ją w spokoju oglądać... Co za człowiek był na tyle szalony, żeby wybrać podobną formę samobójstwa?

Maximilien Linart złożył ręce niczym w tubę i przywarł do ściany.

– Kimkolwiek jesteś – zagrzmiał – nie masz prawa tu przebywać. Ta piramida została zbudowana na obszarze chronionym, gdzie nie można stawiać budynków.

Natychmiast hałasy ustały. Dźwięk został wyłączony. Żadnych oklasków. Żadnego śmiechu. Żadnych serii z karabinu maszynowego. Żadnej *Pułapki w rozumie*. Ale również żadnej odpowiedzi.

Komisarz ponowił swój apel:

– Policja! Proszę wyjść! To rozkaz!

Usłyszał głuchy odgłos, jakby gdzieś otworzyła się zapadnia. Na wszelki wypadek wyjął rewolwer, zlustrował okolicę, znowu obszedł dookoła piramidę.

Stalowa rękojęść w dłoni dawała mu poczucie, że jest niezwyciężony. Ale rewolwer nie był atutem, był zagrożeniem. Obniżał czujność. Maximilien nie zauważył więc cichego bzyczenia za plecami.

Bzzz... bzzz...

Nie zwrócił także uwagi na lekkie ugryzienie w szyję ułamek sekundy później.

Zrobił jeszcze trzy kroki i jego usta otworzyły się szeroko, ale nie był w stanie wydać żadnego dźwięku. Żrenice się rozszerzyły. Upadł na kolana, upuścił broń i padł jak długi z głową naprzód.

Zanim zamknął oczy, zobaczył dwa słońca, prawdziwe i to, które odbijało się od lustrzanej tafli na ścianie. Nie był w stanie utrzymać ciężaru powiek, które opadły jak ciężka kurtyna.

55. SĄ ICH MILIONY

Poziom w morzu świerszczy ciągle się podnosi.

Szybko, szybko, trzeba znaleźć jakiś sposób na wyjście z tej sytuacji. Gdy jest się mrówką, trzeba zawsze szukać oryginalnych sposobów na przeżycie. Wisząc na najwyższych gałązkach krzewu borówki, trzynaście mrówek stara się zetknąć czułkami. Ich wspólny umysł przepelnia przede wszystkim panika i żądza zabijania. Niektóre pogodziły się już ze śmiercią. Ale nie 103. Być może wie, co

zrobić: ratunkiem jest prędkość.

Pancerze świerszczy tworzą w dole nierówny dywan, lecz gdyby biec bardzo szybko, można by się nim posłużyć. Przeprowadzając się przez rzekę, stara wojownicza widziała owady, które biegły po powierzchni, nie zanurzając się, robiąc po prostu kolejny krok w momencie, gdy już, już miały utonąć.

Pomysł wydaje się dziwaczny, grzbiety świerszczy w niczym nie przypominają bowiem powierzchni wody. Ponieważ jednak nikt nie ma innego pomysłu, a krzew borówki zaczyna uginać się pod ciężarem szarańczy, mrówki postanawiają zaryzykować.

103 skacze pierwsza. Biegnie po grzbietach świerszczy tak szybko, że te nie mają nawet czasu zrozumieć, co się dzieje. Zresztą są tak zajęte jedzeniem i rozmnażaniem się, że nie zwracają specjalnie uwagi na tę chwilową wizytę na ich plecach.

Dwanaście młodszych eksploratorek podąża za nią. Przesmykują się między czułkami i podkurczonymi udami, które wystają ponad grzbiety. W pewnej chwili 103 wpada w poślizg na jednym z ruchomych pancerzy, na szczęście 5 udaje się ją przytrzymać za kryzę przedtułowia. Belokanijki galopują w najlepsze, lecz odległość, którą muszą pokonać, jest spora.

Jak okiem sięgnąć, widać same grzbiety świerszczy.

Rude mrówki biegną ponad tym całym trzęsącym się tłumem. Krzewy rosnące wokół toną w morzu żuwaczek szarańczy. Leszczyna i porzeczki rozpadają się pod kroplami tego żywego, niszczycielskiego deszczu.

Wreszcie myrmeczeńska grupa dostrzega w oddali kojący cień wysokich drzew. To one zdołały zahamować falę świerszczy. Tak niewiele dzieli już mrówki od sukcesu.

Udało się! Dotarły. Eksploratorki wspinają się na długą, nisko pochyloną gałąź.

Są ocalone!

Świat natychmiast wraca do normalności. Jakże przyjemnie jest postawić nóżkę na stabilnej korze drzewa po długiej wędrówce przez grząskie piaski pustyni i ruchome morze grzbietów świerszczy!

Pokrzepiają się, wymieniając pieszczoty i dzieląc się pożywieniem. Zabijają samotnego świerszcza i zjadają go. Dzięki receptorom pola magnetycznego 12 określa kierunek, w jakim należy szukać wielkiego dębu. Wkrótce też ruszają

ponownie w drogę. Żeby uniknąć stąpania po ziemi, gdzie morze szarańczy nadal pokrywa korzenie drzew, mrówki przemieszczają się z gałęzi na gałąź.

Wreszcie pojawia się przed nimi olbrzymie drzewo. Jeśli porównać drzewa do wieży – jest zdecydowanie najwyższym donżonem. Jego pień jest tak gruby, że wydaje się płaski, gałęzie zaś tak wysokie, że zakrywają niebo.

Trzyście mrówek przemierza gruby, aksamitny dywan z porostów, który pokrywa północną stronę wielkiego dębu.

Mrówki uważają, że dąb ten liczy sobie dwanaście tysięcy lat. To dużo. Lecz z pewnością jest wyjątkowy. Życie bije z każdego kawałka kory, z każdego liścia, kwiatu i żołądka. U jego stóp belokanijki spotykają całą paradę fauny dębowej. Wołki zbożowe wiercą swymi dzióbkami otwory w żołądkach, by złożyć w nich następnie kilkumilimetrowe jajeczka. Chrząszcze kantarydy o metalicznych skrzydłach degustują miękkie jeszcze gałązki, gdy tymczasem larwy kozioroga dębosza drążą korytarze w grubszej warstwie kory. Gąsienice miernikowców dorastają w liściach zwiniętych przez ich rodziców w rożki.

Nieco dalej zielone gąsienice zwójki rzucają się w pustkę pod sobą, uczipione nitkami, starając się dosięgnąć niższych gałęzi.

Mrówki odcinają ich liny i zjadają, nie zadając żadnych pytań. Gdy jedzenie zwisa z gałęzi, nie można go sobie odmawiać. Drzewo podziękowałoby im za to, gdyby oczywiście potrafiło mówić.

103 stwierdza, że mrówki sprawdzają się w roli drapieżników. Zabijają i zjadają zwierzynę łowną bez większych emocji. Palce natomiast chcą zapomnieć o swoim miejscu w cyklu ekologicznym. Nie potrafią zjeść zwierzęcia, którego śmierci były świadkiem. Na dodatek smakują im jedynie produkty spożywcze, które w niczym nie przypominają zwierzęcia, z którego się wywodzą. Wszystko jest zatem cięte, siekane, zabarwiane, mieszane, by stać się nierozpoznawalnym. Palce udają niewiniątka, nie przyznają się nawet do morderstw popełnianych na zwierzętach, które spożywają.

Nie ma jednak teraz czasu na rozmyślanie. Przed nimi, w półkolach przypominających schody prowadzące w górę pnia, rosną grzybki. Mrówki, odetchnąwszy chwilę, zaczynają wspinaczkę.

103 dostrzega znaki wyżłobione w korze: Richard kocha Liz, litery w sercu przebitym strzałą. Stara wojowniczką nie potrafi odczytać pisma palcowego,

rozumie tylko, że rany zadane nożykiem są przyczyną cierpienia dla drzewa. Serce przebite strzałą nie łka, za to pomarańczowa żywiczna łza spływa po pniu dębu.

Grupa mrówek omija gniazdo pajaków. Zwisają z niego upiorne, pozbawione głów i członków kokony, owinięte białym jedwabiem. Belokanijki wspinają się na jeszcze wyższy poziom dębowej wieży. Wreszcie, mniej więcej w połowie jej wysokości, dostrzegają coś na kształt okrągłego owocu, którego spód zwęża się tworząc rurkę.

– *To gniazdo os z wielkiego dębu* – wskazuje 16, wysuwając swój czulek w kierunku papierowego owocu.

103 nieruchomieje. Zapada noc, mrówki postanawiają ukryć się w jednym z zagłębień kory drzewa. Wrócą tu jutro.

103 nie może spać.

Czy to możliwe, że jej nowa płeć czeka na nią w tej papierowej kuli? Czy rzeczywiście dostęp do statusu księżniczki jest tak blisko, w zasięgu nóżki?

56. ENCYKLOPEDIA

MOBILNOŚĆ SPOŁECZNA: Inkowie wierzyli w determinizm i w kasty. Nie istniał u nich problem orientacji zawodowej: zawód określało urodzenie. Synowie rolników obowiązkowo zostawali rolnikami, synowie żołnierzy – żołnierzami. Aby uniknąć wszelkiego ryzyka błędu, kasta zapisywana była natychmiast na ciele dziecka. W tym celu Inkowie umieszczali główki z miękkim ciemiączkiem, charakteryzującym noworodki, w specjalnych drewnianych imadłach, które kształtowały ich czaszki. Te płaskie imadła nadawały pożądaną formę głowom dzieci: na przykład kwadratową dzieciom królewskim. Zabieg ten nie był bolesny, w każdym razie nie bardziej niż noszenie aparatu ortodontycznego zmuszającego zęby do tego, by rosły w określonej stronie. Miękkie czaszki twardniały w drewnianej formie. Tym sposobem dzieci królów, nawet nagie i porzucone, pozostawały królami, rozpoznawalnymi dla wszystkich, ponieważ jako jedyne mogły nosić koronę, która również była kwadratowa. Czaszkom dzieci żołnierzy nadawano kształt trójkąta. Z kolei dzieci chłopów miały czaszki zaostrzone.

Tym sposobem społeczeństwo Inków trwało w nienaruszonym kształcie. Nie było żadnego ryzyka zmian społecznych, najmniejszego zagrożenia spowodowanego

ambicjami zawodowymi, każdy nosił wyryty do końca życia na czaszce swój status społeczny i zawód.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

57. LEKCJA HISTORII

Uczniowie usiedli na swoich miejscach i, jak w orkiestrze, jednocześnie wyjęli zeszyty i długopisy. Nadeszła lekcja historii.

Tak, jakby zeszłego wieczoru nic się nie stało, Gonzague Dupeyron i jego dwóch przybocznych nie rzuciło nawet okiem na Julie i Siedmiu Krasnoludków, kiedy szli między ławkami, aby razem usiąść.

Wielkimi białymi literami nauczyciel napisał na czarnej tablicy:

Rewolucja francuska 1789 rok

a potem, wiedząc, że nigdy nie należy długo stać tyłem do klasy, odwrócił się, żeby zmierzyć uczniów wzrokiem i wyjął plik kartek z teczki.

– Poprawiłem wasze klasówki.

Chodząc wzdłuż rzędów, rozdawał je autorom, opatrując każdą pracę krótkim komentarzem. „Proszę zwrócić większą uwagę na ortografię”. „Widać postęp”. „Przykro mi, ale Cohn-Bendit nie pojawił się w 1789, lecz w 1968 roku”.

Zaczął od najwyższych not i przechodził kolejno do coraz niższych. Doszedł już do 3/20¹, a Julie cały czas nie dostała swojej pracy.

Wyrok spadł na nią jak ostrze gilotyny.

– Julie: jedynka. Nie dałem ci zera tylko dlatego, że rozwinęłaś dosyć szczególną teorię na temat Saint-Justa, który, twoim zdaniem, doprowadził rewolucję do upadku.

Jakby chcąc pokazać, że bierze całkowitą odpowiedzialność za swoje poglądy, Julie podniosła głowę.

– Tak rzeczywiście uważam.

– Cóż masz przeciwko temu znakomitemu Saint-Justowi, czarującemu, bardzo wykształconemu człowiekowi, który z pewnością siedząc w szkolnej ławie, otrzymywał lepsze noty niż ty?

– Saint-Just – odparła Julie, nie tracąc spokoju – uważał, że rewolucja nie może

się powieść bez użycia siły. Napisał: „Rewolucja ma na celu poprawę świata, a tych, którzy się z nią nie zgadzają, trzeba wyeliminować”.

– Z przyjemnością stwierdzam, że nie jesteś całkowitą ignorantką. Przynajmniej masz w głowie kilka cytatów.

Dziewczyna nie mogła wyznać, że wyrobiła sobie opinię na temat Saint-Justa pod wpływem lektury *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*.

– Ale nie zmienia to meritum – podjął nauczyciel. – Oczywiście Saint-Just miał rację co do meritum, nie można zrobić rewolucji bez użycia siły...

Julie broniła się:

– Sądzę, że w momencie, gdy ktoś zaczyna zabijać, zmuszać ludzi do robienia czegoś, na co nie mają ochoty, dowodzi tym samym, że brak mu wyobraźni, że nie jest w stanie znaleźć innego sposobu głoszenia swoich poglądów. Na pewno istnieją środki pozwalające dokonać rewolucji bez użycia siły.

Nauczyciel, zainteresowany, prowokował swoją młodą rozmówczynię:

– Nie-moż-li-we. Historia nie zna rewolucji bez przemocy. Te dwa pojęcia są właściwie przeciwstawne.

– W takim razie trzeba ją wymyślić – rzuciła Julie, nie zniechęcając się.

Z pomocą przyszła jej Zoé.

– Rock’n’roll, informatyka... to rewolucje bez przemocy, które zmieniły mentalność społeczną bez rozlewu krwi.

– Ale to nie są rewolucje! – oburzył się nauczyciel. – Rock’n’roll i informatyka w żaden sposób nie wpłynęły na politykę w poszczególnych krajach. Nie wypędziły dyktatorów, nie dały większej wolności obywatelom.

– Rock bardziej zmienił codzienne życie ludzi niż rewolucja tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, która właściwie doprowadziła do jeszcze większego despotyzmu – dorzucił Ji-woong.

– Rock może obalić porządek społeczny – dodał David.

Cała klasa dziwiła się, widząc, z jakim uporem Julie i Siedmiu Krasnoludków występują w obronie przekonań, o których nie było mowy w podręczniku do historii.

Nauczyciel wrócił za biurko, rozsiadł się wygodnie w fotelu, tak, jakby chciał tym samym potwierdzić własną opinię.

– Świetnie, otwieram dyskusję. Ponieważ nasza lokalna grupa rockowa

podważa dokonania rewolucji francuskiej, idźmy za ciosem! Porozmawiajmy o rewolucjach.

Rozwijając na ścianie mapę świata, wskazywał linijką różne rejony.

– Począwszy od buntu Spartakusa, a skończywszy na amerykańskiej wojnie niepodległościowej, nie zapominając o komunie paryskiej w dziewiętnastym wieku, Budapeszcie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, Pradze w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, rewolucji goździkowej w Portugalii, rewolucjach meksykańskich Zapaty i jego poprzedników, Długim Marszu Mao i jego zwolenników w Chinach, rewolucji sandinistowskiej w Nikaragui, objęciu władzy przez Fidela Castro na Kubie, wszyscy ci, mówię WSZYSCY CI, którzy chcieli zmienić świat, przekonani o tym, że ich poglądy są bardziej słuszne od poglądów tych, którzy sprawowali władzę, musieli się bić i walczyć, aby je narzucić. Wielu z nich zginęło. Nie ma nic za darmo: to cena, jaką należy zapłacić. Rewolucje wymagają rozlewu krwi. Tak właśnie jest i zresztą dlatego na sztandarach rewolucyjnych zawsze gdzieś występuje kolor czerwony.

Julie nie ugięła się pod tym naporem elokwencji.

– Nasze społeczeństwo się zmieniło – powiedziała pełna zapału. – Powinniśmy móc zmienić ten skostniały stan bez gwałtownych ruchów. Zoé ma rację: rock i informatyka rzeczywiście są przykładami łagodnych rewolucji. Na ich sztandarach nie było czerwieni i nie możemy jeszcze ocenić ich dokładnych rozmiarów. Informatyka pozwala tysiącom ludzi porozumiewać się szybko na bardzo dużą odległość, bez kontroli rządu. Następną rewolucja dokona się z użyciem tego rodzaju narzędzi.

Nauczyciel potrząsnął głową, westchnął i swobodnym tonem zwrócił się do klasy:

– Tak sądzicie? Cóż, opowiem wam historyjkę na temat tych „łagodnych rewolucji” i nowoczesnych sieci komunikacji. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku na placu Tiananmen chińscy studenci sądzili, że mogą posłużyć się nowoczesnymi technologiami, aby wymyślić inną rewolucję. Oczywiście pomyśleli o użyciu faksów. Francuskie gazety zasugerowały czytelnikom, aby wysyłali fakсы z poparciem dla protestujących. Rezultat był taki, że kontrolując połączenia z Francją, policja chińska namierzyła i zatrzymała po kolei rewolucjonistów posiadających komputery i fakсы! Ci młodzi, zamknięci

w celach i torturowani Chińczycy, których, jak wiadomo, pozbawiono zdrowych organów, aby przeszczepić je starym przywódcom zniszczonym wiekiem, są zapewne bardzo wdzięczni Francuzom, którzy za pomocą faksu przesyłali im „listy poparcia”! Macie tu znakomity przykład udziału nowoczesnych technologii w sukcesie rewolucji...

Uczennica i nauczyciel popatrzyli na siebie.

Anegdota nieco zbiła Julie z tropu.

Konfrontacja zachwyciła klasę, jak również nauczyciela. Dzięki tej dyskusji poczuł, że odmłodził. Kiedyś był komunistą i przeżył wielkie rozczarowanie, gdy partia poleciła mu, by rozwiązał swoją komórkę z niejasnych powodów związanych z lokalnymi sojuszami wyborczymi. „Na górze”, w Paryżu, jednym pociągnięciem przekreślono zarówno jego, jak i jego kolegów, aby zagwarantować sobie utrzymanie jednego stanowiska, nie mówiąc im nawet jakiego. Rozgoryczony porzucił politykę, ale nie mógł tego opowiedzieć swoim uczniom.

Julie poczuła rękę na ramieniu.

– Opuść – wyszeptał Ji-woong. – Nie pozwoli na to, żebyś miała ostatnie słowo.

Nauczyciel popatrzył na zegarek.

– Koniec lekcji. W przyszłym tygodniu będziecie zadowoleni: zajmiemy się rewolucją rosyjską w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Znowu głód, rzezie, mordowani władcy, ale przynajmniej w scenerii zimowej, ze śniegiem i bałajką w tle. Ogólnie wszystkie rewolucje są do siebie podobne, różni się jedynie otoczenie i folklor.

Rzucił ostatni raz okiem w stronę Julie.

– Liczę, że przedstawiś mi interesujące kontrargumenty. Julie, należysz do tych, których określiłbym mianem przeciwników użycia siły stosujących przemoc. Oni są najgorsi. To oni gotują homary na wolnym ogniu, bo nie mają odwagi wrzucić ich do wrzątku. W konsekwencji zwierzę cierpi sto razy bardziej i znacznie dłużej. Ale ponieważ jesteś taka zdolna, spróbuj znaleźć sposób, w jaki bolszewicy mogliby „bez użycia siły” pozbyć się cara Wszechrusi. Interesująca hipoteza robocza...

W tym momencie zabrzmiał dzwonek.

Przypomina szary dzwon. Osie wartowniczkę uzbrojone w ostre czarne żądła kręcą się w pobliżu wejścia.

Tak jak karaluchy są przodkami termitów, tak mrówki mają za przodków osy. W świecie owadów można znaleźć przykłady żyjących równolegle pierwotnych gatunków oraz gatunków, które z nich wyewoluowały. To tak, jakby współcześni ludzie spotykali się w naszych czasach z australopitekami, od których się wywodzą.

Mimo że prymitywne, osy nie są przez to mniej towarzyskie. Żyją grupami w kartonowych gniazdach, nawet jeśli te zaczątki miast w niczym nie przypominają potężnych woskowych konstrukcji pszczół ani też mrówczych kopców z piasku.

103 i jej towarzyszkę zbliżają się do gniazda. Wydaje im się bardzo delikatne. Osy budują swój dom z masy papierowej, która powstaje przez długotrwałe żucie włókien martwego drewna, zmieszanego ze śliną.

Osie zwiadowczynie, dostrzegłszy wspinające się ku nim mrówki, nadają alarmowe feromony. Za pomocą czułków przekazują sobie znaki i z wysuniętymi żądlami ruszają w stronę myrmecyjskich intruzek.

Kontakt dwóch cywilizacji to niełatwa sprawa. Pierwszym odruchem jest zazwyczaj agresja. 14 wpada na pomysł, jak pozyskać osy umizgami. Cofa trochę pożywienia, które im ofiarowuje. Każdy czuje zaskoczenie, gdy ktoś, kogo podejrzewało się o niecne zamiary, obdarowuje nas prezentem. 14 kładzie po sobie czułki, chcąc w ten sposób pokazać, że nie ma zamiaru walczyć. Jedna z os klepie ją swoim czułkiem po głowie, chcąc zobaczyć, jak tamta zareaguje – 14 nie reaguje wcale. Pozostałe belokanijki również odginają czułki do tyłu.

Osy informują w języku olfaktycznym, że to terytorium należy do nich, i nic tu po mrówkach.

14 wyjaśnia, że jedna z nich chciałaby zaopatrzyć się w pleć, a operacja ta może ocalić życie całej ich grupie.

Zwiadowczynie dyskutują w swoim gronie. Wygląda to dość oryginalnie. Nie tylko emitują feromony, lecz poruszają przy tym również czułkami. Unosząc je w górę, okazują zdziwienie, wysuwając do przodu – podejrzliwość, a zainteresowanie – wysuwając jeden z nich w górę. Czasami czubek miękkiego czułka głaszcze czulek rozmówczynie.

103 występuje przed szeregiem i przedstawia się. To ona chciałaby mieć pleć.

Osy klepią ją po czaszce, wreszcie pozwalają jej iść za nimi. Musi jednak pójść sama.

103 wchodzi do papierowego owocu, który rzeczywiście okazuje się gniazdem.

Wejścia pilnują liczne wartowniczkę. To normalne. To jedyny otwór, nieprzyjaciół może zaatakować tylko od tej strony, wyłącznie w tym miejscu można również regulować temperaturę panującą wewnątrz miasta. Wartowniczkę trzepoczą skrzydłami, by skierować prądy powietrza do wnętrza gniazda.

Mimo że są przodkami mrówek, osy nie wydają się zbyt rozwinięte. Ich gniazdo składa się z równoległych, poziomych rzędów papieru, na każdym z nich umieszczony jest tylko jeden rząd komórek. Podobnie jak u pszczoł, komórki te mają kształt sześciokątów.

Rzędy łączą zwoje drobno przeżutej szarej koronki. Liczne warstwy *papier mâché* i kartonu chronią zewnętrzne ściany przed uderzeniami i zimnem. 103 wie już co nieco o osach. W Bel-o-kan niańki nauczycielki opowiadały jej, jak żyją te insekty.

W przeciwieństwie do pszczelego ula, stałego miasta, gniazdo os funkcjonuje tylko przez jeden sezon. Na wiosnę królowa os, obciążona wielką liczbą jajeczek, wyrusza na poszukiwanie miejsca, gdzie mogłaby założyć gniazdo. Gdy znajdzie odpowiednią lokalizację, tworzy komórkę z kartonu, w której składa jajeczka. Gdy się wyklują, karmi larwy tym, co udało jej się upolować w ciągu dnia. Przeobrażenie się w sprawne robotnice zajmuje larwom piętnaście dni. Następnie matka założycielka może zająć się już wyłącznie sprawami rozrodu.

103 dostrzega jajeczka. W jaki sposób utrzymują się one w komórkach skierowanych ku dołowi? 103 przygląda się uważniej i wreszcie pojmuje. Niańki przylepiają jajeczka i młode larwy do sufitu za pomocą lepkiej substancji. Osy wynalazły nie tylko papier i karton, ale również klej.

Trzeba przyznać, że w świecie zwierząt nigdy nie wynaleziono ani gwoźdźca, ani śruby, klej jest najczęściej stosowanym środkiem służącym do łączenia materii. Niektóre insekty potrafią produkować klej wyjątkowo mocny i tak szybko schnący, że tężeje w ciągu jednej sekundy.

103 podąża głównym korytarzem. Na każdym piętrze znajdują się kartonowe kładki. Dzięki wywierconym w nich otworom można się przedostać z poziomu na poziom. Całość robi jednak zdecydowanie mniejsze wrażenie niż złoty ul pszczoł.

Tu wszystko jest szare i lekkie. Żółto-czarne robotnice, z czołami pokrytymi przerażającymi wzorami, produkują masę papierową, przeżuwając drewno. Budują z niej następnie ściany i komórki, regularnie sprawdzając ich grubość za pomocą czułków przypominających szczypce.

Inne transportują mięso: znieczulone muchy i gąsienice, które dopiero po jakimś czasie zdadzą sobie sprawę z nieszczęścia, jakie je spotkało. Część tej zdobyczy przeznaczona jest dla larw – wygłodniałych robaków, które bezustannie wiją się, domagając się jedzenia. Osy są jedynymi owadami żyjącymi w społeczności, które karmią swoje młode surowym, w żaden sposób nierozdrobnionym mięsem.

Królowa os krąży wśród swoich córek. Jest od nich większa, cięższa i bardziej rozdrażniona. 103 przywołuje ją kilkoma feromonami. Królowa zbliża się do niej, a wtedy stara ruda mrówka wyjawia jej powód swojej wizyty. Liczy sobie już trzy lata i zbliża się do kresu życia. Tymczasem ona jedna posiada informację wyjątkowej wagi, z którą musi dotrzeć do rodzinnego gniazda. Nie chce umrzeć, zanim nie wypełni swojej misji do końca.

Królowa os maca 103 czułkami, żeby lepiej wyczuć jej zapachy. Nie może pojąć, dlaczego mrówka przychodzi po pomoc do osy. Zazwyczaj każdy sam dba o siebie. Wzajemna pomoc między gatunkami nie istnieje. 103 podkreśla, że w jej wypadku nie może się obejść bez pomocy obcych. Mrówki nie potrafią przygotowywać substancji hormonalnej, która może zapewnić jej przeżycie.

Królowa os odpowiada, że rzeczywiście, osy potrafią przyrządzić pszczele mleczko pełne hormonów, lecz nie widzi powodu, dla którego miałyby dać je mrówce. Jest zbyt cenne, by je marnować.

103 z trudem emituje feromonowe zdanie, które chwilę później dociera do czułków królowej os.

– *Żeby mieć płć.*

Tamta dziwi się. Po co komuś płć?

59. ENCYKLOPEDIA

TRÓJKĄT DOWOLNY: Nieraz trudniej być dowolnym niż nadzwyczajnym. Tak jest w wypadku trójkątów. Większość trójkątów to trójkąty równoramienne (dwa

boki równej długości), prostokątne (mają jeden kąt prosty), równoboczne (trzy boki tej samej długości).

Tyle jest określonych trójkątów, że sprawą trudną staje się narysowanie trójkąta, który nie byłby szczególny, chyba żeby narysować trójkąt o możliwie jak najbardziej nierównych bokach. Ale nie jest to oczywiste. Trójkąt dowolny nie powinien mieć kąta ani prostego, ani równego, ani większego niż 90 stopni. Uczonemu, Jacques'owi Loubczanskiemu udało się z wielkim trudem opracować prawdziwy „trójkąt dowolny”. Jego cechy są określone... z dużą precyzją. Aby uzyskać „trójkąt dowolny”, trzeba połączyć połowę kwadratu przeciętego po przekątnej z połową trójkąta równoramiennego przeciętego wzdłuż wysokości. Przystawiając je do siebie, powinniśmy uzyskać wzorcowy trójkąt dowolny. Prostota nie jest wcale prosta.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

60. PRÓBA

Po co komuś płeć?

Nie istnieje żaden biologiczny powód, dla którego bezpłciowa mrówka, urodzona w kaście aseksualnych, miałaby nagle poczuć potrzebę posiadania płci.

103 zdaje sobie sprawę, że królowa os wystawia ją właśnie na próbę. Stara się znaleźć inteligentną odpowiedź, a nie znalazłszy jej, stwierdza tylko, że „płeć pozwala żyć dłużej”.

Być może pod wpływem palcowych seriali telewizyjnych straciła zdolność nadawania jasnych komunikatów.

Królowa os natomiast potrafi nadać swoim zapachowym zdaniom wyjątkową intensywność. Nawiązuje się rozmowa. Jak wszystkie królowe, posiada zdolność rozmawiania o innych sprawach niż pożywienie i bezpieczeństwo. Wie, czym są abstrakcyjne pojęcia.

Królowa wyraża się za pomocą zapachów, a także kręcąc swoimi czułkami we wszystkich kierunkach, dzięki czemu jej słowa nabierają wyraźniejszej intonacji. Mrówki nazywają to „mówieniem czułkami”. Osa zauważa, że mrówka i tak w końcu umrze. Więc czemu chcieć żyć dłużej?

103 zdaje sobie sprawę, że gra będzie trudniejsza niż się spodziewała. Rozmówczyni nadal nie jest przekonana o słuszności jej projektu. Zresztą rzeczywiście, w czym dłuższe życie jest lepsze od krótkiego?

103 twierdzi, że płeć pozwoli jej cieszyć się wartościami emocjonalnymi, z jakich mogą korzystać płciowe osobniki: większą wrażliwością zmysłów, zdolnością odczuwania emocji...

Królowa uważa, że według niej jest to raczej kłopot niż przywilej. Większość tych, które są zbyt emocjonalne, a których zmysły są wyjątkowo wyczulone, żyją w wiecznym strachu. To dlatego samce żyją krótko, samice zaś odcinają się od świata zewnętrznego. Wrażliwość jest źródłem wiecznego bólu.

103 szuka bardziej przekonujących argumentów. Chce mieć płeć, gdyż ta pozwala się rozmnażać.

Tym razem królowa os wykazuje zainteresowanie. Dlaczego chce się rozmnażać? Dlaczego ona sama sobie nie wystarcza?

Dziwna konstrukcja logiczna. Zazwyczaj owady, szczególnie błonkoskrzydłe społeczne, takie jak mrówki i osy, nie używają pojęcia „dlaczego”. Istnieje tylko pojęcie „w jaki sposób”. Nie szukają przyczyn wydarzeń, starają się jedynie zrozumieć, w jaki sposób można je kontrolować. Fakt, że ta osa zadaje jej pytanie „dlaczego”, dowodzi, że i ona przeszła wyjątkową duchową przemianę.

Stara ruda mrówka tłumaczy, że zależy jej na przekazaniu swojego kodu genetycznego innym żywym istotom.

Królowa os porusza czułkami z powątpiewaniem. Oczywiście, posiadanie płci wydaje się w takim wypadku uzasadnione, lecz dlaczego akurat jej kod genetyczny miałby być bardziej interesujący od innych? W końcu jest córką królowej, która poczęła co najmniej dziesięć milionów bliźniaczych jej istot. Wszystkie przecież są do siebie podobne i są równie ważne.

103 pojęła, do czego zmierza osa. Chce jej udowodnić, że nikt nie może uważać się za lepszego od innych. Czy zatem wyobrażanie sobie, że jest się godnym rozmnożenia, nie jest dowodem na posiadanie zbyt dużego mniemania o sobie? Już sama taka myśl pozwala przypuszczać, że dana istota największą wagę przywiązuje do swojego istnienia. Mrówki, a także osy, mają specjalne określenie na tę cechę, nazywają ją „chorobą indywidualizmu”.

103, która stoczyła w życiu wiele pojedynków fizycznych, przyszło teraz stoczyć

pojedynek umysłowy. A to o wiele trudniejsze.

Osa jest sprytna. Mimo to stara wojowniczką musi sobie z nią poradzić. Rozpoczyna swoje feromonowe zdanie zakaznym słowem „ja”. Starannie artykułuje zapachowy feromon:

– „*Ja*” *jestem kimś wyjątkowym.*

Królowa drgnęła. Pozostałe osy, do których również dotarła ta wiadomość, cofają się, zdezorientowane. To tak sprzeczne z wszelkimi konwenansami – społeczny owad, który używa „ja”.

Ten pojedynek słowny zaczyna bawić królową os. Nie kontruje 103 w kwestii zaimka osobowego, lecz na nowym polu, które tamta właśnie jej podsunęła. Kołysząc czułkami, prosi ją o wymienienie jej indywidualnych zalet. Następnie osy zadecydują, czy stara mrówka jest rzeczywiście tak „wyjątkowa”, że zasługuje na przekazanie swojego kodu genetycznego kolejnym pokoleniom. Podczas tej rozmowy królowa używa formuły feromonowej odpowiadającej zbiorowi istot: „my, osy”. Tym sposobem zaznacza, że pozostaje w społeczności, w odróżnieniu od tych, które starają się zagarnąć przywileje jedynie dla siebie.

103 zaszła już za daleko, żeby się wycofać. Ma świadomość, że w oczach tych wszystkich os jest zdegenerowaną, egoistyczną mrówką. Mimo to ciągnie swoją myśl. Wymieni swoje zalety.

Posiada dość rzadko spotykaną w świecie owadów zdolność badania nowych rzeczy.

Jest utalentowaną wojowniczką i eksploratorką, co pozwoli wzbogacić i wzmocnić jej gatunek.

Rozmowa coraz bardziej podoba się królowej os. A więc ta mrówka do zalet zalicza ciekawość i zdolność do walki? Królowa zauważa, że miasta nie potrzebują podżegaczy wojennych, a już na pewno nie takich, którzy mieszają się w nie swoje sprawy i udają, że zjedli wszystkie rozumy.

103 pochyła czułki. Osa jest bardziej przebiegła niż się jej początkowo wydawało. Starą mrówkę ogarnia coraz większe zmęczenie. Próba ta przypomina jej doświadczenie, jakiemu poddały ją niegdyś karaluchy w świecie Palców. Ustawiły ją przed lustrem i oświadczyły: *Potraktujemy cię tak, jak ty potraktowałabyś siebie samą. Jeśli będziesz walczyć z lustrem, my również staniemy z tobą do walki, jeśli natomiast pojednasz się z istotą, która w nim się pojawi – zaakceptujemy cię wśród nas.*

Instynktownie udało jej się przejść tamtą próbę. Karaluchy nauczyły ją kochać się taką, jaką jest. Teraz osa proponuje jej bardziej delikatne zadanie: uzasadnić tę miłość.

Królowa powtarza swoje pytanie.

Stara wojowniczką powraca wielokrotnie do swoich dwóch głównych zalet: waleczności i ciekawości, które pozwoliły jej przeżyć tam, gdzie innym przyszło zginąć. Kod genetyczny martwych jest zatem mniej skuteczny.

Królowa os zauważa, że wiele niezdarnych lub strachliwych wojowniczek mimo wszystko przeżywa wojnę dzięki przychylnym zbiegom okoliczności. Natomiast zdarza się, że wojowniczki szcycące się zręcznością i odwagą giną. To zatem nie jest argument – wszystko zależy od przypadku.

Zbita z pantałyku 103 decyduje się w końcu użyć swojego najmocniejszego argumentu:

– *Jestem inna niż wszystkie, ponieważ poznałam Palce.*

Królowa na chwilę zamiera.

– *Palce?*

103 wyjaśnia, że tajemnicze zjawiska, które można ostatnimi czasy coraz częściej zaobserwować w ich lesie, są wynikiem pojawienia się nowego gatunku olbrzymich, nieznanych dotąd zwierząt: Palców. 103 spotkała je, a nawet rozmawiała z nimi. Zna ich mocne i słabe strony.

Nie robi to większego wrażenia na królowej os. Odpowiada, że i ona zna Palce. Osy często je spotykają. Nie ma w tym nic wyjątkowego. Są wielkie, powolne, miękkie i transportują przeróżne słodkie substancje. Czasami zamykają osy w przeźroczystej grocie, lecz gdy grota się otwiera, osy żądają Palce.

Palce... Królowa os nigdy się ich nie obawiała. Twierdzi nawet, że jednego z nich zabiła. Owszem, są wielkie i grube, lecz nie posiadają pancerza, dlatego z łatwością udaje się przebić żądłem ich miękkie naskórek. Niestety – spotkanie z Palcami nie wydaje jej się wystarczającym argumentem, by uszczuplić osi zapas pszczelego mleczka.

103 nie spodziewała się takiego obrotu spraw. Każda mrówka, której opowiadała o Palcach, domagała się dodatkowych informacji. A tymczasem tym osom się wydaje, że wiedzą wszystko! Cóż za dekadencja! To musi być powód, dla którego natura stworzyła mrówkę. Osy, ich żyjący przodkowie, straciły pierwotną

ciekawość świata!

W każdym razie nie poprawia to sytuacji, w jakiej znajduje się 103. Jeśli osy nie dadzą jej pszczelego mleczka – to koniec. Tyle starań, a wszystko po to, by w rezultacie zostać zgładzonym przez najnędrniejszego przeciwnika: starość. Szkoda.

Na dodatek królowa os stwierdza z ironią: przecież nawet gdyby 103 posiadała płeć, w żaden sposób nie gwarantowałyby to, że jej dzieci również będą posiadały zdolność spotykania Palców.

Naturalnie, spotkanie Palców nie jest cechą dziedziczną. 103 dała się złapać w pułapkę.

Nagle w gnieździe zapanowało ożywienie. Zdenerwowane osy lądują i startują, tłocząc się u wejścia do papierowej kuli.

Gniazdo zostało zaatakowane. W stronę wejścia podąża skorpion.

Pajęczak został zapewne wypłoszony przez falę świerszczy i szuka schronienia wśród listowia. Zazwyczaj osom udaje się odpędzić napastników ostrymi żądlami, niestety, chitynowy pancerz skorpiona jest dla nich zbyt gruby.

– *Jeśli uda ci się go pokonać w pojedynkę, damy ci to, o co prosisz* – oznajmia królowa os.

103 wychodzi wąskim korytarzem z gniazda os i dostrzega skorpiona. Jej czułki rozpoznają zapachy. To ta sama samica, którą belokanijki już raz spotkały na pustyni. Na grzbiecie niesie dwadzieścioro pięcioro miniaturowych skorpionów. Bawią się, dźgając się szczypcami i żądlami.

Mrówka postanawia stanąć do walki ze skorpionem na okrągłym tarasie, małej płaskiej arenie, w załomie pnia olbrzymiego dębu.

103 drażni się z przeciwniczką, strzelając do niej kwasem mrówkowym. Tamta widzi w niej jedynie zwierzynę łowną. Zdejmuje młode z grzbietu i zbliża się do mrówki, by ją zjeść. Długi szpikulec wyciąga się w stronę 103.

Drugie rozdanie:
PIK

61. PRACA NAD TAJEMNICZĄ PIRAMIDĄ

Przezroczysty szpic. Białą trójkąt. Maximilien znowu stał twarzą do tajemniczej piramidy. Ostatnim razem jego inspekcję przerwało ukąszenie owada, które pozbawiło go świadomości na niemal godzinę. Dziś postanowił, że nie da się zaskoczyć.

Podszedł ostrożnie.

Dotknął piramidy. Nadal była ciepła.

Przytknął ucho do ściany i usłyszał hałas.

Skoncentrował się, żeby go zrozumieć, i wydawało mu się, że udało mu się wychwycić jedno zdanie po francusku.

– I co, Billy Joe, mówiłem ci, żebyś tu nie wracał.

Znowu telewizor. Z całą pewnością amerykański western.

Policjant miał dosyć. Prefekt czekał na wyniki, to będzie je miał. Maximilien Linart zaopatrzył się w sprzęt niezbędny do tego, aby jego misja zakończyła się sukcesem. Otworzył wielką sakwę, wydobył z niej długi drewniany młotek używany na budowach i podniósł go w stronę własnego odbicia. Uderzył ze wszystkich sił.

Z ogłuszającym łomotem lustro rozpadło się na ostre kawałki. Szybko się odsunął, aby nie spadł na niego żaden odłamek.

– Trudno, najwyżej czeka mnie siedem lat nieszczęść – westchnął.

Gdy kurz opadł, Maximilien zbadał betonową ścianę. Wciąż nie było drzwi ani okna. Jedynie przezroczysty wierzchołek.

Dwie strony piramidy nadal maskowały lustra. Rozbił je również, nie znajdując najmniejszego otworu. Przyłożył ucho do betonowej ściany. Wewnątrz telewizor zamilkł. Ktoś zareagował na jego obecność.

Musiało być jednak gdzieś wyjście... Uchylnie drzwi... Jakikolwiek system zawiasów... W przeciwnym razie, w jaki sposób osoba, która obecnie zajmowała piramidę, dostałaby się do jej wnętrza?

Zarzucił lasso na wierzchołek piramidy. Po wielu nieudanych próbach udało mu się je zaczepić. W butach antypoślizgowych policjant zaczął wspinać się po gładkiej betonowej ścianie. Badał ją z bliska, ale nie było najmniejszej szczeliny,

najmniejszego otworu, najmniejszej rysy pozwalającej zaatakować mieszkańca lub mieszkańców przy użyciu dymu. Ze szczytu oglądnął dokładnie trzy ściany: warstwa betonu była gruba i całkiem jednolita.

– Proszę wyjść, bo w przeciwnym razie gwarantuję, że znajdziemy sposób, aby was stamtąd wykurzyć!

Maximilien zsunął się w dół po sznurze.

Cały czas był przekonany, że w tym betonowym budynku jest zamurowany pustelnik. Wiedział, że w Tybecie niektórzy szczególnie gorliwi mnisi zamykali się w ten sposób w ceglanych chatach bez drzwi i okien i siedzieli w nich całymi latami. Jednak mnisi zostawiali otwartą małą zapadnię, gdzie wierni zostawiali dla nich jedzenie.

Policjant wyobraził sobie życie tych zamurowanych żywcem na dwóch metrach kwadratowych, siedzących wśród ekskrementów, bez powietrza i ogrzewania.

Bzzz... bzzz...

Maximilien podskoczył.

A więc to nie przez przypadek został ukąszony przez owada, gdy po raz pierwszy wezwał do wyjścia mieszkańców piramidy. Owad miał jakiś związek z piramidą, policjant był teraz o tym przekonany. Nie da się znowu pokonać przez tego maleńkiego anioła stróża budowli.

Dźwięk wydawał duży latający owad. Prawdopodobnie pszczoła lub osa.

– Idź sobie – powiedział, odganiając go ręką.

Musiał się nagimnastykować, aby śledzić go wzrokiem. Tak, jakby owad rozumiał, że aby go zaatakować, musi najpierw ująć przed jego wzrokiem.

Owad zaczął kreślić ósemki. Nagle wzbił się w powietrze i ostro pikując szybko zmierzał w jego stronę. Usiłował wbić mu żądło w czubek czaszki, ale jasne włosy Maximiliena były sztywne i nie zdołał pokonać tego, co postrzegał jako las złoconych dzid.

Maximilien zaczął uderzać się po głowie. Owad znowu wzbił się w powietrze, ale nie zrezygnował z prób pikowania w stylu kamikaze.

Maximilien zaatakował go słownie:

– Czego ode mnie chcesz? Wy, owady, jesteście ostatnimi drapieżnikami atakującymi ludzi, prawda? Nie udaje się nam was wyeliminować. Dręczycie nas i naszych przodków od trzech milionów lat i dalej będziecie dręczyć nasze dzieci!

Ile czasu będzie to jeszcze trwać?

Wydawało się, że owad nie zwraca uwagi na przemówienie policjanta, który nie miał odwagi odwrócić się do niego plecami. Owad utrzymywał się w tym samym miejscu, gotowy zanurkować, jak tylko zobaczy szczelinę w systemie obrony powietrznej wroga.

Maximilien wziął but i trzymając go niczym raketę tenisową, przygotowywał się do skoszenia owada, gdyby ten tylko go zaatakował.

– Kim jesteś, wielka oso? Strażniczką piramidy? Pustelnik umie oswajać osy, tak?

Jakby w odpowiedzi, owad ruszył w jego stronę. Podleciał do szyi, skręcił, obleciał człowieka dookoła i zanurkował w kierunku gołej łydki policjanta, ale zanim wbił w nią swoje żądło, otrzymał cios czołowy olbrzymią podeszwą buta.

Maximilien schylił się, jakby chciał przelobować przeciwnika, i dzięki zdecydowanemu ruchowi nadgarstka udało mu się trafić malutkiego, latającego wroga.

Z głuchym trzaskiem owad uderzył o podeszwę i odskoczył, całkowicie spłaszczony.

– Jeden zero. Gem, set i mecz – powiedział policjant, dosyć zadowolony z siebie.

Zanim odszedł, przyłożył jeszcze usta do ściany:

– Ty tam, w środku, nie wyobrażaj sobie, że tak łatwo odpuszczę. Będę wracał dopóty, dopóki się nie dowiem, co się kryje we wnętrzu tej piramidy. Zobaczymy, ile czasu wytrzymasz, odgradzony od świata warstwą betonu, pustelniku – miłośniku telewizji!

62. ENCYKLOPEDIA

MEDYTACJA: Po dniu pełnym pracy i codziennych trosk dobrze jest zaznać spokoju w samotności.

Oto prosta metoda praktycznej medytacji.

Najpierw należy położyć się na plecach, z lekko rozsuniętymi stopami, z ramionami ułożonymi wzdłuż tułowia, nie dotykając go, zwracając wewnętrzną stronę dłoni ku górze. Rozluźnić się.

Rozpocząć ćwiczenie, koncentrując się na zużytej krwi, która płynie od końców

stóp, od dużych palców i dociera do płuc, aby wzbogacić się w tlen.

Wydechając powietrze, należy wyobrazić sobie nasiąkniętą krwią płuca, które rozprawdzają oczyszczoną i wzbogaconą w tlen krew do nóg, aż do czubków dużych palców.

Następnie, ponownie wdychając powietrze, skoncentrować się na zużytej krwi płynącej z organów jamy brzusznej i doprowadzić ją do płuc. Wydechając powietrze, wyobrazić sobie tę przefiltrowaną i pełną życia krew, która wraca, aby zasilić naszą wątrobę, śledzionę, system trawienny, organy seksualne, mięśnie.

Przy trzecim wdechu poczuć krew z naczyń dłoni i palców, oczyścić ją i odesłać wzbogaconą tam, skąd przy płynęła.

Wreszcie przy czwartym wdechu, oddychając jeszcze głębiej, oczyścić krew z mózgu, opróżnić ją ze wszystkich zalegających w nim myśli, wysłać je do płuc, aby się oczyściły, a potem odesłać zdrową krew, pełną energii, tlenu i sił witalnych, do czaszki.

Należy szczególnie wyobrazić sobie poszczególne fazy. Połączyć oddychanie z procesem oczyszczania organizmu.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

63. POJEDYNEK

Zatrute żądło skorpiona spada tuż koło starej rudej mrówki.

Udało jej się uniknąć już trzech uderzeń szczypcami i czterech żądłem. Za każdym razem, niemal tracąc równowagę, unika ciosów straszliwej broni opancerzonego potwora.

103 ma okazję przyrzeć się z bliska uzbrojonej samicy. Z przodu dwie pary ostrych szczypiec, które mają za zadanie przytrzymać ofiarę przed zadaniem jej ostatecznego ciosu zatrutym kolcem.

Po bokach osiem odnóży pozwalających przemieszczać się z dużą prędkością we wszystkich kierunkach, nawet w bok. Z tyłu długi ogon złożony z sześciu giętkich segmentów, zakończony ostrzem przypominającym cierń – wielki żółty cierń ociekający śmiertelnie sokiem.

Gdzie znajdują się organy zmysłu zwierzęcia? Mrówka nie dostrzega ani oczu

(tylko przednie przyoczka), ani uszu, ani czułek. Udając, że nadal stara się unikać ciosów potwora, mrówka okrąży zwierzę i wreszcie pojmuje: prawdziwe organy zmysłu skorpiona to jego szczypce pokryte pięcioma małymi włoskami. Dzięki nim skorpion wyczuwa nawet najmniejszy ruch wokół siebie.

103 przypomina sobie corridę widzianą w telewizji Palców. Jak sobie radzili toreadorzy? Za pomocą czerwonej płachty.

103 chwytą płatek czerwonego kwiatu przyniesiony tu przez wiatr i robi sobie z niego muletę matadora, trzymając ją między zuwaczkami. By nie dać się znieść ani przewrócić przez wiatr, ustawia się zawsze przodem do prądów powietrza. Stara zmęczona wojowniczką dzielnie unika ostrza przeciwniczki.

Uderzenia żądła są coraz precyzyjniejsze. Przy każdej próbie trująca włócznia unosi się w górę, obiera cel i uderza niczym harpun. Trudniej unikać ciosów żądła niż rogów i mrówka stwierdza, że gdyby Palec toreador miał stanąć twarzą w twarz z olbrzymim skorpionem, miałyby o wiele trudniejsze zadanie niż zazwyczaj.

103 próbuje podejść przeciwniczkę, kiedy ta rusza ku niej z rozwartymi szeroko szczypcami. Gdy strzela pociskiem z kwasu mrówkowego, szczypce zaciskają się, tworząc tarczę obronną. Służą jednocześnie do obrony i do ataku. Osiem szybkich nóżek przenosi skorpiona zawsze w najlepsze miejsce, z którego można parować i zadawać ciosy.

W telewizji toreador cały czas żywo gestykulował, żeby zbić z tropu byka. Mrówka także skacze na wszystkie strony, chcąc zmęczyć przeciwniczkę, unikając jednocześnie ciosów szczypcami i harpunem.

103 skupia myśli i stara się przypomnieć sobie wszystko, co wie na temat tej metody walki. Jakie komentarze towarzyszyły strategii matadora? Człowiek i zwierzę, zawsze ktoś musi stać, by ten drugi mógł krążyć wokół. Ten, który biega, męczy się szybciej, ma jednak szansę zmylić przeciwnika. Zdolni toreadorzy potrafią doprowadzić do upadku przeciwnika, nie dotykając go nawet.

Jak na razie płatek-muleta służy mrówce przede wszystkim za tarczę. Karmazynowy płatek przechwytuje wszystkie ciosy harpuna. Niestety, nie jest zbyt wytrzymały, czubek żądła z łatwością go przekłuwa.

Byle nie zginąć. W imię swojej znajomości z Palcami. Byle nie zginąć.

Walcząc o przeżycie, stara mrówka zapomina o swoim wieku i odzyskuje

młodzieńczą zwinność.

Kręci się ciągle w tę samą stronę. Skorpion jest coraz bardziej zdenerwowany tym upartym, wątłym stworzeniem; szczypcy zaciskają się z głośnym trzaskiem. Przyspiesza, gdy nagle mrówka zatrzymuje się i zaczyna okręgać go w przeciwnym kierunku. Ruch ten wytrąca z równowagi samicę skorpiona, która potyka się i upada na grzbiet, odsłaniając tym sposobem swoje najwrażliwsze miejsca. Mrówka natychmiast spryskuje je kwasem mrówkowym. Nie robi to większego wrażenia na skorpionie. Ponownie staje na nogi i rusza do natarcia.

Najpierw szczypcy, a zaraz po nich harpun uderzają kilka milimetrów od czaszki 103.

Szybko, trzeba innego podstępu.

Stara wojowniczką przypomina sobie, że skorpiony nie są odporne na swój jad. Legendy myrmeczeńskie opowiadają, że gdy są przerażone, na przykład otoczone ze wszystkich stron ogniem, skorpiony popełniają samobójstwo, kłując się własnym żądłem. 103 nie potrafi tak szybko stworzyć ognia.

Pesymistyczne emanacje wydzielane przez przyglądające się walce osy także nie polepszają jej nastroju.

Szybko, konieczny jest inny pomysł.

Stara mrówka analizuje sytuację. W czym tkwi jej siła? Jakie są jej najsłabsze punkty?

Mały wzrost. To jej siła i jej słabość.

Jak zmienić słabość w siłę?

W umyśle starej mrówki w zawrotnym tempie pojawiają się i są rozważane miliony pomysłów. Pamięć podsuwa cały zestaw przeróżnych sposobów walki. Wyobraźnia gromadzi je i przetwarza na nowe, mogące mieć zastosowanie w pojedynku ze skorpionem. Podczas gdy wzrokiem śledzi ruchy przeciwnika, czułkami szuka rozwiązania wśród gałęzi drzewa. Podwójny system percepcji otoczenia – wizualny i zapachowy – stanowi zdecydowanie jej atut.

Naraz zauważa otwór w korze. Przypomina sobie kreskówkę Texa Averiego. Mrówka pędzi i znika w drzewnym tunelu. Skorpion podąża za nią. Zaczyna wciskać się do tunelu, lecz okazuje się, że zbyt duży brzuch utknął w połowie drogi. Z dziury wystaje jedynie ogon.

103 wychodzi z tunelu innym wyjściem, witana okrzykami radości swoich

towarzyszek.

Zatrute żądło przypomina młody pęd złowrogiej rośliny. Jego właścicielka wije się, chcąc się oswobodzić, rozważając, czy lepiej będzie wciskać się jeszcze głębiej, czy też może raczej wycofać.

Młode skorpiony, straciwszy już nadzieję na zwycięstwo mamy, wolą się oddalić na bezpieczną odległość.

103 podchodzi powoli. Pozostaje jej jedynie odpiłować żuwaczkami niebezpieczny kolec. Następnie, uważając, by nie dotknąć przypadkiem trującej substancji, unosi wysoko nową broń i dźga nią przeciwnika unieruchomionego w dziurze.

Legenda mówiła prawdę. Skorpiony nie są odporne na własny jad. Pajęczak wije się w konwulsjach i wreszcie umiera.

– *Zawsze atakować nieprzyjaciela jego własną bronią* – radziła jej kiedyś niańka. Zrobione. 103 dziękuje w myślach kreskówce Texa Averiego, pełnej praktycznych rad. Być może kiedyś będzie miała możliwość zdradzić swoim wszystkie sekrety tego wielkiego stratega Palców.

64. PIOSENKA

Julie dała znak, prosząc o przerwę. Wszyscy fałszowali, a ona sama śpiewała źle.

– Daleko tak nie zajdziemy. Myślę, że stanęliśmy przed problemem podstawowym. Interpretowanie cudzej muzyki jest beznadziejne.

Siedmiu Krasnoludków nie rozumiało, do czego zmierza ich solistka.

– Co proponujesz?

– Sami jesteśmy twórcami. Powinniśmy wymyślać własne słowa, własną muzykę, własne kawałki.

Zoé wzruszyła ramionami.

– Za kogo ty się masz? Jesteśmy tylko małą szkolną grupą rockową, umiarkowanie popieraną przez dyrektora liceum, po to, aby mógł wpisać „działalność muzyczną” do sprawozdań z pozaszkolnego życia kulturalnego swojej placówki. Nie jesteśmy Beatlesami!

Julie potrząsnęła długimi ciemnymi włosami.

– W momencie, gdy zaczynamy tworzyć, stajemy się twórcami takimi jak inni.

Nie powinniśmy mieć kompleksów. Nasza muzyka może być tyle samo warta, co każda inna. Musimy tylko spróbować być oryginalni. Możemy skomponować coś „innego”, coś, co różni się od tego, co już istnieje.

Zaskoczonych Siedmiu Krasnoludków nie wiedziało, jak zareagować. Nie byli przekonani i niektórzy zaczęli żałować, że pozwolili tej obcej dołączyć do grupy.

– Julie ma rację – powiedziała zdecydowanie Francine. – Pokazała mi pewną książkę, *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*; znajdziemy tam rady, które pozwolą nam wymyślić coś nowego. Ja już odkryłam w niej plany komputera zdolnego zdeklasować i skazać na zapomnienie wszystkie te, które są obecnie w sprzedaży.

– Nie można ulepszyć informatyki – sprzeciwił się David. – Informatyczne układy scalone funkcjonują wszędzie z taką samą szybkością i nie da się wyprodukować szybszych.

Francine wstała.

– A kto mówi o produkowaniu szybszych układów scalonych? Jest sprawą oczywistą, że nie możemy sami zaprojektować chipów elektronicznych. Natomiast możemy je inaczej połączyć.

Poprosiła Julie o *Encyklopedię* i zaczęła szukać stron z planami.

– Popatrzcie. Zamiast hierarchicznego układu chipów elektronicznych przedstawiono tutaj schemat demokratyczny. Nie będzie już nadrzędnego mikroprocesora panującego nad chipami wykonawczymi, bo wszystkie one jednocześnie będą z tego samego poziomu kierowały zadaniami. Pięćset chipów mikroprocesorów, pięćset równorzędnych i równie skutecznych mózgów, które stale się ze sobą komunikują.

Francine wskazała szkic w rogu.

– Problem polega na znalezieniu ich właściwego ułożenia. Podobnie jak w wypadku pani domu, która wydaje kolację, trzeba się zastanowić nad rozmieszczeniem. Jeżeli posadzi się ludzi tradycyjnie przy długim prostokątnym stole, ci z końców nie będą ze sobą rozmawiać, a siedzący w środku skupią całą uwagę na sobie. Autor *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* radzi, aby rozmieścić wszystkie te chipy w kole, jak gości, gdyż tylko wtedy wszyscy będą skierowani twarzami do siebie. Koło jest rozwiązaniem.

Pokazała im inne schematy.

– Technologia nie jest celem samym w sobie – powiedziała Zoé. – Twój komputer nie odpowiada na wyzwanie, jakim jest twórczość muzyczna.

– Rozumiem, co ona chce przez to powiedzieć. Jeżeli ten facet ma pomysły na odnowienie najbardziej wyszukanego istniejącego narzędzia, komputera, może z pewnością pomóc nam w odnowieniu muzyki – zauważył Paul.

– Julie ma rację. Powinniśmy stworzyć własną poetykę – poparł ją Narcisse. – Może ta książka nam pomoże.

Francine, która wciąż trzymała w ręce *Encyklopedię*, otworzyła ją na chybił trafił i przeczytała na głos:

Koniec, to koniec.

Rozbudźmy wszystkie nasze zmysły.

Nowy wiatr zerwał się dziś rano.

Nic nie powstrzyma jego szalonego tańca.

Tysiące metamorfoz w uśpionym świecie.

Nie trzeba przemocy, by szczyty skostniałe wartości

Zdziwicie się: To tylko „Rewolucja mrówek”.

Po tej zwrotce wszyscy zaczęli się zastanawiać.

– „Rewolucja mrówek”? – zdziwiła się Zoé. – To nic nie znaczy.

Nikt nie podjął tego wątku.

– Jeśli chcemy z tego ułożyć piosenkę, brakuje jeszcze refrenu – stwierdził Narcisse.

Julie milczała przez chwilę, zamknęła oczy, a potem zaproponowała:

Nie ma już wizjonerów.

Nie ma już wynalazców.

Powoli, zwrotka po zwrotce, opracowali słowa pierwszej piosenki, czerpiąc w dużej mierze natchnienie z *Encyklopedii*.

Co do muzyki, Ji-woong odkrył fragment, który wyjaśniał, w jaki sposób budować melodie, tak jak buduje się dzieła architektury. Edmund Wells dokonywał rozbioru utworów Bacha. Ji-woong narysował na tablicy coś w rodzaju autostrady, na której wytyczył przebieg linii muzycznej. Każdy wykreślił obok tej

zwykłej linii przebieg własnego instrumentu. Na końcu melodia przypominała dużą lasagne.

Dostroili instrumenty, połączyli efekty krzyżujących się melodii i zapisali je na schemacie.

Za każdym razem, gdy któryś z członków grupy orientował się, w którym miejscu należało wprowadzić poprawki, mazał szmatką kawałek linii i rysował ją ponownie w innej formie.

Julie zanuciła melodię i było to jak łyk świeżego powietrza, idący od pępka do krtani. Na początku był jedynie utwór bez słów, a potem dziewczyna o jasnoszarych oczach, czytając z kartki, zaśpiewała pierwszą zwrotkę: „Koniec, to koniec”, refren: „Nie ma już wizjonerów, nie ma już wynalazców”, potem drugą zwrotkę, zaczerpniętą z innego fragmentu książki:

Nigdy nie śniłeś o innym świecie?

Nigdy nie śniłeś o innym życiu?

Nigdy nie śniłeś o tym, że pewnego dnia człowiek znajdzie swoje miejsce we wszechświecie?

Nigdy nie śniłeś, że pewnego dnia człowiek dogada się z naturą tak, jak z partnerem, a nie z pokonanym wrogiem?

Nigdy nie śniłeś, by zrozumieć, działać razem, zamiast walczyć przeciwko zwierzętom, chmurom, góróm?

Nigdy nie śniłeś, by ludzie wspólnie spróbowali stworzyć miasto nowych więzi między ludźmi? Nieważne: sukces czy porażka. Nikt nie osądzałby nikogo. Każdemu wolność własnych czynów, lecz zawsze do wspólnego celu.

Skala głosu Julie Pinson zmieniała się. Czasami osiągał on wysokie tony, jak u małej dziewczynki, by następnie przejść w niskie chrapliwe brzmienie.

Każdemu z Siedmiu Krasnoludków kojarzyła się z inną piosenkarką. Paul uważał, że przypomina Kate Bush, Ji-woong wymieniał Janis Joplin, Léopold – Pat Benatar i jej hardrockową wrażliwość, zdaniem Zoé jej głos miał podobną moc jak piosenkarki Noi.

Prawda była taka, że każdy z nich rozpoznawał u Julie to, co w kobiecym głosie najbardziej go ujmowało.

Przerwała śpiew, a David rozpoczął niesamowitą, szaloną solówkę na harfie

elektrycznej. Léopold przyłożył do ust flet, aby nawiązać z nim dialog. Julie uśmiechnęła się i zaczęła trzecią zwrotkę:

Nigdy nie śniłeś o świecie bez lęku wobec nieznanego?

Nigdy nie marzyłeś o świecie, w którym każdy mógłby odnaleźć w sobie doskonałość?

Nigdy nie śniłeś o świecie, w którym każdy w sobie odnalazłby dar doskonałości?

Śniłam o rewolucji, by zniszczyć stare obyczaje.

O Rewolucji małych, Rewolucji mrówek.

Być może jeszcze lepiej: o ewolucji.

Śniłam, lecz to utopia.

Śniłam o własnej książce, by to opowiedzieć, że będzie ona żyła w czasie i przestrzeni poza moim życiem.

Jeśli ją napiszę, będzie tylko bajką z mojego snu, który nigdy się nie zdarzy.

Zagrali całą frazę i poczuli się tak, jak gdyby magiczne koło, które na pewno istniało od dawna, wreszcie znowu się zamknęło.

Julie przymknęła powieki. Była zauroczona. Jej ciało samo zaczęło kołysać się w rytm gitary basowej Zoé i perkusji Ji-woonga. Mimo że nie lubiła tańca, owładnęła nią przemożna chęć poruszania się.

Wszyscy ją zachęcali. Zdjęła rozciągnięty wełniany sweter i w obcisłej czarnej koszulce zaczęła poruszać się harmonijnie, z mikrofonem w ręce.

Narcisse wykonał riff na gitarze elektrycznej.

Zoé stwierdziła, że potrzebna jest pointa, aby zrównoważyć całość.

Julie, nadal z zamkniętymi oczami, zaimprovizowała:

Jesteśmy nowymi wizjonerami,

Jesteśmy nowymi wynalazcami.

W ten sposób mieli pointę.

Francine zagrała finał na organach i wszyscy razem skończyli grać.

– Super! – wykrzyknęła Zoé.

Rozmawiali o tym, co właśnie się dokonało. Wszystko zdawało się funkcjonować, z wyjątkiem solówki z trzeciej części. David zapewnił, że trzeba wprowadzić innowację także w tej dziedzinie, trzeba się postarać znaleźć coś

innego od tradycyjnego riffu na gitarze elektrycznej.

To był ich pierwszy oryginalny utwór, lecz czuli się mimo wszystko dosyć dumni z siebie. Julie otarła pot z czoła. Zażenowana tym, że jest w samym podkoszulku, szybko się ubrała i wyjąkała parę słów przeprosin.

Aby odwrócić od siebie uwagę, powiedziała, że można jeszcze lepiej kontrolować głos. Jej nauczyciel śpiewu, Yankélévitch, nauczył ją, jak się leczyć za pomocą dźwięków.

– Jak to? – zapytał Paul, który interesował się wszystkim, co dotyczyło dźwięków.
– Pokaż nam.

Julie wyjaśniła, że na przykład dźwięk „Oooo!” wydawany na niskich tonach oddziałuje na brzuch.

– „Oooo!” wywołuje drgania jelit. Jeżeli zjecie coś ciężkostrawnego, możecie wprawić system trawienny w drganie za pomocą dźwięku „Oooo!”. To tańsze niż lekarstwa i zawsze dostępne. Tylko wibracja. W zasięgu wszystkich ust.

Siedmiu Krasnoludków zaintonowało piękne „Oooo!”, próbując dostrzec skutek, jaki wywiera na ich organizm.

– Dźwięk „Aaaa!” oddziałuje na serce i płuca. Jeżeli ktoś jest zdyszany, wydaje go automatycznie.

Podjęli chórem: „Aaaa!”.

– Dźwięk „Eeee!” działa na gardło. Dźwięk „Uuuu!” – na usta i nos. Dźwięk „Iiii!” – na mózg i czubek czaszki. Wymówcie głęboko każdy dźwięk i doprowadźcie do drgań tych narządów.

Powtórzyli każdą z samogłosek i Paul zaproponował, żeby opracowali kawałek terapeutyczny, który uśmierzyłby cierpienia tych, którzy będą go słuchać.

– Ma rację – poparł go David. – Moglibyśmy skomponować piosenkę wyłącznie z ciągów „Oooo!”, „Aaaa!” i „Uuuu!”.

– I zagrać na gitarze basowej uspokajające infradźwięki – uzupełniła Zoé. – To byłoby idealne, żeby leczyć ludzi, którzy będą nas słuchać. „Muzyka, która uzdrawia”, to mogłoby być dobre hasło reklamowe.

– To byłoby coś całkiem nowego.

– Żartujesz? – zapytał Léopold. – To jest znane od starożytności. Dlaczego uważasz, że nasze indiańskie pieśni nie są zbudowane wyłącznie na podstawie powtarzających się w nieskończoność samogłosek?

Ji-woong potwierdził, że do tradycji koreańskiej należały pieśni złożone jedynie z samogłosek.

Zdecydowali, że opracują kawałek, który przyniósłby ulgę ciałom ich słuchaczy. Właśnie mieli się do tego zabrać, gdy w małym pomieszczeniu rozległ się łomot, którego źródłem nie były bębny Ji-woonga.

Paul poszedł otworzyć drzwi.

– Robicie za dużo hałasu – poskarżył się dyrektor.

Była 20.00. Mieli właściwie prawo grać do 21.30, ale w tym dniu dyrektor został do późna w gabinecie, aby skończyć rachunki.

Wszedł do pomieszczenia i zmierzył wzrokiem każdego z ośmiu muzyków.

– Nie mogłem się powstrzymać, żeby was nie posłuchać. Nie wiedziałem, że gracie oryginalne kawałki. Naprawdę, całkiem to niezłe. Zresztą, może dobrze się składa.

Usiadł, obracając oparcie jednego z krzeseł.

– Mój brat otwiera centrum kultury w dzielnicy François Ier i szuka jakiejś grupy muzycznej, żeby móc ruszyć pełną parą, zmontować nagłośnienie, ustawić kasę biletową, jednym słowem: dopiąć wszystko na ostatni guzik. Zaprosił kwartet smyczkowy, ale dwóch muzyków rozchorowało się na grypę, a dwuosobowy kwartet, nawet w centrum dzielnicowym, nie wyglądałby poważnie. Od wczoraj szuka kogoś, kto z marszu mógłby ich zastąpić. Jeśli nikogo nie znajdzie, będzie musiał przesunąć inaugurację centrum. To wywołałoby złe wrażenie w merostwie. Możecie z pewnością ocalić mu skórę. Chcielibyście tam zagrać na otwarciu?

Cała ósemka popatrzyła na siebie, nie wierząc własnemu szczęściu.

– Jeszcze jak! – wykrzyknął Ji-woong.

– Dobrze, to szybko się przygotujcie, bo gracie w najbliższą sobotę.

– W tę sobotę?

– Oczywiście, w tę sobotę.

Paul o mało nie powiedział, że nie, że to niemożliwe, że jak na razie mają tylko jeden kawałek w swoim repertuarze, gdy Ji-woong wzrokiem nakazał mu milczenie.

– Nie ma sprawy – zapewniła Zoé.

Byli jednocześnie pełni niepokoju i szczęśliwi.

Wreszcie zagrają przed prawdziwą publicznością, koniec z beznadziejnymi

wieczorkami i imprezami dzielnicowymi.

– Świetnie – powiedział dyrektor. – Liczę, że uda się wam zabawić towarzystwo. Mrugnął do nich porozumiewawczo.

Zaskoczona Francine, która nie mogła wyjść z osłupienia, przejechała łokciem po klawiaturze organów i rozległo się niespójne arpeggio, które zabrzmiało jak wystrzał armatni.

65. ENCYKLOPEDIA

KONSTRUKCJA MUZYCZNA – KANON: W muzyce struktura „kanonu” jest szczególnie interesująca. Najbardziej znane jej przykłady to Frère Jacques, Vent frais, vent du matin czy kanon Pachelbela.

Kanon opiera się na jednym temacie, a wykonawcy wykorzystują wszystkie jego wersje, konfrontując go z nim samym. Po pewnym czasie temat powtarza drugi głos, a za nim trzeci.

Aby całość funkcjonowała, każda nuta musi spełnić trzy zadania:

- 1. Odtwarzać melodię podstawową.*
- 2. Stanowić akompaniament dla melodii podstawowej.*
- 3. Stanowić akompaniament dla akompaniamentu i melodii podstawowej.*

Jest to zatem trzypoziomowa konstrukcja, w której każdy element, w zależności od swojego położenia, odgrywa zarówno rolę pierwszoplanową i drugoplanową, jak i rolę statysty.

Można uczynić kanon bardziej wyszukany, nie dodając ani jednej nuty, jedynie zmieniając wysokość, śpiewając jedną zwrotkę o oktawę wyżej, a kolejną o oktawę niżej.

Można także skomplikować kanon, podwyższając drugi głos o pół oktawy. Jeżeli pierwszy temat będzie w do, drugi będzie w sol itd.

Można jeszcze bardziej skomplikować kanon, zmieniając szybkość śpiewu. Szybciej: podczas gdy pierwszy głos wykonuje temat, drugi powtarza go bardzo szybko dwukrotnie. Wolniej: podczas, gdy pierwszy głos wykonuje melodię, drugi

powtarza ją dwa razy wolniej. Podobnie, trzeci głos przyspiesza lub zwalnia, co pozwala uzyskać efekt ekspansji lub koncentracji.

Kanon można także zróżnicować przez inwersję melodii. Kiedy pierwszy głos idzie do góry, wykonując temat główny, drugi schodzi w dół. Wszystkie te efekty znacznie łatwiej uzyskać, gdy narysuje się linie głosów, na podobieństwo strzał w czasie wielkiej bitwy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

66. MAXIMILIEN DOKONUJE PODSUMOWANIA

Słyszał tylko odgłos szczęk. Maximilien w milczeniu przełknął posiłek.

Właściwie w gronie rodziny nudził się śmiertelnie. Gdy się nad tym dobrze zastanowił, poślubił Scynthię, aby zaszpanować przed kolegami.

Była w pewnym sensie trofeum i prawdą jest, że inni mu jej zazdrościli. Problem polega na tym, że uroda to nie chleb powszedni. Scynthia była piękna, ale jakże się nudził! Uśmiechnął się, ucałował żonę i córkę, potem wstał, aby zamknąć się w swoim gabinecie i grać w *Ewolucję*.

Ewolucja coraz bardziej go pasjonowała. Natychmiast stworzył cywilizację aztecką, którą udało mu się doprowadzić do 500 roku przed Chrystusem, zbudował dziesiątki miast i wysłał galery azteckie, aby przeczesywały morza w poszukiwaniu nowych kontynentów. Myślał, że jego azteccy żeglarze odkryją Zachód około roku 450 przed Chrystusem, ale epidemia cholery zdziesiątkowała jego miasta. Inwazje barbarzyńców ostatecznie unicestwiły chore metropolie i tym sposobem aztecka cywilizacja komisarza Linarta została zniszczona w roku 1 jego kalendarza.

– Grasz źle. Martwisz się czymś – odezwał się Mac Yavel.

– Tak – przyznał człowiek – pracą.

– Chcesz mi o niej opowiedzieć? – zaproponował komputer.

Policjant się skrzywił. Dotychczas komputer był dla niego jedynie czymś w rodzaju majordomusa, który witał go, gdy uruchamiał sprzęt, i prowadził go przez meandry *Ewolucji*. To, że opuszcza świat wirtualny, aby mieszać się w jego „prawdziwe” życie, było czymś co najmniej nieoczekiwanym. Jednak Maximilien

nie zaprotestował.

– Jestem policjantem – powiedział. – Prowadzę śledztwo. Śledztwo, które sprawia mi duży kłopot. Mam na głowie historię piramidy, która wyrosła jak grzyb w środku lasu.

– Możesz mi o tym opowiedzieć czy to tajemnica?

Lekki ton, głos niemal pozbawiony syntetycznego brzmienia maszyny, zdziwił Maximiliena, ale przypomniał sobie, że od niedawna były dostępne na rynku „symulatory rozmowy”, zdolne udzielać odpowiedzi, wiernie naśladowując naturalny dialog. W rzeczywistości te programy reagowały jedynie na słowa kluczowe i odpowiadały, stosując proste techniki dyskusji. Odwracały pytanie: „Czy naprawdę sądzisz, że...” lub je doprecyzowywały: „Porozmawiajmy raczej o tobie...”. Nie było tu żadnej tajemnicy. Mimo to jednak Maximilien miał wrażenie, że zgadzając się na rozmowę z własnym komputerem, nawiązywał ściślejszą więź ze zwykłą maszyną.

Zawahał się. Nie miał właściwie nikogo, z kim mógłby naprawdę porozmawiać. Nie mógł dyskutować jak równy z równym ani ze swoimi uczniami w szkole policyjnej, ani ze swoimi podwładnymi, którzy uznaliby każdy przejaw luzu za oznakę słabości. Rozmowa z prefektem, który był jego przełożonym, była niemożliwa. Jak bardzo stosunki hierarchiczne dzieliły ludzi! Nigdy nie udało mu się porozumieć z żoną ani z córką. Spośród form komunikacji Maximilien właściwie znał tylko jednostronny dialog proponowany przez telewizor. Odbiornik stale opowiadał mu różne ładne historyjki, ale nie chciał niczego słuchać w zamian.

Być może nowa generacja komputerów miała właśnie wypełnić tę lukę.

Maximilien zbliżył się do wbudowanego mikrofonu.

– To budynek skonstruowany bez zezwolenia w lesie, na obszarze chronionym. Kiedy przykładam ucho do ściany, słyszę w środku dźwięki, które zdają się dobiegać z telewizora. Ale gdy pukam, hałas ustaje. Nie ma ani drzwi, ani okien, ani najmniejszego otworu. Chciałbym się dowiedzieć, kto mieszka w środku.

Mac Yavel zadał mu kilka precyzyjnych pytań, które dotyczyły tego problemu. Jego źrenica się zwężyła, co było znakiem wzmożonej uwagi. Komputer myślał przez chwilę, po czym oznajmił, że nie widzi innego rozwiązania, jak tylko wrócić do piramidy z grupą pirotechników i wysadzić jej betonowe ściany.

Najwyraźniej komputery się nie patyczkują.

Maximilien nie doszedł jeszcze do tej skrajnej decyzji, ale przyznał, że ostatecznie by ją podjął. Mac Yavel przyspieszył tylko jego analizę. Policjant podziękował maszynie. Chciał znowu zagrać w *Ewolucję*, ale wtedy komputer przypomniał mu, że zapomniał nakarmić rybki.

W tym momencie po raz pierwszy Maximilien pomyślał, że komputer staje się jego przyjacielem, i trochę go to zaniepokoiło, bo nigdy nie miał prawdziwego przyjaciela.

67. CENNA PŁEĆ

103 pokonała skorpioną. Osierocone skorpionki, które obserwowały scenę z bezpiecznej odległości, uciekają teraz co sił w nogach, świadome tego, że będą musiały odtąd same sobie radzić na tym świecie. A światem rządzi ten, kto umie narzucić swoje zdanie za pomocą zatrutego żądła.

Dwanaście eksploratorek, które zostały dopuszczone do gniazda, wiwatuje na cześć bohaterki. Królowa os zgadza się teraz dać jej trochę substancji hormonalnej. Wskazuje jej miejsce, gdzie wojowniczką ma czekać.

Następnie królowa wypluwa nieco silnie pachnącej, ciemnej śliny. Błonkoskrzydłe – zarówno robotnice, wojowniczkę, jak i królowe – posiadają zdolność kontrolowania w pełni wewnętrznych procesów chemicznych. Potrafią zwiększać lub zmniejszać ilość wydzieliny hormonalnej, co pozwala panować nad procesami trawiennymi, snem, odczuwaniem bólu i emocjami.

103 podchodzi bliżej, chce powąchać substancję, zanim jej spróbuje, lecz królowa zmusza ją do natychmiastowego kontaktu usta-usta.

Pocałunek międzygatunkowy.

Stara ruda mrówka wsysa napój. Magiczna substancja przenika do jej wnętrza. Wszystkie osy potrafią produkować pszczele mleczko w razie potrzeby, lecz to wytworzone przez królową ma oczywiście najsilniejsze działanie. Jego woń jest tak silna, że pozostałe belokanijki również wyczuwają ciężkie opary.

Silne. Kwaśne, słodkie, słone, ostre i gorzkie jednocześnie.

103 przełyka. Brunatna maź rozchodzi się po jej systemie trawiennym. W żołądku masa zostaje rozpuszczona i przedostaje się do krwi, żyłami dociera do

mózgu.

Z początku nie ma żadnych rezultatów i stara eksploratorka zaczyna podejrzewać, że doświadczenie się nie powiodło. Aż nagle się przewraca. Jak pod wpływem silnego uderzenia. Uczucie jest dość nieprzyjemne.

Ma wrażenie, że umiera.

Królowa os po prostu podała jej truciznę, a ona ją przyjęła! Czuje, jak ta czarna, gryząca substancja rozchodzi się po jej ciele. Żałuje, że zaufała królowej. Powszechnie wiadomo, że osy nienawidzą mrówek. Nigdy nie pogodziły się z faktem, że ich genetyczne kuzynki są od nich bardziej rozwinięte.

103 przypomina sobie wyprawy łowieckie, w których uczestniczyła za młodu, gdy niszczyła papierowe gniazda, ostrzeliwując bezbronne osy starające się zasłonić kawałkami tektury.

To zemsta.

Ogarnia ją ciemność. Gdyby było to możliwe, jej pyszczek wykrzywiłby się w straszliwym grymasie.

Jej umysł odczuwa jedynie ból. Nie może uporządkować myśli. Ogarniają ją ciemność, kwas, zimno i śmierć. Drży. Żuwaczki bezwolnie rozwierają się i zaciskają. Traci kontrolę nad swoim ciałem.

Chce zaatakować osę trucicielkę. Robi krok do przodu, lecz przednie nóżki uginają się pod nią.

Zmienia się jej poczucie czasu: ma wrażenie, że wszystko przebiega w zwolnionym tempie, i że upływa cała wieczność między chwilą, w której decyduje ruszyć nóżką, a tą, gdy ta rzeczywiście odrywa się od ziemi.

Poddaje się i pada na ziemię.

Ma wrażenie, że jest poza swoim ciałem.

Pojawiają się obrazy z przeszłości. Najpierw stosunkowo niedawne wydarzenia, później te z odległych czasów. Widzi siebie walczącą z samicą skorpiona, dryfującą po morzu świerszczy, przemierzającą pustynię.

Dostrzega siebie uciekającą z kraju Palców, rozmawiającą z nimi po raz pierwszy. Zapachowe słowa odurzają ją.

Sceny defilują przed nią niczym w filmie.

Widzi swoją towarzyszkę z czasów krucjaty – 24, która założyła miasto na wyspie Akacji, pośrodku rzeki. Wspomina swój pierwszy lot na grzbiecie żuka

rohatyńca, między kroplami deszczu, twardymi i ostrymi jak kryształowe oszczepy.

Ma przed oczyma pierwszą ekspedycję w stronę świata Palców, podczas której dotarła na śmiertcionośny kraniec świata, drogę, gdzie samochody eliminują wszystkie formy życia.

Widzi siebie walczącą z jaszczurką, z ptakami, z siostrami o zapachu skały spiskującymi w mrowisku.

Pojawia się książę 327 i księżniczka 56, którzy powierzyli jej Tajemnicę. Wtedy to zaczęła się przygoda, poszukiwanie innego wymiaru, wymiaru Palców.

Obrazy zapisane w pamięci przewijają się jeden po drugim, nie da się ich zatrzymać.

Bitwa Maków, walka o przeżycie. Ciosy żuwaczek tnące nieprzyjacielskie pancerze. Tłumy wojowniczek odcinające sobie nawzajem nóżki, głowy i czułki w walkach, których zakończenia już nie pamięta.

Bieg pośród traw, pachnącymi śladami pozostawionymi przez siostry.

Jest młodą mrówką biegającą korytarzami Bel-o-kan, droczy się ze starszymi wojowniczkami.

103 cofa się jeszcze bardziej w czasie. Jest larwą! Schnie w solarium mieszczącym się w kopule z gałązek. Nie może poruszać się o własnych siłach, wykrzykuje feromony, by przywołać niańki.

– *Jeść! Niańki, dajcie mi jeść, chcę jeść, żeby urosnąć!* – domaga się.

To prawda, w tamtych czasach jedynym jej marzeniem było postarzeć się...

Widzi się w kokonie, jest coraz mniejsza.

Jest złożonym jajczkiem, ułożonym na stosie w magazynie.

Dziwne uczucie, zobaczyć się sprowadzoną do rozmiarów małego perłowego owalu wypełnionego jasnym płynem. Tak, to już była ona. Była właśnie tym czymś.

– *Zanim stałam się mrówką, byłam białą kuleczką.*

Sądzi, że nie można już bardziej cofnąć się w przeszłość. A jednak! Pamięć nadal przesyła jej obrazy.

Widzi moment swojego przyjścia na świat. Przesuwa się w matczynym odwłoku, staje się komórką jajową. Dopiero co zapłodnioną komórką jajową.

– *Zanim stałam się białą kuleczką, byłam żółtą kuleczką.*

W tył. Jeszcze dalej, jeszcze dalej.

Jest świadkiem spotkania się gamet męskiej i żeńskiej w sercu komórki jajowej. Wtedy właśnie dokonuje się wybór między męskim, żeńskim a nijakim.

Komórka drży.

Męski, żeński, nijaki? Wnętrze komórki wibruje. Męski, żeński, nijaki?

Komórka tańczy. Tajemnicze substancje mieszają się, rozkładają na czynniki pierwsze, powstają mikstury o ciemnych refleksach. Chromosomy mieszają się ze sobą niczym długie nitki makaronu. X, Y, XY, XX? Wreszcie zwycięża chromosom żeński.

Udało się! Pszczele mleczko zmieniło przebieg ewolucji komórkowej, cofając się aż do pierwotnych ustawień, tych, które decydują o płci.

103 jest samicą. 103 jest teraz księżniczką.

W jej głowie wybuchają fajerwerki, jakby mózg otwierał setki maleńkich drzwiczek, by pozwolić światłu przedostać się do środka.

Otwierają się wszystkie zawory. Zmysły się mnożą. Każdą rzecz odczuwa mocniej, boleśniej, głębiej. Jej ciało staje się wrażliwe, drżące przy zetknięciu z najmniejszą falą z zewnątrz. Przed jej oczami pojawiają się barwne plamki, czułki szczypią, jakby były pokryte czystym alkoholem – boi się, że je straci.

Nie jest to zbyt przyjemne uczucie.

Czuje się wyjątkowo podatna na wszelkie czynniki zewnętrzne: ma ochotę skryć się pod ziemię przed tymi wszystkimi informacjami dźwiękowymi, zapachowymi, świetlnymi, które atakują jej mózg ze wszystkich stron. Odczuwa nieznane dotąd emocje, abstrakcyjne uczucia, zapachy wyrażane przez kolory, kolory wyrażane przez dźwięki, dźwięki wyrażane przez dotyk, dotyk wyrażany przez myśl.

Myśli te napływają do mózgu niczym podziemna rzeka, która ma zamiar wytrysnąć w górę fontanną. Każda kropla wody z tej fontanny to chwila z przeszłości, która powraca, oświetlona nowymi zmysłami i zdolnością odczuwania nowych emocji i abstrakcyjnych myśli.

Widzi wszystko w nowym świetle. Wszystko jest inne, subtelniejsze, bardziej złożone, wszystko wyraża sobą więcej informacji niż jej się do tej pory wydawało.

Zdaje sobie sprawę, że do tej pory żyła jedynie połowicznie. Jej umysł się rozszerza. Wykorzystywała go zaledwie w dziesięciu procentach, a dzięki koktajlowi hormonalnemu może teraz używać nawet trzydziestu procent jego możliwości!

Ile przyjemności dają pomnożone zmysły! Jakże miło – dzięki magii chemicznej – stać się nagle płciowym osobnikiem, po tak długim czasie bycia zwykłą bezpłciową mrówką.

Powoli wraca do rzeczywistości. Znajduje się w gnieździe os. W sztucznie ogrzewanej kuli z papieru straciła rachubę, czy jest dzień czy noc. Zapewne noc. Ale może już ranek.

Ile godzin, ile dni czy tygodni upłynęło od chwili, gdy wypięła pszczele mleczko? Nie zauważała upływającego czasu. Boi się.

Królowa chce jej coś powiedzieć.

68. LEKCJA GIMNASTYKI

– Proszę się przebrać w stroje, zaczniecie od przebieżki.

Dookoła wrzało. Jedni rozciągali mięśnie, inni podskakiwali i zajmowali miejsce za linią startu.

Dzień rozpoczynał się od lekcji gimnastyki.

– Stańcie tak, jak mówiłam, w jednej linii. Chcę widzieć tylko jedną głowę. Na sygnał macie ruszyć i biec, jak najszybciej potraficie. Podnoście wysoko uda, stawiajcie jak najdłuższe kroki, dajcie z siebie wszystko. Macie zrobić osiem okrążeń, a ja będę wam mierzyć czas – oznajmiła nauczycielka. – Jest was dwadzieścioro, a zatem każdy otrzyma notę w zależności od miejsca, które zajmie. Pierwszy dostanie dwudziestkę, a ostatni jedynkę.

Przenikliwy głos gwizdka, start.

Julie i Siedmiu Krasnoludków podporządkowało się bez wielkiego przekonania. Nie mogli się doczekać końca lekcji, aby wrócić do salki muzycznej opracować nowe kawałki.

Dobiegli zdecydowanie na szarym końcu.

– Co to, Julie, nie lubisz biegać?

Julie wzruszyła ramionami i nawet nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Nauczycielka gimnastyki była bardzo mocno zbudowana. Dawna pływaczka zakwalifikowana do reprezentacji olimpijskiej była w swoim czasie faszerowana hormonami męskimi, aby zwiększyć przyrost mięśni i siłę.

Nauczycielka oświadczyła, że następne ćwiczenie będzie polegać na

wchodzeniu po linie.

Julie zaczęła się, zakotłowała do przodu i do tyłu, spróbowała się rozhuścić, skrzywiła się z wysiłku i nie zdołała wspiąć się wyżej niż metr.

– Więcej energii, Julie!

Dziewczyna zeskoczyła na ziemię.

– W życiu niczemu nie służy umiejętność wspinania się po linie. Nie żyjemy już w dżungli. Wszędzie są windy i schody.

Nauczycielka gimnastyki, zbита z tropu, wołała odwrócić się do niej plecami i zająć uczniami bardziej troszczącymi się o własne umięśnienie.

Przerwa, a po niej lekcja języka niemieckiego, w czasie której nauczycielka, jak zwykle, nie mogła dojść do głosu. Uczniowie rzucali w nią jajkami, śmierzdzącymi kuleczkami, pluli przez rurki kulkami z masy papierowej. Julie nie znosiła tych prześladowań, ale nie miała odwagi wystąpić przeciwko całej klasie.

W ostatecznym rozrachunku łatwiej było walczyć z nauczycielami niż z uczniami. Uznała, że jest tchórzem. Czuła współczucie dla tej kobiety.

Dzwonek. Po lekcji języka niemieckiego – filozofia. Nauczyciel wszedł do klasy i grzecznie uklonił się swojej nieszczęsnej koleżance. Był jej dokładnym przeciwieństwem. Zawsze rozluźniony, zawsze potrafiący rozbawić klasę, cieszył się w szkole dużą popularnością. Sprawiał wrażenie, że wie wszystko i idzie z nonszalancją przez życie, nie znając lęku. Wiele dziewcząt się w nim podkochiwało. Niektóre zwierzały mu się nawet ze swoich problemów wieku dorastania, a on doskonale odgrywał rolę powiernika.

– Dzisiejszy temat to bunt.

Napisał magiczne słowo na tablicy i nieśpiesznie zaczął:

– W życiu szybko można stwierdzić, że najłatwiej jest zawsze powiedzieć „tak”. „Tak” pozwala znakomicie zintegrować się ze społeczeństwem. Zgadza się spełnić prośby innych, a oni chętnie was przyjmą. Jednak następuje moment, gdy „tak”, które dotychczas otwierało drzwi, nagle je przed nami zamyka. Być może na tym polega początek dojrzewania: rozpoczyna się ono w chwili, gdy uczymy się mówić „nie”.

Po raz kolejny udało mu się skupić uwagę uczniów.

– „Nie” ma co najmniej taką samą moc jak „tak”. „Nie” to swoboda myślenia inaczej. „Nie” świadczy o sile charakteru. „Nie” przeraża tych, którzy mówią „tak”.

Nauczyciel filozofii wolał chodzić po klasie niż dzielić się swoją wiedzą z katedry. Od czasu do czasu przerywał, siadał na kraju ławki i atakował konkretnego ucznia. Mówił dalej:

– Ale podobnie jak „tak”, także „nie” ma swoje ograniczenia. Powiedzcie „nie” na wszystko, a będziecie zablokowani, osamotnieni, bez możliwości znalezienia wyjścia. Przejście do dorosłości to moment, w którym uczymy się mówić na zmianę „tak” i „nie”, ani nie zgadzając się na wszystko, ani regularnie wszystkiego nie odrzucając. Nie chodzi już o chęć zintegrowania się za wszelką cenę ze społeczeństwem albo o odrzucenie go w całości. Dwa kryteria powinny przyświecać wyborowi „tak” albo „nie”: analiza przyszłych konsekwencji w średniej i długiej perspektywie czasu oraz głęboka intuicja. Rozważne szafowanie „tak” i „nie” jest raczej sztuką niż nauką. Ci, którzy umieją powiedzieć „tak” albo „nie” świadomie, z biegiem czasu nie tylko zaczynają kierować swoim otoczeniem, ale, co ważniejsze, kierować samym sobą.

Dziewczęta z pierwszego rzędu spijały te słowa z jego warg, zwracając większą uwagę na tembr głosu niż na to, o czym mówi. Nauczyciel filozofii włożył dłonie do kieszeni jeansów i usiadł na ławce Zoé.

– Krótko mówiąc, przypomnę wam stare, znane porzekadło: „Głupio jest nie być anarchista, gdy się ma dwadzieścia lat, ale... jeszcze bardziej głupio być nim nadal po trzydziestce”.

Zapisał zdanie na tablicy.

Notujące wszystko z zapałem długopisy zapisywały całe strony zeszytów. Niektórzy uczniowie powtarzali cicho zdanie, aby dobrze zapamiętać wszystkie sylaby, w razie gdyby zapytano o nie na maturze ustnej.

– A ile pan ma lat? – zapytała Julie.

Nauczyciel filozofii się odwrócił.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat – odpowiedział z przebiegłym uśmiechem.

Podszedł do dziewczyny o jasnoszarych oczach.

– A zatem jeszcze przez jakiś czas będę anarchista. Korzystajcie z tego.

– A co to właściwie znaczy „być anarchista”? – spytała Francine.

– Nie mieć ani boga, ani pana, czuć się wolnym człowiekiem. Czuję się wolnym człowiekiem i liczę, że was również tego nauczę.

– Ani boga, ani pana, to łatwo powiedzieć – włączyła się Zoé. – Ale dla nas tutaj

pan jest naszym nauczycielem, a więc musimy pana słuchać.

Filozof nie miał czasu, aby odpowiedzieć. Drzwi nagle się otworzyły i do klasy wpadł dyrektor. Szybko wszedł na podwyższenie.

– Nie wstawajcie – zwrócił się do uczniów. – Przyszedłem poruszyć z wami poważny temat. Po budynku kręci się jakiś piroman. Kilka dni temu wybuchł pożar w śmietniku, a woźny odkrył koktajl Mołotowa koło tylnych drzwi, które są z drewna. Nasze liceum jest betonowe, ale są tu na przykład podwieszane sufity wypełnione szklaną wełną, łatwopalny plastik, który bardzo szybko się zajmuje, wydzielając toksyczny dym. Zdecydowałem więc, że wyposażymy się w jeden z najskuteczniejszych systemów przeciwpożarowych. Mamy teraz osiem szaf hydrantowych z wężami gaśniczymi, które można rozłożyć w kilka sekund i pociągnąć do dowolnej strefy naszego budynku mogącej stanąć w płomieniach.

Zabrzmiała syrena, ale dyrektor kontynuował równie spokojnym głosem:

– Poza tym zabezpieczyłem tylne drzwi, którym nie grozi już ogień i które, zapewniam was, są teraz bardzo solidne. Natomiast syrena, jaką teraz słyszycie, to sygnał alarmowy ostrzegający o wybuchu pożaru. Od dziś na jej dźwięk macie ustawić się w rzędzie i nie popychając się, jak najszybciej opuścić salę, i zgromadzić się na dziedzińcu przed wejściem. Zróbmy próbę.

Wycie syreny stawało się ogłuszające.

Uczniowie chętnie przystąpili do próbnej ewakuacji, ciesząc się z przerwy w lekcjach. Na dole strażacy pokazali im, jak otworzyć szafy, wyjąć węże, dokręcić złączki. Nauczyli ich kilku sposobów ułatwiających przeżycie: jak rozmieszczać wilgotne szmaty dookoła drzwi lub schylić się, aby szukać tlenu pod kłębami dymu. W ogólnym zamieszaniu dyrektor zwrócił się do Ji-woonga:

– I co, ostro przygotowujecie się do koncertu? Nie zapominajcie, że to już pojutrze.

– Mamy trochę mało czasu.

Po kilku sekundach namysłu oznajmił:

– Dobrze, wyjątkowo zwalniam was z lekcji. Opuśćcie je wszystkie, ale okażcie się godni tego przywileju.

Syrena wreszcie łaskawie zamilkła. Julie i Siedmiu Krasnoludków pobiegło do swojego pomieszczenia. Po południu dopracowali jeszcze kilka nowych kawałków. Mieli teraz trzy utwory, do tego dwa w przygotowaniu. Czerpali słowa

z *Encyklopedii*, a następnie z zapalem tworzyli muzykę, która by do nich pasowała.

69. ENCYKLOPEDIA

INSTYNYKT WOJENNY: Kochaj swoich wrogów. To najlepszy sposób, aby ich zenerwować.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

70. MUSIMY OPUŚCIĆ DĄB

– *Musicie odejść.*

Królowa os powtarza swoją wiadomość przy użyciu czułek. Jednym klepie niecierpliwie mrówkę po głowie, drugim zaś wskazuje na horyzont. Te znaki zrozumie każdy. Trzeba odejść.

W Bel-o-kan stare niańki mawiały:

– *Każda istota musi przejść metamorfozę. Jeśli pominie ten etap, będzie żyła jedynie połowicznie.*

103 rozpoczyna zatem drugą połowę swojego życia. Ma przed sobą dodatkowe dwanaście lat życia i zamierza dobrze je wykorzystać.

103 ma teraz płeć. Jest księżniczką i wie, że jeśli spotka na swojej drodze samca, będzie mogła się rozmnożyć.

Towarzyszące jej mrówki pytają, jaką teraz obrać drogę. Ziemia nadal pokryta jest świerszczami, księżniczka 103 postanawia więc, że najbezpieczniej będzie nadal poruszać się z gałęzi na gałąź, kierując się na południowy zachód.

Dwanaście mrówek przytakuje.

Schodzą po olbrzymiej wieży wielkiego dębu i skręcają na długą gałąź. Przemieszczają się, przechodząc z jednego drzewa na drugie, skacząc lub chwytając się za nóżki niczym akrobatki. Muszą przejść długą drogę, zanim przestanie do nich docierać gorzki zapach świerszczy.

Ostrożnie, z księżniczką 103 na czele, oddział schodzi po jaworze na samą ziemię. Pokrywa ze świerszczy rozciąga się zaledwie kilkanaście metrów od nich.

5 sugeruje, żeby dyskretnie wycofać się w przeciwnym kierunku, lecz na szczęście ta ostrożność okazuje się zbyt uczynna. Naraz bowiem, jakby na dany sygnał, wszystkie świerszeczki wznoszą się w powietrze.

Płatki śmierci odlatują.

Imponujące zjawisko. Świerszeczki mają mięśnie nóg tysiąc razy silniejsze niż mrówki. Mogą dzięki nim wzbić się w górę na wysokość dwudziestu długości swojego ciała. Będąc w szczytowym punkcie skoku, rozkładają swoje cztery skrzydła i poruszają nimi bardzo szybko, by unieść się jeszcze wyżej. Tyle ruchu powoduje niesamowity rwetes. Niezliczone ilości świerszeczki zderzają się skrzydłami. Niektóre wręcz giną zmiażdżone przez własną populację.

Świerszeczki nadal wlatują w górę. Zjadły już wszystko i pozostawiają ziemię gołą, z kilkoma oskubanymi drzewami, na których nie pozostał nawet najmniejszy liść, kwiat czy owoc.

– *Czasami nadmiar życia zabija życie* – stwierdza 15, odprowadzając wzrokiem oddalające się świerszeczki. Myśl typowa dla mrówki, która całymi dniami poluje i jest przyzwyczajona do odbierania życia innym.

Księżniczka 103 również się przygląda i nie może zrozumieć, co skłoniło naturę do stworzenia takiego okazu zwierzęcia, jakim jest świerszeczka. Może spiskują razem z pustynią przeciwko życiu organicznemu, chcąc pozostawić jedynie życie mineralne? Na miejscu, gdzie się zatrzymały, zadomawia się pustynia, a zwierzęta i rośliny się wycofują.

Księżniczka 103 odwraca się od przygnębiającego widoku. Podmuchy wiatru nadają chmurze szarańczy przesuwałej się wciąż na północ formę twarzy o tysiącu grymasach.

Musi się teraz zastanowić nad trzema charakterystycznymi cechami Palców, jakimi są humor, miłość i sztuka. Usłyszawszy jej myśli, 10 sugeruje, by wyprodukować zoologiczny feromon pamięci, w którym zebrane zostanie wszystko, co księżniczka 103 jej powierzy – teraz, gdy jej zdolności analizy są wyjątkowo rozwinięte. Podnosi skorupkę po owadzie jajeczku, w którym zamierza przechowywać pachnącą substancję.

103 się zgadza.

Kiedyś sama miała zamiar się tego podjąć, lecz wpadła w wir przygód, podczas których zgubiła jajeczko z informacjami. Cieszy się, że 10 zdecydowała się tym

zająć.

Trzyście mrówek rusza na południowy zachód, w stronę cywilizacji, w stronę rodzinnego miasta: Bel-o-kan.

71. WYMAŻMY PRZESZŁOŚĆ Z PAMIĘCI

To było w przeddzień wielkiego wieczoru. Wczesnie rano Julie jeszcze spała. Śniło się jej, że stoi przed mikrofonem, a z jej gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Nawet mikrofon z niej drwił. Podeszła do lustra i spostrzegła, że wcale nie ma ust. Zamiast nich miała tylko duży, gładki podbródek. Nie mogła ani mówić, ani krzyczeć, ani śpiewać. Jedynie podnieść brwi lub wytrzeszczyć oczy, aby dać do zrozumienia, co się stało. Mikrofon śmiał się i śmiał. Płakała nad straconymi ustami. Na toaletce leżała brzytwa i miała ochotę wyciąć sobie nowe usta. Ale bała się okaleczenia. Aby więc ułatwić sobie tę operację, wyrysowała szminką kształt ust. Skierowała ostrze w środek rysunku...

Matka Julie z hałasem otworzyła drzwi do pokoju.

– Jest dziewiąta, Julie. Wiem, że już nie śpisz. Wstań. Musimy porozmawiać.

Julie podniosła się na łokciach i przetarła oczy. A następnie, instynktownie, potarła sobie usta. Poczowała dwie wilgotne poduszcзки. Uff! Pomacała ręką, żeby sprawdzić, czy ma język i zęby.

– No już, wstawaj!

– Och, nie! Mamo! Nie teraz, nie tak wczesnie!

– Mam ci dwa słowa do powiedzenia. Od śmierci ojca żyjesz tak, jakby nic się nie stało. Czy jesteś bez serca? To przecież był twój ojciec.

Julie wcisnęła głowę pod poduszkę, aby jej nie słyszeć.

– Bawisz się, włóczysz się z bandą licealistów, jakby nic się nie stało. Ostatniej nocy nawet nie wróciłaś na noc do domu. Wydaje mi się, Julie, że powinniśmy porozmawiać.

Uniosła róg poduszkę i popatrzyła na matkę. Wdowa znowu schudła.

Można było odnieść wrażenie, że śmierć Gastona dawała nowe siły wdowie po nim. Trzeba zauważyć, że poza nową dietą matka rozpoczęła seanse u psychoanalityka. Nie wystarczało jej, że odmładzała ciało, dodatkowo chciała cofnąć się w przeszłość umysłem.

Julie wiedziała, że zgodnie z panującą modą, jej matka zasięgała rad psychoanalityka *rebirth*. Ci specjaliści nie tylko cofali się do dzieciństwa, aby odkryć w nim i rozwiązać zapomniane traumy, ale nawet przenosili swoich pacjentów w odległe stadium życia płodowego. Julie zastanawiała się, czy jej matka, która zawsze starała się dostosować swój wiek duchowy do stylu ubioru, nie zacznie nosić śpioszków z pamperssem albo nawet owijać się plastikową pępowiną.

I tak na szczęście matka nie wybrała psychoanalizy „reinkarnacyjnej”. Ci specjaliści cofali się w jeszcze odleglejszą przeszłość, przed życie płodowe, przed jajeczko, do poprzedniego życia. Wówczas Julie zobaczyłaby swoją matkę w stroju osoby, którą była przed reinkarnacją.

– Julie, no już, nie udawaj dziecka! Wstań!

Julie była teraz tylko małą kuleczką zwiniętą w głębi łóżka i zatykała sobie uszy palcami. Nie widzieć, nie słyszeć, nie czuć.

Ale ręka rzeczywistości podniosła kołdrę i nad jej kryjówką pojawiła się macierzyńska twarz.

– Julie, mówię poważnie. Musimy szczerze porozmawiać, twarzą w twarz.

– Pozwól mi spać, mamo.

Matka wahała się, kiedy jej wzrok przyciągnęła otwarta książka leżąca na nocnym stoliku.

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej profesora Edmunda Wellsa, tom III.

To dzieło zakwestionował jej psychoterapeuta. Ponieważ dziewczyna nadal leżała pod kołdrą, po cichu je zabrała.

– Dobrze, możesz jeszcze godzinę pospać, ale potem porozmawiamy.

Matka zaniósł książkę do kuchni i zaczęła ją kartkować. Była tu mowa o rewolucji, o mrówkach, podważaniu norm społecznych, strategiach walki, technikach manipulacji tłumem. Były tutaj nawet przepisy pozwalające wyprodukować koktajle Mołotowa.

Psychoterapeuta miał rację. Dobrze, że do niej zadzwonił, aby ostrzec ją przed tą rzekomą encyklopedią, która mieszała córce w głowie. Ta książka była wywrotowym podręcznikiem, była tego pewna.

Schowała ją na dno szafki, na najwyższej półce.

– Gdzie jest moja książka?

Matka Julie pogratulowała sobie. Odkryła klucz do problemu. Zniszczenie narkotyk, a uzależniony zacznie odczuwać głód. Jej córka ciągle poszukiwała nauczyciela czy ojca. Najpierw był ten nauczyciel śpiewu, teraz ta tajemnicza encyklopedia. Obiecała sobie, że będzie jeden za drugim niszczyła te papierowe tygrysy, aż do momentu, gdy jej córka uzna, że ma tylko jeden autorytet: własną matkę.

– Schowałam ją dla twojego dobra. Kiedyś mi za to podziękujesz.

– Oddaj mi moją książkę – zażądała Julie.

– Nawet mnie o to nie proś.

Julie podeszła do szafki, matka zawsze wszystko w niej chowała. Powtórzyła, cedząc słowa:

– Oddaj mi ją natychmiast.

– Książki mogą być niebezpieczne – argumentowała matka. – Przez *Kapitał* mieliśmy siedemdziesiąt lat komunizmu.

– Tak, a przez Nowy Testament pięć wieków inkwizycji, z której się wywodzisz.

Julie znalazła *Encyklopedię* i wyjęła ją z szafki, w której była uwięziona. Ta książka potrzebowała jej tak samo, jak ona potrzebowała tej książki.

Matka stała ze spuszczoneymi ramionami, patrząc, jak córka ścisną książkę. Julie obróciła się na pięcie i wyszła. Z wieszaka w korytarzu zdjęła długi nieprzemakalny płaszcz przeciwdeszczowy, który sięgał jej do kostek, zarzuciła go na koszulę nocną, wzięła swój mały plecak, wpakowała do niego książkę i wybiegła.

Achilles popędził za nią, dosyć ucieszony tym, że wreszcie ktoś zrozumiał, że woli spacerować rano, i do tego biegiem.

– Hau, hau, hau! – zaszczekał pies, biegnąc w znakomitym humorze.

– Julie, wracaj natychmiast! – krzyknęła matka, stojąc na progu domu.

Młoda dziewczyna zatrzymała jadącą wolno taksówkę.

– Gdzież to mam panienkę zawieźć?

Podala adres liceum, chciała jak najszybciej dołączyć do Siedmiu Krasnoludków.

72. W DRODZE

PIENIĄDZE:

Pieniądz jest abstrakcyjnym pojęciem wymyślonym przez Palce.

Palce znalazły ciekawy sposób, by uniknąć wymieniania się kłopotliwymi w transporcie przedmiotami.

Zastępują pożywienie małymi kawałkami kolorowego papieru, które mają tę samą wartość co jedzenie.

Ponieważ wszyscy są co do tego zgodni, pieniądz może być wymieniany na jedzenie.

Gdy rozmawia się z Palcami o pieniądzach, zawsze twierdzą, że ich nie lubią i że żałują, że ich społeczeństwo do tego stopnia się od nich uzależniło.

Tymczasem dokumentacja historyczna wykazuje, że przed wynalezieniem pieniądza jedynym sposobem na obrót towarami była... grabież.

10 wykorzystuje przerwę na odpoczynek, żeby zapytać dokładnie 103. W zaciszu małej jaskini skrupulatnie zapisuje cenne informacje dotyczące życia i zwyczajów palcowych i wypełnia nimi feromon pamięci. Książeczka 103 nie daje się długo prosić.

Pozostałe mrówki podchodzą do nich, aby również przysłuchiwać się opowieści. 103 opisuje teraz sposób rozmnażania się Palców.

Oglądając telewizję, szczególną przyjemność sprawiały jej tak zwane „filmy pornograficzne”.

Dwanaście mrówek zbliża się jeszcze bardziej, nie chcąc stracić ani jednego feromonu tej nowej opowieści o zwyczajach Palców.

– *Co to są „filmy pornograficzne”?* – pyta 16.

103 wyjaśnia, że Palce przywiązują dużą wagę do aktu kopulacji. Filmują najlepszych spółkujących i stawiają ich za przykład innym.

– *Co widać na filmach pornograficznych?*

103 nie zrozumiała wszystkiego, ale zazwyczaj palcowa samica przychodzi i zjada narządy płciowe samca. Następnie spółkują w grupach, prawie jak pluskwy domowe.

– *Nie kopulują w powietrzu, z rozłożonymi skrzydłami?* – pyta 9.

Nie, 103 zapewnia, że Palce kopulują, tarzając się po ziemi niczym ślimaki. Zresztą zazwyczaj ślinią się również jak ślimaki.

Mrówki są bardzo zainteresowane tą prymitywną formą seksualności. Wszystkie wiedzą, że ich przodkowie żyjący ponad 120 milionów lat temu również zachowywali się w ten sposób. Ocierali się o siebie, spółkując. Mrówki stwierdzają,

że w tej kwestii Palce są bardzo zacofane. Miłość w locie, unoszenie się wśród trzech wymiarów dostarcza znacznie więcej emocji niż miłość dwuwymiarowa, na ziemi.

Na zewnątrz robi się coraz cieplej.

Mrówki i ich księżniczka nie mają już czasu na pogaduszki. Muszą się pośpieszyć, jeśli chcą uratować miasto przed straszliwym zagrożeniem, jakie niesie ze sobą pojawienie się białej tablicy.

Krocząca na czele księżniczka 103 nie może się nacieszyć z posiadania płci. Nawet jej organ Johnstona, wyczulony na ziemskie pole magnetyczne, funkcjonuje o wiele lepiej.

Życie jest piękne. Świat jest piękny.

Dzięki możliwościom tego nietypowego organu mrówka wyjątkowo intensywnie odczuwa fale sejsmiczne.

Po powierzchni planety przebiegają drgania. Powłoka ziemską pokryta jest żyłami energii magnetycznej, których 103 prawie nie wyczuwała jako bezpłciowa mrówka, a teraz może niemal je dostrzec – przypominają jej długie korzenie.

Radzi dwunastu pozostałym, żeby szły, nie opuszczając obranego przez nią korytarza wibracyjnego.

– Korzystając z niewidzialnych żył Ziemi, okazujemy jej szacunek, a w zamian ona nas chroni.

Rozmyśla o Palcach, które nie potrafią rozpoznać pól magnetycznych. Budują swoje autostrady byle gdzie, przecinają murami odwieczne szlaki migracji zwierząt. Zakładają gniazda na terenach szkodliwych wpływów pól magnetycznych i dziwią się, że dokuczają im migreny.

Mimo to Palce swego czasu znały sekret żył magnetycznych Ziemi. Słyszała o tym w telewizji. Aż do średniowiecza budowało się świątynie jedynie w miejscach wskazanych przez kapłanów, jeśli ci wykryli tam węzły pozytywnych energii. Tak jak mrówki, które zanim zaczną wznosić swoje gniazdo, szukają zawsze „węzła magnetycznego”. Następnie, w okresie odrodzenia, Palce zaczęły wierzyć, że jedynie rozum pozwoli im pojąć wszystko i nie muszą już pytać natury przed każdym przedsięwzięciem.

Palcom nie zależy na dostosowaniu się do zasad Ziemi, chcą, żeby Ziemia dostosowała się do ich wymagań – stwierdza księżniczka.

73. ENCYKLOPEDIA

STRATEGIA MANIPULOWANIA INNYMI: Społeczeństwo dzieli się na trzy grupy. Pierwszą stanowią ci, którzy mówią, odwołując się do języka wizualnego, drugą ci, którzy mówią, odwołując się do języka słyszanego, a trzecią ci, którzy odwołują się do mowy ciała.

„Wzrokowcy” mówią oczywiście: „Widzisz”, bo posługują się wyłącznie obrazami. Pokazują, obserwują, opisują kolorami, uściślają: „to jest jasne, to jest niewyraźne, to jest przejrzyste”. Używają takich zwrotów, jak: „życie w różowych kolorach”, „wszystko widać jak na dłoni”, „blady strach”.

„Słuchowcy” mówią oczywiście: „Słyszysz”. Używają dźwięcznych słów kojarzących się z muzyką i hałasem: „głuchy jak pień”, „bicie dzwonów” i lubują się w takich określeniach, jak: „melodyjny”, „fałszywy”, „słyszalny”, „rozbrzmiewający”.

Kinestycy, wrażliwi na mowę ciała, mówią oczywiście: „Czujesz”. Odwołują się do uczuć: „pojmujesz”, „odczuwasz”, „przepadasz za”. Ich wyrażenia to: „mieć czegoś powyżej uszu”, „chciałoby się go zjeść”. Ich określenia to: „zimny”, „gorący”, „podniecony/spokojny”.

Przynależność do danej grupy rozpoznaje się po sposobie, w jaki rozmówca porusza oczami.

Jeżeli, gdy poprosimy go, aby sobie coś przypomniał, najpierw podnosi wzrok w górę, jest wzrokowcem. Jeśli patrzy w bok, jest słuchowcem. Jeżeli spuszcza oczy, jakby chciał odszukać uczucia ukryte w swoim wnętrzu, to kinestyk.

Taka wiedza pozwala oddziaływać na poszczególnych rozmówców, wykorzystując jeden z trzech rejestrów językowych.

Poczynając od tego, można pójść dalej, tworząc fizyczne punkty zaczepienia. Takie działanie polega na wywieraniu nacisku na część ciała rozmówcy, gdy chcemy wywołać u niego bodziec pozytywny przy przekazywaniu mu ważnego komunikatu, jak na przykład „liczę, że dobrze wykonasz tę pracę”. Jeżeli w tym momencie ściśniemy go za przedramię, stymulujące będzie dla niego każde kolejne uściśnięcie tego przedramienia. To rodzaj pamięci sensorycznej.

Należy uważać, aby nie zaczęła ona funkcjonować na odwrót. Psychoterapeuta, który przyjmuje pacjenta, klepiąc go po ramieniu i równocześnie użalając się nad

nim: „I cóż, przyjacielu, nic ci się nie poprawiło”, będzie mógł na próżno stosować najlepszą terapię na świecie, a wszystkie lęki powrócą natychmiast do pacjenta, gdy przy pożegnaniu wykona ten sam gest.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

74. ŚWINIE I FILOZOFOWIE

Kierowca był towarzyski. Musiał się śmiertelnie nudzić sam w taksówce, bo bez przerwy mówił do swojej młodej klientki. W pięć minut opowiedział jej swoje życie, które, rzecz jasna, było nadzwyczaj interesujące.

Ponieważ Julie siedziała w milczeniu, zaproponował, że opowie jej coś śmiesznego. „Trzy mrówki spacerują po Polach Elizejskich w Paryżu, aż tu nagle zatrzymuje się rolls-royce, a w środku siedzi konik polny ubrany w futro i obwieszony biżuterią. «Witam koleżanki» – mówi, opuszczając szybę. Mrówki ze zdumieniem patrzą na konika polnego, który je kawior i pije szampana. «Witaj – odpowiadają mrówki. – Wygląda na to, że zrobiłeś karierę!». Konik na to: «O tak! W dzisiejszych czasach show-biznes popłaca. Jestem gwiazdą. Może poczęstujecie się kawiozem?». Mrówki odpowiadają: «Ależ nie, dziękujemy». Konik polny podnosi szybę i każe kierowcy ruszyć. Po odjeździe limuzyny mrówki patrzą na siebie przybite, a jedna z nich wyraża to, co myślą wszystkie: «Co za kretyn z tego La Fontaine’a!»”.

Taksówkarz śmiał się sam. Julie zrobiła zachęcającą minę i pomyślała sobie, że im bliższy jest kryzys duchowy cywilizacji, tym ludzie opowiadają więcej dowcipów. To pozwalało uniknąć prawdziwego dialogu.

– Chce pani, żebym opowiedział jeszcze jeden dowcip?

Kierowca mówił dalej, cały czas jadąc rzekomymi skrótami, które, jak zapewniał, znał tylko on.

Główna ulica Fontainebleau była zablokowana przez manifestację rolników, którzy domagali się większych dopłat, mniej odłogowania gruntów i wstrzymania importu zagranicznego mięsa. „Ratujmy francuskie rolnictwo” i „Śmierć importowanym świniom” – głosiły transparenty.

Zajęli ciężarówkę wiozącą świnie z Węgier i postanowili oblać benzyną klatki ze

zwierzętami. Rzucili zapalki. Rozległo się potworne kwiczenie zwierząt, które płonęły żywcem. Julie nigdy by nie uwierzyła, że prosię jest w stanie wydawać takie dźwięki. Przypominały ludzkie krzyki! Śwąd palonego mięsa był straszny. W godzinie śmierci świnie zdawały się powoływać na pokrewieństwo z człowiekiem.

– Błagam pana, jedźmy stąd!

Świnie nadal kwiczały i Julie przypominała sobie, że na lekcji biologii nauczyciel mówił, że świnia jest jedynym zwierzęciem, którego organy można przeszczepiać ludziom. Nagle wizja śmierci tych nieznanych kuzynów stała się czymś nie do zniesienia. Świnie patrzyły na nią błagalnym wzrokiem. Miały różową skórę. Ich oczy były niebieskie. Julie chciała jak najszybciej opuścić to miejsce kaźni.

Rzuciła banknot kierowcy, wysiadła z samochodu i uciekła pieszo.

Zdyszana, dotarła wreszcie do liceum i skierowała się prosto do salki muzycznej w nadziei, że nikt jej nie zauważy.

– Julie! Co ty tu robisz tak wcześnie? Twoja klasa nie ma lekcji.

Filozof dostrzegł kątem oka różową koszulę nocną pod czarnym kołnierzem płaszcza.

– Zaziębisz się.

Zaproponował jej, żeby napili się czegoś ciepłego w kafeterii, a ponieważ reszta jeszcze nie dotarła, zgodziła się.

– Jest pan miłym gościem. Nie przypomina pan nauczycielki matematyki. Ona stara się za wszelką cenę mnie ośmieszyć.

– Wiesz, nauczyciele to tacy sami ludzie jak inni. Jedni są fajni, drudzy mniej, są inteligentni i mniej inteligentni, sympatyczni i mniej sympatyczni. Problem polega na tym, że nauczyciele mają możliwość codziennie oddziaływać na co najmniej trzydziestu ludzi młodych, a zatem dających się manipulować. To ogromna odpowiedzialność. Jesteśmy ogrodnikami społeczeństwa jutra, rozumiesz?

– Ja bałabym się być nauczycielką – oświadczyła Julie. – W dodatku jak patrzę, w jaki sposób jest traktowana nauczycielka niemieckiego, dreszcz mnie przechodzi.

– Masz rację, żeby uczyć, trzeba nie tylko dobrze znać swój przedmiot, ale dodatkowo mieć zacięcie psychologiczne. Między nami mówiąc, sądzę, że każdy

nauczyciel boi się stawić czoła klasie. Dlatego jedni przybierają maskę autorytarną, inni odgrywają uczonych albo, tak jak ja, kolegów.

Odsunął plastikowe krzesło i podał jej pęk kluczy.

– Mam teraz lekcję, ale jeśli chcesz trochę odpocząć albo się odświeżyć, mieszkam w tym budynku, na rogu placu. Trzecie piętro po lewej. Możesz tam pójść, jeśli chcesz. Po ucieczce z domu potrzebne jest trochę spokoju.

Podziękowała za propozycję, odmawiając. Koledzy z grupy rockowej powinni niedługo się pojawić i ktoś z nich z pewnością ją przyjmie.

Nauczyciel popatrzył na nią szczerym i życzliwym wzrokiem. Poczła się zobowiązana, aby dać mu coś w zamian. Informację. Raczej powiedziały to jej usta niż mózg:

– To ja podpaliłam śmietnik.

Wyznanie nie wydawało się zbyt dziwić nauczyciela filozofii.

– Hm... Mylisz przeciwnika. Działasz na krótką metę. Liceum nie jest celem, lecz środkiem. Posłuż się nim, zamiast je znosić. Ten system szkolny opracowano jednak po to, aby wam pomóc. Edukacja czyni ludzi silniejszymi, bardziej świadomymi, solidniejszymi. Masz szczęście, że chodzisz do tego liceum. Nawet, jeżeli czujesz się tu źle, wzbogaca cię. Dużym błędem jest chcieć zniszczyć to, czego nie potrafisz wykorzystać!

75. W STRONĘ SREBRNEJ RZEKI

Trzyście mrówek korzysta z gałązki, żeby pokonać olbrzymią przepaść. Przemierzają dżunglę z mniszka pospolitego. Zbiegają po stromym zboczu porośniętym paprociami.

W dole dostrzegają figę, która rozprysła się, spadłszy z drzewa. Cukrowy wulkan – w kolorach fioletu, zieleni, różu i bieli – przyciąga już rozhisteryzowane muszki. Mrówki zatrzymują się na przekąskę. Pyszny owoc!

Są pytania, których Palce wcale sobie nie zadają. Na przykład: Dlaczego owoce są smaczne? Dlaczego kwiaty są piękne?

– *My, mrówki, to wiemy.*

Księżniczka 103 sądzi, że powinien znaleźć się Palec, który – podobnie jak 10 – zajmie się stworzeniem zoologicznego feromonu pamięci zawierającego wiedzę

myrmecęską. Mrówki mogłyby im powiedzieć, dlaczego kwiaty są piękne, a owoce smaczne.

Gdyby spotkała na swojej drodze Palca, wyjaśniłaby mu, że kwiaty pachną i stroją się pięknie, by przyciągnąć owady. To one bowiem przenoszą pyłki i umożliwiają tym samym ich reprodukcję.

Owoce są smaczne, gdyż liczą, że zostaną zjedzone przez zwierzęta, które strawią je i wydalą twarde pestki nieco dalej. Zręczna taktyka roślin: tym sposobem nasienie drzewa owocowego nie tylko rozprzestrzeni się, ale równocześnie dostarczy użyźniającego glebę kompostu.

Owoce rywalizują ze sobą w tym rozprzestrzanianiu się. Dla nich ewolucja jest równoznaczna z poprawianiem smaku, wyglądu i zapachu. Najmniej atrakcyjne okazy skazane są na zagładę.

103 widziała w telewizji, jak Palcom udaje się wyhodować owoce bez nasion: melona, arbuza czy winogrona bez pestek. Tylko dlatego, że są zbyt leniwi, żeby wypluwać lub też trawić ziarna, Palce wysterylizowały niektóre gatunki. Jak tylko nadarzy jej się okazja, by porozmawiać z Palcami, zwróci im na to uwagę.

W każdym razie ta świeża figa, którą właśnie jedzą, z łatwością zostanie strawiona. Mrówki taplają się w jej słodkim soku. Zanurzają głowy w miękkim miąższu, wypluwają pestki, pływają w galaretowatej masie.

Ich wola socjalne wypełnione są po brzegi fruktozą, mogą więc ruszyć w dalszą drogę. Podążają ścieżką prowadzącą wśród cykorii i dzikiej róży. 16 kicha. Jest uczulona na pyłek dzikiej róży.

Wkrótce dostrzegają w oddali srebrną nitkę: to rzeka. Księżniczka 103 unosi czułki i ustala lokalizację. Znajdują się na północny wschód od Bel-o-kan.

Na szczęście rzeka płynie z północy na południe.

Docierają na plażę z czarnego piasku. Stado biedronek ucieka na ich widok, porzucając rozczłonkowane zwłoki mszyc.

103 nigdy nie udało się zrozumieć, dlaczego Palce uważają, że biedronki są „sympatyczne”. To drapieżniki niszczące hodowle mszyc. Jeszcze inna dziwna cecha palcowa: przypisują same zalety koniczynie, chociaż każda mrówka wie, że soki tej rośliny są toksyczne.

Eksploratorki idą wzdłuż brzegu.

Wśród przybrzeżnych smukłych trzciny kryją się ropuchy, których ponure

rechotanie rozbrzmiewa wokoło.

Księżniczka 103 proponuje, żeby spłynąć z nurtem rzeki na statku. Pozostałe nie mają pojęcia, co to jest „statek”, i podejrzewają, że chodzi znowu o jakiś palcowy wynalazek.

Księżniczka 103 pokazuje, w jaki sposób można wykorzystać liść do poruszania się po wodzie. Kiedyś przedostała się z jednego brzegu rzeki na drugi na liściu niezapominajki, lecz teraz nie ma takiego w pobliżu. Mrówki przeszukują okolicę w poszukiwaniu niezatapialnego liścia. Wreszcie zauważają nenufary. Pływają po wodzie od dawna, czy można sobie wyobrazić lepszy okręt?

– *Popłyniemy na nenufarach, na pewno nie utoniemy!*

Grupa mrówek wspina się na mały różowobiały nenufar dotykający brzegu. Jego długie liście mają owalny kształt. Zielona, okrągła i gładka platforma z łatwością porusza się po wodzie. Pod głównym liściem znajdują się młode listki zwinięte w rożki. Giętkie pręciki i kanaliki wypełnione powietrzem powodują, że statkowi nie grozi zatonięcie.

Mrówki wchodzą na pokład, lecz roślina nie odpływa. Po krótkim dochodzeniu okazuje się, że unieruchamia ją kotwica. Od nenufaru odchodzi długa łądyga przytwierdzająca go do podłoża. Jest bardzo wytrzymała: ma ponad pięć centymetrów grubości i metr długości. Księżniczka 103 próbuje odciąć kotwicę, wychylając od czasu do czasu głowę na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza.

Pozostałe starają się jej pomóc, jednak 103 rozkazuje im złapać kilka pływaków. Te wodolubne owady posłużą statkowi za napęd. Mrówki wabią je zwierzyną upolowaną na powierzchni wody. Gdy pływaki się zbliżają, 103 zachęca je do kontaktu czułkami i udaje jej się je przekonać, by wzięły udział w rejsie.

Księżniczka 103 stwierdza, dzięki doskonałemu wzrokowi płodnej mrówki, że drugi brzeg znajduje się bardzo daleko i że na dodatek suche liście unoszące się na powierzchni kręcą się w kółko, co świadczy o istnieniu podwodnych wirów. Żaden okręt nie będzie mógł dobić do drugiego brzegu. Lepiej będzie płynąć z prądem w poszukiwaniu przewężenia.

Belokanijki zabierają się do zaopatrzenia swojego statku w pożywienie, które pozwoli im znieść trudy podróży. Spizarnia zapełnia się szybko – głównie biedronkami, które nie dość szybko uciekły, oraz pływakami, które odmówiły współpracy.

Księżniczka 103 twierdzi, że nie ma sensu odbijanie od brzegu teraz, nie będą przecież podróżować nocą. Wyruszą zatem z samego rana. Ponieważ życie to ciąg następujących po sobie dni i nocy – od sukcesu dzieli je tylko jedna faza cyklu.

Znajdują schronienie w zaciszu skały i zjadają kilka biedronek, żeby odzyskać siły. Czeka je długa podróż.

76. ENCYKLOPEDIA

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC: Są momenty, gdy się wydaje, że można spełnić najbardziej szalone marzenia, pod warunkiem jednak, że podejmie się taką próbę.

W trzynastym wieku w Chinach pod panowaniem dynastii Song narodził się ruch kulturalny polegający na podziwianiu księżyca. Jedynym źródłem natchnienia dla największych poetów, największych pisarzy i największych śpiewaków była ta planeta na niebie.

Jeden z cesarzy dynastii Song, który sam był poetą i pisarzem, postanowił poznać prawdę. Tak mocno wielbił księżyc, że chciał być pierwszym człowiekiem, który postawi na nim stopę.

Poprosił uczonych, aby zbudowali dla niego raketę. Chińczycy mieli już dużą wprawę w posługiwaniu się prochem. Umieścili zatem olbrzymie petardy pod małą chatką, w której zasiadł cesarz Song.

Mieli nadzieję, że siła eksplozji wyniesie cesarza aż na księżyc. Tym sposobem znacznie wcześniej przed Neilem Amstrongiem i Jules'em Verne'em Chińczycy zbudowali pierwszą raketę międzyplanetarną. Ale badania wstępne najwyraźniej przeprowadzono zbyt pobieżnie: ledwie zapalono knoty reaktorów, zachowały się one dokładnie tak, jak sztuczne ognie, to znaczy eksplodowały.

Cesarz Song razem ze swoim pojazdem rozprysł się wśród wielkich, kolorowych, łatwopalnych gejzerów światła, które miały zanieść go aż do gwiazdy nocy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

77. PIERWSZY LOT

Całą noc komponowali utwory i powtarzali nieustrudzenie. Rano w dzień koncertu znów wzięli się do pracy. *Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej* była inspiracją dla ich tekstów, ale wiele wysiłku poświęcali również melodii i rytmowi.

O dwudziestej byli już w centrum kultury, stroili instrumenty i sprawdzali akustykę.

Dziesięć minut przed wejściem na scenę, gdy starali się skoncentrować za kulisami, pojawił się dziennikarz, który chciał zrobić z nimi wywiad dla miejscowej gazety.

– Dzień dobry, nazywam się Marcel Vaugirard, jestem z „Trąbki Fontainebleau”.

Popatrzyli na małego, okrągłego człowieczka. Policzki i nos w delikatnym fioletowym kolorze zdawały się świadczyć o zamięłowaniu do ostro zakrapianych posiłków.

– I co, młodziaki, zamierzacie nagrać płytę?

Julie nie miała ochoty na rozmowę. Ji-woong wziął to na siebie.

– Tak.

Fizjonomia dziennikarza wyrażała zadowolenie. Nauczyciel filozofii miał rację. Powiedzenie „tak” zawsze sprawia przyjemność i ułatwia komunikację.

– Która będzie zatytułowana...?

Ji-woong rzucił pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy:

– *Przebudźcie się.*

Dziennikarz skrupulatnie zapisał.

– A o czym są słowa?

– Yyy... o wszystkim – powiedziała Zoé.

Tym razem uwaga była zbyt ogólna, aby zadowolić dziennikarza, zadał więc kolejne pytanie:

– A na którym z głównych kierunków wzorowaliście wasze rytmy?

– Chcieliśmy stworzyć własne rytmy – powiedział David. – Chcemy być oryginalni.

Dziennikarz cały czas notował, jak gospodyni robiąca listę zakupów.

– Mam nadzieję, że dali panu dobre miejsce w pierwszym rzędzie – powiedziała Francine.

– Nie. Nie ma czasu.

– Jak to „nie ma czasu”?

Marcel Vaugirard schował notes i wyciągnął do nich rękę.

– Nie ma czasu. Muszę jeszcze dziś wieczorem zrobić całą masę rzeczy. Nie mogę tu siedzieć przez godzinę, żeby was słuchać. Naprawdę, byłaby to wielka przyjemność, bardzo żałuję, ale nie mogę.

– To po co w tej sytuacji pisze pan artykuł? – zdziwiła się Julie.

Zbliżył się do ucha Julie tak, jakby chciał jej zdradzić jakąś tajemnicę.

– Poznajcie nasz wielki sekret zawodowy: „Im mniej się o czymś wie, tym lepiej się o tym pisze”.

Ta logika wprawiła dziewczynę w osłupienie, ale ponieważ dziennikarz wydawał się zadowolony z tego stanu rzeczy, nie śmiała nalegać ani próbować go zatrzymać.

Dyrektor centrum kultury wpadł za kulisy. Był podobny jak dwie krople wody do swojego brata, dyrektora liceum.

– Przygotujcie się. Kolej na was.

Julie dyskretnie uchyliła kurtynę. Sala na pięćset miejsc była w trzech czwartych pusta.

Podobnie jak Siedmiu Krasnoludków miała tremę. Paul coś podjadał, aby dodać sobie sił. Francine paliła marihuanę. Léopold zamykał oczy, próbując medytować. Narcisse powtarzał chwyt na gitarze. Ji-woong sprawdzał nuty całej grupy. Zoé zdawała się mówić do siebie, a tak naprawdę powtarzała sobie po raz tysięczny słowa piosenek, tak bardzo obawiała się luki w pamięci w samym środku którejś zwrotki.

Ponieważ Julie zabrakło już paznokci do obgryzania, walczyła z końcem serdecznego palca. Skaleczyła się i ssła ranę.

Na scenie dyrektor zapowiedział:

– Szanowni państwo! Dziękuję, że tak licznie przybyliście na inaugurację nowego centrum kultury w Fontainebleau. Prace nie zostały jeszcze całkowicie zakończone i przepraszam państwa za niedogodności wynikające z tego opóźnienia. W każdym razie w nowej sali usłyszemy nową muzykę.

W pierwszym rzędzie starszycy regulowali aparaty słuchowe. Była to grupa emerytów, którzy uczestniczyli we wszystkich bez wyjątku spektaklach, na które ich zaproszono. Choćby po to, aby gdzieś wyjść.

Głos dyrektora zabrzmiał mocniej:

– A teraz usłyszycie najbardziej interesujące i najbardziej rytmiczne brzmienie w naszym regionie. Rocka można lubić albo nie, ale jestem przekonany, że nasi muzycy warci są tego, abyśmy ich posłuchali.

Ten dyrektor prowadził ich prostą drogą do katastrofy. Przedstawiał ich tak, jakby byli lokalnym zespołem folklorystycznym.

Widząc oburzenie na ich twarzach, zmienił rejestr:

– Macie przed sobą formację rock'n'rollową, a poza tym, co nie bez znaczenia, solistka jest bardzo ładna.

Słaba reakcja.

– Nazywa się Julie Pinson i jest solistką grupy Królowa Śnieżka i Siedmiu Krasnoludków. To ich pierwszy występ. Prosimy o głośne oklaski, aby dodać im odwagi.

W pierwszych rzędach rozległy się wściekłe brawa.

Dyrektor wyciągnął Julie z za kulis i w świetle reflektorów poprowadził ją za rękę na środek sceny.

Julie stanęła za mikrofonem. Za nią Siedmiu Krasnoludków wolno ustawiało się z instrumentami.

Julie popatrzyła w ciemną otchłań sali. W pierwszych rzędach emeryci. Z tyłu kilka osób, które nie miało pomysłu na wieczór, najwyraźniej weszło tutaj przypadkowo.

Z głębi sali ktoś krzyknął:

– Rozbieraj się!

Widz, który z niej szydził, był za daleko, żeby mogła zobaczyć jego twarz, ale z łatwością rozpoznała głos. To był Gonzague Dupeyron. Z pewnością przyszedł tu z całą swoją bandą, aby wszystko zepsuć.

– Rozbieraj się! Rozbieraj! – krzyczeli wszyscy.

Francine dała znak, żeby jak najszybciej zaczynać, aby zagłuszyć żenujące ryki.

Na podłodze była nalepiona lista utworów w kolejności ich wykonania.

1. DZIEŃ DOBRY

Z tyłu za Julie Ji-woong podał rytm. Paul przy konsoli regulował potencjometry, a reflektory posłały na kurtynę za ich plecami kolorowe, migające, dosyć kiczowate światło.

Julie zaśpiewała do mikrofonu:

*Dzień dobry,
Dzień dobry, nieznajomi.
Nasza muzyka to broń, żeby zmienić świat.
Nie śmiejcie się.
To się może stać i możecie to sprawić.
Wystarczy mocno chcieć.*

Kiedy zamilkła, rozległy się słabe oklaski. Kilka rozkładanych foteli zaskrzypiało. Niektórzy widzowie już się zniechęcili. A poza tym ciągle z głębi sali dobiegały wrzaski Gonzague'a i jego popleczników:

– Rozbieraj się! Rozbieraj!

Sala nie reagowała. Czy tak miał wyglądać chrzest w światłach rampy? Czy Genesis, Pink Floyd i Yes też tak zaczęli? Nie czekając dłużej, Julie zaczęła drugi kawałek.

2. PERCEPCJA

Ze świata dostrzegamy tylko to, co chcemy.

Eksperyment fizjologiczny – zamknąć koty w pokoju o pionowych wzorach.

Z kąta, w którym siedział Gonzague, poleciało jajko i rozbiło się na czarnym swetrze dziewczyny.

– A to dostrzegasz? – zagrzemiał.

Pojedyncze śmiechy na sali. Julie rozumiała teraz w całej pełni mękę nauczycielki języka niemieckiego w obliczu wrogiej klasy.

Widząc, że sytuacja grozi katastrofą, Francine przed rozpoczęciem planowanej solówki wzmocniła dźwięk organów, aby zagłuszyć hałas.

Natychmiast po niej zagrali trzeci kawałek.

3. PARADOKSALNY SEN

W głębi nas dziecko śpi

Paradoksalny to sen.

Sen to niespokojny

Gdzieś w głębi bez przerwy trzaskały drzwi, spóźnialscy wchodzili, a rozczarowani wychodzili. Nie pozwalało to Julie się skoncentrować. Po jakimś

czasie zdała sobie sprawę z tego, że śpiewa odruchowo, tak bardzo absorbował ją hałas drzwi odbijający się od ścian.

– Rozbierz się, Julie! Rozbierz się!

Popatrzyła na swoich przyjaciół. Ponieśli prawdziwą klęskę. Byli tak zdenerwowani, że nie mogli nawet grać razem. Narcisse mylił chwyt. Palce drżały mu na strunach gitary, wydając fałszywe dźwięki.

Julie starała się odciąć od otoczenia i jeszcze raz zaśpiewała refren. Przewidywali, że w tym momencie sala podchwyci go chórem, klaskając w ręce, ale dziewczyna nie miała nawet ochoty do tego zachęcać.

*W głębi nas dziecko śpi
Paradoksalny to sen.*

Właśnie w pierwszych rzędach zasypiali emeryci.

– *Paradoksalny sen!* – zaśpiewała głośniejszym głosem, aby ich obudzić.

W tym momencie miało zabrzmieć solo Leopolda na flecie. Po kilku fałszywych nutach wołał je skrócić.

Całe szczęście, że dziennikarz nie został na sali. Julie była załamana. David dodał jej odwagi ruchem podbródka i dał znak, żeby nie zwracała uwagi na publiczność i śpiewała tylko dla nich.

Wszyscy jesteśmy zwycięzcami. Wszyscy jesteśmy potomkami zwycięskiego plemnika w wyścigu przeciwko trzystu milionom.

Gonzague i jego Czarne Szczury byli pod sceną z puszkami piwa w ręku i oblewali ją śmierdzącą pianką.

– Grajcie dalej, grajcie! – machał ręką Ji-woong. – Pewnie takie właśnie chwile uczynią z nas profesjonalistów.

Teraz chuligani poszli na całość. Oprócz jajek i puszek zaopatrzyli się w petardy i wszelkiego rodzaju spraysy i ciągle wrzeszczeli:

– Rozbierz się, Julie! Rozbierz się!

Ale przesadzili.

– Zostawcie ich w spokoju, pozwólcie im grać! – krzyknęła postawna dziewczyna nosząca koszulkę ozdobioną napisem Aikido Club.

– Rozbierz się! – rozdarł się Gonzague.

Zwracając się do publiczności, krzyknął:

– Przecież widzicie, że są beznadziejni!

– Jeśli się wam nie podoba, nikt was nie zmusza, żebyście zostali – powiedziała postawna dziewczyna w koszulce aikido.

Groźna i samotna, podeszła do przodu, gotowa stawić czoła rozwrzeszczanej bandzie. Ponieważ banda była liczniejsza i mogła wygrać, inne dziewczyny, ubrane w takie same koszulki, pośpieszyły z pomocą koleżance, podczas gdy ludzie wstawali i dołączali do jednego z dwóch obozów.

Emerycy, rozbudzeni, zagłębili się w fotele.

– Uspokójcie się, proszę was, uspokójcie się – błagała przerażona Julie. – Śpiewaj dalej – nakazał jej David.

Julie patrzyła przejęta na walczących ze sobą ludzi. Nie można powiedzieć, żeby ich muzyka łagodziła obyczaje. Trzeba było zareagować i to szybko. Dała znak Siedmiu Krasnoludkom, żeby przestali grać, i słychać było tylko wściekłe krzyki tych, którzy się bili, oraz trzask składanych foteli tych, którzy woleli opuścić wzburzoną salę.

Nie należało dawać za wygraną. Julie zamknęła oczy, aby lepiej się skoncentrować i zapomnieć o tym, co działo się przed nią. Bardzo mocno zatkała sobie uszy. Chciała się odizolować i skupić. Odnaleźć technikę śpiewu. Przypomnieć sobie rady Yankélévitcha.

„W śpiewie struny głosowe nie odgrywają w gruncie rzeczy dużej roli. Jeżeli posłuchasz tylko własnych strun głosowych, usłyszysz jedynie nieprzyjemny trzask. To twoje usta modelują dźwięki. To one rysują nuty i nadają im doskonałość. Twoje płuca to miechy, twoje struny głosowe to wibrujące membrany, twoje policzki to skrzynia rezonansowa, a twój język to modulator. Teraz celuj wargami i strzelaj”.

Wycelowała. Strzeliła.

Jedna nuta. *Si bemol*. Doskonałe. Pełne. Twarde. Nuta wytrysła i zalała całą salę nowego centrum kultury. Kiedy doszła do ścian, odbiła się od nich, a całość przykryła fala *si bemol* Julie. *Si bemol* dla wszystkich.

Jak miech kobzy, brzuch dziewczyny opadał, a objętość dźwięku rosła.

Nuta była potężna. Znacznie większa niż Julie. W przepastnych czeluściach tego

si bemol czuła się bezpiecznie i z zamkniętymi nadal oczami zaczęła się uśmiechać, przedłużając nutę.

Jej technika była bez zarzutu.

Całymi ustami starała się doprowadzić dźwięk do doskonałości. Si bemol stawało się jeszcze czystsze, prostsze i skuteczniejsze. Wewnątrz ust wibrowało jej podniebienie i zęby. Język był napięty i się nie poruszał.

Sala się uspokoiła. Nawet emeryci z pierwszych rzędów przestali zajmować się aparatami słuchowymi. Czarne Szczury i dziewczyny z klubu aikido przestali się bić.

Miechy płuc wypuściły całe zawarte w nich powietrze.

Nie można tracić kontroli. Szybko, Julie wydobyła inną nutę. Re. Wyszło z tym większą łatwością, że si bemol rozgrzało już całe usta. Re przeniknęło w głąb wszystkie mózgi. W tej nucie przekazała całą swoją duszę. W tej jednej wibracji było wszystko: jej dzieciństwo, jej życie, jej troski, jej spotkanie z Yankélévitchem, jej kłótnie z matką.

Rozległa się burza oklasków. Czarne Szczury wołały wyjść. Nie wiedziała, czy klaskano, aby uczcić wyjście Gonzague'a i jego bandy, czy jej nową nutę zawieszoną w powietrzu.

Nutę, która nadal trwała.

Julie przerwała. Odzyskała teraz całą swoją energię. Niech inni się przygotowują, sama sięgnęła po mikrofon.

Paul wyłączył reflektory, aby zostawić tylko snop białego światła skierowany na Julie. On także zrozumiał, że trzeba wrócić do prostoty.

Powiedziała wolno i wyraźnie:

– Sztuka służy do robienia rewolucji. Nasz kolejny kawałek nosi tytuł *REWOLUCJA MRÓWEK*.

Wzięła głębszy oddech i zamknęła powieki, po czym powiedziała:

Nic nowego pod słońcem.

Nie ma już wizjonerów.

Nie ma już wynalazców.

Jesteśmy nowymi wizjonerami,

Jesteśmy nowymi wynalazcami.

Uzyskała kilka „tak” w odpowiedzi.

Ji-woong rzucił się jak szalony na perkusję. Zoé ruszyła za nim na gitarze basowej, a potem Narcisse na gitarze. Francine wykonała arpeggia. Czując, że nadszedł moment, w którym spróbują poderwać publiczność do lotu, Paul podkreślił nagłośnienie do maksimum. Cała sala drżała. Jeśli to ich nie porwie, to nic ich nie porwie.

Julie przyłożyła usta do mikrofonu i zanuciła, podnosząc stopniowo głos:

Koniec, to koniec.

Rozbudźmy wszystkie nasze zmysły.

Nowy wiatr zerwał się dziś rano.

Nic nie powstrzyma jego szalonego tańca.

Tysiące metamorfoz w uśpionym świecie.

Nie trzeba przemocy, by szczęły skostniałe wartości

Zdziwicie się: To tylko „Rewolucja mrówek”.

Potem, głośniej, zamykając oczy i podnosząc do góry pięść:

Nie ma już wizjonerów...

Jesteśmy nowymi wizjonerami,

Nie ma już wynalazców,

Jesteśmy nowymi wynalazcami.

Tym razem wszystko zadziało. Każdy instrument brzmiał właściwie. Paul ustawił sprzęt doskonale. Głos Julie o ciepłym brzmieniu perfekcyjnie panował nad dźwiękami. Każda wibracja, każde słowo było jasne. Wszystkie elementy odnajdywały właściwe miejsce i były gotowe, aby zacząć oddziaływać na organy. Gdyby ci ludzie wiedzieli, że Julie całkowicie panuje nad swoim głosem, że może wydawać dźwięki, które będą precyzyjnie oddziaływać na ich trzustkę czy wątrobę!

Paul jeszcze bardziej podkreślił wzmacniacz. Tysiącwatowe piecyki buchnęły niebywałą energią. Sala już nie drżała, a dygotała. Głos Julie wzmocniony przez mikrofon wypełniał skronie i mózg. Nie można było już myśleć o niczym innym, jak tylko o głosie dziewczyny o jasnoszarych oczach.

Julie nigdy nie czuła się tak rozpalona. Do tego stopnia, że zapomniała nawet o matce i maturze.

Jej muzyka silnie oddziaływała na wszystkich. Emeryci z pierwszego rzędu zdjęli aparaty słuchowe, do rytmu klaskali w dłonie i tupali. Drzwi w głębi sali już nie trzaskały. Cała publiczność podchwyciła rytm, niektórzy nawet tańczyli między rzędami.

Sala wreszcie dała się porwać. Teraz należało nabrać wysokości.

Julie dała znak Paulowi, żeby ściszył muzykę o jeden ton, a następnie podeszła do publiczności i powoli wyśpiewała słowa:

Nic nowego pod słońcem.

Wciąż patrzymy tak samo na ten sam świat.

My, więźniowie spirali schodów latarni.

Wciąż te same błędy, lecz widziane z piętra wyżej.

Nadszedł czas, by zmienić świat.

Nadszedł czas, by zmienić trakt.

To nie koniec. Wręcz przeciwnie, to dopiero początek.

Wiedząc, że słowo „początek” kończy ten kawałek, Paul włączył na konsoli funkcję „fajerwerki” i nad głowami rozbłysła eksplozja światła.

Sala zaczęła bić brawo.

David i Leo podpowiedzieli Julie, aby zaśpiewała tę piosenkę na bis. Głos dziewczyny był coraz silniejszy. Nie drżał już wcale. Zastanawiające było to, że śpiew wątlej nastolatki ma w sobie taką moc.

Nie ma już wynalazców,

Jesteśmy nowymi wynalazcami.

Nie ma już wizjonerów...

To zdanie miało skutek detonatora. Tłum odpowiedział jej jednym głosem.

– Jesteśmy nowymi wizjonerami!

Grupa nie przewidziała podobnej reakcji. Julie zaczęła improwizować.

– To dobrze. Jeżeli nie chce się zmieniać świata, można tylko go znosić.

Znowu owacja. Idee *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* zaczęły docierać do zebranych. Powtórzyła:

– Jeżeli nie chce się zmieniać świata, można tylko go znosić. Pomyślcie o innym świecie. Myślcie inaczej. Uwolnijcie wyobraźnię. Potrzeba nam wynalazców, potrzeba nam wizjonerów.

Zamknęła oczy. Mózg dostarczał jej dziwnych wrażeń. Może właśnie to zjawisko Japończycy nazywają *satori*. Moment, w którym świadomość i nieświadomość tworzą jednię, stan całkowitego szczęścia.

Publiczność klaskała w dłonie w rytm bicia własnego serca. Koncert dopiero się rozpoczął, a wszyscy obawiali się momentu, w którym się skończy, gdy szczęście i poczucie wspólnoty ustąpią monotonii codzienności.

Julie nie trzymała się już *Encyklopedii*, improwizowała słowa. Wydobywały się z jej ust, mimo że nie wiedziała, skąd pochodzą, tak jakby chciały zostać wypowiedziane i posługiwały się nią jako medium.

78. ENCYKLOPEDIA

NOOSFERA: Istoty ludzkie posiadają dwa niezależne mózgi: półkulę prawą i półkulę lewą. Każda z nich dysponuje właściwym dla niej typem rozumowania. Lewa część mózgu odpowiada za logikę, to mózg cyfr. Prawa półkula z kolei odpowiada za intuicję, to mózg formy. Dla tej samej informacji każda z półkul przeprowadzi odrębną analizę, która może doprowadzić do całkowicie odmiennych wniosków.

Wydaje się, że tylko w nocy półkula prawa, działając przez sny jako doradca podświadomości, może przekazać swoją opinię półkuli lewej, a więc świadomemu wykonawcy, tak jak w wypadku pary, w której kobieta intuicyjnie podsuwałaby swój punkt widzenia mężowi-materialiście.

Według rosyjskiego naukowca Włodzimierza Wernadskiego, który był autorem pojęcia „biosfera”, oraz według francuskiego filozofa Teilharda de Chardin, ten kobiecy intuicyjny mózg miałby posiadać jeszcze jeden dar, a mianowicie zdolność włączenia się w to, co nazywane jest „noosferą”. Noosfera miałaby stanowić olbrzymi obłok okalający planetę, tak jak atmosfera czy jonosfera. Ta kulista i niematerialna chmura miałaby się składać ze wszystkich ludzkich podświadomości wysyłanych przez prawą półkulę mózgu. A całość byłaby Wielkim Umysłem macierzystym, czymś w rodzaju globalnego Umysłu ludzkiego.

Stąd też, kiedy wydaje się nam, że wyobrażamy sobie lub wymyślamy jakieś rzeczy, w rzeczywistości nasza prawa półkula po prostu stamtąd właśnie je czerpie. A kiedy nasza lewa półkula mózgu wstuchuje się uważnie w prawą półkulę, informacja ta dociera i prowadzi do idei, która może przeistoczyć się w działanie.

Według tej hipotezy, malarz, muzyk, wynalazca czy powieściopisarz mieliby jedynie pełnić funkcje receptorów zdolnych przez prawą półkulę czerpać informacje ze zbiorowej podświadomości, a następnie – przez możliwość swobodnego komunikowania się półkuli lewej i prawej – zdolnych przeobrażać idee tułające się po noosferze.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

79. BEZSENNOŚĆ

Jest noc, a mimo to mrówka nie śpi. Światło i dźwięk obudziły 103. Wokół niej dwanaście eksploratorek nadal drzemie.

Dawniej to, co działo się nocą, nie istniało, gdyż sen wygaszał całkowicie jej zimnokrwiste ciało. Lecz od kiedy stała się posiadaczką płci, zaznała nowego stanu półletargu podczas snu. Budzi ją najmniejszy sygnał. To jedna z wad posiadania wyostrzonych zmysłów. Skłonność do bezsenności.

Wstaje.

Jest zimno, lecz poprzedniego dnia najadła się wystarczająco, by utrzymać organizm w stanie świadomości.

Wychodzi na próg jaskini, żeby zbadać, co dzieje się na zewnątrz. Po niebie przepływa czerwona chmura.

Żaby przestały rechotać. Niebo jest czarne, rogalik księżycy odbija się w tafli wody.

103 zauważa przecinającą niebo smugę światła. Burza. Burza przypomina drzewo wyrastające z nieba i głaszczące długimi gałęziami ziemię. Trwa jednak ułamek sekundy, po chwili znika.

Po uderzeniu pioruna cisza staje się jeszcze bardziej uciążliwa. Niebo pogrąża się w ciemności. Organy Johnstona wyczuwają elektryczność w powietrzu.

Aż wreszcie spada bomba. Olbrzymia kula wody wybucha na ziemi i rozpryskuje

się. Deszcz. Po śmiertelnościami uderzeniu następują kolejne. Fenomen ten jest mniej niebezpieczny niż szarańcza, 103 woli jednak cofnąć się w głąb jaskini.

Księżniczka przygląda się ulewie.

Samotność, chłód, noc – zawsze uważała, że nie dotyczą one mrówek. Tymczasem noc jest piękna. Nawet chłód ma swoje zalety.

Trzecie uderzenie. Spośród chmur wyrasta kolejne drzewo i obumiera w zetknięciu z ziemią. Zbliża się. Jaskinię oświetla luna, która na chwilę zmienia dwanaście eksploratorek w albinoski.

Czarne drzewo wyrastające z ziemi styka się z białym drzewem wyrastającym z nieba. Staje w płomieniach.

Ogień.

Mrówka przygląda się płomieniom, które powoli trawią drzewo.

Księżniczka wie, że tam, wysoko, technologia Palców opiera się na poskromieniu ognia. I są tego skutki: stopione skały, skarbonizowane produkty spożywcze, a przede wszystkim wojny z użyciem ognia. Masakry ogniem.

Wśród owadów ogień jest tematem tabu.

Wszystkie owady pamiętają, że swego czasu, wiele dziesiątek milionów lat temu, mrówki panowały nad ogniem i wykorzystywały go w straszliwych wojnach, które potrafiły zniszczyć cały las. Dlatego pewnego dnia wszystkie insekty postanowiły zakazać używania tego śmiertelnego żywiołu. Dlatego też nigdy nie rozwinęły one technologii metalu ani materiałów wybuchowych.

Ogień.

Żeby móc ewoluować, czy zostaną zmuszone do pokonania tabu?

Księżniczka kładzie po sobie czułki i ponownie zapada w sen, ukołysana odgłosem padających na ziemię kropli deszczu. Śnią jej się płomienie.

80. KONCERTOWA DOJRZAŁOŚĆ

Upał.

Zanurzona w tłumie Julie czuła się świetnie.

Francine potrząsała jasnymi włosami, Zoé wykonywała taniec brzucha, David starał się zgrać swój taniec z tańcem Léopolda, Ji-woong z oczami utkwionymi w niebo uderzał równocześnie palcami we wszystkie skrzydła.

Ich umysły się łączyły. Nie było ich już ośmioro, teraz byli jedną istotą, a Julie pragnęła, żeby ta niezwykła chwila trwała wiecznie.

Koncert miał się skończyć o 23.30, ale doznania były zbyt silne. Julie miała jeszcze sporo energii do przekazania i potrzebowała tego niezwykłego kontaktu z innymi. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu i wcale nie chce wylądować na ziemi.

Ji-woong dał jej znać, żeby raz jeszcze zaśpiewała *Rewolucję mrówek*. Dziewczyny z klubu aikido skandowały między rzędami:

Kim są nowi wizjonerzy?

Kim są nowi wynalazcy?

Oklaski.

Jesteśmy nowymi wizjonerami!

Jesteśmy nowymi wynalazcami!

Spojrzenie dziewczyny przybrało nagle nieco inną barwę. W tej chwili w jej głowie nakładało się na siebie kilka procesów, otwierały się drzwi, puszczały zawory, podnosiły się kraty. Nerw otrzymał przesłanie, a usta miały je przekazać. Wypowiedzieć zdanie. Nerw pośpiesznie przekazał informację, szczęki zostały poproszone, żeby się otworzyły, język poruszył się i pojawiły się słowa:

– Jesteście gotowi... na rewolucję... tu i teraz?

Wszyscy nagle umilkli. Przesłanie zostało przekazane przez nerwy słuchowe do mózgow, które przetwarzały sens i rozkładały na czynniki pierwsze znaczenie i wagę każdej sylaby. Wreszcie nadeszła odpowiedź:

– Ta-a-a-a-k!

Rozgrzane już nerwy zaczynały funkcjonować coraz szybciej.

– Jesteście gotowi zmienić świat tu i teraz?

Sala odpowiedziała jeszcze głośniejsze:

– Ta-a-a-a-k!

Przez chwilę, w której jej serce uderzyło trzy razy, Julie się zawahała. Wahala się tym wahaniem zdobywców, którzy obawiają się wziąć na siebie ciężar zwycięstwa. Odczuła ten sam lęk, jaki Hannibal odczuwał u wrót Rzymu.

„To wydaje się zbyt proste, nie idźmy tam”.

Siedmiu Krasnoludków wyczekiwało na choćby jedno jej zdanie albo przynajmniej na gest. Nerw gotowy był przekazać sygnał bardzo szybko. Publiczność wpatrywała się w jej usta. Rewolucja, o której tak wiele mówiło się w *Encyklopedii*, była teraz w zasięgu ręki. Wszyscy na nią patrzyli. Wystarczyło powiedzieć: „A więc zaczynajmy”.

Wszystko było jakby zawieszona w czasie.

Dyrektor odłączył dźwięk, przygasił reflektory na scenie i zapalił światła na widowni. Dołączył do nich na scenie i powiedział:

– A więc cóż, koniec koncertu. I prosimy o gorące oklaski. Raz jeszcze dziękujemy Królowie Śnieżce i Siedmiu Krasnoludkom!

Idealny moment minął bezpowrotnie. Cały czar prysł. Ludzie zaklaskali niemrawo. Wszystko powracało na dawne tory. Był to przecież tylko zwykły koncert, koncert udany, owszem, były brawa, ale potem ludzie wychodzą, żegnają się i wracają do domu, żeby położyć się spać.

– Dobranoc i dziękuję – wyszeptała Julie.

W ogólnym harmidrze zaskrzypiały składane fotele, było słycać otwierane głośno drzwi w głębi sali.

W garderobie, gdy zmywali makijaż, poczuli, że narasta w nich uczucie rozgoryczenia. A byli tak blisko, by porwać za sobą tłum. Byli już tak blisko.

Julie spoglądała ze smutkiem na waciki przesiąknięte beżowym tłuszcem podkładu, na to, co pozostało z jej bojowego rynsztunku. Za kulisy wszedł dyrektor ze zmarszczonymi brwiami.

– Przykro mi, że poniósł pan jakieś straty przez tę bijatykę na początku koncertu – powiedziała Julie. – Oczywiście zwrócimy pieniądze.

Linia brwi uniosła się do góry.

– Przykro, ale z jakiego powodu? Z tego, że dzięki wam wszyscy spędzili wspaniały wieczór?

Wybuchnął śmiechem i biorąc w ramiona Julie, pocałował ją w oba policzki.

– Byliście naprawdę cudowni!

– Ale...

– Wreszcie wydarzyło się coś ciekawego w naszym małym prowincjonalnym miasteczku... Spodziewałem się, że będzie trochę jak u cioci na imieninach, a tymczasem zrobiliście prawdziwy happening. Dyrektorzy innych centrów

kultury zzielenieją z zazdrości, ja wam to mówię. Nie widziałem jeszcze nigdy takiego entuzjazmu u widzów od koncertu Petits Chanteurs à la Croix de Bois w centrum kultury w Mont-Saint-Michel. Chcę, żebyście pojawili się znowu. I to szybko.

– Naprawdę?

Wyciągnął książeczkę czekową, pomyślał przez chwilę i napisał kwotę pięciu tysięcy franków.

– To gaża za wasz dzisiejszy koncert i żeby wam pomóc przygotować następny występ. Musicie pomyśleć trochę o kostiumach, trzeba rozlepić plakaty, może jakieś świece dymne, jakaś dekoracja... Nie możecie zadowolić się tym niewielkim dzisiejszym sukcesem. Następnym razem chcę, żeby był to naprawdę niesamowity koncert.

81. PRASA

„TRĄBKA FONTAINEBLEAU”

(Rubryka kulturalna)

CENTRUM KULTURY:

Radosny koncert inauguracyjny

Nowa francuska grupa rockowa Królowna Śnieżka i Siedmiu Krasnoludków dała wczoraj wieczorem niezwykle sympatyczny występ w nowej sali centrum kultury w Fontainebleau. Publiczność śpiewała razem z nimi. Młoda wokalistka i liderka zespołu, Julie Pinson, ma doprawdy wszystko, by odnieść sukces w show-biznesie: ciało bogini, szare oczy, którym nie oparłby się nawet święty, no i znakomity głos.

Można jedynie wytknąć pewne niedociągnięcia, gdy idzie o rytmiczność i banalność tekstów.

Jednak dzięki entuzjazmowi i łatwości kontaktu z publicznością trzeba chyba zapomnieć o tych drobnych, wynikających z niedoświadczenia młodości brakach.

Niektórzy twierdzą nawet, że mogłaby się ona stać groźną rywalką dla słynnej piosenkarki Alexandrine.

Oczywiście nie należy popadać w przesadę. Alexandrine, dzięki swojej formule rock-glamour, potrafiła zdobyć serca szerokiej publiczności, czego nie można

przecież porównać z sukcesem odniesionym w prowincjonalnym centrum kultury.

Powiedzmy też na koniec, że Królowna Śnieżka i Siedmiu Krasnoludków bez żadnych kompleksów zapowiada wydanie, i to w najbliższym czasie, płyty o wiele mówiącej tytule: „Przebudźcie się!”. I kto wie, być może będzie ona rywalizowała z ostatnim sukcesem Alexandrine: „Kocham cię, kochany mój”, płytą zajmującą dzisiaj pierwsze miejsce na wszystkich listach przebojów.

Marcel Vaugirard

82. ENCYKLOPEDIA

CENZURA: W przeszłości po to, żeby pewne idee uznawane przez władze za wywrotowe nie docierały do szerszej rzeszy odbiorców, powołano do życia policyjną instytucję – cenzurę państwową, której zadaniem było po prostu uniemożliwienie rozpowszechniania dzieł nazbyt „wywrotowych”.

Dzisiaj cenzura zmieniła swoje oblicze. Tym razem nie chodzi o brak, lecz o nadmiar. Nieprzerwany zalew nieistotnych wiadomości sprawia, że nikt już nie wie, skąd czerpać interesujące informacje. Propagując w nieprzypadkowych ilościach wszelkiego typu uderzająco do siebie podobne utwory muzyczne, producenci płyt uniemożliwiają pojawienie się nowych trendów w muzyce. Wydając tysiące książek na miesiąc, wydawcy uniemożliwiają pojawienie się nowych nurtów literackich. Zresztą znikłyby one z pewnością w tak masowej produkcji. Obfitość podobnych do siebie i pozbawionych smaku wytworów blokuje oryginalną twórczość i nawet krytycy, którzy powinni przefiltrować całą tę olbrzymią produkcję, nie mają już czasu na to, by wszystko przeczytać, by wszystko zobaczyć i by wszystkiego posłuchać.

Nic zatem dziwnego, że dochodzimy do następującego paradoksu: im więcej kanałów telewizyjnych, stacji radiowych, gazet, nośników medialnych, tym mniejsza jest różnorodność w twórczości. Szarość rozprzestrzenia się coraz bardziej.

Stanowi to część tej samej dawnej logiki: nie może pojawić się nic „oryginalnego”, co mogłoby zakwestionować system. Tak wiele energii zużywa się, żeby wszystko pozostało w bezruchu.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

83. Z PRADEM RZEKI

Srebrna rzeka zmierza na południe. Okręt eksploratorek wypłynął wczesnym rankiem na nieprzyjazne wody i rozwinąwszy imponującą prędkość, tnie migoczącą wstęgę. Z tyłu, tuż przy powierzchni, pływaki z gracją machają odnóżami. Ich zielone pancerzyki mają pomarańczowe obwódki, z przodu widnieje żółty znak w kształcie litery „V”. Natura lubi ozdoby. Rysuje skomplikowane motywy na skrzydłach motyli i nieco prostsze na grzbietach pływaków.

Długie, owłosione łydki tych owadów zginają się, a następnie z całej siły popychają łódź myrmecęńską. Księżniczka 103 i dwanaście eksploratorek siedzących na najwyższych różowych płatkach nenufaru rozkoszują się wspaniałym widokiem rozciągającym się wokół.

Mały nenufar jest naprawdę idealnym okrętem – chroni od chłodu ciągnącego od wody, płynie praktycznie niezauważalny. Mrówki patrolują statek. Liść nenufaru to wielka, zielona, płaska i wytrzymała tratwa. Kwiat nenufaru jest dość złożony. Składa się z licznych płatków ułożonych spiralnie, coraz mniejszych im bliżej środka.

Mrówki zabawiają się, wchodząc na te wielkie różowe żagle służące za omasztowanie: marszagiel, bramzagiel, bombramsel z roślinnego włókna. Z najwyższego punktu wodnego kwiatu wypatrują przeszkód.

Ciągle żądna nowych przygód 103 odgryza kawałek kłacza nenufaru i zadziwia się ogarniającym ją po chwili uczuciem wyjątkowego spokoju. Kłacze najwidoczniej zawiera substancję uśmierzającą popęd płciowy, działającą na zasadzie środka uspokajającego. Pod jego wpływem mrówce wszystko wydaje się spokojniejsze i łagodniejsze. Nie umie się uśmiechać, lecz czuje się świetnie.

Rzeka o poranku jest przepiękna. Purpurowe słońce sływa na belokanijki deszczem rubinowego blasku. Krople rosy migoczą na liściach unoszących się na wodzie.

Wierzby płaczące nachylają długie warkocze. Kasztanowce eksponują swoje owoce – orzechy otoczone kielichem ozdobionym długimi kolcami. Nadwodne kwiaty skrzą się żywym kolorem niczym pachnące gwiazdy.

Z lewej strony wylania się skała porośnięta mydlnicami. Upuszczają one do

wody swoje torebki nasienne, które uwalniają tam saponinę, pieniącą się substancję. Irytuje to nieco pływaki, które wychylają głowy nad powierzchnię i wypuszczają małe gejzerki, żeby oczyścić swoje płuca z mydła.

Wierzchołek nenufaru musnął listki cykuty pachnącej selerem, która natychmiast wydziela żółtawy sok. Mrówki wiedzą, że sok ten jest słodki, ale zawiera silny alkohol zasadowy – cykutę – która paraliżuje pracę mózgu.

Wiele mrówek straciło życie, zanim informacja ta weszła do pamięci zbiorowej współrodaczek. Nie można ruszać cykuty.

Nad nimi krążą ważki. Młode mrówki przyglądają im się z zachwytem. Wielkie i dumne owady ruszają w taniec godowy. Każdy samiec pilnuje własnego terytorium przed atakami innych samców. Staje w szranki, chcąc maksymalnie powiększyć swój teren.

Samica zadaje się najchętniej z tym samcem, który potrafi zaoferować jej największą powierzchnię do tańca kopulacyjnego i do złożenia jajeczek.

Mimo to rywalizacja nie kończy się na zdobyciu samicy. Samica przez wiele dni przechowuje spermę w swoim organizmie. Jeśli będzie miała kilku partnerów, może złożyć jajeczka, zapewniając potomstwo każdemu z nich.

Samce ważek wiedzą o tym i, z zazdrości, starają się przed stosunkiem oczyścić samicę ze spermy rywali. To jednak nie zniechęca samicy do znalezienia sobie kolejnego partnera, który opróżni ją ponownie. Zwycięża sperma ostatniego.

Dzięki swoim nowym zmysłom płciowej mrówki księżniczka 103 potrafi przeniknąć wzrokiem powierzchnię wody. Dostrzega tam zwierzę poruszające się do góry nogami. To grzbietopławek. Wygląda jakby galopował po drugiej stronie lustra wody.

By móc oddychać, gromadzi pod pachami pęcherzyki powietrza, które powoli wchłania znamionami.

Nagle z wody wychyla się głowa. To larwa ważki, której pyszczek wysuwa się z głowy, by złapać jednodniówkę. Księżniczka 103 pojęła, co się stało. Larwy ważek obdarzone są maską połączoną z długim przegubem służącym za podbródek. Zbliżają się do ofiar, które nie uciekają, sądząc, że dzieli je od przeciwnika bezpieczna odległość. Wtedy ważka wysuwa na przegubie swoją maskę niczym katapultę, łapie na haczyk ofiarę i podciąga resztę głowy obdarzoną silnymi szczękami.

Statek-kwiat sunie płynnie, zgrabnie wymijając skały.

Siedząc w żółtym sercu okrętu-nenufaru, 103 wspomina długą historię gatunku mrówek. Na szczęście zna wszystkie legendy przekazywane z czułek do czułek. Wie, w jaki sposób mrówki rozprawiły się z dinozaurami, atakując je od strony jelit. Wie, jak przez dziesiątki milionów lat mrówki walczyły z termitami o władzę na Ziemi.

To jej historia. Palce jej nie znają. Nie wiedzą o tym, że mrówki przeniosły nasiona kwiatów i warzyw z jednych kontynentów na drugie: groszek, cebulę czy marchewkę.

Jest dumna, że należy do tego gatunku. Spogląda na rzekę i wie, że Palce nigdy nie będą się czuły podobnie. Są zbyt duże, zbyt grube i zbyt silne, by dostrzec żonkile czy wierzby płaczące w taki sposób, jak ona je widzi. Zupełnie inaczej postrzegają kolory.

– Palce widzą ostro na dużą odległość, lecz ich pole widzenia jest zbyt ograniczone.

Rzeczywiście, pole widzenia mrówek rozciąga się na sto osiemdziesiąt stopni, Palców natomiast jedynie na dziewięćdziesiąt, a tak naprawdę ostro widzą to, co rozciąga się w polu piętnastu stopni.

Dowiedziała się również z filmu dokumentalnego, że Palce odkryły, iż Ziemia jest okrągła, a więc skończona. Dysponują mapami wszystkich lasów, wszystkich łąk... Nie mogą nigdy powiedzieć: „Ruszam w nieznaną”. Ani: „Zmierzam do nieznanego kraju” – wszystkie kraje świata znajdują się w odległości jednego dnia drogi na pokładzie ich latających maszyn!

Któregoś dnia – ma nadzieję księżniczka 103 – będzie mogła zaprezentować Palcom wynalazki Bel-o-kan: jak przerobić spadź mszyc na zdatną do spożycia, jak dbać o owoce, jak porozumieć się ze zwierzętami i wiele, wiele innych rzeczy, o których Palce nie mają zielonego pojęcia.

Słońce zmienia kolor z czerwonego na pomarańczowy, zewsząd dobiegają przeróżne odgłosy i śpiewy. Świerszcze, oczywiście, ale też ropuchy, żaby, ptaki...

Pora na obiad.

Żyjąc wśród Palców, 103 przyzwyczała się do spożywania trzech posiłków dziennie, o stałych porach. Mrówki zbierają larwy komarów wiszące tuż nad powierzchnią wody, głową w dół, z trąbką służącą do oddychania ku górze. Dobrze się składa, gdyż wszystkie są już głodne.

84. KLUCZ DO ŚPIEWU

Kurczak czy ryba?

W ten poniedziałek w licealnej kafeterii menu przedstawiało się następująco: przystawka: buraczki w occie, danie główne – do wyboru: panierowany filec z ryby albo kurczak z frytkami, deser: tarta z jabłkami.

Najdłuższym paznokciem Zoé wyciągnęła małą muszkę, która wpadła do konfitury na tarcie z jabłkami.

– Widzisz, paznokcie się czasami przydają – zwierzyła się Julie.

Było mało prawdopodobne, że muszka natychmiast odleci, ale Zoé nie miała ochoty jej zjeść. Odsunęła ją więc na brzeg talerza.

Licealiści stali w kolejce z tacami wzdłuż barierki, na której końcu uzbrojona w olbrzymią chochlę kelnerka zadawała im po kolei i niezmiennie to samo metafizyczne pytanie: „Kurczak czy ryba?”.

Pomijając wszystko, to właśnie możliwość wyboru odróżniała nowoczesną kafeterię od zwykłej stołówki.

Julie, z trudem utrzymując w równowadze tacę ze względu na karafkę wody, którą już na niej postawiła, wyruszyła w poszukiwaniu stołu na tyle dużego, żeby cała grupa mogła przy nim usiąść.

– Nie, tutaj nie, zarezerwowane dla nauczycieli – rzucił jakiś facet.

Trochę dalej stół zarezerwowany dla personelu. Jeszcze dalej stół dla administracji. Każda z kast zazdrośnie strzegła swojego terytorium i swoich drobnych przywilejów, a żadnego z nich nie można było kwestionować.

Wreszcie zwolniły się jakieś miejsca. Mając zaledwie dwadzieścia minut na obiad, tak jak zwykle wchłonęli błyskawicznie jedzenie, nie tracąc zbyt wiele czasu na przeżuwanie. Ich żołądki, przyzwyczajone już do tej sytuacji, zastępowały lenistwo siekaczy, produkując bardziej żrące kwasy żołądkowe.

Jakiś licealista podszedł do ich stołu.

– My z kolegami nie byliśmy na waszym koncercie w sobotę. Podobno było super i słyszeliśmy, że znowu występujecie w następną sobotę. Moglibyśmy dostać bezpłatne wejściówki?

– No, my też byśmy chcieli – odezwał się inny jeszcze kolega.

– I my też...

Oblegało ich około dwudziestu uczniów, wszyscy spragnieni byli darmowych wejściówek.

– Nie wolno spocząć na laurach – stwierdził Ji-woong. – To wtedy, gdy idzie dobrze, trzeba dać z siebie jeszcze więcej. Zaraz po lekcji historii robimy próbę generalną. Na ten nowy koncert w przyszłą sobotę potrzebujemy nowych piosenek, nowych efektów scenicznych. Narcisse, ty przygotujesz kostiumy. Paul, ty zajmiesz się dekoracjami. Julie, ty musisz być jeszcze bardziej symbolem seksu. Masz charyzmę, ale sądzę, że jeszcze nie dajesz z siebie wszystkiego. Mówię ci, musisz iść na całkowitą całość.

– Chyba nie chcesz, żebym odstawiła na scenie striptiz?

– Nie, ale dlaczego by się trochę nie odsłonić, na przykład ramię, ot tak, przez chwilę. To zrobiłoby wrażenie. Nawet największe piosenkarki to robią.

Na twarzy Julie pojawił się delikatny grymas wyrażający wątpliwość.

W tej właśnie chwili nadszedł dyrektor. Pogratulował im. Powiedział też, żeby dali czadu, że jego brat bardzo na nich liczy w najbliższą sobotę. Wyznał im również, że on sam miał taką okazję w młodości, ale przepuścił ją i do dzisiaj tego żałuje. Wręczył im klucz do tylnego wejścia, które niedawno temu obito blachą, żeby mogli grać kiedy chcą, nawet wtedy, gdy dozorca zamknie wielką kratę przy głównym wejściu.

– A tym razem możecie rozwalić tę budę! – rzucił im, klepiąc mocno w plecy Ji-woonga.

Julie powiedziała, że trzeba poprawić samą oprawę koncertu. Tęczowe światła rzucane przez Paula nie wystarczały, by uzyskać odpowiedni efekt sceniczny.

– A gdyby tak w głębi sceny umieścić wielką księgę, na którą można by rzucać kolorowe światła i slajdy z fotomontażem ze stronami z *Encyklopedii*? – zaproponował Leopold.

– Tak, i można by też wykonać wielką mrówkę, która ruszałaby łapkami w rytm muzyki.

– A dlaczego po prostu nie nazwalibyśmy naszego spektaklu *Rewolucją mrówek*? W końcu to ten kawałek uratował nasz pierwszy koncert – zasugerował David.

Pomysły pojawiały się jeden po drugim. Dodać kostiumy, dekoracje, zrobić reżyserię, a nawet wkomponować w samym środku kawałków rockowych jakiś utwór klasyczny, na przykład fugę Bacha.

85. ENCYKLOPEDIA

SZTUKA FUGI: Fuga to ewolucja w stosunku do kanonu. Kanon „poddaje ten sam temat torturom”, idąc we wszystkich kierunkach, żeby zobaczyć, w jaki sposób i na jakich poziomach współgra on sam ze sobą. Fuga zaś jest bardziej rozwijaniem tematu niż jego powtórzeniem.

Muzyczny dar Jana Sebastiana Bacha stanowi jedną z najwspanialej skonstruowanych fug. Jak wiele z nich, zaczyna się ona od c-moll, ale na koniec, niezwykle zręcznym wybiegiem godnym najlepszych prestidigitatorów przechodzi w d-moll. A odbywa się to w taki sposób, że ucho nawet niezwykle uważnego słuchacza nie potrafi wychwycić momentu, w którym dokonuje się ta metamorfoza.

Dzięki temu systemowi, który polega na „przeskoczeniu” z jednej tonacji w drugą, możliwe byłoby powtarzanie w nieskończoność Muzycznego daru, aż do chwili, gdy utwór ulegnie przeobrażeniu przez wykorzystanie wszystkich nut w gamie. „Tak jest z chwałą Króla, który nie przestaje się wznosić, potęgując stale swoją moc” – wyjaśniał Bach.

Prawdziwa summa fugi: utwór zatytułowany Sztuka fugi, w którym tuż przed śmiercią Jan Sebastian Bach próbował wytłumaczyć zwykłemu śmiertelnikom swoją koncepcję rozwijania tematu muzycznego, w której wychodząc od całkowitej prostoty, kieruje się ku absolutnej złożoności. Praca nad dziełem została nagle przerwana przez chorobę (był prawie niewidomy). Tak więc fuga ta pozostała niedokończona.

Należy też wspomnieć i o tym, że Bach napisał ją, wykorzystując cztery litery swojego nazwiska. W niemieckim solfeżu B odpowiada nucie si bemol, A to la, C – do, a H odpowiada si.

Bach = si bemol, la, do, si.

Bach wkomponował sam siebie we własną muzykę i liczył również na to, że uniesie go ona niczym nieśmiertelnego króla w Nieskończoność.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

86. ATAK NARTNIKÓW

W pewnym momencie mrówki dostrzegają ze swojego okrętu-nenufaru grupę owadów poruszających się po powierzchni wody. To wodne pluskwy, przypominające słodkowodne komary.

Ich głowa jest dłuższa niż reszta ciała, a sferyczne oczy, umieszczone niczym dwie perły po bokach głowy, nadają im wygląd rozciągniętej maski afrykańskiej. Wewnętrzna strona ich brzucha pokryta jest srebrnymi wodoodpornymi włoskami. Dzięki nim mogą bez obaw poruszać się po powierzchni wody, nie narażając się na zatonięcie.

Poślizgowate są w trakcie polowania na rozwielitki, zwłoki komarów i larwy płoszczyca, gdy nagle zauważają okręt belokanijek. Natychmiast grupują się, tworząc wodny legion, i atakują.

Biegną i ślizgają się po powierzchni wody jak po wytrzymałej tkaninie. Przylgnąwszy do niej z całej siły, zapewniają sobie doskonale tarcie.

Mrówki bardzo szybko zdają sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa, ustawiają się więc rzędem, wysuwając odwłoki za burzę, jak niegdyś wikingowie swoje dzidy i tarcze.

– *Ognia!*

Odwłoki wystrzeliwiają salwą pocisków.

Trafione nartniki padają, lecz ich ciała nadal unoszą się na powierzchni wody. Te, które uszły z życiem, manewrują między strugami kwasu mrówkowego.

Wiele z nich padło już przy pierwszym natarciu, jednak niektórym udało się podплыć do okrętu. Opierają swoje długie nóżki o brzeg liścia, zatapiając go. Wszystkie mrówki lądują w wodzie. Niektóre próbują naśladować nartniki, starając się utrzymać na powierzchni wody, jednak ćwiczenie to wymaga doskonałego opanowania sztuki równomiernego rozkładania ciężaru na wszystkie nóżki, a mrówkom zawsze jedna się zapada. Lądują zatem z brzuchem w zimnej wodzie, bezradnie poruszając nóżkami.

Dopóki woda nie zakryje im pyszczka, nie utopią się, lecz ciągle ryzykują, że padną ofiarą jakiejś bestii, która je pożre. Trzeba szybko się zorganizować. Trzynaście mrówek miota się we wszystkie strony, ochlapując się raczej nawzajem zamiast sobie pomagać. Starają się nie puszczać brzegu nenufaru, tymczasem nartniki łażą im po głowach, robiąc wszystko, by zatopić okręt.

W końcu mrówki wchodzi jedna na drugą tworząc z własnych ciał pomost, po

którym przedostają się z powrotem na pokład.

Wylawiają pozostałe, a także kilku napastników.

Przed ich spożyciem 103 wypytuje więźniów, dlaczego zaatakowały je całym oddziałem, skoro jest rzeczą wiadomą, że zwierzęta te są raczej samotnikami. Jeden z nartników wyjaśnia, że zrobiły tak za namową pewnego osobnika – nartnika zwanego Założycielką.

Założycielka żyła w miejscu, w którym prąd wodny był bardzo porywisty. Nartniki mogły tam ślizgać się jedynie na bardzo krótkich odcinkach i musiały często chwycić się trzciny, w przeciwnym wypadku porywał je prąd. Założycielka stwierdziła, że traci większość energii na walce z rzeką, chociaż nikt tak naprawdę nie wiedział, dokąd ona prowadzi. Zamiast spędzić całe życie, kryjąc się w trzinach, postanowiła więc dać się ponieść prądowi wody. Wszystkie sąsiadki przepowiadały jej rychłą śmierć, twierdząc, że siła wody rzuci ją o skały. Założycielka jednak uparła się i wyruszyła w drogę. Tak jak jej przepowiedziano, została porwana przez prąd, tarposzona, zatapiana, kołysana, zraniona. Mimo to przeżyła. Nartniki żyjące w dole rzeki, widząc ją, stwierdziły, że skoro jest tak odważna, powinna służyć im za przykład. Uznały ją za przywódczynię i postanowiły żyć w gromadzie.

„Tak więc – pomyślała księżniczka 103 – jeden osobnik wystarczy, by zmienić zwyczaje całego gatunku. Czego dokonał ten nartnik? Pokonując strach przed prądem rzeczonym, przestając ufać złudnemu bezpieczeństwu, być może ryzykuje się wiele, lecz w rezultacie może poprawić warunki życia sobie i swoim towarzyszom”.

Świadomość tego dodaje odwagi księżniczce.

Podchodzi do niej 15. Chce zjeść nartnika, lecz 103 powstrzymuje ją. Uważa, że powinno się go puścić wolno, by mógł dołączyć do swoich. 15 nie może pojąć, dlaczego trzeba go oszczędzić, przecież to nartnik – jest bardzo smaczny.

– *Może wręcz dobrze by było odszukać tę ich Założycielkę i ją również zjeść* – dodaje.

Pozostałe mrówki są tego samego zdania. Skoro nartniki zaczynają już polować stadami, powinno się je powstrzymać jak najszybciej, w przeciwnym wypadku za kilka lat zaczną zakładać wodne miasta i staną się władcami rzeki.

103 zdaje sobie z tego sprawę, jednak uważa, że każdemu gatunkowi należy się szansa od losu. Przewagę zachowuje się, ewoluując szybciej niż przeciwnik, nie

zaś eliminując go.

Księżniczka zastania się swoimi nowymi zmysłami, starając się usprawiedliwić współczucie, jakie ją ogarnęło, ma jednak świadomość, że to wynik dłuższego przebywania wśród Palców.

Wie, że ma problem. Już poprzednio miała skłonność do egoistycznych zachowań. Teraz posiadana płęć i związane z tym wyostrzone zmysły jeszcze bardziej pogłębiły tę cechę. Zazwyczaj mrówki podłączone są niemal cały czas do zbiorowego umysłu, z wyjątkiem sytuacji, gdy muszą rozwiązać „osobiste” problemy. Tymczasem 103 niemal cały czas jest odłączona od zbiorowego umysłu. Dobrze się czuje w swoim ciele, w swojej głowie, i nie ma ochoty męczyć się zbiorowym myśleniem. Jak tak dalej pójdzie, przestanie już zupełnie myśleć o innych. Stanie się egocentryczna jak Palce.

5 czuje także, że podczas KA (Porozumienia Absolutnego) księżniczka odmawia dostępu do wszystkich obszarów swojego umysłu. Nie jednoczy się z ogółem.

To jednak zły moment na tego typu refleksje.

Księżniczka 103 zauważa, że w płatkach okrętu-nenufaru zaczyna gwizdać wiatr. Albo zrywa się wichura, albo... nabierają prędkości.

– *Wszystkie na samą górę!*

Kilka obserwatorek wspina się na najwyższy płatek nenufaru. W górze wyraźnie odczuwa się pęd statku. Wszystkie włoski na pyszczku oraz czułki zwiewane są do tyłu, niczym źdźbła trawy.

Potwierdziły się obawy księżniczki: w oddali rysuje się pieniaca się ściana – trudno będzie ją ominąć, płynąc z taką prędkością.

– *Oby tylko to nie był wodospad* – martwi się mrówka.

87. JEDZIEMY Z DRUGIM KONCERTEM

Julie z przyjaciółmi bardzo starannie przygotowawali swój drugi koncert. Każdego popołudnia, po zajęciach, spotykali się w salce prób.

– Nie mamy wystarczającej liczby oryginalnych kawałków, a niezręcznie jest wykonywać ponownie ten sam utwór, żeby koncert trwał tyle, ile normalnie powinien trwać.

Julie położyła na stole *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*, nad którą

wszyscy się pochylili. Przewracała strony i wypisywała możliwe do wykorzystania tematy. „Złota liczba”, „Jajko”, „Cenzura”, „Noosfera”, „Sztuka fugi”, „Podróż na księżyc”.

Postanowili na nowo napisać teksty, żeby łatwiej dało się je przełożyć na muzykę.

– Powinniśmy zmienić nazwę zespołu – powiedziała Julie.

Wszyscy podnieśli głowy.

– „Królewna Śnieżka i Siedmiu Krasnoludków” brzmi raczej infantylnie, prawda? – powiedziała. – A poza tym nie podoba mi się ten podział: Królewna Śnieżka i Siedmiu Krasnoludków. Wolałabym już „Ośmiu Krasnoludków”.

Wszyscy od razu się zorientowali, do czego zmierza.

– *Rewolucja mrówek* to kawałek, który najbardziej się spodobał. David zaproponował, żeby tak zatytułować następny koncert, ale dlaczego nie nazwać by tak naszego zespołu?

– Mrówki? – powiedziała Zoé z grymasem na twarzy.

– Mrówki... – powtórzył za nią Leopold.

– Brzmi niezłe. Byli już Beatlesi, inaczej mówiąc „Żuki”, odrażające insekty. A przecież nie przeszkodziło to tym czterem gościom odnieść fenomenalny sukces.

Ji-woong zastanawiał się na głos.

– Mrówki... Bunt mrówek... Rewolucja mrówek... Tak, byłoby to nawet spójne, to fakt. Ale dlaczego akurat te właśnie insekty?

– A dlaczego nie?

– Mrówkę można rozdeptać stopą albo palcami. A poza tym nie ma w nich nic zabawnego.

– To może wybierzmy jakieś ładne owady – zasugerował Narcisse. – Nazwijmy zespół Motyle albo Pszczoły?

– A czemu nie Modliszki? – zaproponował Paul. – Mają takie dziwne głowy. Dobrze by wyglądało na okładce płyty.

Każdy miał własny pomysł, forsując najbardziej sympatycznego, według niego, owada.

– Muchy, to byłoby niezłe hasło reklamowe. „Dmuchając, stajemy się muchami!”

– rzucił Paul. – A naszą publiczność jednoczyłoby wyciągnięcie chusteczek do nosa.

– Ej, a dlaczego by nie nazwać się Bąki. Ileż możliwych gier słów – ironizował Narcisse. – W rodzaju „Bąku, zawieś, proszę, swój lot” albo „Współczesne bąki”, albo może „Miłych bąków na weekend”.

– A Biedronki? Można by wtedy wymyślić coś na przykład z „bożą krówką”.

– Trzmiele – powiedziała Francine. – Trzmiele, zespół, który sprawi, że będziecie wibrować.

Julie wyglądała na mocno przybitą.

– Nie! – powiedziała z naciskiem. – To właśnie dlatego, że mrówki wydają się tak bardzo niepozorne, mogą być najlepszym punktem odniesienia. I do nas należy, aby uczynić interesującymi te na pierwszy rzut oka nieistotne i niepozorne owady.

Pozostali nie byli do końca przekonani.

– *Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej* jest pełna wierszy i tekstów dotyczących mrówek.

Tym razem argument był trafiony. Skoro mieli skomponować w błyskawicznym tempie nowe kawałki, to rzeczywiście lepiej jest wybrać ten temat, który pojawia się najczęściej w *Encyklopedii*.

– Zgoda na Mrówki – przytaknął David.

– Ostatecznie „mrów-ka” to dwie niezłe funkcjonujące ze sobą sylaby.

Powtórzyła na kilka sposobów słowo „Mrów-ki”, „Mrów-ki”, „Jesteśmy mrówkami”, „Jesteśmy mrówkami”.

– Zajmijmy się teraz plakatem!

David zasiadł przed komputerem w sali prób. Wyszukał w programach graficznych tło podobne do starych pergaminów i wybrał też czcionkę, duże wygięte litery w kolorze czerwonym dla pierwszych liter i małe litery czarne z białym cieniem dla pozostałych.

Przyjrzeni się z bliska obrazkowi na okładce *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* – trzem mrówkom tworzącym literę „Y” pośrodku trójkąta wpisanego w okrąg. Wystarczyłoby odtworzyć to za pomocą programu graficznego, a symbol zespołu byłby od razu gotowy.

Pochylili się nad komputerem. U góry napisali „Mrówki”, a poniżej, w nawiasie: „Nowa nazwa zespołu Królowna Śnieżka i Siedmiu Krasnoludków”, żeby ich pierwsi fani mogli się w tym odnaleźć.

Jeszcze niżej: „Sobota, 1 kwietnia, koncert w centrum kultury w Fontainebleau”.

I dalej: dużymi, grubymi literami: REWOLUCJA MRÓWEK.

Popatrzyli teraz na ostateczny rezultat. Na ekranie ich przyszyły plakat wyglądał jak prawdziwy stary pergamin.

Zoé wydrukowała dwa tysiące kopii na kolorowej fotokopiarce dyrektora szkoły. Ji-woong poprosił swoją młodszą siostrę, żeby razem z dziećmiakami rozlepiła je w mieście. Mała zgodziła się, ale pod warunkiem, że dostaną bezpłatne wejściówki na koncert, a potem wyruszyła z kolegami rozlepiać plakaty na ogrodzeniach placów budowy i na drzwiach sklepików. W ten sposób ludzie będą mieli trzy dni na zakup biletów.

– Spróbujemy stworzyć spektakl totalny – rzuciła Francine.

– Ze świecami dymnymi i rzutnikami światła dla efektów specjalnych – zaproponował Paul.

– Moglibyśmy zrobić gigantyczne obiekty, żeby czymś wypełnić scenę – dorzucił Ji-woong.

– Mogę wykonać księgę z polistyrenu wysokości jednego metra – powiedział Leopold.

– A gdybyśmy tak umieścili ruchomą stronę w samym środku i rzucali na nią slajdy, ludzie mieliby wrażenie, że przewracają kolejne kartki – dorzucił David.

– Wspaniale! Ja z kolei biorę na siebie wykonanie olbrzymiej mrówki, co najmniej dwumetrowej – obiecał Ji-woong.

Paul zasugerował, że będzie rozpylać zapachy odpowiadające nastrojowi każdego z utworów. Uważał się za wystarczająco uzdolnionego z chemii, żeby skonstruować proste zapachowe organy. Od zapachu lawendy do zapachu ziemi, od zapachu jodu do zapachu kawy, i w taki właśnie sposób chciał dodać zapachową oprawę do każdego utworu.

Narcisse miał opracować wyszukane kostiumy i maski oraz makijaż, które jeszcze bardziej podkreślałyby wymowę każdej z piosenek.

Wreszcie próba rozpoczęła się na dobre i David trochę zaczął narzekać na solówkę w *Rewolucji mrówek*. Rzeczywiście, nie była ona wystarczająco dopracowana. Nagle usłyszeli ciche chrobotanie, które najpierw wzięli za jakieś sprzężenie w instalacji elektrycznej. Podchodząc do wzmacniacza, żeby go wyregulować, odkryli, że do środka dostał się polny świerszcz, którego pewnie przyciągnęło ciepło transformatora.

David wpadł wówczas na pomysł, żeby zainstalować małe mikrofony od jednej ze strun swojej harfy do skrzydeł owada. Paul dokonał drobnych regulacji i po chwili uzyskał szeleszczący i przedziwny zarazem dźwięk.

– Cóż, wydaje mi się, że wreszcie udało nam się znaleźć idealnego muzyka do solówki w „Rewolucji mrówek” – obwieścił David.

88. ENCYKLOPEDIA

PRZYSZŁOŚĆ AKTORÓW: Przyszłość należy do aktorów. Żeby wzbudzić szacunek, aktorzy potrafią zagrać złość. Żeby ich uwielbiano, aktorzy umieją zagrać miłość. Dla zawistnych potrafią odegrać radość. Aktorzy przeniknęli do wszystkich zawodów.

Wybór Ronalda Reagana na prezydenta Stanów Zjednoczonych w 1980 roku ostatecznie uświęcił panowanie aktorów. Nie trzeba wierzyć w żadne idee ani umieć rządzić, wystarczy otoczyć się ekipą specjalistów, którzy przygotowują przemówienie, a następnie dobrze odegrać swoją rolę przed obiektywami kamer.

Zresztą, w większości współczesnych demokracji nie wybiera się już swojego kandydata ze względu na jego program polityczny (wszyscy doskonale wiedzą, że tak czy inaczej przedwyborcze obietnice nie zostaną spełnione, ponieważ kraj prowadzi globalną politykę, od której nie może odejść), ale na podstawie tego, jak się prezentuje, jak się uśmiecha, jaki ma głos, jak się ubiera, jak też radzi sobie z prowadzącymi z nim wywiad dziennikarzami i czy potrafi zdobyć się na celną ripostę.

W nieuchronny sposób we wszystkich zawodach aktorzy zagarniają coraz większe obszary. Malarz będący niezłym aktorem jest w stanie przekonać, że monochromatyczny obraz jest prawdziwym dziełem sztuki. Piosenkarz będący dobrym aktorem nie musi mieć wyjątkowego głosu, jeżeli uda mu się odpowiednio zinterpretować utwór. Aktorzy kontrolują świat, a wystawiając wciąż na pierwszą linię właśnie aktorów, forma staje się znacznie bardziej istotna niż treść, a pozory biorą górę nad istotą rzeczy. Nie słucha się już tego, co ktoś mówi. Teraz wystarczy przyglądać się temu, jak mówią, jakie jest ich spojrzenie, kiedy mówią to, co mówią, no i czy krawat jest dobrze dopasowany do chusteczki w kieszonce. Ci, którzy mają idee, lecz nie potrafią ich zaprezentować, są stopniowo wykluczani z dyskusji.

89. Z PRADEM

Wodospad!

Mrówki unoszą czułki w przerażeniu.

Do tej pory łagodny prąd rzeki kołysał nimi delikatnie, posuwając okręt wzdłuż brzegu, lecz wydarzenia potoczyły się bardzo szybko.

Pojawił się rwący prąd.

Teren opadł gwałtownie, znacząc powierzchnię wody białą pianą. Ogłuszający hałas. Pod wpływem prędkości różowe żagle nenufaru drżą.

Księżniczka 103, z czułkami splątanymi na pyszczku, pokazuje na migi, że lepiej by było skierować się na lewo, w miejsce, w którym rzeka wydaje się mniej wzburzona.

Pływaki muszą teraz znacznie szybciej wiosłować. Największe z mrówek chwytają małe gałązki, zaciskają je żuwaczkami i posługują się nimi niczym bosakami, żeby naprowadzić statek na właściwy kurs.

13 wpada do wody, z trudem udaje się ją wyłowić.

Kijanki pływają tuż przy powierzchni, czekając, aż okręt się roztrzaska. Ci słodkowodni padlinożercy są bardziej żarłocznymi niż rekiny.

Statek-nenufar nabiera prędkości i pędzi prosto w stronę trzech wielkich kamieni. Podekscytowane pływaki młóć wodę z takim zapałem, że cały pokład jest mokry.

Statek zbacza z obranego kierunku. Naraz burta uderza o kamień. Miękki liść amortyzuje wstrząs. Nenufar niemal się przewraca, lecz nagły wir rzuca nim w inną stronę. Jeden z płatków spada na mrówki, a następnie wypada za burtę.

Mrówkom udało się pokonać pierwszy wodospad, lecz przed nimi już widać kolejną ścianę białej piany. Do polujących na belokanijki kijanek dołączają wodne żuki: śliskie i czarne płoszczyce, których tułów zakończony jest długą rurką służącą do oddychania, oraz nartniki o smukłych nóżkach. Niektóre liczą na posiłek, inne przypląnęły, by przyglądać się widowisku. 5 wysyła pływakom feromony rozkazujące im skierować się w stronę przesmyku, gdzie nurt wydaje się

nico słabszy.

Muszki, z własnej inicjatywy, wyruszają na zwiady i po chwili wracają ze złymi wiadomościami.

– *Łódź tamtędy nie przepłynie.*

W tunelu wodnym prąd jest jeszcze silniejszy. Załoga nenufaru nie wie, co robić: starać się zmienić kierunek, ryzykując utratę kontroli nad okrętem, czy też utrzymać kurs i próbować pokonać drugi wodospad?

Za późno na rozmyślenia! Przyszłość należy do zdecydowanych.

Po chwili mrówki nie są już w stanie kontrolować statku. Płaski liść zostaje porwany przez nurt. Nenufar raz po raz uderza o małe kamyczki, przy każdym zderzeniu trzy lub cztery eksploratorki niemal lądują za burtą. Na szczęście liście nenufaru mają wystarczająco dużo włókien, by zamortyzować uderzenia. Załoga wciska się w najgłębszy kąt samego serca wodnej rośliny i ze wszystkich sił uczepia czego tylko może.

Statek ponownie uderza o kamienie, waha się, czy się nie przewrócić, rozkołysuje się i... stabilizuje. Drugi silny nurt został pokonany bez większych szkód.

„Jak w wypadku niemal wszystkich ryzykownych przedsięwzięć, dużo zależy tu od szczęścia” – myśli 103.

Ostra trójkątna skała kaleczy liść od spodu i go wybrzusza, potrząsając mocno mrówkami, które dopiero co doszły do siebie po ostatniej przygodzie. Tymczasem nenufar ponownie nabiera prędkości, wessany przez nurt ku trzeciemu wodospadowi.

Cały las zaczyna skrzeczeć, jak gdyby był żywy, a rzeka była jego mokrym językiem.

Siedząc wśród płatków nenufaru, księżniczka 103 obserwuje szalejące żywioły: w górze niebo tak jasne i spokojne, a poniżej linii horyzontu – zamęt. W oddali rysuje się cień wielkiego, sterczącego kamienia.

Przerażone pływaki chcą uciekać, porzucając statek-kwiat na pastwę losu.

Pozbawiony jakiegokolwiek napędu, nenufar zachowuje się jak dziecięcy bączek. Wewnątrz, powalone siłą odśrodkową mrówki nie są w stanie stanąć na nogi. Nie widzą nic z tego, co dzieje się za burtą. Tylko niebo ponad różowymi płatkami nenufaru, a w dole wir.

Księżniczka 103 i 5 przyłgnęły do siebie. Kręcą się i kręcą. Nagle uderzają w wielki kamień. Wstrząs. Uderzają w kolejny. Statek-kwiat mimo wszystko nadal się nie przewrócił. 103 unosi głowę i zauważa, że okręt zmierza prosto ku kolejnemu, naprawdę oszałamiającemu wodospadowi. Spadek jest tak gwałtowny, że nie widać nawet pieniającej się linii.

Brakowało tylko tej Niagary...

Statek nabiera coraz większej prędkości. Huk strumienia ogłusza pasażerki. Czułki przykleiły się mrówkom do pyszczków.

Tym razem czeka je wielki skok i nurkowanie. Nie da się już nic zrobić. Kulą się w samym sercu różowego nenufaru.

Statek zostaje wyrzucony w powietrze. Daleko, daleko w dole księżniczka dostrzega srebrną nitkę rzeki.

90. ZA KULISAMI

– No, moi mili, tym razem idziecie na całość i rzucacie się na głęboką wodę!

Rady udzielane przez dyrektora centrum kultury były niepotrzebne.

Nie mieli ani chwili do stracenia.

Za trzy godziny miał się rozpocząć ich drugi koncert przed publicznością.

Dekoracje nie były jeszcze ukończone. Léopold właśnie montował olbrzymią księgę. David zajmował się rzeźbą mrówki. Paul dostrajał swoją maszynę do rozpylania zapachów.

Zademonstrował zresztą swoją maszynę kolegom.

– Dzięki mojemu urządzeniu można uzyskać syntetycznie wszystkie zapachy, od wołowiny w cebulce po zapach jaśminu, do zapachu potu przez zapach krwi, od kawy do pieczonego kurczaka i mięty...

Francine z pędzelkiem w ustach dołączyła do Julie, która była już w garderobie i powiedziała jej, że ten wieczór będzie wyjątkowo ważny i że trzeba, żeby była jeszcze piękniejsza niż podczas pierwszego koncertu.

– Na sali nie może być ani jednego widza, który nie zakochałby się w tobie.

Przyniosła ze sobą cały zestaw do makijażu i zaczęła malować Julie, rysując wokół jej oczu motyw w kształcie ptaka. Potem uczesała jej długie czarne włosy i wpięła w nie diadem.

– Dziś wieczorem musisz być królową.

Do małego pokoju wszedł Narcisse.

– A dla królowej przygotowałem suknię cesarzowej. Będiesz najbardziej zachwycającą ze wszystkich władczyń, bardziej jeszcze niż Józefina, niż królowa Saba, bardziej niż rosyjska caryca Katarzyna czy Kleopatra.

Rozłożył przed nią niebieski i fosforyzujący strój, przetykany niczym marmur czarnymi i białymi nitkami.

– Pomyślałem sobie, że w *Encyklopedii* znajdę nowe pomysły z estetyki. Ubrana jesteś w kolorze skrzydeł motyla Ulisses, po łacinie *Papilio ulysses*. Z tego, co wiem, owad ten żyje w lasach Nowej Gwinei, na północy Queensland i na Wyspach Salomona. Kiedy fruwa, jego niebieski blask rozświetla tropikalne lasy.

– A co to takiego?

Julie wskazała na dwie rolki czarnego aksamitu, które stanowiły przedłużenie togi.

– To są przydatki ogonowe motyla. I właśnie te długie czarne wypustki nadają tak zaskakującą grację fruującemu motylowi.

Rozpostarł ubiór.

– Przymierz szybko.

Julie zdjęła sweter i spódnicę, zostając w samych majtkach i staniku. Narcisse patrzył na nią.

– Och! Nie przejmuj się, patrzę tylko, czy ubiór jest dopasowany do twoich wymiarów. Na mnie kobiety nie robią żadnego wrażenia – wyznał ze zblazowaną miną. – Zresztą, gdybym mógł wybierać, wolałbym być kobietą, choćby po to, żeby podobać się mężczyznom.

– Naprawdę wolałbyś być kobietą? – zapytała zdziwiona Julie, ubierając się szybko.

– Jest taka grecka legenda, która mówi, że kobiety odczuwają rozkosz dziewięć razy mocniej podczas orgazmu. Faceci mają gorzej. A poza tym chciałbym być kobietą, żeby móc któregoś dnia poczuć, że jestem w ciąży. Właściwie jest tylko jedno naprawdę ważne dzieło: przekazywanie życia. A wszyscy faceci są pozbawieni tego doznania.

A jednak Narcisse patrzył na ciało Julie wzrokiem, który wcale nie wydawał się obojętny. Jasna skóra, długie, lśniące jak węgiel włosy, duże szare oczy ozdobione

skrzydłami ptaków niczym tatuażem. Jego spojrzenie zatrzymało się na jej piersiach.

Julie zawinęła się w tkaninę jak w kąpielowy ręcznik. Kontakt z materiałem był łagodny i ciepły.

– Przyjemnie jest mieć to na sobie – przyznała.

– Normalne. Ten strój jest zrobiony z jedwabiu, który wytwarza gąsienica motyla Ulissesa. Skradziono nitkę biednemu zwierzęciu, które chciało się otulić chroniącym je kokonem. Ale stało się to w dobrej sprawie, ponieważ było przeznaczone dla ciebie. U Indian z plemienia Wendat, kiedy zabija się jakieś zwierzę, wyjaśnia się mu, zanim wypuści się z łuku strzałę, czemu ma służyć polowanie. Czy, na przykład, po to, żeby wyżywić rodzinę, czy żeby uszyć z niego jakiś strój. Kiedy już będę bogaty, otworzę fabrykę jedwabiu z kokonów motyli i przeczytam wszystkim gąsienicom listę klientów, którym oddały one swój jedwab.

Julie przeglądała się teraz w wielkim lustrze na drzwiach garderoby.

– Ten strój jest niesamowity, Narcisse. Nie przypomina niczego, co znam. Wiesz co, mógłbyś być stylistą.

– Motyl Ulisses dla zachwycającej syreny, cóż bardziej naturalnego! Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego ten grecki marynarz był tak uparty i nie chciał dać się zauroczyć głosom tych kobiet.

Julie poprawiła nieco strój.

– To piękne, co mówisz.

– To ty jesteś piękna – powiedział poważnym tonem Narcisse. – A twój głos jest po prostu niewiarygodny. Gdy cię słyszę, przeszywa mnie dreszcz do szpiku kości, który biegnie wzdłuż kręgosłupa. Callas mogłaby się schować.

Julie parsknęła śmiechem.

– Jesteś całkowicie pewien, że nie pociągają cię dziewczyny?

– Można kochać, lecz niekoniecznie trzeba od razu chcieć oddawać się symulacji aktu prokreacji – zauważył Narcisse, gładząc ją po ramionach. – A ja kocham na swój sposób. Moja miłość jest jednostronna i dlatego też jest totalna. Niczego nie żądam w zamian. Pozwól mi tylko patrzeć na ciebie i słyszeć twój głos, to mi zupełnie wystarczy.

Zoé objęła Julię ramionami.

– I oto nasza gąsienica przeobraziła się w motylka. W każdym razie fizycznie...

– Jest to dokładna kopia skrzydeł motyla Ulissesa – powtórzył Narcisse, zwracając się do nowo przybyłych.

– Wspaniale!

Ji-woong wziął Julie za rękę. Dziewczyna zauważyła, że od pewnego czasu wszyscy chłopcy z zespołu znajdują przyjemność w dotykaniu jej pod takim czy innym pretekstem. Nie znosiła tego. Matka zawsze jej powtarzała, że ludzie muszą utrzymywać między sobą pewien bezpieczny dystans, tak jak zderzaki w samochodach, bo gdy zanadto się do siebie zbliżają, zaraz pojawiają się kłopoty.

David podjął się masowania pleców i obojczyków Julie.

– To po to, żebyś się odprężyła – wyjaśnił.

Rzeczywiście poczuła, że napięcie w plecach zmniejsza się stopniowo, ale po chwili palce Davida zaczęły wywoływać nowe, jeszcze większe napięcie. Oswobodziła się z jego rąk.

Wszedł dyrektor centrum kultury.

– Pospieszmy się, moi mili. Zaraz wasza kolej, a tłum już jest nieprzebrany.

Pochylił się nad Julią.

– Ależ ty masz gęsią skórkę, moja mała. Nie zimno ci?

– Nie, dziękuję, w porządku.

Włożyła paputki podane przez Zoé.

Ubrani w kostiumy udali się na scenę i przystąpili do ostatnich poprawek. Dzięki środkom, jakie przekazał im dyrektor centrum kultury, dekoracje i nagłośnienie były teraz znacznie lepsze.

Dyrektor wyjaśnił im, że ze względu na problemy z zadymiarzami podczas pierwszego koncertu tym razem zapewnił sześciu osiłków, którzy będą czuwać nad tym, żeby nic złego się nie przydarzyło. Zespół może być spokojny, tego wieczoru nikt nie będzie rzucał jajkami ani puszkami po piwie.

Każdy pobiegł do swoich zadań.

Léopold instalował olbrzymią księgę, Paul organy, Zoé encyklopedię do kartkowania, Narcisse wyrównywał tu i tam jakieś fałdy materiału i rozdawał maski. Francine regulowała syntezator, a Paul zajął się światłami. David dostrajał akustykę przeznaczoną dla świerszcza, a Julie powtarzała sobie krótkie teksty, które miała wypowiedzieć między piosenkami.

Jeśli chodzi o kostiumy sceniczne, Narcisse przygotował pomarańczowy strój mrówki dla Léopolda, zielony ubiór modliszki dla Francine, czerwono-czarną muszelkę biedronki dla Zoé, pancerzyk skarabeusza dla Ji-woonga, żółto-czarny strój pszczoły dla Paula i wreszcie ciemny ubiór świerszcza dla Davida. A prawdziwy świerszcz miał muszkę z kartonu zawiązaną wokół szyi. Wreszcie dla siebie Narcisse uszył wielobarwny strój przypominający szarańczę.

Marcel Vaugirard zjawił się, żeby przeprowadzić z nimi wywiad. Zadał szybko pytania i powiedział: „Dzisiaj również nie mogę zostać. Ale przyznacie, że mój poprzedni artykuł był w porządku, prawda?”

Julie pomyślała, że jeżeli wszyscy dziennikarze pracują tak jak on, to w gazetach czy w wiadomościach o dwudziestej znajdzie się tylko żałośnie niewielka część tego, co się naprawdę wydarzyło. Powiedziała jednak pojednawczym tonem:

– Tak, owszem...

Zoé nie była jednak przekonana.

– Zaraz, zaraz, proszę mi to wyjaśnić. Bo nie zrozumiałam.

– „Im mniej się o czymś wie, tym lepiej się o tym pisze”. Proszę się nad tym zastanowić. To logiczne. Gdy już wiemy o czymś co nieco, przestajemy być obiektywni i nie mamy już właściwego dystansu do tego, aby o tym mówić. Chińczycy mawiają, że ten, kto spędził w Chinach jeden dzień, pisze książkę, ten, kto zostanie tam przez tydzień, pisze artykuł, a ten, kto spędzi tam cały rok, nie napisze nic. Niezłe, prawda? Zasada ta dotyczy wszystkiego. Zresztą, kiedy jeszcze byłem młody...

Julie zrozumiała, że ten dziennikarz o niczym innym nie marzył bardziej, jak tylko o tym, żeby to z nim przeprowadzić wywiad. Marcel Vaugirard nie przejawiał najmniejszego choćby zainteresowania ich zespołem i muzyką. Był zblazowany. Chciał, żeby to Julie zadawała mu pytania, żeby próbowała się dowiedzieć, w jaki sposób odkrył tę swoją dziennikarską mądrość, w jaki sposób ją stosuje, jakie jest jego miejsce, jak wygląda jego życie w redakcji „Trąbki Fontainebleau”.

Ale ona w swojej głowie wyłączyła głos i zadowolili się obserwowaniem poruszających się ust. Ten dziennikarz był taki, jak kierowca taksówki, który wioząc ją, odczuwał wyłącznie przemożną chęć emitowania sygnałów i żadnej chęci ich odbierania. W każdym z artykułów zapewne przemycił co nieco ze swojego życia i całkiem możliwe, że gromadząc te wszystkie publikacje,

uzyskałoby się pełną biografię Marcela Vaugirarda, mądrego bohatera nowoczesnej prasy.

Znowu pojawił się dyrektor. Był po prostu zachwycony. Poinformował ich, że nie tylko wszystkie miejsca zostały sprzedane i że sala jest wypełniona po brzegi, ale też, że są i takie osoby, które wysłuchają koncertu na stojąco.

– No, posłuchajcie ich tylko.

Rzeczywiście, zza kurtyny było słychać skandujący tłum: „Ju-lie! Ju-lie! Ju-lie!”.

Julie nadstawiła ucho. To jej się nie śniło. Skandowali, dopominając się nie całego zespołu, ale jej i tylko jej. Podeszła nieco bliżej, uchylła dyskretnie kurtynę, a wtedy widok tych wszystkich wykrzykujących jej imię ludzi zamurował ją.

– Jak tam, w porządku, Julie? – zapytał David.

Chciała mu odpowiedzieć, ale nie była w stanie wypowiedzieć nawet jednego słowa. Odkaslnęła, spróbowała jeszcze raz i z trudem wyszeptala:

– Ja... stra-ci-łam... głos...

Mrówki popatrzyły na siebie z przerażeniem. Jeśli naprawdę straciła głos, spektakl skończy się całkowitą klapą.

W jej głowie pojawił się obraz twarzy bez ust i z podbródkiem, który dochodzi aż do nasady nosa.

Dziewczyna gestami dała do zrozumienia, że nie ma innego rozwiązania, jak tylko zrezygnować.

– To nic, to tylko trema – zapewniał dyrektor. – To normalne i zdarza się często przed wejściem na scenę, gdy jest jakiś ważny spektakl. Ale mam na to lekarstwo.

Znikł i po chwili wrócił zadyszany, ze słoikiem miodu w ręce.

Julie przełknęła kilka łyżek, zamknęła oczy i wydała wreszcie z siebie dźwięk: „Aaaa!”.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Potwornie się przestraszyli.

– Całe szczęście, że owady czuwały nad tym, aby przygotować uniwersalny środek leczniczy! – wykrzyknął dyrektor centrum kultury. – Nawet moja żona leczy grypę królewskim miodem.

Paul zamyślił się, patrząc na słoik miodu. „Ten produkt wywołuje czasami naprawdę spektakularne efekty” – powiedział do siebie w duchu. Julie uszczęśliwiona ćwiczyła odzyskany głos, starając się uzyskać wszelkiego rodzaju brzmienia w różnych tonacjach.

– To jak, jesteście gotowi?

91. ENCYKLOPEDIA

DWOJE UST: Talmud twierdzi, że człowiek posiada dwoje ust: te u góry i te na dole. Te u góry pozwalają mu rozwiązywać problemy ciała przez słowa. Słowo nie tylko przekazuje informacje, ale służy także do tego, by leczyć. Za pomocą języka górnych ust sytuujemy się w przestrzeni i w stosunku do innych. Talmud zaleca zresztą unikanie stosowania zbyt dużej ilości lekarstw, gdyż pokonują one drogę przeciwną w stosunku do drogi, którą przebywa słowo. Nie należy uniemożliwiać słowu wydobycia się na zewnątrz, gdyż inaczej słowo może przeobrazić się w chorobę.

Drugie usta to płęć. Przez płęć rozwiązujemy problemy ciała w wymiarze czasowym. Przez płęć, a zatem dzięki rozkoszy i reprodukcji, człowiek tworzy przestrzeń wolności. Definiuje swój stosunek do rodziców i dzieci. Płęć, te „usta na dole”, służy do wytyczenia nowej drogi, odmiennej od drogi rodziny. Każdy człowiek posiada prawo do tego, by jego dzieci uosabiały inne wartości niż jego rodzice.

Usta u góry oddziałują na usta na dole. Przez słowo możemy urzec inną osobę i uruchomimy w ten sposób jej płęć. Usta na dole oddziałują na usta u góry i przez płęć odnajdziemy naszą tożsamość i nasz język.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

92. PIERWSZA PRÓBA OTWARCIA

– Jesteśmy gotowi.

Maximilien sprawdził wszystkie ładunki wybuchowe, które zostały przymocowane do ścian piramidy.

Ta budowla nie będzie sobie w nieskończoność z niego drwić.

Saperzy rozwinęli długi kabel elektryczny, łączący ładunki plastiku z zapalnikiem, i cofnęli się na bezpieczną odległość.

Komisarz dał im znak. Szef saperów nakręcił zapalnik i odliczał:

– Pięć... cztery... trzy... dwa...

Bzzz...

Nagle mężczyzna upadł głową do przodu. Zasnął. Na szyi pozostał ślad.

Pszczola, strażniczka piramidy.

Maximilien Linart rozkazał, żeby wszyscy dobrze zabezpieczyli te części ciała, które nie były osłonięte ubraniem. Policjant wcisnął szyję w kołnierzyk, ręce włożył do kieszeni, a następnie łokciem nacisnął zapalnik.

Nic się nie wydarzyło.

Poszedł wzdłuż kabla i stwierdził, że został on pocięty przez coś, co określił mianem małych szczęk.

93. WODA

Przez chwilę liść nenufaru unosi się w powietrzu. Czas się zatrzymał. Z tej wysokości mrówki widzą rzeczy, które rzadko mają okazję oglądać. Kolibry. Czerwone muchy. Zimorodka na łowach.

Wiatr gwizdże im w głowach i w różowych żaglach nenufaru.

Księżniczka 103 przygląda się swoim towarzyszkom, sądząc, że jest to ostatni obraz, jaki jest jej dane oglądać przed śmiercią. Wszystkim czułki sterczą w górę ze strachu.

Statek-kwiat nadal jest w powietrzu. Przed nimi wśród chmur baraszkują dwa skowronki.

– *No i proszę! Oto moja ostatnia podróż* – stwierdza 103.

Jednak statek wkrótce poddaje się prawu ciężenia. Nenufar spada z olbrzymią prędkością. Mrówki wczepiają pazurki w tę szaloną windę, która ciągnie je w dół. Nenufar traci jeszcze dwa płatki, które wolą żyć własnym życiem, zamiast zostać na statku pełnym mrówek.

Coraz większy pęd. Nóżki 12 odczepiają się od liścia, a ona sama znajduje się w pozycji pionowej, trzymając się liścia jednym tylko pazurkiem. Jej tylne nóżki unoszą się w górę, głowa zwisa ku dołowi. Księżniczka 103 zaciska żuwaczki na liściu, żeby nie odlecieć. 7 zostaje porwana przez pęd powietrza. W ostatniej chwili ratuje ją 14, którą z kolei przytrzymuje 11.

Brzegi nenufaru odwijają się ku górze, tworząc swego rodzaju kielich. Lądujący astronauta muszą mieć podobne odczucia. Ponadto tarcie powietrza powoduje, że podłoga statku-liścia zaczyna się rozgrzewać.

Księżniczka 103 czuje, jak jej pazurki jeden po drugim odrywają się od podłoża. Wie, że za chwilę zostanie wypchnięta w przestrzeń.

Uderzenie. Statek-kwiat ląduje na wodzie. Zanurza się nieco, lecz dzieje się to tak szybko, że pokład nie zostaje zalany. Pozwala to jednak księżniczce 103 być świadkiem niecodziennego widoku – przez chwilę ma okazję przyjrzeć się mieszkańcom podwodnego świata.

Dostrzega kielbia o okrągłych oczach oraz dwie traszki, lecz już po chwili statek wynurza się. Fala zalewa mrówki; wszystkie ich czułki są mokre. Na kilka sekund eksploratorki zostają pozbawione wszelkich zmysłów.

Pokonały wartki nurt! Srebrna rzeka uspokoiła się, jak gdyby znudziło jej się dręczenie podróżniczek. Wszystkie są całe i zdrowe, a na horyzoncie nie widać już żadnego wodospadu.

Eksploratorki otrząsają czułki, całe oblepione jeszcze feromonami strachu i wodą.

5 liże się, by usunąć resztki wody.

Oddają się słodkim trofalaksjom, dzięki którym stają się sobie jeszcze bliższe. Przeżyły wyprawę rzeczną. Minęły swój przylądek Horn. Wszystko wraca do normy. Jedna ważka zjada drugą. Pstrąg zjada ważkę.

Statek-kwiat ponownie sunie po srebrnej wstędze ku południu. Jest już późno, słońce jest zmęczone. Powoli chyli się w stronę swojego legowiska. Zagłębia się w ziemię, a wszystko wokół szarzeje. Rozciąga się ponura mgła. Widoczność zostaje ograniczona do kilku centymetrów. Para wodna uniemożliwia mrówkom używanie ich radaru olfaktycznego. Nawet jedwabniki morwowe, grzyby służące do ustalania położenia, są niewidoczne. Zasłona mgły ogarnia wszystko, łącznie z leniwym słońcem.

Nad mrówkami latają motyle pawice. Księżniczka 103 obserwuje ich pełne gracji ruchy. Rozkoszuje się życiem, a poza tym – motyle są takie piękne...

MOTYL: Pod koniec drugiej wojny światowej doktor Elizabeth Kubler Ross została poproszona o to, by zająć się żydowskimi dziećmi, którym udało się przeżyć nazistowskie obozy koncentracyjne.

Kiedy weszła do baraków, w których dzieci te nadal leżały, zauważyła, że na drewnianych pryczach był wryty taki sam rysunek, jaki odkryła później w innych obozach, gdzie przetrzymywane były dzieci.

Na rysunku tym pojawiał się prosty motyw, a był nim motyl.

Lekarka pomyślała w pierwszej chwili, że jest to coś w rodzaju braterstwa, które pojawiało się u dzieci bitych i głodzonych. Pomyślała, że dzięki temu motylowi znalazły sposób na to, by wyrazić przynależność do grupy, tak jak niegdyś pierwsi chrześcijanie posługiwali się symbolem ryby.

Zapytała kilkoro dzieci, co oznaczają te motyle, lecz one nie chciały odpowiedzieć. A jednak mały siedmioletni chłopczyk w końcu ujawnił jej ten sens: „Te motyle są jak my sami. Wiemy wszyscy, w głębi serca, że ciało, które cierpi, jest jedynie ciałem przejściowym. Jesteśmy gąsienicami, a pewnego dnia nasza dusza uniesie się i wzleci nad cały ten brud i cierpienie. Rysując motyla, przypominamy sobie o tym nawzajem. A my niebawem już odlecimy”.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

95. ZMIANA OKRĘTU

Naraz przed nimi wyłania się skała. Mrówki chcą ją wyminąć, lecz skała otwiera oczy i rozdziawia olbrzymią paszczę.

– Uwaga! To żywe kamienie! – wrzeszczy olfaktycznie 10.

Wszystkie rzucają się biegiem na przedburcie. Ześlizgują się po brzegach liścia nenufaru jak strażacy po słupie. 15 już wystawia swój odwłok, gotowa do strzału. Ani chwili spokoju podczas tej podróży.

Teraz żywe kamienie!

Mrówki rzucają przeróżnymi pomysłami, czasami sprzecznymi.

Księżniczka 103 przechyła się przez brzeg nenufaru. To niemożliwe, żeby minerały pływały i otwierały paszczę. Z uwagą przygląda się skale, stwierdza, że jej brzegi są zbyt regularne. To nie kamień, to żółw! A jednak nie przypomina

żadnego z żółwi, z którymi miała kiedykolwiek do czynienia: ten bowiem pływa. Mrówki nigdy takiego nie widziały.

Nie wiedzą tego, lecz ten żółw wodny pochodzi z Florydy. W świecie Palców wśród dzieci panuje moda na takie właśnie żółwie wodne. Dzięki charakterystycznemu kształtowi i zadartemu noskowi szybko zdobyły ich serca – dzieci chętnie umieszczają je w akwariach na plastikowych wyspach. Jednak gdy zabawki-zwierzątka znudzą milusińskich, te nie wyrzucają ich do kosza na śmieci, lecz do najbliższego jeziora, stawu czy strumyka.

Tam żółwie rozmnażają się bez większych trudności. Na Florydzie żółwiom zagraża ptak, którego dziób o specjalnym kształcie pozwala mu rozbić ich skorupkę. Oczywiście nikomu nie przyszło do głowy, żeby sprowadzić do Europy naturalnego drapieżnika ozdobnego żółwia. W rezultacie stworzenia te stały się prawdziwym postrachem europejskich jezior i strumyków. Przetrzebiły populację ochotek, ryb i miejscowych żółwi.

A teraz z takim właściwie straszycielem ma do czynienia księżniczka 103 i jej towarzyszki. Płaski potwór zbliża się, kłapiąc szczęką. Pływaki, najszybciej jak potrafią, przebierają w wodzie odnóżami, licząc na to, że uda im się uciec.

Trwa wyścig tratwy-nenufaru z potworem o żółtych oczach. Ten ostatni jest cięższy, szybszy, lepiej radzi sobie w wodzie. Bez większego trudu dogania więc statek. Jeden po drugim połyka pływaki, a następnie otwiera paszczę, zachęcając mrówki, by same dały się pożreć, zamiast stawiać bezsensowny opór.

Mając w pamięci serial o przygodach Ulissesa, księżniczka 103 z niezwykłą jasnością umysłu wydaje rozkazy swojej drużynie. Sugeruje, by złapać przepływającą w pobliżu gałązkę. Owady o największych zuwaczkach dostają zadanie ociosania czubka, by mógł posłużyć jako oszczep.

Żółw już wgryza się w statek, który lada chwila może się przewrócić. Kilka eksploratorek stara się trzymać potwora na odległość, strzelając w jego nozdrza kwasem mrówkowym. Bez rezultatu. Na przedzie okrętu ciosany jest oszczep. Na znak 103 wszystkie chwytają go i pędzą po nenufarze. Do ataku na bestię!

– *Celujcie w oko!* – krzyczy księżniczka 103, wspominając przygodę Ulissesa z Cyklopem.

Oszczep uderza żółwia w pysk, lecz go nie rani. Łamie się. Olbrzymia paszcza potwora zije otworem, ma zamiar zaatakować okręt od tyłu. 103 zmienia taktykę

na inną, wypróbowaną i bardziej skuteczną. Pal sześć Ulissesa, Tex Avery jest znacznie lepszym strategiem. 103 ustawia pionowo to, co zostało z gałązki-oszczepu, i pędzi do przodu. Gdy potwór kłapie paszczą, gałązka klinuje się między jego szczękami. Odruchem każdego żółwia w chwilach niebezpieczeństwa jest chowanie głowy do skorupki, lecz uniemożliwia mu to szeroko rozwarta paszcza, na dodatek im usilniej stara się ją zamknąć, tym bardziej palik wbija się w podniebienie.

15 sądzi, że można wykorzystać tę sytuację. Daje sygnał do abordażu. 6, 7, 8, 9 i 5 biorą rozbieg i zanim zwierzęciu udaje się oddalić, zeskakują z okrętu, lądują na białym języku i brną przez ślinę.

Żółw nurkuje, chcąc przepłukać sobie paszczę i zatopić napastniczki. Nieulękła 15 nakłania towarzyszkę, żeby podążyły w głąb przełyku. Ten zamyka się za nimi, by je przełknąć, chroniąc jednocześnie przed wodą, która wlewa się przez otwór gębowy.

Wydarzenia toczą się bardzo szybko. Zrozumiawszy, że mrówki nie zostały zatopione i że znajdują się w jego gardle, żółw przełyka trochę żółtawej wody, która spływa strumieniem do przełyku. 15 instynktownie orientuje się w geografii olbrzymiego organizmu. By uniknąć znalezienia się w żołądku pełnego żrących soków trawiennych, mrówki drążą żuwaczkami tunel łączący się z równoległym do przełyku korytarzem: tchawicą. Uff! Strumień wody mija je, nie czyniąc szkód. Tchawica jest gładka i pozbawiona śluzu, filtrujące powietrze rzęski spowalniają ich upadek. Łagodnie wpadają do płuc. Żeby nie dopuścić do powstawania wokół nich trujących kwasów mlekowych i sprawić, by zwierzę cierpiało jeszcze bardziej, doświadczona łowczyni 15 prowadzi swoje towarzyszkę w stronę serca. Mrówki siekają je żuwaczkami i, po kilku drgawkach, cielsko przestaje się ruszać.

Żółw z Florydy wypływa na powierzchnię, zadźgany od wewnątrz. Księżniczka 103 uważa, że nierozsądne byłoby teraz porzucenie potwora. Mógłby im posłużyć za statek jeszcze wygodniejszy niż nenufar. Mrówki mają wyjątkowy talent do robienia użytku z niemal wszystkiego, co pojawi się na ich drodze.

Cierpliwie drążą otwór u szczytu skorupy, by móc się tam ulokować. Zjadają nieco białego, energetyzującego mięsa. Po pewnym czasie powstaje okrągły otwór, w którym się zaszywają. Śmierdzi tam, co prawda, padliną, ale nie można przecież zbyt dużo wymagać.

Ponownie nawołują pływaki. Ponieważ te są co chwila pożerane, niczego się nie ryzykuje, oferując im góry pożywienia w zamian za pomoc. Pływaki zaczynają wiosłować. Są niezadowolone, bo żółw jest zdecydowanie cięższy niż nenufar. Księżniczka 103 daje im nieco utartego mięsa i przydziela dodatkowych wiosłarzy, by zwiększyć ich moc.

To nie statek wycieczkowy, lecz pancernik wojenny. Ciężki, opancerzony, wytrzymały i nieporęczny, lecz trzynaście belokanijek czuje się tam zdecydowanie bezpieczniej. Kontynuują podróż na południe, niesione z prądem. Wpływają w kolejną strefę mgły.

Dryfujący żółw o gniewnym spojrzeniu i ziejącej otchłanią paszczy budzi popłoch wśród innych owadów. Smród jego rozkładającego się cielska umacnia jeszcze tylko odstręczający efekt statku-widma z załogą mrówek-piratów.

16 staje na dziobie, na czubku głowy gargulca.

Statek można by wziąć za maszynę piekielną, gdyby nie kilka maleńkich par czułek, mniej lub bardziej wygiętych, które wystają z dziurawej skorupy.

96. DRUGI KONCERT

– Są młodzi, pełni energii i dziś wieczór przekonacie się, że was zachwycą. A teraz czas na rytm, czas na muzykę. Powitajmy gorącymi oklaskami Królową Śnieżkę i Siedmiu...

Usłyszał nagle jakieś poruszenie za plecami, odwrócił się więc. „Mrów-ki” – szeptali do niego wszyscy.

– Aha, bardzo przepraszam – podjął na nowo dyrektor centrum kultury. – Nasi przyjaciele zmienili nazwę zespołu. Tak więc powitajmy gorąco Mrów-ki. Jedziemy! Hm... a tera-a-a-a-z, przed wami... Mrówki!

W kulisach David powstrzymał swoich przyjaciół.

– Nie. Nie od razu. Trzeba poczekać, żeby jeszcze bardziej nas pożądali.

Zaimprovizował drobną inscenizację. Sceny jeszcze nie oświetlono, a sala wciąż była pogrążona w mroku i ciszy. Minęła cała minuta. Nagle głos Julie rozbrzmiał w ciemnościach. Śpiewała sama *a capella*.

Zaśpiewała jakąś melodię, bez słów, improwizowała. Jej głos był tak silny, tak potężny, tak gęsty, że wszyscy słuchali w całkowitym milczeniu.

Kiedy skończyła, tłum klaskał z całych sił.

Perkusja Ji-woonga zaczęła przyspieszać niczym palpitacje serca, tworząc z klaszczącym tłumem jeden rytm na dwa tempa. Pim, pam. Pim, pim, pam. Pim pam. Pim, pim, pam. Wydawało się wręcz, że Koreańczyk chce pociągnąć za sobą załogę galerników. Ręce unosiły się w narzuconym przez niego rytmie. Pim, pam. Pim, pim, pam.

Zapłonęły zapalniczki. Zwolnił nieco przechodząc ze stu na dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę.

Wtedy powoli Zoé zaczęła pracować na gitarze basowej. Perkusja działała teraz na klatkę piersiową, a gitara basowa z kolei zapanowała nad brzuchem. Jeśli w sali były kobiety w ciąży, drgania musiały dochodzić aż do najdalej położonych pęcherzyków płynu owodniowego.

Światło projektora padło teraz na Ji-woonga i na jego bębny. Inny projektor otulił niebieskim strumieniem Zoé.

Zielone światło tworzyło aureolę wokół Francine, siedzącą przed syntezatorem-organami, która zaintonowała pierwsze dźwięki *Symfonii z Nowego Świata* Dworzaka.

W tej samej chwili sala wypełniła się zapachem mżawki i świeżo skoszonej trawy.

– Trzeba zawsze zaczynać od klasycznych utworów, żeby pokazać, że nieobca nam jest również mądrość dawnych mistrzów – twierdził David. W ostatniej chwili zdecydował się na *Nowy Świat* zamiast na Bacha. Tytuł bardziej mu odpowiadał.

Spłynęło teraz żółte światło, a Léopold, grając na fletni Pana, przejął pałeczkę. Prawie cała scena była teraz oświetlona. Tylko jeden jej fragment, na samym środku, wciąż zanurzony był w mroku. W tej właśnie czarnej strefie niewyraźnie rysował się jakiś kształt.

Julie poprawiała strój i starała się wczekać na odpowiedni moment. Publiczność ledwie słyszała jej oddech przez przystawiony do jej ust mikrofon. Ten dźwięk również był ciepły i melodyjny.

W chwili, gdy kończył się wstęp do symfonii Dworzaka, przyszła kolej na Davida. Na swojej nasyconej dźwiękami elektrycznej harfie pociągnął partię solową graną wcześniej przez Léopolda. W jednej chwili klasyczny już utwór

przemierzył całe dziesięciolecia. Była to nowa symfonia z nowego-nowego świata.

Perkusista przyspieszył. Melodia Dworzaka przeobrażała się stopniowo w coś bardzo nowoczesnego i metalicznego. Tłum zaczął okazywać coraz większe zadowolenie.

David miał ich teraz na końcu swojej elektrycznej harfy. Za każdym razem, gdy przeciągał dłonią po strunach, wyczuwał dreszcze przechodzące po dywanie głów stojących przed nim.

Fletnia Pana pojawiła się znowu, żeby go wesprzeć.

Fletnia i harfa. Dwa najstarsze i najbardziej powszechnie wykorzystywane instrumenty. Fletnia dlatego, że każdy człowiek w czasach prehistorycznych musiał słyszeć wiatr świszczący w bambusowych tyczkach, harfa dlatego, że każdy człowiek w tych samych prehistorycznych czasach słyszał przecież dźwięk cięciwy. Z czasem dźwięki te wryły się w sercu ludzkich komórek.

I kiedy tak grali równocześnie na harfie i fletni, opowiadali najstarszą historię ludzkości.

A widzowie uwielbiają przecież, gdy opowiada im się historie.

Paul wyciszył nieco siłę głosu. Wciąż niewidzialna Julie przemówiła. Powiedziała:

– Na dnie wąwozu znalazłam książkę.

Projektor oświetlił olbrzymią księgę ustawioną za orkiestrą. Paul umiejętnie zaczął przewracać kolejne strony dzięki zainstalowanemu systemowi elektrycznych wyłączników. Sala klaskała.

– W tej księdze jest napisane, że trzeba zmienić świat. Księga mówi, że trzeba wywołać rewolucję... Tę rewolucję nazwano w niej „Rewolucją tych, którzy są najmniejsi”, „Rewolucją mrówek”.

Inny projektor oświetlił teraz mrówkę z polistyrenu, która poruszała sześcioma nóżkami i kiwała głową. Lampy, które zastępowały jej oczy, zapalały się powoli, ożywiając ją.

– Ta rewolucja jest czymś nieznanym do tej pory. Bez przemocy. Bez przywódców. Bez męczenników. Po prostu przejście od stetryczanego systemu do nowego społeczeństwa, w którym ludzie porozumiewaliby się ze sobą bez przeszkód i wspólnie realizowali nowe pomysły. W księdze są też teksty, które wyjaśniają, jak tego dokonać.

Podeszła na wciąż tonący w mroku środek sceny.

– Pierwszy z tych tekstów jest zatytułowany *Dzień dobry*.

Ji-woong zaczął szaleć na perkusji. Wszyscy podchwycili melodię, a Julie zaśpiewała:

Dzień dobry, nieznajomi.

Nasza muzyka to broń, żeby zmienić świat.

Nie śmiejcie się.

To się może stać.

Oślepiające białe światło spłynęło na Julie, która jak przepiękny owad uniosła do góry ręce i rozpostarła skrzydła motyla.

Paul włączył nadmuch i potężny strumień powietrza poruszał teraz skrzydłami, rozwiewając jej włosy. W tej samej chwili sala wypełniła się zapachem jaśminu.

Pod koniec pierwszego utworu publiczność była już wniebowzięta.

Paul wzmocnił natężenie światła projektorów. Teraz można było ujrzyć jeszcze wyraźniej ich przypominające owady stroje.

Zaraz potem grupa przeszła do *Egregora*. Wszyscy chcieli teraz dać z siebie to, co najlepsze i najmocniejsze. Julie zamknęła oczy i podała dźwięk, do którego dołączyli pozostali. Wspólnie nabierali coraz większej mocy. Odłożyli instrumenty i stali tak razem, cała ósemka, tworząc krąg na środku sceny, z zamkniętymi oczami, z ramionami wyciągniętymi nad głowę tak, jakby mieli anteny.

W tej samej chwili ich twarze uniosły się powoli, żeby ich głos wzniósł się jeszcze wyżej.

Magiczna chwila. Byli teraz jedną i melodyjną wibracją. A nad nimi, niczym olbrzymi balon, wznosił się ich śpiew.

Wszyscy uśmiechali się, śpiewając z przymkniętymi powiekami. Tak jakby ich ósemka była jednym głosem, który wędrował z jednej strony na drugą, niczym wielki jedwabny dywan zawieszony nad nimi i nad publicznością. Długo trwał ten cud ludzkiej polifonii, rozpościerając po kolei jedwabną płachtę głosów, nadając im wymiar nieporównanie wyższy niż w jakiegokolwiek pieśni.

Sala wstrzymała oddech. Nawet ci, którzy nie mieli pojęcia o tym, czym jest *Egregor*, byli zauroczeni tym niezwykłym przeżyciem.

Tak jak kiedyś Julie odczuwała radość i szczęście, śpiewając tym prostym

narzędziem, jakim jest krtań i dwie zwykłe, wilgotne struny głosowe. Jej gardło, wciąż skąpane w miodzie, budziło się.

Sala klaskała. Skończyli. Przez chwilę trwała cisza. Julie zrozumiała, że cisza, przed i po, jest równie ważna jak i śpiew.

Teraz przyszedł czas na nowe utwory: *Przyszłość należy do aktorów*, *Sztuka fugi*, *Cenzura*, *Noosfera*.

Ji-woong czuwał nad rytmem niczym naukowiec. Wiedział dobrze, że powyżej stu dwudziestu uderzeń na minutę muzyka podnieca publiczność, a poniżej tego progu uspokaja ją.

Zmieniał więc tempo, raz tak, raz inaczej, żeby wciąż zaskakiwać słuchaczy.

David dał znak, że czas powrócić do muzyki klasycznej w nowoczesnej interpretacji. Przeszedł więc do *Toccaty* Bacha, którą zagrał w wersji rockowej na swojej gitarze elektrycznej o nasyconej barwie.

Zachwycony tłum klaskał.

Wreszcie muzycy doszli do końca *Buntu mrówek*. Paul rozsiał po sali zapach wilgotnej ziemi przeplatany delikatnie cząbrem, laurem i szałwią.

Julie śpiewała swój tekst mocnym i zdecydowanym głosem. Pod koniec trzeciej zwrotki zabrzmiał nowy instrument, niezwykła i zaskakująca muzyka, jakby lekko skrzypiąca wiolonczela.

W lewym rogu sceny wąski strumyczek światła padł na polnego świerszcza leżącego na poduszce z czerwonego atlasu. Małeńki mikrofon przymocowany był do jego skrzydełek, a dzięki wzmacniaczowi jego śpiew przypominał coś na pograniczu gitary elektrycznej i pocierania łyżką o tarkę do sera.

Świerszcz z małeńką muszką wykonaną przez Narcisse rozpoczął solówkę. Jego nóżki przyspieszały coraz bardziej. Bas, na którym grała Zoé, i Ji-woong na perkusji podążali za nim z coraz większym trudem. Sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt, sto osiemdziesiąt uderzeń na minutę. Ten świerszcz rozwali chyba wszystko.

Wszyscy gitarzyści rockowi mogli wrócić do szkolnej ławy w akademii muzycznej, bo ten świerszcz wykonywał nieprawdopodobne riffy. Grał „nie ludzką muzykę”, muzykę „owadów”. Wzmocniona jeszcze przez najnowocześniejsze elektroniczne syntezatory, była czymś zupełnie niespotykanym. Nigdy przedtem ludzkie ucho nie słyszało takich dźwięków.

W pierwszej chwili całkowicie zaskoczona publiczność zamilkła, potem pojawiły się pierwsze oznaki entuzjazmu, który szybko wzrastał się wśród coraz bardziej zachwyconych słuchaczy.

David uspokoił się; wszystko szło dobrze. Chwila była naprawdę ważna – wymyślił nowy instrument: elektrycznego polnego świerszcza.

Żeby publiczność mogła lepiej widzieć grającego owada, Paul włączył kamerę wideo i projektor, który rzucał obraz grającego świerszcza na kartki olbrzymiej encyklopedii.

Julie śpiewała teraz w duecie ze świerszczem, dopasowując się do jego wibracji. Na swojej gitarze Narcisse także podjął dialog z owadem. Zupełnie tak, jakby cała grupa chciała podjąć rywalizację z tym sopranino. Świerszcz rozgrzewał się coraz bardziej.

W sali zapanował totalny szal.

Paul zaaplikował teraz widzom zapach żywicy sosnowej, a po chwili inny zapach, tym razem drzewa sandałowego. Oba zapachy nie gryzły się, lecz uzupełniały.

Coraz silniejsze drgania między płucami. Ręce podnosiły się same, dłonie uderzały rytmicznie o siebie. W głębi, na przedzie, między rzędami, dosłownie wszędzie, ludzie tańczyli przy solówce świerszcza. Nie sposób wytrzymać w bezruchu przy takim rytmie.

Publiczność była w ekstazie.

W pierwszym rzędzie dziewczyny z klubu aikido ocierały się o starych bywalców. Zamieniły swoje T-shirty z pierwszego koncertu na inne, na których, ponieważ nie było jeszcze takich w sprzedaży, same napisały flamastrem, starannie kaligrafując litery: Rewolucja mrówek – tytuł koncertu i nazwa grupy, która stała się ich idolem.

Świerszcz jednak, dla którego był to pierwszy publiczny występ, był coraz bardziej wyczerpany, przytłoczony żarem projektorów, w których świetle lśniły jego nóżki i wysychały jego błony śluzowe. Owszem, pośpiewałby jeszcze w promieniach słońca, lecz nie pod żarówkami. Światło było dla niego naprawdę za ciężkie. Wycieńczony, zatrzymał się na ostatniej frazie.

Julie przeszła więc teraz do następnej zwrotki, tak jak po zwykłej solówce na gitarze elektrycznej. Poprosiła, by o jeden ton ściszyć muzykę, podeszła do brzegu

sceny, stając tuż przed publicznością, i zaśpiewała:

Nic nowego pod słońcem.

Wciąż patrzimy tak samo na ten sam świat.

Nie, nie ma już wynalazków.

I nie ma już wizjonerów.

Zaskoczenie: sala zareagowała natychmiast i niczym echo ci z widzów, którzy byli na pierwszym koncercie, natychmiast jej odkrzyknęli:

– *Jesteśmy nowymi wizjonerami!*

Julie nie przewidziała takiej reakcji i tak wielkiego porozumienia. Dla tych wszystkich, którzy uczestniczyli w pierwszym koncercie, ta pieśń stała się nieomal hymnem. Oznaczała, że ten wieczór rozpoczyna się naprawdę w momencie, w którym za pierwszym razem zbyt wcześnie się zakończył. Julie rozgrzewała się coraz bardziej:

– Kim jesteśmy?

– *Jesteśmy nowymi wynalazcami!*

I bez żadnego znaku z jej strony widzowie zaintonowali hymn *Rewolucja mrówek*. Wcześniej usłyszeli go przecież tylko raz, a słowa znali już na pamięć. Julie nie mogła wyjść z podziwu. Ji-woong dał jej znak, żeby nie popuszczać teraz cugli i nadal mocno panować nad salą. Podniosła więc w górę pięść.

– Czy chcecie skończyć wreszcie ze starym światem?

Julie miała świadomość, że doszła do punktu, po przekroczeniu którego nie było już odwrotu. Zewsząd dochodził odgłos składanych i skrzypiących krzesełek. Ludzie wstawali unosząc w górę pięść.

– Chcecie rewolucji? Tu i teraz?

Potężna dawka adrenaliny, wyrażając jej lęk, jej podniecenie, jej pragnienia i ciekawość zalała jej mózg. Przede wszystkim nie tracić czasu na zastanawianie się. Pozwolić ustom przemawiać za nią samą.

– A więc chodźmy! – krzyknęła.

Balon pękł.

Natychmiast uniosła się potężna wrzawa. Jeden wielki i brutalny Egregor. Dywan uniesionych rąk zajął miejsce muzycznych oparów. Niszczycielski podmuch przebiegł przez zebranych widzów. Wszyscy wstali z miejsc.

Dyrektor centrum kultury próbował uspokoić nastroje. Wskoczył zza kulis, żeby chwycić za mikrofon.

– Bardzo was proszę, usiądźcie. Nie ruszajcie się stąd. Jeszcze nie jest późno, dopiero dwudziesta pierwsza piętnaście, a koncert ledwie się rozpoczął!

Sześciu osiłków z ochrony próbowało bezskutecznie zatrzymać napierający tłum.

– I co robimy? – Zoé szepnęła do Julie na ucho.

– Spróbujemy stworzyć... utopię – odpowiedziała młoda dziewczyna, przybierając wojowniczą minę i odrzucając w tył czarne włosy.

97. ENCYKLOPEDIA

UTOPIA TOMASZA MORUSA: Słowo „utopia” zostało wymyślone w 1516 roku przez Anglika Tomasza Morusa. W języku greckim „-u”, przedrostek o konotacji negatywnej, oraz „topos” – „miejsce” oznaczają zatem „miejsce nieistniejące” (dla niektórych słowo składałoby się z przedrostka „eu-” – co oznacza „dobry” i w takim wypadku „eutopie” oznaczałoby „w dobrym miejscu”). Tomasz Morus był dyplomatą, humanistą, przyjacielem Erazma, nadano mu też tytuł kanclerza królestwa Anglii. W książce zatytułowanej Utopia opisuje cudowną wyspę, którą nazywa właśnie Utopią i na której funkcjonuje idealne społeczeństwo, gdzie nikt nie wie, co to podatki, nędza, kradzież. Sądził, że podstawową cechą społeczeństwa „utopijnego” jest bycie społeczeństwem „wolnym”.

W taki oto sposób opisuje swój idealny świat: sto tysięcy ludzi żyjących na wyspie to obywatele tworzący rodziny. Pięćdziesiąt rodzin tworzy grupę, która wybiera swojego przywódcę, syfogranta. Syfogranci z kolei sami powołują radę, z której wybierają księcia z listy czterech kandydatów. Księżę wybierany jest dożywotnio, lecz gdyby przejawiał dążenie do tyranii, wówczas może zostać odsunięty od władzy. Jeśli idzie o wojny, to Utopia korzysta z usług najemników, tzw. Zapoletów. Żołnierze ci powinni zginąć wraz ze swoimi przeciwnikami podczas bitwy. W ten sposób narzędzie ulega samozniszczeniu, gdy się go używa. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa wojskowego puczu.

Na Utopii nie istnieje pieniądź, a każdy bierze na targu dla siebie to, co jest mu potrzebne. Wszystkie domy są identyczne. W drzwiach nie ma zamków i każdy

zobowiązany jest zmieniać dom co dziesięć lat, żeby nie skostnieć w swoich przyzwyczajeniach. Bezczynność jest tam zakazana. Nie ma tam kobiet zajmujących się jedynie domem, nie ma księży, nie ma szlachty ani lokajów, nie ma też żebraków. Dzięki temu dzień pracy może być zredukowany do sześciu godzin.

Wszyscy zobowiązani są pracować na roli przez dwa lata, żeby zaopatrzyć bezpłatny rynek.

W wypadku cudzołóstwa lub próby ucieczki z wyspy obywatel Utopii przestaje być człowiekiem wolnym i staje się niewolnikiem. Musi się wówczas podporządkować i staje się podległym swoim dawnym współobywatelom.

Tomasz Morus popadł w niełaskę w 1532 roku, gdyż sprzeciwił się rozwodowi Henryka VIII. Został ścięty w 1535 roku.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, t. III

98. ZDEWASTOWANA WYSPA

Mimo późnej pory nadal jest jasno i ciepło. Księżniczka 103 i dwanaście pozostałych mrówek nadal podążają w dół rzeki. Żadna ryba nie śmie zaatakować statku-żółwia. Od czasu do czasu eksploratorki zatrzymują się, żeby upolować strzałami z kwasu mrówkowego kilka wazek, które następnie zjadają na swoim pancerniku.

Zmieniają warty na dziobie okrętu, obserwując, co dzieje się przed nimi. Księżniczka 103 stoi na głowie martwego zwierzęcia, gdy nagle zauważa wodnego pająka, który zanurza się w wodzie wraz z pęcherzykiem powietrza owiniętym w jedwabną nić. Posłuży mu on za batyskaf.

Wystarczy się przyglądać, żeby móc zachwycać się wszystkim, co nas otacza.

Niewiele jest owadów, które mają ochotę zbliżyć się do tego okrętu rodem z koszmaru. Płynący tuż pod powierzchnią żuk ma czworo oczu. Jedna para obserwuje to, co nad, a druga to, co pod wodą. Ma dzięki temu podwójny obraz dziwnego statku. Nie może pojąć, dlaczego na tym żółwiu znajdują się mrówki, a pod nim pływaki. W rezultacie uznaje, że najlepszym rozwiązaniem będzie trzymanie się od niego z daleka i zjedzenie kilku wodnych pcheł.

Napotkane nieco dalej długie trawy spowalniają pęd łodzi. Mrówki muszą

przepychać się przez nie, używając bosaków. Spływ srebrną rzeką trwa dalej.

Mgła rzednie.

– *Ziemia na horyzoncie!* – obwieszcza 12, pełniąca akurat wachtę.

Poprzez snującą się mgłę księżniczka 103 rozpoznaje w oddali wyspę akacjową.

A więc tym sposobem rzeka zaprowadziła je do 24.

24.

Księżniczka 103 pamięta 24, tak nieśmiałą i małomówną. Podczas krucjaty przeciwko Palcom zawsze trzymała się z tyłu i miała zły zwyczaj gubienia drogi, co niejedną raz opóźniło oddział. Gubienie się było niczym druga natura tej małej bezpłciowej wojowniczką. Gdy odkryta została wyspa akacjowa, 24 oznajmiła:

– *Mam już dość wiecznego gubienia się. Ta wyspa wydaje mi się idealnym miejscem na założenie nowej społeczności stworzeń dobrej woli, tu i teraz.*

Trzeba dodać, że wyspa akacjowa wzięła swoją nazwę od wielkiej akacji, która na niej rosła. Roślina ta żyje w całkowitej symbiozie z mrówkami. Są potrzebne, by bronić jej przed atakami gąsienic, mszyc i innych insektów żywiących się jej sokiem. Chcąc zachęcić mrówki do zadomowienia się w nim, drzewo ma pod korą całą sieć korytarzy. Co więcej, do niektórych komnat sączy się substancja idealna do karmienia młodych. Ciężko wprost uwierzyć, że roślina mogła dopasować swój organizm do współpracy z mrówkami.

103 zawsze była zdania, że istnieje więcej różnic między drzewem akacji a mrówką niż między mrówką a Palcem. Skoro więc mrówkom udaje się żyć w symbiozie z drzewami, dlaczego nie byłoby to możliwe w wypadku Palców?

Dla 24 wyspa to istny raj. Miała nadzieję, że w cieniu tego olbrzymiego i opiekuńczego drzewa uda jej się założyć utopijną społeczność opierającą się na jednej zasadzie: zamiłowaniu do pięknych opowieści. Insekty, które zdecydowały się zamieszkać na wyspie, rozwinęły bowiem pewną nową manię: wymyślanie zachwycających czułości historii. Ich życie składało się z polowań – jedynie w celu zdobycia niezbędnego pożywienia – i jedzenia, resztę czasu poświęcały na wymyślanie bajek.

Księżniczka 103 cieszy się, że nurt rzeki doprowadził je w to miejsce, do dawnej przyjaciółki. Zastanawia się, jak utopijna społeczność ewoluowała od czasu, gdy się rozstały. Opiekuńcze drzewo góruje nad wyspą niczym wielki symbol spokoju i przyjaźni.

Jednak w miarę jak trzynaście podróżniczek zbliża się do wyspy, dziwne przecucie ogarnia księżniczkę.

Dziób pancernika obija się o ciemne kształty: zwłoki mrówek. Ich ciała noszą ślady pocisków z kwasu mrówkowego. To nie wróży niczego dobrego...

Wszystko jest martwe. Drzewo akacjowe pożerają mszyce. Księżniczka daje znak pływakom, żeby zacumowały przy brzegu. Mrówki wciągają statek-żółwia na plażę. Nawet trytony i salamandry, które mieszkały w pobliżu, zostały zgładzone. Przeżyła tylko jedna mrówka, której nóżki i odwłok amputowano. Wije się niczym robaczek.

Podróżniczki próbują wydobyć od ocalałej informację o tym, co tu się wydarzyło. Okazuje się, że niespodziewanie zaatakowały je karłowate. Ich armia wyruszyła z krucjatą w stronę wschodu. Za namową królowej Shi-gae-pou mają zamiar podbić położone tam odległe krainy.

– *To by wyjaśniało, dlaczego na naszej drodze spotkałyśmy ich zwiadowczynie* – zauważa 5.

Księżniczka 103 zachęca konającą do dalszych zeznań.

Zwiadowczynie mrówek karłowatych zauważyły wyspę i wtargnęły na nią. Przyjaciele 24, pochłonięci opowiadaniem sobie zmyślonych historii, stracili zupełnie zdolność walki i bronięcia się w rzeczywistym świecie. Dla zwierzęcia, które nie potrafi walczyć, jedynym sposobem na ratunek jest ucieczka. To była masakra. Tylko 24 i towarzysząca jej mała grupka mrówek zdołała umknąć napastniczkom i schronić się wśród trzciny przy zachodnim brzegu wyspy. Jednak karłowate otaczają je, z zamiarem wymordowania wszystkich.

Okaleczoną mrówką wstrząsa dreszcz. Umrzeć w trakcie zdawania relacji będzie wspaniałą formą śmierci dla mrówki należącej do społeczności, którą jednoczyło zamiłowanie do opowiadania i słuchania.

Księżniczka 103 wspina się na sam szczyt akacji i wysuwa czułki, chcąc przechwycić dochodzące z daleka informacje. Wykorzystując nowe możliwości, jakie zdobyła jako płciowa mrówka, stara się odszukać wśród trzciny wszystkich, którym udało się przeżyć na wyspie akacjowej.

Udaje jej się zlokalizować ocalałych w miejscu, które wskazała konająca mrówka. Tymczasem wojowniczkę z królestwa karłowatych otaczają ich, zbliżając się na nenufarach i ostrzeliwując salwami kwasu mrówkowego, gdy tylko jakaś

rudnica ośmieli się wystawić czubek czułka z traw. Księżniczka 103 zauważyła, że karłowate nadrobiły zaległości. Jeszcze jakiś czas temu nie potrafiły wykorzystywać swojego gruczołu jadowego jako strzelby na kwas mrówkowy.

103 przypomina sobie, że karłowate – mniejsze i bardziej płodne – posiadają również zdolność szybszego uczenia się niż rude mrówki leśne. Już chociażby fakt, że te mrówki (które Palce nazywają mrówkami argentyńskimi, uważając, że zostały one przypadkiem przywleczone w donicach z oleandrami mającymi ozdobić drogi Lazurowego Wybrzeża), przybyłe wbrew ich woli do odległej krainy, zdołały przystosować się do życia w lesie Fontainebleau, świadczy o ich inteligencji. Czarne mrówki oraz mrówki żniwiarki słono zresztą zapłaciły za chęć zaatakowania nowo przybyłych – bardzo szybko zostały wyeliminowane.

103 zawsze była zdania, że pewnego dnia karłowate zostaną władczyniami lasu. Należało jednak odsunąć ten moment jak najbardziej w czasie, wprowadzając nowe technologie, ryzykując, eksplorując, testując nowe pomysły.

Gdyby mrówki rudnice odsłoniły choćby jeden słaby punkt, karłowate natychmiast wysłałyby je na śmietnisko, jako przestarzały gatunek.

Na razie z ich powodu cierpi 24 i towarzyszki jej utopijnego życia. Trzeba im pomóc. Księżniczka 103 ponownie spuszcza na wodę żółwia-pancernika. Eksploratorki napędniają się kwasem mrówkowym, gotowe wytoczyć ciężką artylerię. Za nimi pływaki ustawiają się rzędem, gotowe skierować żółwia-fregatę wojenną w stronę trzciny i nenufarów, gdzie toczy się bitwa morska.

Księżniczka 103 unosi czułki. Widzi teraz dokładnie przeciwniczki. Mrówki karłowate zajęły pozycje na wielkich, białych i różowych płatkach okolicznych nenufarów. 103 stara się je policzyć. Jest ich co najmniej setka.

Biorąc pod uwagę to, że na jedną rudnicę przypada dziesięć karłowatych, zwycięstwo może okazać się niełatwą sprawą. Pływaki pełną parą prą do przodu. Gdy tylko pojawiają się w polu widzenia karłowatych, znad płatków nenufarów wysuwają się gotowe do strzału odwłoki. Jest ich znacznie więcej niż sto. Pada gęsta salwa kwasu mrówkowego. Trzynaście mrówek rudnic zmuszonych zostaje do schronienia się w głębi pancernego żółwia, by uniknąć śmiertelnych strzałów.

103 ośmiela się wysunąć głowę z ukrycia i strzelić. Jej ofiarą pada jedna karłowata, lecz w jej kierunku padają pociski ze strony przynajmniej pięćdziesięciu przeciwniczek.

13 sugeruje, by wbić się w masę nieprzyjaciela statkiem-żółwiem, a następnie rzucić się na liście nenufarów i walczyć z nimi przy użyciu żuwaczek. Tym sposobem rudnice mogłyby wykorzystać przewagę, jaką daje im ich wzrost. 5 unosi czułki, powietrze jest gęste i wilgotne. Będzie padać.

Nikt nie jest w stanie walczyć z deszczem.

Okręt zawraca więc w stronę wyspy, a mrówki szukają schronienia w głębi akacji, która jeszcze przez jedną noc posłuży im za dom. Młode drzewo nie zna feromonowego języka owadów, lecz całym sobą – zapachem soków – manifestuje swoją radość, że może im służyć gościnnie.

Trzyście eksploratorek czym prędzej znika w żywych korytarzach i zabiera się za oczyszczanie drzewa z niszczących je pasożytów. To żmudna praca. Są tam i robaki, i mszyce, i żuki, takie jak tykotek pstry, zwany tak, gdyż drążąc drewno, wydaje z siebie odgłos przypominający tykanie zegara. Rude wojowniczkę wyłapują jednego po drugim. A następnie zjadają. Akacja może odetchnąć z ulgą, wracają jej siły do życia. Żeby podziękować mrówkom, wydziela sok, który służy im za wyjątkowy sos do mięsa. Być może w tym właśnie momencie narodziła się myrmeczeńska sztuka kulinarna.

Na zewnątrz pada deszcz; można się było tego spodziewać po nadciągających czarnych chmurach. Gwałtowna wiosenna burza. Mrówki zaszywają się w najgłębsze zakamarki przyjacielskiego drzewa.

Grzmot. Światło błyskawicy wpada na ułamek sekundy przez otwory w drzewie. Księżniczka 103 przygląda się temu wspaniałemu widokowi szalejącego nieba poskramiającego ziemską naturę. Wiatr przygniata drzewa, śmiertelne krople chłostają beztroskie owady, które zbyt późno pomyślały o poszukaniu schronienia.

Na szczęście 24 i jej towarzyszkę są bezpieczne w wydrążonych żdźbłach trzciny.

Burza. Błyskawice oślepiają 103. Huk grzmotów zdaje się dochodzić spoza warstwy chmur. Nawet Palce są bezsilne w obliczu tego żywiołu. Trzy równoległe rysy przeszywają ciemność, zalewając wszystko wokół białym światłem. Kwiaty, drzewa, liście i powierzchnia wody lśnią, rzucając olbrzymie, czarne cienie. Po chwili wszystko odzyskuje swój naturalny kolor. Nawet zwykły żonkil w czasie burzy wygląda niepokojąco. Migoczą liście na gałęziach wierzby płaczącej. W pewnej chwili, gdy wydaje się, że burza powoli cichnie, rozlega się ogłuszający

huk. Jedna po drugiej błyskawice przecinają czarne jak węgiel niebo. Nawet pajęczyny przeobrażają się w białe okręgi; ich spanikowani właściciele biegną we wszystkich kierunkach.

Po krótkiej przerwie niebo pęka ponownie. Wszystkie zmysły informują mrówki, że burza zbliża się. Po błyskawicach coraz szybciej rozlegają się grzmoty. Belokanijki przytulają się do siebie.

Naraz drzewem wstrząsa uderzenie. Jak gdyby zostało porażone prądem. Gwałtowny szok powoduje, że kora zaczyna drżeć. 5 skacze na równe nóżki, przerażona.

– *Pożar!*

Błyskawica trafiła akację, która zajęła się ogniem. Czubek drzewa ogarnia świetlista łuna, spływające po korze soki świadczą o jego cierpieniu. Eksploratorki nie mogą zrobić nic, by mu pomóc. W zranione korytarze zaczyna wdzierać się trujące powietrze.

Zdopingowane przez wysoką temperaturę mrówki pędzą w dół, ku korzeniom, rozkopują ziemię zuwaczkami, szukając schronienia przed wodą i ogniem. Łebki oblepia im mokry piasek, przez co wyglądają na potwory o kwadratowych głowach.

Znajdują odpowiednią kryjówkę i czekają.

Akacja płonie i wykrzykuje swój ból konającego, wydzielając cuchnące soki. Jej gałęzie zaciskają się, jak gdyby drzewo miało zamiar wykonać taniec cierpienia. Temperatura rośnie. Na zewnątrz płomienie są tak wysokie, że mrówki dostrzegają blask przez warstwę piasku nad ich głowami.

Drzewo spala się bardzo szybko, a następnie dotkliwy chłód ogarnia okolicę. Sklepienie z piasku zeszkliło się i eksploratorkom nie udaje się przebić przez tę warstwę za pomocą zuwaczek. By się wydostać, muszą wykopać dość długi tunel.

Deszcz ustał równie szybko, jak się pojawił. Okolica jest w oplakany stanie. Jedynym bogactwem małej wyspy była właśnie akacja, zmieniona teraz w szary popiół.

6 zwołuje pozostałe. Chce im coś pokazać.

Mrówki podążają w stronę otworu w ziemi, w którym miota się czerwone zwierzę, oddychające głęboko. Nie, to nie zwierzę. To także nie roślina ani nie minerał. 103 natychmiast rozpoznaje, co to jest. To rozżarzony węgiel. Wpadł do

ziemi, a inne węgielki ochroniły go przed deszczem.

6 wysuwa nóżkę. Pazurkami dotyka czerwonopomarańczowej materii i – o zgrozo – pazurki się topią. Przerazający widok: jej prawa nóżka się rozplywa. W miejscu, gdzie znajdowała się nóżka i dwa pazurki, sterczy jedynie idealnie zaokrąglony kikut.

Eksploratorka czyści go za pomocą dezynfekującej śliny.

– *To mógłby być sposób na pokonanie mrówek karłowatych* – stwierdza księżniczka.

Wszystkie mrówki drżą z zaskoczenia i strachu.

– *Ogień?*

103 wie, że to, czego się nie zna, budzi przerażenie. Nalega jednak: ogień można wykorzystać. 5 zauważa, że przecież nie można go dotykać: 6 już za to zapłaciła wysoką cenę. 103 wyjaśnia, że są pewne zasady, których należy przestrzegać. Węgielek można przenieść, chociaż rzeczywiście nie da się go dotykać bezpośrednio: trzeba go położyć na wklęsłym kamieniu. Ogień nic mu nie robi.

Czego jak czego, ale takich kamyków nie brakuje na wyspie. Trzynastu mrówkom, przy użyciu długich patyczków służących za lewarki, udaje się unieść węgielek i ułożyć na kawałku krzemienia. Wygląda on teraz jak przepiękny rubin w puzderku.

Księżniczka 103 wyjaśnia, że ogień jest potężny, lecz zarazem też delikatny. Paradoks polega na tym, że ma moc niszczenia drzew, a nawet całego lasu wraz z jego mieszkańcami, mimo to najdelikatniejszy podmuch wywołany biciem skrzydeł muchy może go zgasić.

– *Ten ogień wydaje się ciężko chory* – zauważa doświadczona wojowniczką, wskazując czerniejące plamy na węgielku, oznaki złego zdrowia dla jakiegokolwiek płomienia. Trzeba wzniecić w nim ponownie życie.

W jaki sposób? Rozmnażając go. Ogień rozmnaża się przez dotyk. Rozpala się suchy liść. Nie ma ich co prawda zbyt wielu wokoło, lecz udaje się znaleźć jeden pod ziemią, dzięki niemu mrówki otrzymują żółte widmo. Dziecko-płomień robi zdecydowanie większe wrażenie niż jego matka-węgielek.

Większość mrówek nigdy nie widziała ognia: wycofują się, przerażone.

Księżniczka 103 błaga je, żeby się nie oddalały. Unosi wysoko czułki i nadaje wyraźne feromonowe przysłowie:

NASZYM JEDYNYM PRAWDZIWYM WROGIEM JEST STRACH.

Wszystkie mrówki znają znaczenie i historię tego zdania. „Naszym jedynym prawdziwym wrogiem jest strach” to ostatnie zdanie, jakie wypowiedziała 234 – królowa Belo-kiu-kiuni z dynastii Ni mrówek rudnic, osiem tysięcy lat temu. Nieszczęsna władczyni wyemitowała to zdanie, topiąc się w czasie próby poskromienia pstrągów. Królowa Belo-kiu-kiuni liczyła, że uda jej się doprowadzić do porozumienia między mrówkami a tym gatunkiem ryb. Od tego czasu wszelkie kontakty z rybim społeczeństwem zostały zerwane, mimo to zdanie zapamiętano, jak okrzyk wiary w nieskończone możliwości mrówek.

– *Naszym jedynym prawdziwym wrogiem jest strach.*

Płomień wznosi się wysoko, żeby się następnie skurczyć.

– *Trzeba przenieść ogień na jakiś trwalszy materiał* – sugeruje 6, niechowająca urazy wobec żywiołu.

A zatem mrówki tworzą małe palenisko i pielęgnują płomień w kamiennej miseczce, przenosząc go z suchego liścia na suchą gałązkę, z gałązki na kawałek drewna... Idąc za radą księżniczki 103, mrówki wrzucają do ognia kawałki gałązek, które zostają natychmiast pożarte przez żarłoczny płomień.

Otrzymaany w ten sposób żar zostaje następnie przełożony do małych wklęsłych kamieni wykopanych spod ziemi. 6, mimo okaleczonej nóżki, okazuje się najlepszym inżynierem ognia. Ponieważ sama go dotknęła, wie już, jak sobie z nim radzić. Pod jej czujnym okiem pozostałe gromadzą cenne płomienie.

– *Oto w jaki sposób zaatakujemy karłowate!* – wykrzykuje księżniczka 103.

Zmierzcha się, lecz produkcja ognia nadal fascynuje mrówki. Umieszczają na okręcie-żółtciu osiem wklęsłych kamyczków, każdy wypełniony czerwonym żarem. Księżniczka 103 unosi czułki i rzuca ostre, feromonowe hasło:

– *Do ataku!*

99. ENCYKLOPEDIA

KRUCJATA DZIECIĘCA: W Europie Zachodniej pierwsza dziecięca krucjata nastąpiła w 1212 roku. Mali pyszałkowie rozumowali w taki oto sposób: „Dorośliśmy i szlachcie nie udało się wyzwolić Jerozolimy dlatego, że ich umysły były nieczyste. Tymczasem my, jako dzieci, jesteśmy istotami czystymi”. Ten poryw entuzjazmu objął swoim zasięgiem głównie Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego.

Grupa dzieci wyruszyła, wędrując drogami, które doprowadzić je miały do Ziemi Świętej. Nie miały jednak żadnych map. Wyobrażały sobie, że kierują się na wschód, gdy tymczasem szły na południe. Przeszły przez dolinę Rodanu, a tymczasem ich liczba wzrosła do kilku tysięcy.

Po drodze rabowały i łupili chłopów.

Nieco dalej, powiedzieli im mieszkańcy wiosek, dotrzecie do morza. To uspokoiło dzieci, były bowiem przekonane, że tak jak przed Mojżeszem, morze rozstąpi się, aby pozwolić dziecięcej armii przejść suchą stopą i dotrzeć aż do Jerozolimy.

Wszyscy dotarli do Marsylii, jednak morze się przed nimi nie rozstąpiło. Daremnie czekali w porcie aż do dnia, w którym dwóch Sycylijczyków zaproponowało im podróż do Jerozolimy statkiem. Dzieci pomyślały, że nastąpił cud. Lecz cudu nie było. Dwaj Sycylijczycy byli powiązani z bandą tunezyjskich piratów i zamiast w Jerozolimie, dzieci znalazły się w Tunisie, gdzie sprzedano je na targu jako niewolników, i to za niezłą cenę.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

100. WIELKI KARNAWAŁ

– Nie ma na co czekać. Chodźmy! – rzucił jakiś głos spośród widzów.

Julie nie wiedziała, dokąd doprowadzi ją ten zryw, lecz jej ciekawość zwyciężyła.

– Ruszajmy! – przytaknęła.

Dyrektor centrum kultury błagał wszystkich, by pozostali grzecznie na swoich miejscach.

– Spokój! Proszę o spokój, to przecież tylko koncert.

Ktoś wyłączył mu mikrofon.

Julie razem z Siedmioma Krasnoludkami znalazła się na ulicy otoczona przez niewielki i rozentuzjasmowany tłum. Należało szybko znaleźć jakiś cel, nadać jakiś kierunek temu maszerującemu tłumowi.

– Do liceum – krzyknęła Julie. – Tam robimy zabawę!

– Do liceum – powtórzyli za nią inni.

Poziom adrenaliny podnosił się coraz bardziej w żyłach piosenkarki. Żaden papieros z marihuaną, żaden alkohol, żaden narkotyk nie byłyby w stanie wywołać

takiego efektu. Była naprawdę mocno podkrecona.

Teraz, kiedy nie była już oddzielona od swojej publiczności światłami ramp, Julie widziała z bliska twarze. Byli tam ludzie w różnym wieku, mniej więcej tyle samo kobiet co mężczyzn, zarówno ludzie bardzo młodzi, jak i osoby dojrzałe. Razem zebrało się może pięćset osób, które tłoczyły się wokół nich, tworząc wielką i wielobarwną procesję.

Julie zaintonowała *Rewolucję mrówek*. Wokół nich śpiewano i kołysano się, idąc, niczym w karnawałowej sarabandzie, wzdłuż głównej alei Fontainebleau.

– *Jesteśmy nowymi wynalazcami. Jesteśmy nowymi wizjonerami!* – skandowali wspólnie jednym głosem.

Dziewczyny z klubu aikido zaimprovizowały naprędce służbę porządkową, która od razu uniemożliwiła przejazd samochodów, gdyż mogłoby to zaburzyć całą zabawę. Wkrótce wielka aleja była zablokowana, a grupa rockowa i jej fani podążali bez przeszkód przed siebie. Tłum stale gęstniał. W końcu wieczorem w Fontainebleau nigdy nie było zbyt wielu atrakcji. Jacyś gapie dołączyli do tłumu, dopytując się, o co chodzi.

Żadnych plakatów. Żadnych transparentów na przedzie pochodu, same tylko dziewczyny i chłopcy tańczący w rytmie solówek granych na harfie i flecie.

Gorącym i mocnym głosem Julie wykrzykiwała:

*Jesteśmy nowymi wynalazcami,
Jesteśmy nowymi wizjonerami!*

Była ich królową i ich idolką, ich czarującą syreną, ich Pasionarią. Co więcej, wprowadzała ich w trans. Była ich szamanką.

Julie upajała się swoją popularnością, upajała się otaczającym ją tłumem, który unosił ją coraz dalej i wyżej. Nigdy dotąd nie czuła się tak „mało samotna”.

Pierwszy kordon policjantów stanął im nagle na drodze, a dziewczyny z pierwszych rzędów pochodu podeszły do nich i zastosowały zaskakującą strategię: okryły policjantów pocałunkami.

I jak tu walić pałą w takich okolicznościach? Kordon stróżów ustalonego porządku rozproszył się. Nieco dalej policyjny wóz podjechał bliżej, lecz wobec

rozmiarów tego, co się działo, czym prędzej odjechał.

– To jest zabawa! – krzyczała Julie. – Panie i panowie, wyjdźcie na ulicę, zapomnijcie o waszych troskach i dołączcie do nas!

Sporo okien się otworzyło. Ludzie wychylali się, żeby przyjrzeć się tej długiej wielobarwnej kohorcie.

– Czego żądacie? – zapytała jakaś starsza pani.

– Niczego. Niczego nie żądamy – odpowiedziała jedna z amazonek z klubu aikido.

– Niczego? Jeżeli niczego nie żądacie, to nie jest żadna rewolucja!

– A właśnie że tak, proszę pani. I to jest oryginalne. Jesteśmy pierwszą rewolucją bez żądań.

Zupełnie jakby widzowie nie zgadzali się z tym, że zabawa ograniczy się do dwóch godzin muzyki, za którą zapłacili sto franków od osoby. Wszyscy pragnęli, by rozlała się ona w czasie i przestrzeni. Pełną piersią śpiewali na nowo:

Jesteśmy nowymi wizjonerami.

Jesteśmy nowymi wynalazcami!

Wśród tych, którzy do nich dołączali, byli też i muzycy ze swoimi instrumentami; ci, którzy chcieli stanowić część tej orkiestry. Inni przynieśli jakieś przyrządy kuchenne zastępujące bębny i pałeczki. Inni znowu rzucali serpentynami i confetti.

Tak jak nauczył ją tego stary nauczyciel śpiewu, Julie nadała teraz swojemu głosowi najmocniejsze brzmienie, a wszyscy wokół powtarzali za nią. Razem udało im się niemal osiągnąć Egregor na pięćset głosów, a całym miastem wstrząsały wibracje ich pieśni:

Jesteśmy nowymi wizjonerami,

Jesteśmy nowymi wynalazcami!

Jesteśmy małymi mrówkami, które będą podgryzać stary stetryczały świat.

101. ENCYKLOPEDIA

DZIECIĘCA REWOLUCJA W CHENGDU: Do 1967 roku Chengdu, stolica

chińskiej prowincji Syczuan, było spokojnym miastem. Położone na wysokości 1000 metrów na zboczu łańcucha Himalajów, to stare i ufortyfikowane miasto liczyło trzy miliony mieszkańców, którzy w większości nie wiedzieli, co dzieje się w Pekinie czy Szanghaju. Ale już w tym czasie te dwie wielkie metropolie zaczynały być coraz bardziej przeludnione, Mao Zedong postanowił więc usunąć z nich pewną liczbę mieszkańców. Rozdzielano rodziny, wysyłając rodziców na wieś, aby poddać ich reedukacji przez pracę w polu, a dzieci wysyłano do ośrodków szkolenia Czerwonej Gwardii, żeby zrobić z nich dobrych komunistów. Ośrodki te były zwykłymi obozami pracy. Warunki życia były tam szczególnie ciężkie, a dzieci bardzo źle żywiono. Eksperymentowano na nich żywność celulozową uzyskaną z trocin, co sprawiało, że dzieci umierały jak muchy.

Tymczasem w Pekinie rozgorzały pałacowe bitwy. Lin Piao, uważany za oficjalnego następcę Mao, przywódca Czerwonej Gwardii, popadł w niełaskę. Kierownictwo partii skłoniło więc młodych ludzi z Czerwonej Gwardii do zbuntowania się przeciw strażnikom. Subtelne i typowo chińskie rozumowanie: w imię maoizmu dzieci miały teraz uciec z maoistowskich obozów i okładać ciosami swoich instruktorów.

Gdy znalazły się już na wolności, dziecięca Czerwona Gwardia rozpieczęta się po całym kraju pod pretekstem głoszenia myśli Mao Zedonga i sprzeciwiając się skorumpowanemu państwu – w rzeczywistości większość z nich myślała jednak przede wszystkim o tym, jak uciec z Chin. Szturmem zdobywali dworce i wyruszali na zachód, gdzie według krążących pogłosek istniała możliwość nielegalnego przekroczenia granicy i przedostania się na terytorium Indii. Tymczasem wszystkie pociągi jadące na zachód musiały zatrzymać się na stacji końcowej w Chengdu. I do tego właśnie miasta, położonego w górach, dotarły tysiące „skautów” w wieku od trzynastu do piętnastu lat. Początkowo wszystko toczyło się w miarę normalnie. Dzieci opowiadały, jak wiele wycierpiały w obozach Czerwonej Gwardii, a mieszkańcy Chengdu okazywali im litość. Odżywiono ich, dano im namioty i koce, żeby się ogrzały. Lecz kolejne fale dzieci wysypywały się na dworcu w Chengdu. Z tysiąca uciekinierów zrobiło się wkrótce dwieście tysięcy.

By spełnić ich oczekiwania, nie wystarczała już teraz dobra wola mieszkańców miasta. Ci sklepikarze, którzy nie pozwalali się okradać, byli atakowani. Poskarżyli się więc burmistrzowi miasta, który jednak nie miał wystarczająco dużo

czasu, by zareagować, gdyż dzieci zjawiły się u niego, zmuszając do złożenia publicznej samokrytyki. Po tym zaś został pobity i wypędzony z miasta.

Dzieci zorganizowały wybory na nowego burmistrza i wysunęły swojego kandydata, pyzatego trzynastoletniego chłopczyka wyglądającego na nieco starszego i obdarzonego na tyle silną charyzmą, że zdobył szacunek i posłuch Czerwonej Gwardii. Miasto pokryto plakatami nawołującymi wyborców do głosowania na niego. Ponieważ nie był dobrym mówcą, o jego planach można było jedynie przeczytać w gazetkach dazibao. Wygrał bez trudu, po czym powołał rząd dzieci, z których najstarsze było radnym miejskim w wieku lat piętnastu.

Kradzież nie była już od tej pory przestępstwem. Na wszystkich sklepikarzy nałożono wymyślony przez nowego burmistrza podatek. Każdy mieszkaniec miasta musiał znaleźć u siebie miejsce dla czerwonogwardzistów. A ponieważ miasto było odizolowane od reszty kraju, nikt nie wiedział o wyborczym zwycięstwie dzieci. Mieszkańcy niepokoił się jednak coraz bardziej i postanowili wysłać delegację do prefekta regionu. Ten ostatni potraktował sprawę bardzo poważnie i zwrócił się do władz w Pekinie, aby wysłały armię w celu zdławienia powstania. Przeciw dwustu tysiącom dzieci stolica wysłała setki czołgów i tysiące uzbrojonych po zęby żołnierzy. Rozkaz brzmiał: „Zabić wszystkie osoby poniżej piętnastego roku życia”. Dzieci próbowały bronić się w mieście otoczonym pięcioma murami obronnymi. Mieszkańcy Chengdu odmówili im jednak pomocy i wsparcia. Myśleli przede wszystkim o tym, by chronić własne dzieci, starając się znaleźć dla nich kryjówki w górach. Przez dwa dni toczyła się wojna między dorosłymi a dziećmi. W końcu Czerwona Armia musiała przeprowadzić naloty bombowe, żeby zlikwidować ostatnie gniazda oporu. Wszystkie dzieci zostały zabite.

Całą tę sprawę przemilczano, gdyż wkrótce potem prezydent Stanów Zjednoczonych Richard Nixon spotkał się z Mao Zedongiem i był to czas, gdy starano się unikać krytykowania Chin.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

102. WYSADZAMY W POWIETRZE TAJEMNICZĄ PIRAMIDĘ

– Tym razem wysadzimy ją wreszcie w powietrze!

Maximilien i jego policjanci powrócili i otoczyli tajemniczą piramidę.

Komisarz postanowił działać nocą, gdyż według niego wtedy skuteczniej można było zaskoczyć we śnie mieszkańca lub mieszkańców tej budowli.

Oddział oświetlał piramidę kieszonkowymi latarkami. Ponieważ nie było jeszcze całkiem ciemno, wzięli je tylko na wszelki wypadek. Niczym marynarze na pełnym morzu, policjanci założyli ochronne ubrania z brezentu i tym razem mieli ze sobą wzmocniony kabel elektryczny, żeby żadne szczęki nie były już w stanie go przegryźć. Maximilien właśnie zamierzał zarządzić odpalenie ładunków, kiedy nagle usłyszał brzęczenie.

– Uwaga na pszczołę! – krzyknął komisarz. – Chrońcie szyje i dłonie.

Jeden z policjantów wyciągnął pistolet i wycelował. Cel jednak był zbyt mały. W chwili gdy celował, mężczyzna odsłonił fragment ciała i natychmiast został ukąszony.

Owad ukąsił jeszcze innego policjanta, a potem odleciał, żeby oddalić się na bezpieczną odległość od przeczesujących powietrze rąk. Wszyscy z niepokojem przyczaili się, nasłuchując, czy nie dotrze do nich najdrobniejszy choćby dźwięk wydawany przez pszczoły.

Tymczasem owad zaskoczył ich, a ściślej trzeciego z policjantów, okrążając jego prawe ucho i wbijając żądło w żyłę szyjną. Mężczyzna osunął się na ziemię.

Maximilien zzuł but, uniósł go do góry i jak za pierwszym razem, udało mu się trafić pszczołę w pełnym locie. Heroiczny napastnik padł nieżywy na ziemię. Tam, gdzie rewolwer okazał się nieskuteczny, podeszwa buta nadal była w stanie czynić spustoszenie.

– Dwa do zera.

Przyglądał się teraz swojej ofierze. To nie była pszczoła – owad przypominał raczej latającą mrówkę. Z lubością rozgniół owada podeszwą.

Ci, którzy przeżyli, starali się pomóc swoim kolegom leżącym na ziemi. Potrząsali nimi, żeby nie pozwolić im zasnąć. Maximilien postanowił przyspieszyć moment wybuchu, aby zdążyć, zanim pojawią się kolejni – niewielcy wprawdzie, lecz jakże niebezpieczni – obrońcy.

– Wszystkie ładunki gotowe?

Saper sprawdził zaciski na zapalniku i czekał teraz na rozkaz komisarza.

– Gotów?

Odliczanie przerwiał sygnał jego komórki. Po drugiej stronie prefekt Dupeyron prosił go, by zjawiał się jak najszybciej. W mieście wydarzyły się jakieś incydenty.

– Manifestanci zajęli główną arterię Fontainebleau. Są w stanie wszystko zniszczyć. Proszę zostawić wszystko to, co robi pan w tej chwili; niech pan wraca natychmiast do miasta i rozpedzi mi cały ten tłum wariatów.

103. WŚRÓD TRZCIN

Dzień walczy ze zmierzchem, jest ciepło. Świeci księżyc. Po deszczu letnia ziemia rozgrzewa ciała. Mrówczy okręt-żółw pędzi prosto w stronę trzciny.

Karłowate widzą, jak nadpływa. Temperatura i blask bijące od rozżarzonych drewniaków poważnie je zaniepokoiły. Artylerzystki gotowe do strzału zajęły pozycje na czubkach różowych kwiatów. W oddali 24 na swojej trzcinie wysłała rozpaczliwe sygnały.

Obleżonych mrówek niemal nie widać wśród oddziałów nieprzyjaciela. U stóp trzciny napuchnięte zwłoki dryfują na powierzchni wody, świadcząc o zaciekłości wcześniejszych potyczek.

Rude mrówki z wyspy akacyjowej wyobrażały sobie, że można żyć, jedynie opowiadając sobie bajki. Myliły się. Nie wystarczy opowiadać bajek, trzeba je jeszcze przeżywać.

Siedząc w kokpicie żółwia-pancernika, 103 i jej towarzyszkę dają z siebie wszystko. Ogień nie jest bronią łatwą do obsługi na odległość. Szukają sposobu na to, by przerzucić go na nenufary opanowane przez karłowate.

Mrówki szukają rozwiązania po omacku. Każda przedstawia swoją propozycję. 6 sugeruje, by wysłać w stronę nenufarów liście załadowane węgielkami napędzane przez pływaki. Lecz te za bardzo obawiają się ognia. Dla nich to nadal broń tabu. Wolą trzymać się od niego z daleka.

Księżniczka 103 próbuje sobie przypomnieć jakąś technikę palcową, która pozwala ekspediować ogień na dużą odległość. Nazywają ją katapultą. Czułkiem rysuje w powietrzu kształt tej maszyny, lecz żadna z pozostałych mrówek nie rozumie, w jaki sposób ogień miałby unieść się w powietrze dzięki umieszczeniu go w takiej konstrukcji. Pomysł upada.

5 chciałaby podpalić jeden z końców długiej gałązki służącej za dzidę i nią dźgać

nenufar. Projekt zostaje zaakceptowany.

Mrówki zatrzymują pływaki i rozpoczynają poszukiwania odpowiednio długiego patyczka. Znajdują taki wśród stosu połamanych gałęzi leżących nad wodą i czym prędzej wciągają go na pokład pancernika.

Na zbliżającego się do nenufarów żółwia spada deszcz kwaśnych pocisków. Załoga przywiera do pokładu, pamiętając, żeby nie upuścić trzymanego w uścisku zuwaczek długiego patyczka. Księżniczka 103 daje znak, żeby przytknąć patyczek do żaru. Jeden jego koniec zajmuje się ogniem. Szybko unoszą płonący maszt.

Pływaki przyspieszają swoje ruchy, wzbijając pianę z tyłu statku. Pancernik rusza do ataku. Rozżarzony patyczek odgina się pod wpływem prędkości, płomień ciągnie się niczym długi, niekończący się proporzec.

14 wysuwa jeden czułek-peryskop, chcąc zlokalizować nieprzyjaciela, i wskazuje, gdzie należy skierować ciężki, dymiący maszt.

Płonąca włócznia dotyka płatków nenufaru. Roślina jest wilgotna i nie zajmuje się ogniem od razu, lecz uderzenie jest na tyle gwałtowne, że wszystkie artylerzystki, straciwszy równowagę, wpadają do wody. W tym akurat wypadku ogień udowodnił jedynie determinację rudych wojowniczek, gotowych użyć zakazanej broni, żeby zwyciężyć.

W obliczu tego sukcesu oblężone odzyskują nadzieję. Wystrzelują ostatnie pociski z kwasu, które zachowały na czarną godzinę, powodując tym samym znaczne szkody w szeregach nieprzyjaciela.

Tymczasem księżniczka 103 wie już, jak powinno się kierować ognistą włócznią, i podpała, jednego po drugim, nenufary. Bucha dym. Przerażone zapachem zwęglonych liści napastniczki wołają wrócić na stały ląd. I całe szczęście, gdyż patyczek zaczyna się palić coraz silniejszym płomieniem. Może spowodować tyle samo szkód wśród tych, które go wykorzystują, co wśród atakowanych.

Belokanijki nie mogą nawet stoczyć pojedynków, które pozwoliłyby im się wykazać sztuką szermierki. 13 – najbardziej wojownicza ze wszystkich – jest zawiedziona, że nie udało jej się zniszczyć osobiście ani jednego pancrzyka tych zarozumiałych karłowatych.

Księżniczka 103 daje znak, żeby wyrzucić płonącą gałązkę jak najdalej do wody. Żółw-pancernik dobija do oblężonej kępy trzciny.

„Byleby tylko 24 ocalała” – myśli 103.

104. BITWA W LICEUM

Spod centrum kultury wyruszyło pięćset osób, a na wielkim placu na wprost liceum było ich już osiemset. Manifestacja nie miała w sobie nic z roszczeniowego przemarszu – był to autentyczny karnawał, w pierwotnym znaczeniu tego słowa.

W średniowieczu karnawał miał ściśle określone znaczenie. Był to dzień szaleńców, dzień, w którym wszystkie napięcia znajdowały swoje ujście. W dniu wielkiego karnawału wszystkie zasady były deptane. Można było wtedy pociągnąć za wąsy żandarma i wrzucić do potoku miejscowych notabli. Można było kołatać do drzwi i rzucać każdemu mąką w twarz. Palono też Carnavała, ogromną kukłę ze słomy, mającą uosabiać wszelką władzę. I dlatego, że świętowano ten właśnie dzień, panująca władza była szanowana.

W naszych czasach zapomniano już, jaki jest rzeczywisty sens tego wydarzenia, które jest nieodzowne w wymiarze socjologicznym. Dzisiaj karnawał jest jedynie świętem sklepikarzy, tak jak i Boże Narodzenie, Dzień Ojca, Dzień Matki albo Dzień Babci – święta te są wyłącznie ukierunkowane na konsumpcję.

Zapomniano o pierwotnej i podstawowej roli karnawału, a więc stworzeniu ludziom iluzji, że bunt jest możliwy, choćby miał trwać zaledwie jeden dzień.

Wszyscy młodzi i nieco starsi ludzie po raz pierwszy od chwili narodzin mieli okazję wyrazić pragnienie świętowania, ale też przejawić bunt i wyzwolić frustrację. Osiemset osób, które od zawsze się hamowało, teraz nagle z entuzjazmem uczestniczyło w wielkiej sarabandzie.

Amatorzy rocka oraz gapie posuwali się do przodu w długim, hałaśliwym i efektownym korowodzie. Kiedy już doszli do placu przed liceum, ujrzeni sześć autokarów oddziałów szturmowych policji, które blokowały im drogę.

Manifestanci zmierzli wzrokiem siły stojące na straży ustalonego porządku. Siły porządkowe zmierzły wzrokiem manifestantów. Julie zastanawiała się nad dalszym rozwojem sytuacji.

Komisarz Maximilien Linart z opaską na ramieniu wysunął się przed swoich ludzi, stając naprzeciw hałaśliwego tłumu.

- Rozejść się – krzychał do megafonu.
- Nie robimy nic złego – odpowiedziała mu Julie, bez megafonu.
- Zaburzacie porządek publiczny. Jest już po godzinie dziesiątej. Mieszkańcy

chcą spać, a wy zakłóacie ciszę nocną.

– Chcemy tylko kontynuować zabawę w liceum – odparła Julie.

– Liceum jest zamknięte w nocy i nie macie zezwolenia, aby je teraz otwarto. Robicie wystarczająco dużo hałasu. Rozejdźcie się, wracajcie do domu. Powtarzam wam, że ludzie mają prawo położyć się spać.

Julie zawahała się przez chwilę, ale też szybko się pozbierała i wczuła w rolę Pasionarii:

– Nie chcemy, żeby ludzie spali. Niech świat się wreszcie obudzi!

– To ty, Julie Pinson? – zapytał komisarz. – Wracaj do domu, twoja matka pewnie się niepokoi.

– Jestem osobą wolną. Wszyscy jesteśmy wolni. I nic nas nie powstrzyma. Zacznijmy...

To słowo nie było w stanie przejść jej przez gardło. Najpierw cicho, a potem już z przekonaniem, głośno i wyraźnie:

– Zacznijmy... rewolucję.

Wrzawa podnosiła się coraz większa. Wszyscy byli gotowi podjąć grę. Gdyż była to tylko gra, nawet jeśli obecność policji mogła uczynić ją niebezpieczną. Nie czekając na wezwanie Julie, podnieśli w górę pięści i zaintonowali hymn z koncertu:

Koniec, taki jest koniec

Otwórzmy nasze zmysły

Świeży wiatr wieje dziś rano.

Wyciągając ramiona i podając sobie dłonie, żeby pokazać, jak wielu ich jest, i żeby zająć cały plac, posuwali się w stronę liceum.

Maximilien konsultował się ze swoimi podwładnymi. Czas na negocjacje się skończył. Zalecenia prefekta były jasne. Aby przywrócić porządek publiczny, trzeba było jak najszybciej rozproszyć manifestantów. Zaproponował zastosowanie taktyki nazywanej „taktyką kiszki”, a polegającej na przeprowadzeniu natarcia w sam środek demonstracji tak, aby manifestanci rozpiezchli się na boki.

Ze swojej strony Julie naradzała się z Siedmioma Krasnoludkami, starając się przewidzieć dalszy rozwój wypadków. Postanowili stworzyć osiem niezależnych

grup manifestantów z jednym z muzyków na czele każdej z nich.

– Musimy koniecznie jakoś się ze sobą porozumiewać – powiedział David.

Zwrócili się do otaczającego ich tłumu manifestantów, pytając, czy mają telefony komórkowe, które mogliby pożyczyć na potrzeby rewolucji. Potrzebowali ośmiu telefonów. Zaproponowano im ich znacznie więcej. Wyglądało na to, że nawet idąc na koncert, ludzie nie byli w stanie się z nimi rozstać.

– Zastosujemy technikę „kalafiora” – powiedziała Julie.

Wyjaśniła wszystkim zasady strategii, którą przed chwilą wymyśliła.

Manifestanci znowu ruszyli przed siebie. Naprzeciw policjanci zaczęli realizować swój plan w praktyce. Ku ich zdziwieniu nie napotkali żadnego oporu. Kalafior, wymyślony przez Julię, rozproszył się na drobne kawałki. Gdy policjanci podeszli bliżej, manifestanci rozbiegli się w ośmiu kierunkach.

Zwarte szeregi policjantów rozerwały się, żeby biec za manifestantami.

– Pozostać w szyku! Chrońcie liceum – zarządził Maximilien przez megafon.

Policjanci z oddziałów szturmowych, rozumiejąc niebezpieczeństwo, ponownie uformowali oddział na samym środku placu, podczas gdy manifestanci kontynuowali swój manewr.

Julie i dziewczyny z klubu aikido były najbliżej sił porządkowych, do których słały uśmiechy i prowokujące całusy.

– Złapcie prowodyra – powiedział komisarz, wskazując na Julie.

Oddział szturmowy ruszył natychmiast w kierunku Julie i jej amazonek. A na to właśnie czekała dziewczyna o jasnoszarych oczach. Dała sygnał do wspólnej ucieczki i powiedziała do telefonu:

– W porządku. Koty ruszyły w pościg za myszami.

Aby jeszcze bardziej wytrącić policjantów z równowagi, amazonki rozdarły T-shirty, odsłaniając nieco ze swoich wdzięków. W powietrzu unosił się zapach wojny i zapach kobiety.

105. ENCYKLOPEDIA

STRATEGIA ALYNSKIEGO: W 1970 roku Saul Alynski, działacz hippisowski i jedna z najważniejszych postaci ruchu studenckiego w Stanach Zjednoczonych, wydał podręcznik, w którym podał dziesięć praktycznych zasad pozwalających

skutecznie przeprowadzić rewolucję:

1. *Władza nie jest tym, co posiadacie, lecz tym, co wasz przeciwnik wyobraża sobie, że posiadacie.*

2. *Porzućcie teren walki znany waszemu przeciwnikowi. Wymyślcie nowe obszary walki, na których przeciwnik nie będzie wiedział, jak się zachować.*

3. *Walczcie z przeciwnikiem, stosując jego własną broń. Atakując go, wykorzystujcie elementy należące do jego własnego systemu odniesień.*

4. *Podczas potyczki słownej poczucie humoru jest najskuteczniejszą bronią. Jeżeli uda się ośmieszyć przeciwnika, a jeszcze lepiej, gdy uda się go zmusić do tego, by ośmieszył samego siebie, będzie mu trudno odzyskać stracony teren.*

5. *Taktyka nie może nigdy przeobrazić się w rutynę, zwłaszcza gdy dobrze funkcjonuje. Powtarzajcie ją kilkakrotnie, aby zmierzyć jej siłę i granice, a następnie zmieńcie ją. Możecie nawet zastosować taktykę całkowicie odwrotną.*

6. *Utrzymajcie przeciwnika w defensywie. Nie powinien nigdy móc sobie powiedzieć: „W porządku, mam teraz chwilę wytchnienia, trzeba się więc zreorganizować”. Należy wykorzystywać wszystkie możliwe zewnętrzne elementy, by utrzymać napięcie.*

7. *Nigdy nie należy bluffować, jeżeli nie mamy możliwości przejścia do czynów. Inaczej bowiem tracimy wiarygodność.*

8. *Pozorne braki mogą przeobrazić się w nasze największe atuty. Trzeba upatrywać w każdej z naszych szczególnych cech nie słabości, lecz siły.*

9. *Należy jasno wyznaczyć cel i nie zmieniać go podczas bitwy. Trzeba, aby cel był jak najmniejszy, jak najbardziej precyzyjny i możliwie jak najbardziej reprezentatywny.*

10. *Jeżeli odniesiemy zwycięstwo, trzeba umieć je wykorzystać i być w stanie zająć dany obszar. Jeżeli nie mamy niczego nowego do zaproponowania, nie ma sensu starać się obalić istniejącą władzę.*

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

106. SPOTKANIE

Przybijają do trzciny nietkniętej przez ogień i ostrzał artyleryjski. Uwolnione

mrówki wymieniają z oswobodzicielkami trofalaksje. Ponieważ noc i zimno powodują już u nich sztywnienie stawów, mrówki ogrzewają się przy ogniskach.

24 jest cała i zdrowa.

Księżniczka 103 powoli zbliża się do towarzyszki z czasów krucjaty.

Spotkanie odbywa się w samym sercu żółtego kwiatu nenufaru. Przez przeźroczysty płatek sączy się na nie światło i ciepło pomarańczowego płomyka.

Księżniczka 103 przywiera pyszczkiem do swojej przyjaciółki, ofiarowując jej tym samym słodką trofalaksję. 24, onieśmielona, kładzie po sobie czułki na znak zgody, a następnie żarłocznie połyka na wpół strawione pożywienie podane jej przez rudą mrówkę.

24 zmieniła się. Nie chodzi tylko o wyczerpanie walką. Nawet jej fizjonomia jest inna. Zapach, zachowanie, sposób unoszenia głowy – wszystko jest inne. 103 podejrzewa, że to być może skutek życia w utopijnej społeczności.

24 chce się wytłumaczyć – najszybszym na to sposobem jest PA.

Księżniczka 103 zgadza się. Ich rozmowa będzie intensywna, głęboka i wyjątkowo szybka. Stykają się delikatnie czułkami i obmacują, jakby udając, że zapomniały, jak się zabrać do rzeczy.

Udało się! Dwie pary czułków przylgnęły do siebie. Myśl jednej łączy się bezpośrednio z myślą drugiej.

Księżniczka 103 już wie, że to, co brała za delikatną zmianę wyglądu u 24, jest czymś znacznie ważniejszym. Młoda eksploratorka została bowiem obdarzona... płcią. Ona także! 24 wyjaśnia wszystko. Zamiłowanie do pięknych opowieści przyczyniło się do chęci silniejszego odczuwania. Ruszyła więc na poszukiwanie gniazda os. Udało się jej otrzymać od nich pszczele mleczko.

Z niewyjaśnionych powodów, być może temperatury, a może sposobu przyswojenia hormonalnego koktajlu, otrzymała płęć... męską.

24 jest obecnie samcem.

24 jest obecnie księciem.

– Ty także się zmieniłaś. Twoje czułki wydzielają inny zapach. Ty...

Księżniczka nie pozwala mu dokończyć.

– Ja również dzięki pszczelemu mleczku otrzymałam płęć. Teraz jestem samicą.

Czulki nieruchomieją, zdezorientowane. To takie dziwne. Rozstały się jako dwie bezpłciowe wojowniczkę, nijakie osobniki bez większej wartości,

zaprogramowane, by żyć najwyżej trzy lata. A teraz, dzięki cudownej sztuczce przodków, stały się księciem i księżniczką, obdarzonymi zdolnością przekazywania swoich cech charakterystycznych przyszłym pokoleniom.

Nie namyślając się długo, obie mrówki oddają się kolejnej słodkiej trofalaksji, tym razem o wiele głębszej.

Księżę 24 oddaje pożywienie, który otrzymał od księżniczki 103, a następnie księżniczka 103 znowu ofiarowuje mu potężny łyk pożywnej papki.

Niektóre składniki już trzykrotnie pokonały trasę z jednego wola socjalnego do drugiego. Ale obie to lubią. To takie uspokajające. Podczas gdy ich towarzyszki zajęte są relacjonowaniem sobie swoich wypraw, dwie przeobrażone mrówki pozostają na uboczu, wśród pręcików perłowego nenufaru.

Księżniczka 103 stara się opisać wszystko, co widziała u Palców: telewizję, maszynę do komunikowania z Palcami, ich wynalazki, ich zmartwienia...

Oboje zastanawiają się oczywiście nad zbliżeniem.

Jednak 103 cofa się.

– *Nie chcesz mnie?*

Nie, nie o to chodzi. Wiadomo, o co chodzi. Samce owadów giną podczas miłosnego aktu. Być może romantyzm Palców zmienił nastawienie 103, w każdym razie nie chce patrzeć, jak 24 umiera. Jego życie jest dla niej ważniejsze niż zbliżenie.

Decydują się więcej o tym nie myśleć.

Zapada noc. Mrówki ze społeczności akacyjowej i z pokładu żółwia-pancernika zasypiają w kąciaku jaskini, będącej równocześnie legowiskiem węża. Nazajutrz czeka je długa droga.

107. ENCYKLOPEDIA

UTOPIA ADAMITÓW: W 1420 roku w Czechach wybuchł bunt husytów. Jako prekursorzy protestantyzmu domagali się reformy kleru i ustąpienia władców niemieckich.

Z ich ruchu wyłonił się jednak jeszcze bardziej radykalny odłam: adamici. Ci zaś kwestionowali już nie tylko sam Kościół, lecz całe społeczeństwo. Uważali, że najlepszym sposobem, aby zbliżyć się do Boga, jest żyć w takich samych

warunkach, w jakich żył Adam, pierwszy człowiek, przed grzechem pierworodnym. Stąd wzięła się ich nazwa.

Osiedlili się na wyspie na Wettawie, niedaleko Pragi. Mieszkali tam we wspólnocie, żyli nago, dzieląc się wszystkim, co mieli; starali się odtworzyć warunki życia z Raju ziemskiego, zanim został popełniony grzech pierworodny.

Wszelkie struktury społeczne zostały przez nich odrzucone. Zlikwidowali pieniądź, odrzucili pracę, znieśli podziały na szlachtę i mieszczaństwo, wyeliminowali administrację i armię. Zakazywali sobie uprawiania ziemi i żywili się wyłącznie dzikimi owocami i jarzynami. Byli wegetarianami i praktykowali bezpośredni kult Boga, bez odwoływania się do Kościoła i kleru jako pośrednika.

Irytowali wielce swoich husyckich sąsiadów, którzy nie byli aż tak radykalni. Owszem, można było uprościć kult Boga, lecz nie do takiego stopnia. Armia władców husyckich otoczyła żyjących na wyspie adamidów, a następnie wycięła ich w pień co do jednego. Tak zakończył się epizod z prekursorami hippisów.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

108. WODĄ I TELEFONEM

Podczas gdy oddziały szturmowe policji prowadziły pościg za Julie i amazonkami, siedem pozostałych grup manifestantów, z jednym Krasnoludkiem na czele każdej, wykonywało manewr oskrzydlający, przedostając się sąsiadującymi z placem uliczkami na tyły liceum, gdzie nie było żadnych oddziałów policyjnych.

Ji-woong wyciągnął klucz, który wręczył mu dyrektor, żeby ułatwić im przeprowadzanie prób, i otworzył drzwi obłożone grubą płytą przeciwpożarową. Tak cicho, jak się dało, tłum wszedł do liceum. Kiedy Maximilien zorientował się wreszcie w zastosowanym przez manifestantów fortelu i gdy ujrział roześmiane twarze za kratami bramy wejściowej, było już za późno.

– Przedostają się od tyłu! – krzyknął do megafonu.

Jego ludzie zaczęli biec w przeciwną stronę, zostawiając Julie i jej przyjaciółki. Ponad siedemset osób weszło już jednak do środka, a Ji-woong zamykał teraz pośpiesznie solidnie opancerzone drzwi. Oddziały szturmowe nie będą w stanie nic zrobić z tą grubą ścianą ochronną.

– Faza druga zakończona – rzucił David przez telefon.

Grupa Julie zgromadziła się przed kratami, gdzie nie było już policjantów, David podbiegł, żeby im otworzyć, i kolejna setka nowych „buntowników” połączyła się z tymi, którzy byli już wewnątrz liceum.

– Próbuja przedostać się teraz przodem, wracajcie! – krzyczał Maximilien.

Biegając tak bez przerwy to w jedną, to w drugą stronę w pełnym rynsztunku, w kaskach, z tarczami, w kamizelkach kuloodpornych i butach o grubych podeszwach, policjanci z oddziałów szturmowych padali ze zmęczenia. Ponadto liceum rozciągało się na tak dużej powierzchni, że nie byli w stanie zdążyć na czas do wejścia.

Zastali zamkniętą już bramę, a za nią drażniące, prowokujące i kpiące sobie z nich amazonki.

– Oni są już wszyscy w środku, szefie, i do tego się zabarykadowali.

I tak oto osiemset osób zajęło liceum. Julie była tym bardziej zadowolona, że udało im się tego dokonać bez żadnych starć, zamęczając po prostu przeciwnika taktycznymi posunięciami.

Maximilien nie miał do tej pory do czynienia z manifestantami stosującymi strategie typowe dla partyzantki. Dotąd zawsze były to tłumy, które bez zastanowienia maszerowały prosto przed siebie.

Lecz to, że manifestanci nienależący do jakiegokolwiek partii politycznej czy związku zawodowego potrafili działać w tak skuteczny sposób, nie tylko robiło na nim wrażenie, ale i niepokoiło.

Nawet fakt, że nie było rannych po jednej ani po drugiej stronie, też go wcale nie uspokajał. Przy tego rodzaju starciach było ich zwykle po obu stronach co najmniej trzech.. Choćby takich, którzy biegnąc, skręcili sobie kostkę. Tymczasem w tej manifestacji, w której osiemset osób stanęło przeciwko trzystu policjantom, nie zdarzył się żaden wypadek.

Maximilien postawił połowę oddziałów szturmowych przed liceum, a połowę na jego tyłach, a następnie zadzwonił do prefekta Dupeyrona, aby powiadomić go o rozwoju wypadków. Ten zaś nakazał mu odzyskanie kontroli nad liceum w możliwie najmniej gwałtowny sposób. Trzeba też było sprawdzić, czy nie zaplątał się tam jakiś dziennikarz. Maximilien potwierdził, że na razie nikogo z prasy nie było.

Uspokojony nieco prefekt Dupeyron poprosił go, żeby działał szybko, w miarę możliwości bez użycia siły, mając na względzie to, że za kilka miesięcy mają odbyć się wybory samorządowe i że z całą pewnością wśród manifestantów znajdują się dzieci z dobrych i szanowanych w Fontainebleau rodzin.

Maximilien zebrał swój niewielki sztab generalny i zrobił to, co powinien był zrobić na samym początku, a mianowicie zażądał planu liceum.

– Wrzucicie im przez kratę granaty łzawiące. Wykurzyć ich stamtąd jak lisy.

Załamane oczy i uciążliwy kaszel już po chwili zaczął osłabiać obłączonych.

Léopold uznał, że wystarczyłoby zrobić coś, by kraty były mniej przepuszczalne. A czemu by nie wykorzystać koców z sypialni jako ochronnych zasłon?

Jak powiedzieli, tak zrobili. Przykrywając nosy mokrymi chusteczkami, żeby nie wdychać gazu, uzbrojone w pokrywy od koszy na śmieci, żeby chronić się przed rzucanymi w ich stronę petardami, dziewczyny z klubu aikido umocowały koce na kratkach za pomocą drutu znalezionego w schowku dozorczy.

Dzięki temu policjanci nie mogli widzieć, co się dzieje na dziedzińcu liceum. Maximilien znowu chwycił za megafon:

– Nie macie prawa zajmować tego budynku. To miejsce publiczne. Nakazuję wam natychmiast je opuścić.

– Skoro tu już jesteśmy, to i zostaniemy – odpowiedziała Julie.

– Jest to całkowicie nielegalne.

– To spróbujcie nas stąd ruszyć.

Na placu odbyła się tajna narada, potem policyjne autokary się wycofały, a oddziały szturmowe zajęły sąsiednie uliczki.

– Wygląda na to, że zrezygnowali – zauważyła Francine.

Narcisse dorzucił, że policjanci odeszli także od tylnej bramy.

– Może odnieśliśmy zwycięstwo – powiedziała Julie, nie bardzo sama wierząc w to, co mówi.

– Zaczekajmy trochę, zanim obwieścimy zwycięstwo. Może to jest jakieś działanie dywersyjne – zauważył Léopold.

Czekali, wpatrując się w opustoszały plac, doskonale oświetlony przez latarnie.

Swoim przenikliwym wzrokiem wojownika Nawaho, Léopold dostrzegł wreszcie jakiś ruch w oddali i po chwili wszyscy ujrzeli maszerujący z determinacją w stronę bramy gęsty szpaler policjantów.

– Atakują. Chcą szturmem zdobyć bramę! – krzyknęła jedna z amazonek.

Jakiś pomysł. Szybko należało coś wymyślić. Policjanci byli już bardzo blisko bramy, kiedy Zoé znalazła rozwiązanie. Natychmiast podzieliła się nim z Siedmioma Krasnoludkami i kilkoma amazonkami.

Kiedy zbici w masę policjanci z oddziałów szturmowych przygotowywali się, żeby wysadzić w powietrze zamki w bramie wejściowej, nagle oblani zostali potężnym strumieniem wody z hydrantów przeciwpożarowych, zainstalowanych dla bezpieczeństwa przez dyrektora liceum.

– Ognia! – krzyknęła Julie.

Wężę z wodą ruszyły do działania. Ciśnienie było tak duże, że amazonki musiały trzymać węża we trzy lub cztery, żeby skierować go we właściwą stronę.

Na placu leżeli pokotem zwaleni z nóg policjanci i ich psy.

– Stop!

Lecz siły porządkowe przegrupowały się w oddali, żeby podjąć za chwilę nowy szturm, który zapowiadał się jeszcze bardziej gwałtownie.

– Czekajcie na sygnał – powiedziała Julie.

Policjanci zbliżali się teraz biegiem, próbując wyszukać martwe punkty, gdzie strumień wody nie mógłby ich dosięgnąć.

– Teraz – rzuciła Julie przez zaciśnięte zęby.

Wężę z wodą znowu dokonały cudu. Amazonki wzniosły okrzyk zwycięstwa.

Maximilien odebrał kolejny telefon od prefekta Dupeyrona, który pytał go, jak się przedstawia sytuacja. Komisarz poinformował, że zadymiarze wciąż zajmują liceum i nadal stawiają opór siłom porządkowym.

– Cóż, okrążcie ich i nie atakujcie już. Tak długo, jak ten malutki bunt ogranicza się do terenu liceum, nie ma właściwie problemu. Natomiast za wszelką cenę trzeba uniknąć rozprzestrzenienia się tych niepokojów.

Ataki policji ustały.

Julie przypomniała hasło: „Bez przemocy. Niczego nie niszczyć. Pozostać bez zarzutu”. Tylko po to, żeby dać ripostę swojemu nauczycielowi historii, chciała sprawdzić, czy rzeczywiście możliwa jest rewolucja bez przemocy.

UTOPIA RABELAIS'GO: W 1532 roku Rabelais w Gargantui zaproponował własną wizję idealnego i utopijnego miasta, którym miał być klasztor Telemitów. Żadnego rządu, gdyż, jak pisał Rabelais: „Jakżebym bowiem mógł władać nad innymi, ja, który nad sobą władać nie umiem?”. Bez rządu więc telemici postępują „wedle wolnej woli i własnego uznania”, a ich dewizą jest: „Czyń coć się podoba”. Żeby utopia ta mogła się powieść, goście klasztoru Telemitów są starannie dobierani. Przyjmowani są tam dobrze urodzeni mężczyźni i kobiety, ludzie o światłym umyśle, wykształceni, cnotliwi, piękni i „dobrze wydarzeni”. Wstępują zaś do klasztoru kobiety w wieku lat dziesięciu i mężczyźni w wieku lat dwunastu.

W ciągu dnia każdy robi to, na co ma ochotę, pracuje, gdy tego chce, a jeśli nie, odpoczywa, pije, bawi się i kocha. Zegary zostały usunięte, co pozwala wyeliminować pojęcie upływającego czasu. Każdy się budzi, kiedy chce, je wtedy, gdy odczuwa głód. Przemoc, niesnaski i kłótnie są zakazane. Służba i rzemieślnicy mieszkający poza klasztorem wykonują najcięższe prace.

Jak pisze Rabelais, klasztor powinien być wzniesiony nad brzegiem Loary, w lesie Port-Huault. Będą w nim dziewięć tysięcy trzysta trzydzieści dwa pokoje. Żadnych murów obronnych ani ścian, gdyż „gdzie są dookoła mury, tam jest srogie mruczenie: mur, mur, i zawiści, i bunty tajone”. Sześć okrągłych wież o średnicy sześćdziesięciu kroków. Każdy budynek będzie liczyć dziesięć pięter, a rynny kończyć się będą wielkimi ściekami prowadzącymi aż do rzeki. Liczne biblioteki, park z labiryntem i fontanna pośrodku.

Rabelais nie był, rzecz jasna, naiwny. Wiedział, że jego idealny klasztor zostanie zniszczony przez demagogię, absurdalne doktryny i właśnie lub też przez zwykłe drobnostki, lecz mimo wszystko warto było jednak spróbować.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

110. PIĘKNA NOC

103 nie może spać.

„Znowu ta bezsenność – myśli. – Bezpliciowe przynajmniej z tym nie mają problemów”.

Unosi czułki, dostrzega bowiem czerwoną poświatę. To ją zbudziło. Nie jest to

jeszcze wschód słońca, blask bije z wnętrza legowiska węża, które służy im za schronienie.

Podąża w stronę światła.

Kilka mrówek zgromadziło się wokół rozżarzonego węgielka, dzięki któremu odniosły zwycięstwo. Ich pokolenie nie знаło ognia i są oczarowane jego ciepłą obecnością.

Jedna z nich stwierdza, że należałoby go zgasić. Księżniczka 103 uważa, że stoją w obliczu alternatywy nie do uniknięcia: „technologia i ryzyko z nią związane” lub „nieświadomość i spokój”.

Podchodzi 7. Jej nie interesuje sam ogień, lecz cienie mrówek tańczące na ścianach jaskini. Próbuje nawiązać z nimi kontakt, lecz po chwili stwierdza, że to niemożliwe. 103 wyjaśnia jej, że to jeden z magicznych fenomenów związanych z ogniem.

– *Płomień produkuje ciemnych bliźniaków, którzy nie mogą oderwać się od ściany.*

7 zastanawia się, czym żywią się ciemni bliźniacy, więc księżniczka 103 tłumaczy, że nie jedzą nic. Wystarcza im dokładne powtarzanie ich gestów.

Następnego dnia będą mogły o tym wszystkim porozmawiać, lecz na razie trzeba się zdrzemnąć, żeby odzyskać siły po podróży.

Książę 24 nie jest śpiący. To pierwsza noc, podczas której zimno nie każe mu się zahibernować, chce to wykorzystać.

Wpatruje się w czerwony, drżący płomień.

– *Opowiedz mi jeszcze o Palcach.*

111. REWOLUCJA W MARSZU

Palce szukały chrustu, by zapalić ogień.

Manifestanci znaleźli trochę gałęzi w starej szopie w ogrodzie i chcieli zapalić wielkie ognisko na trawniku, żeby móc tańczyć wokół ognia.

Zniesiono gałęzie, ustawiono je w stos, a kilkoro młodych ludzi przyniosło jakieś papiery. Nie udało im się jednak rozpalić ognia.

Gdy papier się zwęglił, wiatr gasił malutkie płomyki ognia. Nikt spośród ośmiuset osób, które rzuciły wyzwanie i oparły się oddziałom szturmowym przybyłym w kilku autokarach, nie potrafił rozpalić zwykłego ogniska!

Julie próbowała znaleźć w *Encyklopedii* fragment, w którym wytłumaczono by, w jaki sposób rozpala się ogień. Ponieważ jednak w księdze nie było ani spisu treści, ani indeksu, nie wiedziała, jak znaleźć taki fragment w całej masie przemieszanych chaotycznie tekstów. *Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej* nie była słownikiem i niekoniecznie znajdowały się tam odpowiedzi na pytanie, które można było sobie zadać.

Ostatecznie Léopold przybył z odsieczą, wyjaśniając, że trzeba zbudować malutki murek, aby osłonić źródło płomieni, a potem umieścić trzy kamyczki pod kawałkami drzewa, aby od spodu dochodziło powietrze.

Lecz ogień uparcie nie chciał się rozpaść. Julie postawiła wszystko na jedną kartę i pobiegła szukać w laboratorium odpowiednich składników do sporządzenia koktajlu Mołotowa. Wróciwszy na dziedziniec, wrzuciła koktajl do ogniska i tym razem płomienie łaskawie buchnęły w górę. „Cóż, nic nie jest łatwe na tym marnym świecie” – westchnęła Julie. Od dawna chciała podpalić liceum i wreszcie się jej udało. Manifestanci ściągnęli z głównego masztu flagę z dewizą: „Z inteligencji rodzi się rozum”, a następnie wciągnęli ją z powrotem, przykleiwszy uprzednio po obu stronach znak z koncertu: okrąg utworzony z trzech mrówek.

Nadeszła chwila, by zabrać głos i przemówić. Balkon wychodzący z gabinetu dyrektora na pierwszym piętrze nadawał się do tego znakomicie. Julie udała się tam, by przemówić do zgromadzonego na dziedzińcu tłumu.

– Ogłaszam uroczyście, że rozpoczęta została okupacja liceum przez grupę ludzkich istot spragnionych tylko i wyłącznie radości, muzyki i zabawy. Na czas nieokreślony zakładamy w tym miejscu utopijną wioskę, której celem jest uczynić ludzi bardziej szczęśliwymi, zaczynając od nas samych.

Głosy aprobaty i oklaski.

– Róbcie, co chcecie, lecz nie niszczyć niczego. Jeśli mamy tutaj wytrwać przez dłuższy czas, lepiej jest wykorzystać dobrze działający sprzęt. Dla tych, którzy tego potrzebują, toalety są po prawej stronie, w głębi dziedzińca. Jeżeli niektórzy z was chcą odpocząć, sypialnie i łóżka w internacie są do waszej dyspozycji na trzecim, czwartym i piątym piętrze w budynku B. Innym proponuję już teraz wielką zabawę i chcę, żebyśmy tańczyli i śpiewali tak, że aż popękają nam głowy!

Piosenkarka i muzycy byli już trochę zmęczeni i musieli też ustalić, co robić

dalej. Zostawili swoje instrumenty w sali prób czterem młodym ludziom, którzy chwycili je z entuzjazmem. Ci byli bardziej nastawieni na salsę i rock, ale ich muzyka doskonale pasowała do okoliczności.

Członkowie zespołu Mrówki poszli napić się czegoś chłodnego z dystrybutora napojów w kafeterii, miejscu, gdzie licealiści mogli zawsze nieco odpocząć.

– I jak, moi drodzy, tym razem się udało – powiedziała Julie.

– I co teraz robimy? – zapytała Zoé z rozpalonymi wciąż policzkami.

– Hm... to nie będzie bardzo długo trwać. Jutro będzie koniec – powiedział Paul.

– A gdyby jednak potrwało to dłużej? – zapytała Francine.

Wszyscy spojrzeli po sobie z niepokojem w oczach.

– Trzeba uczynić wszystko, by trwało to jak najdłużej – powiedziała zdecydowanym głosem Julie. – Zupełnie nie mam ochoty zabierać się już od jutra do powtórki przed maturą. Mamy szansę zbudować coś tu i teraz, i trzeba tę szansę wykorzystać.

– Ale co dokładnie zamierzasz? – zapytał David. – Nie możemy przecież wiecznie się bawić.

– Mamy grupę ludzi i zamknięte oraz bezpieczne miejsce, dlaczego by nie spróbować zorganizować utopijnej wioski?

– Utopijnej wioski? – zdziwił się Léopold.

– Tak, miejsca, w którym spróbujemy stworzyć nowe relacje między ludźmi. Spróbujemy przeprowadzić takie doświadczenie, doświadczenie społeczne, żeby sprawdzić, czy możliwe jest stworzenie miejsca, w którym wszyscy razem czulibyśmy się lepiej.

Mrówki zamyśliły się przez chwilę nad słowami Julie. Gdzieś z oddali dochodziły dźwięki salsy, było słychać śmiech i śpiew dziewcząt i chłopców.

– Jasne, że byłoby to wspaniałe – przyznał Narcisse. – Tyle że niełatwo jest zarządzać tłumem. Byłem instruktorem na koloniach dla nastolatków i zapewniam cię, że kontrolowanie ludzi, kiedy są w grupie, nie jest rzeczą łatwą.

– Ty byłeś sam, a nas jest ośmioro – przypomniała Julie. – Razem jesteśmy silniejsi. To, że jesteśmy razem, potęguje jeszcze nasze indywidualne talenty. Mam wrażenie, że jesteśmy w stanie przenosić góry. Osiemset osób poszło za nami i za naszą muzyką, dlaczego nie mieliby pójść za naszą utopią?

Francine usiadła, żeby lepiej się nad tym zastanowić. Ji-woong drapał się

w czoło.

– Utopią?

– Właśnie tak, utopią! *Encyklopedia* wciąż o niej mówi. Proponuje wręcz wymyślenie społeczeństwa bardziej...

Zawahała się.

– Bardziej jakiego? – ironizował Narcisse. – Milszego? Łagodniejszego? Bardziej zabawnego?

– Nie, po prostu bardziej ludzkiego – powiedziała z naciskiem Julie swoim głębokim i gorącym głosem.

Narcisse wybuchnął śmiechem.

– No to kiepsko to wygląda, moi mili. Julie ukrywała przed nami swoje humanitarne ambicje.

David starał się jednak ją zrozumieć:

– A co rozumiesz przez bardziej ludzkie społeczeństwo?

– Jeszcze nie wiem. Ale dojdę do tego.

– Powiedz mi, Julie, zostałeś ranna w czasie starć z oddziałami szturmowymi? – zapytała Zoé.

– Nie, dlaczego? – zapytała zaskoczona Julie.

– Tutaj... na twoim ubraniu jest czerwona plama.

Julie przekręciła sukienkę i zdziwiła się. Zoé miała rację. Rzeczywiście miała plamę krwi z rany, której w ogóle nie czuła.

– To nie jest rana, to coś innego – stwierdziła Francine.

Wzięła Julie na korytarz, gdzie dołączyła do nich Zoé.

– Masz po prostu okres – poinformowała ją organistka.

– Co takiego?

– Okres – włączyła się Zoé. – Nie wiesz, co to takiego?

Julie była przerażona tą wiadomością. Przez chwilę miała wrażenie, że jej własne ciało zamierza ją unicestwić. Ta krew to krew zamordowanego dzieciństwa. A więc skończyło się! W tej sekundzie, w tej właśnie chwili, gdy zaczęła wierzyć w szczęście, jej organizm zdradził ją. Sprowadził ją do tego, czego nienawidziła ponad wszystko: konieczności stania się dorosłą.

Otworzyła szeroko usta i wciągała łapczywie powietrze. Jej klatka piersiowa unosiła się z trudem. Twarz stała się purpurowa.

– Szybko – krzyknęła Francine wzywając pozostałych – Julie ma atak astmy. Trzeba znaleźć ventolin.

Zaczęli przetrząsać jej plecak, który szczęśliwie leżał tuż przy perkusji Ji-woonga. Znaleźli aerozol, ale nie mogli włożyć go do ust Julie i nacisnąć, bo nic już w nim nie było. Był całkowicie pusty.

– Ven-to-lin – dyszała Julie.

Wokół niej powietrze gęstniało coraz bardziej.

Powietrze, pierwszy oddech i pierwszy odruch. Kiedy przychodzimy na świat, korzystamy z naszego układu oddechowego, aby wydać pierwszy krzyk, a potem już nie jesteśmy w stanie bez niego żyć. Powietrze. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę potrzebujemy powietrza, najlepiej czystego. Tutaj nie było go wystarczająco dużo. Musiała dokonywać nadludzkich wysiłków, żeby uzyskać możliwą do oddychania dawkę.

Zoé pobiegła na dziedziniec, żeby zapytać, czy ktoś nie ma przy sobie ventolinu. Nie miał go nikt.

Przez telefon komórkowy Davida zadzwonili na pogotowie, na pomoc w nagłych wypadkach. Wszystkie linie były zajęte.

– Przecież musi być gdzieś tutaj jakaś dyżurująca apteka – zdenerwowała się Francine.

– Ji-woong, musisz jej towarzyszyć. Jesteś najsilniejszy z nas wszystkich. Jeśli nie uda jej się tam dojść, zawsze będziesz mógł ją zanieść na plecach.

– Ale jak stąd w ogóle wyjść? Gliny są po obu stronach.

– Są jeszcze jedne drzwi – powiedział David. – Chodźcie za mną.

Zaprowadził ich do sali prób.

Odsuwając szafę, pokazał wyjście.

– Znalazłem je przypadkowo. Ten korytarz powinien prowadzić do piwnic któregoś z sąsiednich domów.

Julie pojękiwała, Ji-woong wziął ją na plecy i razem zeszli do podziemnego korytarza. Doszli do rozwidlenia. Po lewej stronie odór ścieków. Po prawej stronie stęchły zapach niewietrzonej piwnicy. Skierowali się w prawo.

Siedząc w blasku żarzącego się drewna, księżniczka 103 opowiada o Palcach. O ich zwyczajach, technologii i telewizji.

– *Jest jeszcze biała tablica zapowiadająca śmierć* – przypomina 5, która nie zapomniała o tej pladze.

Rude mrówki drżą, słysząc, że ich rodzinne gniazdo może zostać zrównane z ziemią. Księżniczka 103 podkreśla jednak, że Palce mogą wiele wniesić do cywilizacji myrmeczeńskiej. W końcu trzynastu mrówkom udało się za pomocą ognia pokonać chmurę karłowatych.

Oczywiście nie potrafi jeszcze zbyt dobrze posługiwać się lewarem, nie umie odtworzyć mechanizmu katapulty... Ale uważa, że tak jak w wypadku sztuki, humoru i miłości, zdobycie tych umiejętności to tylko kwestia czasu. Jeśli Palce zgodzą się na współpracę, z pewnością uda jej się zrozumieć.

– *Czy zbliżanie się do Palców nie jest niebezpieczne?* – pyta 6, pocierając swój zwęglony kikut.

103 kręci głową. Mrówki są wystarczająco sprytne, by je poskromić.

24 unosi na to jeden czulek.

– *Czy mówiłaś im o Bogu?*

Bóg? Wszystkie chcą wiedzieć, co to takiego. Maszyna? Miejsce? Roślina?

Księżę 24 opowiada, że swego czasu w Bel-o-kan Palce, którym udało się nawiązać kontakt z mrówkami, wmówiły im, że są ich władcami i stwórcami. Palce te wymogły na mrówkach, pod pretekstem swojej rzekomej wszechmocy, żeby te były im ślepo posłuszne. Twierdziły, że są „bogami” mrówek.

Owady zacieśniają krąg.

– *Co to jest „Bóg”?*

Księżniczka 103 wyjaśnia, że pojęcie to jest nieznanne w świecie zwierząt. Palce wierzą, że istnieje górująca nad nimi niewidzialna siła, która kontroluje ich poczynania. Nazywają ją Bogiem i wierzą w nią, mimo że jej nie widzą. Ich cywilizacja opiera się na idei niewidzialnej siły zawiadującej wszelką egzystencją.

Mrówki próbują wyobrazić sobie, czym może być Bóg, nie widzą w tym jednak żadnego praktycznego zastosowania. Jaki cel może mieć uważanie, że nad wszystkim panuje jakiś Bóg?

Księżniczka 103 tłumaczy nieporadnie, że u źródła tego leży egoizm Palców, który na dłuższą metę staje się dla nich nie do zniesienia. Odczuwają potrzebę

skromności i pokory w stosunku do zwierzęcia jeszcze większego od nich samych.

– *Problem polega na tym, że pewne Palce postanowiły wpoić nam to pojęcie i same udawały przed nami bogów!* – opowiada książkę 24.

Księżniczka 103 przytakuje.

Przyznaje, że nie wszystkie Palce są pozbawione żądzы kontrolowania sąsiadujących z nimi gatunków. Tak jak wśród mrówek, są Palce bezlitosne i łagodne, głupie i inteligentne, hojne i wyzyskujące. W tym wypadku mrówki musiały trafić na Palce wyzyskujące.

– *Nie można jednak oceniać Palców negatywnie tylko dlatego, że niektóre z nich podały się za bogów. To różnorodne zachowanie świadczy o bogactwie ich umysłów.*

Dwanaście eksploratorek, zrozumiawszy mniej więcej, na czym polega bycie Bogiem, zastanawia się, czy Palce przypadkiem nie są naprawdę... ich bogami.

Księżniczka 103 uważa, że ich dwa gatunki poruszają się po równoległych trajektoriach, więc nie jest możliwe, żeby Palce stworzyły mrówki. Chociażby tylko z tego powodu, że te ostatnie pojawiły się na Ziemi na długo przed Palcami. Równie mało prawdopodobne wydaje jej się i to, żeby mrówki stworzyły Palce.

Mimo to niepewność pozostaje.

Zaletą wiary w Boga jest możliwość wyjaśniania wszystkiego, co niezrozumiałe. Niektóre mrówki chętnie zrzuciłyby błyskawice i ogień na karb poczynań palcowych bogów.

Księżniczka 103 powtarza, że Palce to stosunkowo młody gatunek, który pojawił się nie wcześniej niż jakieś trzy miliony lat temu, podczas gdy mrówki żyją tu już od stu milionów lat.

– *Jak to możliwe, by stwórcy pojawili się po tym, co rzekomo stworzyli?*

Eksploratorki zastanawiają się, skąd księżniczka 103 wie to wszystko. Okazuje się, że oglądała na ten temat film dokumentalny w telewizji.

Słuchaczki są zdezorientowane. O ile nie wszystkie zebrane tu mrówki są przekonane, że Palce są ich bogami, o tyle wszystkie zgodnie przyznają, że te „młode” zwierzęta są bardzo utalentowane i wiedzą mnóstwo rzeczy, o których mrówki nie mają zielonego pojęcia.

Tylko książkę 24 jest innego zdania. Uważa, że jego współrodaczki nie mają absolutnie czego zazdrościć Palcom – gdyby doszło do spotkania, mrówki miałyby zdecydowanie więcej do przekazania Palcom niż na odwrót. Jeśli zaś chodzi o trzy

tajemnice: sztukę, humor i miłość, gdy tylko mrówki zrozumieją, o co w tym wszystkim chodzi, będą mogły je powielać i ulepszać. Jest tego pewien.

Siedzące w kącie mrówki z wyspy akacjowej, którym wyjątkowo zaimponował pokaz walki z pomocą płonącej włóczni, przeciągnęły rozżarzony patyczek na liść. Sprawdzają, jaki efekt daje zetknięcie ognia z różnymi materiałami. Podpalają liść, kwiat, grudkę ziemi, korzeń. 6 występuje w roli mentora. Ich eksperymenty powodują kłęby błękitnego dymu i straszliwy smród: pierwsi wynalazcy ze świata Palców zapewne przechodzili to samo.

– *Palce są jednak skomplikowanymi stworzeniami...* – wzdycha jedna z mrówek ze społeczności akacjowej, która zaczyna mieć już dość tych wszystkich opowieści o równoległym świecie. Zwija się w kłębek i zasypia, nie zwracając już uwagi na dyskusje i zabawy z ogniem.

113. ENCYKLOPEDIA

URODZINOWY TORT: Zdmuchnięcie świeczek z okazji urodzin jest jednym z najbardziej znamienitych rytuałów ludzkich. W ten sposób człowiek przypomina sobie, w regularnych odstępach czasu, że jest w stanie rozpalić ogień, a następnie, że może go zgasić swoim oddechem. Panowanie nad ogniem stanowi jeden z rytuałów inicjacyjnych dziecka, które przeobraża się w odpowiedzialną istotę. To, że wiele starszych osób nie ma już wystarczająco silnego oddechu, żeby zgasić świeczki, świadczy o tym, że są one wykluczone z aktywnego ludzkiego świata.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

114. BRAK POWIETRZA

Niosąc Julie na ramieniu, Ji-woong ucieszył się, widząc, że wyjście z piwnicy znajdowało się daleko od autokarów policyjnych oddziałów szturmowych. Od razu wyruszył w poszukiwaniu dyżurującej apteki, która byłaby otwarta o trzeciej w nocy.

Kiedy Ji-woong, tracąc już nadzieję, uderzał z całych sił w drzwi zamkniętej

apteki, piętro wyżej otworzyło się okno, a mężczyzna w pidżamie wychylił się, mówiąc do niego:

– Nie ma co budzić sąsiadów. Jedyne otwarte o tej porze apteka jest w nocnym klubie.

– Żartuje pan?

– W ogóle mi nie do śmiechu. Działa od niedawna. Choćby ze względu na sprzedaż prezerwatyw zorientowali się, że prościej będzie umieścić aptekę w nocnym klubie.

– A gdzie jest ten klub?

– Na końcu ulicy, po prawej stronie, jest ślepa uliczka. O, tam. Nie można nie trafić, nazywa się „Piekło”.

I rzeczywiście, „Piekło” migotało przypominającymi płomienie literami, z małymi diabełkami o skrzydłach nietoperzy.

Julie była bliska agonii.

– Powietrza! Zlitujcie się, powietrza!

Dlaczego na tej planecie jest tak mało powietrza?

Ji-woong ułożył ją na ziemi i zapłacił za dwie wejściówki, jakby byli zwykłą parą, która przyszła potańczyć jak inni młodzi ludzie. Bramkarz, z tatuażami i okolczykowaną twarzą, nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok dziewczyny, która była w tak żalnym stanie. Większość bywalców „Piekła” zjawiała się bowiem już mocno odjechana po narkotykach czy alkoholu.

W sali głos Alexandrine szeptał „I lo-o-o-o-o-ove you-u-u-u-u-u, mon amour, je t'aime-e-e-e-e”, a pary obejmowały się czule w oparach dymu. Didżej wzmocnił jeszcze dźwięk i teraz nikt już nie słyszał nikogo. Zmniejszył natężenie światła tak, że było widać jedynie malutkie, czerwone, pulsujące światełka. Wiedział, co robi. W tych ciemnościach i ogłuszającym hałasie ci, którzy nie mieli nic do powiedzenia, i ci, którzy nie byli zbyt szczerze obdarzeni przez naturę, mieli takie same szanse jak inni, żeby skorzystać z płynącego w wolnym tempie kawałka i kogoś uwieść.

„Mon amour, je t'ai-i-i-i-ime-e-e-e, my lo-o-o-o-ove” – zawodziła Alexandrine.

Ji-woong przeszedł przez salę, przepychając się gwałtownie przez tańczące pary i myśląc tylko o tym, by jak najszybciej dowlec Julie do apteki. Pani w białym kitlu żuła gumę, pogrążona w lekturze jakiegoś pisemka z życia wyższych sfer. Kiedy

ich zauważyła, wyciągnęła wacik chroniący jeden z jej organów słuchu. Ji-woong krzyczał z całych sił, żeby przebić się przez ogólną wrzawę, a ona dała mu znak, żeby zamknął drzwi. Część decybeli pozostała na zewnątrz.

– Proszę ventolin. Potrzebuję go natychmiast dla tej pani. Ma właśnie atak astmy.

– A ma pan receptę? – zapytała spokojnie aptekarka.

– Przecież widzi pani, że to sprawa życia i śmierci. Zapłacę, ile pani zażąda.

Julie nie musiała się wysilać, żeby wzbudzić litość. Jej usta chwytały powietrze jak dorada wyrzucona na brzeg oceanu. Ale wcale nie wzruszyło to aptekarki.

– Bardzo mi przykro, ale to nie jest sklep spożywczy. Nie wolno nam wydawać ventolinu bez recepty, to byłoby nielegalne. Nie pan pierwszy odstawia tu taką komedię. Każdy przecież doskonale wie, że ventolin rozszerza naczynia krwionośne i jest to bardzo pożyteczne dla panów, którzy mają kłopoty wiadomo z czym!

Tego było już za wiele i Ji-woong wybuchnął. Złapał aptekarkę za kołnierz bluzy, a nie mając przy sobie żadnej broni, przystawił jej do szyi ostro zakończoną końcówkę klucza od swojego mieszkania.

Groźnym tonem powiedział, wyraźnie akcentując słowa:

– Ja nie żartuję. Proszę ventolin albo to pani będzie zaraz potrzebowała lekarstw sprzedawanych na receptę lub bez recepty.

W całej tej wrzawie daremnie byłoby próbować wezwać kogoś z zewnątrz, a zresztą w takim miejscu każdy pewnie wziąłby raczej stronę tej pary, a nie jej. Pani kiwnęła głową, dając znak, że się zgadza, poszła po aerozol i wręczyła mu go z niechęcią.

Czas był najwyższy. Julie była na bezdechu. Ji-woong musiał uchylić jej wargi i wcisnąć do ust końcówkę aerozolu.

– No, oddychaj, proszę cię, oddychaj!

Nadludzkim wysiłkiem wciągnęła powietrze. Każde naciśnięcie było jak przywracający życie opar ze złota. Jej płuca otwierały się teraz jak zeschnięty kwiat zanurzony w wodzie.

– Ależ tu się traci czasu na formalności! – rzucił Ji-woong aptekarce, która w tym czasie dyskretnie naciskała na alarm w podłodze, bezpośrednio połączony z policją. System ten zainstalowano na wypadek, gdyby zaatakowali ją narkomani

na głodzie.

Julie usiadła na ławce, żeby odzyskać przytomność. Ji-woong zapłacił za aerozol.

Wyruszyli w drogę powrotną. Znowu było słycać ogłuszający *słow*. I znowu piosenka w wykonaniu Alexandrine, jej ostatni hit *Miłosna pasja*.

Didżej, świadomy swojej roli społecznej, podniósł dźwięk o dwa tony i jeszcze bardziej wygasił światła, żeby pozostawić tylko kręcącą się nad głowami kulę obłożoną lusterkami, która rzucała cieniutkie strumyczki światła.

„Weź mnie, tak, weź mnie całą, weź mnie, kochany mój, na zawsze mnie weź, weź mnie na życie całe-e-e-e-e-e-e. Pasja-a-a-a-a-a-a-a-a miłości, to pa-a-a-asja-a-a-a miłości” – ogłaszała piosenkarka głosem przetworzonym przez syntezytor i nałożonym jeszcze na jej prawdziwy głos.

Julie, zdając sobie wreszcie sprawę, gdzie się znalazła, miała ochotę, żeby Ji-woong wziął ją w ramiona. Spojrzała prosto w oczy Koreańczyka.

Ji-woong był piękny. Miał w sobie coś z drapieżnego kota. A przyglądanie mu się w tych dziwnych okolicznościach dodawało mu jeszcze więcej uroku.

Miotła się gdzieś między wstydem i lękiem, że tak późno obudziła się w niej kobiecość, a nowym dla niej, niemal zwierzęcym pragnieniem, żeby „skonsumować” Ji-woonga.

– Wiem – powiedział Ji-woong. – Nie patrz tak na mnie. Nie znosisz żadnego kontaktu, żadnego dotknięcia skóry z mężczyzną czy w ogóle z kimkolwiek. Nie bój się, nie zaproponuję ci, żebyś ze mną zatańczyła!

Już chciała mu zaprzeczyć, gdy nagle pojawiło się dwóch policjantów. Aptekarka opisała im dwoje agresorów i wskazała ręką kierunek, w którym się udali.

Ji-woong zaciągnął Julie na sam środek estrady, tam, gdzie było najciemniej, a że taka była konieczność, wziął ją w ramiona.

W tym jednak momencie didżej postanowił zapalić wszystkie światła nad estradą. W jednej chwili ukazała się cała fauna, jaka znalazła się w „Piekło”. Byli tam i transwestyci, i sadomasochiści w skórkach, hetero i biseksualiści, przebrane za mężczyzn, przebrani za kobiety, przebrane za mężczyzn biorące się za kobiety. Wszyscy miotali się z twarzami błyszczącymi od potu.

Policjanci przebijali się teraz między tańczącymi. Jeśli rozpoznają dwie mrówki, natychmiast je zatrzymają. Julie, mając tego świadomość, zdobyła się na to, co wydawało się niewyobrażalne. Wzięła w dłonie twarz Koreańczyka i z całej siły

pocałowała go w usta. Młody człowiek był zupełnie zaskoczony.

Policjanci wciąż krążyli niedaleko. Oni zaś trwali w pocałunku. Julie przeczytała kiedyś, że mrówki także oddają się takim właśnie zachowaniom, i że nazywa się to trofalaksją: wymieniają się płynną zawartością pokarmową. Jak na razie nie czuła się jednak jeszcze na siłach, żeby posunąć się aż tak daleko.

Jeden z policjantów przyglądał im się podejrzliwie.

Oboje zamknęli oczy jak strusie, które nie chcą widzieć nadciągającego niebezpieczeństwa. Nie słyszeli też głosu Alexandrine. Julie chciała, by chłopiec przytulił ją jeszcze mocniej do siebie swoimi muskularnymi ramionami. Policjanci odeszli. Jak dwa magnesy, które przypadkowo zbliżyły się za bardzo, teraz z zażenowaniem odsunęły się od siebie.

– Wybacz mi – krzyknął jej prosto do ucha, żeby usłyszała go w tym niesamowitym hałasie.

– Okoliczności nie pozostawiły nam żadnego wyboru – odparła.

Wziął ją za rękę, wyszli z „Piekła” i dołączyli do rewolucji, przechodząc przez tę samą piwnicę, dzięki której udało im się wydostać na zewnątrz.

115. ENCYKLOPEDIA

OTWARTOŚĆ PRZEZ ZABAWĘ: We Francji w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku właściciel pewnej stadniny zakupił cztery rozbrykane gniade ogiery. Miały paskudny charakter. Gdy zostawiało się je bez opieki koło siebie, walczyły ze sobą i nie sposób było zaprząć je razem, gdyż każdy chciał iść w swoją stronę.

Pewien weterynarz wpadł jednak na pomysł, żeby umieścić je w czterech sąsiadujących ze sobą boksach, a na ścianach, które je oddzielają, umieścić zabawki – kółka, które można przesuwac pyskiem, piłki, które można uderzać kopytem i przerzucić z jednej stalli do drugiej, oraz geometryczne formy zawieszane na sznurkach.

Zmieniał porządek, w jakim ustawione były konie, tak aby poznały się nawzajem. Po miesiącu konie stały się nierozłączne. Nie dość, że zgadzały się biec w jednym zaprzęgu, to jeszcze sprawiały wrażenie, że traktują tę pracę jak zabawę.

Edmund Wells

116. WZBURZENIE

7, dostrzegłszy, że ogień rzuca na ściany coraz to większe cienie siedzących w jego pobliżu owadów, chwyta kawałek zimnego już węgielka i postanawia skopiować te kształty. Po skończeniu swojego dzieła pokazuje je pozostałym. Te myśląc, że to prawdziwe zwierzę, starają się nawiązać z nim dialog.

7 próbuje im wytłumaczyć, że to jedynie rysunek. W taki oto sposób zaczyna powstawać mrówcza sztuka reprezentacji, która z początku bardzo przypomina pierwsze rysunki z grotu Lascaux, jednak szybko ewoluje w kierunku dość szczególnego stylu. Trzema pociągnięciami węgielka 7 rozpoczyna erę sztuki myrmeczeńskiej. Dłuższą chwilę kontempluje swoje dzieło, po czym stwierdza, że czarny kolor nie wystarcza, żeby oddać rzeczywistość, niezbędne jest dodanie kolorów.

Ale w jaki sposób?

Pierwsza myśl, jaka jej przychodzi do głowy, to zadanie rany jakiejś pomniejszej mrówce, która przyszła, aby podziwiać jej pracę. Tym sposobem otrzymuje białą farbę, która nadaje rysom wypukłości. Dobrze to wygląda. Zraniona mrówka nie ma powodu do narzekań, złożyła pierwszą ofiarę mrówczej sztuce.

Widząc to, pozostałe mrówki ogarnia twórczy szal. Jedne eksperymentują z ogniem, inne rysują, jeszcze inne badają działanie lewara.

Wszystko wydaje im się możliwe. Mrówcze społeczeństwo, które uważały za znajdujące się u szczytu swoich możliwości politycznych i technologicznych, nagle okazało się zapóźnione w wielu dziedzinach.

Każda spośród dwunastu młodych eksploratorek znalazła swoje powołanie. Księżniczka 103 wspiera je entuzjazmem i doświadczeniem. 5 została mianowana jej główną asystentką. 6 wyspecjalizowała się w inżynierii ognia. 7 jest zafascynowana rysunkiem i malarstwem. 8 bada działanie lewara, a 9 – koła. 10 redaguje zoologiczny feromon pamięci na temat zwyczajów Palców. 11 interesuje się architekturą i różnymi metodami konstrukcji gniazd. 12 pociąga raczej sztuka nawigacji i notuje swoje uwagi na temat różnych rodzajów transportu rzeczno-
13 rozmyśla nad nowymi formami broni – płonąca gałązką i żółwiem-

pancernikiem... 14 podnieca możliwość dialogu z obcymi gatunkami. 15 analizuje smak wszystkich nowych rodzajów pożywienia, na które natknęły się podczas swojej podróży.

Księżniczka 103 opowiada o Palcach. O telewizji, która przekazuje nieprawdziwe historie. 10 odnotowuje w swoim feromonie zoologicznym kolejne informacje:

POWIEŚCI:

Palce wymyślają czasami nieprawdziwe historie, które nazywają powieściami lub scenariuszami.

Wymyślają bohaterów, wymyślają otoczenie, wymyślają obowiązujące fikcyjne reguły.

Tymczasem to, o czym mówią, nigdzie lub prawie nigdzie nie istnieje.

Jaki jest zatem sens mówienia o tym, co nie istnieje?

Oczywiście przyjemność płynąca z opowiadania pięknych historii.

To forma sztuki.

Jak skonstruowane są te opowieści?

Z tego, co 103 zobaczyła na filmach, można podejrzewać, że obowiązują tam te same zasady, jak w wypadku dowcipów, tych słynnych tajemniczych anegdotek wywołujących stan „humoru”.

Wystarczy, że opowieść taka składa się z początku, rozwinięcia i zaskakującego zakończenia.

Książę 24 uważnie słucha księżniczki 103 i nawet jeśli nie podziela w pełni jej entuzjazmu związanego z odkryciem świata Palców, to przychodzi mu do głowy pomysł, żeby przekształcić jej słowa w nieprawdziwą historię, czyli w „powieść”.

Tak naprawdę książę 24 ma ochotę stworzyć pierwszą mrówczą powieść feromonową. Już sobie to wyobraża: saga palcowa, skonstruowana na modłę sławnych opowieści myrmecceńskich. Dzięki swoim nowym zmysłom płciowej mrówki czuje się na siłach, aby spisać powieść przygodową na podstawie tego, czego już się dowiedział na temat Palców.

Wymyślił już tytuł – najprostszy: *Palce*.

Księżniczka 103 przygląda się malunkom 7.

Artystka twierdzi, że niezbędne są jej różnokolorowe barwniki. 103 sugeruje, żeby użyć żółtego pyłku kwiatowego, zielonej trawy i zmielonych czerwonych płatków maków. 7 dodaje jeszcze ślinę i spadź, by połączyć wszystkie składniki,

i z pomocą dwóch innych mrówek zabiera się do malowania na liściu platana długiego pochodu kontrkrucjaty. Rysuje trzy mrówki, nieco dalej różową kulę – osiągnąwszy odpowiednią barwę, poprzez mieszanie kredy ze zmielonym płatkami maku. Przy użyciu pyłku kwiatowego ciągnie linię łączącą mrówki i Palce.

– *To ogień. Ogień łączy Palce i mrówki.*

Podziwiając dzieło swojej towarzyszki, księżniczka 103 wpada na pewien pomysł. Można by nazwać ich wyprawę „Rewolucją Palców”. W końcu ich znajomość świata Palców z pewnością pociągnie za sobą różne zmiany w mrówczym społeczeństwie.

Dysputy trwają. Insekty, które obawiają się ognia, nalegają, by go ugasić i wyłączyć na zawsze. Wybucho bójki między zwolenniczkami i przeciwniczkami ognia.

Księżniczce 103 nie udaje się ich rozdzielić. Dopiero trzy śmiertelne ofiary powodują, że można wrócić do spokojnej rozmowy. Kilka mrówek wyraźnie podkreśla, że ogień to tabu. Inne odpierają ten zarzut, twierdząc, że chodzi tu o prawdziwą ewolucję modernistyczną. A skoro Palce wykorzystują ogień bez żadnych oporów, logiczne jest, by mrówki uczyniły postęp w dziedzinie tej technologii. Gdyby sto milionów lat temu mrówki dokonały obiektywnej oceny ognia, dostrzegły nie tylko złe, ale i dobre jego strony, być może dziś również mogłyby się szczycić „sztuką”, „humorem” i „miłością”.

Przeciwniczki ognia odpierają ten argument, przypominając, że przeszłość wykazała, iż ogień może zniszczyć cały las. Mrówki nie są wystarczająco doświadczone, by inteligentnie wykorzystać jego właściwości. Zwolenniczki płomienia ripostują z kolei, że odkąd mają do czynienia z ogniem, nie doszło do żadnego niebezpiecznego incydentu. Pokonały karłowate i zdołały wyprodukować przeróżne nieznanne dotąd przedmioty, które należy teraz zbadać.

Mrówki dochodzą w końcu do porozumienia – należy w dalszym ciągu badać właściwości ognia, zachowując jednak większe środki ostrożności. Wokół paleniska zostanie wykopany rów, by płomień nie przeniósł się przypadkiem na sosnowe igły leżące w pobliżu. Tak łatwo przecież o pożar...

Jedna z mrówek należących do obozu zwolenniczek ognia wpada na pomysł, żeby upiec kawałek szarańczy, i stwierdza, że mięso w takiej postaci jest o wiele

smaczniejsze. Nie dane jest jej jednak podzielić się swoim odkryciem z pozostałymi, gdyż zbliżywszy się za bardzo do ognia, jej nóżka zajmuje się płomieniem i po chwili cały owad topi się wraz ze smakowitym obiadem w żołądku.

Księżniczka 103 śledzi całe to zamieszanie w zamyśleniu. Wiadomość o istnieniu Palców zbulwersowała mrówki. 103 porównuje je do spragnionych owadów, które rzucają się do kałuży z wodą, piją łapczywie, a następnie umierają z przesytu. Lepiej pić małymi łydkami, żeby organizm miał czas się przyzwyczać.

Jeśli rewolucjonistki będą nieostrożne, całe przedsięwzięcie może przybrać zły obrót.

Stwierdza natomiast, że to pierwsza noc, podczas której ani ona, ani jej towarzyszki nie zmrużyły nawet oka. Słońca nie widać, a noc wkrada się przez szczelinę w skale.

117. BUNTU MRÓWEK DZIEŃ DRUGI

Noc odeszła. Słońce wstawało powoli na niebie tak, jak każdego dnia, w którym postanowiło, że tak uczyni.

Była godzina siódma rano i w liceum w Fontainebleau rozpoczynał się drugi dzień buntu. Julie jeszcze spała.

Śniła o Ji-woongu. Rozpinał jeden po drugim guziki jej koszuli, odpinał stanik, w którym ściśnięte były jej piersi, rozbierał ją powoli i wreszcie zbliżył swoje usta do jej warg.

– Nie – zaprotestowała miękko, przytulając się do niego.

On odpowiedział spokojnie:

– Jak chcesz. W końcu to twój sen i to ty decydujesz.

Tak oschle wypowiedziane zdanie sprawiło, że szala się przechyliła, a ona natychmiast powróciła do rzeczywistości.

– Julie się obudziła. Chodźcie szybko! – rzuciła jedna z osób.

Ktoś wyciągnął do niej rękę, żeby pomóc jej wstać.

Julie zorientowała się, że całą noc przespała w samym środku stosu kartonów i papierów rozrzuconych na trawie. Zapytała, gdzie jest i co się dzieje. Jacyś nieznani ludzie skupili się wokół niej, było ich może ze dwudziestu, tak jakby

chcieli jej bronić.

Ujrzała tłum, przypomniała sobie wszystko i nagle odczuła potężną migrenę. „Boże, jak mnie boli czaszka!”. Wolałaby teraz być u siebie, w kapciach, sącząc powoli kawę z gęsto ubitą śmietaną i chrupać bułeczkę z czekoladą, słuchając w tym czasie wiadomości ze świata.

Miała ochotę po prostu zwać stąd. Wsiąść do autobusu, kupić gazetę, żeby zrozumieć, co się wydarzyło, porozmawiać chwilę z właścicielką piekarni, tak jak każdego ranka. Zasnęła, nie zmywszy makijażu, i nie cierpiała tego. Od razu wychodziły jej krosty. Najpierw poprosiła o mleczko do demakijażu, a potem o jakieś solidne śniadanie. Przyniesiono jej szklanekę zimnej wody, żeby się obmyła, na śniadanie zaś dostała plastikowy kubek z rozpuszczalną kawą, niezbyt dobrze rozpuszczoną w letniej wodzie.

– Cóż, na wojnie, jak na wojnie – westchnęła, przełykając kawę.

Była jeszcze w półśnie; powoli odnajdowała się na licealnym dziedzińcu i w panującym tam poruszeniu. Przez chwilę wydawało jej się, że nadal śni, kiedy dostrzegła w górze, na centralnym maszcie, sztandar rewolucji – ich małej rewolucji, z trójkątem i trzema mrówkami.

Siedmiu Krasnoludków dołączyło do niej.

– Chodź, zobacz.

Léopold uniósł lekko brzeg koca wiszącego na kracie i dostrzegła natychmiast szarżujących policjantów. Jak na wybuchowe przebudzenie, rzeczywiście nieźle się to zapowiadało.

Dziewczyny z klubu aikido uzbroiły ponownie sprzęt przeciwpożarowy i oblały policjantów, gdy tylko znaleźli się w zasięgu, po czym ci natychmiast się wycofali. Stawało się to już niemal rutynowym działaniem.

I znowu zwycięstwo było po stronie obłączonych.

Gratulowano Julie i wniesiono ją na rękach na balkon na pierwszym piętrze. Stamtąd wygłosiła krótkie przemówienie:

– Dzisiaj rano siły porządkowe ponownie podjęły próbę wypędzenia nas stąd. Znowu wrócą i znowu będą musieli ustąpić. Przeszkadzamy im, gdyż stworzyliśmy przestrzeń wolności, która wymyka się kontroli i ustalonemu porządkowi. Teraz mamy do dyspozycji niesamowite laboratorium, żeby spróbować coś zrobić z naszym życiem.

Julie stanęła przy samym brzegu balkonu:

– Weźmiemy nasz los w swoje ręce.

Przemawianie do ludzi było czymś zupełnie innym niż śpiewanie przed publicznością, ale było tak samo ekscytujące.

– Wymyślmy nową formę rewolucji: rewolucję bez przemocy, rewolucję, która zaproponuje nową wizję społeczeństwa. Rewolucja jest przede wszystkim aktem miłości, jak mawiał niegdyś Che Guevara. Jemu się nie udało, ale my, my przynajmniej spróbujemy tego dokonać.

– No, a do tego ta rewolucja jest też rewolucją przedmieść i młodych ludzi, którzy mają już dość gliniarzy. Trzeba było ich wykończyć, tych kretyńców – krzyknął ktoś.

Jakiś inny głos zakrzyknął:

– Nie, ta rewolucja to rewolucja ekologów, przeciwko zanieczyszczeniom i energii jądrowej.

– To rewolucja i bunt przeciw rasizmowi – rzuciła jeszcze inna, trzecia już osoba.

– Nie, to rewolucja klas, bunt przeciwko tym, którzy trzymają wielki kapitał – zaprotestował ktoś inny. – Okupujemy liceum, bo to symbol wykorzystania ludu przez burżuazję.

Nagle podniosła się okropna wrzawa. Liczni byli ci, którzy chcieli przywłaszczyć sobie tę manifestację w imię takich czy innych racji, często zresztą wykluczających się nawzajem. W ich oczach pojawiały się pierwsze oznaki nienawiści.

– Są jak stado bez pasterza i bez wyznaczonego celu. Są gotowi na wszystko. Uwaga, niebezpieczeństwo! – szepnęła Francine do ucha swojej przyjaciółki.

– To my musimy im dać jakąś wizję, coś, co ich zjednoczy, jakąś wyższą rację. I to szybko, zanim wszystko się popsuje – dodał David.

– Trzeba określić raz na zawsze, jaki jest sens naszej rewolucji, tak, żeby nikt nie mógł jej przejąć – dorzucił na koniec Ji-woong.

Julie czuła się jak w potrzasku.

Jej zagubione spojrzenie przebiegło po zgromadzonym tłumie. Oni wszyscy czekali na to, by powiedziała jasno, o co chodzi, a i tak byli gotowi posłuchać tego, kto ostatni zabierze głos.

Pełne nienawiści spojrzenie osobnika, który chciał wojny z policją,

zmobilizowało ją. Znała go dobrze. To był jeden z tych właśnie uczniów, którzy prześladowali najsłabszych nauczycieli. Zwykły łobuz bez odwagi i przekonań, wymuszał pieniądze od uczniów z młodszych klas. Ironiczny wzrok zwolennika ekologów i walki klas wcale nie był bardziej sympatyczny.

Nie miała zamiaru rezygnować ze „swojej” rewolucji na rzecz jakichś łobuzów czy polityków. Trzeba było pociągnąć za sobą ten tłum w zupełnie innym kierunku.

Na początku było Słowo. Najpierw trzeba rzeczy nazwać. Nazwać. Ale jak nazwać tę jej rewolucję?

I nagle olśnienie. Rewolucja... mrówek. Taki był tytuł koncertu. Taki był napis na plakatach i na T-shirtach amazonek. To był ich hymn zjednoczeniowy. Taki był też motyw na sztandarze.

Podniosła ręce, chcąc uspokoić tłum.

– Nie! Nie! Nie koncentrujemy się na tych starych i przebrzmiałych sprawach, gdyż wiemy dobrze, jak to wszystko było jałowe. Dla nowej rewolucji: nowe cele.

Żadnej reakcji.

– Tak, jesteśmy jak mrówki. Małe, ale silne tym, że jesteśmy zjednoczone. Naprawdę tak jak mrówki. Ponad wszystko przedkładamy komunikację i inwencję, sprzeciwiając się formalizmowi i przywiązaniu do rzeczy tego świata. Jesteśmy jak mrówki. Nie boimy się zaatakować większych od nas, nie boimy się najtrudniejszych do zdobycia cytadel, gdyż razem jesteśmy silniejsi. Mrówki wskazują nam drogę, którą należy podążać i która może okazać się zbawienna. Ma ona w każdym razie tę zaletę, że nigdy nikt wcześniej tego nie zrobił.

Pomruk w sceptycznie nastawionym tłumie.

Majonez nie chciał się jakoś ubić. Julie pośpiesznie zabrała głos jeszcze raz.

– Małe, ale zjednoczone potrafią poradzić sobie z każdym problemem. Mrówki proponują nie tylko inne wartości, ale też inną organizację społeczną, inny sposób porozumiewania się i inne relacje między jednostkami.

Znowu przerwa, którą kilku przeciwników starało się czym prędzej wypełnić.

– A zanieczyszczenie środowiska?

– A rasizm?

– A walka klas?

– A problemy na przedmieściach?

– Tak, oni mają rację – krzyczeli już niektórzy spośród zgromadzonego tłumu.

Julie przypomniła sobie zdanie z *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*: „Uważać na tłumy. Zamiast wykraczać ponad zalety jednostki, tłum dąży do tego, by te zalety pomniejszać. Współczynnik inteligencji tłumu jest niższy od współczynników jednostek tworzących tłum. W tłumie to już nie jest $1 + 1 = 3$, lecz $1 + 1 = 0,5$ ”.

Latająca mrówka przeleciała tuż obok Julie. Ta uznała, że pojawienie się owada jest jak aprobata ze strony otaczającej ją natury.

– Tutaj nastąpił bunt mrówek, tylko i wyłącznie bunt mrówek.

W tłumie znowu dał się wyczuć niepokój. Wszystko zależało od tego, co teraz się stanie. Jeśli to nie zadziała, Julie była gotowa dać sobie z tym wszystkim spokój.

Julie ułożyła palce w literę „V”, a latająca mrówka usiadła na jednym z jej palców. Wszyscy byli poruszeni tym widokiem. Skoro nawet owady nas wspierają...

– Julie ma rację. Niech żyje bunt mrówek! – krzyknęła Elisabeth, przywódczyni amazonek, dawnych członkiń klubu aikido.

– Niech żyje bunt mrówek – powtórzyło za nią Siedmiu Krasnoludków.

Nie wolno było teraz wypuścić z rąk zdobyczy. Rzuciła więc pełnym głosem tak, jak odrywa się zatyczkę spadochronu:

– Gdzie są wizjonerzy?

Tym razem nie było wahania. Tłum podchwycił hasło.

– To my jesteśmy wizjonerami.

– Gdzie są wynalazcy?

– To my jesteśmy wynalazcami!

Julie zaczęła śpiewać:

Jesteśmy nowymi wizjonerami,

Jesteśmy nowymi wynalazcami!

Jesteśmy małymi mrówkami, które podgryzać będą ten stetryczały świat.

Na tym gruncie mali oponenti nie mogli się z nią równać, chyba że wzięliby natychmiast kilka lekcji śpiewu...

W jednej chwili zapanował powszechny entuzjazm. Nawet świerszcz, który był niedaleko, zaczął cykać tak, jakby wyczuł, że dzieje się coś naprawdę interesującego.

Tłum znowu zaczął chórem śpiewać hymn mrówek.

Julie z podniesioną do góry pięścią miała wrażenie, że kieruje teraz piętnastotonową ciężarówką. Żeby wykonać najdrobniejszy manewr, trzeba było olbrzymiej energii, ale przede wszystkim nie wolno było zboczyć ani trochę z wyznaczonej trasy. Lecz ciężarówką można było nauczyć się kierować na kursach prawa jazdy, a gdzie można było nauczyć się kierować „rewolucją”?

Być może powinna była uważniej słuchać wykładów z historii i może wtedy dowiedziałyby się, jak poradzili sobie jej poprzednicy. Co zrobiliby na jej miejscu Trocki, Lenin, Che Guevara albo Mao?

Oponenci, ci od ekologii i od przedmieść, skrzywili się, niektórzy splunęli na ziemię albo mamrotali jakieś przekleństwa, lecz czując, że są w zdecydowanej mniejszości, nie odważyli się zanadto naciskać.

Kim są nowi wynalazcy?

Kim są nowi wizjonerzy?

Powtarzała te zdania, wczepiając się w nie jak w koło ratunkowe.

Ukierunkować tłum. Wydobyć z niego energię i skanalizować ją, żeby wyciągnąć to, co najlepsze i dzięki niej coś zbudować – tym w tej chwili był całkowicie zaprzątnięty umysł Julie. Jej jedynym problemem było to, że nie wiedziała za bardzo, co też należy zbudować.

Nagle ktoś przybiegł i wyszeptał Julie do ucha:

– Gliny wszystko zablokowały. Za chwilę nie będzie można już wyjść.

W tłumie dał się słyszeć pomruk.

Julie chwyciła raz jeszcze za mikrofon.

– Powiedziano mi przed chwilą, że gliniarze zablokowali całą okolicę. Jesteśmy tutaj jak na bezludnej wyspie, a przecież to centrum nowoczesnego miasta. Ci, którzy chcą odejść, powinni zrobić to teraz, natychmiast, zanim stanie się to niemożliwe.

Trzysta osób skierowało się w stronę zakratowanej bramy. W większości byli to ludzie dojrzały, którzy obawiali się, że niepokoi się o nich rodzina; ci, dla których najważniejsza była praca i dla których, tak na dobrą sprawę, to, co się wydarzyło, było tylko zabawą. Byli też młodzi ludzie, którzy obawiali się scen z rodzicami po tej nocy, kiedy nie wrócili, do tego ich o tym nie uprzedzając. Inni znowu, owszem, lubili rock, lecz zupełnie ich nie obchodziła cała ta rewolucja mrówek.

Wreszcie liderzy ekologów, ci z przedmieść i od walki klas, którzy starali się przywłaszczyć sobie rewolucję, także opuścili teren, złorzecząc pod nosem.

Otwarto bramę. Za nią policjanci z oddziałów szturmowych patrzyli obojętnie na wychodzących z liceum.

– A teraz, kiedy wśród nas są już tylko i wyłącznie ludzie dobrej woli, niech zabawa naprawdę się rozpocznie! – krzyknęła Julie.

118. ENCYKLOPEDIA

UTOPIA AMERYKAŃSKICH INDIAN: Indianie z Ameryki Północnej, zarówno Siuksowie, Czejeni, Apacze, Crow, Nawahowie, Komanczowie, czy też należący do innych szczepów, wyznawali te same zasady.

Przede wszystkim uważali, że sami stanowią integralną część natury, nie zaś, że są jej panami. Kiedy na jakimś obszarze ich szczep wybił zwierzynę, przenosili się, żeby teren ten ponownie zasiedliły zwierzęta. W ten sposób ich działania nie wyjaławiały ziemi.

W indiańskim systemie wartości indywidualizm był raczej powodem do wstydu niż do chwały. Było czymś nie do przyjęcia, żeby robić coś dla samego siebie. Nikt nie posiadał nic i nie miał do niczego praw. Jeszcze dzisiaj Indianin, który kupi samochód, wie, że będzie musiał go oddać pierwszemu napotkanemu Indianinowi, który go o to poprosi.

Ich dzieci były wychowywane bez przymusu. Tak naprawdę edukowały się same.

Odkryli takie odmiany roślin, które wykorzystywali po to, żeby stworzyć inne odmiany kukurydzy. Wynaleźli technikę impregnowania materiałów dzięki zastosowaniu soku z kauczukowca. Potrafili wytwarzać ubrania z bawełny, tkane w sposób niezwykle misterny i nieznanymi w Europie. Zнали też lecznicze właściwości aspiryny (kwas salicylowy), chininy...

W indiańskich społecznościach Ameryki Północnej nie istniało pojęcie dziedziczenia władzy ani też nie było władzy stałej. Przy podejmowaniu decyzji każdy przedstawiał swój punkt widzenia podczas pow-wow (rady szczepu), które działało (i to na długo przed republikańskimi rewolucjami w Europie) na zasadzie zgromadzenia. Jeżeli większość nie miała już zaufania do swojego przywódcy, ten z własnej woli się wycofywał.

Było to społeczeństwo egalitarne. To prawda, był i przywódca, lecz przywódcą był tylko ten, za kim ludzie podążali spontanicznie. Bycie liderem polegało na zaufaniu. Decyzji podjętej w czasie pow-wow zobowiązany był podporządkować się jedynie ten, kto za taką decyzją głosował. Trochę tak, jak gdyby u nas jedynie ci, którzy uznają taką czy inną ustawę za słuszną, mieli się do niej stosować!

Nawet w czasach świetności Indianie z Ameryki nigdy nie mieli zawodowej armii. Wszyscy brali udział w bitwach wtedy, gdy było to konieczne, lecz wojownik znajdował uznanie społeczne przede wszystkim jako myśliwy, rolnik i głowa rodziny.

W tym systemie życie, niezależnie od formy, jaką przybierało, zasługiwało na szacunek. Dlatego oszczędzali życie swoich przeciwników, pod warunkiem rzecz jasna, że przeciwnicy postępowali podobnie. Zawsze obowiązywała zasada wzajemności: nie czynь drugiemu, co tobie niemiłe.

Wojna postrzegana była jako gra, w której należy wykazać się odwagą. Nie dążono do fizycznego unicestwienia przeciwnika. Jednym z celów walki było dotknięcie przeciwnika zaokrągloną końcówką długiego kija. Było to większe dokonanie niż zadanie mu śmierci. Liczono te „trafienia”. Walkę przerywano, gdy pojawiła się krew. Rzadko następowała śmierć.

Podczas wojen między Indianami głównym celem było wykradzenie przeciwnikowi koni. Ze względów kulturowych nie mogli zrozumieć wojen w wydaniu masowym, jakie prowadzono w Europie. Byli niezwykle zaskoczeni, widząc, jak biali ludzie zabijają wszystkich, w tym starców, kobiety i dzieci. Postrzegali to nie tylko jako potworne, ale przede wszystkim oburzające, bezsensowne i niezrozumiałe.

Indianie z Ameryki Północnej stawiali opór stosunkowo długo.

Spółczesna południowoamerykańskie stanowiły łatwiejszy cel ataków. Wystarczyło ściąć królewską głowę, a całe społeczeństwo się rozpadało. W tym tkwi największa słabość systemów opartych na hierarchii i na scentralizowanej administracji. Słabość systemu tkwi w samym monarsze. W Ameryce Północnej społeczeństwo charakteryzowało się bardziej rozproszoną strukturą. Kowboje walczyli z setkami migrujących szczepów. Nie było jednego wielkiego i nieruchomego króla, lecz setki mobilnych przywódców. Kiedy białym udało się zniszczyć lub zapanować nad szczepem liczącym sto pięćdziesiąt osób, musieli na

nowo atakować drugi szczep, też liczący sto pięćdziesiąt osób.

Mimo wszystko była to potworna rzeź. W 1492 roku Indian w Ameryce Północnej było dziesięć milionów. W 1890 roku było ich tylko sto pięćdziesiąt tysięcy, z których wielu miało umrzeć na choroby przywleczone z Europy. Podczas bitwy Little Big Horn 25 czerwca 1876 roku doszło do największego zgromadzenia Indian: dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi, z czego trzy do czterech tysięcy wojowników. Indiańska armia rozniosła w pył armię generała Custer. Ciężko jednak jest wyżywić tak wielką liczbę ludzi na tak małym obszarze. Po odniesionym zwycięstwie Indianie podzielili się na mniejsze grupki. Uznali, że po tak ponizającej klęsce biali nie ośmielą się już nigdy okazać im braku szacunku.

Lecz kolejne szczepy zostały wyeliminowane jeden po drugim; aż do 1900 roku rząd amerykański starał się unicestwić je całkowicie. Po 1900 roku sądzono, że amerykańscy Indianie zintegrują się w *melting-pot*, tak jak stało się z Murzynami, Chicanos, Irlandczykami czy Włochami.

Lecz było to zbyt wąskie spojrzenie. Amerykańscy Indianie nie mogli zrozumieć, czego mogliby się nauczyć i co przejąć z zachodniego systemu społeczno-politycznego, który uznawali za zdecydowanie mniej rozwinięty niż ich własny.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

119. SKWAR

Gdy tylko światło wpadające z zewnątrz zaczyna tłumić blask bijący z paleniska, mrówki podążają nad brzeg rzeki i wyruszają ku zachodowi.

Jest ich zaledwie setka, lecz czują się zdolne do zmiany świata. Księżniczka 103 ma świadomość tego, że po przebyciu długiej drogi z zachodu na wschód, teraz przemierza ją w drugą stronę, żeby opowiedzieć innym mrówkom o tajemniczej krainie Palców i rozpocząć ewolucję myrmeczeńskiej cywilizacji.

Stare przysłowie mówi: „Wszystko; co wyrusza w jednym kierunku, wraca w drugą stronę”.

Palce z pewnością nie pojęłyby znaczenia tych słów i 103 stwierdza z zadowoleniem, że mrówki mogą jednak poszczycić się szczególną kulturą.

Oddział przemierza cuchnące połacie ziemi, gdzie spada na nie deszcz ciężkich

jak kamienie skrzydlaków, owoców jesionu i wiązu. Przedostaje się przez las ciemnych paproci. Krople rosy smagają mrówki, przylepiając ich czułki do ciała.

Starają się za wszelką cenę utrzymać żar przy życiu, osłaniając go liśćmi. Jedynie ksiązę 24, który próbuje nie ulec ogólnemu zachwytowi nad światem Palców, trzyma się na uboczu, chcąc pozostać w symbiozie z własnym światem.

Wstaje poranek, panuje duchota. Gdy upał robi się niemożliwy do zniesienia, mrówki kryją się w chłodnym zagłębieniu korzenia.

Inżynierki ognia spalają coś niewiarygodnie śmierdzącego. Biedronka przechodząca w pobliżu dopytuje się, co to takiego – okazuje się, że żuk. Sama będąc żukiem, nie zwleka już dłużej i oddala się, zauważywszy nieopodal stado mszyc.

Tymczasem 7 rozpoczyna prace nad olbrzymim freskiem przedstawiającym pochod „palcowej rewolucji”. Żeby należycie oddać kształt każdego owada, prosi mrówki, by ustawiały się przed ogniskiem, a następnie kopiuje cienie ich sylwetek na liściu. Jej myśl skupia się teraz na zapewnieniu jak największej trwałości pigmentom. Obraz może zniknąć lada chwila. Wspomaga się śliną, która jednak tylko rozmywa barwy. Trzeba znaleźć inny sposób.

7 zauważa ślimaka i morduje go bez skrępowań w imię sztuki. Testuje jego wydzielinę. Otrzymany rezultat jest zdecydowanie lepszy niż ślina. Nie rozcieńcza pigmentu, a schnąc, twardnieje. Idealny lakier.

Księżniczka 103 podchodzi i potwierdza: tak, to jest sztuka. Dobrze sobie przypomina – sztuka polega na tworzeniu rysunków i przedmiotów, które niczemu nie służą, lecz przypominają rzeczy istniejące.

– *Sztuka to próba odwzorowania natury* – podsumowuje natchniona 7.

Mrówkom udało się rozwiązać pierwszą tajemnicę Palców. Pozostaje jeszcze dowiedzieć się, czym są „humor” i „miłość”.

Wojowniczką 7 odczuwa ożywienie, które zmusza ją do jeszcze bardziej zawziętej pracy. Wspaniałe w sztuce jest to, że im więcej udaje nam się odkryć, tym więcej pojawia się pasjonujących pytań.

7 zastanawia się, w jaki sposób uzyskać efekt głębi. I jak najdokładniej oddać otaczającą ich roślinność.

Ksiązę 24 i 10 słuchają, jak księżniczka 103 opowiada o Palcach.

BRWI:

Palce posiadają coś niezwykle praktycznego na poziomie oczu – są to brwi.

Ta linia rosnących nad oczami włosów zatrzymuje krople deszczu.

Lecz to jeszcze nie wszystko: ich oczodoły znajdują się w lekkim zagłębieniu czaszki, dzięki czemu woda omija oczy, nie zalewając ich.

10 notuje.

103 mówi dalej.

ŁZY:

Oczy Palców produkują łzy.

Jest to system iniekcji śliny ocznej, mającej działanie nawilżające i czyszczące.

Dzięki powiekom, swego rodzaju ruchomym kotarom opadającym na oko co pięć sekund, ich oczy są stale pokryte cienką warstwą przezroczystego płynu nawilżającego, chroniącego gałkę oczną przed pyłem, wiatrem, deszczem i zimnem.

Oczy Palców są dzięki temu zawsze czyste – nie ma potrzeby tarcia ich ani lizania.

Mrówki próbują sobie wyobrazić te skomplikowane oczy Palców. Z trudem im to jednak przychodzi.

120. ZOSTAWIĆ – NIECH GNIJE

Z szeroko otwartymi oczami Scynthia Linart i jej córka Marguerite oglądały telewizję. Tego wieczoru to Scynthia trzymała pilota. Zmieniała programy wolniej niż Marguerite zapewne dlatego, że więcej rzeczy ją interesowało. Kanał 45. Informacje. Dwóch bliźniaków wymyśliło własny język i nie chce posługiwać się oficjalnym językiem używanym w szkole... Administracja postanowiła więc ich rozdzielić, żeby nauczyli się francuskiego. Stowarzyszenie pediatrii wyraża żal, że Ministerstwo Edukacji Narodowej nie stworzyło możliwości zbadania tego spontanicznego języka, który być może pozwalał dwóm braciom wyrażać niektóre rzeczy w inny sposób. Kanał 673. Reklama. „Jedzcie jogurty! Jedzcie jogurty! JEDZCIE JOGURTY!”

Kanał 345. Dowcip dnia: Słoń wychodzi z rzeki w stroju kąpielowym i...

Kanał 678. Wiadomości. Francja. Polityka: Rząd uznał bezrobocie za najważniejszy problem narodowy i stawia sobie za cel numer jeden walkę z tym

zjawiskiem. Zagranica: Manifestacje w Tybecie przeciwko chińskiej okupacji. Żołnierze z Pekinu zaatakowali członków pokojowej manifestacji i zmusili lamów do podrzynania gardeł zwierzętom, aby ich karma została splamiona. Amnesty International przypomina, że w wyniku masakr popełnionych na Tybetańczykach władzom w Pekinie udało się doprowadzić do sytuacji, w której w Tybecie żyje więcej Chińczyków niż Tybetańczyków.

Kanał 622. Rozrywka. „Pułapka w rozumie”: „Czy potraficie za pomocą sześciu zapalek zbudować osiem trójkątów równobocznych? I przypominam pani, droga pani Ramirez, że zdanie, które może pani pomóc brzmi: «Wystarczy się tylko zastanowić»”.

Kiedy już tak zgromadzili około setki niekompletnych i poszatkowanych informacji, Maximilien zasiadł wraz z rodziną do stołu. Tego wieczoru miała być mrożona pizza, filety z halibuta w porach, a na deser jogurt.

Maximilien zostawił żonę i córkę przed małymi kubeczkami; powiedział, że ma jeszcze sporo pracy, i zamknął się w swoim gabinecie.

Mac Yavel zaproponował mu rozpoczęcie nowej partii *Ewolucji*. Z zimnym piwem pod ręką komisarz stworzył podobną do słowiańskiej cywilizację, którą bez większego trudu doprowadził do 1800 roku. Ale w 1870 roku został pokonany przez armię grecką, gdyż spóźnił się z wybudowaniem ufortyfikowanych miast, poza tym morale ludu było fatalne ze względu na spustoszenia wywołane korupcją w administracji.

Mac Yavel zasygnalizował mu ryzyko zamieszek. Miał do wyboru wysłanie policji, która zdławiłaby bunt, lub zwiększenie liczby spektakli komediowych, aby lud się trochę rozerwał i żeby tym samym zmniejszyły się napięcia. Maximilien zanotował w swoim dzienniku gry, że aktorzy mogą mieć swój udział w ratowaniu ginącej cywilizacji. Dodał nawet następujące zdanie: „Poczucie humoru i dowcipy mogą mieć w krótkim wymiarze czasu nie tylko wpływ terapeutyczny, ale także uchronić od zagłady całe cywilizacje”. Teraz wręcz żałował, że nie wysłuchał do końca tego żartu ze słoniem w stroju kąpielowym.

Komputer uściślił jednak, że o ile komicy potrafią podnieść morale przybitej ludności, o tyle jednocześnie obniżają jej szacunek wobec przywódców. Lud najbardziej bawia kpiny z istniejącej władzy.

Maximilien zanotował tę myśl. Sporządzając bilans rozgrywki, Mac Yavel

podkreślił ponadto, że musi nauczyć się oblegania fortec przeciwnika. Bez katapult i bez ciężkiego opancerzonego sprzętu tracił zbyt wielu ludzi podczas szturmów.

– Wydajesz się mocno zafasowany – usłyszał głos z komputera. – Wciąż nie rozwiązałeś tego problemu z piramidą w lesie?

Jak zwykle Maximilien zdziwił się możliwościami tej maszyny, która potrafiła wejść w rolę autentycznego rozmówcy, łącząc po prostu w pewien ciąg logiczny poszczególne zdania.

– Nie, tym razem dręczy mnie sprawa buntu w liceum – odpowiedział niemal spontanicznie.

– Czy chcesz ze mną o tym porozmawiać? – zapytało oko Mac Yavela, które wypełniało cały ekran, aby tym silniej zaakcentować stopień zainteresowania.

Maximilien podrapał się zasepiony po brodzie.

– Zabawne, bo obecnie moje problemy w rzeczywistości pokrywają się z tym, co dzieje się w grze *Ewolucja*: chodzi o oblężenie ufortyfikowanych zamków.

Maximilien opisał komputerowi swoje kłopoty związane z sytuacją w liceum, a ten zaproponował mu, aby wspólnie poszukali informacji na temat historii oblegania fortec w średniowieczu. Za pomocą modemu maszyna weszła do sieci encyklopedii historycznych i przesłała mu obrazki i teksty.

Ku swojemu olbrzymiemu zdziwieniu Maximilien odkrył, że obleganie fortec wymagało znacznie bardziej wyszukanych strategii niż to sobie wyobrażał na podstawie filmów płaszcza i szpady. Już od czasów starożytnego Rzymu każdy generał szukał nowych rozwiązań, gdy miał za zadanie zdobycie miasta czy fortecy. Dowiedział się, że katapulty nie służyły wyłącznie do wyrzucania pocisków. Straty, jakie to powodowało, były bardzo ograniczone. Katapulty miały przede wszystkim nadważyć morale obrońców fortecy. Oblegający wysyłali im baryłki z wymiocinami, ekskrementami i uryną, rzucali w nich żywymi zakładnikami, stosowali broń biologiczną, starając się wrzucić do zbiorników wodnych truchła zwierząt, które padły od dżumy.

Poza tym oblegający drążyli tunele pod wałami obronnymi i wypełniali je wiązkami chrustu. W wyznaczonym czasie podpalali drewno i tunele się zapadały, co pociągało za sobą osunięcie się murów obronnych. Wtedy trzeba już było tylko przystąpić do ataku, wykorzystując moment zaskoczenia.

Oblegający posługiwali się także rozpalonymi do czerwoności kulami armatnimi; stąd też francuski zwrot „strzelać czerwonymi kulami”. Szkody nie były poważne, ale łatwo sobie wyobrazić strach mieszkańców przed płonącymi pociskami spadającymi z nieba.

Mocno zaintrygowany, Maximilien śledził uważnie przewijające się na ekranie obrazy. Istniały tysiące sposobów prowadzenia oblężenia. Do niego należało teraz wymyślenie takiej metody, która w naszych czasach pozwoliłaby zdobyć betonowe liceum w formie kwadratu.

Zadzwoił telefon. Prefekt chciał się dowiedzieć, jak wygląda sprawa zamieszek. Komisarz Linart poinformował go, że manifestanci byli rzeczywiście zamknięci w liceum otoczonym przez policję i że nikt nie może tam wejść ani stamtąd wyjść.

Prefekt pochwalił go. Obawiał się tylko, że cała ta sprawa może się rozlać jak oliwa. Było wskazane, i to w najwyższym stopniu, żeby zamieszki nie przybrały znacznie większych rozmiarów.

Komisarz Linart powiedział, że ma zamiar opracować taką metodę ataku, która pozwoli odzyskać liceum.

– Tylko nie to – obruszył się prefekt. – Chyba nie chce pan, żeby ci mali zadymiarze przeobrazili się w męczenników?

– Tak, ale oni mówią o tym, żeby obalić porządek tego świata, żeby zrobić rewolucję. Ludzie w dzielnicy słyszą przemówienia tej ich Pasionarii i się niepokoją. Pojawiły się już oficjalne skargi. Poza tym w nocy ich nagłośnienie nie pozwala ludziom spać...

Prefekt jednak trwał przy swojej teorii „pozwoić zgnić”.

Nie ma takiego problemu, który w końcu nie rozwiązałby się sam, gdy zastosujemy tę technikę: nic nie robić i pozwoić zgnić.

Według prefekta, cały francuski geniusz opierał się na tej właśnie formule: „pozwoić zgnić”. Pozwalając gnić sokowi z winogron, uzyskujemy najlepsze wina. Pozwalając gnić mleku, otrzymujemy najlepsze sery. Nawet chleb wyrabia się, mieszając mąkę z drożdżami, a więc z grzybami.

– Pozwoić zgnić, pozwoić zgnić, mój drogi Linart. Tym dzieciakom i tak nie uda się niczego osiągnąć. Zresztą wszystkie rewolucje kończą się właśnie tak: same się rozkładają. Czas jest ich najgorszym wrogiem, wszystko zaczyna

fermentować.

Prefekt podkreślił, że za każdym razem, gdy Linart wysyła do walki swoich ludzi, oblężeni zwierają jeszcze bardziej swoje szeregi i stają się coraz bardziej solidarni. Niech więc ich zostawi w spokoju i w końcu zaczną sobie sami skakać do oczu jak stado szczurów zamkniętych w klatce.

– Wie pan, drogi Maximilienie, bardzo trudno jest żyć w społeczeństwie. Być z kimś w mieszkaniu to już nie jest takie łatwe. Zna pan dużo takich małżeństw, które się nie kłócą? Niech więc pan sobie wyobrazi, jak to może wyglądać, gdy się żyje w pięćset osób w odciętym od świata liceum! Już teraz pewnie się kłócą o jakiś ciekący kran, o rzeczy, które ktoś komuś podkradł, o zepsuty telewizor albo o to, że niektórzy palą, a innym przeszkadza papierosowy dym. Trudno jest żyć w grupie. Proszę mi wierzyć, niebawem będzie tam prawdziwe piekło.

121. MOMENT, W KTÓRYM NIE WOLNO POPEŁNIĆ BŁĘDU

Julie udała się do sali biologicznej i rozbiła wszystkie fiolki. Uwolniła białe myszki, które służyły za króliki doświadczalne. Uwolniła żaby, a nawet dżdżownice. Zraniła się kawałkiem szkła w przedramię issała teraz krew, która perliła się na jej skórze. Potem ukryła się w tej sali, w której nauczyciel historii powiedział jej, żeby spróbowała wymyślić taką rewolucję, w której nie byłoby przemocy i która zmieniłaby świat. Sama w opustoszałej klasie, Julie kartkowała *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*, szukając fragmentów poświęconych rewolucjom. Wciąż powracało do niej jedno zdanie usłyszane na lekcji historii: „Ci, którzy nie zrozumieli błędów przeszłości, są skazani na to, by je powtórzyć”. Dalej kartkowała księgę, starając się poznać wszelkie możliwe w tej materii doświadczenia. Trzeba było się dowiedzieć, w jaki sposób inni sobie z tym poradzili lub nie, a następnie sprawić, żeby ich własna rewolucja na tym skorzystała. Żeby wszyscy ci utopiści z ubiegłego stulecia nie zginęli na darmo i żeby ich niepowodzenia czy sukcesy stały się teraz przydatne. Julie pożerała wręcz historię rewolucji, tych znanych, ale także i nieznanych, które zinwentaryzował, jak się wydaje z dużą satysfakcją, Edmund Wells. Rewolucja w Chengdu, kruczata dziecięca... I bardziej też dojrzałe rewolucje: amisze w Nadrenii i długousi na Wyspie Wielkanocnej. Ostatecznie rewolucja jest przedmiotem takim jak inne. To prawda, nie jest to przedmiot

maturalny, ale jakże interesujący i właściwie mógłby to być odrębny kierunek studiów.

Chciała zrobić jakieś notatki. Na końcu książki były białe kartki, a u góry napis: Proszę notować na tych stronach wasze własne odkrycia. Edmund Wells pomyślał o wszystkim. Stworzył naprawdę interaktywne dzieło. Najpierw czytacie, a potem sami piszecie. Julie, która do tej pory miała wielki szacunek dla książek i nigdy nie odważyłaby się zapisywać w nich czegokolwiek, tym razem napisała długopisem bezpośrednio w *Encyklopedii*: „Wkład Julie Pinson. Jak praktycznie przeprowadzić udaną rewolucję. Fragment numer 1 dodany po doświadczeniach zebranych w liceum w Fontainebleau”.

Zapisała wnioski, jakie wyciągnęła z całej tej sprawy, i przekazała swoją opinię potomnym:

Zasada rewolucyjna numer 1: Koncerty rockowe wyzwalają wystarczająco dużo energii i empatii, żeby wywołać ruchy masowe o charakterze rewolucyjnym.

Zasada rewolucyjna numer 2: Jedna osoba nie wystarczy, żeby kierować masami. Na czele rewolucji potrzebna jest nie jedna, lecz co najmniej siedem lub osiem osób. Choćby po to, żeby mieć do dyspozycji więcej czasu na zastanowienie i na odpoczynek.

Zasada rewolucyjna numer 3: Możliwe jest kierowanie ludźmi podczas walki przez dzielenie ich na mobilne grupy, a na czele każdej z nich powinien być jeden dowodzący, dysponujący możliwością szybkiego porozumiewania się z pozostałymi przywódcami.

Zasada rewolucyjna numer 4: Rewolucja, która się powiodła, wzbudza – rzecz jasna – zawiść. Należy unikać za wszelką cenę sytuacji, w której rewolucja wymknęłaby się z rąk tych, którzy ją zainicjowali. I nawet jeśli nie potrafimy dokładnie sprecyzować, czym jest rewolucja, konieczne jest zdefiniowanie, czym ona nie jest. Nasza rewolucja nie jest oparta na przemocy. Nasza rewolucja nie jest dogmatyczna. Nasza rewolucja nie odwołuje się do jakiegokolwiek rewolucji dokonanej w przeszłości.

Ale czy była tego tak do końca pewna? Wykreśliła ostatnie zdanie. Ostatecznie chciałaby nawet powiązać ją z jakąś dawną rewolucją, pod warunkiem jednak, że uzna ją za wystarczająco sympatyczną. Lecz czy w przeszłości zdarzały się w ogóle „sympatyczne” rewolucje?

Jeszcze raz otworzyła *Encyklopedię* na pierwszych stronach. Nigdy dotąd nie była tak pilna. Uczyła się całych fragmentów na pamięć. Przestudiowała powstanie Spartakusa, Komuny Paryską, bunt Zapaty w Meksyku, rewolucję 1789 roku we

Francji i tę z 1917 roku w Rosji, powstanie sipajów w Indiach...

Powtarzały się pewne punkty stałe. Na początku rewolucji przyświecały zazwyczaj pozytywne idee. Ale potem pojawiał się jakiś mały spryciarz, który korzystając z okazji, przejmował zbiorowy rewolucyjny entuzjazm i wprowadzał tyranię. Utopiści natomiast ginęli w rzeziach i służyli za męczenników takim właśnie małym spryciarzom.

Che Guevara został zamordowany, a rządził Fidel Castro. Leon Trocki, twórca Armii Czerwonej, został zamordowany, a rządził Józef Stalin. Danton został zamordowany, a rządził Robespierre.

Julie zdała sobie sprawę, że na tym świecie nie ma żadnej moralności, nawet w świecie rewolucji. Przeczytała jeszcze kilka następnych haseł i pomyślała, że jeśli istnieje Bóg, to musi mieć ogromny szacunek dla człowieka, dając mu wolną wolę i możliwość popełniania tak bardzo niesprawiedliwych czynów.

Lecz na razie jej własna rewolucja była jeszcze pięknym, całkiem nowym klejnotem, którego należało strzec przed drapieżnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Co prawda pozbyła się oponentów z pierwszego dnia, ale wiedziała, że w każdej chwili mogą pojawić się inni. Trzeba było wykazać się determinacją, zanim można będzie sobie pozwolić na luksus bycia łagodnym. I stopniowo, krok po kroku, Julie doszła do bolesnej konkluzji, że nie do końca okrzepłe państwa nie mogą pozwolić sobie na przyjemność życia w demokracji. Okazywanie siły było obowiązkiem rządzących, nawet jeśli później można było nieco popuścić cugle, w miarę jak wspólnota będzie się uczyć zarządzania samą sobą.

Do sali historycznej weszła Zoé. Przyniosła jeansy, sweter i koszulę, wszystko w kolorze niebieskim.

– Nie możesz tak bez przerwy chodzić w tej swojej sukni z motylem.

Julie podziękowała Zoé, wzięła ubrania, zamknęła encyklopedię, z którą się nie rozstawała, i pobiegła do łazienki tuż obok sypialni. Pod gorącą wodą szorowała się twardym mydłem tak, jakby chciała zerwać z siebie poprzednią skórę.

122. POŁOWA OPOWIEŚCI

Odbicie w lustrze. Teraz Julie Pinson była czysta. Włożyła na siebie ubranie, które

przyniosła jej Zoé. Niebieskie były jeansy, niebieska była koszula i po raz pierwszy w życiu Julie nie była ubrana na czarno.

Otarła ręką parę, która osiadła na lustrze nad umywalką i, znowu po raz pierwszy, powiedziała sobie, że jest piękna. A w każdym razie, że nieźle wygląda. Miała ładne czarne włosy, duże jasnoszare oczy z lekkim niebieskawym odcieniem, który dodatkowo wzmacniał niebieski strój. Popatrzyła na siebie w lustrze. I nagle przyszedł jej do głowy pomysł.

Przysunęła do niego szeroko otwartą *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej* i stwierdziła, że *Encyklopedia* jest nie tylko symetryczna, gdy idzie o układ rozdziałów, ale też, że zawiera całe zdania, które można odczytać wyłącznie w odwrotnym kierunku, w lustrzanym odbiciu!

Trzecie rozdanie:
KARO

123. ENCYKLOPEDIA

CZAS, KIEDY NALEŻY SADZIĆ: Nie wolno popełnić błędu co do chwili, w której zamierzamy podjąć jakiegokolwiek działanie. Przed nią jest za wcześnie, po niej zaś jest zbyt późno. Jeśli chcemy, by udała nam się uprawa na działce, niezbędna jest wiedza o tym, kiedy jest najlepszy moment na sadzenie, a kiedy na zbiór.

Szparagi: Należy sadzić w marcu. Zbierać w maju.

Bakłazany: Należy sadzić w marcu (w miejscu dobrze nasłonecznionym). Zbierać we wrześniu.

Buraki: Należy sadzić w marcu. Zbierać w październiku.

Marchew: Należy sadzić w marcu. Zbierać w lipcu.

Ogórki: Należy sadzić w kwietniu. Zbierać we wrześniu.

Cebula: Należy sadzić we wrześniu. Zbierać w maju.

Pory: Należy sadzić we wrześniu. Zbierać w czerwcu.

Ziemniaki: Należy sadzić w kwietniu. Zbierać w lipcu.

Pomidory: Należy sadzić w marcu. Zbierać we wrześniu.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

124. BIEG

Mrówki rewolucjonistki podążają naprzód, prześlizgując się niczym wąż wśród drzew. Omijają kilka samosiejek dzikich szparagów. Księżniczka 103 kroczy na czele tej małej pstrokatej gromady. Ponieważ robi się coraz chłodniej, mrówki wspinają się na wysoką sosnę i znajdują schronienie w zagłębieniu kory, będącym najprawdopodobniej dziuplą opuszczoną przez wiewiórkę.

W jej zaciszu księżniczka 103 kontynuuje swoją opowieść o Palcach. Jej słowa przybierają coraz bardziej epicką formę. 10 postanawia uzupełnić feromonowy opis dotyczący tematu dnia.

FIZJOLOGIA PALCÓW:

Palce stanowią właściwie jedynie zakończenie swoich odnóży.

Zamiast dwóch pazurów na każdej z sześciu nóg mają one mackowate końcówki.

Każdy Palec zgina się w trzech miejscach, co pozwala im przybierać różne kształty i bawić się z innymi.

Dwa Palce mogą zmienić się w szczypce.

Zaciskając się, pięć Palców może służyć jako młotek.

Układając się w miseczkę, są zbiorniczkiem na płyny.

Jeden wyciągnięty Palec to miecz o zaokrąglonym ostrzu, który jest w stanie zmiażdżyć każdą z nas.

Wyciągnięte i złączone Palce mogą ciąć.

Palce to niesamowite narzędzie.

Mogą na przykład wiązać nitki i przecinać liście.

Każdy Palec jest zakończony gładkim pazurem, który może drapać lub dokonywać precyzyjnych cięć.

Wielki podziw należy się również „stopom”.

Umożliwiają one Palcom trzymanie się w pozycji wertykalnej, na dwóch tylnych nogach. Stopy utrzymują całe zwierzę w równowadze.

W pozycji wertykalnej na dwóch nóżkach!

Wszystkie zebrane owady starają się to sobie wyobrazić. Owszem, widziały już wiewiórki i jaszczurki siedzące na tylnych łapkach, ale to nie to samo, co chodzić na dwóch tylnych nóżkach...

5 próbuje naśladować Palce.

Gdy opiera się o ścianę kryjówki dwiema środkowymi nóżkami i używa przednich do zachowania równowagi, udaje jej się utrzymać w pozycji pionowej niemal przez dwie sekundy.

Pozostałe obserwują jej wyczyn.

– *Z góry widzę znacznie dalej i dostrzegam więcej rzeczy – oznajmia.*

Ta informacja daje 103 do myślenia. Księżniczka od dawna zastanawiała się nad nietypowymi pomysłami Palców. Jakiś czas uważała, że wynika to z ich olbrzymiego wzrostu, ale przecież drzewa także są wielkie, a nie mają ani telewizji, ani samochodów. Następnie uznała, że odpowiedzialne za rozwój ich cywilizacji są ręce, zdolne produkować skomplikowane przedmioty, lecz łapki wiewiórek są równie zwinne, a mimo to zwierzątka te nie tworzą za ich pomocą niczego interesującego.

Być może dziwny tok myślenia Palców wynika ze zdolności utrzymywania się w pionie na dwóch tylnych nóżkach. Dzięki temu widzą dalej. Pozostałe elementy rozwinęły się dopiero później: oczy, mózg, sposób zarządzania terytoriami i ambicje...

O ile się nie myli, Palce są jedynymi stworzeniami, które stale chodzą na dwóch łapach. Nawet jaszczurki utrzymują się zaledwie kilka sekund w tej niepewnej pozycji.

Księżniczka 103 sama próbuje się wyprostować. To bardzo uciążliwe, stawy w kostkach wyginają się i bledną pod wpływem nacisku. Przewyciężając nieznośny ból, robi kilka kroków. Traci jednak równowagę i przewraca się do przodu. Rozpaczliwie machając czterema nóżkami, stara się utrzymać ciało w pionie, lecz ostatecznie pada na bok, amortyzując uderzenie przednimi łapkami.

Nie powtórzy już tego eksperymentu.

5 z kolei, opierając się o drzewo, jest w stanie utrzymać się w pozycji wertykalnej nieco dłużej.

– *Na dwóch nóżkach czuję się świetnie* – oznajmia, po czym również się przewraca.

125. ZACZYNA WRZEĆ

– Wszystko to jest zbyt niepewne i niestabilne!

Co do tego wszyscy byli zgodni. Teraz należało umocnić rewolucję: wprowadzić dyscyplinę, określić cele, nadać jakąś strukturę organizacyjną.

Ji-woong podsunął pomysł, żeby zrobić pełną inwentaryzację wszystkich zasobów liceum. A więc policzyć, ile jest prześcieradeł, ile nakryć, jak duże są zapasy jedzenia – wszystko było istotne.

Zaczęli od tego, że policzyli, ilu ich jest. Pięćset dwadzieścia jeden osób okupowało liceum, gdy tymczasem sypialnie mogły pomieścić dwustu uczniów. Julie zaproponowała, żeby rozłożyć namioty na środku trawnika, wykorzystując w tym celu prześcieradła i szczotki. Na szczęście tych dwóch rzeczy nie brakowało w liceum. Każdy chwycił za prześcieradło i szczotkę i zaczął budować namiot. Léopold nauczył ich stawiania namiotów podobnych do tipi, jakie budują Indianie z plemienia Nawaho, a których zaletą jest to, że wewnątrz można się wyprostować, cyrkulację powietrza zapewnia zaś tylko jedna odsłaniana płachta. Wytłumaczył

im także, dlatego warto jest wznosić okrągłe domy.

– Ziemia jest okrągła. Wybierając taką formę dla naszej siedziby, tworzymy z nią osmozę.

Wszyscy zaczęli szyć, kleić i wiązać, odnajdując w sobie zdolności manualne, których istnienia nie podejrzewali, gdyż nigdy wcześniej nie mieli okazji, by wykonywać tak precyzyjne gesty w świecie nitów i guzików.

Młodym ludziom, pragnącym ustawić swoje namioty jak na pierwszym lepszym kempingu, Léopold doradził, żeby je rozmieścili w koncentrycznych kręgach. Całość tworzyła spiralę, a w środku było ognisko, maszt ze sztandarem i totem w formie mrówki z polistyrenu.

– Dzięki temu nasza wioska będzie miała swoje centrum. Łatwiej będzie się nam odnaleźć. Ogień jest jak Słońce naszego Układu Słonecznego.

Pomysł wszystkim przypadł do gustu i ludzie zaczęli wznosić swoje tipi według zaleceń Léopolda. Wszędzie piłowano i wiązano ze sobą drążki od szczotek. Jako śledzie wykorzystano widelce. Léopold nauczał trudnej sztuki robienia węzłów, żeby odpowiednio naciągnąć płótno. Na szczęście trawnik przed liceum był wystarczająco rozległy. Ci, którym było zimno, przysunęli się bliżej ognia, a inni woleli pozostać nieco dalej.

Po prawej stronie licealnego dziedzińca zainstalowano podium, zsuwając biurka nauczycieli. Posłuży ono za mównicę i, rzecz jasna, jako scena koncertowa.

Kiedy wszystko zostało już ustawione, znowu zainteresowano się muzyką. Było tu kilku całkiem niezłych muzyków, specjalizujących się w najprzeróżniejszych gatunkach. Po kolei zajmowali miejsce na estradzie.

Dziewczyny z klubu aikido stworzyły oddziały sił porządkowych i czuwały nad właściwym przebiegiem rewolucji. Ich zwycięstwo nad policyjnymi oddziałami szturmowymi dodało im jeszcze więcej uroku. W artystycznie podartych T-shirtach z napisem „Rewolucja mrówek”, z rozpuszczonymi włosami, groźnym wyglądem tygrysic i umiejętnością walki wręcz, przypominały teraz prawdziwe amazonki.

Paul zajął się sprawdzeniem zapasów żywności w stołówce. Oblężeni nie będą cierpieć głodu. Liceum było wyposażone w olbrzymie szafy chłodnicze, w których zmagazynowano ogromne ilości różnych produktów żywnościowych. Paul zrozumiał, że pierwszy naprawdę oficjalny wspólny posiłek ma ogromne

znaczenie, dlatego też postanowił wyjątkowo starannie opracować menu. Pomidory, mozzarella, bazylia i oliwa na przystawkę (było tego w nadmiarze), szaszłyki z muszelek świętego Jakuba i ryb, do tego ryż z szafranem jako danie główne (produktów było tyle, że wystarczyłoby całej armii na kilka tygodni), a na deser sałatka owocowa lub szarlotka z gorzką czekoladą.

– Brawo! – pochwaliła go Julie. – Dokonamy pierwszej gastronomicznej rewolucji w historii.

– To dlatego, że wcześniej nie wynaleziono szaf chłodniczych – wyjaśnił skromnie Paul.

Zamiast koktajlu Paul zaproponował miód pitny, napój bogów Olimpu i mrówek. Receptura: mieszać wodę, miód i drożdże. Wykonał już pierwszą partię, która choć dosyć krótko fermentowała (można bowiem uznać, że dwadzieścia pięć minut to jednak trochę mało jak na dojrzewanie „wielkiego rocznika”), okazała się wyjątkowo zycznym napitkiem.

– Trąćmy się kieliszkami.

Zoé opowiedziała, że zwyczaj trącania się kieliszkami odwoływał się do bardzo dawnej tradycji, sięgającej czasów średniowiecza. Trącając się, każdy dostawał kroplę trunku od drugiego, udowadniając w ten sposób, że nie ma w nim trucizny. Im mocniej się trącano, tym więcej było szans na to, że trunek się wyleje i tym bardziej było się godnym zaufania.

Posiłek podano w kafeterii. Liceum okazało się miejscem wręcz idealnym do przeprowadzenia rewolucji: była elektryczność, był telefon, była kuchnia, były stoły w jadalni i była sypialnia, żeby się przespać, były prześcieradła, żeby można z nich było zrobić namioty, i były narzędzia niezbędne do majsterkowania. Nigdy nie udało się tego wszystkiego dokonać w szczerym polu.

Jedli ze smakiem, myśląc jednocześnie z pewnym wzruszeniem o dawnych rewolucjonistach, którzy z pewnością musieli się zadowalać konserwową fasolą i sucharami.

– Już samo to jest czymś zupełnie nowym – powiedziała Julie, która jakby zapomniała o anoreksji.

Naczynia zmywali ze śpiewem na ustach. „Gdyby moja matka mnie teraz widziała, nie mogłaby w to uwierzyć – pomyślała Julie. – Nigdy nie potrafiła mnie zmusić do zmywania naczyń”. A tymczasem tutaj sprawiała jej to całkiem sporą

przyjemność.

Po obiedzie jakiś chłopak grał na gitarze na estradzie, wykonując rzewne kawałki. Pary tańczyły powoli na trawniku. Paul poprosił do tańca Elisabeth, dziewczynę raczej przy kości, którą amazonki z klubu aikido wybrały spontanicznie na liderkę.

Léopold skłonił się przed Zoé i oni także zaczęli tańczyć, mocno wtulając się w siebie.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiliśmy, że pozwoliliśmy mu śpiewać – denerwowała się Julie, wpatrując się w śpiewaka. – Nadaje to naszej rewolucji cokolwiek pretensjonalny wymiar.

– Tutaj ma prawo się pojawić każdy rodzaj muzyki – przypomniał David.

Narcisse żartował z jakimś umięśnionym facetem, który wyjaśniał mu, w jaki sposób pracuje nad swoim ciałem, uprawiając body-building. Mając jeszcze w ustach smak przystawki, Narcisse zapytał go, czy nigdy nie wpadł na pomysł, żeby posmarować się oliwą i mocniej podkreślić najbardziej rozbudowane mięśnie.

Ji-woong poprosił do tańca Francine. Tańczyli czule ze sobą spleceni.

David wyciągnął rękę do amazonki o blond włosach i całkiem nieźle tańczył bez swojej drewnianej laski. Zapewne opierał się mocno o milutką partnerkę. Chyba że rewolucja sprawiła, iż zapomniał o swoim chronicznym reumatyzmie stawów.

Wciąż pamiętając o tym, że sytuacja jest dosyć niepewna, wszyscy chcieli jak najlepiej ją wykorzystać. Pary się całowały, Julie zaś patrzyła na nie na wpół zachwycona, na wpół zazdrosna.

Zapisała: *Zasada rewolucyjna numer 5: Rewolucja, tak na dobrą sprawę, jest solidnym afrodyzjakiem.*

Paul pocałował z apetytem Elisabeth. Dla niego, tak mocno zainteresowanego wszystkim zmysłami, najistotniejsze doznania przechodziły przez język i usta.

– Zatańczysz, Julie?

Przed nią stał nauczyciel ekonomii. Zdziwiła się:

– Jak to, więc pan też tutaj?

Była jeszcze bardziej zaskoczona, kiedy powiedział jej, że był na koncercie ich grupy, a potem brał udział w bitwie przeciwko oddziałom szturmowym i że za każdym razem doskonale się bawił.

„Cóż, nauczyciele też mogą być przyjaciółmi” – pomyślała.

Spojrzała na jego wyciągniętą dłoń. Zaproszenie wydało jej się niezbyt na miejscu. Między nauczycielami a uczniami wznosi się trudny do przeskoczenia mur. On zaś zdecydowanie miał ochotę mur ten przeskoczyć. Ale ona – nie.

– Taniec mnie nie interesuje – obwieściła.

– Ja też tego nie znoszę – odparł, biorąc ją pod ramię.

Pozwoliła się poprowadzić przez kilka taktów, a potem oswobodziła się z uścisku:

– Przepraszam bardzo. Nie mam w ogóle do tego głowy.

Nauczyciel stał jak wryty.

Wtedy Julie złapała za rękę jedną z amazoнок i włożyła ją w dłoń nauczyciela.

– Ona zrobi to tysiąc razy lepiej ode mnie – powiedziała.

Ledwie się oddaliła, a już podbiegł do niej mały i chudziutki człowieczek.

– Mogę się przedstawić? Tak? Nie? No to jednak się przedstawię: Yves Boduler, sprzedaję powierzchnię reklamową. Przypadkowo tak jakoś dałem się porwać tej waszej zabawie i być może miałbym wam coś ciekawego do zaproponowania.

Nie odpowiadając, zwolniła, co wystarczyło, aby mężczyzna poczuł się zachęcany do kontynuowania rozmowy. Przyspieszył teraz tempo, w jakim mówił, żeby wzbudzić większe zainteresowanie.

– Ta wasza impreza jest naprawdę w porządku. Macie miejsce, zebrała się spora grupa młodych ludzi, jest grupa rockowa, dobrze zapowiadający się artyści, wszystko to powinno przyciągnąć uwagę mediów. Myślę, że trzeba by znaleźć sponsorów, aby kontynuować ten bal. Jeśli chcecie, mogę załatwić parę kontraktów, na przykład jakaś firma produkująca napoje gazowane, ktoś od ubrań, może nawet jakieś stacje radiowe?

Zwolniła jeszcze bardziej, co tamten zrozumiał jako oznakę aprobaty.

– Nie musi to wcale być ostentacyjne. Wystarczy kilka plakatów tu i tam. I, rzecz jasna, spłynie do was trochę pieniędzy, żeby wasza zabawa odbywała się w bardziej komfortowych warunkach.

Dziewczyna przez chwilę się wahała. Potem zatrzymała się i wydawało się, że jest dosyć poirytowana. Wbiła w niego wzrok.

– Przykro mi, ale nie! To nas nie interesuje.

– A dlaczego nie?

– Bo to nie jest jakaś tam... mała impreza. To rewolucja.

Była zdenerwowana, ponieważ doskonale wiedziała, że tak długo, jak nie będzie ofiar, w opinii ogółu ich zgromadzenie pozostanie tylko zwykłą ludową zabawą. Ale żeby od razu robić z tego reklamowe targowisko, to już lekka przesada.

Wściekała się coraz bardziej. Dlaczego koniecznie musi połać się krew, żeby ich rewolucję potraktowano poważnie?

Yves Boduler próbował jakoś ratować sytuację:

– Proszę posłuchać, nigdy nie wiadomo. Gdyby pani mimo wszystko zmieniła zdanie, skontaktuję się ze znajomymi, a wtedy...

Zostawiła go pośród tańczących par. Już sobie wyobrażała rewolucję francuską i pośród trójkolorowych sztandarów poplamionych krwią, napis: Pijcie SankIulota, doskonałe piwo dla wszystkich rewolucjonistów spragnionych świeżości i smaku chmielu. A dlaczegoż by, na przykład, nie miała się pojawić reklama wódki podczas rosyjskiej rewolucji, a w trakcie rewolucji kubańskiej reklama cygar?

Julie udała się do sali geograficznej.

Była jeszcze zdenerwowana, lecz powoli już się uspokajała. Chciała koniecznie stać się ekspertem od rewolucji i otworzyła *Encyklopedię*, żeby przestudiować jeszcze inne rewolucyjne doświadczenia. Odczytywanie w lustrze pozwoliło jej odkryć kolejne ukryte teksty.

Każde z tych doświadczeń opatrywała notatką na marginesie, podkreślała błędy i innowacje. Czytając starannie i z uwagą, miała nadzieję odkryć najważniejsze zasady rewolucji i znaleźć taką formę społeczeństwa utopijnego, które mogłoby teraz funkcjonować.

126. ENCYKLOPEDIA

UTOPIA FOURIERA: Charles Fourier był synem fabrykanta sukna i urodził się w Besançon w 1772 roku. Już od czasów rewolucji 1789 roku przejawiał niezwykle ambicje, myśląc o ludzkości i o przeobrażeniu społeczeństwa. W 1793 roku przedstawił swoje koncepcje Dyrektoriatowi, lecz jego członkowie wyśmiali go.

Od tej chwili Charles Fourier postanawia się ustatkować i zaczyna pracować jako kasjer. W wolnym czasie jednak nadal pracuje nad najważniejszą dla niego ideą, a mianowicie nad wypracowaniem wizji idealnego społeczeństwa, które

opisze w najdrobniejszych szczegółach w kilku książkach, w tym w pracy zatytułowanej *Nowy Świat przemysłowy i społeczny*.

Według tego utopisty, ludzie powinni żyć w niewielkich wspólnotach, liczących od tysiąca sześciuset do tysiąca ośmiuset członków. Wspólnota, którą nazywa falansterem, zastępuje rodzinę. A kiedy nie ma rodziny, nie ma też relacji z rodzicami i nie ma relacji opartej na władzy. Rząd ograniczony jest do najbardziej niezbędnego minimum. Najważniejsze decyzje podejmowane są wspólnie przez głosowanie na centralnym placu.

Każda falanga miała zamieszkiwać dom-miasto, który Fourier nazwał falansterem. Opisuje zresztą bardzo dokładnie idealny falanster: zamek składający się z trzech do pięciu pięter. Na najniższym poziomie ulice schładzane w lecie strumieniami wody i podgrzewane w zimie dzięki wysokim kominom. W samym centrum miała się wznosić wieża, w której mieściły się obserwatorium, dzwon, telegraf Chappe'a i nocna straż.

Chciał skrzyżować lwy z psami, żeby uzyskać nowy i oswojony gatunek. Owe psy-lwy miały być jednocześnie wierzchowcami i strażnikami falansteru.

Charles Fourier był przekonany, że jeśli dokładnie zastosuje się jego pomysły wszędzie na świecie, mieszkańcy falansterów sami przejdą naturalną ewolucję, która uwidoczni się również w ich organizmie. Między innymi przyjmie to formę trzeciego ramienia wyrastającego bezpośrednio z klatki piersiowej.

Pewien Amerykanin skonstruował falanster zgodnie z zaleceniami i planami Fouriera. Ze względu jednak na problemy architektoniczne, skończyło się to całkowitym fiaskiem. Chlew o marmurowych ścianach był najbardziej starannie wykonanym pomieszczeniem, ale problem był w tym, że nie pomyślano o drzwiach, toteż wieprze musiały być tam przenoszone za pomocą dźwigu.

Budowle podobne do falansterów czy też wspólnoty powstałe na podobnych zasadach i w podobnym duchu zostały stworzone przez uczniów Fouriera w różnych zakątkach świata, szczególnie w Argentynie, Brazylii, Meksyku i w Stanach Zjednoczonych.

Tuż przed śmiercią Fourier odżegnał się jednak od wszystkich swoich uczniów.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

127. DRUGI DZIEŃ PALCOWEJ REWOLUCJI

Feromonowy alarm.

Brutalna pobudka. Poprzedniego wieczoru wszystkie położyły się spać, marząc o futurystycznych technologiach Palców i ich niezliczonych zastosowaniach. Jednak z samego rana ostre feromony zalewają obóz propalcowych rewolucjonistek.

– *Alarm!*

Księżniczka 103 unosi czułki. Tak naprawdę to nie rano. Ten blask i żar nie są spowodowane wschodem słońca. Mrówki mają teraz własne słońce w zagłębieniu pnia drzewa. To... pożar.

Ubiegłego wieczoru mrówki pilnujące ognia zasnęły, pozostawiając rozżarzone szczapy w pobliżu suchego liścia. To wystarczyło, by płomień przeniósł się z jednego liścia na drugi. Nikt nie zdążył zareagować. Teraz piękny żółtoczerwony blask zmienił się w jaskrawego, mięsożernego potwora.

– *Uciekajmy!*

Wybucha panika, wszyscy naraz chcą wydostać się z otworu w drzewie. Na domiar złego okazuje się, że gniazdo, które wzięły za dziuplę wiewiórki, rzeczywiście nim jest, lecz mech w jej głębi wcale nie jest tym, czym myślały. To wiewiórka we własnej osobie.

Wielkie zwierzę, wyrwane ze snu przez pożar, wyskakuje z dziupli, przewracając wszystko na swojej drodze i wpychając mrówki w najodleglejszy zakątek.

Znalazły się w pułapce. Podsycany prądem powietrza ogień rozprzestrzenia się, a dookoła pełno jest już duszącego dymu.

Księżniczka 103 rozpaczliwie poszukuje księcia 24. Przywołuje go feromonowymi okrzykami.

– *24!*

W pamięci ma pierwszą krucjatę, podczas której nieszczęsne stworzenie gubiło się bez przerwy.

Ogień zdobywa coraz większy teren.

Każdy ratuje się, jak tylko może. Drewnojady drążą ściany jaskini nerwowymi ruchami żuwaczek.

Ogień rośnie w siłę. Długie płomienie liżą już wewnętrzne ściany. Przeciwniczki ognia wytykają pozostałym, że ich nie posłuchały: ogień musi zostać zakazany. W odpowiedzi słyszą, że to nie miejsce i nie pora na dyskusje. Nieważne teraz, kto ma rację, a kto jej nie ma, trzeba za wszelką cenę ratować swoją chitynę.

Propalcowe rewolucjonistki starają się wdrapywać na ściany, lecz wiele z nich spada prosto na suche, płonące liście. Ich pancerzyki rozpływają się w płomieniach.

Mimo to ogień ma też swoje zalety. Dostarcza dodatkowej energii owadom, których żywotność zależy od temperatury.

– 24! – krzyczy księżniczka 103.

Ani śladu księcia 24.

Dramatyczna sytuacja przypomina 103 scenę z filmu *Przeminęło z wiatrem*: pożar w Atlancie. To jednak nie jest właściwy moment na rozpamiętywanie palcowych filmów. Oto do czego doprowadziła chęć naśladowania ich.

– *Już go nie znajdziemy. Spróbujmy się stąd wydostać* – nadaje 5 w ogólnym zamieszaniu.

A ponieważ księżniczka 103 zdaje się chcieć czekać jeszcze na księcia, 5 popycha ją i wskazuje otwór w drzewie, opuszczony dopiero co przez drewnojada i zablokowany przez zbyt dużego żuka. Uderzają w niego głową i pchają nóżkami, by pomóc mu się stamtąd wydostać – są jednak zbyt słabe.

103 rozmyśla. Szkodę, jaką wyrządziła źle kontrolowana palcowa technologia, może z pewnością naprawić inna, dobrze opanowana. Prosi, by dwanaście mrówek uniosło małą gałązkę, wsunęło w otwór i użyło jako lewara.

Mrówki podchodzą do jej rozkazu bez większego entuzjazmu, gdyż były już świadkami nieudanej próby wykorzystania tego narzędzia na jajku białej jaskółki. Nikt jednak nie ma lepszego pomysłu.

Mrówki wsuwają więc gałązkę w otwór i wieszają się wszystkie u jednego jej końca. 8 porusza nóżkami, żeby ważyć jak najwięcej. Tym razem mechanizm zadziałał. Ich siła została pomnożona, a żuk usunięty. Droga ucieczki wolna.

Dziwne uczucie: opuścić jasne i gorące miejsce i stwierdzić, że na zewnątrz panuje ciemność i chłód.

Noc jednak już niedługo pozostaje ciemna, gdyż całe drzewo zmienia się nagle w jedną wielką pochodnię. Ogień naprawdę jest wrogiem drzew. Wszystko ucieka

z brzuchem przy ziemi, z czułkami po sobie. Naraz gorący podmuch spowodowany wybuchem odrzuca je daleko do przodu.

Spanikowane owady pędzą przed siebie.

Ogień stracił swoją nieśmiałość. Przeobraził się w olbrzymiego potwora, który stale się rozrasta i mimo że pozbawiony jest nóg, nadal je ściga. Czubek odwłoka 5 się zapala, jednak udaje jej się stłumić płomień, dzięki pocieraniu ciała o trawę.

Natura drży i mieni się purpurą. Czerwone są trawy, drzewa i ziemia. Księżniczka 103 biegnie, a ogień depcze jej po piętach.

128. W STANIE WRZENIA

Wieczorem drugiego dnia buntu grupy rockowe tworzyły się spontanicznie i jedna po drugiej występowały na scenie. Osiem Mrówek już nie grało, gdyż wszyscy członkowie grupy spotkali się w swoim klubie na *pow-wow*.

Julie przemawiała coraz bardziej zdecydowanym tonem.

– Musimy nadać impet naszej rewolucji mrówek. Jeżeli nie zaczniemy działać, całe to wydarzenie opadnie jak suflet. Mamy tutaj pięćset dwadzieścia jeden istot ludzkich. Skorzystajmy z tych zasobów. Wykorzystajmy w pełni pomysły i wyobraźnię wszystkich tych ludzi. Należy sprawić, żebyśmy razem, dzięki naszej wspólnej energii, uzyskali nowy wymiar.

Na chwilę zamilkła:

– „Jeden plus jeden równa się trzy” mogłoby być dewizą naszej rewolucji mrówek!

Pomijając wszystko, zdanie to widniało już przecież na sztandarze łopocącym na maszcie. Na dobrą sprawę jedynie odkrywali na nowo to, co i tak już mieli.

– Tak, znacznie bardziej to do nas pasuje niż „Wolność, Równość, Braterstwo” – przyznała Francine. – „Jeden plus jeden równa się trzy” oznacza, że połączenie naszych talentów jest czymś więcej niż zwykle ich zsumowanie.

– System społeczny działający w idealny sposób dałby taki właśnie rezultat. Piękna utopia – przyznał Paul.

A zatem mieli już swoje hasło.

– Teraz do nas należy nadanie odpowiedniego impulsu, aby cała reszta za nami poszła – rzuciła Julie. – Proponuję, żebyśmy przez całą tę noc zastanowili się

i żebyśmy spotkali się jutro rano, a wtedy każde z nas przedstawi swoje arcydzieło, to znaczy mam tu na myśli oryginalny projekt, który wyrażałby jak najlepiej to, co każdy z nas potrafi robić.

– Każdy zaakceptowany projekt musi znaleźć przełożenie na praktykę, żeby zasilić finanse rewolucji – sprecyzował Ji-woong.

David oświadczył, że w liceum są komputery. Podłączając się do Internetu, rozpowszechniliby ideę buntu mrówek. A przecież można również wykorzystać to do założenia spółek handlowych i do zarabiania pieniędzy, nie opuszczając terenu liceum.

– A czemu by nie zaproponować usług telematycznych? – zasugerowała Francine. – Ludzie mogliby wtedy popierać nas na odległość, przysyłać nam darowizny, wspierać nasze projekty. Dzięki takiej skrzynce pocztowej możemy eksportować naszą rewolucję.

Propozycja została zaakceptowana. Nie mając dostępu do mediów, wykorzystywaliby sieć informatyczną do propagowania swoich idei i tworzenia nowych powiązań, aby uzyskać wsparcie ponad murami okalającymi liceum.

Tymczasem na zewnątrz, w trzecim dniu, zabawa była jeszcze bardziej deliryczna niż w poprzednie dni. Miód pitny lał się strumieniami. Chłopcy i dziewczęta tańczyli wokół ogniska. Splecione pary ścisnęły się tuż przy żarzących się węglach. Masa jointów z marihuaną, i to dobrej jakości, krążyła wśród ludzi, wypełniając dziedziniec zapachem opium. Bicie w tam-tamy podtrzymywało nastrój szalonej fiesty.

Julie i jej przyjaciele nie brali jednak udziału w zabawie. Każda z Mrówek w sali lekcyjnej rozmyślała nad swoim projektem. Około trzeciej nad ranem Julie, która poczuła się zmęczona i jadła coraz więcej, uznała, że już najwyższy czas, by wszyscy położyli się spać. Rozłożyli się wszyscy ośmioro w sali prób, pod kafeterią, tam, gdzie znajdowała się ich kryjówka.

Narcisse zmienił teraz jej wystrój. Jedyłą dekorację, jaką udało mu się wykonać, zrobił za pomocą prześcieradeł i koców. Było tego wszędzie pełno, rozłożył je na podłodze, zawiesił na ścianach i nawet kilka warstw znalazło się na suficie. Zrobił też z nich fotele, krzesła i stół. Nie mieli już zbyt wiele miejsca, by grać, ale za to mieli teraz do dyspozycji idealne i ciepłe gniazdko. Léopold pomyślał, że w każdym mieszkaniu powinno znaleźć się takie właśnie pomieszczenie, bez linii prostych

i bez ostrych kantów, z miękkim i możliwym do kształtowania w nieskończenie różne formy podłożem.

Ten sposób zagospodarowania przestrzeni bardzo spodobał się Julie. Całkiem naturalnie i bez niepotrzebnej pruderii, wszyscy położyli się, przylegając do siebie. Myśleli sobie, że za dobrze to wszystko idzie, żeby mogło trwać. Julie otuliła się kocami niczym egipska mumia. Czuła obok siebie Davida i Paula. Ji-woong był na drugim końcu materaca. Ale to o nim właśnie śniła.

129. ENCYKLOPEDIA

OTWARCIE PRZEZ MIEJSCE: Funkcjonujący obecnie system społeczny jest systemem wadliwym: nie pozwala ujawnić się młodym talentom lub też pozwala im pojawić się dopiero wtedy, gdy przejdą przez różnego rodzaju sita, które – koniec końców – pozbawiają je wszelkiego powabu i wszelkiej atrakcyjności.

Należałoby stworzyć sieć „miejsc otwartych”, gdzie każdy mógłby, bez dyplomu i specjalnych rekomendacji, prezentować swoje dzieła przed publicznością.

Dzięki takim właśnie otwartym miejscom wszystko stałoby się możliwe. Na przykład w otwartym teatrze każdy przedstawiałby swój numer lub scenkę bez wstępnej selekcji. Jedynie dwa wymagania: trzeba zapisać się co najmniej godzinę przed rozpoczęciem spektaklu (nie byłoby konieczne wcześniejsze składanie żadnych dokumentów, wystarczyłoby tylko podać imię) oraz nie wolno przekroczyć wyznaczonego czasu sześciu minut.

Przy takim systemie publiczność byłaby oczywiście narażona na pewne ryzyko, ale kiepskie występy zostałyby wygwizdane, a dobre byłyby nagradzane oklaskami. Aby tego rodzaju teatr mógł funkcjonować od strony czysto ekonomicznej, widzowie kupowaliby bilety po normalnej cenie. Przystaliby na to chętnie, gdyż w ciągu dwóch godzin mogliby uczestniczyć w niezwykle różnorodnym spektaklu. Chcąc podtrzymać zainteresowanie i uniknąć sytuacji, w której pojawialiby się wyłącznie beznadziejni debiutanci, regularnie występowałiby uznani profesjonaliści, aby wesprzeć zgłaszających się kandydatów. Wykorzystywaliby ten otwarty teatr jako swoistą trampolinę, mogąc ogłosić: „Jeżeli chcecie zobaczyć dalszy ciąg tej sztuki, przyjdźcie takiego a takiego dnia, w takie a takie miejsce”.

Tego rodzaju otwarte miejsce mogłoby przyjąć następujące formy i odmiany:

- otwarte kino: prezentacja filmów krótkometrażowych (trwających do dziesięciu minut) debiutujących filmowców,
- otwarta sala koncertowa: dla dobrze zapowiadających się piosenkarzy i muzyków,
- otwarta galeria sztuki: udostępnienie nieznanym jeszcze rzeźbiarzom i malarzom powierzchni dwóch metrów kwadratowych na prezentację ich dzieł,
- otwarta galeria wynalazków: takie same zasady udostępniania przestrzeni jak dla artystów.

Taki system swobodnej prezentacji twórczości rozszerzony byłby na architektów, pisarzy, informatyków, publicystów... Pozwoliłoby to ominąć skomplikowane procedury administracyjne. Profesjonaliści dysponowaliby w ten sposób miejscem, w którym wychwytywaliby nowe talenty, nie przechodząc przez tradycyjne agencje, które zazwyczaj pełnią funkcję gęstego sita.

Dzieci, młodzi ludzie, osoby starsze, piękni i brzydzy, bogaci i biedni, miejscowi i cudzoziemcy, wszyscy mieliby takie same szanse i oceniani byłiby wyłącznie według obiektywnych kryteriów: jakość i oryginalność wykonanej przez siebie pracy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

130. BRAK WODY

Żeby móc się rozprzestrzeniać, ogień potrzebuje wiatru i łatwopalnego materiału w pobliżu. Niespodziewana mżawka tłumi go. Szkoda, że nie stało się to nieco wcześniej.

Propalcowe rewolucjonistki oceniają straty. Szeregi zostały przetrzebione. Wiele z nich zginęło, a dla tych, które przeżyły, emocje okazały się tak silne, że wolą już wrócić do rodzinnych gniazd lub prehistorycznej dżungli, gdzie będą mogły spać spokojnie...

Mrówki i Palce są mięsożerne, być może więc to, czym żywią się Palce, będzie również smakowało mrówkom? Nie wszystkie są o tym przekonane. 15 odważnie chwyta skarbonizowane zwłoki owada. Za pomocą zuwaczek odrywa udko świerszcza i zabiera się do spalaszowania go.

Nie zdążyła, niestety, nawet go spróbować, gdyż przeszył ją straszliwy ból. To parzy! 15 odkryła właśnie jedną z zasad gastronomii: żeby zjeść pieczeń, trzeba najpierw poczekać, aż nieco wystygnie. Cena tej nauki to pozbawione czucia wargi. Przez wiele dni jedynym sposobem na rozróżnianie smaków będzie badanie pożywienia czułkami.

Pomysł jednak się sprawdza. Mrówki obmacują upieczonego insekta i stwierdzają, że jest bardzo smaczny. Smażone żuki są zdecydowanie bardziej chrupiące, pancerzyki odrywają się z łatwością – odpada zatem uciążliwe ich przeżuwanie. Pieczone ślimaki zmieniają kolor i łatwiej jest je pokroić. Pieczone pszczoły smakują karmelem.

Mrówki rzucają się na swoich towarzyszy z tym większym apetytem, że przeżycia ostatnich godzin wyczerpały zapasy ich żołądków.

Księżniczka 103 nadal zamartwia się losem księcia 24. Spuszcza czułki na oczy i pochyla głowę.

– *Gdzie on może być?*

Przeszukuje każdy zakamarek.

– *Gdzie jest 24?* – powtarza, biegając we wszystkie strony.

– *Ona zupełnie znikowała na punkcie 24* – zauważa pewna młoda belokanijka.

– *Księcia 24* – poprawia ją inna.

Teraz wszystkie już wiedzą, że 24 jest samcem, a 103 samicą. Tym sposobem wśród mrówek rodzi się nowy typ zachowania: plotkarstwo. Ponieważ propalcowe rewolucjonistki nie znają jeszcze prasy, zjawisko to nie przybiera niepokojących rozmiarów.

– *Gdzie jesteś, książę 24?* – nadaje księżniczka, coraz bardziej przygnębiona.

Włóczy się pośród leżących na ziemi zwłok w poszukiwaniu zagubionego przyjaciela. Od czasu do czasu żąda od niektórych mrówek, żeby porzuciły niesione przez nie pożywienie, i sprawdza, czy nie jest nim książę 24. Próbuje też połączyć oderwaną czaszkę z przypadkowymi szczątkami tułowia, by odtworzyć jego postać.

Ostatecznie jednak poddaje się i siada załamana.

Księżniczka 103 dostrzega w oddali inżynierki ognia. Odpowiedzialni za katastrofę zawsze wychodzą z niej cało. Między zwolenniczkami a przeciwniczkami ognia wybucha bójka; ponieważ mrówki nie znają jeszcze

pojęcia winy i wymierzania kary, a smakowite kąski pieczystego czekają w zasięgu zuwaczki, przepychanki nie trwają długo. A skoro księżniczka 103 jest całkowicie pochłonięta poszukiwaniami 24, dowodzenie przejmuje 5.

Zarządza formowanie szeregów i sugeruje, żeby oddalić się od tego miejsca śmierci w poszukiwaniu nowych, zielonych pastwisk, kierując się cały czas na zachód. Przypomina, że groźba białej tablicy nadal wisi nad Bel-o-kan, a skoro Palce opanowały technikę lewara i potrafią rozkazywać ogniewi, z pewnością są także zdolne do zniszczenia ich miasta i jego okolic.

Jedna z mrówek inżynierek ognia nalega, by zabrać ze sobą choć jeden mały węgielek, który będą przechowywać we wklęsłym kamieniu. Z początku wszystkie jej towarzyszki są temu przeciwne, 5 ma jednak świadomość, że jest to być może ich jedyna nadzieja na ocalenie gniazda. Trzy insekty zgłaszają się do dźwigania kamyka i pomarańczowej grudki żaru, jak gdyby chodziło o arkę przymierza z palcowymi bogami.

Dwie mrówki wpadają we wściekłość, widząc, że destrukcyjny żywioł nadal pozostanie wśród nich, i postanawiają opuścić oddział. Zostają więc już tylko trzydzieści dwie mrówki, dwanaście eksploratorek, 103 i kilka osobniczek z wyspy akacyjnej. Idą za słońcem, widocznym wysoko na niebie.

131. OSIEM ŚWIECZEK

Dzień trzeci. Cała ósemka obudziła się o świcie, żeby dopracować swoje projekty.

– Dobrze byłoby spotykać się codziennie rano w pracowni informatycznej, około dziewiątej, żeby się zorientować, jak wygląda sytuacja – zaproponowała Julie.

Ji-woong stanął pierwszy w środku kręgu, jaki utworzyli jego przyjaciele. Obwieścił im, że serwer informatyczny „Bunt mrówek” działa już w sieci internetowej. Podłączył się do niej o godzinie szóstej rano i już zarejestrowano kilka zgłoszeń.

Włączając monitor, zaprezentował opracowaną przez siebie witrynę. Na stronie głównej pojawiał się ich symbol z trzema mrówkami tworzącymi literę „Y”, dewizą „1 + 1 = 3” oraz tytuł napisany wielkimi literami: BUNT MRÓWEK. Ji-woong pokazał im też stronę forum, na którym można było prowadzić debatę publiczną, serwis informacyjny, gdzie miały się pojawiać zapowiedzi i wiadomości na temat

prowadzonych w danym dniu działań, oraz serwis o nazwie „wsparcie”, pozwalający zarejestrowanym osobom zapisywać się na kursy i zajęcia.

– Wszystko znakomicie działa. Ci, którzy odwiedzili naszą stronę, chcą przede wszystkim zrozumieć, dlaczego nazwaliśmy nasz ruch „Rewolucją mrówek” i jaki ma to związek z owadami.

– Właśnie, musimy pogłębiać naszą oryginalność. Powiązanie z mrówkami jest czymś nieoczekiwanym, gdy mówi się o rewolucji, i jest to dodatkowy powód, żeby to wykorzystać – stwierdziła Julie.

Siedmioro Krasnoludków przytaknęło ochoczo. Ji-woong poinformował ich również, że – wciąż za pośrednictwem komputera – nie wychodząc z liceum, zastrzegł nazwę „Rewolucja mrówek” i zarejestrował spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, która pozwoli im realizować konkretne przedsięwzięcia. Nacisnął kilka klawiszy. Pojawił się statut spółki i strony przeznaczone na prowadzenie księgowości.

– Od tej chwili jesteśmy już nie tylko grupą rockową i nie tylko grupą młodych ludzi okupujących liceum i posiadającą serwer informatyczny, ale jesteśmy też kapitalistyczną spółką gospodarczą w całym tego słowa znaczeniu. W ten sposób pokonamy stary świat przy użyciu jego własnej broni – oznajmił Ji-woong.

Wszyscy wpatrywali się w monitor.

– I bardzo dobrze – powiedziała Julie. – Ale nasza spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek” musi się opierać na solidnych podstawach ekonomicznych. Jeśli zadowolimy się samą tylko zabawą, cały nasz ruch bardzo szybko się wypali. Czy opracowaliście jakieś projekty, które pozwolą na to, żeby nasza spółka z ograniczoną odpowiedzialnością mogła dobrze się rozkręcić?

Teraz z kolei Narcisse znalazł się w centrum zainteresowania, koncentrując na sobie wzrok wszystkich pozostałych.

– Mój pomysł polega na stworzeniu kolekcji ubrań pod nazwą „Rewolucja mrówek”, dla której inspiracją byłyby owady. Będę propagować materiały *made in Insectland*; nie tylko jedwab uzyskiwany z jedwabnika morwowego, ale także z pajęczyny, której solidność, lekkość i elastyczność pozwala wytwarzać z niej kamizelki kuloodporne dla amerykańskiej armii. Będę też chciał umieścić na ubraniach motyw skrzydeł motyla i wykorzystać wzór ze skrzydeł skarabeusza dla

całej kolekcji biżuterii.

Pokazał im kilka szkiców i próbek, nad którymi pracował przez całą noc. Wszystkim się spodobało – w ten oto sposób spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek” założyła swoją pierwszą filię, która będzie się zajmować ubraniami i modą. Ji-woong stworzył moduł zarządzania zarezerwowany dla produktów Narcisse’a. Nazwa kodu „Spółka Motyl”. Jednocześnie stworzył wirtualną witrynę, na której zarejestrowani odbiorcy mogli zobaczyć wzory opracowane przez Narcisse’a, oparte na obserwacji owadów.

Potem przysłała kolej na Léopolda i prezentację jego projektu.

– Zamierzam założyć agencję architektoniczną i budować domy wkomponowane w górskie zbocza.

– A jakież miałyby to sens?

– Ziemia idealnie chroni od upału i od zimna, ale też i od promieniowania, od pola magnetycznego i od kurzu – wyjaśnił zebrany. – Wzgórze zawsze oprze się wiatrowi, deszczom i śniegowi. Ziemia jest najlepszym materiałem do życia.

– Jednym słowem, chcesz zbudować jaskinie jak troglodcy. A nie obawiasz się, że będzie tam odrobinę za ciemno? – zapytała Julie.

– Nie, zupełnie nie. Wystarczy, że od strony południowej wydrąży się otwór przykryty następnie szkłem, funkcjonujący jak solarium, a na samym szczycie otwór pionowy, za sprawą którego będzie można widzieć następujące po sobie noce i dni. Dzięki temu mieszkańcy tego typu domów będą mogli żyć całkowicie w zgodzie z naturą. W ciągu dnia będą korzystać ze słońca. Będą mogli opalać się przez okno. Z kolei w nocy będą mogli zasnąć, spoglądając na gwiazdy.

– A na zewnątrz? – zapytała Francine.

– Na zewnętrznych ścianach będą trawniki, kwiaty i drzewa. Zieleń będzie skąpana w czystym powietrzu. To będą żyjące domy, nie jak te, które budowane są z betonu! Ściany będą oddychały; będą same dokonywały fotosyntezy i będą pokryte życiem roślinnym i zwierzęcym.

– Niezłe. A poza tym twoje konstrukcje nie będą niszczyły krajobrazu – zauważył David.

– Dobrze, a co ze źródłami energii? – zapytała Zoé.

– Na szczycie wzgórza zainstalowane zostaną baterie słoneczne, z których będzie się uzyskiwać energię elektryczną. Można bardzo dobrze żyć w domu

wydrążonym we wzgórzu, niekoniecznie rezygnując z komfortu i nowoczesności – podkreślił Léopold.

Zaprezentował im plany idealnego domu. Miał on kształt kopuły i wyglądał rzeczywiście na przestronny i komfortowy.

A więc to o tym myślał Léopold od chwili, gdy rysował plany utopijnych domów! Wszyscy wiedzieli, że czerpiąc z wiedzy Indian, starał się odejść od koncepcji domu zbudowanego na planie kwadratu, wprowadzając okrąg. Dom-wzgórze był tak naprawdę olbrzymim tipi, tyle że jego ściany były po prostu znacznie grubsze.

Wszyscy byli nastawieni bardzo entuzjastycznie do tej wizji, toteż Ji-woong czym prędzej wprowadził do komputera nową filię, która będzie się zajmowała architekturą. Poprosił tylko Léopolda o narysowanie i pokazanie w odpowiedniej skali szkiców idealnego domu tak, aby odwiedzający tę stronę mogli wirtualnie zobaczyć i docenić jego zalety. Druga filia została nazwana „Spółka mrowisko”.

Do środka kręgu wszedł teraz Paul.

– Moim pomysłem jest stworzenie linii produktów żywnościowych wykorzystujących to, co wytwarzają owady: miód, spadź, grzyby, ale także propolis, mleczko pszczele... Myślę, że uda mi się uzyskać nieznanne do tej pory smaki i nowe zapachy, sięgając po to, co istnieje w świecie owadów. Mrówki na przykład wytwarzają ze spadzi mszyc alkohol, który bardzo przypomina pitny miód, stąd mój pomysł, żeby stworzyć nowe odmiany tego napoju i uzyskać nowe niuanse smakowe.

Wyciągnął mały flakonik i dał im do skosztowania odrobinę stworzonego przez siebie napoju – wszyscy byli zgodni, że jest to znacznie lepsze niż piwo czy cydr.

– Ma lekki zapach spadzi mszyc – uściślił Paul. – Znalazłem tego trochę na krzewach róż przed liceum i poddałem fermentacji przez dodanie drożdży w retortach w laboratorium chemicznym.

– Zaczniemy od tego, że złożymy wniosek o zastrzeżenie marki na miód pitny „Hydromel” – powiedział Ji-woong, uderzając w klawiaturę komputera. – A potem rozpoczniemy sprzedaż wysyłkową.

Spółka i linia produktów żywnościowych zostały nazwane „Miód pitny – Hydromel”.

Czas na Zoé.

– W *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* Edmund Wells twierdzi, że mrówki

uzyskują tak zwane „PA”, porozumienie absolutne, dotykając się czułkami i podłączając się bezpośrednio nawzajem do swoich mózgów. Zaczęłam marzyć o czymś takim. Skoro udaje się to mrówkom, to dlaczego nie miałyby się to udać ludziom? Edmund Wells podpowiada, że można by stworzyć protezy nosowe dostosowane do ludzkiego zmysłu węchu.

– Chciałabyś zatem stworzyć ludzki dialog feromonowy?

– Właśnie tak. Mój pomysł to próba skonstruowania takiego urządzenia. Mając odpowiednie czułki, istoty ludzkie mogłyby lepiej się porozumiewać między sobą.

Wzięła *Encyklopedię* od Julie i pokazała im wszystkie plany dziwnego urządzenia zaprojektowanego przez Edmunda Wellsa: dwa zespane ze sobą stożki, od których wychodziły dwie cieniutkie i wygięte anteny.

– W pracowni technicznej, gdzie analizowane są patenty i prowadzone testy techniczne, jest wszystko, czego potrzeba, żeby to wykonać: formy, żywice syntetyczne, podzespoły elektroniczne... Na szczęście nasze liceum ma również klasy o profilu technicznym i dzięki temu mamy do dyspozycji autentyczny warsztat wyposażony w narzędzia i sprzęt odpowiadający wymaganiom wysokich technologii.

Ji-woong był jednak sceptyczny. Nie wiedział, w jak krótkim okresie pomysł mógłby się przełożyć na działalność gospodarczą. Ponieważ idea Zoé rozbawiła resztę grupy, postanowiono przewidzieć budżet, który nazwano „budżetem na badania teoretyczne w zakresie porozumienia”, aby mogła rozpocząć prace nad konstruowaniem „ludzkich anten”.

– Mój projekt również nie jest rentowny – powiedziała Julie, stając w środku kręgu. – I on także związany jest z dziwnym wynalazkiem opisanym w *Encyklopedii*.

Przewróciła kilka kartek i pokazała im schemat, jakiś plan, na którym pełno było strzałek i opisów.

– Edmund Wells nazywa tę maszynę Kamieniem z Rosetty, prawdopodobnie w hołdzie Champollionowi, który tak właśnie nazwał fragment rzeźby, dzięki której rozszyfrował hieroglify starożytnego Egiptu. Urządzenie Edmunda Wellsa pozwala rozłożyć molekuły zapachowe feromonów w taki sposób, że przekształca się je na słowa zrozumiałe dla człowieka. Działa to również w drugą stronę: nasze słowa mogą być przełożone na feromony mrówek. Mój pomysł polega na

skonstruowaniu takiego urządzenia.

– Chyba żartujesz?

– Wcale nie! Już od dawna, z czysto technicznego punktu widzenia, możliwe jest rozłożenie i złożenie z powrotem feromonów mrówek, tyle że nikt do tej pory nie zrozumiał, jakie może to mieć znaczenie. Problem polega na tym, że celem wszystkich prac naukowych poświęconych mrówkom było tępienie ich tak, żeby każdy mógł się ich pozbyć ze swojej kuchni. To tak, jakby sklepom mięsnym powierzono prowadzenie badań nad dialogiem z istotami pozaziemskimi.

– A jakiego sprzętu potrzebujesz? – zapytał Ji-woong.

– Spektrometr masowy, chromatograf, komputer i, rzecz jasna, mrowisko. Dwa pierwsze urządzenia już wypatrzyłam w pracowniach przeznaczonych dla starających się o dyplom w przemyśle perfumeryjnym. A jeśli chodzi o mrowisko, to znalazłam już jedno w ogrodzie przy liceum.

Grupa nie wydawała się zbyt entuzjastycznie nastawiona do pomysłu.

– Przecież to chyba normalne, że spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek” interesuje się mrówkami – nalegała Julie, widząc sceptycyzm na twarzach przyjaciół.

Ji-woong uważał, że byłoby lepiej, gdyby piosenkarka pozostała przy swojej roli sztandarowej postaci ich rewolucji i nie trwoniła swojej energii na ezoteryczne badania. Julie zaś sięgnęła po ostatni już argument:

– Być może obserwowanie i komunikowanie się z mrówkami pomogłoby nam lepiej kierować naszą rewolucją.

W końcu przystali na to, a Ji-woong przyznał jej drugi budżet na prowadzenie „badań teoretycznych”.

Potem przyszła kolej na Davida.

– Mam nadzieję, że twój projekt stanie się znacznie szybciej opłacalny niż te, które zaproponowały Zoé i Julie – rzucił Koreańczyk.

– Po estetyce mrówek, po mrówkowych smakach, po mrówkowej architekturze, dialogu za pomocą czułków i po nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z mrówkami, mój pomysł to stworzenie kipiącego tygła komunikacji, coś na podobieństwo mrowiska.

– A możesz to wyjaśnić?

– Wyobraźcie sobie coś jakby skrzyżowanie albo rozdroże, gdzie niezależnie od

dziedziny spływają wszystkie informacje, które można porównywać i zestawiać ze sobą. Na razie nazwałem to „Centrum pytań”. A tak naprawdę jest to po prostu serwer informatyczny, za pomocą którego udzielane będą odpowiedzi na wszelkie pytania, jakie może sobie zadawać istota ludzka. Taka jest też idea *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*: zgromadzenie wiedzy dostępnej w danym czasie i rozpowszechnianie jej tak, aby wszyscy mogli z niej korzystać. Tego samego pragnęli przecież i Rabelais, i Leonardo da Vinci, i encyklopedyści w osiemnastym wieku.

– I znowu działania charytatywne, na których nic nie zarobimy! – westchnął Jiwoong.

– Wcale nie! Zaczekaj chwilę – zaprotestował David. – Każde pytanie ma swoją cenę i będziemy fakturowali nasze odpowiedzi w zależności od jego złożoności i od trudności, jakie wiążą się z jej znalezieniem.

– Nic nie rozumiem.

– Dzisiaj prawdziwym bogactwem jest wiedza. Wcześniej było rolnictwo, potem rzemiosło, handel, jeszcze później usługi, a dzisiaj mamy wiedzę. Obecnie jest ona sama w sobie naturalnym zasobem. Ten, kto posiada wystarczająco głęboką wiedzę z meteorologii i kto potrafi przewidzieć dokładnie, jaka będzie pogoda w przyszłym roku, może też wskazać, gdzie i kiedy należy posadzić takie czy inne warzywa, żeby uzyskać jak największe plony. Ten, kto będzie wiedział, gdzie należy otworzyć fabrykę, aby jak najmniejszym kosztem wytwarzać najlepsze produkty, zarobi najwięcej. Ten, kto zna sekret przyrządzania zupy „pistou”, będzie mógł otworzyć dochodową restaurację. Proponuję stworzenie banku danych, ale w wymiarze absolutnym; banku, w którym znalazłyby się odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie zadać może istota ludzka.

– Na temat zupy „pistou” i kiedy należy sadzić warzywa? – ironizował Narcisse.

– Tak, i pytań może być nieskończenie wiele. Począwszy od: „która jest dokładnie godzina?”, pytania, którego cena będzie niewielka, aż po: „jaka jest tajemnica kamienia filozoficznego”, co będzie kosztowało znacznie więcej. Będziemy udzielali odpowiedzi na pytania ze wszystkich możliwych dziedzin.

– A nie obawiasz się, że wyjawisz tajemnice, które nie powinny zostać ujawnione? – zapytał Paul.

– Kiedy ktoś nie jest gotowy usłyszeć lub zrozumieć jakąś odpowiedź, nie jest

ona dla niego w żadnym stopniu użyteczna. Gdybym teraz, w tej chwili, wyjawiał ci, na czym polega tajemnica kamienia filozoficznego czy Graala, nie wiedziałbyś, co z tym zrobić.

Ta odpowiedź wystarczyła, żeby przekonać Paula.

– A ty, co zrobisz, żeby znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania?

– Trzeba się odpowiednio zorganizować. Podłączymy się do wszystkich istniejących informatycznych banków danych, do banków z danymi naukowymi, historycznymi, ekonomicznymi i tak dalej. Wykorzystamy również telefon, żeby uzyskać odpowiedzi od instytutów przeprowadzających sondaże, zadzwonimy do starych mędrców, będziemy łączyli informacje, możemy też korzystać z usług agencji detektywistycznych i zasobów bibliotek na całym świecie. Tak naprawdę chcę wykorzystać w sposób inteligentny sieć istniejących już banków informacji po to, żeby stworzyć „rozdroże wiedzy”.

– Bardzo dobrze, otwieram filię „Centrum pytań” – ogłosił Ji-woong. – Przeznaczmy na to największy twardy dysk i najszybszy z modemów, jakie znajdują się w liceum.

Teraz w samym środku kręgu stanęła Francine. Po tym, co zaproponował David, wydawało się, że trudno będzie go przebić. A jednak Francine wydawała się pewna siebie, zupełnie jakby to, co najlepsze, zachowała na sam koniec.

– Mój projekt także związany jest z mrówkami. Czym one dla nas są? Równoległym wymiarem, ale w znacznie mniejszej skali, dlatego nie zwracamy na nie uwagi. Nie przejmujemy się ich ofiarami. Ich przywódcy, ich prawa, ich wojny i dokonywane przez nie odkrycia pozostają dla nas nieznane. Tymczasem niemal instynktownie mrówki nas przyciągają, gdyż intuicyjnie już w dzieciństwie zdajemy sobie sprawę, że obserwowanie ich pozwala nam dowiedzieć się sporo o nas samych.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Ji-woong, którego jedyną troską było to, czy pomysł pozwoli na otwarcie kolejnej filii.

Francine jednak wcale się nie spieszyła.

– Tak jak my, mrówki żyją w miastach, przez które przebiegają ścieżki i drogi. Znają się na rolnictwie. Prowadzą wojny na masową skalę. Są podzielone na kasty... Ich świat jest podobny do naszego, tyle że w mniejszym wymiarze, to wszystko.

– Dobrze, ale w jaki sposób przełożyć to na jakiś projekt? – niecierpliwiał się Jiwoong.

– Moja koncepcja polega na stworzeniu świata mniejszego niż ten, który obserwujemy, po to, żeby wyciągnąć z tego praktyczne wnioski. Chciałabym zbudować wirtualny świat informatyczny, w którym znaleźliby się wirtualni mieszkańcy, wirtualna przyroda, wirtualne zwierzęta, wirtualna pogoda, wirtualne cykle ekologiczne, tak aby wszystko, co się tam dzieje, odpowiadało temu, co dzieje się w naszym świecie.

– Trochę jak w grze *Ewolucja*? – zapytała Julie, która zaczynała pojmować, do czego zmierza jej przyjaciółka.

– Tak, tyle że w *Ewolucji* mieszkańcy robią to, czego wymaga od nich grający. Ja zaś zamierzam pójść jeszcze dalej, gdy idzie o podobieństwo z naszym światem. W *Infra-World*, bo tak nazwałam mój projekt, mieszkańcy będą całkowicie wolni i autonomiczni. Pamiętasz naszą rozmowę, Julie, na temat wolnej woli?

– Tak, mówiłaś wtedy, że najlepszym dowodem miłości, jaką obdarza nas Bóg, jest to, że pozwala nam robić głupstwa. I mówiłaś też, że to lepsze niż Bóg działający jako siła kierująca, gdyż dzięki temu możemy się dowiedzieć, czy chcemy zachowywać się godnie i czy sami jesteśmy w stanie znaleźć właściwą drogę.

– Właśnie. „Wolna wola”... największy dowód miłości Boga dla ludzi: powstrzymanie się od ingerencji. Cóż, chcę coś takiego zaoferować mieszkańcom *Infra-World*. Wolną wolę. Niech sami decydują o swojej ewolucji bez czyjejkolwiek pomocy. Dzięki temu będą naprawdę tacy jak my. A to zasadnicze pojęcie wolnej woli chcę też rozciągnąć na wszystkie zwierzęta, na rośliny, na minerały. *Infra-World* jest niezależnym światem i w tym właśnie będzie, jak wierzę, podobny do naszego świata. I dzięki temu również obserwowanie go pozwoli nam uzyskać niezwykle cenne informacje.

– Chcesz powiedzieć, że w przeciwieństwie do gry *Ewolucja* nie będzie nikogo, kto wskazywałby im cokolwiek?

– Nikogo. Będziemy ich tylko obserwować i ewentualnie, w razie konieczności, będziemy wprowadzać do ich świata taki czy inny element, aby zobaczyć, jakie nastąpią reakcje. Wirtualne drzewa będą rosły same. Ludzie będą instynktownie zrywać z nich owoce. Wirtualne fabryki, co logiczne, będą wytwarzały z tych

owoców konfitury.

– Które następnie będą zjadane przez wirtualnych konsumentów – ciągnęła dalej Zoé, która była pod wielkim wrażeniem usłyszanej idei.

– To czym ten świat będzie się różnił od naszego świata?

– Czasem! Czas będzie biegł dziesięć razy szybciej niż tutaj. Pozwoli nam to obserwować zjawiska w skali makro. Trochę tak, jak obserwowalibyśmy nasz świat, ale rozwijający się w przyspieszonym tempie.

– A gdzie w tym wszystkim wymiar ekonomiczny? – zaniepokoił się Ji-woong, który bez przerwy troszczył się o rentowność projektu.

– Znaczenie ekonomiczne tego projektu jest ogromne – włączył się David, który od razu pojął, jakie może być oddziaływanie pomysłu Francine. – Wszystko będzie można przetestować w *Infra-World*. Wyobraźcie sobie świat informatyczny, w którym zachowania wirtualnych mieszkańców nie są wstępnie zaprogramowane, lecz wypływają z ich umysłów!

– Wciąż nie rozumiem.

– Jeśli chcemy się dowiedzieć, czy nowa marka proszku do prania zainteresuje konsumentów, wystarczy wprowadzić ją do *Infra-World* i od razu będziemy wiedzieli, jak na nią reagują ludzie. Wirtualni mieszkańcy swobodnie zaakceptują lub też odrzucą produkt. I w ten sposób uzyskamy odpowiedź bardziej wiarygodną i szybszą od tej, jaką uzyskałyby instytuty badania opinii publicznej, gdyż zamiast testować jakąś markę na próbie stu rzeczywiście istniejących osób, zostanie ona przetestowana na całej populacji milionów wirtualnych jednostek.

Ji-woong zmarszczył brwi, chcąc w pełni zrozumieć wagę tego projektu.

– A w jaki sposób wprowadzisz pudełka z proszkiem do prania, aby przetestować go w *Infra-World*?

– Za pomocą ludzi-mostów. Istot z pozoru normalnych: inżynierów, lekarzy, naukowców z ich świata, którym przekazemy produkty do testowania. Tylko oni będą wiedzieli, że ich świat nie istnieje i że ma on za zadanie przeprowadzanie doświadczeń na potrzeby wyższego wymiaru.

Wydawało się, że trudno będzie zaproponować coś bardziej ambitnego od projektu „Centrum pytań” Davida, a jednak Francine się to udało. Teraz dopiero zaczęli rozumieć doniosłość tego pomysłu.

– Można będzie nawet przetestować programy polityczne w *Infra-World*.

Sprawdzimy, jakie skutki, w krótkim, średnim i długim wymiarze czasowym wywołują liberalizm, socjalizm, anarchizm, ruch ekologiczny... Posłowie będą mogli zobaczyć, jakie są następstwa takiej czy innej ustawy. Będziemy mieli do dyspozycji laboratorium miniludzkości, co zaoszczędzi czas i pozwoli prawdziwym ludziom uniknąć błędów.

Wszyscy ośmioro byli niewiarygodnie podekscytowani tym pomysłem.

– Fantastyczne! – wykrzyknął David. – *Infra-World* będzie też mógł dostarczać informacji do mojego „Centrum pytań”. Dzięki twojemu wirtualnemu światu znajdziesz odpowiedzi na wszystkie te pytania, na które my nie bylibyśmy w stanie udzielić odpowiedzi.

Francine patrzyła teraz wzrokiem wizjonera.

David dał jej lekkiego kuksańca w plecy.

– Hej, teraz chyba uważasz się za Boga. Stworzysz od podstaw cały świat i będziesz obserwowała go z takim samym zainteresowaniem, jak Zeus i bogowie Olimpu przyglądali się naszej Ziemi.

– A być może już teraz, u nas, proszki do prania testowane są na potrzeby wyższego wymiaru – wtrącił ironicznie Narcisse.

Parsknęli śmiechem, lecz po chwili śmiech ten zabrzmiał jakby mniej naturalnie.

– Kto wie... – wyszeptała Francine, która nagle się zamyśliła.

132. ENCYKLOPEDIA

GRA ELEUZYJSKA: Celem tej gry jest odkrycie... jej zasad.

W grze biorą udział co najmniej cztery osoby. Na wstępie jeden z graczy, którego nazywamy Bogiem, wymyśla regułę i zapisuje ją na kartce papieru. Reguła to jedno zdanie, zwane „Regułą świata”. Dwie talie złożone z pięćdziesięciu dwóch kart są następnie rozdane graczom. Jeden z nich rozpoczyna grę, kładąc kartę na stół i oświadczając: „Świat zaczyna istnieć”. Gracz nazywany Bogiem mówi: „ta karta jest dobra” albo „ta karta jest zła”. Złe karty są odkładane na bok, a dobre układane są tak, że tworzą pewien ciąg. Gracze obserwują kolejne akceptowane przez Boga karty i starają się, grając, odkryć zasadę, według której dokonywana jest ta selekcja. Kiedy któremuś z graczy wydaje się, że odkrył już regułę, ogłasza, że

jest „prorokiem”. Wtedy zabiera głos zamiast Boga, mówiąc pozostałym, czy ostatnia położona karta jest dobra czy zła. Bóg nadzoruje proroka i gdy ten ostatni się pomyli, wówczas zostaje usunięty. Jeżeli zaś prorokowi udaje się udzielić właściwej odpowiedzi na temat dziesięciu kolejnych kart, podaje regułę, którą wydedukował, a następnie pozostali sprawdzają, czy zgadza się ona z tą, jaka została zapisana na kartce. Jeśli obie reguły są takie same, wygrał, jeśli nie, zostaje usunięty. Jeżeli po ułożeniu stu czterech kart nikt nie odkrył reguły i jeśli wszyscy prorocy się pomylili, wówczas zwycięzcą jest Bóg.

Reguła świata powinna jednak być prosta. Sens tej gry polega bowiem na tym, żeby wymyślić prostą regułę, która jednocześnie byłaby trudna do odgadnięcia. Na przykład reguła: „ciąg kart, które na przemian są wyższe od dziewięciu i niższe od dziewięciu” jest bardzo trudna do odkrycia, gdyż gracze mają naturalną tendencję, aby zwracać większą uwagę na figury i na następstwo kolorów, czerwonego i czarnego. Reguła: „tylko karty czerwone, z wyjątkiem dziesiątej, dwudziestej i trzydziestej” lub „wszystkie karty z wyjątkiem siódemki kier” są zakazane jako zbyt trudne do odgadnięcia. Gdy reguła świata jest niemożliwa do odkrycia, wówczas zdyskwalifikowany jest gracz-Bóg. Należy starać się znaleźć „proste rozwiązanie, które nie nasuwa nam się natychmiast”. Jaka jest najlepsza strategia, żeby wygrać? W interesie każdego z graczy jest to, żeby jak najszybciej ogłosić się prorokiem, nawet jeżeli jest to ryzykowne.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

133. REWOLUCYJNY MARSZ

Księżniczka 103 pochyła się, żeby przyjrzeć się manewrom stada roztoczy wędrujących między pazurami jej przedniej nóżki, zmierzając w stronę sosnowego pniaka.

„Roztocza są tak małe w porównaniu z nami, jak my zapewne w stosunku do Palców” – rozmyśla.

Przygląda im się z ciekawością. Na bladoszarej korze wyraźnie widać małe, wąskie blaszki, niewielkie wąwozy wypełnione po brzegi roztoczami. 103 nachyla się i staje się świadkiem wojny między pięcioma tysiącami roztoczy należących do

typu mechowców i trzystoma należącymi do rodziny wodopójek. Księżniczka 103 obserwuje przez chwilę to widowisko. Mechowce robią niezwykle wrażenie, gdyż pazury wyrastają im z każdego niemal miejsca na ciele: na łokciach, ramionach, a nawet na pyszczku.

Księżniczka zastanawia się, dlaczego wodopójki, które spotyka się zazwyczaj w wodzie, pojawiły się na drzewie. Te mikroskopijne włochate skorupiaki okryte czaprakami, uzbrojone w haczyki, piły, sztylety i skomplikowane rostry, ruszają do walki. Szkoda, że 103 nie ma czasu dłużej im się przyglądać. Nikomu nie będzie dane poznanie wojen, inwazji, dramatów i tyranów gnębiących lud roztoczy. Nikt się nie dowie, kto – mechowce czy wodopójki – zwyciężą w maleńkiej wojnie w trzydziestej pionowej szczelinie wielkiej sosny. Być może w innej szczelinie inne – jeszcze bardziej spektakularne roztocza: świerzbowce, kleszcze albo obrzeżki – oddają się jeszcze bardziej widowiskowym walkom. Mimo to nikt o to nie dba. Nawet mrówki. Nawet 103.

Ją interesują tylko olbrzymie Palce i ona sama. To jej wystarcza.

Rusza ponownie w drogę.

Wokół niej kolumna rewolucjonistek wciąż się rozrasta. Po pożarze było ich zaledwie trzydzieści trzy, teraz maszeruje już niemal sto przeróżnych insektów. Zamiast odstraszać, dym buchający z kosza żarowego przyciąga ciekawskich. Przychodzą, żeby zobaczyć ten ogień i posłuchać opowieści 103.

Księżniczka wypytuje wszystkich nowo przybyłych, czy nie spotkali przypadkiem na swojej drodze mrówczego samca, którego zapachy-paszporty nosiły numer 24. Nikomu nic to jednak nie mówi. Wszyscy chcą zobaczyć ogień.

– *A więc to jest ten straszliwy ogień.*

Uwięziony w kamieniu potwór wydaje się przyczajony, jednak matki żuki przestrzegają swoje młode, żeby nie zbliżały się do niego – to niebezpieczne. Ponieważ kosz żarowy jest ciężki, 14, specjalistka od kontaktów z obcymi plemionami, wpada na pomysł, by poprosić o pomoc ślimaka. Przekonuje go, że ciepły okład na plecach świetnie wpłynie na jego samopoczucie. Stworzenie zgadza się, lecz raczej ze strachu przed mrówkami niż kierując się innymi pobudkami. Zadowolona 5 sugeruje, żeby pozostałe ślimaki obarczyć tobołkami z jedzeniem.

Ślimak jest istotą powolną, której zaletą jest umiejętność przemieszczania się

w każdym terenie. Jego sposób poruszania się jest naprawdę przedziwny. Zwilża on podłoże własną śliną, a następnie przesuwa się po stworzonej przez siebie ślizgawce. Dotychczas mrówki zjadały je, nie przyglądając się im bliżej – nie mogą teraz wyjść ze zdziwienia, widząc zwierzę produkujące nieograniczone ilości śliny.

Niestety, substancja ta jest dość uciążliwa dla mrówek idących za ślimakiem. Rozwiązują problem, ustawiając się w dwóch kolumnach po dwóch stronach mokrego śladu.

Procesja mrówek oraz żarzących się i dymiących ślimaków robi nie lada wrażenie. Insekty, głównie mrówki, wychodzą z leśnego gąszczu, nadstawiając ciekawie czułki, podkurczając odwłok. Nic nie jest pewne na tym świecie: idea wspólnego marszu w celu rozwiązania niezwyklej zagadki podnieca obce eksploratorki i młode, zuchwałe wojowniczkę.

Ze stu robi się ich pięćset. Rewolucja propalcowa zmienia się w olbrzymią wędrowną armię.

Jedynym zaskakującym elementem jest brak entuzjazmu bohaterskiej księżniczki. Owady nie pojmują, dlaczego tak bardzo przejmuje się ona innym osobnikiem, nawet jeśli jest on księciem 24. 10 tłumaczy, że to kolejna z typowych dla Palców chorób: przywiązanie do wyjątkowych istot.

134. PIĘKNY DZIEŃ

Pracując nad minirewolucją, Julie i jej przyjaciele odczuwali ożywcze doznania: widzieć, jak pojedynczy umysł przechodzi w umysł zbiorowy tak, jakby nagle objawiona została niezwykle tajemnica – umysł nie jest uwięziony w pułapce ciała, a inteligencja nie ogranicza się do jaskini czaszki. Wystarczyło, by Julie tylko tego zapragnęła, a jej umysł przekraczał przestrzeń czaszki i przeobrażał się w ogromny płat światła, który rozpościerał się wokół niej coraz szerzej. Jej umysł był w stanie ogarnąć cały świat! Wiedziała już wcześniej, że nie jest jedynie wielkim workiem wypełnionym atomami, ale daleka była przecież droga do tego, żeby przeżywała doznanie duchowej wszechmocy...

Równocześnie przepełniło ją także inne mocne uczucie: „Nie jestem ważna”. Kiedy już zrealizowała się w grupie zbuntowanych mrówek, kiedy poszerzyła swoje horyzonty, a potem poczuła, że jest zdolna otworzyć swój umysł na świat,

znacznie mniejsze znaczenie miała dla niej jej własna osoba. Julie Pinson wydawała się jej kimś z zewnątrz, osobą, której działania śledziła tak, jakby nie dotyczyły jej bezpośrednio. Była to jedna z wielu egzystencji. Nie miała też tego wyjątkowego i unikalnego wymiaru nierozzerwalnie związanego z każdym ludzkim losem. Julie czuła się lekko.

Żyła i umrze – to piękna, krótkotrwała i mało interesująca sprawa. Ale coś jednak pozostawało: jej umysł mógł poruszać się w przestrzeni i czasie, mógł wznieść się jak olbrzymi płat światła! A to było nieprzemijającą wiedzą. „Dzień dobry, witam cię, mój umyśle” – szepnęła do siebie.

Ponieważ nie była przyzwyczajona do tego, żeby takim doznaniem zawiadywał jej umysł, wykorzystywany – jak zresztą każdy inny – zaledwie w dziesięciu procentach, wróciła do maleńkiej przestrzeni swojej czaszki. Tam płat światła pozostawał w uśpieniu, ściśnięty i zmięty w głębi czaszki, niczym zwykła chusteczka higieniczna. Julie zestawiała stoły, przenosiła krzesła, wiązała linki przy namiotach, wbijała w ziemię widelce służące za śledzie, witała się z amazonkami, biegła, by pomóc innym rewolucjonistom usiłującym utrzymać w równowadze jakąś budowlę, popijała miód pitny, żeby co nieco się rozgrzać od środka, podśpiewywała, ciężko pracując. Kilka kropli potu perliło się na jej czole i ponad linią ust. Kiedy spłynęły nad jej wargi, wciągnęła je jednym haustem.

Trzeci dzień okupacji liceum zbuntowane mrówki spędziły na budowaniu standów, które miały posłużyć do zaprezentowania projektów. Najpierw myśleli o tym, by zagospodarować odpowiednio sale lekcyjne, ale Zoé stwierdziła, że lepszym rozwiązaniem będzie zainstalowanie standów na dole, na trawniku dziedzińca, obok namiotów i podium. W ten sposób każdy będzie mógł je zwiedzić i uczestniczyć w ich działalności. Namiot tipi, komputer, kabel elektryczny i kabel telefoniczny wystarczyły, żeby stworzyć skuteczną strukturę ekonomiczną.

Dzięki komputerom w ciągu kilku godzin większość z ośmiu projektów mogła zacząć funkcjonować. O ile hasłem rewolucji komunistycznej było „Sowieci + elektryfikacja”, o tyle hasłem ich rewolucji było „Mrówki + informatyka”. Na swoim standzie poświęconym architekturze Léopold wystawił trójwymiarową makietę z modeliny, przedstawiającą idealny, według niego, dom. Wyjaśniał przy tym zasadę wykorzystania strumieni ciepłego i zimnego powietrza, biegnących między ziemią a ścianami, do regulowania temperatury, tak jak dzieje się to w mrowisku.

Na standzie Davida, pod nazwą „Centrum pytań”, zainstalowany został komputer z wielkim monitorem i dużym, mruczącym twardym dyskiem, na którym były zgromadzone i pogrupowane informacje. David prezentował funkcjonowanie swojej maszyny i całej sieci. Kilka osób zaproponowało mu pomoc przy doborze wyszukiwarek.

Stand spółki z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek” Ji-woonga porządkował rewolucyjne emocje i prezentował informacje na temat prowadzonej przez nich działalności. W różnych zakątkach świata, w liceach, na uniwersytetach, a nawet w koszarach wojskowych pojawiali się ochotnicy gotowi zorganizować podobne doświadczenia u siebie na miejscu.

Ji-woong przekazywał im wnioski ze zdobytych w ciągu trzech dni doświadczeń: zaczynajcie od zabawy, potem przejdźcie płynnie do założenia spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, a następnie zakładajcie filie za pomocą narzędzi informatycznych. Ji-woong wierzył, że rozprzestrzeniając się geograficznie, rewolucja mrówek wzbogaci się o nowe inicjatywy. Sugerował zresztą każdej obcej rewolucji mrówek naśladowanie ich.

Koreańczyk przekazywał dane na temat lokalizacji podium, tipi i ogniska. Ale przede wszystkim prezentował symbole ich rewolucji: mrówki, formuła „ $1 + 1 = 3$ ”, miód pitny, zasady gry eleuzyjskiej.

Na standzie „Moda” Narcisse zebrał wokół siebie amazonki, które odgrywały rolę modelek lub pomocy krawieckich. Niektóre z nich miały na sobie stroje z nadrukowanymi motywami owadów. Inne z kolei malowały te motywy na białych prześcieradłach według wskazówek i zaleceń stylisty. Nieco dalej Zoé nie miała zbyt wiele do pokazania, ale za to z przejęciem mówiła o swoim pomysle stworzenia komunikacji absolutnej między istotami ludzkimi i o tym, w jaki sposób zamierza to osiągnąć za pomocą czułek nosowych. Na początku wzbudzało to śmiech, lecz już po chwili ludzie zaczęli słuchać jej ze znacznie większym zainteresowaniem, choćby dlatego, by móc pomarzyć o czymś tak niezwykłym. Właściwie wszyscy żalowali, że nigdy nie udało im się tak naprawdę z nikim porozumieć, choćby jeden jedyny raz. Na standzie „Kamień z Rosetty” Julie instalowała swoje mrowisko. Ochotnicy przyszli jej z pomocą, kopiąc głęboko w ogrodzie, żeby zdobyć całe gniazdo razem z królową. Julie umieściła je potem w akwarium, które przyniesiono z sali biologicznej.

Nie brakowało też rozrywek. W sali na dole pozostawiono stoły do ping-ponga, gdzie rozgrywano jeden turniej za drugim. Laboratorium językowe ze sprzętem wideo pełniło teraz funkcję sali kinowej. Nieco dalej toczyła się gra eleuzyjska, o której istnieniu uczestnicy dowiedzieli się z *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*. Jej cel, polegający na odkryciu zasady gry, znakomicie rozwijał wyobraźnię i w bardzo krótkim czasie gra eleuzyjska stała się ulubioną rozrywką.

Paul stawał na głowie, żeby przygotowywać jak najlepsze posiłki. „Im lepsze będzie pożywienie, tym większą motywację będą mieli rewolucjoniści” – wyjaśniał. Po cichu wierzył, że rewolucja mrówek będzie polecana w przewodnikach turystycznych jako miejsce słynące ze znakomitej kuchni. Osobiście czuwał nad przygotowaniem dań w kuchni i sam wynajdywał nowe smaki, wykorzystując egzotyczne odmiany miodu. Miód smażony, miód prażony, miód sypki, sos miodowy – Paul próbował wszystkich kombinacji.

W liceum były też spore zapasy mąki, Paul zaproponował więc, by spółka „Rewolucja mrówek” sama piekła chleb, ponieważ niemożliwe było wyjście na zewnątrz i kupienie go w piekarni. Kilku bojowników zburzyło niewielki murek, żeby z uzyskanych w ten sposób cegieł zbudować piec chlebowy. Paul zarządzał też grządkami warzywnymi i sadem, które miały im dostarczać świeżych jarzyn i owoców nawet w wypadku całkowitego embarga. Na standzie „Gastronomia” Paul zapewniał zwiedzających, że mogą zaufać jego węchowi, jeśli chodzi o wyszukiwanie najlepszych produktów. A kiedy widziało się go, jak wąża soki na miodzie i jarzyny, wiadomo było, że i jedzenie będzie najlepszej jakości. Jedna z amazonek poinformowała Julie, że dzwoni niejaki Marcel Vaugirard, lokalny dziennikarz, który chce rozmawiać z „przywódcą rewolucji”. Powiedziała mu, że nie ma przywódcy, ale że Julie uznawana jest za ich rzecznika, na co zaproponował przeprowadzenie z nią wywiadu. Julie wzięła do ręki słuchawkę:

– Dzień dobry, panie Vaugirard. Zaskoczona jestem pana telefonem. Myślałam, że opowiada pan lepiej o wydarzeniach, nie mając o nich najmniejszego pojęcia – zauważyła Julie, podminowanym tonem.

– Chciałbym się dowiedzieć, ilu jest manifestantów. Policja powiedziała mi, że około setki skwaterów zamknęło się na terenie liceum, uniemożliwiając jego normalne funkcjonowanie. Chciałbym się dowiedzieć, jak wy to szacujecie.

– Chce pan wyliczyć średnią między liczbą podaną przez policję a tą, którą panu

podam? Niepotrzebnie. Jest nas dokładnie pięćset dwadzieścia jeden osób.

– I uważacie się za zwolenników lewicy?

– Wcale nie.

– A więc liberalizmu, tak?

– Też nie.

Mężczyzna po drugiej stronie wydawał się cokolwiek rozdrażniony.

– Przecież jest się albo na lewo, albo na prawo – stwierdził.

Julie poczuła się znużona.

– Wydaje się, że potrafi pan myśleć jedynie w dwie strony – westchnęła. – A nie poruszamy się tylko w lewo albo w prawo. Można też iść do przodu lub do tyłu. W naszym wypadku jest to „do przodu”.

Marcel Vaugirard długo trawił tę odpowiedź, rozczarowany, że nie pokrywa się z tym, co już napisał.

Zoé, która słuchała, stojąc blisko Julie, chwyciła za słuchawkę:

– Gdyby chciano nas powiązać z jakąś partią polityczną, należałoby ją dopiero stworzyć i nazwać tę partię „ewolucjonistyczną” – poinformowała go. – Jesteśmy za tym, by człowiek ewoluował szybciej.

– Jasne, to tak, jak myślałem, jesteście lewakami – zakończył rozmowę miejscowy dziennikarz, całkiem już uspokojony.

I odłożył słuchawkę zadowolony z tego, że po raz kolejny wszystko zrozumiał zawczasu. Marcel Vaugirard był wielkim miłośnikiem krzyżówek. Lubił, gdy wszystko pasowało do odpowiednich kratek. Dla niego artykuł był jedynie gotowym schematem, w który wprowadzał elementy z niewielką liczbą wariantów. Miał do dyspozycji całą listę takich schematów. Jeden z nich przewidziany był dla wydarzeń politycznych, kolejny dla wydarzeń kulturalnych, inny znowu dla sensacji, jeszcze inny stosował w wypadku manifestacji. Zaczął pisać swój artykuł, mając już gotowy dla niego tytuł:

„Liceum pod specjalnym nadzorem”.

Zirytowana całą tą rozmową Julie nagle poczuła dziwnie silną potrzebę zjedzenia czegokolwiek. Dołączyła do Paula w jego standzie. Ostatecznie przesunął się trochę na wschód, żeby nie przeszkadzały mu hałasy dochodzące z podium. Rozmawiali o pięciu zmysłach.

Paul uważał, że ludzie zadowolają się samym wzrokiem, żeby przesyłać

dziewięćdziesiąt procent informacji do mózgu. W tym jednak tkwił pewien problem, gdyż tym samym wzrok przeobrażał się w pewnym sensie w tyrana, który redukowało pozostałe zmysły do pośledniej roli. Aby Julie lepiej to zrozumiała, zawiązał jej jasnoszare oczy apaszką i poprosił ją o nazwanie odbieranych przez nią bodźców zapachowych.

Bez trudu rozpoznała łatwe zapachy, takie jak tymianek czy lawendę, zmarszczyła nieco brwi w wypadku „potrawki z wołowiny”, lekko przechodzonej skarpetki czy starej skóry. Nos Julie budził się. Wciąż z zasłoniętymi oczami odgadła zapach jaśminu, wetiweru i mięty. A nawet, co było sporym sukcesem, udało jej się po zapachu zidentyfikować pomidora.

– Dzień dobry, mój nosie – powiedziała.

Paul zwierzył się jej, że zapachy – tak jak muzyka i kolory – składają się z wibracji i zaproponował, aby z zasłoniętymi oczami spróbowała rozpoznać smaki.

Testowała różne produkty o niejednokrotnie trudnym do określenia smaku. Całe jej podniebienie budziło się, a ona starała się nazwać to, czego próbowała. Lecz na dobrą sprawę istniały tylko cztery smaki: gorzki, kwaśny, słodki, słony, a wszystkie aromaty były następnie przekazywane przez nos. Bardzo uważnie śledziła, co dzieje się z przetykanym kęsem pożywienia. Ocierając się o kubki smakowe, kęs przesuwiał się powoli do przetyku, zanim dotarł do żołądka, gdzie cały zestaw soków żołądkowych czyhał już nań, by wziąć się do pracy. Zaśmiała się, zaskoczona, że jest w stanie tak właśnie to odbierać.

– Dzień dobry, mój żołądku!

Jej ciało było szczęśliwe, że może jeść. Układ trawienny powiadamiał ją o swoim istnieniu. Przez tak długi czas był przecież uwięziony. Julie odczuła coś na podobieństwo jedzeniowego szału. Zrozumiała, że pamiętając aż zanadto dobrze epizody anoreksji, jej ciało wczepiało się teraz w najdrobniejszą cząstkę jedzenia w obawie, by na nowo nie zostać pozbawione tego doznania.

Cukier w różnych postaciach i tłuste pożywienie wydawały się sprawiać jej ciału szczególną przyjemność, i to szczególnie teraz, gdy zaczęła się w nie wsłuchiwać. Ciągłe z przepaską na oczach, Julie przyjmowała od Paula ciasteczka słodkie lub słone, czekoladę, rodzynki, jabłko, pomarańczę. Wsłuchiwała się w swoje kubki smakowe i za każdym razem nazywała to, czego kosztowała.

– Narządy zasypiają, gdy nie myślimy o tym, by je wykorzystywać – zauważył Paul.

A po chwili, ponieważ stale miała zawiązane oczy, Paul pocałował ją w usta. Podskoczyła, zawahała się i w końcu odepchnęła go. Paul westchnął ciężko:

– Wybacz mi.

Zdejmując przepaskę, Julie czuła się prawie tak samo skrępowana jak on.

– Nic się nie stało. Nie miej do mnie żalu, ale zupełnie nie mam teraz do tego głowy.

Julie wyszła. Zoé, która była świadkiem tej sceny, podążyła za nią.

– Nie lubisz mężczyzn?

– W ogóle nie znoszę kontaktu przez dotyk. Gdyby to ode mnie tylko zależało, zaopatrzyłabym się w potężny zderzak, żeby chronić się przed wszystkimi tymi ludźmi, którzy pod byle jakim pretekstem chwytają cię za rękę albo otaczają ramieniem, że już nie wspomnę o tych, którzy uważają za nieodzowne, by ucałować cię na dzień dobry. Ślinię tylko policzki i jest to...

Zoé zadała Julie jeszcze kilka pytań na temat jej życia seksualnego i była zaskoczona, dowiadując się, że w wieku dziewiętnastu lat tak atrakcyjna dziewczyna była wciąż jeszcze dziewicą.

Julie wytłumaczyła jej, że nie miała ochoty na kontakty seksualne, gdyż nie chciała upodobnić się do swoich rodziców. Dla niej seks był pierwszym krokiem do życia z kimś w parze, potem do małżeństwa i wreszcie do życia, jakie prowadzą okropni mieszkańcy.

– Wśród mrówek jest taka odrębna kasta, kasta bezpłciowych. One mają spokój i wcale nie mają się przez to gorzej. Nikt im nie mówi w kółko przez cały dzień o „starej pannie” i o samotności.

Zoé parsknęła śmiechem i położyła jej ręce na ramionach.

– Nie jesteśmy jednak owadami. Jesteśmy inni. U nas nie ma bezpłciowych!

– Jeszcze nie.

– Problem w tym, że zapominasz o zasadniczym zupełnie pojęciu: seksualność nie sprowadza się tylko do reprodukcji, to także jest przyjemność. Kiedy się z kimś kochamy, otrzymujemy rozkosz. I dajemy też rozkosz. Wymieniamy się rozkoszą.

Julie spoglądała z powątpiewaniem. Na razie nie widziała potrzeby łączenia się z kimś w parę. A jeszcze mniejszą ochotę miała na kontakt dotykowy z jakąkolwiek

istotą.

135. ENCYKLOPEDIA

METODA ANTYCELIBATOWA: Aż do 1920 roku w Pirenejach mieszkańcy niektórych wiosek rozwiązywali problem małżeństw w sposób prosty i bezpośredni. Otóż był pewien wieczór w ciągu roku, który nazywano „nocą małżeństw”. Tego właśnie wieczoru zbierali się wszyscy młodzi chłopcy i wszystkie młode dziewczęta w wieku szesnastu lat. Starano się tak sprawą pokierować, żeby liczba dziewcząt odpowiadała dokładnie liczbie chłopców.

Na świeżym powietrzu, u podnóża góry, organizowano biesiadę, a wszyscy mieszkańcy wioski jedli i pili do woli.

O wyznaczonej godzinie dziewczęta wyruszały pierwsze, przed chłopcami. Biegły, by ukryć się w zaroślach i chaszczach. Tak jak w zabawie w chowanego, chłopcy wyruszali po jakimś czasie na ich poszukiwanie. Pierwszy, który odnalazł którąś z dziewczyn, przywłaszczał ją sobie. Najładniejsze oczywiście były najbardziej poszukiwanymi i nie miały prawa odmówić temu, który odszukał je pierwszy.

Niekoniecznie jednak najładniejsi z chłopców odnajdywali je pierwsi, ale zwykle byli to najszybsi, najbardziej spostrzegawczy i najsprytniejsi. Innym pozostawało zadowolić się mniej pojętymi dziewczętami, gdyż żaden z chłopców nie miał prawa wrócić do wioski bez dziewczyny. Jeżeli jakiś mniej zaradny i wolniejszy chłopiec odmawiał związania się z brzydką dziewczyną i powracał z pustymi rękami, był z wioski wypędzany.

Na szczęście im noc stawała się ciemniejsza, tym sytuacja mniej urodziwych dziewcząt była korzystniejsza.

Nazajutrz odbywały się zaślubiny.

Nie trzeba chyba dodawać, że w tych wioskach niewiele było starych kawalerów i niewiele starych panien.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

136. OGNIEM I ŻUWACZKĄ

Długa kolumna mrówek rewolucjonistek propalcowych liczy już sobie trzydzieści tysięcy żołnierzy.

Docierają przed bramy miasta Yedi-bei-nakan. Nie dostają jednak zgody na wejście. Propalcowe rewolucjonistki chcą więc podpalić mrowisko, okazuje się to jednak niemożliwe, gdyż miasto pokryte jest w całości zielonymi, niepalnymi liśćmi. Księżniczka 103 zauważa górujący nad mrowiskiem kamień. Wystarczy wykorzystać siłę lewara i zrzucić ten ciężar na miasto.

Kamień udaje się w końcu ruszyć z posad: chwieje się przez chwilę, a następnie stacza na kopułę z miękkich liści. To największa i najcięższa bomba, jaka spadła kiedykolwiek na liczące ponad sto tysięcy mieszkańców miasto.

Wystarczy teraz wdrzeć się do spłaszczonego gniazda, a przynajmniej do tego, co z niego zostało.

Wieczorem księżniczka 103 ciągnie dalej swoją opowieść o dziwnych zwyczajach Palców, a 10 robi zapachowe notatki:

MORFOLOGIA:

Morfologia Palców już nie ewoluuje.

O ile żaby, po wielu milionach lat życia w wodzie, wykształciły sobie płetwy, o tyle Palec nadal zmuszony jest do używania specjalnych protez.

Żeby przystosować się do przebywania w wodzie, Palec produkuje płetwy, które może zdejmować i zakładać.

Tak więc nie ma najmniejszej potrzeby, by dostosowywać swoją morfologię do wody i czekać milion lat na pojawienie się naturalnych płetw.

By przystosować się do przebywania w powietrzu, Palec produkuje samoloty naśladujące ptaki.

By przystosować się do niskiej temperatury, Palec produkuje ubrania, które zastępują mu futro.

To, co inne gatunki musiały kształtować we własnym ciele przez miliony lat, Palec produkuje sobie w ciągu kilku dni, wykorzystując jedynie otaczającą go materię.

Ta zdolność zastąpiła całkowicie ewolucję morfologiczną Palców.

My, mrówki, także nie ewoluujemy już od dłuższego czasu, gdyż potrafimy rozwiązać nasze problemy w inny sposób niż tylko przez ewolucję.

Nasza forma zewnętrzna nie zmieniła się już od stu milionów lat, co świadczy o naszym sukcesie.

Jesteśmy zwierzętami ukończonymi.

Pozostałe żyjące gatunki nadal poddawane są naturalnej selekcji: drapieżniki, klimat, choroby – jedynie człowiek i mrówka nie żyją pod taką presją.

Wprowadzenie w naszych społeczeństwach systemów społecznych przyczyniło się do tego sukcesu.

Niemal wszystkie nasze noworodki osiągają wiek dojrzały, a średnia życia stale rośnie.

Mimo to zarówno człowiek, jak i my, mrówki, stajemy w obliczu tego samego problemu: brak dostosowywania się do otoczenia zmusza środowisko, by dostosowywało się do nas.

Palec chce stworzyć najwygodniejszy z możliwych światów. Tu kończy się temat biologii, a powstaje pytanie o kulturę.

Siedzące nieco dalej inżynierki ognia rozpoczynają kolejną serię doświadczeń.

5 próbuje chodzić na dwóch nogach, wspierając się na rozwidlonych gałązkach. 7 kontynuuje prace nad freskiem ilustrującym odyseję 103 i jej spotkanie z Palcami. 8 konstruuje dźwignie przy użyciu patyczków i plecionych z liści mat, obciążane żwirem.

Wreszcie księżniczka 103 zaczyna odczuwać zmęczenie. Przypomina sobie o sadze, którą chciał napisać 24: *Palce*. Teraz, gdy księżę zginął w pożarze, nikłe są szanse na powstanie pierwszej mrówczej powieści.

5 dołącza do 103 po kolejnej nieudanej próbie utrzymania się dłużej na dwóch nóżkach. Zauważa, że problem ze sztuką polega na tym, że jest delikatna i uciążliwa w transporcie. Jajeczko, które 24 postanowił wypełnić swoją powieścią, i tak byłoby kłopotliwym balastem podczas wędrówki.

– *Chociaż właściwie mogliśmy je wsadzić na grzbiet ślimakowi – nadaje 103.*

5 przypomina, że ślimaki zjadają czasami jajeczka mrówek. Powinno się znaleźć sposób na stworzenie lekkiej sztuki myrmeczeńskiej, która byłaby niejadalna dla ślimaków.

7 przyciąga nowy liść, żeby rozpocząć kolejny fragment swojego fresku.

– *Tego też nigdy nie będziemy mogły ze sobą zabrać – uświadamia jej 5.*

Mrówki naradzają się, aż wreszcie 7 wpada na pewien pomysł: grawerowanie. Można przecież wyryć dowolne motywy ostrzem żuwaczki bezpośrednio na pancerzu.

Pomysł bardzo przypada do gustu 103. Przypomina sobie, że Palce także uprawiają ten rodzaj sztuki, zwany przez nich „tatuazem”. Ponieważ ich epiderma jest miękka, są zmuszone wprowadzać w nią barwnik. Mrówkom wystarczy jedynie grawerowanie w chitynie – jak w bursztynie.

7 ma ochotę od razu zabrać się do grawerowania pancerza 103, niestety, księżniczka wcześniej była starą wojowniczką, więc jej pancerz jest porysowany w tylu miejscach, że trudno będzie cokolwiek na nim zobaczyć.

Postanawiają zatem wezwać 16, najmłodszą z mrówek w grupie, której pancerz nie nosi na sobie żadnych śladów. Przykładając się niezwykle do swojej pracy, 7 zaczyna grawerować na nim przeróżne motywy, które przychodzą jej na myśl. Najpierw rysuje pożar mrowiska. Zajmuje on odwłok młodej belokanijki. Rysy wiją się niczym długie nici. Mrówki, których mózg zauważa przede wszystkim ruch, starają się go odwzorować zamiast szczegółów kształtu płomienia.

137. MAXIMILIEN W DOMU

Maximilien wyjął z akwarium martwe gupiki. Przez ostatnie dwa dni, siłą rzeczy, zajmował się nimi znacznie mniej i po raz kolejny ryby karały go w najgorszy z możliwych sposobów: zdychając. „Te rybki akwariowe, będące wynikiem krzyżówek genetycznych i dobierane wyłącznie według kryteriów estetycznych, są mimo wszystko bardzo delikatne” – pomyślał i zaczął się zastanawiać nad tym, czy nie byłoby lepiej, gdyby wybrał dzikie gatunki, nie tak ładne, ale za to z pewnością lepiej dostosowujące się do okoliczności i bardziej wytrzymałe.

Wyrzucił zdechłe rybki do kubła i udał się do salonu w oczekiwaniu na kolację.

Wziął do ręki numer „Trąbki Fontainebleau”, który leżał na kanapie. Na ostatniej stronie widniała notatka podpisana Marcel Vaugirard i zatytułowana: „Liceum pod specjalnym nadzorem”. Przez chwilę obawiał się, czy aby ten dziennikarz nie informuje społeczeństwa o tym, co naprawdę się tam działo. Nie, dzielny Vaugirard dobrze wykonywał swoją pracę. Mówił o lewackich tendencjach, chuliganach i skargach sąsiadów na hałas w nocy. Ilustrację artykułu stanowiła maleńka fotografia – był to portret przywódczyni podpisany: „Julie Pinson, piosenkarka i buntowniczką”.

„Buntowniczką? Przede wszystkim piękność” – pomyślał policjant. Nigdy tego

nie zauważył, ale córeczka Gastona Pinsona była naprawdę piękna.

Rodzina usiadła do stołu.

Menu składało się ze ślimaków w maśle z pietruszką na przystawkę i żabich udek z ryżem jako dania głównego.

Spojrzał ukradkiem na żonę i nagle odkrył u niej wiele nieznośnych zachowań. Jadła, podnosząc do góry mały palec. Cały czas się uśmiechała i nie przestawała mu się przyglądać.

Marguerite otrzymała zgodę na włączenie telewizora.

Kanał 423. Prognoza pogody. Poziom zanieczyszczenia w dużych miastach przekroczył stan alarmowy. Coraz więcej osób cierpi na schorzenia układu oddechowego i podrażnienia oczu. Rząd przewiduje otwarcie dyskusji w parlamencie na ten temat, a tymczasem wyznaczył komitet mędrców, który ma zaproponować konkretne rozwiązania. Powinno to doprowadzić do opracowania raportu, w którym...

Kanał 67. Reklama. „Jedźcie jogurty! Jedźcie jogurty! JEDZCIE JOGURTY!”

Kanał 622. Rozrywka. A oto program „Pułapka w rozumie” z odwieczną zagadką o sześciu zapalkach i ośmiu trójkątach równobocznych...

Maximilien wyrwał pilota z rąk córki i wyłączył telewizor.

– Och, nie, tato! Chcę się dowiedzieć, czy pani Ramirez rozwiązała zagadkę sześciu zapalek tworzących osiem trójkątów!

Ojciec rodziny był nieugięty. Teraz on miał w ręku pilota. W każdej ludzkiej komórce rodzinnej posiadacz tego przedmiotu jest władcą.

Maximilien poprosił córkę, aby przestała bawić się solniczką, a żonę, żeby przestała połykać tak duże kęsy.

Wszystko go irytowało.

Gdy żona zaproponowała mu nowy deser własnego pomysłu, budyń w formie piramidy, nie wytrzymał i wołał wstać od stołu, aby schronić się w gabinecie.

Żeby mieć pewność, że nikt nie będzie mu przeszkadzać, Maximilien zamknął drzwi na klucz.

Ponieważ Mac Yavel był cały czas włączony, pozostawało mu tylko nacisnąć klawisz, aby zacząć grać w *Ewolucję* i rozluźnić się, wojując z obcymi plemionami zagrażającymi jego ostatniej cywilizacji mongolskiej, która była na szczytowym etapie rozwoju.

Tym razem postawił wszystko na armię. Żadnych inwestycji w rolnictwo, żadnych inwestycji w naukę, edukację czy rozrywkę. Tylko olbrzymia armia i despotyczny rząd. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu ten wybór przyniósł zaskakujące rezultaty. Horda Mongołów posuwała się z zachodu na wschód, od włoskich Alp ku Chinom, zajmując wszystkie miasta, jakie znalazły się na jej drodze. Żywność, której produkcji nie nauczyło ich rolnictwo, zdobywali, grabiąc. Naukę, której nie posiadli, przyswajali sobie, zajmując laboratoria w podbitych miastach. Z kolei edukacja nie była już niezbędna. W gruncie rzeczy z dyktaturą wojskową wszystko funkcjonowało szybko i dobrze. Znalazł się w 1750 roku, a jego rydwany i katapulty zajmowały praktycznie całą planetę. Niestety, w jednej ze stolic wybuchł bunt w momencie, gdy chciał przejść od tyranii do monarchii oświeconej. Przekazanie władzy nie odbyło się we właściwy sposób, nie udało mu się odzyskać kontroli i bunt rozprzestrzenił się na inne miasta.

Sąsiedni naród, małe, ale demokratyczny, bez żadnych problemów podbił wówczas jego cywilizację.

Nagle na ekranie pojawił się tekst.

Nie masz serca do gry. Czy coś cię martwi?

– Skąd wiesz?

Komputer powiedział przez głośniki:

– Ze sposobu, w jaki wciskasz moje klawisze. Twoje palce ześlizgują się i często dotykasz dwóch klawiszy naraz. Czy mogę ci pomóc?

Komisarz się zdziwił:

– Jak komputer mógłby mi pomóc w stłumieniu buntu licealistów?

– Cóż...

Maximilien wcisnął klawisz.

– Rozpocznij następną grę, to najlepszy sposób, żeby mi pomóc. Im więcej gram, tym lepiej rozumiem świat, w którym żyję, i wybory, jakich byli zmuszeni dokonać moi przodkowie.

Zdecydował się na cywilizację przypominającą sumeryjską i doprowadził ją do 1980 roku. Tym razem udało mu się pójść drogą ewolucji: despotyzm, monarchia, republika, demokracja – zdołał stworzyć wielki naród zaawansowany technologicznie. Nagle, w samym środku dwudziestego pierwszego wieku, jego naród zdziesiątkowała epidemia dzumy. Nie zadbał wystarczająco o higienę

swoich mieszkańców, przede wszystkim zapomniał zbudować kanalizację w dużych miastach. Z braku systemu odprowadzania ścieków nagromadzone odpady przekształciły się w hodowlę bakterii w miastach i przyciągnęły szczury. Mac Yavel poinformował go, że żaden komputer nie popełniłby takiego błędu.

W tym właśnie momencie Maximilien pomyślał, że w przyszłości może dobrze byłoby postawić komputer na czele rządów, ponieważ tylko on był w stanie sprawować władzę, nie zapominając o żadnym szczególe. Komputer nigdy nie śpi. Komputer nie ma problemów zdrowotnych. Komputer nie cierpi na zaburzenia seksualne. Komputer nie ma rodziny ani przyjaciół. Mac Yavel miał rację. Komputer nie zapomniałby zbudować sieci kanalizacyjnej.

Maximilien rozpoczął nową partię, tworząc cywilizację przypominającą francuską. Im dłużej grał, tym mniejszym zaufaniem darzył naturę ludzką, pokrętną z samej swej istoty, niezdolną do postrzegania długofalowych interesów, spragnioną jedynie natychmiastowych przyjemności.

Właśnie na ekranie oglądał rewoltę studentów w jednej ze swoich stolic w 1635 roku epoki odniesienia. Młodzi ludzie tupali jak rozkapryszone dzieci, ponieważ nie spełniono natychmiast wszystkich ich życzeń...

Wysłał swoje oddziały przeciwko studentom i ostatecznie doprowadził do ich eksterminacji.

Mac Yavel podzielił się z nim ciekawą uwagą:

– Nie lubisz swoich ludzkich pobratymców?

Maximilien wziął puszkę piwa z małej lodówki i wypił ją. Lubił odświeżać sobie gardło, grając jednocześnie na symulatorze cywilizacji.

Przesunął kursor, aby stłumić ostatnie ogniska oporu, a następnie, po unicestwieniu rewolucji, wprowadził ściślejszy nadzór policyjny i zainstalował sieć kamer wideo, aby lepiej kontrolować działania swojej społeczności.

Maximilien patrzył na mieszkańców chodzących tam i z powrotem, kręcących się w kółko, tak, jak obserwuje się owady. Wreszcie łaskawie odpowiedział.

– Kocham ludzi... mimo że są tacy, jacy są.

138. WYŻERKA

Powoli rewolucja stawała się pełnym inwencji bałaganem.

Rozmiary całej tej zabawy przerosły nieco oczekiwania ośmiu inicjatorów w Fontainebleau. Poza podwyższeniem i ośmioma standami wszędzie na dziedzińcu, jak grzyby po deszczu, wyrosły estrady i stoły.

W ten sposób powstały standy „malarskie”, „rzeźbiarskie”, „wynałazcze”, „poetyckie”, „taneczne”, „gier informatycznych”, na których młodzi rewolucjoniści spontanicznie prezentowali swoje dzieła. Liceum przekształcało się powoli w wielobarwne miasteczko, którego mieszkańcy zwracali się do siebie *per ty*, spontanicznie nawiązywali kontakty, bawili się, budowali, testowali, eksperymentowali, obserwowali, próbowali, grali lub po prostu odpoczywali.

Na podwyższeniu, na którym stał syntezator Francine, można było odtwarzać utwory tysięcy wszelkiego rodzaju zespołów i, dzień i noc, bardziej lub mniej doświadczeni muzycy skwapliwie korzystali z tej okazji. Tu również zaawansowana technologia już w pierwszym dniu wywołała ciekawe zjawisko: mieszanekę wszystkich muzyk świata.

Na przykład pojawił się cytrzysta indyjski grający z zespołem muzyki kameralnej, a piosenkarce jazzowej towarzyszyła grupa perkusistów z Bali. Do muzyki szybko dołączył taniec: tancerka japońskiego teatru *kabuki* zaczęła odtwarzać taniec motyla w rytm afrykańskiego tam-tamu, pewien tancerz wykonał tango argentyńskie do muzyki tybetańskiej, cztery uczennice szkoły baletowej wykonały *entrechat* z podkładem w formie uspokajającej muzyki New Age. Jeżeli syntezator nie wystarczał, tworzone instrumenty.

Najlepsze kawałki były nagrywane i rozpowszechniane za pomocą sieci informatycznej. Ale rewolucja w Fontainebleau nie ograniczała się tylko do nadawania, odbierała także muzykę tworzoną przez inne rewolucje mrówek w San Francisco, Barcelonie, Amsterdamie, Berkeley, Sydney czy Seulu.

Podłączając kamery i mikrofony cyfrowe do komputerów działających w światowej sieci cyfrowej, Ji-woongowi udało się doprowadzić do tego, że jednocześnie na żywo grali muzycy należący do kilku zagranicznych rewolucji mrówek. Fontainebleau dało perkusję, San Francisco gitarę rytmiczną i gitarę prowadzącą, Barcelona wokal, Amsterdam klawisze, Sydney kontrabas, a Seul skrzypce.

Grupy z różnych zakątków świata prezentowały się na autostradzie cyfrowej. Z Ameryki, Azji, Afryki, Europy i z Australii rozbrzmiewała planetarna muzyka

eksperymentalna i hybrydowa.

W obrębie dziedzińca liceum w Fontainebleau nie było już granic ani w przestrzeni, ani w czasie.

Licealna kserokopiarka pracowała bez przerwy, powielając menu dnia (streszczenie najważniejszych wydarzeń zapowiedzianych na dany dzień: grupy muzyczne, teatralne, standy eksperymentalne itd., ale także poezja, opowiadania, artykuły polemiczne, tezy, statuty filii rewolucji, a nawet, od niedawna, zdjęcia Julie zrobione w czasie drugiego koncertu i oczywiście menu gastronomiczne Paula).

W książkach historycznych oraz w bibliotece oblężeni szukali i znaleźli portrety cenionych wielkich rewolucjonistów i słynnych muzyków rockowych; skopiowali je, a następnie rozwiesili w korytarzach szkoły. Można było na nich rozpoznać na przykład Lao-Cy, Gandhiego, Petera Gabriela, Alberta Einsteina, Dalajlamę, Beatlesów, Philipa K. Dicka, Franka Herberta i Jonathana Swifta.

Na pustych stronach na końcu *Encyklopedii* Julie zanotowała:

Zasada rewolucyjna nr 54: Anarchia jest źródłem kreatywności. Ludzie, wyzwoleni spod presji społecznej, zaczynają w naturalny sposób wymyślać i tworzyć, poszukiwać piękna i mądrości, porozumiewać się jak najlepiej potrafią z innymi. Na żyznej glebie nawet najmniejsze ziarenka wydadzą wielkie drzewa i piękne owoce.

W klasach spontanicznie tworzyły się grupy dyskusyjne.

Wieczorem wolontariusze rozdawali śpiwory, w które młodzi ludzie na zewnątrz zawijali się dwójkami czy trójkami, przytulając się do siebie, aby zachować ciepło ludzkie.

Na dziedzińcu jedna z amazoнок urządziła pokaz *tai chi chuan* i wyjaśniła, że ta znana od tysiąca lat gimnastyka naśladuje zachowania zwierząt. Odwzorowując je, można lepiej zrozumieć ducha zwierząt. Zainspirowani tą koncepcją tancerze odtworzyli ruchy mrówek. Stwierdzili, że gesty tych owadów są bardzo płynne. Mają egzotyczny wdzięk i bardzo różnią się od ruchów zwierząt należących do rodziny kotów czy psów. Podnosząc ramiona imitujące czułki i pocierając nimi, tancerze odkryli nowe kroki.

– Chcesz marihuany? – zaproponował młody widz, podając papierosa Julie.

– Nie, dziękuję, próbowałam już trofalaksji gazowych i niszczy mi to struny głosowe. Wystarczy, że patrzę na to wielkie święto, a już mam odjazd.

– Masz szczęście, niewiele trzeba, aby cię pobudzić...

– Uważasz, że to niewiele? – zdziwiła się Julie. – Ja nigdy jeszcze nie widziałam tak wspaniałej imprezy.

Julie miała świadomość, że trzeba wprowadzić nieco porządku do tego bałaganu, bo w przeciwnym razie rewolucja sama doprowadzi do własnej zagłady.

Trzeba było nadać temu wszystkiemu jakiś sens.

Dziewczyna spędziła całą godzinę, obserwując w akwarium mrówki przeznaczone do eksperymentów w zakresie komunikacji feromonowej. Edmund Wells zapewniał, że obserwacja zachowań myrmecyńskich bardzo pomaga przy wymyślaniu społeczeństwa idealnego.

Ona natomiast zobaczyła w akwarium jedynie małe, czarne, dość odpychające stworzonka, które zdawały się po prostu wykonywać mrówczą pracę. Doszła do przekonania, że być może myliła się na całej linii. Edmund Wells posługiwał się z pewnością symbolami. Mrówki to mrówki, ludzie to ludzie i nie można było odnosić do nich zasad życia owadów, które są od nich tysiąc razy mniejsze.

Weszła na piętro, usiadła za biurkiem nauczyciela historii, otworzyła *Encyklopedię* i szukała innych przykładów rewolucji, które mogłyby ją zainspirować.

Odkryła historię ruchu futurystów. W latach 1900–1920 właściwie wszędzie rozkwitły ruchy artystyczne. Dadaści w Szwajcarii, ekspresjoniści w Niemczech, surrealiści we Francji, futuryści we Włoszech i w Rosji. Ci ostatni byli artystami, poetami i filozofami, a ich wspólną cechą był podziw dla maszyn, prędkości i, ogólnie, całej nowoczesnej techniki. Byli przekonani, że pewnego dnia maszyna uratuje człowieka. Futuryści wystawiali też sztuki teatralne, w których aktorzy przebrani za roboty ratowali ludzi. Natomiast w obliczu drugiej wojny światowej włoscy futuryści pod egidą Marinettiego poparli ideologię głoszoną przez głównego przedstawiciela maszyn, dyktatora Benita Mussoliniego. Nie robił przecież nic innego, jak tylko budował wozy bojowe i inne maszyny przeznaczone na potrzeby wojenne. W Rosji z tych samych powodów niektórzy futuryści przyłączyli się do partii komunistycznej Józefa Stalina. W obu wypadkach zostali wykorzystani przez propagandę polityczną. Stalin wysyłał ich do gułagów albo mordował.

Następnie Julie zainteresowała się ruchem surrealistów. Filmowiec Luis Buñuel,

malarze Max Ernst, Salvador Dali i René Magritte, pisarz André Breton sądzili, że uda im się zmienić świat przez sztukę. Pod tym względem przypominali nieco ich ósemkę, z tym, że wybrali inną dziedzinę. Jednak surrealiści byli zbyt wielkimi indywidualistami, aby wkrótce nie zagubić się w wewnętrznych kłótniach.

Wydawało się jej, że interesującym przykładem byłoby sytuacjoniści francuscy z lat sześćdziesiątych. Głosili rewolucję w drodze mistyfikacji i odrzucając „społeczeństwo spektaklu”, trzymali się zdecydowanie na uboczu gier medialnych. Wiele lat później ich przywódca, Guy Debord, popełnił zresztą samobójstwo po udzieleniu pierwszego wywiadu telewizyjnego. Z tego powodu sytuacjoniści byli praktycznie nieznanymi, poza kręgiem specjalistów, aż do wydarzeń maja sześćdziesiątego ósmego roku.

Julie przeszła do rewolucji w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Do niedawnych buntów należało zaliczyć bunt Indian w Chiapas na południu Meksyku. Na czele ruchu zapatystów stał podkomendant Marcos, kolejny rewolucjonista, który swoje śmiałe czyny skrywał pod płaszczkiem żartów. Niemniej jednak podstawą jego ruchu były rzeczywiste problemy społeczne: ubóstwo meksykańskich Indian i zmiążdżenie cywilizacji Indian amerykańskich. Ale rewolucji mrówek nie wywołało żadne autentyczne niezadowolenie społeczne. Komunisty nazwałby ją „rewolucją drobnej burżuazji” i jej jedynym motywem był protest przeciwko skostnieniu.

Trzeba było znaleźć coś innego. Przewróciła jeszcze kilka stron *Encyklopedii*, przechodząc od rewolucji zbrojnych do rewolucji kulturalnych.

Bob Marley na Jamajce. Rewolucja rastafariańska była bliska ich rewolucji dlatego, że punktem wyjścia obu była muzyka. Do tego należało dodać przesłanie pacyfistyczne, muzykę dostosowaną do rytmu bicia serca, popularność skrętów z ganją, mitologię szukającą swoich korzeni i symboliki w starożytnej kulturze. Odniesieniem dla rastafarian była historia biblijna króla Salomona i królowej Saby. Ale Bob Marley nie starał się zmienić społeczeństwa; chciał jedynie, aby jego adepci wyluzowali się i zapomnieli o swojej agresji i swoich troskach.

W Stanach Zjednoczonych niektóre wspólnoty kwaków czy amiszów wprowadziły ciekawe formy koegzystencji, ale świadomie odcięły się od świata, a jedyną podstawą zasad ich życia była ich wiara. Ogólnie do wspólnot laickich, które funkcjonowały poprawnie od pewnego czasu, można było zaliczyć tylko

kibuce w Izraelu. Kibuce podobały się Julie, bo tworzyły wsie, w których nie istniały pieniądze, nie było zamków w drzwiach i mieszkańcy pomagali sobie nawzajem. Jednak wszystkich członków kibucu obowiązywał obowiązek pracy na roli, a tutaj nie było ani pól uprawnych, ani krów, ani winnic.

Zastanawiała się, obgryzała paznokcie, spojrzała na swoje ręce i nagle doznała olśnienia.

Znalazła rozwiązanie. Miała je przed nosem od tak dawna, dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Przykładem, za którym należało pójść, był...

139. ENCYKLOPEDIA

ORGANIZM ŻYWY: Nie trzeba udowadniać doskonałej harmonii panującej między różnymi częściami naszego ciała. Wszystkie nasze komórki są sobie równe. Prawe oko nie ma nic do pozazdrosczenia lewemu oku. Prawe płuco nie zazdrości lewemu płucowi. W naszym ciele wszystkie komórki, wszystkie organy, wszystkie części mają tylko jeden i ten sam cel: służyć całemu organizmowi w ten sposób, aby funkcjonował jak najlepiej.

Komórki w naszym ciele znają i wykorzystują z powodzeniem komunizm i anarchię. Wszystkie są sobie równe, wolne i mają wspólny cel: żyć razem jak najlepiej. Dzięki hormonom i synapsom informacja obiega natychmiast nasz organizm, ale jest przekazywana jedynie tym częściom, które jej potrzebują.

W ciele nie ma szefa, nie ma administracji, nie ma pieniędzy. Jedyne bogactwa stanowią cukier i tlen, a cały organizm decyduje, które organy najbardziej ich potrzebują. Na przykład kiedy jest zimno, ciało ludzkie pozbawia odrobiny krwi najdalsze części swoich kończyn, aby zasilać strefy najbardziej witalne. Z tego właśnie powodu palce u rąk i duże palce u nóg sinieją pierwsze.

Odtwarzając w skali makro to, co dzieje się w naszym ciele w skali mikro, wzorowalibyśmy się na systemie organizacyjnym, który od dawna się sprawdza.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

140. BITWA POD BEL-O-KAN

Rewolucja palcowa zatacza coraz szersze kręgi. Pnie się po lesie jak bluszcz. Pięćdziesiąt tysięcy insektów. Ślimaki z przytroczonymi do grzbietów zapasami żywności. Niezwykle modne wśród uczestników marszu stało się grawerowanie sobie motywu płomienia na piersi.

Mrówki są jak pożar, który rozprzestrzenia się po lesie, tyle że zamiast go niszczyć, chcą tylko dzielić się wiedzą o istnieniu i zwyczajach Palców.

Rewolucjonistki wychodzą z leśnej gęstwiny. Przed nimi rozciąga się polana zarośnięta jałowcem, na którym pasie się spokojnie stado mszyc. Mrówki zaczynają polowanie – gonią zwierzynę i strzelają do niej pociskami z kwasu mrówkowego. Mimo to zauważają dziwny fenomen – wokół panuje absolutna cisza.

Nawet jeśli głównym zmysłem mrówek służącym do porozumiewania się jest węch, nie znaczy to, że są nieczułe na ciszę.

Zwalniają kroku. Zza traw wyłania się olbrzymi cień stolicy: Bel-o-kan.

Bel-o-kan, miasto-matka.

Bel-o-kan, największe mrowisko w całym lesie.

Bel-o-kan, miejsce narodzin i śmierci największych legend myrmeceńskich.

Rodzinne miasto wydaje się podróżniczkom jeszcze większe i wyższe. Jak gdyby z wiekiem miasto się nadymało. Tysiące wiadomości olfaktycznych emanuje z tego pulsującego życiem miejsca.

103 ma trudności z opanowaniem emocji na jego widok. A więc powróciła tu, skąd wyruszyła.

Rozpoznaje tysiące znajomych zapachów. To w tych trawach bawiła się jako młoda eksploratorka. Tymi ścieżkami wyruszała na wiosenne polowania. Zadrzała. Cisza dociera do niej ze zdwojoną siłą. I jest jeszcze coś niepokojącego: całkowity brak jakiegokolwiek ruchu na obrzeżach metropolii.

Na głównych ścieżkach prowadzących do wejścia zawsze pełno było wracających z polowania mrówek, niosących swoje skarby. Teraz nie widać tam nikogo. Mrowisko jest nieruchome. Miasto-matka zdaje się wcale nie cieszyć na widok powracającej córki obdarzonej nową płcią, rewolucjonistek i dymiących węgielków niesionych przez ślimaki.

– *Wszystko ci wyjaśnię* – nadaje 103 w stronę olbrzymiej budowli. Niestety, jest już za późno: zza wysokiej piramidy wylaniają się dwie długie kolumny wojowniczek. Wyglądają jak żuwaczki Bel-o-kan.

Ich własne siostry nie przychodzą, żeby je przywitać, lecz by je zatrzymać. Wieść o nadchodzącym pochodzie propalcowych rewolucjonistek używających zakazanego ognia i nawołujących do paktu z olbrzymimi potworami bardzo szybko obiegła cały las.

5 na widok wroga zaczyna się niepokoić.

Oddziały przeciwnika zaczynają ustawiać się w szyku bojowym, zgodnie z wpajanymi im od dzieciństwa zasadami: na przodzie artyleria strzelająca kwasem mrówkowym, na prawym boku – kawaleria, na lewej flance – wojowniczeki o długich tnących żuwaczkach, wreszcie na tyłach – wojowniczeki o krótkich żuwaczkach, których zadaniem jest dobijanie rannych.

103 i 5 poruszają czułkami z prędkością dwunastu tysięcy wibracji na sekundę, by dobrze zidentyfikować przeciwnika. Ma on zdecydowaną przewagę.

Rewolucjonistek jest jedynie pięćdziesiąt tysięcy należących do przeróżnych gatunków istot, a stawić czoła muszą stu dwudziestu tysiącom zaprawionych w boju belokanijskich wojowniczek.

Księżniczka podejmuje próbę pojednania. Nadaje ze wszystkich sił:

– *Wojowniczeki, jesteście waszymi siostrami. Powracamy do gniazda, by poinformować miasto o wielkim niebezpieczeństwie. Palce zamierzają zaatakować las.*

Zero reakcji.

Jednym czułkiem księżniczka 103 wskazuje białą tablicę – wiszącą nad miastem groźbę.

– *Chcemy porozmawiać z matką.*

W jednej chwili żuwaczki belokanijskie unoszą się ostrzegawczo z suchym chrzęstem. Sfederowane oddziały są zdecydowane ruszyć do natarcia. Na nic wszelkie negocjacje. Trzeba szybko ustalić strategię obrony.

6 sugeruje, żeby ruszyć na prawą flankę i zaatakować węgielkami wojowniczeki o długich żuwaczkach. Liczy, że ogień wywoła na tyle dużą panikę, że te ociężałe i tępe zwierzęta zaczną się bić między sobą.

Księżniczka 103 uważa, że pomysł jest niezły, chociaż rozżarzone węgielki lepiej się sprawdzą w walce z kawalerią.

Szybka narada. Problemem oddziałów palcowej rewolucji jest to, że składają się na nie przeróżne insekty, których reakcje podczas walki są nie do przewidzenia. Jak zachowają się małe mrówki, które nie mają żuwaczek nadających się do walki? Nie mówiąc już o ślimakach transportujących kosze żarowe i poruszających się wyjątkowo powoli... To raczej one mogą wpaść w panikę, gdy zaatakują je wrogie oddziały.

Armia federalna jest gotowa do ataku, oddziały ustawione są w idealnym porządku, podzielone na grupy w zależności od kasty, długości żuwaczek i stopnia wrażliwości czułków. Pojawiają się posiłki. Ile ich jest łącznie? Prawdopodobnie setki tysięcy.

W miarę jak nieprzyjaciel się zbliża, propalcowe rewolucjonistki uświadamiają sobie, że bitwa jest z góry przegrana. Wiele owadów, towarzyszących wyprawie przede wszystkim z pobudek krajoznawczych, woli się wycofać i uciec.

Armia federalna jest coraz bliżej.

Ślimaki, które wreszcie pojęły, co się dzieje, otwierają szeroko paszcze i bezgłośnie krzyczą ogarnięte przerażeniem. Mają 25 600 maleńkich ostrych ząbków, które pozwalają im gryźć liście sałaty. Ślimaki prawoskrętne są najbardziej nerwowe. Unoszą wysoko rogi, na czubkach których pojawiają się gałki oczne przypominające młode pączki kwiatów. Niektóre z nich wyciągają tułów i uderzają głową o muszelkę, by zrzucić z niej mrówki i wszelki niepotrzebny im balast. A następnie uciekają z pola bitwy.

Pierwsza linia artylerii ustawia się w pozycji do strzału. Stoją w zwartym, równym szeregu. Odwłoki unoszą się i wystrzeliwują z siebie deszcz żrących kropelek, żółtych pocisków, które spadają na stojące najbliżej rewolucjonistki. Trafione ciała wiją się z bólu.

Druga linia artylerii zastępuje pierwszą, by po chwili spowodować niemal tyle samo strat u przeciwnika.

To hekatomba. Liczba dezertków rośnie na tyłach wojska. Ich zainteresowanie Palcami nie jest mimo wszystko aż tak duże, by stawić czoła tak licznej federacji rudych mrówek.

Trafione kwasem, przerażone ślimaki unoszą szyje ku niebu i wiją się ukazując wszystkim swoje maleńkie ząbki i wylupiate oczy. Ogarnięte paniką produkują instynktownie dwa razy więcej śliny, by móc szybciej uciekać. Propalcowe

rewolucjonistki znajdujące się w ich pobliżu topią się w lepkiej mazi. Niektóre zostają pogryzione przez ostre igiełki zębów.

Obie armie stoją naprzeciw siebie, podobne do olbrzymich, zmęczonych i rozwścieczonych zwierząt. Na razie jeszcze panuje spokój. Wiedzą jednak, że za chwilę dojdzie do zapasów.

Dwieście dwadzieścia tysięcy przeciwko niecałym pięćdziesięciu tysiącom – bitwa zapowiada się ciekawie.

Jedna ze sfederowanych mrówek unosi czułek. Nadaje zapachowy sygnał.

– *Do ataku!*

Rozchodzi się pomruk zapachów zagrzewających do walki.

Setki legionów ruszają naprzód. Kawaleria galopuje. Artyleria biegnie co sił. Mrówki o długich żuwaczkach pędzą unosząc wysoko głowę, by nie zaczepiać się nawzajem swymi szablami. Drobną piechotę podąża po grzbietach dużej piechoty, niczym po przenośniku taśmowym. Ziemia aż drży.

Dwie armie zaraz się spotkają.

Starcie. Żuwaczki pierwszych szeregów sfederowanych uderzają w żuwaczki pierwszej linii rewolucjonistek.

Po tym pierwszym śmiertelnym pocałunku legiony rozciągają się na boki w żalobnym uśmiechu. Żuwaczki smagają las nówek odcinając je w kolanach. Wir sfederowanych oddziałów wciska się w rewolucyjną linię obrony.

Dwadzieścia najodważniejszych mrówek z obozu rewolucjonistek chwyta płonącą gałązkę utrzymując w ten sposób na bezpieczną odległość sfederowaną kawalerię. Gest ten wywołuje rzeczywiście panikę w najbliższych szeregach, lecz nie wystarcza, by skompensować liczebną przewagę przeciwnika. Ponadto kawaleria musiała zostać ostrzeżona, że w walce zostanie wykorzystany ogień, gdyż szybko dochodzą do siebie i okrążają płonącą włócznie.

Zamieszanie. Strzały. Uderzenia. Cięcia. Zapachowe groźby. Miażdżenie szczękami pancerzy przeciwnika. Strzępy chityny odsłaniają żywe mięso. Ciosy sztyletem. Plugawe zapachowe słowa rzucone w twarz wroga. Podstawione nogi. Wbijanie czułek w stawy. Odcinanie głów. Wyłupianie oczu. Wyginanie żuwaczek. Strzelanie prosto w pyszczek.

Mordercza wściekłość jest w zenicie i niektóre mrówki szlachtują kogo popadnie, zarówno sojusznika, jak i wroga.

Bezgłowe ciała nadal galopują po polu bitwy, wprowadzając dodatkowy chaos. Głowy pozbawione tułowia podskakują zrozumiawszy wreszcie bezsensowność tej bitwy. Lecz nikt ich nie słucha.

Stojąc na szczycie pagórka, 15 wystrzeliwuje pocisk za pociskiem. Jej odwłok aż dymi. Opróżniwszy go, rusza do ataku, nacierając ostrym czubkiem swojej czaszki. 5, stojąc na czterech nóżkach, chłoszcze na lewo i prawo swymi haczykowatymi pazurami na przednich nóżkach. Rozsierdzona 8 chwyta zwłoki nieprzyjaciela i kręci nimi nad głową, by wreszcie rzucić je ze wszystkich sił w rządnacierającej kawalerii. Uważa, że któregoś dnia katapulta powinna usprawnić ten rodzaj wyczynu. Chce powtórzyć swój bohaterski czyn, lecz grupa wrogich wojowniczek przytrzymuje ją.

Niektóre z owadów kryją się w małych dziurkach w ziemi, by tym skuteczniej zaskoczyć przeciwnika. Inne krążą wokół żdźbła, chcąc je zmęczyć. 14 stara się nawiązać kontakt z wojowniczką z wrogiego obozu – lecz bez sukcesu. 16 przygnieciona jest innymi walczącymi i mimo doskonale funkcjonujących zazwyczaj organów Johnstona, nie potrafi się zorientować, gdzie się aktualnie znajduje na polu bitwy. 9 zwija się w kłębek i stacza wprost na grupkę przeciwniczek, próbując je w ten sposób wytrącić z równowagi. Odcina im czułki, zanim dojdą do siebie. Bez czułek mrówki są już niezdolne do walki.

Tłum napastniczek jest zbyt gęsty.

Księżniczka 103 jest załamana tą rzezią wśród członkiń jednej rodziny. W końcu przeciwniczki i sojuszniczki są tu przede wszystkim siostrami.

Trzeba jednak zwyciężyć.

103 daje znak dwunastu towarzyszkom, by do niej podeszły, i przedstawia im swój pomysł. Oddział otacza się zwartą masą rewolucjonistek i – chroniony murem ich ciał – zaczyna drążyć tunel. Trzy z nich niosą kosz żarowy. By wydostać się poza pole bitwy, trzynaście eksploratorek musi wykopać długi korytarz. Ciepło bijące od ognia dodaje im energii. Wyznaczają kierunek dzięki organom Johnstona czułym na ziemskie pole magnetyczne. Kurs na Bel-o-kan.

Nad nimi ziemia aż drży. Kopią z całej siły. W pewnej chwili żar zaczyna wygasać, więc zatrzymują się i wachlują czułkami, by wywołać mały przewiew, który go ożywi.

Wreszcie docierają do miejsca, gdzie gleba staje się bardziej sypka. Kopią

w górę, by po chwili znaleźć się w tunelu. Są w Bel-o-kan. Szybko pokonują kolejne piętra. Oczywiście niektóre z robotnic zastanawiają się, co te mrówki robią w ich mieście; ponieważ jednak nie są wojowniczkami, ich rolą nie jest zapewnianie miastu ochrony – nie mają więc odwagi interweniować.

Architektura Bel-o-kan bardzo się zmieniła od ostatniego pobytu 103. Jest to obecnie wielka, ludna metropolia. Przez chwilę mrówka się waha. Czy nie podjęła nieodwracalnej decyzji?

Przypomina sobie jednak o swoich towarzyszkach rewolucjonistkach ginących na powierzchni i stwierdza, że nie ma już wyboru.

Podnosi suchy liść i zbliża go do żaru, czekając aż się rozpali. Następnie pozostałe mrówki przytykają do płomienia małe patyczki, które trzymają w objęciach żuwaczek. Pożar. Klęska żywiołowa szybko rozprzestrzenia się aż po gałązki kopuły. Wybuch panika. Robotnice rzucają się na ratunek jajeczkom.

Szybko, trzeba uciekać, by nie znaleźć się w pułapce. Okazuje się, że wszystkie wyjścia są już zablokowane przez robotnice. Podpalaczki porzucają zatem kosz żarowy i pokonują w przeciwnym kierunku drogę, którą tutaj dotarły. Idąc wykopanym przez siebie korytarzem, słyszą nad sobą tupot pędzących nówek.

Księżniczka 103 wysuwa jeden czułek-peryskop nad powierzchnię ziemi, między nóżki walczących przeciwniczek, i ocenia sytuację. Armia sfederowanych opuszcza pole bitwy, by pomóc w gaszeniu pożaru.

103 odwraca głowę. Pożar sięgnął już szczytu miasta. Gryzący dym palonego drewna, kwasu mrówkowego i topiącej się chityny rozchodzi się po okolicy.

Robotnice ewakuują jajeczka przez wyjścia awaryjne. Mrówki próbują stłumić płomienie, plując na nie lub strzelając do nich skoncentrowanym kwasem mrówkowym. 103 wychodzi spod ziemi, lecz pozostałym każe pozostać w ukryciu. Ogień walczy zamiast nich.

Księżniczka 103 patrzy na płonące Bel-o-kan. Zdaje sobie sprawę, że propalcowa rewolucja dopiero się zaczyna. Narzuci ją innym siłą żuwaczek i gwałtownością ognia.

141. ROZPALENI IDEAŁAMI

Rankiem piątego dnia sztandar rewolucji mrówek powiewał nadal nad liceum

w Fontainebleau.

Okupujący wyłączyli elektryczny dzwonek, który rozbrzmiewał co godzinę i, stopniowo, wszyscy pozbyli się zegarków. Był to jeden z nieprzewidzianych aspektów rewolucji – nie mieli już potrzeby dokładnego określania się w czasie. Zmiany grup czy solistów na podwyższeniu wystarczały, aby rozumieli, że dzień posuwał się naprzód.

Poza tym wielu z nich miało wrażenie, że każdy dzień trwa miesiąc. Ich noce były krótkie. Dzięki technikom kontroli głębokiego snu opisanym w *Encyklopedii* nauczyli się odnajdywać dokładny cykl zasypiania. Tym sposobem udawało im się odzyskać siły po trzech godzinach, zamiast ośmiu. I nikt nie wydawał się przez to zmęczony.

Rewolucja zmieniła codzienne zwyczaje absolutnie wszystkich. Rewolucjoniści nie tylko pozbyli się zegarków, ale również porzucili pęki kluczy do mieszkań, samochodów, garaży, szaf, biurka. Tu nie było kradzieży, bo nie było co ukraść.

Rewolucjoniści pozbyli się też portmonetek – można tu było chodzić z pustymi kieszeniami.

Schowali również do szuflady dokumenty tożsamości. Wszyscy znali się z widzenia lub z imienia, nie było potrzeby podawania nazwiska, aby określić się pod względem etnicznym, ani adresu, aby określić się pod względem geograficznym.

Ale opróżniły się nie tylko kieszenie, opróżniły się także umysły. Tam, gdzie trwała rewolucja, ludzie nie musieli już sobie zaprzętać pamięci numerami kodów do domofonów, kart kredytowych, wszystkimi tymi liczbami, których musimy się uczyć na pamięć, bo w przeciwnym razie możemy stać się kloszardami w ciągu pięciu minut po tym, jak zapomnimy czterech lub pięciu wirtualnych cyfr.

Bardzo młodzi, starsi, ubodzy, bogaci byli równi sobie w pracy, podobnie jak w chwilach rozrywki i przyjemności.

Rodziły się szczególne sympatie wynikające ze wspólnego zamiłowania do podobnych prac. Podstawą szacunku była wyłącznie jakość wykonanego dzieła.

Rewolucja od nikogo niczego nie wymagała, a jednak, nie zdając sobie z tego sprawy, większość tych młodych ludzi po raz pierwszy była czymś równie przejęta.

Umysły nieustannie pobudzane były przez idee, obrazy, muzykę czy nowe koncepcje. Było tyle praktycznych problemów do rozwiązania!

O dziewiątej Julie wspięła się na podwyższenie, aby dokonać nowego podsumowania. Oznajmiła, że wreszcie znalazła przykład, za jakim powinna pójść jej rewolucja: to organizm żywy.

– W ciele ludzkim nie ma rywalizacji ani walk wewnętrznych. Doskonała koegzystencja wszystkich naszych komórek dowodzi, że w każdym z nas funkcjonuje już harmonijna społeczność. Wystarczy zatem odtworzyć na zewnątrz to, co jest w naszym wnętrzu, w nas samych.

Publiczność słuchała w skupieniu. Mówiła dalej:

– Mrowiska funkcjonują już podobnie jak organizmy żywe. Dlatego właśnie te owady tak dobrze zintegrowały się z przyrodą. Życie przyjmuje życie. Natura lubi to, co do niej podobne.

Wskazując na plastikowy totem na środku dziedzińca, dodała:

– Oto przykład, oto sekret: „Jeden plus jeden równa się trzy”. Im bardziej będziemy solidarni, tym bardziej nasza świadomość będzie rosła i osiągniemy tym większą harmonię z przyrodą, wewnątrznie i zewnątrznie. Od tego momentu naszym celem będzie przekształcenie tego liceum w żywy organizm.

Nagle wszystko wydało jej się proste. Jej ciało było małym organizmem, okupowane liceum większym organizmem, a ponieważ rewolucja ogarnie cały świat dzięki sieciom informatycznym, powstanie jeszcze większy organizm.

Julie zaproponowała, aby zmienić nazwy wszystkiego, co znajdowało się w ich otoczeniu zgodnie z koncepcją organizmu żywego.

Ściany liceum to skóra, drzwi to pory, amazonki z klubu aikido to limfocyty, kafeeteria to jelita. Z kolei pieniądze ze spółki z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek” były glukozą konieczną do produkowania energii, a nauczyciel ekonomii, który pomagał w prowadzeniu księgowości, był jak diabetyk zarządzający cukrem. Sieć informatyczna była z kolei systemem nerwowym zapewniającym obieg informacji.

A mózg? Julie się zastanowiła. Wpadła na pomysł stworzenia dwóch półkul. Prawą półkulą, intuicyjną, byłby ich słynny poranny *pow-wow*, zgromadzenie twórcze poszukujące nowych pomysłów. Lewą półkulą, metodyczną, byłoby inne zgromadzenie, które odpowiadałoby za uporządkowanie pomysłów prawej półkuli i wprowadzenie ich w czyn.

– Kto będzie decydował o tym, kto będzie zasiadał w jednym, a kto w drugim

zgromadzeniu? – zapytał ktoś.

Julie odpowiedziała, że ponieważ organizm żywy nie ma struktury hierarchicznej, każdy może spontanicznie uczestniczyć w wybranym zgromadzeniu w zależności od tego, na co w danym dniu ma ochotę. Decyzje będą podejmowane przez podniesienie ręki.

– A nasza ósemka? – zapytał Ji-woong.

Byli założycielami, powinni nadal stanowić niezależną grupę, odrębny organ refleksji.

– Nasza ósemka – powiedziała dziewczyna – jest korą mózgową, pierwotnym mózgiem, z którego wywodzą się dwie półkule. Dalej będziemy się spotykać i dyskutować w sali prób pod kafeterią.

Wszystko zamknęło się w całość. Wszystko było na miejscu.

„Dzień dobry, moja żywa rewolucjo” – wyszeptała.

Na dziedzińcu wszyscy dyskutowali o tej koncepcji.

– Teraz na boisku szkolnym odbędzie się nasze zgromadzenie twórcze – oznajmiła Julie. – Niech przyjdą wszyscy, którzy mają na to ochotę. Następnie najlepsze pomysły zostaną przekazane zgromadzeniu praktycznemu, które przekształci je w filię naszej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek”.

Przyszedł tłum. Z wielką wrzawą ludzie usiedli na ziemi, podczas gdy krążyło jedzenie i napoje.

– Kto chce zacząć? – zapytał Ji-woong, rozstawiając wielką czarną tablicę, aby spisywać na niej pomysły.

Kilka osób podniosło ręce.

– Wpadłem na ten pomysł, oglądając *Infra-World* Francine – oznajmił młody człowiek. – Pomyślałem, że moglibyśmy opracować niemal identyczny program, ale taki, w którym czas biegłby jeszcze szybciej. W ten sposób moglibyśmy się dowiedzieć, jak prawdopodobnie wyglądać będzie nasza ewolucja aż do odległej przyszłości, i zdać sobie sprawę z błędów, jakich nie powinniśmy popełnić.

Julie się włączyła.

– Edmund Wells wspomina o czymś podobnym w swojej *Encyklopedii*. Nazywa to „poszukiwaniem DNP”, czyli „Drogi Najmniejszej Przemocy”.

Młody człowiek podszedł do tablicy.

– DNP. Droga Najmniejszej Przemocy, dlaczego nie? Aby ją przedstawić, wystarczyłoby narysować wielki diagram zawierający wszystkie możliwe krzywe przyszłości ludzkości i zastanowić się nad ich konsekwencjami w krótkiej, średniej i długiej perspektywie czasu. Na razie ocenia się problemy jedynie przez pryzmat jednej pięcio- lub siedmioletniej kadencji prezydenckiej, ale należałoby zbadać ich ewolucję w perspektywie najbliższych dwustu czy nawet pięciuset najbliższych lat, aby zagwarantować naszym dzieciom możliwie jak najlepszą przyszłość, a przynajmniej taką przyszłość, w której byłoby jak najmniej barbarzyństwa.

– Proponujesz więc, żebyśmy wymyślili program testujący, według zasady prawdopodobieństwa, wszystkie możliwe scenariusze przyszłości? – podsumował Ji-woong.

– Tak. DNP. Co by się stało, gdybyśmy podnieśli podatki, gdybyśmy ograniczyli prędkość na autostradach do stu kilometrów na godzinę, gdybyśmy zalegalizowali narkotyki, pozwolili na rozwój prac dorywczych, wypowiedzieli wojnę dyktatorom, zlikwidowali przywileje korporacji... Na pewno nie brak pomysłów na to, co można by przetestować! Przede wszystkim należy zbadać skutki negatywne czy też nieoczekiwane konsekwencje w czasie.

– Czy to możliwe, Francine? – zapytał Ji-woong.

– Nie w realiach *Infra-World*. Czas płynie zbyt wolno, aby przeprowadzać tego rodzaju eksperymenty. A nie mogę ruszać czynnika upływu czasu. Ale wykorzystując doświadczenia z *Infra-World*, można wyobrazić sobie inny program symulacji świata. Możemy nazwać go programem poszukiwań DNP.

Wtrącił się łysy mężczyzna:

– Po co mamy zajmować się poszukiwaniem polityki idealnej, skoro nie mamy środków, aby wprowadzić ją w życie? Jeżeli chcemy zmienić świat, żeby przekuć w czyn nasze idee, musimy legalnie przejąć władzę. Za kilka miesięcy mamy wybory prezydenckie. Rozpocznijmy kampanię i zgłośmy kandydata partii „ewolucjonistycznej”. Jego program będzie solidniejszy dzięki programowi DNP. Tym sposobem będziemy pierwszą partią, która zaproponuje naprawdę logiczną politykę, ponieważ będzie ona opierać się na obserwacji naukowej możliwych scenariuszy przyszłości.

Rozgorzały dyskusje między zwolennikami polityki i tymi, którzy całkowicie ją odrzucali. Tak właśnie było w wypadku Davida, który pospiesznie zaprotestował:

– Żadnej polityki. Pozytywne w rewolucji mrówek jest właśnie to, że chodzi o ruch spontaniczny, pozbawiony klasycznych ambicji politycznych. Nie mamy szefa, a zatem nie mamy kandydata na prezydenta. Podobnie jak w mrowisku, mamy oczywiście królową, Julie, ale ona nie jest naszym szefem, tylko naszym symbolem. Nie utożsamiamy się z żadną istniejącą grupą ekonomiczną, etniczną, religijną czy polityczną. Jesteśmy wolni. Nie niszczy tego wszystkiego, wchodząc w zwykłe rozgrywki w celu zdobycia władzy. Stracilibyśmy naszą duszę.

Gwar jeszcze się wzmógł. Najwidoczniej łysy mężczyzna trafił w sedno.

– David ma rację – dodała Julie. – Nasza siła to oryginalne pomysły. To znacznie skuteczniejsze, aby zmienić świat niż bycie prezydentem republiki. Kto naprawdę dokonuje zmian? Nie państwa, ale najczęściej zwykli ludzie z nowymi pomysłami. Lekarze Świata, którzy bez żadnej pomocy ze strony rządu pojechali z własnej inicjatywy pomagać wszędzie ludziom w niebezpieczeństwie... Wolontariusze, którzy w zimie wspierają i żywią ubogich i bezdomnych... To inicjatywy prywatne, pochodzące z dołu, a nie z góry... Co z tego pamięta młodzież? Nie ma zaufania do haseł politycznych. Natomiast zna na pamięć słowa niektórych piosenek, i to tak właśnie zaczęła się rewolucja mrówek. Liczą się pomysły, muzyka, w żadnym razie ideologia zdobycia władzy. Władza by nas zniszczyła.

– Ale w takim razie nigdy nie będziemy mogli wykorzystać DNP! – oburzył się łysy mężczyzna.

– DNP, nasza wiedza o DNP będzie istnieć mimo wszystko i będzie do dyspozycji każdego polityka, który zechce się z nią zapoznać.

– Czy są jakieś inne propozycje? – zapytał Ji-woong, który nie chciał, żeby wszędzie rozgorzały drobne dyskusje.

Wstała jedna z amazonek:

– Mieszkam w domu z dziadkiem, a moja siostra ma małe dziecko, którym nie ma czasu się zająć. Poprosiła więc naszego dziadka, aby się nim opiekował. Jest z tego bardzo zadowolony i dziecko też. Ma poczucie, że jest potrzebny i nie ma już wrażeń, że jest obciążeniem dla społeczeństwa.

– I co w związku z tym? – zapytał Ji-woong, który chciał, żeby przeszła do sedna.

– To – ciągnęła dalej dziewczyna – że pomyślałam sobie, jak wiele matek ma problemy z opiekunkami i miejscami w żłobkach. Równocześnie wiele osób starszych jest zrozpaczonych, bo nic nie robi i tkwi samotnie przed telewizorem.

Można by je zebrać i powtórzyć na większą skalę rozwiązanie z moim dziadkiem i siostrzeńcem.

Zebrani przyznali, że rodziny się rozpadają, wiele osób starszych umieszcza się w przytułkach, żeby nie widzieć, jak umierają, a niemowlęta oddaje się do żłobków, żeby nie słyszeć ich płaczu. W ostatecznym rozrachunku ludzie są wykluczani na początku i na końcu swojej drogi.

– To znakomity pomysł – przyznała Zoé. – Stworzymy pierwszy „żłobko-przytułek”.

Już na pierwszym zgromadzeniu pomysłodawczym zaproponowano osiemdziesiąt trzy projekty, z których ostatecznie czternaście przekształcono w filie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek”.

142. ENCYKLOPEDIA

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY: U ssaków wyższych całkowita długość ciąży wynosi z reguły osiemnaście miesięcy. Tak jest w wypadku koni, których źrebaki po urodzeniu są w stanie chodzić.

Jednak czaszka płodu ludzkiego rośnie zbyt szybko. Dlatego po dziewięciu miesiącach musi zostać wyrzucony z ciała matki, gdyż w przeciwnym razie nie mógłby już wyjść. Rodzi się zatem przedwcześnie, w formie niedokończony, i nie jest niezależny.

Pierwsze dziewięć miesięcy na zewnątrz jest po prostu powieleniem dziewięciu miesięcy spędzonych w łonie matki. Jedyna różnica polega na tym, że dziecko przechodzi ze środowiska wodnego do środowiska powietrznego. W ciągu tych pierwszych dziewięciu miesięcy na wolnym powietrzu potrzebuje zatem brzucha ochronnego: brzucha psychicznego. Dziecko rodzi się zagubione. Przypomina trochę ofiary poparzeń, które trzeba umieszczać w specjalnym namiocie tlenowym. Dla dziecka taką ochroną jest kontakt z matką, mleko matki, jej dotyk, pocałunki ojca.

Tak jak dziecko potrzebuje solidnego kokonu ochronnego w czasie dziewięciu miesięcy po urodzeniu, umierający starzec potrzebuje kokonu psychologicznego wsparcia w czasie ostatnich dziewięciu miesięcy, które poprzedzać będą jego śmierć. Chodzi o kluczowy dla niego okres, ponieważ intuicyjnie wyczuwa, że zaczęło się

już odliczanie od tyłu. Podczas ostatnich dziewięciu miesięcy starzec porzuca swoją starą skórę i umiejętności tak, jakby się odprogramowywał. Przechodzi proces odwrotny do tego, który zachodzi po urodzeniu. Pod koniec swojej drogi starzec, podobnie jak dziecko, je papki, nosi pieluchy, nie ma zębów, nie ma włosów i gaworzy w trudnym do zrozumienia języku.

Z tą różnicą, że o ile z reguły dziecko otacza się opieką przez pierwszych dziewięć miesięcy po urodzeniu, o tyle rzadko myśli się o otoczeniu podobną opieką ludzi starych w okresie dziewięciu miesięcy poprzedzających ich śmierć. Logicznie rzecz biorąc, potrzebowaliby wtedy opiekunki lub pielęgniarce, która przejęłaby rolę matki, „brzucha psychologicznego”. Taka osoba powinna okazać im wielką troskę, aby stworzyć kokon ochronny, niezbędny dla ich ostatniej metamorfozy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

143. OBLĘŻENIE BEL-O-KAN

W powietrzu czuć zapach spalonego kokonu. Z Bel-o-kan już nie bucha dym. Wojowniczkom belokanijskim udało się ugasić pożar. Armia rewolucjonistek, a przynajmniej to, co z niej zostało, rozbija obóz w pobliżu stolicy. Trójkątny cień mrówczej metropolii pada na oblegającego miasto nieprzyjaciela.

Księżniczka 103 unosi się na swoich czterech nóżkach, 5 zaś, opierając się ciężarem na kulach z patyczków, staje na dwóch nogach, żeby lepiej widzieć. W ten sposób miasto wydaje się mniejsze, a przez to łatwiejsze do zdobycia. Wiedzą, że straty wewnątrz mrowiska muszą być znaczne, nie potrafią ich jednak ocenić.

– Trzeba teraz ruszyć do ostatecznego natarcia – nadaje 15.

Księżniczka 103 nie okazuje entuzjazmu. Znowu wojna! Ciągłe wojna! Zabijanie jest najtrudniejszym, a zarazem najbardziej męczącym sposobem na to, by zostać zrozumianym.

Mimo to zdaje sobie sprawę, że jak do tej pory nic tak nie przyspieszało biegu historii, jak wojna właśnie.

7 proponuje, by kontynuować oblężenie miasta, dając sobie tym sposobem czas na opatrzenie ran i reorganizację.

Księżniczce 103 nie bardzo podoba się technika oblężenia. Trzeba czekać, odcinać dostawy pożywienia, umieszczać zwiadowczynie w miejscach strategicznych. Nic, z czego prawdziwa wojowniczką mogłaby być dumna.

Podchodzi do niej jakaś wycieńczona mrówka i przerywa jej rozmyślenia. Księżniczka 103 aż podskakuje, rozpoznając w niej pokrytego kurzem księcia 24.

Oba insekty wymieniają tysiące trofalaksji. 103 opowiada, jak to już uznała go za martwego, 24 z kolei relacjonuje swoje przygody. Gdy wiewiórka rzuciła się do wyjścia z dziupli, instynktownie uczeplił się jej futra i tym sposobem został przeniesiony na dużą odległość.

Książę 24 przebył zatem daleką drogę. W pewnym momencie wpadł na pomysł, że skoro wiewiórka przeniosła go w nieznane, może inna wiewiórka pomoże mu wrócić do swoich. Odtąd korzystał więc z wiewiórek jako środka transportu. Jedynym problemem była niemożność porozumiewania się z tymi gryzoniami, chociażby w celu wskazania im drogi albo zapytania, w którą stronę zmiierzają. To wyjaśnia jego spóźnienie.

Księżniczka 103 z kolei relacjonuje przebieg wypadków na miejscu: bitwę pod Bel-o-kan, atak komanda podpalaczek. A teraz oblężenie.

– *Jest zatem o czym pisać powieść* – zauważa książę 24, wyciąga swój feromon pamięci i zapisuje w nim kolejny rozdział.

– *Czy będzie można przeczytać twoją powieść?* – pyta 13.

– *Dopiero gdy zostanie ukończona* – odpowiada 24.

Oznajmia, że jeśli jego powieść spotka się z zainteresowaniem mrówek, dopisze jej dalszy ciąg. Ma już pomysł na tytuł: *Noc Palców*, a jeśli i ta przypadnie mrówkom do gustu, zamknie swoją trylogię tomem: *Rewolucja Palców*.

– *Dlaczego trylogia?* – pyta księżniczka 103.

24 wyjaśnia, że w swojej pierwszej powieści opíše spotkanie dwóch cywilizacji – mrówczej i palcowej, druga część opowie o ich konfrontacji, a ostatnia będzie dotyczyć historii współpracy obu gatunków.

– *„Spotkanie, konfrontacja, współpraca”* – wydaje mi się, że to trzy logiczne etapy zetknięcia się ze sobą dwóch różnych sposobów myślenia – dodaje książę 24.

Ma już jasny plan dotyczący sposobu, w jaki chce zredagować swoją historię. Zamierza oprzeć ją na trzech równoległych wątkach, które będą odzwierciedlać trzy różne punkty widzenia: mrówek, Palców i osobnika, który zna oba równoległe

światy – na przykład 103.

Księżniczce wydaje się to wszystko dość skomplikowane, lecz słucha uważnie, gdyż najwyraźniej od czasu pobytu na wyspie akacyjowej księżę 24 ma wielką ochotę spisać jakąś długą historię.

– *Trzy wątki zejdą się pod koniec powieści* – precyzuje uczenie młody księżę.

Pojawia się 14 ze zmierzwionymi czułkami. Odkryła sekretne przejście do miasta. Sądzi, że można by wysłać tam jeden z oddziałów.

– *Możemy ponownie zaryzykować atak z podziemia.*

Księżniczka 103 postanawia przyjrzeć się temu bliżej, księżę 24 także, chociażby w celu poszukiwania inspiracji do swojej powieści.

Setka mrówek rusza korytarzem prowadzącym do miasta. Idą ostrożnie.

144. REALIZACJA

Standy się rozwijały. Najbardziej widowiskowy był stand Francine z wirtualnym światem.

Infra-World był również najbardziej dochodową formą działalności. Za pośrednictwem sieci internetowej coraz więcej agencji reklamowych chciało z niego skorzystać, aby zbadać oddziaływanie swoich produktów do prania lub pieluch, mrożonek i lekarstw czy wreszcie nowych typów samochodów.

Innym sukcesem było „Centrum pytań” Davida. Od samego początku to zagłębienie wiedzy stało się jedną z najczęściej odwiedzanych stron internetowych. Ludzie wchodzili na nią zarówno po to, żeby się dowiedzieć, ile odcinków miał serial *Rewolwer i melonik*, jak i po to, żeby sprawdzić rozkład jazdy pociągów, poziom zanieczyszczenia powietrza w takim czy innym mieście albo najlepsze inwestycje giełdowe w danym momencie. Pytania osobiste trafiały się rzadko i David nie musiał korzystać z usług prywatnych detektywów.

Natomiast Léopold dostał zlecenie na willę wtopioną w zbocze i ponieważ nie mógł sam podróżować, wysyłał plany faksem po podaniu przez klienta numeru karty kredytowej.

Paul wymyślał nowe zapachy miodu, mieszając produkty pszczelarskie z liśćmi herbaty i różnych roślin znalezionych w kuchni lub ogrodzie szkolnym. Odkąd zmniejszył proporcje drożdży, jego miód pitny stał się prawdziwym nektarem.

Paul wyprodukował już jedną specjalną kadź miodu o smaku wanilii i karmelu, który cieszył się dużym powodzeniem. Studentka Akademii Sztuk Pięknych zaprojektowała mu wspaniałe etykiety, które czyniły jego produkt jeszcze bardziej szlachetnym:

Hydromel grand cru. Cuvée Révolution des fourmis. Appellation contrôlée.

Wszyscy się nim delectowali. Paul opowiadał małej grupie niezwykle zainteresowanych słuchaczy:

– Wiedziałem już wcześniej, że miód był napojem bogów olimpijskich i mrówek, które, poddając fermentacji spadź mszyc, uzyskują rodzaj odurzającego je alkoholu, ale to nie wszystko. W „Centrum pytań” Davida odkryłem jeszcze masę rzeczy na temat miodu pitnego. Szamani Majów robili sobie lewatywy, używając w tym celu płynu na bazie miodu pitnego i powoju trójbarwnego. Substancje halucynogenne przyswajane w ten sposób, nie powodując mdłości, wywoływały znacznie szybciej o wiele mocniejszy trans niż gdyby były przyjmowane doustnie.

– Jaki jest przepis na miód pitny? – zapytał jeden z amatorów.

– Mój przepis znalazłem w *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*.

Odczytał:

– *Zagotować sześć kilogramów miodu pszczelego, odparować, zalać piętnastoma litrami wody, dodać dwadzieścia pięć gramów sproszkowanego imbiru, piętnaście gramów kardamonu, piętnaście gramów cynamonu. Gotować do momentu, aż objętość płynu zmniejszy się o około jedną czwartą. Zdjąć z ognia i odstawić, aby przestygł. Następnie dodać dwie łyżki drożdży piwnych i odstawić całość na około dwanaście godzin. Potem przecedzić płyn, przelewając go do beczułki. Dobrze zamknąć i odstawić. Nasz miód pitny jest jeszcze, oczywiście, nieco młody. Trzeba będzie trochę poczekać, aby nabrał ciała.*

– A czy wiedziałeś, że Egipcjanie używali miodu do odkażania ran i leczenia oparzeń? – zapytała jedna z amazońek.

Ta informacja podsunęła Paulowi pomysł opracowania serii produktów parafarmaceutycznych oprócz serii produktów spożywczych.

Nieco dalej prezentowane były ubrania Narcisse’a. Uczestnicy rewolucji oglądali amazonki występujące w roli modelek, obserwował je także obiektyw kamery wideo, która przekazywała obrazy za pośrednictwem serwera do międzynarodowej sieci informatycznej.

Jedynie dwie skomplikowane maszyny Julie i Zoé uzyskiwały, przynajmniej na razie, dosyć kiepskie wyniki. Maszyna do rozmowy z mrówkami zabiła już około trzydziestu owadów – królików doświadczalnych. Natomiast protezy zapachowe Zoé tak bardzo raniły nozdrza, że nikt nie był w stanie wytrzymać w nich dłużej niż przez kilka sekund.

Julie wyszła na balkon przed gabinetem dyrektora, skąd podziwiała dziedziniec i swoją rewolucję. Sztandar powiewał, mrówczy totem stał, muzycy reggae grali w chmurze dymu z marihuany. Wszędzie dookoła standów pełno było ludzi.

– Mimo wszystko udało nam się stworzyć coś sympatycznego – powiedziała Zoé, która do niej dołączyła.

– Na poziomie zbiorowym z całą pewnością – potwierdziła Julie. – Teraz dobrze by było, gdyby nam się to udało na poziomie indywidualnym.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zastanawiam się, czy moja chęć zmiany świata nie potwierdza w gruncie rzeczy tego, że nie jestem w stanie zmienić samej siebie.

– A to coś nowego. Co ty, Julie! Myślę, że przesadzasz z tym paliwem neuronowym. Wszystko idzie dobrze, ciesz się.

Julie obróciła się do Zoé i popatrzyła jej w oczy.

– Przed chwilą przeczytałam pewien fragment *Encyklopedii*. Był dziwny. Nosił tytuł *Jestem tylko postacią* i mówił o tym, że człowiek jest być może sam na świecie i gra w filmie, który zrobiono wyłącznie dla niego. Gdy to przeczytałam, przyszła mi do głowy dziwna myśl. Pomyślałam: „A gdybym była jedyną żyjącą osobą. Gdybym była jedyną żywą istotą w całym kosmosie...”.

Zoé zaczęła z niepokojem patrzeć na koleżankę. Julie ciągnęła dalej:

– Gdyby wszystko, co mi się przydarza, było tylko jednym wielkim spektaklem, który grany jest wyłącznie dla mnie? Wszyscy ci ludzie, ty, byliby tylko aktorami i statystami. Przedmioty, domy, drzewa, przyroda, tworzą udaną dekorację, przygotowaną po to, aby mnie uspokoić i przekonać o istnieniu pewnej rzeczywistości. A może ja jestem czymś w rodzaju programu *Infra-World*. A może w powieści.

– Och, czego ty jeszcze nie wymyślisz!

– Czy nigdy nie zauważyłaś, że dookoła nas umierają ludzie, a my nadal żyjemy? Może ktoś nas obserwuje, bada nasze reakcje w określonych sytuacjach. Bada nasz

stopień wytrzymałości na pewne formy agresji. Bada nasze odruchy. Ta rewolucja, to życie jest tylko wielkim cyrkiem zbudowanym po to, żeby mnie przetestować. Ktoś w tym momencie być może obserwuje mnie z daleka, czyta książkę o moim życiu i mnie osądza.

– W takim razie korzystaj z tego. Wszystko na tym padole jest dla ciebie. Cały ten świat, ci aktorzy, ci statyści, jak mówisz, są tu po to, żeby cię zadowolić i dostosować się do twoich pragnień, twoich gestów i czynów. Martwią się. Ich przyszłość zależy od ciebie.

– Właśnie to mnie niepokoi. Obawiam się, że nie sprostim wymaganiom stawianym... mojej postaci.

Tym razem Zoé poczuła się niezręcznie. Julie położyła jej rękę na ramieniu.

– Przepraszam. Zapomnij o tym, co ci powiedziałam. Nie przejmujmy się tym.

Zaciągnęła przyjaciółkę do kuchni, otworzyła lodówkę i wlała wstążkę złocistego miodu pitnego do dwóch kubeczków. Potem, małymi łyżkami w świetle niedomkniętej lodówki, piły napój mrówek i bogów.

145. FEROMON ZOOLOGICZNY: LODÓWKA

Zaśliniająca się 10 notuje.

LODÓWKA: Palce nie mają wola socjalnego, a mimo to potrafią magazynować pożywienie przez dłuższy czas, nie doprowadzając do jego zepsucia.

Brak drugiego żołądka zastępują sobie maszyną o nazwie „lodówka”.

Jest to pudło, wewnątrz którego panuje chłód.

Wypełniają je po brzegi jedzeniem.

Im ważniejszy jest dany Palec, tym większą ma lodówkę.

146. W BEL-O-KAN

Zaskakuje je zapach węgla.

Cuchną spalone gałązki. Wokół leżą rozrzucone zwęglone ciała wojowniczek. Przerazający widok: są tutaj nawet jajeczka i larwy, które nie zostały ewakuowane na czas i spłonęły żywcem.

Wszystko zniszczone przez ogień. Brak najmniejszej oznaki życia. Czy to możliwe, żeby pożar pożarł wszystkie mieszkanki, a następnie całą armię, która przybyła go gasić?

Mrówki podążają strawionymi przez ogień korytarzami. Buchający żar był tak silny, że owady ginęły w jednej chwili, zaskoczone podczas wykonywania swoich obowiązków. Zamierały w pozycji, w której znajdowały się w momencie, gdy gorący podmuch unieruchamiał je na zawsze.

Rozsypują się w pył pod lada dotykiem.

Ogień. Mrówki nie są gotowe na przyjęcie ognia. 5 szepce:

– *Ogień jest zbyt niszczycielską bronią.*

Wszystkie rozumieją już, dlaczego ogień został wyklęty ze świata insektów. Niestety, są błędy, które każde pokolenie musi popełnić, chociażby w celu przypomnienia sobie, dlaczego powinno się ich unikać.

Księżniczka 103 wie już, że ogień jest bronią zbyt destrukcyjną. Intensywność płomieni była tak duża, że gdzieś na ścianach odbiły się cienie ofiar.

Księżniczka 103 przemierza miasto zamienione w cmentarzysko i z nostalgią odkrywa na nowo znane sobie zakątki. W grzybiarni same zwęglone rośliny. W stajniach spalone mszyce, leżące z nóżkami w górze. Mrówki-cysterny eksplodowały w swoich komnatach.

15 zjada kawałek zwłok mrówki-cysterny i stwierdza, że smakują wybornie. Odkryła właśnie smak karmelu. Nie mają jednak ani czasu, ani ochoty na zachwycanie się tym nowym produktem – ich miasto rodzinne przedstawia obraz nędzy i rozpacz.

103 pochyła czułki. Ogień jest bronią przegranego. Wykorzystała go, gdyż nie dawała sobie rady na polu bitwy. Oszukiwała.

Palce opętały ją i dlatego nie potrafiła znieść porażki, za to zdolna była zabić królową, zniszczyć jajeczka i całe swoje miasto!

I pomyśleć, że odbyła tę całą podróż, żeby ostrzec Bel-o-kan przed... podpaleniem przez Palce! Historia to jeden wielki paradoks.

Pokonują jeszcze zadymione korytarze. Im dłużej idą, tym bardziej się dziwią. Koło nakreślone na ścianie. Czy to możliwe, żeby belokanijki wynalazły sztukę? Sztukę minimalistyczną, z pewnością, polegającą jedynie na rysowaniu kółek, niemniej jednak sztukę.

Księżniczka 103 ma złe przeczucia. 10 i 24 wężą na wszystkie strony, obawiając się pułapki.

Wkraczają do zakazanego rewiru. Tam 103 ma nadzieję spotkać królową. Zauważa, że pniak sosny został ledwie muśnięty przez pożar. Droga wolna. Strażniczki strzegące dostępu zginęły od gorąca i toksycznych wyziewów.

Grupa mrówek zmierza w stronę królewskiej komnaty. Królowa Belo-kiu-kiuni rzeczywiście tam jest. Lecz w trzech częściach. Nie została ani spalona, ani uduszona. Ślady ciosów są świeże. Została zamordowana, i to niedawno. Wokół niej, na ścianach, widnieją koła nakreślone zuwaczką.

103 zbliża się do niej i maca czułki zwisające z oderwanej głowy. Nawet poćwiartowana mrówka potrafi jeszcze rozmawiać. Na czułkach martwej królowej zachowało się jedno zapachowe słowo.

„Deistki”.

147. ENCYKLOPEDIA

KAMERER: Pisarz Arthur Koestler postanowił pewnego dnia poświęcić książkę oszustwom naukowym. Pytał naukowców i ci zapewnili go, że najbardziej haniebnym z oszustw naukowych było niewątpliwie to, którego dopuścił się doktor Paul Kamerer.

Kamerer był austriackim biologiem, który dokonał swoich najważniejszych odkryć w latach 1922–1929. Elokwentny, uwodzicielski, pasjonat, głosił, że „każda istota żywa jest w stanie dostosować się do zmiany środowiska, w którym żyje, i przekazać nowo nabyte cechy swoim potomkom”. Teoria ta stała w całkowitej sprzeczności z teorią Darwina. A zatem, aby udowodnić zasadność swoich twierdzeń, doktor Kamerer przeprowadził spektakularne doświadczenie.

Brał jaja pętówki babienicy, która rozmnaża się na suchym lądzie, i umieszczał je w wodzie.

Płazy lęgnące się z tych jaj przystosowywały się do panujących warunków i posiadały cechy charakterystyczne dla ropuch wodnych. Miały na przykład czarne modzele godowe na pierwszym palcu przednich odnóży, które pozwalały samcom ropuchy wodnej przyczepiać się do samicy o śliskiej skórze, aby z nią kopulować w wodzie. To przystosowanie do środowiska wodnego było przekazywane

potomstwu, które od razu rodziło się z czarnym modzelem godowym na pierwszym palcu przednich odnóży. A zatem życie było w stanie zmienić program genetyczny tak, aby dostosować się do środowiska wodnego.

Kamerer bronił swojej teorii na świecie z pewnym powodzeniem. Jednak pewnego dnia uczeni i naukowcy uniwersyteccy postanowili „obiektywnie” zbadać jego doświadczenie. W sali amfiteatralnej zgromadził się tłum i wielu dziennikarzy. Doktor Kamerer liczył, że udowodni, iż nie jest szarlatanem.

W przeddzień doświadczenia w laboratorium wybuchł pożar i zginęły wszystkie jego ropuchy, z wyjątkiem jednej. Kamerer pokazał zatem ocaloną żabę i jej czarne modzele. Naukowcy obejrżeli zwierzę przez lupę i wybuchnęli śmiechem. Było wyraźnie widać, że czarne modzele na pierwszym palcu przednich odnóży zostały wywołane sztucznie, przez wstrzyknięcie tuszu pod skórę. Oszustwo wyszło na jaw. Na sali zapanowała ogólna wesołość.

W jednej sekundzie Kamerer stracił całą wiarygodność i wszelkie szanse na uznanie swoich prac. Odrzucony przez wszystkich, został wyklęty przez środowisko naukowe. Darwiniści wygrali, i to na długo. Teraz przyjmowano, że istoty żywe nie są zdolne do przystosowywania się do nowego środowiska.

Kamerer opuścił salę wśród gwizdów. Zrozpaczony ukrył się w lesie, gdzie popełnił samobójstwo strzałem w usta, niemniej jednak pozostawił po sobie lapidarny tekst, w którym po raz kolejny zapewniał o autentyczności swoich doświadczeń i oświadczał, że „woli umrzeć na łonie przyrody niż wśród ludzi”. Samobójstwo ostatecznie go zdyskredytowało.

Można by pomyśleć, że chodziło o najzwyklejsze oszustwo naukowe. Jednak przy okazji badań prowadzonych pod kątem swojej książki, *The Case of the Midwife Toad*, Arthur Koestler spotkał się z dawnym asystentem Kamerera, który wyznał mu, że to on był przyczyną tragedii. To właśnie on na rozkaz grupy uczonych darwinistów podłożył ogień w laboratorium i zamienił ostatnią zmutowaną ropuchę na inną, której wstrzyknął tusz.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

Maximilien przez cały dzień siedział beczynn timer. Kluczem wydłubał sobie nieco brudu, który dostał się pod paznokier.

Miał już dosyć czekania.

– Ciągler nic?

– Nic nowego, szefie!

Technika oblężenia była irytująca, gdyż miała to do siebie, że wszyscy się nudzili. Jeżeli ponosi się klęskę, przynajmniej coś się dzieje, a tu...

Choćby po to, aby zacząć myśleć o czymś innym, Maximilien chętnie wróciłby do lasu wysadzić tajemniczą piramidę, ale prefekt wyraźnie nakazał mu, aby od tej chwili zajmował się wyłącznie sprawą liceum.

Wracając do domu, komisarz był w złym humorze.

Zamknął się w gabinecie przed ekranem innego rodzaju. Szybko włączył się do rozgrywania nowej partii *Ewolucji*. Zaczął już nabierać wprawy i bardzo szybko udawało mu się rozwijać wirtualne cywilizacje. W niecały tysiąc lat doprowadził cywilizację typu chińskiego do odkrycia samochodu i lotnictwa. Jego cywilizacja chińska miała się dobrze, ale mimo to zrezygnował z gry.

– Posłuchaj mnie, Mac Yavel.

Oko komputera pojawiło się na ekranie, podczas gdy zintegrowany syntezytor głosu oznajmił przez głośniki:

– Odbiór doskonały.

– Dalej mam problemy z tym liceum – zaczął policjant.

Przekazał komputerowi ostatnie wiadomości o tym, co działo się w okolicy budynku szkoły, a Mac Yavel nie ograniczył się już do opisywania oblężeń z przeszłości. Doradził mu, aby szczerze odizolował liceum.

– Odetnij im wodę, prąd, telefon. Pozbaw ich komfortu, a bardzo szybko zaczną się śmiertelnie nudzić i będą myśleli tylko o jednym: jak najszybciej uciec z tego bagna.

Cholera, dlaczego sam wcześniej na to nie wpadł? Odcięcie wody, telefonu i prądu nie było zbrodnią ani nawet występkiem. Poza tym, to przecież Ministerstwo Edukacji Narodowej, a nie buntownicy płacili rachunki za korzystanie z sieci informatycznej, oświetlenie sal, palniki w kuchni i włączoną cały czas telewizję. Raz jeszcze musiał przyznać, że Mac Yavel miał głowę na karku.

– Cóż, stary, naprawdę jesteś dobrym doradcą.

Obiektyw kamery cyfrowej wbudowanej do komputera poprawił ostrość.

– Czy możesz pokazać mi zdjęcie ich przywódcy?

Zaskoczony tą prośbą Maximilien mimo wszystko pokazał Mac Yavelowi zdjęcie Julie Pinson opublikowane w lokalnej gazecie. Mac Yavel zapisał obraz w pamięci i porównał go z obrazkami w swoim archiwum.

– To samica, prawda? Jest piękna?

– To pytanie czy stwierdzenie? – zdziwił się policjant.

– Pytanie.

Maximilien przeanalizował zdjęcie, a potem oświadczył:

– Tak, jest piękna.

Wydawało się, że komputer dostosowuje swoje parametry tak, aby uzyskać najbardziej wyraźny obraz.

– A więc to jest piękno.

Policjant zorientował się, że coś nie gra. W syntetycznym głosie Mac Yavela nie było intonacji, jednak wyczuł w nim pewną troskę.

Zrozumiał. Komputer nie był w stanie zrozumieć pojęcia piękna. Miał jakieś mgliste wyobrażenie o poczuciu humoru, przede wszystkim oparte na paradoksie, ale nie był wyposażony w żadne kryterium pozwalające mu zrozumieć piękno.

– Z trudem rozumiem to pojęcie – wyznał Mac Yavel.

– Ja też – przyznał Maximilien. – Nieraz istoty, które wydawały nam się piękne w danym momencie, uznajemy nieco później za niewarte zainteresowania.

Powieka przykryła oko komputera.

– Piękno jest subiektywne. Z pewnością dlatego nie potrafię go postrzegać. Dla mnie wszystko jest zerojedynkowe. Coś nie może być w jednym momencie zerem, a potem jedynką. Pod tym względem jestem ograniczony.

Maximiliena zdziwiła ta uwaga w tonie żalu. Pomyślał, że komputery ostatniej generacji stawały się pełnoprawnymi partnerami rodzaju ludzkiego. Czy komputer był najcenniejszą zdobyczą człowieka?

149. DEISTKI

– *Deistki?*

Królowa nie żyje. W proggu pojawia się onieśmielona grupa belokanijek. A zatem nie wszystkie zginęły. Jedna z mrówek występuje z grupy i zbliża się do oddziału pod dowództwem 103. Księżniczka rozpoznaje ją. To 23.

A zatem udało się jej wyjść cało z pierwszej krucjaty przeciwko Palcom. 23. Wojowniczką tą jako jedną z pierwszych dołączyła do deistek. Obie mrówki nigdy specjalnie za sobą nie przepadały, lecz to spotkanie w rodzinnym gnieździe po tylu przygodach zbliża je do siebie.

23 od razu dostrzega, że 103 została obdarzona płcią i gratuluje jej tej metamorfozy. Sama także dobrze wygląda. Na jej żuwaczkach można zauważyć ślady przeźroczyściej krwi, lecz w stronę komanda emituje jedynie przyjazne feromony.

Księżniczka 103 jest czujna, lecz 23 oznajmia, że wszystko jest w porządku.

Oddają się trofalaksji.

23 opowiada swoją historię. Dotarłszy na kraniec świata bogów, 23 powróciła do Bel-o-kan, żeby głosić tam dobrą nowinę. Księżniczka 103 zauważa, że 23 nie używa określenia „Palce”, lecz „bogowie”.

Opowiada, że z początku miasto było zachwycone, że chociaż jedna z uczestniczek pierwszej krucjaty powróciła do domu cała i zdrowa. Przywitano ją z radością i, krok po kroku, 23 zaczęła im wyjawiać prawdę o istnieniu bogów. Stała na czele wyznawczyń religii deistycznej. Domagała się, by zmarłe nie były wyrzucane na śmietnik, lecz chowane w specjalnej komnacie zamienionej w cmentarz.

Ta innowacja wyjątkowo nie spodobała się nowej królowej Belo-kiu-kiuni, która zakazała kultu deistycznego na terenie miasta.

23 znalazła wówczas schronienie w jednej z najgłębszych dzielnic metropolii, a tam, otoczona grupką wiernych, kontynuowała swoją naukę. Religia przyjęła za swój symbol koło. Właśnie koło widzą bowiem mrówki, zanim zostaną rozgniecione przez Palce.

Księżniczka 103 kiwa głową.

To wyjaśnia te wszystkie znaki na korytarzach.

Mrówki zgromadzone u wejścia intonują pieśń:

Palce są naszymi bogami...

Księżniczka 103 i jej towarzyszki nie mogą wyjść ze zdziwienia. Ich zadaniem

było promowanie Palców, lecz ta 23 posunęła się znacznie dalej.

Książę 24 pyta, dlaczego miasto jest takie opustoszałe.

23 wyjaśnia, że nowa królowa Belo-kiu-kiuni zaczęła się niepokoić rozmiarami kultu deistycznego. Skazała je na banicję. Rozpoczęło się prawdziwe polowanie na deistki i wiele z nich zginęło w męczarniach.

Gdy pojawiła się armia 103 wraz z ogniem, 23 od razu dostrzegła szansę dla siebie. Popędziła w stronę królewskiej komnaty i zamordowała królową.

Ponieważ nie było nikogo, kto mógłby ją zastąpić, miasto weszło w fazę autodestrukcji, a wszystkie belokanijki po kolei zatrzymywały bicie swoich serc. Obecnie w spalonej stolicy znajdowały się już tylko one: deistki, mające za zadanie powitanie rewolucjonistek i zaproponowanie im stworzenia wspólnymi siłami nowej mrówczej społeczności opartej na uwielbieniu dla Palców.

Księżniczka 103 i książę 24 nie podzielają co prawda żarliwości proroka, lecz skoro miasto jest do ich dyspozycji – przystają na tę propozycję.

Księżniczka 103 nadaje mimo to feromon:

– *Biała tablica u wejścia do Bel-o-kan zapowiada niebezpieczeństwo.*

Być może to kwestia najbliższej przyszłości. Trzeba stąd czym prędzej uciekać.

Jej wiadomość spotyka się ze zrozumieniem.

W ciągu kilku godzin wszystkie mrówki wyruszają w drogę. Eksploratorki w roli zwiadowczyń mają za zadanie znalezienie nowego pnia, wokół którego można by wznieść nowe miasto. Ślimaki, oprócz koszy żarowych, transportują nieliczne jajeczka, larwy i grzyby ocalałe z pożaru.

Na szczęście w odległości niecałej godziny marszu zwiadowczynie odkrywają nowy pień, z dala od kataklizmu, który wydarzył się w pobliżu białej tablicy.

W pniaku robaki zdążyły już wydrążyć liczne korytarze, będzie więc można niezwłocznie urządzić w drewnie zakazany rewir i królewską komnatę. 5 ma już plan, jak w szybkim tempie wybudować wokół pnia nowe Bel-o-kan.

Mrówki pracują gorliwie.

103 sugeruje, żeby stworzyć ultranowoczesne miasto: z szerokimi arteriami, gdzie można by się poruszać, unikając korków. Uważa, że powinno się zainstalować wysoki komin, którym odprowadzany byłby dym z laboratorium ognia. Planuje również kanały doprowadzające wodę deszczową do stajni, grzybiarni i laboratoriów, chociażby w celu mycia używanych tam przedmiotów.

Wprawdzie nie składa jeszcze jajeczek, lecz ze względu na to, że jest jedyną płciową mrówką w Bel-o-kan, księżniczka 103 zostaje wyznaczona na królową rodzącego się miasta oraz na władczynię całej Federacji mrówek rudnic żyjących w okolicznych sześćdziesięciu czterech miastach.

Po raz pierwszy w historii miasto oddaje władzę księżniczce, która się nie rozmnaża. Aby temu zaradzić, powstaje koncepcja „otwartego miasta”. 103 uważa, że interesującym eksperymentem będzie przyjmowanie do gniazda przedstawicieli innych gatunków, które będą wzbogacać miasto własną kulturą.

Niełatwo jest jednak zaaklimatyzować się w takim *melting-pot*. Różne zespoły etniczne powoli zaludniają poszczególne dzielnice miasta. Czarne mrówki zajmują najgłębiej położone południowo-wschodnie piętra, żniwiarki wybierają wyższe poziomy, chcąc znaleźć się jak najbliżej zbiorów, tkaczki wprowadzają się do północnej części miasta.

Cała nowa stolica pracuje nad wynalazkami technicznymi. Tak jak to zwykle robią mrówki, czyli nielogicznie, testując wszystkie pomysły, jakie przychodzą im do głowy, a dopiero później analizując rezultaty. Inżynierki ognia wznoszą olbrzymie laboratorium w najgłębszych zakamarkach miasta. Tam spalają wszystko, co im wpadnie w nóżki, sprawdzając w ten sposób, w co zamienia się jaka materia i jakiego rodzaju wydziela dym.

Żeby zapobiec pożarowi, pomieszczenie zostaje wyłożone liśćmi niepalnego bluszczu.

Inżynierki specjalizujące się w mechanice zajmują obszerną komnatę, w której przeprowadzają doświadczenia z lewarem i kamieniami, łącząc czasami kilka dźwigni za pomocą włókien roślinnych.

Księżę 24 i 7 są za urządzeniem atelier na poziomach minus piętnaście, minus szesnaście i minus siedemnaście. Maluje się tam na liściach, rzeźbi w odchodach skarabeuszy i oczywiście graweruje pancerze.

Księżę 24 ma nadzieję, że uda się udowodnić, iż wykorzystując techniki Palców, można otrzymać przedmioty typowo myrmeczeńskie. Zależy mu na stworzeniu „mrówczej kultury”, a nawet kultury belokanijskiej. I trzeba przyznać, że na całej Ziemi nie istnieje nic, co by przypominało jego powieść czy też naiwne malowidła

7.

11 postanawia skomponować mrówczą muzykę. Prosi kilka owadów, by zaczęły

cykać, tworząc tym samym wielogłosowy chór. Otrzymana kakofonia jest mimo wszystko typowo mrówczą kompozycją. Zresztą 11 nie poddaje się i ma nadzieję zharmonizować wszystkie te dźwięki.

15 zajmuje się kuchnią, w której próbuje wszystkie odpady z laboratorium ognia. Zwęglone liście lub owady, które na jej gust mają dobry smak, zostają odłożone na prawo, pozostałe na lewo.

10 zakłada centrum badań nad zachowaniami Palców.

Praktyka palcowej technologii daje im olbrzymią przewagę nad resztą świata insektów. To tak, jakby udało im się zyskać tysiąc lat w ciągu jednego dnia. Mimo to jedna kwestia niepokoi 103: odkąd nie muszą się już ukrywać, deistki coraz żarliwiej afiszują się ze swoim wyznaniem w całym mieście. Wieczorem pierwszego dnia 23 i pozostałe wierne udają się z pielgrzymką w okolice białej tablicy i modlą się do wielkich bogów, którzy ustawili tam ten święty monument.

150. ENCYKLOPEDIA

UTOPIA HIPPODAMOS: W 494 roku przed Chrystusem armia Dariusza, króla Persów, zniszczyła i zrównała z ziemią Milet położony między Halikarnasem i Efezem. Mieszkańcy zwrócili się wówczas do architekta Hippodamosa, aby odbudował całe miasto. Była to jedyna tego rodzaju okazja w tamtej epoce. Wcześniej miasta były tylko osadami, które stopniowo, chaotycznie się powiększały. Na przykład Ateny składały się z płątaniny ulic, prawdziwego labiryntu powstającego bez żadnego planu ogólnego. Powierzenie komuś zbudowania w całości miasta średniej wielkości było równoznaczne z wręczeniem mu niezapisanej strony, na której mógł zaplanować sobie MIASTO IDEALNE.

Hippodamos postanowił wykorzystać tę okazję. Zaprojektował pierwsze miasto pomyślane w kategoriach geometrycznych.

Nie chciał wytyczać jedynie ulic i budować domów, będąc przekonany, że tworząc miasto na nowo, można także ukształtować od podstaw jego życie społeczne.

Wyobraził sobie miasto liczące dziesięć tysięcy mieszkańców, którzy podzieleni są na trzy klasy: rzemieślników, rolników, żołnierzy.

Hippodamos marzy o sztucznym mieście, pozbawionym wszelkich odniesień do

przyrody, w którego centrum znajduje się akropol, skąd rozchodzi się dwanaście promieni dzielących miasto jak tort na dwanaście porcji. Ulice nowego Miletu są proste, place okrągłe, a wszystkie domy takie same, aby sąsiedzi nie zazdrościli sobie nawzajem. Wszyscy mieszkańcy są równoprawnymi obywatelami. Tu nie ma niewolników.

Hippodamos nie chce także artystów. Artyści są, jego zdaniem, nieprzewidywalni i generują bałagan. Poeci, aktorzy i muzycy zostają wygnani z Miletu; do miasta nie mają również wstępu ubodzy, nieżonaci i leniwi.

Projekt Hippodamosa polega na uczynieniu Miletu miastem wyposażonym w doskonały system mechaniczny, który nigdy się nie zepsuje. Aby uniknąć wszelkich niedogodności, nie ma innowacji, oryginalności, żadnego ludzkiego kaprysu. Hippodamos wymyślił pojęcie „dostosowania”. Obywatel dobrze wpisujący się w porządek miasta, miasto dobrze wpisujące się w porządek państwa, które mogło wyłącznie dobrze wpisywać się w porządek kosmosu.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

151. WYSPA POŚRODKU OCEANU

W szóstym dniu okupacji liceum w Fontainebleau Maximilien zdecydował się pójść za radami Mac Yavela – odciął okupującym prąd i wodę.

Aby rozwiązać problem braku wody, Léopold kazał zbudować cysterny pozwalające gromadzić wody opadowe. Nauczył okupujących myć się piaskiem i ssać ziarna soli, aby zatrzymać wodę w organizmie i ograniczyć ich potrzeby.

Pozostawał najbardziej palący problem elektryczności. Cała ich działalność opierała się na światowej sieci informatycznej. Majsterkowicze poszli pogrzebać w pracowni elektronicznej, bogatej w różnego rodzaju materiały, która już wcześniej okazała się kopalnią złota. Odkryli tam światłoczułe płyty słoneczne. Dostarczyły one pewnej ilości energii elektrycznej, którą uzupełnili wiatrakami zbudowanymi pospiesznie przy użyciu desek wyrwanych z biur.

Na szczycie każdego tipi niczym margerytka rozkwitł wiatrak.

Ponieważ to nie wystarczało, David podłączył do dynamo kilka rowerów należących do klubu turystycznego – gdy nie było słońca ani wiatru, szukano kilku

sportowców, którzy dostarczali energii, pedałując.

Każdy problem zmuszał do uruchomienia wyobraźni i spajał jeszcze bardziej okupujących liceum.

Gdy Maximilien zorientował się, że dzięki liniom telefonicznym sieć informatyczna nadal funkcjonuje, zdecydował, że również je wyłączy. W epoce nowoczesnej należało prowadzić nowoczesne obłączenie.

Riposta była także nowoczesna. David nie musiał długo niepokoić się o swoje „Centrum pytań”, bo jedna z okupujących przyniosła w torebce specjalny telefon komórkowy o bardzo dobrych parametrach, o wystarczająco czystym przekazie dźwięku, aby można było podłączyć się bezpośrednio do satelitów telekomunikacyjnych.

Niemniej jednak zmuszeni byli do życia w całkowitej autarkii. Wewnątrz organizowano się, do oświetlenia używano lampionów i świec, aby oszczędzać energię kluczową dla funkcjonowania sieci informatycznej. Wieczorem dziedziniec skąpany był w romantycznym świetle malutkich, drżących na wietrze płomyczków.

Julie, Siedmiu Krasnoludków i amazonki biegali, motywując wszystkich, nosząc sprzęt, rozmawiając o pracach do wykonania. Liceum przekształcało się w prawdziwy obóz warowny.

Grupy amazoнок stawały się coraz bardziej zwarte, coraz szybsze i, szczerze mówiąc, coraz bardziej zmilitaryzowane. Tak jakby w naturalny sposób spełniały tę nieobsadzoną funkcję.

Julie wezwała swoich przyjaciół do sali prób. Wydawała się mocno przejęta:

– Chciałabym wam zadać jedno pytanie – oznajmiła na wstępie, zapalając kilka świec, które postawiła wysoko w załamaniach ściany.

– Słuchamy – zachęciła ją Francine, rozłożona na stosie koców.

Julie popatrzyła kolejno na Siedmiu Krasnoludków: Davida, Francine, Zoé, Léopolda, Paula, Narcisse’a, Ji-woonga... Zawahała się, spuściła oczy, potem spytała:

– Czy mnie lubicie?

Nastąpiła długa cisza, którą pierwsza przerwała Zoé ochryłym głosem:

– Oczywiście, jesteś naszą Królową Śnieżką, naszą „królową mrówek”.

– A więc w takim razie – powiedziała bardzo poważnie Julie – jeżeli staję się za

bardzo „królową”, jeżeli zaczynam brać się za bardzo na serio, nie wahajcie się, zróbcie to, co zrobiono z Juliuszem Cezarem, zamordujcie mnie.

Ledwie skończyła, rzuciła się na nią Francine. To był znak. Wszyscy chwycili ją za ramiona, za kostki. Zaczęli się tarzać w kocach. Zoé udawała, że bierze nóż i zatapia go w jej sercu. Wszyscy zaczęli ją łaskotać.

Miała tylko czas wyjąkać:

– Nie, mam łaskotki!

Śmiała się i miała ochotę, żeby przestali.

Mimo wszystko nie znosiła, żeby jej dotykać.

Walczyła, ale ręce przyjaciół wylaniające się spod koców przedłużały jej tortury. Nigdy w życiu tak się nie śmiała.

Brakowało jej powietrza. Czuła, że odpływa. To było dziwne. Śmiech stawał się niemal bolesny. Za ledwie skończyło się jedno łaskotanie, a już zaczynało się drugie. Jej ciało wysyłało sprzeczne sygnały.

Nagle zrozumiała, dlaczego nie znosi, kiedy się ją dotyka. Psychoterapeuta miał rację, przyczyny należało szukać we wczesnym dzieciństwie.

Zobaczyła się jako niemowlę. W czasie rodzinnych obiadów, gdy miała za ledwie szesnaście miesięcy, podawano ją sobie z rąk do rąk, jak przedmiot, korzystając z tego, że nie była w stanie się bronić. Całowano ją, łaskotano, zmuszano do tego, by mówiła dzień dobry, głaskano po policzkach i po głowie. Przypomniała sobie babcie o ciężkim oddechu i zbyt umalowanych wargach. Te usta zbliżały się do niej, a rodzice śmiali się porozumiewawczo.

Przypomniała sobie dziadka, który całował ją w usta. Być może z czułością, ale nie pytając jej o zdanie. Tak, to w tym momencie zaczęła nienawidzić tego, żeby ją dotykano. Jak tylko dowiedziała się, że zbliża się rodzinny obiad, biegła schować się pod stołem, gdzie cicho śpiewała. Broniła się przed rękami, które usiłowały ją stamtąd wyciągnąć. Miło jest siedzieć pod stołem. Zgadzała się wyjść dopiero, jak wszyscy sobie poszli, po to, aby uniknąć gehenny całowania na pożegnanie, ale nie dawano jej wyboru.

Nie, nigdy nie była wykorzystywana seksualnie, ale była wykorzystywana epidermicznie!

Zabawa skończyła się tak szybko, jak się zaczęła, i Siedmiu Krasnoludków zasiadło dookoła swojej Królowy Śnieżki. Przygładziła włosy.

– Chciałaś, żebyśmy cię zamordowali, więc dobrze, mamy to już za sobą – powiedział Narcisse.

– Lepiej ci? – spytała Francine.

– Dobrze mi to zrobiło, dziękuję wam. Nie wiecie nawet, jak dobrze. Nie wahajcie się mordować mnie częściej.

Gdy to mówiła, znowu zaczęli ją łaskotać i wydawało jej się, że umrze ze śmiechu. Ji-woong położył temu kres.

– Rozpocznijmy teraz sesję *pow-wow*.

Paul wlał miód pitny do kubeczka, każdy po kolei zamoczył w nim wargi. Pić razem. Następnie rozdał suche ciasteczka. Jeść razem.

Kiedy ich ręce połączyły się, aby utworzyć krąg, Julie poczuła ich wzrok, poczuła ich ciepło i poczuła, że jest bezpieczna.

„Jaki może być lepszy cel w życiu niż to, żeby przeżyć chwilę taką jak ta, kiedy wszyscy łączą się ze sobą bez żadnej ukrytej intencji – zastanawiała się. – Ale czy rzeczywiście trzeba zrobić rewolucję, aby do tego dojść?”

Potem rozmawiali o nowych warunkach życia narzuconych przez blokadę policyjną. Pojawiły się różne praktyczne rozwiązania. Zamiast osłabić rewolucję, ta presja zewnętrzna jeszcze bardziej zacieśniała ich więzy.

152. WIECZORNA POTYCZKA

W miarę rozwoju technologii w nowym Bel-o-kan religia również rozkwita. Deistki nie poprzestają już na rysowaniu wszędzie kółek, pozostawiają także na ścianach zapach swojej religii.

W drugim dniu panowania księżniczki 103 prorok 23 wygłasza kazanie, w którym deklaruje, że celem religii deistycznej jest nawrócenie na wiarę w bogów wszystkich mrówek świata i zamordowanie niewiernych.

Deistki wykazują coraz większą agresywność. Przestrzegają laików: jeśli będą nadal wzbraniać się przed wiarą w bogów, Palce zmiążdżą je, a gdyby nawet nie one, to deistki same się tym zajmą.

W nowym Bel-o-kan panuje dziwna atmosfera, powstała na skutek rozłamu między mrówkami „technologicznymi”, które żywią podziw dla tego, co Palcom udało się stworzyć dzięki opanowaniu ognia, lewara i koła, oraz, z drugiej strony,

mrówkami „mistycznymi”, które jedynie modlą się, a naśladowanie czynów Palców uważają za bluźnierstwo.

Księżniczka 103 jest przekonana, że konfliktu nie da się uniknąć. Deistki są zbyt nietolerancyjne i zbyt pewne siebie. Nie chcą się niczego uczyć, całą energię wkładają w nawracanie swojego otoczenia.

Podjeżdża się je już o kilka morderstw, lecz na razie wiadomość ta trzymana jest w tajemnicy, by nie sprowokować wojny domowej.

Dwanaście mrówek eksploratorek, księżę i księżniczka zgromadzili się w komnacie królewskiej. Księżę 24 jest pełen optymizmu. Wraca właśnie z laboratorium zachwycony dokonanymi postępami: inżynierki ognia potrafią już umieszczać żar na podłożu z ziemi, w lekkich koszach ze splecionych liści. Pozwala to przenosić bezpiecznie ogień z miejsca na miejsce, by ogrzać lub oświetlić dany teren. 5 przypomina, że deistki za nic mają odkrycia naukowe. Niepokoi to młodą eksploratorkę: w świecie religii nie istnieje potrzeba udowadniania czegokolwiek. Gdy inżynier twierdzi, że ogień pozwala utwardzać drewno, lecz nie uda mu się przeprowadzić doświadczenia, nikt nie będzie mu wierzył. Jeśli natomiast mistyczka zapewnia, że „wszechmogące Palce są stwórcami mrówek”, trudno jest wykazać, że nie mówi prawdy.

Księżniczka 103 szepce:

– *Religia jest być może, mimo wszystko, jednym z etapów ewolucji cywilizacji.*

5 uważa, że powinno się wykorzystać to, co Palce mają ciekawego do zaoferowania, a odrzucić to, co w nich złe – na przykład właśnie religię. Ale jak oddzielić jedno od drugiego? 103, 24 i grupa dwunastu eksploratorek zastanawiają się nad tym. Jeśli już w drugim dniu istnienia ich nowego państwa doszło do dwóch starć z deistkami, kłopoty będą tylko narastać. Trzeba je jak najszybciej powstrzymać.

– *Zabić je?*

Nie, nie mogą zabijać swoich sióstr tylko dlatego, że biorą Palce za bogów.

– *Wygnać je?*

Być może rzeczywiście lepiej by było, gdyby założyły własne państwo, na niższym poziomie rozwoju, mistyczne i nietolerancyjne, z dala od mrowiska Bel-okan, które z kolei będzie dążyć do jak najwyższego stopnia modernizacji.

Nie mają jednak czasu na dalsze rozważania. Od strony murów miasta

dochodzi je głucho dudnienie.

Alarm.

Mrówki biegają we wszystkich kierunkach. Przekazują sobie zapachy ostrzegawcze.

– *Atakują nas karłowate!*

Trwają przygotowania do odparcia nieprzyjaciela.

Oddziały karłowatych nadchodzą od strony północy i jest już zbyt późno, by zasypać je kamieniami przy użyciu lewarów. Nie da się także użyć ognia.

Armia karłowatych naszpikowana jest czułkami, oczami i żuwaczkami. Emitują spokojne i świadczące o determinacji zapachy. Sam widok dymiącego mrowiska, które mimo wszystko się nie pali, jest wystarczająco szokujący, by usprawiedliwić rzeź. 103 powinna była się domyślić, że wykorzystywanie tylu nowych technik musi wzbudzić niepokój, zazdrość i strach.

Księżniczka wspina się na szczyt kopuły, starając się nie zbliżyć za bardzo do buchającego dymem głównego komina, i przygląda się nadciągającej armii.

Daje znak 5, że można już wyprowadzić legiony artylerii i próbować przy ich pomocy zatrzymać nieprzyjaciela. Księżniczka 103 ma już dość widoku śmierci. Podobno niechęć do agresji świadczy o starzeniu się, lecz ona nic nie może na to poradzić. Jej paradoksalna sytuacja polega na tym, że jej umysł postarzał się, ciało tymczasem jest młode. Kopuła drży od uderzeń odwłoków, którymi robotnice ogłaszają drugą fazę alarmu.

Miasto się boi. Armia nieprzyjacielska rośnie z każdą chwilą. Nadchodzą posiłki z sąsiednich mrowisk, zdecydowane poskromić aroganckie mrówki rudnice. Co gorsza, szeregi wroga zasilają rude mrówki z ich własnej Federacji. Od jakiegoś czasu musiały się zastanawiać, co knuje się w nowym Bel-o-kan.

Księżniczka 103 przypomina sobie pewien film dokumentalny na temat Palca o imieniu Jonathan Swift. Człowiek ten twierdził, że „nowy talent można poznać po tym, że wokół niego gromadzi się banda spiskujących przeciwko niemu imbecyli”.

Ta banda imbecyli stoi właśnie przed nimi. Tyle bezmyślnych istot skłonnych poświęcić życie po to, by świat nie posuwał się naprzód, by jutro było takie samo jak dzień wczorajszy. Księżę 24 przychodzi przytulić się do księżniczki. Boi się i potrzebuje pocieszenia.

Pochyla czułki.

– *Tym razem to koniec. Są zbyt liczne.*

Pierwsze szeregi artylerzystek neobelokanijskich przygotowują się do obrony stolicy. Z wypiętym odwołaniem czekają – gotowe do strzału. Naprzeciw nich nieprzyjacielska armia szybko rośnie. Liczy już miliony.

103 żałuje, że nie zadbała wcześniej o stosunki z sąsiednimi miastami. W końcu na samym początku nowe Bel-o-kan przygarnęło wiele obcych stworzeń. Mimo to nie zauważyła – zajęta nowinkami technologicznymi – że pozostałe miasta przeżywają kryzys.

5 przychodzi obwieścić złą nowinę. Deistki odmawiają udziału w walce. Uważają, że to zbędne, gdyż bogowie i tak sami zdecydują o jej wyniku. Mają zamiar się modlić.

Czy to śmiertelny cios? Tymczasem nieprzyjacielska kolumna jest coraz bliżej.

Inżynierowie ognia, lewara i koła naradzają się. Księżniczka prosi, by złączyły czułki. Trzeba wspólnymi siłami wynaleźć broń, która wyciągnie je z opresji.

Księżniczka 103 przywołuje w swoim umyśle wszystkie wspomnienia dotyczące wojen Palców. Przy użyciu tego, co już posiadają, czyli ognia, lewara i koła, muszą wymyślić coś nowego. Trzy pojęcia krążą w owadzych umysłach i mieszają się. Jeśli szybko coś im nie przyjdzie do głowy, czeka je śmierć.

153. ENCYKLOPEDIA

TAK NARODZIŁA SIĘ ŚMIERĆ: Śmierć pojawiła się dokładnie siedemset milionów lat temu. Do tego momentu w okresie poprzednich czterech miliardów lat jedyną formę życia stanowiły organizmy jednokomórkowe. Były one nieśmiertelne, ponieważ mogły się odtwarzać w identycznej formie w nieskończoność. W obecnych czasach odnajdujemy jeszcze ślady tych nieśmiertelnych systemów jednokomórkowych w rafach koralowych.

Jednak pewnego dnia dwie komórki spotkały się, zaczęły ze sobą rozmawiać i zdecydowały, że będą funkcjonować razem, uzupełniając się. Wówczas pojawiły się wielokomórkowe formy życia. Równocześnie pojawiła się także śmierć. Na czym polega związek między tymi dwoma zjawiskami?

Kiedy dwie komórki chcą się połączyć, muszą się ze sobą porozumiewać, a to

porozumienie prowadzi do podziału zadań po to, aby działały skuteczniej. Decydują na przykład, że nie ma sensu, aby obie zajmowały się trawieniem pożywienia, jedna z nich będzie trawić, a druga szukać pożywienia.

Następnie, im większe były zgrupowania komórek, tym dalej posuwała się specjalizacja. Im dalej posuwała się specjalizacja, tym każda komórka stawała się delikatniejsza, a ponieważ ta delikatność jeszcze się pogłębiała, komórka wreszcie utraciła swoją pierwotną nieśmiertelność.

Tak narodziła się śmierć. Obecnie świat zwierząt składa się z wielkich zespołów ściśle wyspecjalizowanych komórek, które nieustannie się ze sobą porozumiewają. Komórki naszych oczu bardzo różnią się od komórek naszej wątroby i te pierwsze pospiesznie sygnalizują, że widzą ciepłe danie, aby te drugie mogły natychmiast przystąpić do produkcji żółci, znacznie wcześniej, zanim potrawy trafią do ust. W ludzkim ciele wszystko jest wyspecjalizowane, wszystko się porozumiewa i wszystko jest śmiertelne.

Konieczność śmierci można wyjaśnić z innego punktu widzenia. Śmierć jest niezbędna dla zapewnienia równowagi między gatunkami. Gdyby dany gatunek wielokomórkowy był nieśmiertelny, wyspecjalizowałby się do tego stopnia, że rozwiązałby wszystkie problemy i stałby się tak bardzo skuteczny, że zagrażałby ciągłości wszystkich innych form życia.

Komórka wątroby dotknięta rakiem produkuje cały czas kawałki wątroby, nie zważając na inne komórki, które mówią jej, że nie jest to już konieczne. Ambicją komórki rakowej jest odzyskanie dawnej nieśmiertelności i dlatego zabija cały organizm, trochę jak ludzie, którzy stale mówią do siebie i nie słuchają, co mówi się dookoła nich. Komórka rakowa jest komórką autystyczną i dlatego jest niebezpieczna. Bez przerwy się reprodukuje, nie zważając na inne i, w szalonym pędzie do nieśmiertelności, w końcu zabija wszystko dookoła.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

154. MAXIMILIEN BADA

Maximilien wrócił do domu, trzaskając drzwiami.

– Co się stało kochanie? Wyglądasz na zdenerwowanego – zauważyła Scynthia.

Popatrzył na nią i próbował sobie przypomnieć, co mu się podobało w tej kobiecie.

Powstrzymał się, żeby nie odpowiedzieć jej czegoś złośliwie, i ograniczył się do uśmiechu, szybko zмирzając do gabinetu.

Rano ustawił tutaj akwarium z rybkami i powierzył Mac Yavelowi zarządzanie wodnym światem. Komputer nieźle dawał sobie z tym radę. Kontrolując elektroniczny dozownik żywności, temperaturę i kran doprowadzający wodę, udawało mu się znakomicie czuwać nad równowagą ekologiczną tego sztucznego środowiska. Mac Yavel w naturalny sposób wymyślił hodowlę rybek wspomagana komputerowo i rybki najwyraźniej były tym zachwycone.

Policjant włączył *Ewolucję*. Powołał do życia mały naród wyspiarzy w stylu angielskim i sprawił, że rozwinął on zaawansowaną technologię jedynie z tego względu, że był odizolowany i pozostawał na uboczu bitew toczonych przez sąsiednie cywilizacje. Następnie wyposażył go w nowoczesną flotę, żeby mały naród mógł zakładać faktorie handlowe na całym świecie. Uzyskał dobre wyniki, ale ponieważ Japonia przyjęła tę samą strategię, doprowadziła do bezpardonowej wojny i ostatecznie w 2720 roku Japończycy pobili Anglików dzięki lepszym satelitom.

– Mogłeś wygrać – zauważył trzeźwo Mac Yavel.

Maximilien zirytował się:

– To co byś zrobił, skoro jesteś taki sprytny?

– Zapewniłbym lepszą spójność społeczną, wprowadzając na przykład prawo kobiet do głosowania. Ponieważ Japończycy o tym nie pomyśleli, w twoich miastach byłaby lepsza atmosfera, panowałby lepszy nastrój, inżynierowie wojskowi byłiby zatem bardziej kreatywni, a więc lepsza byłaby broń i większa motywacja. To by wystarczyło, aby zapewnić ci przewagę.

– Można zgubić się w szczegółach...

Maximilien przeanalizował mapy i pola bitewne, potem zakończył grę i siedział dalej na krześle z pustym wzrokiem utkwionym w ekran. Oko Mac Yavela powiększyło się i zamrugało powieką, aby przyciągnąć jego uwagę.

– Cóż to, Maximilienie, cały czas martwisz się rewolucją mrówek?

– Tak, czy możesz jeszcze mi pomóc?

– Oczywiście.

Mac Yavel wyłączył oko i uruchomił swój modem autoprogramowania, aby podłączyć się do sieci. Skorzystał z kilku autostrad, dotarł do dróg, a następnie do ścieżek bitów, które wydawały mu się znane. Wkrótce pojawił się napis:

„Serwer spółki z ograniczoną odpowiedzialnością «Rewolucja mrówek»”.

Maximilien pochylił się nad ekranem. Mac Yavel znalazł coś bardzo interesującego.

„A więc w ten sposób nadal eksportują swoją kiepską rewolucję. Udało im się skorzystać z satelitarnego połączenia telefonicznego i ich informacje bez problemu krążą w sieci” – zrozumiał policjant.

Z menu serwera wynikało, że spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek” miała następujące filie:

- „Centrum pytań”;
- Wirtualny świat *Infra-World*;
- Kolekcja ubrań „Motyl”;
- Biuro architektoniczne „Mrowisko”;
- Seria ekologicznych produktów żywnościowych „Miód pitny – Hydromel”.

Poza tym były fora, gdzie każdy mógł dyskutować o tematach i celach rewolucji mrówek. Inne, gdzie można było proponować nowe społeczeństwa oparte na nowych koncepcjach.

Komputer stwierdził, że około dziesięciu liceów z całego świata było połączonych z Fontainebleau i odtwarzało, lepiej lub gorzej to, co tam się działo.

Mac Yavel trafił na złotą żyłę.

Maximilien inaczej spojrział na swój komputer. Pierwszy raz w życiu poczuł, że wyprzedziła go nie tylko nowa generacja, ale także maszyna. Mac Yavel otworzył mu okno na twierdzę rewolucji mrówek. Do niego należało to, aby dobrze je wykorzystać: zorientować się, co jest w środku, i znaleźć wyłom.

Mac Yavel podłączył się do kilku linii telefonicznych i za pośrednictwem „Centrum pytań” wyświetlił na ekranie infrastrukturę spółki z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek”. To naprawdę był szczyt: ci rewolucjoniści byli tak naiwni lub tak pewni siebie, że sami dostarczali informacji na temat swojej organizacji.

Mac Yavel wyświetlał kolejne pliki i Maximilien wszystko rozumiał. Wykorzystując sieć informatyczną i najnowocześniejsze techniki, ci smarkacze

właśnie przeprowadzali niespotykaną w swoim rodzaju rewolucję.

Maximilienowi zawsze wydawało się na przykład, że aby dokonać rewolucji dzisiaj, należało przede wszystkim dysponować poparciem mediów, a zwłaszcza telewizji. Natomiast okupującym liceum udało się osiągnąć cele bez pomocy telewizji ogólnokrajowych czy nawet lokalnych. Celem telewizji było przekazywanie bezosobowego, ubogiego w informację przesłania ogromnej masie ludzi, których ono w większym lub mniejszym stopniu dotyczyło. Tymczasem buntownikom z Fontainebleau udawało się, dzięki sieciom informatycznym, zindywidualizować przekaz i wzbogacić go o informacje skierowane do małej grupy ludzi, których dotyczył w bardzo dużym stopniu, a zatem bardzo otwartych.

Źrenice komisarza rozszerzyły się. Nie tylko telewizja i klasyczne media nie były już wystarczająco zaawansowane, aby zmieniać świat, ale wręcz przeciwnie, nabrały opóźnienia w stosunku do innych bardziej dyskretnych i skutecznych narzędzi. Jedynie sieci informatyczne pozwalały zbudować solidne, interaktywne więzi między ludźmi.

Druga niespodzianka. W dziedzinie ekonomii. Patrząc na ich księgowość, zrozumiał, że spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Rewolucja mrówek” przynosiła zyski. Nie składała się jednak z wielkich koncernów, a jedynie z dużej liczby maleńkich filii.

W ostatecznym rozrachunku okazywało się to znacznie bardziej rentowne niż jeden ogromny koncern, z reguły zaskorupiały w swojej własnej strukturze hierarchicznej. Ponadto w tych maleńkich przedsiębiorstwach wszyscy się ze sobą znali i wiedzieli, że mogą na siebie liczyć. Nie było tu miejsca na zbędną administrację czy potentatów biurowych.

Zapoznając się z siecią, Maximilien odkrył, że spółka ta podzielona na spółki „mrówki” miała jeszcze jedną zaletę: zmniejszało się ryzyko upadłości. Jeżeli któraś filia okazywała się deficytowa lub mniej rentowna, znikła i natychmiast zastępowała ją inna. Złe pomysły były szybko testowane i w naturalny sposób eliminowane. Nie groziły im wielkie zyski, ale nie groziły im także wielkie straty. Natomiast wspólnie wszystkie te małe filie, które z trudem osiągały zysk, dochodziły, ziarnko do ziarnka, do niezłej kasy.

Policjant zaczął się zastanawiać nad tym, czy podstawą dla tej organizacji była jakaś teoria ekonomiczna czy też właściwe dla rewolucji uwarunkowania skłoniły

tych młodych i niedoświadczonych ludzi do tego, aby ją wymyślić. Funkcjonując bez zapasów towarów i opierając się wyłącznie na własnych szarych komórkach, podejmowali w gruncie rzeczy ograniczone ryzyko.

Być może na tym właśnie polegało przesłanie rewolucji mrówek: spółki-dinozaury straciły swoje znaczenie, przyszłość należała do spółek-mrówek.

Póki co należało położyć kres beczelnemu sukcesowi tej bandy smarkaczy, zanim nie przerodzi się on w twardą rzeczywistość ekonomiczną.

Maximilien podniósł słuchawkę i zadzwonił do Gonzague'a Dupeyrona, szefa Czarnych Szczurów.

Mały deszczyk uśmierza wielkie wiatry.

155. BITWA LAMPIONÓW

Pierwszy atak olbrzymiej armii karłowatych z Shi-gae-pou jest katastrofalny w skutkach dla neobelokanijek. Po dwóch godzinach zaciętej walki ich obrona słabnie i daje się roznieść na kawałki przez wojska koalicji. Zadowolone z obrotu sprawy napastniczki postanawiają rozbić obóz na noc i przystąpić do ostatecznego natarcia dopiero następnego ranka.

Podczas gdy do miasta wnoszone są ranne i konające wojowniczkki, księżniczka 103 nareszcie wpada na pomysł. Zwołuje pozostałe zdolne do walki mrówki i pokazuje im, w jaki sposób skonstruować lampion. Nie mogąc wykorzystać ognia do walki, posłuży on jako oświetlenie. Aktualnie ich przeciwnikiem nie są tysiące karłowatych mrówek, lecz noc. Tymczasem ogień zwycięża z nocą.

Okolo północy można już zobaczyć niesamowity spektakl: tysiące światełek u bram nowego Bel-o-kan. Rude wojowniczkki niosą na grzbietach lampiony wykonane z liści topoli, tymczasem ich przeciwniczki śpią.

Mimo że obóz karłowatych przypomina wielki czarny owoc, w rzeczywistości jest to żyjące miasto. Ściany i korytarze są wykonane ze splątanych ciał owadów, pogrążonych w pokrępiającym śnie.

Księżniczka 103 daje swoim wojowniczkom sygnał, że mogą wkroczyć do obozu. Ona także wdziera się na teren śpiącego obozowiska. Na szczęście noc jest dość zimna i nieprzyjaciel został całkowicie znieczulony.

Jakie to dziwne uczucie poruszać się wśród ścian, podłóg i sufitów

zbudowanych z nieprzyjaciela, który tylko czyha, żeby was pociąć na kawałki!

„Naszym jedynym prawdziwym nieprzyjacielem jest strach” – powtarza sobie w kółko. Na szczęście noc jest ich sprzymierzeńcem, karłowate będą spać jeszcze przez kilka godzin.

5 uważa, że nie powinno się pozostawać zbyt długo w jednym miejscu, gdyż światło lampionów może obudzić „ściany” i trzeba będzie się bić. Żeby uniknąć starcia, wojowniczkami neobelokanijki działają szybko. Podcinają żuwaczkami gardła nieruchomych przeciwniczek.

Trzeba unikać zbyt głębokich nacięć, gdyż czasami rząd zdekapitowanych głów spada, przygniatając rudnice. Trzeba podcinać gardła do połowy. Nocna bitwa jest czymś tak całkowicie nowym dla mrówek, że muszą improwizować i na każdym kroku tworzyć nowe zasady.

Nie wchodzić za daleko w głąb miasta.

Pozbawione powietrza lampiony gasną. Trzeba najpierw unicestwić mrówki tworzące ściany zewnętrzne, usuwać je z drogi warstwa po warstwie: tak, jak się obiera cebulę.

Księżniczka 103 i jej towarzyszki mordują bez wytchnienia. Ciepło i światło bijące od lampionów są dla nich niczym narkotykiem, który nasila żądzę zabijania. Czasami całe połączenie murów budzą się, muszą wtedy walczyć zażarcie.

Księżniczka 103 nie wie, co myśleć o tej rzezi.

„Czy to jedyna droga w stronę postępu?” – zastanawia się.

Bardziej wrażliwy książę 24 woli się wycofać. Samce są zawsze bardziej delikatne, to znana rzecz.

103 prosi go, żeby poczekał na zewnątrz i się nie oddalał.

Mrówki rudnice są wyczerpane ciągłym zabijaniem. Dziwnie się czują, mordując nieruchomego nieprzyjaciela. O ile są przyzwyczajone do walki w pojedynkach, o tyle eksterminacja w takich warunkach wywołuje u nich skrupuły.

Czują się jak żniwiarki. Zapach kwasu oleinowego wydzielanego przez zwłoki zaczyna być nie do zniesienia. Neobelokanijki są często zmuszone opuścić obóz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza przed zaatakowaniem kolejnej warstwy.

Księżniczka 103 popędza je, gdyż mają do dyspozycji tylko tę noc.

Żuwaczki zanurzają się w chitynowych stawach, aż pojawia się przeźroczysta

kw. W żywych korytarzach jest jej tyle, że czasami gasi lampiony. Pozbawione ognia, neobelokanijski zasypiają pośród zwartej masy wroga.

Księżniczka 103 nie przerywa mordowania, lecz przez cały czas w jej głowie kłębią się tysiące pomysłów.

„Zachowanie Palców jest najwyraźniej zaraźliwe, zmusza mrówki do tak strasznego pogromu!”

Zdaje sobie jednak sprawę, że wszystkie nieprzyjacielskie wojowniczkę, które nie zostaną zabite tej nocy, rzucą się na ich mrowisko następnego ranka.

Nie ma zatem wyboru. Wojna popędza Historię. Niezależnie od tego, czy to dobrze, czy źle.

Żuwaczki 5 cierpną od ciągłego zabijania. Zatrzymuje się na chwilę, zjada jedną ze swoich ofiar, i powraca do znużonej czynności.

Przy pierwszych promieniach słońca wojowniczkę neobelokanijskie są zmuszone przerwać rzeź. Trzeba powrócić do mrowiska, zanim nieprzyjaciel się obudzi. Szybko wymykają się pomiędzy ścian, sufitów i podłóg, które zaczynają już ziewać.

Wykończone i ociekające krwią rude wojowniczkę wracają do zaniepokojonego miasta.

Księżniczka 103 wraca na swoje stanowisko na szczycie kopuły, żeby przyglądać się reakcji budzącego się nieprzyjaciela. Nie musi długo czekać. W miarę jak słońce wznosi się w górę po niebie, żyjące ruiny rozpadają się. Karłowate nie mogą pojąć, co im się przydarzyło. Zasnęły, a rano znalazły większość swoich towarzyszek bez życia.

Ocalałe ruszają bezzwłocznie w drogę powrotną do swojego gniazda, a kilka minut później przedstawicielki zbuntowanych miast należących do Federacji przychodzą, zapewniając o swoim posłuszeństwie i oddaniu.

Wkrótce kilkumilionowa armia staje u bram miasta, prosząc o przyjęcie do Federacji neobelokanijskiej.

Księżniczka 103 i księżę 24 przyjmują nowo przybyłe i oprowadzają je po laboratoriach ognia, lewara i koła, nie wspominają jednak nic o lampionach. Nigdy nic nie wiadomo. Sekretne broń może okazać się jeszcze kiedyś przydatna.

23 także cieszy się z powiększającej się liczby wiernych. Ponieważ nikt oprócz wojowniczek, które wzięły udział w nocnej eskapadzie, nie wie, w jaki sposób

odniesiono zwycięstwo, 23 ogłasza wszem i wobec, że to wszystko dzięki Palcom, które wysłuchały ich modlitwy.

Twierdzi, że księżniczka 103 w żaden sposób nie przyczyniła się do tego sukcesu i że jedynie prawdziwa wiara ma moc.

– *Palce ocaliły nas, ponieważ nas kochają* – nadaje sentencjonalnie, nie wiedząc sama, co to słowo oznacza.

156. ENCYKLOPEDIA

ZASZYWAJĄCA SZCZURZE ZADY: Pod koniec dziewiętnastego wieku w Bretanii wytwórnie sardynek konserwowych były pełne szczurów. Nikt nie wiedział, jak pozbyć się tych zwierząt. Nie można było wpuścić tam kotów, które wolałyby jeść nieruchome sardynki niż uciekające gryzonie. Wtedy ktoś wpadł na pomysł zaszywania zadów żywych szczurów przy użyciu grubego końskiego włosia. Ponieważ szczur nie był w stanie normalnie wydalać pożywienia, jadł nadal, szalejąc z bólu i wściekłości. Zamieniał się wówczas w zwierzę półdrapieżne, siejąc przerażenie wśród swoich pobratymców, których ranił i zmuszał do ucieczki. Robotnica, która zgadzała się wykonywać tę niewdzięczną pracę, cieszyła się względami dyrekcji, otrzymywała podwyżkę i awans na stanowisko brygadzistki. Ale dla pozostałych robotnic z wytwórni sardynek „zaszywająca szczurze zady” była zdrajczynią. Tak długo bowiem, jak jedna z nich zgadzała się zaszywać szczurze zady, ta odrażająca praktyka dalej była stosowana.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

157. DO GŁĘBI PRZEJĘTA JULIE

W zgromadzeniu prawej półkuli mózgu rewolucji mrówek rodziło się tak wiele pomysłów, że jego lewa półkula z trudem nadążała z ich realizacją. W siódmym dniu spółka mogła się pochwalić, że jest jedną z najbardziej zdywersyfikowanych firm na świecie.

Oszczędzanie energii, recykling, gadzety elektroniczne, gry informatyczne,

koncepcje artystyczne... komórki nerwowe tryskały pomysłami, a poza zagorzałymi internautami nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że odbywała się nowego rodzaju minirewolucja kulturalna.

Nauczyciel ekonomii, którego wciągnęła ta gra, spędzał całe dni na zarządzaniu księgowością na małym ekranie, obywając się bez biura, sklepu, zewnętrznej witryny. Zajmował się podatkami, dokumentami administracyjnymi, zastrzeganiem znaków firmowych.

Liceum naprawdę przekształciło się w mrowisko, a okupujący utworzyli jednostki produkcyjne, z których każda zajmowała się konkretnym projektem. Zabawa się skończyła, trzeba przecież było wywiązać się z obowiązków zawodowych.

W światowej sieci informatycznej informatycy rewolucji zarządzali ogromnymi ogólnoswiatowymi forami.

Francine utrzymywała swój *Infra-World*, poświęcając mu tyle uwagi, ile mistrz japoński hodowli bonsai. Nie ingerowała w życie jego mieszkańców, ale starała się wychwycić najmniejsze zachwianie równowagi biologicznej i natychmiast ją przywracała. Zdała sobie sprawę z tego, że konieczna jest dywersyfikacja gatunków. Jak tylko dane zwierzę zaczynało się nadmiernie reprodukować, natychmiast wymyślała drapieżnika. To był jedyny sposób jej działania: dodać życie. W ten sposób na przykład wymyśliła dzikiego kota miejskiego, który niwelował nadmierną liczbę gołębi.

Potem musiała wymyślić drapieżnika dla drapieżnika, stworzyła więc pełne cykle biologiczne i doszła do wniosku, że im bardziej łańcuch ekologiczny jest zdywersyfikowany, tym bardziej jest harmonijny i solidny.

Narcisse nadal doskonalił swój styl i zaczynał być znany na całym świecie, mimo że uczestniczył jedynie w wirtualnych pokazach mody.

Filią, która działała najlepiej, było „Centrum pytań” Davida. Pojawiało się tyle pytań wymagających odpowiedzi, że linie były bezustannie przeciążone. David musiał powierzyć część swojego projektu firmom zewnętrznym, którym zresztą znacznie łatwiej było zatrudnić detektywów i filozofów, gdy zaszła taka potrzeba.

W pracowni biologicznej Ji-woong bawił się destylowaniem czegoś w rodzaju koniaku na bazie miodu pitnego Paula. W migoczącym świetle dziesiątków świec ustawił wszystko, co niezbędne w pracy nielegalnego bimbrownika: retorty,

alembiki, rurki do filtrowania i sporządzania koncentratu alkoholu. Koreańczyk był skąpany w cukrowych oparach.

Dołączyła do niego Julie. Obejrzała sprzęt, chwyciła menzurkę z próbką i jednym haustem wychyliła jej zawartość ku wielkiemu zaskoczeniu chłopca.

– Pierwsza tego próbujesz. Smakuje ci?

Nie odpowiadając, chwyciła trzy inne wypełnione po brzegi menzurki i wychyliła bursztynowy napój z równą łapczywością.

– Upijesz się – uprzedził ją Ji-woong.

– Chcę... chcę... – wyjąkała dziewczyna.

– Czego chcesz?

– Chcę kochać się z tobą dziś wieczór – powiedziała jednym tchem.

Młody człowiek się cofnął.

– Jesteś pijana.

– Piłam, żeby mieć odwagę, której mi brakowało, żeby ci to powiedzieć. Więc nie podobam ci się? – zapytała.

Uważał, że jest przepiękna. Nigdy Julie nie była równie atrakcyjna. Odkąd na nowo zaczęła jeść, kanciaste kształty zaokrągliły się, a rysy stały się łagodniejsze. Rewolucja również zmieniła jej postawę. Trzymała się bardziej prosto, wyżej unosiła podbródek. Nawet jej chód był pełen gracji.

Była całkiem naga, gdy delikatnie zbliżyła dłoń do spodni Ji-woonga, który z coraz większym trudem ukrywał swoje emocje.

Wyciągnął się na dywaniku i patrzył na nią.

Julie była bardzo blisko i nigdy jej twarz nie wyglądała równie czarująco jak teraz, w pomarańczowym blasku świec. Czarny kosmyk przykleił jej się wzdłuż wargi. Na razie marzyła tylko o tym, aby pocałować Ji-woonga z równą pasją jak ostatnim razem na dyskotecę.

– Jesteś piękna, niesamowicie piękna – wybełkotał. – I ładnie pachniesz... Roztaczasz woń kwiatów. Jak tylko cię zobaczyłem...

Uciszyła go pocałunkiem i pocałowała po raz drugi. Przeciąg otworzył okno i zgasił świece. Ji-woong chciał wstać, żeby je zapalić.

Powstrzymała go.

– Nie, boję się stracić choćby sekundę. Boję się, że ziemia się rozstąpi, abym nie mogła poznać tej chwili, która jest mi obiecana od tak dawna. Wszystko jedno,

możemy się przecież kochać w ciemności.

Okno zaczęło uderzać tak mocno, że groziło to rozbiciem szyby.

Na ślepo wysunęła rękę jeszcze dalej. Nie mogła już liczyć na swój wzrok, ale wyostrzyła do granic swoje pozostałe zmysły: powonienie, słuch, a przede wszystkim dotyk.

Pocierała swoje miękkie i gładkie ciało o ciało młodego człowieka. Kontakt jej delikatnej skóry z bardziej szorstką skórą Koreańczyka wywołał u niej elektryzujące odczucia.

Dotyk dłoni Ji-woonga sprawił, że poczuła miękkość swoich piersi. Jej oddech stał się chrapliwy, a zapach potu bardziej dziki.

Nie było księżycy. Oświeślały ich Wenus, Mars i Saturn. Wygięła się i odrzuciła w tył czarną grzywę. Klatka piersiowa uniosła się do przodu, a nozdrza bardzo szybko wciągały powietrze.

Wolno, bardzo wolno zbliżała usta do ust Ji-woonga.

Nagle coś odwróciło jej wzrok. Przez okno wpadła właśnie wielka kometa ozdobiona pióropuszem jasnych płomieni. Ale to nie była kometa. To był koktajl Mołotowa.

158. ENCYKLOPEDIA

SZAMANIZM: Niemal we wszystkich kulturach ludzkości znany jest szamanizm. Szamani nie są ani wodzami, ani kapłanami, ani czarownikami, ani mędrkami. Ich rola polega po prostu na godzeniu człowieka z naturą.

U Indian karaibskich z Surinamu etap początkowy nauki szamanizmu trwa dwadzieścia cztery dni, podzielone na cztery etapy, składające się z trzech dni nauki i trzech dni odpoczynku. Młodzi uczniowie, z reguły sześciu chłopców w wieku dojrzewania, bo to wiek, w którym można jeszcze kształtować osobowość, poznają tradycje, pieśni i tańce. Obserwują i naśladują ruchy i krzyki zwierząt, aby lepiej je zrozumieć. Przez cały czas trwania nauki praktycznie nie jedzą, żują tylko liście tytoniu i piją tytoniowy sok. Głód i konsumpcja tytoniu wywołują u nich wysoką gorączkę i inne zaburzenia fizjologiczne. Inicjacji towarzyszą ponadto niebezpieczne próby fizyczne, które stawiają jednostkę na granicy życia i śmierci, równocześnie niszcząc jej osobowość. Po kilku dniach takiej inicjacji –

wyczerpującej, niebezpiecznej i toksycznej – uczniom udaje się „zobaczyć” pewne siły i przyzwyczaić się do stanu ekstatycznego transu.

Inicjacja szamańska jest reminiscencją okresu przystosowywania się człowieka do przyrody. W sytuacji zagrożenia człowiek albo dostosowuje się, albo ginie. W sytuacji zagrożenia człowiek obserwuje i nie filozofuje. Uczy się oduczać się.

Następnie przychodzi okres samotnego życia w lesie przez mniej więcej trzy lata, kiedy to uczeń szamański żywi się sam darami natury. Jeżeli przeżyje, wróci do wioski wycieńczony, brudny, na skraju załamania nerwowego. Zajmie się nim wówczas stary szaman, aby pokierować dalszą częścią inicjacji. Mistrz będzie się starał rozbudzić u młodego człowieka zdolność do przekształcania halucynacji w kontrolowane doświadczenia „ekstatyczne”.

Paradoks polega na tym, że ta edukacja, zakładająca zniszczenie ludzkiej osobowości i powrót człowieka do stanu dzikiego zwierzęcia, przekształca w istocie szamana w superdżentelmena. Szaman po okresie inicjacji jest obywatelem silniejszym zarówno pod względem panowania nad sobą, zdolności intelektualnych i intuicyjnych, jak i moralności. Szamani jakucy z Syberii mają trzykrotnie szerszą wiedzę i słownictwo od przeciętnej swoich rodaków. Zdaniem profesora Gérarda Amzallaga, autora książki *Filozofia biologiczna*, szamani są także strażnikami i niewątpliwie autorami literatury ustnej. Zawiera ona aspekty mityczne, poetyckie i heroiczne, które stanowią podstawę każdej kultury wiejskiej.

Obecnie transy ekstatyczne odbywają się coraz częściej przy użyciu narkotyków i grzybków halucynogennych. To zjawisko świadczy o obniżeniu się jakości edukacji młodych szamanów i o stopniowym słabnięciu ich władzy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

159. ZMIERZCH REWOLUCJI MRÓWEK

Leciał koktajl Mołotowa. Dziwny ognisty ptak zwiastujący nieszczęście. Był to szklany pocisk Czarnych Szczurów Gonzague’a Dupeyrona. Butelka ziała ogniem jak smok. Rzucono nowe koktajle Mołotowa. Zapaliły się spiwory, roznosząc woń palonego nylonu. Gdy się spaliły, ogrodzenie utraciło szczelność.

Julie ubrała się w popłochu. Ji-woong usiłował ją zatrzymać, ale na zewnątrz wyla z bólu rewolucja. Postrzegała to tak, jakby chodziło o ranne zwierzę.

Jej żołądek przystąpił do wzmożonej pracy, aby przefiltrować cały zawarty w miodzie pitny alkohol, który groził zwolnieniem jej odruchów. Nie był to moment na przyjemności, ale na działanie.

Biegła przez korytarze. Wszędzie panował chaos. Panika w mrowisku. Dziewczeta z klubu aikido biegały w różnych kierunkach, okupując przenosili meble, aby zagrodzić dziury w ogrodzeniu. Wszystko działo się zbyt szybko i nie udawało im się skoordynować działań, aby stracić jak najmniej energii w tej improwizowanej choreografii.

Członkowie Czarnych Szczurów, widząc przez prześwity w ogrodzeniu strukturę miasteczka, celowali w standy.

Na dziedzińcu utworzono łańcuch, aby podawać sobie wiaderka z wodą, ale cysterna była niemal pusta i było to tylko marnotrawienie cennego surowca. David poradził, aby używać raczej piasku.

Koktajl Mołotowa trafił w głowę totemu w kształcie mrówki i podpalił owada z polistyrenu. Julie patrzyła na płonącą olbrzymią figurę mrówki. „W gruncie rzeczy ogień jest beznadziejny” – pomyślała. Natomiast Mołotow, słynny rosyjski minister Stalina, od którego nazwiska pochodzi nazwa mieszanki wybuchowej, był, jak przeczytała w *Encyklopedii*, reakcjonistą najgorszego gatunku.

Teraz ogień objął stand Paula z produktami spożywczymi. Beczułki z miodem pitnym wybuchały, a nad nimi unosił się karmelowy dym.

Policjanci w samochodzie stojącym naprzeciw liceum cały czas nie reagowali. Rewolucjoniści mieli ochotę odpowiedzieć na ataki Czarnych Szczurów, ale polecenie Julie, przekazane wszędzie przez amazonki, było jasne: „Nie odpowiadać na prowokację, tylko by ich to ucieszyło”.

– Jakie prawo nakazuje nam znosić policzki, nie oddając ich? – spytała zdenerwowana amazonka.

– Nasza wola dokonania rewolucji bez użycia siły – odpowiedziała Julie. – I to, że jesteśmy bardziej cywilizowani niż ci bandyci. Jeżeli będziemy się zachowywać tak jak oni, staniemy się tacy jak oni. Ugaście ogień i zachowajcie spokój!

Oblężeni tłumili płomienie, jak mogli, przy użyciu piasku, a koktajle Mołotowa Czarnych Szczurów spadały gęsto. Niektórym rewolucjonistom udawało się je

odrzuć w stronę napastników, ale zdarzało się to stosunkowo rzadko.

Trafiony został stand z ubraniami Narcisse'a. Rzucił się w tamtą stronę:

– To jedyna kolekcja. Trzeba ją uratować.

Wszystko już doszczętnie spłonęło. Szalejąc z wściekłości, projektant mody chwycił żelazny pręt, otworzył kratę i rzucił się na Czarne Szczury. Niepotrzebny akt brawury. Bił się dzielnie, ale szybko rozbrojony, został brutalnie pobity przez bandę Dupeyrona i porzucony przed wejściem. Ji-woong, Paul, Léopold i David, którzy pospieszyli mu na ratunek, dotarli za późno. Czarne Szczury rozbiegły się, a karetka pogotowia, przejeżdżająca niby przypadkiem, natychmiast zabrała Narcisse'a i ruszyła z wyciem syren.

Julie nie wytrzymała:

– Narcisse! Chcą przemocy, to będą ją mieli!

Rozkazała amazonkom, aby złapały Czarne Szczury. Mała armia dziewczyn wyszła za ogrodzenie i ruszyła sąsiednimi ulicami w pościg za nimi. O ile łatwo było rozbić zwartą armię oddziałów szturmowych, o tyle trudno było biec za dwudziestką małych faszystów ubranych po cywilnemu, którzy mogli schować się gdziekolwiek lub wtopić się w tłum.

W zabawie w policjanta i złodzieja amazonki odgrywały teraz rolę policjanta, do której, jak się okazało, nie miały szczególnych predyspozycji poza murami liceum. Czarne Szczury czekały na ulicach na pojawienie się samotnej amazonki, aby się na nią rzucić. Te potyczki niemal zawsze obracały się na ich korzyść.

Ji-woong i David, podobnie jak Léopold i Paul, również zostali pobici.

Komisarz z daleka obserwował sytuację przez lornetkę i zauważył, że obecnie niemal wszyscy obrońcy liceum wyszli. Ogrodzenie było uchylone i ostatni aktywni rewolucjoniści zajęci byli gaszeniem pożarów.

Młody Gonzague ułatwił mu pracę. W jego żyłach rzeczywiście płynęła krew energicznego prefekta. Maximilien żałował, że nie zwrócił się do niego wcześniej. Natomiast rewolucjoniści nie byli tak sprytni, jak mu się wydawało. Ledwie pomachał im przed oczyma czerwoną płachtą, a już rzucili się na nią z głową spuszczoną w dół, bez żadnego namysłu.

Maximilien zadzwonił do prefekta i poinformował go, że tym razem są ranni.

– Ciężko ranni?

– Tak, być może nawet jeden zabity. Jest w szpitalu.

Prefekt Dupeyron zastanowił się:

– W tym wypadku wpadli w pułapkę przemocy. To nie my podjęliśmy decyzję. Ma pan zielone światło, aby jak najszybciej odbić liceum.

160. FEROMON ZOOLOGICZNY: REGULACJA

Zaśliniająca się 10 notuje.

REGULACJA:

Rozwój populacji Palców ma charakter wykładniczy, na dodatek nie zagrażają im praktycznie żadne drapieżniki – w jaki sposób zatem radzą sobie z regulowaniem rozmiarów populacji?

Regulacja taka dokonuje się przy udziale następujących czynników:

- Wojny;*
- Wypadki samochodowe;*
- Mecze piłki nożnej;*
- Głód;*
- Narkotyki.*

Wygląda na to, że Palce nie opanowały jeszcze biologicznej kontroli narodzin: produkują zbyt dużo dzieci, a dopiero później dokonują eliminacji.

Ta archaiczna technika wymaga ulepszenia, gdyż powoduje znaczną utratę energii zużywanej na produkcję nadwyżki potomstwa, a także na jego późniejszą eliminację.

Mimo tej kompensacji populacja Palców rośnie w sposób wykładniczy.

Jest ich już ponad pięć miliardów.

Liczba ta może oczywiście wydać się niewielka w porównaniu z liczbą mrówek na całej planecie. Problem polega jednak na tym, że każdy Palec niszczy znaczną liczbę roślin i zwierząt, zanieczyszcza także olbrzymie ilości wody i powietrza.

Nasza planeta może znieść pięć miliardów Palców, ale nie więcej.

Wzrost populacji Palców pociąga za sobą zniknięcie z powierzchni ziemi setek gatunków zwierząt i roślin.

161. WOJNA RELIGIJNA

Księżniczka 103 dostrzega zacieśnianie się więzi w otaczającej ją populacji: młodej, pełnej energii, entuzjastycznej i ciekawej świata. Niełatwo było do tego doprowadzić. Tylko dzieci łatwo się uczą.

Pracujące przy otworach wentylacyjnych wojowniczkę regulują dopływ powietrza. W spichrzach gromadzone jest pożywienie. Robotnice przenoszą na śmietnik zwłoki i produkty otrzymane w wyniku nieudanych doświadczeń. Porażki inżynierów ognia przybierają czasami wyjątkowo ohydne kształty i wydzielają cuchnące opary: świerszcze o pomarszczonym naskórku, przypominające abstrakcyjne rzeźby, zwęglone liście i gałązki, dymiące kamienie.

Mimo ogólnego zapału do wspólnej pracy księżniczka 103 wyczuwa jakieś niezadowolenie. Nieustający zapach. Czy to tylko frustracja, czy może strach?

W czwartym dniu nowej ery 103 stwierdza, że deistki wyrządziły już dość szkód. Wszystkie korytarze pokryte są ich mistycznymi kręgami i cuchną sterylnymi modlitwami.

Myrmeczeńska księżniczka widziała świat ponad nimi. Wie, że Palce nie są bogami, a jedynie grubymi, głupawymi zwierzętami, których zachowanie jest zupełnie inne niż mrówek. Odczuwa szacunek w stosunku do nich, lecz jest przekonana, że oddawanie im czci może wszystko zepsuć. Przy wsparciu kasty naukowej i militarnej postanawia rozprawić się raz na zawsze z wpływami deistek.

– Jeśli bluszcz oplątuje krzew i nie wyrwie się go na czas, bluszcz zabije krzew.

Księżniczka 103 woli wykorzenić religię z mrowiska już teraz, zanim ta nie ogarnie wszystkich aspektów życia. Tak łatwo jest utrzymywać kult niezwykniętych bogów i ulegać przesądom. Wie, że jeśli nie zareaguje teraz, nie do niej należeć będzie ostatni feromon.

– Trzeba wyeliminować deistki.

Na czele z 13 cała grupa rusza w drogę. Ich małe mózdzki są nastawione na zwycięstwo.

162. ENCYKLOPEDIA

SPRYT DELFINÓW: Delfin jest ssakiem, który ma największą objętość mózgu w stosunku do swoich rozmiarów. Przy takich samych rozmiarach czaszki mózg

szympansa waży średnio 375 gramów, mózg człowieka 1450 gramów, a mózg delfina 1700 gramów. Życie delfina stanowi zagadkę.

Podobnie jak ludzie, delfiny oddychają powietrzem, samice rodzą i karmią mlekiem młode. Są ssakami, ponieważ niegdyś żyły na stałym lądzie. Ależ tak, dobrze przeczytaliście: niegdyś delfiny miały łapy, chodziły i biegały po ziemi. Pewnie przypominały foki. Żyły na stałym lądzie, a potem pewnego dnia z nieznanych przyczyn miały tego dosyć i wróciły do wody.

Łatwo można sobie wyobrazić, czym byłyby obecnie delfiny z wielkim mózgiem ważącym 1700 gramów, gdyby zostały na ziemi: konkurentami lub najprawdopodobniej prekursorami. Dlaczego wróciły do wody? Woda z pewnością ma zalety, których nie oferuje środowisko lądowe. Można poruszać się tu w trzech wymiarach, podczas gdy na lądzie jest się przyklejonym do ziemi. W wodzie nie potrzeba ubrań, domu czy ogrzewania.

Badając szkielet delfina, można sprawdzić, że jego przednie płetwy zawierają jeszcze kości dłoni o długich palcach, ostatnie pozostałości życia na stałym lądzie. Ponieważ jednak ręce delfina przekształciły się w płetwy, mógł on oczywiście poruszać się z wielką szybkością w wodzie, ale nie mógł już wytwarzać narzędzi. Być może dlatego właśnie, że byliśmy tak słabo przystosowani do naszego otoczenia, wymyśliliśmy szaloną liczbę przedmiotów, które uzupełniają nasze możliwości organiczne. Ponieważ delfin jest doskonale przystosowany do swojego środowiska, nie potrzebuje samochodu, telewizora, karabinu czy komputera. Natomiast wydaje się, że delfiny rzeczywiście rozwinęły własny język. To system komunikacji akustycznej, obejmujący bardzo szerokie spektrum dźwięków. Mowa ludzka osiąga częstotliwości od 100 do 5000 herców. Mowa delfinów obejmuje zakres od 7000 do 170 000 herców. Pozwala to oczywiście na wiele niuansów! Zdaniem doktora Johna Lilly'ego, dyrektora laboratorium badawczego w dziedzinie komunikacji w Nazareth Bay, delfiny od dawna chciałyby się z nami porozumiewać. Spontanicznie podpływają do ludzi na plażach i statkach. Skaczą, ruszają się, gwizdzą, jakby chciały nam dać coś do zrozumienia. „Czasami nawet sprawiają wrażenie zirytowanych, gdy dana osoba ich nie rozumie” – zauważa ten uczoney.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

163. ATAK NA LICEUM W FONTAINEBLEAU

Przemoc. Krzyki. Płomienie. Łamanie przedmiotów. Stopy uderzały o ziemię. Stopy potykały się. Groźby. Obelgi. Wrzaski. Podniesione pięści. Po koktajlach Mołotowa rzuconych przez chuliganów, gazy łzawiące sił porządkowych. Po niszczyielskim ogniu, oślepiający i drażniący dym.

Tłum rewolucjonistów biegał we wszystkie strony. Policjanci z oddziałów szturmowych przypuścili szturm.

Namioty teraz opustoszały. Oblężeni biegli korytarzami, chłopcy i dziewczęta zbroili się w kije, miotły, konserwy. Rozdawano wszystko, co mogło posłużyć do obrony. Amazonki, które na wszelki wypadek zrobiły *nunchaku* z kawałków drewna, podawały je wszystkim wokoło.

Po bezowocnym pościgu za Czarnymi Szczurami dziewczęta z klubu aikido, które nie zostały ranne w bójce, pospiesznie wróciły do liceum, równocześnie jak Sześciu Krasnoludków, pozbawionych siódmego – Narcisse’a.

Tym razem nie było możliwości używania węży przeciwpożarowych, woda była odcięta. Dostęp do ogrodu był wolny. Mała grupa policjantów z oddziałów szturmowych odwróciła uwagę przy głównym wejściu, podczas gdy największa część oddziału pojawiła się na dachach. Wspięli się na nie za pomocą kotwiczek i lin. To był pomysł Maximiliena: zamiast atakować twarzą w twarz, spaść z góry.

– Pogrupujcie się w legiony! – krzyknął David z okna.

Amazonki zacieśniły szeregi, aby powstrzymać natarcie policjantów, ale co mogło parę dziewczyn, mimo całej determinacji, w obliczu silnych, wytrenowanych mężczyzn ubranych w kaski?

Po pierwszym natarciu policjanci z oddziałów szturmowych weszli na dziedziniec. obrońcy czuli się bezsilni, mając w charakterze broni jedynie kije od mioteł i puszki groszku konserwowego. Skuteczniejsze były *nunchaku*. W zręcznych dłoniach amazonek bzycały jak osy i uprzykrzały życie policjantom. Nieraz udawało im się nawet zrzucić jakiś kask. Pozbawiony go policjant wołał się z reguły wycofać.

Stojąc na balkonie domu naprzeciwko, Maximilien obserwował szturm na fortecę, podobnie jak Scypion płonąca Kartaginę. Pozostając nadal pod wrażeniem swoich wcześniejszych porażek, ostrożnie szedł do przodu. Nie chciał ponownie

popęłnić błędu, jakim było niedocenienie młodych przeciwników.

Oddziały szturmowe metodycznie posuwały się naprzód, idąc z góry na dół, z dachów na dziedziniec, stosując taktykę spychania przeciwnika. Napierały z góry i tłum uciekał bezładnie przez drzwi wejściowe. Nie napierały zbyt mocno, aby w panice nikogo nie zdeptano, niemniej jednak napierały.

Maximilien rozkazał, aby natychmiast przywrócić dopływ wody. W dymie palących się namiotów i standów ostatni obrońcy z trudem utrzymywali ostatnie punkty strategiczne.

Julie udała się na poszukiwanie Sześciu Krasnoludków. Dwóch z nich znalazła w pracowni informatycznej. David i Francine krzętałi się, wyjmując z komputerów wszystkie twarde dyski.

– Trzeba ocalić naszą pamięć! – krzyknął młody człowiek. – Jeżeli siły porządkowe dostaną w swoje ręce programy i katalogi naszej spółki, będą miały dostęp do całości naszych prac i będą mogły zamknąć wszystkie nasze filie i sieci handlowe.

– A jeżeli złapią nas z dyskami? – spytała Julie. – Będzie jeszcze gorzej.

– Najlepiej byłoby – powiedziała Francine – gdyby udało nam się wysłać całość naszych plików do zaprzyjaźnionego komputera za granicą. Duch „Rewolucji mrówek” znalazłby tym sposobem tymczasowe schronienie.

Drżącą ręką dziewczyna wsadziła twarde dyski z powrotem na miejsce.

– Studenci wydziału biologii z San Francisco nas popierają i mają olbrzymi komputer zdolny pomieścić naszą „pamięć” – przypomniał sobie David.

Skontaktowali się natychmiast przez telefon komórkowy ze studentami amerykańskimi i przesłali im wszystkie pliki. Na początku *Infra-World*. Już sam ten program był olbrzymi. Zawierał listę miliarda jego mieszkańców, zwierząt i roślin, jak również reguły zarządzania ekologią oraz system przekazywania cech genetycznych. Przesłali następnie listę klientów, którzy zamówili testy swoich produktów.

Następnie wysłali w przestrzeń program zarządzania „Centrum pytań” wraz z całą młodą, a jednak bardzo dużą pamięcią encyklopedyczną. Potem przyszła kolej na plany domów na wzgórzu Léopolda, plany budowy Kamienia z Rosetty Julie, plany czułeków Zoé, wzory ubrań Narcisse’a, a następnie na wszystkie pomysły projektów zgłoszone przez uczestników lub internautów. W ciągu kilku

dni zgromadzili tysiące plików, programów, planów i propozycji. To było ich poletko. Za wszelką cenę należało je chronić.

Nie zdawali sobie sprawy z olbrzymiej skali wykonanego zadania. Teraz, gdy musieli przesłać ten skarb, uświadomili sobie jego wagę i rozmiary. Same tylko wiadomości wyjściowe wykorzystywane w „Centrum pytań” odpowiadały pod względem objętości kilkuset tomom zwykłej encyklopedii.

Na korytarzu rozległ się odgłos butów wojskowych. Policjanci się zbliżali.

Francine ustawiła parametry tak, aby modem telefoniczny przysyłał pliki nie z prędkością 56 000 bitów, ale ze zwielokrotnioną mocą – 112 000 bitów na sekundę.

Pięści zaczęły walić w drzwi.

Francine biegała od jednego komputera do drugiego, czuwając nad przekazaniem ducha rewolucji mrówek. David i Julie przesuwali meble, aby zabarykadować wejście do pracowni informatycznej, a policjanci zaczęli napierać na drzwi, chcąc je wyważyć. Meble jednak stawiały duży opór.

Julie obawiała się, żeby komuś nie przyszło do głowy, aby odciąć na dachu dopływ energii z baterii słonecznych lub linię telefoniczną podpiętą do zwykłego telefonu komórkowego, zanim nie skończą, ale na razie oddział szturmowy zajęty był jedynie walką z drzwiami, które nie pozwalały mu wdrzeć się do sali.

– Skończyliśmy – oznajmiła Francine. – Wszystkie pliki zostały przesłane do San Francisco. Nasza pamięć znajduje się dziesięć tysięcy kilometrów stąd. Niezależnie od tego, co się z nami stanie, inni będą mogli pomnażać nasze odkrycia, wykorzystać nasze doświadczenia i kontynuować naszą pracę nawet, jeżeli dla nas wszystko stracone.

Julie poczuła ulgę. Rzuciła okiem przez okno i zobaczyła, że ostatnia garstka szczególnie zaciekłych amazonek dawała jeszcze odpór policjantom.

– Nie sądzę, żeby dla nas wszystko było stracone. Jak długo trwa opór, jest nadzieja. Nasze prace nie przepadły, a rewolucja mrówek wciąż żyje.

Francine ściągnęła zasłony, aby zrobić z nich linę, którą przymocowała do balkonu. Zeszła pierwsza i spadła na dziedziniec.

Napastnikom wreszcie udało się wyłamać deskę w drzwiach. Przez szparę wrzucili do sali bombę łzawiącą.

Julie i David zaczęli kaszleć, ale przez łzy młody człowiek wskazał, że zostało

jeszcze coś do zrobienia: należało zniszczyć pliki na twardych dyskach, gdyż w przeciwnym razie przechwycą je policjanci. Rzucił się do komputerów, aby na wszystkich wcisnąć polecenie formatowania twardych dysków. W jednej chwili całe ich dzieło zniknęło. Nie było tu już nic. Oby w San Francisco zdołali wszystko odebrać!

Druga bomba łzawiąca wybuchła na podłodze. Nie było czasu do namysłu. Otwór w drzwiach się powiększał. Teraz na nich przyszła kolej zsunięcia się po zasłonach.

Julie żałowała, że nie wykazała się większą pilnością na lekcjach gimnastyki, ale w sytuacji awaryjnej strach okazał się najlepszym nauczycielem. Ześliznęła się bez problemów na dziedziniec. Tu zdała sobie sprawę, że czegoś jej brakuje. *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*. Przeszedł ją dreszcz. Czy zapomniała jej na górze, w pracowni informatycznej zajętej teraz przez policję? Czy powinna wyrzec się swojej przyjaciółki – książki?

Przez ułamek sekundy Julie wahała się, gotowa wrócić na górę. A potem strach ustąpił miejsca uldze. Zostawiła ją w sali klubu muzycznego, bo Léopold chciał w niej coś sprawdzić.

Przez tę chwilę wahania straciła z oczu Francine i Davida, którzy zatonęli w mgłę gazów łzawiących. Dookoła widziała tylko chłopców i dziewczęta biegających we wszystkie strony.

Siły porządkowe były wszędzie. Wielkie czarne mikroby uzbrojone w pałki i tarcze wbiegały przez otwartą ranę drzwi wejściowych. Maximilien ostrożnie kierował ich ruchami. Nie zależało mu na tym, aby mieć na głowie pięciuset więźniów, chciał tylko dla przykładu złapać przywódców.

Podniósł tubę:

– Poddajcie się! Nic wam nie zrobimy.

Elisabeth dowodząca dziewczynami z klubu aikido chwyciła wąż przeciwpożarowy. Zauważyła, że woda została włączona i teraz zwałała z nóg stojących dookoła policjantów. Jej heroiczny akt nie trwał długo. Policjanci wyrwali jej węża z rąk i próbowali skuć ją kajdankami. Zawdzięczała swoje ocalenie jedynie znajomości wschodnich sztuk walki.

– Nie traćcie czasu na innych. Julie Pinson, musimy mieć Julie Pinson! – przypominał komisarz przez tubę.

Napastnicy mieli rysopis dziewczyny o jasnoszarych oczach. Obrona za cel polowania rzuciła się pędem w kierunku węży przeciwpożarowych. Zdążyła chwycić jeden z nich i wyciągnąć zawleczkę.

Natychmiast otoczyli ją policjanci.

Przyływ adrenaliny był tak silny, że czuła wszystko, co działo się wewnątrz jej ciała. Była tu i teraz jak nigdy wcześniej. Dostosowała bicie serca, aby było odpowiednie do rytmu walki i spontanicznie jej struny głosowe wydały okrzyk wojenny:

– Tiaah!!!

Odkręciła zawór i oblała ich strumieniem wody z taką siłą, że na chwilę upadli na kolana. Nadal jednak posuwali się do przodu.

Była maszyną wojenną, czuła się niezwyciężona. Była królową, kontrolowała to, co działo się na zewnątrz i wewnątrz, mogła jeszcze zmienić świat.

Maximilien nie pomylił się:

– Jest tutaj. Złapcie mi tę furiatkę! – rozkazał przez tubę.

Nowy przyływ adrenaliny pozwolił Julie pchnąć z niezwykłą siłą mężczyznę, który usiłował złapać ją od tyłu. Celne kopnięcie sprawiło, że drugi napastnik zgiął się wpół.

Wszystkie zmysły Julie były wyostrzone do granic. Chwyciła wąż przeciwpożarowy, który upadł na ziemię, oparła go sobie na brzuchu jak karabin maszynowy, napięła mięśnie. Skosiła rząd policjantów.

Co za cud dokonywał się w niej? Pośród tysiąca stu czterdziestu mięśni, które stanowiły jej ciało, dwustu sześciu kości szkieletu, dwunastu miliardów komórek nerwowych mózgu, ośmiu milionów kilometrów przewodów nerwowych nie było ani jednej komórki, która nie starałaby się przyczynić do jej zwycięstwa.

Bomba łzawiąca wybuchła jej pod stopami i dziwiła się, że jej płuca nie pozwalają sobie na atak astmy w czasie bitwy. Być może nagromadzony ostatnio tłuszcz dawał jej dodatkowe siły do walki.

Ale policjanci z oddziałów szturmowych dopadli ją. W maskach przeciwgazowych z okrągłymi okularami i czarnymi dziobami przedłużonymi filtrem przypominali czarne kruki.

Julie, która ich kopała, straciła sandały. Dziesiątki ramion przywarły do jej ciała, ciasno obejmując jej szyję i piersi.

Druga bomba upadła tuż obok niej i gęsta mgła pogłębiła jeszcze zamieszanie. Łzy już nie wystarczały do ochrony rogówki.

Nagle wszystko się odwróciło. Wrogie ramiona odsunęły się przegnane celnymi i mocnymi uderzeniami laski. Pośród kruków czyjaś dłoń odnalazła i chwyciła jej rękę.

We mgle przymrużone jasnoszare oczy rozpoznały wybawcę, był nim David.

Zbierając w sobie resztkę energii, która jej została, chciała znowu sięgnąć po węźa przeciwpożarowego, ale chłopak pociągnął ją do tyłu:

– Chodź.

Lewe ucho usłyszało to słowo. Usta powiedziały:

– Chcę się bić do końca.

W jej komórkach panował chaos, nawet dwie półkule mózgu nie zgadzały się ze sobą. Nogi zdecydowały się uciekać. David pociągnął Julie do salki klubu muzycznego, która była połączona z piwnicami.

– Jeżeli uciekniemy, będzie to dla mnie kolejna klęska – zdołała wymówić, z trudem łapiąc oddech.

– Zachowaj się tak, jak mrówki. Kiedy nadchodzi niebezpieczeństwo, ich królowe uciekają przez podziemne korytarze.

Popatrzyła na ziejący przed nimi czarny otwór.

– *Encyklopedia!*

W panice przetrząsała śpiwory.

– Zostaw, gliny się zbliżają.

– Nigdy!

W drzwiach pojawił się policjant. David zakręcił laską, aby zyskać na czasie. Udało mu się go odepchnąć, a nawet zamknąć drzwi na klucz.

– Mam! – powiedziała Julie, potrząsając równocześnie *Encyklopedią wiedzy względnej i absolutnej* oraz plecakiem.

Włożyła do niego książkę, zaciągnęła paski i zgodziła się pójść za Davidem przez podziemne korytarze. Wydawało się, że zmierza w konkretnym kierunku. Rozumiejąc, że Julie wypełnia jedynie polecenia przychodzące z zewnątrz, zmysły i komórki dziewczyny osłabiły swoją czujność i powróciły do normalnych zajęć: wytwarzania żółci, przekształcania tlenu w dwutlenek węgla, usuwania lub przetwarzania pozostałości gazów łzawiących, dostarczania cukru do mięśni,

które się go domagały.

W labiryncie piwnic szkolnych policjanci stracili ich z oczu. Julie i David biegli. Dotarli do skrzyżowania. Po lewej znajdowały się piwnice sąsiedniego budynku, a po prawej – kanały. David popchnął ją w prawo.

– Dokąd idziemy?

164. ŚMIERĆ DEISTKOM

Tędy! Oddział prowadzony przez 13 podąża jednym z korytarzy. Udało im się odkryć tajemne przejście do siedziby deistek. Mieści się ona na czterdziestym piątym poziomie podziemia. Wystarczy przesunąć kawałek grzyba, żeby się w niej znaleźć.

Uzbrojone wojowniczkki posuwają się ostrożnie korytarzem. Te, które zostały obdarzone przyoczkami czułymi na podczerwień, dostrzegają przedziwne malunki na ścianach. Są tutaj nie tylko koła, ale prawdziwe freski wyrzeźbione czubkiem żuwaczki. Widać koła zabijające mrówki. Koła karmiące mrówki. Koła dyskutujące z mrówkami. Oto ich wyobrażenie o zachowaniu bogów.

Mordercze komando napotyka pierwszy system bezpieczeństwa. To mrówka-strażniczka, której szeroka głowa zatyka wejście. Gdy tylko zwierzę poczuło zapachy wojowniczek, wprawia w ruch swoje nożyce i emituje feromony alarmowe. To, że deistkom udało się przekonać do swojej wiary tak nietypowe mrówki jak strażniczki, świadczy o rozmiarach ich wpływów.

Pod brutalnymi uderzeniami profanów pancerne drzwi ustępują. W miejscu szerokiego czoła strażniczki widnieje już tylko dymiący tunel. Wojowniczkki prą naprzód. Jedna z deistek, która znalazła się tam przypadkiem, podbiega i zaczyna do nich strzelać, lecz zostaje zgładzona, zanim udało jej się wyrządzić jakąkolwiek szkodę.

Konająca czołga się i gestykułuje. Naraz rozkłada kończyny na kształt sześcioramiennej gwiazdy. Ostatkiem sił nadaje:

Palce są naszymi bogami.

165. ENCYKLOPEDIA

PARADOKS EPIMENIDESA: *Samo zdanie: „To zdanie jest fałszywe”, stanowi paradoks Epimenidesa. Jakie zdanie jest fałszywe? To właśnie zdanie. Jeżeli mówię, że jest fałszywe, mówię prawdę. A zatem nie jest fałszywe. Zatem jest prawdziwe. Zdanie odsyła do odwrotności własnego odbicia. I tak bez końca.*

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

166. UCIECZKA KANAŁAMI

Posuwali się naprzód w ciemności. Śmierdziało, było ślisko, nie mieli żadnego punktu orientacyjnego, ponieważ nigdy nie dotarli aż tak daleko.

Czym było to coś miękkiego i ciepłego, co wyczuli końcem palca? Ekskrementem? Pleśnią? Czy to było zwierzę? Roślina? Czy to było żywe?

Nieco dalej kawałek o ostrej nawierzchni, tu odrobina wilgoci. Było dno włochate, dno chropowate, dno lepkie...

Zmysł dotyku Julie nie był jeszcze dostatecznie wyczulony, aby dostarczać jej precyzyjnych informacji.

Aby dodać sobie nieco odwagi, bezwiednie, Julie zaczęła cichutko podśpiewywać *Zieloną myszkę, która po trawie biegnie*; zauważyła, że dzięki pogłosowi mogła mniej więcej ocenić przestrzeń, którą miała przed sobą. O ile jej zmysł dotyku zawodził, o tyle kompensował go słuch i głos.

Stwierdziła, że w ciemności widzi lepiej, gdy zamyka powieki. Funkcjonowała właściwie trochę jak nietoperz, który w jaskini rozwija zdolności do postrzegania przedmiotów, emitując i odbierając dźwięki. Im były one wyższe, tym lepiej rozróżniała kształt miejsca, w którym się znajdowali, a nawet pojawiające się przed nimi przeszkody.

167. ENCYKLOPEDIA

SZKOŁA SNU: *Dwadzieścia pięć lat naszego życia przesypiamy, a mimo to nie wiemy, jak zapanować nad jakością i długością naszego snu.*

Prawdziwy głęboki sen, który pozwala nam odzyskać siły, trwa jedynie godzinę

w ciągu nocy i dzieli się na krótkie piętnastominutowe sekwencje, które, podobnie jak refren piosenki, powracają co półtorej godziny.

Zdarza się, że niektóre osoby śpią po dziesięć godzin bez przerwy, nie zapadając w głęboki sen, i budzą się po tych dziesięciu godzinach zupełnie wyczerpane.

Natomiast moglibyśmy, gdybyśmy potrafili jak najszybciej zapaść w głęboki sen, spać tylko godzinę dziennie, wykorzystując tę jedną godzinę na całkowitą regenerację.

Jak się do tego zabrać w praktyce?

Należy nauczyć się rozpoznawać własne cykle snu. Żeby to zrobić, wystarczy na przykład zanotować z dokładnością co do minuty moment zmęczenia, który nadchodzi przeważnie około godziny osiemnastej, wiedząc, że powróci co półtorej godziny. Jeżeli zmęczenie odczuwa się na przykład o 18.36, następny raz pojawi się ono prawdopodobnie o 20.06, 21.36, 23.06 itd. Będą to dokładne momenty, w których można zapaść w głęboki sen.

Jeżeli położymy się dokładnie o tej porze i zmusimy się do tego, aby się obudzić dokładnie po upływie trzech godzin (ewentualnie z pomocą budzika), możemy stopniowo nauczyć nasz mózg kondensacji fazy snu, aby zachować jedynie jego ważną część. W ten sposób odzyskujemy całkowicie siły w bardzo krótkim czasie i wstajemy w pełnej formie. Pewnego dnia z pewnością będzie się uczyło dzieci w szkole, jak mają kontrolować sen.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

168. KULT ZMARŁYCH

Wojowniczkę podążają małymi kroczkami korytarzem prowadzącym do kryjówki deistek. Kręgi namalowane na ścianach są coraz liczniejsze. Mistyczne i złowróżbne kręgi.

Mrówki dochodzą do obszernej komnaty pełnej przedziwnych rzeźb: są to wypatroszone ciała ustawione w pozycjach bojowych.

13 i jej drużyna cofają się. Eksponowanie w ten sposób zwłok ma w sobie coś niestosownego. Wojowniczkę wiedziały już wcześniej, że deistki zachowują szczątki swoich zmarłych, żeby zachować ich w pamięci. Mają na to swoje

określenie, niełatwe do przetłumaczenia:

– *Zmarli muszą wrócić do ziemi.*

Zwłoki muszą być wyrzucone. W pomieszczeniu unosi się przykry zapach kwasu oleinowego, nieznośny dla każdej wrażliwej mrówki odór rozkładu organicznego.

Wojowniczkę z przerażeniem przyglądają się nieruchomym, pozbawionym ducha ciałom, które zdają się z nich drwić.

– *Być może na tym polega moc deistek, są jeszcze silniejsze po śmierci niż za życia* – zastanawia się 13.

Księżniczka 103 opowiadała kiedyś, że cywilizacja Palców uczyniła wielki krok naprzód w momencie, gdy zaprzestała wyrzucania swoich zmarłych na śmietnik. To logiczne. Przywiązywanie wagi do szczątków świadczy o wierze w życie po śmierci i pozwala marzyć o raju. Zaprzestanie usuwania zwłok nie jest zatem aż tak niewinną czynnością, jak można by się tego spodziewać.

– *Cmentarz jest charakterystyczny dla cywilizacji Palców* – stwierdza 13, przyglądając się nieruchomym eksponatom.

Wojowniczkę z wściekłością roznoszą na strzępy wydrążone ciała. Depczą suche czułki, dziurawią puste czaszki i rozrzucają kawałki trucheł. Pancerze kruszą się jak szkło. Po zakończeniu porządków w pomieszczeniu walają się już tylko pojedyncze, do niczego nieprzydatne części.

Mrówki mają poczucie, że walczyły ze zbyt słabym dla nich przeciwnikiem.

Zapuszczają się w biegnący w bok korytarz, który doprowadza je do przestronnego pomieszczenia, gdzie grupa mrówek słucha uważnie jednej z nich, stojącej na podwyższeniu. To musi być komnata proroców, o której donieśli im szpiedzy.

Na szczęście alarm olfaktyczny wszczęty przez mrówkę-strażniczkę nie dotarł aż tutaj. Wadą kryjówek mieszczących się na końcach zbyt krętych korytarzy jest to, że zapachy feromonowe nie zawsze tam docierają.

Wojowniczkę wchodzi po cichu do komnaty i wtapiają się między słuchaczki. Rozpoznają w mówczyni 23 – tę, którą wszystkie mrówki zwą „prorokiem”. Mówi ona o tym, że wysoko nad nimi żyją olbrzymie Palce, które kontrolują wszystkie ich poczynania i poddają je próbom, mającym na celu doprowadzenie do rozwoju myrmeczeńskiej cywilizacji.

Tego już za wiele dla 13, daje sygnał do ataku.

– *Trzeba zabić wszystkie te chore deistki.*

169. POŚCIG TRWA

W kanałach wyliczanka nie wystarczała, aby uspokoić Julie.

Nagle usłyszeli stłumione hałasy. Zobaczyli zbliżające się czerwone punkciki. Szczurze oczy. Po Czarnych Szczurach prawdziwe gryzonie i perspektywa nowego starcia. Te były mniejsze, ale liczniejsze.

Julie przytuliła się do Davida.

– Boję się.

David przepędził obrzydliwe zwierzęta, kręcąc młynka laską, ogłuszając wiele z nich.

Starali się wykorzystać moment spokoju, aby odpocząć, ale już słyszeli nowe hałasy.

– Tym razem to nie są szczury.

Światła latarek omiatały tunel. Kazał dziewczynie położyć się na brzuchu.

– Wydaje mi się, że coś się tutaj poruszyło – rozległ się męski głos.

– Idą w naszą stronę. Nie mamy już wyjścia – wyszeptał David.

Popchnął Julie do wody i podążył za nią.

– Wydawało mi się, że słyszałem coś jakby dwa pluśnięcia – odezwał się znowu niski głos.

Buty wojskowe biegły wzdłuż brzegu rozpryskując kałuże. Policjanci oświetlali powierzchnię wody tuż nad ich głowami.

David i Julie zdążyli jedynie zanurzyć się w ohydnej cieczy. David przytrzymał głowę Julie pod wodą. Instynktownie przestała oddychać. Tego dnia zaznała już wszystkiego. Znowu brakowało jej powietrza, a na dodatek poczuła, że szczurzy ogon omiata jej twarz. Nie wiedziała, że szczury również pływają pod wodą. Instynktownie otworzyła oczy i zobaczyła dwie plamy światła oświetlające wszystkie ohydztwa zawieszane nad ich twarzami.

Policjanci przystanęli i omiatali latarkami odpady pływające nieco dalej.

– Poczekajmy, jeżeli są pod wodą, wreszcie wypłyną na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza – powiedział jeden z nich.

David również otworzył oczy pod wodą – pokazał Julie, jak utrzymywać jedynie nos nad powierzchnią wody. Szczęśliwie tę wystającą część twarzy można było wystawić na zewnątrz, podczas gdy cała reszta pozostawała pod wodą. Julie, która często zastanawiała się nad tym, dlaczego nos ludzki jest taki wystający, знаła teraz odpowiedź. Aby w podobnej sytuacji uratować jego właściciela.

– Gdyby byli w wodzie, już wypłynęliby na powierzchnię – odpowiedział drugi policjant. – Nikt nie może tak długo wytrzymać bez powietrza. Te pluśnięcia to musiały być szczury.

Dwaj mężczyźni zdecydowali się pójść dalej.

Gdy ich białe światła oddaliły się wystarczająco, Julie i David wystawili całe głowy i zaczerpnęli, jak najciszej się dało, wielki haust niemal świeżego powietrza. Julie nigdy wcześniej nie poddawała swoich płuc takiej próbie.

Dwójka rewolucjonistów jeszcze łąpczywie wdychała tlen, gdy nagle oświetliło ich ostre światło.

– Stop. Nie ruszać się – nakazał głos komisarza Maximiliena Linarta, który celował w nich latarką i rewolwerem.

Podszedł bliżej:

– A oto i nasza królowa rewolucji, panna Julie Pinson we własnej osobie.

Pomógł dwóm więźniom wyjść z cuchnącej zgnilizną wody.

– Ręce do góry, wielbiciele mrówek. Jesteście aresztowani.

Popatrzył na zegarek.

– Nie zrobiliśmy nic niezgodnego z prawem! – zaprotestowała słabym głosem Julie.

– O tym zadecyduje sędzia. Moim zdaniem popełniliście najgorszy z możliwych czynów: wprowadziliście element chaosu do uporządkowanego świata. Uważam, że zasłużyliście na najwyższy wymiar kary.

– Ale jeśli nie popchnie się trochę świata, to zastyga i nie zmienia się – powiedział David.

– A kto was prosi o to, żebyście go zmieniali? Chcecie o tym porozmawiać? Dobrze, mam czas. Ja z kolei sądzę, że cały czas zmierzamy prosto do katastrofy właśnie dlatego, że istnieją ludzie tacy jak wy, którym wydaje się, że są zdolni poprawić świat. Najgorsze nieszczęścia zawsze były dziełem rzekomych idealistów. Największe mordy popełniano w imię wolności. Najgorsze rzezie

dokonywały się w imię miłości do rodzaju ludzkiego.

– Można zmienić świat na lepsze – zapewniła Julie, która znowu nabierała pewności siebie i wracała do dawnej postaci rewolucyjnej Pasionarii.

Maximilien wzruszył ramionami.

– Świat chce wyłącznie tego, by zostawić go w spokoju. Ludzie chcą jedynie szczęścia, a szczęście polega na braku zmian i niepodważaniu istniejącego stanu rzeczy.

– Po co mielibyśmy żyć, jeśli nie po to, aby ulepszać świat? – zapytała Julie.

– Tylko po to, aby korzystać ze świata – odparł komisarz. – Korzystać z wygody, owoców na drzewach, ciepłych kropli deszczu na twarzy, trawy, aby na niej leżeć, słońca, aby się ogrzać, i tak już od czasów Adama, pierwszego człowieka. Ten kretyn wszystko zepsuł, bo chciał wiedzy. Nie potrzebujemy wiedzieć, potrzebujemy tylko cieszyć się z tego, co już mamy.

Julie potrząsnęła głową.

– Bez przerwy wszystko się powiększa, wszystko się ulepsza, wszystko staje się bardziej złożone. To normalne, że każde pokolenie stara się zrobić coś lepszego niż poprzednicy.

Maximilien nie dawał się zbić z tropu.

– I tak, chcąc zrobić coś lepszego, wynaleziono bombę atomową i bombę neuronową. Jestem przekonany, że byłoby rozsądniej przestać chcieć „robić lepiej”. W dniu, w którym wszystkie pokolenia będą robiły to, co poprzednie, wreszcie będziemy mieć spokój.

Nagle w powietrzu rozległo się *bzzz*.

– Och nie! Jeszcze tego brakowało! Do tego tutaj! – wykrzyknął komisarz.

Odwrócił się gwałtownie i pospiesznie rozwiązał sznurówki.

– Masz ochotę na nową partię tenisa, nieszczęsny owadzie?

Zamachał ręką w powietrzu, tak jakby walczył z duchem, po czym nagle chwycił się za szyję.

– Tym razem mnie dopadł – zdążył powiedzieć, zanim padł na kolana i się przewrócił.

David w osłupieniu patrzył na leżącego na ziemi policjanta.

– Z czym on walczył?

Podniósł z zimną krwią latarkę policjanta i oświetlił jego głowę. Po policzku

chodził owad.

– To osa.

– To nie osa. To latająca mrówka! I rusza się tak, jakby chciała nam coś powiedzieć – zauważyła Julie.

Owad nakłuł zuwaczką skórę policjanta. Szkarłatną krwią, która wypłynęła na twarz, wolno napisał: „Chodźcie za mną”.

Julie i David nie wierzyli własnym oczom, ale nie było to przywidzenie. Na policzku policjanta rzeczywiście koślavo napisano trzy słowa: „Chodźcie za mną”.

– Iść za latającą mrówką, która pisze po francusku zuwaczką? – sceptycznie zapytała Julie.

– Na tym etapie – powiedział David – gotów jestem pójść nawet za białym królikiem Alicji z Krainy Czarów.

Wpatrywali się w latającą mrówkę, czekając, że wskaże im kierunek, ale owad nie miał nawet czasu wystartować. Straszna żaba pokryta wrzodami i naroślami wyskoczyła z wody. Wyrzuciła długi język i w jednej sekundzie połknęła ich przewodniczkę.

Julie i David znowu rzucili się w labirynt kanałów.

– A teraz dokąd idziemy? – zapytała dziewczyna.

– Może do twojej matki?

– Nigdy w życiu.

– Więc gdzie?

– Do Francine?

– Niemożliwe. Gliny znają na pewno wszystkie nasze adresy. Z pewnością już tam są.

Julie przebiegła myślami wszystkie możliwe schronienia. Coś jej się przypomniało.

– Do nauczyciela filozofii! Kiedyś zaproponował mi, żebym u niego odpoczęła i podał mi swój adres. To tuż obok liceum.

– Znakomicie – stwierdził David. – A więc wyjdźmy stąd i chodźmy do niego. „Najpierw działać, później filozofować”.

Pobiegli pędem.

Przerażony szczur wolał raczej wskoczyć do ścieku niż ryzykować, że zostanie zdeptany.

170. ENCYKLOPEDIA

ŚMIERĆ KRÓLA SZCZURÓW: Niektóre gatunki Ratus norvegicus praktykują coś, co biolodzy nazywają „elekcją króla szczurów”. Przez cały dzień wszystkie młode samce walczą ze sobą, używając ostrych siekaczy. Najslabsze są stopniowo eliminowane, aż do momentu, gdy w finale znajdują się dwa szczury, najzręczniejsze i najbardziej waleczne ze wszystkich. Zwycięzca zostaje królem. Jeżeli wygrał walkę, oznacza to oczywiście, że jest najlepszym szczurem z całego stada. Cała reszta podchodzi do niego z uszami złożonymi do tyłu, ze spuszczoną głową lub pokazując swój zad na znak poddania. Król gryzie je lekko w pysk, aby pokazać, że jest ich panem i przyjmuje ich hołd. Stado ofiarowuje mu najlepsze pożywienie, jakie posiada, przyprowadza najaktywniejsze i najbardziej pachnące samice, przygotowuje najgłębszą wnękę, w której będzie święcił zwycięstwo.

Ale gdy tylko zaśnie, wyczerpany przyjemnościami, ma miejsce dziwny rytuał. Dwa lub trzy spośród młodych samców, które przecież uczestniczyły w akcie poddaństwa, przybiegają, aby go udusić i wypatroszyć. Następnie delikatnie otwierają mu łapami i pazurami czaszkę, rozłupując ją zębami jak orzech. Wyjmują mózg i rozdają jego kawałki wszystkim członkom stada. Bez wątpienia wierzą, że tym sposobem, przez absorpcję, wszyscy skorzystają nieco z zalet zwierzęcia wyższego, które obrały sobie za króla.

Podobnie czynią ludzie, którzy lubią wybierać sobie królów, aby potem z jeszcze większą przyjemnością rozszarpywać ich na strzępy. Miejcie się zatem na baczności, jeżeli ktoś ofiaruje wam tron; być może to tron króla szczurów.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

171. PRZEŚLADOWANIE

– Zniszczyć je.

Arelijjne wojowniczkki nacierają na deistki. Prorok 23 za późno orientuje się w tym, co się dzieje. Feromony alarmowe wysyłane są na wszystkie strony, powodując całkowity chaos.

Deistki padają, rozrzucając nóżki na boki tak, żeby ich ciała układały się

w kształt sześcioramiennej gwiazdy, i emitują, konając, mistyczne zapachy:

Palce są naszymi bogami.

W końcu udaje im się zorganizować namiastkę obrony. Padają strzały kwasu mrówkowego. Chityna się rozpływa. Zagubione pociski niszczą całe połączenie sklepienia.

23 zwołuje kilka towarzyszek:

– *Musicie mnie ocalić.*

Religia wprowadziła nie tylko kult zmarłych, ale także prymat kapłanów. Wojowniczkę deistki otaczają zwartym kręgiem 23, tworząc mur obronny ze swoich ciał, gdy tymczasem trzy grube robotnice drążą tunel, którym będzie mogła uciec.

Palce są naszymi bogami.

Dywan z nieruchomych sześcioramiennej gwiazd pokrywa coraz grubsza warstwa ziemi, a chcąc uniknąć kultu męczenników, niewierne odcinają im głowy.

Przeprowadzane dekapitacje spowalniają ofensywę. Prorok 23 dostrzega w tym swoją szansę i ucieka w towarzystwie kilku innych mrówek ocalonych z masakry.

Mała grupka pędzi korytarzami, laickie wojowniczkę depczą im cały czas po piętach. Deistki poświęcają życie, żeby ratować kapłankę. To pierwszy wypadek w całej myrmeczeńskiej historii, by tyle mrówek zginęło, ratując jedną ze swoich. Nawet królowe nie były nigdy obiektem takiego poświęcenia.

Palce są naszymi bogami.

Każde zwłoki zastygające w pozycji gwiazdy wydają z siebie przedśmiertny okrzyk. Niektóre szczątki tarasują całkowicie przejście, zmuszając ścigające do obcinania im nóg.

Pozostała już jedynie garstka deistek, lecz w przeciwieństwie do napastniczek zdecydowanie lepiej orientują się w terenie i dokładnie wiedzą, gdzie skręcić, by zgubić pościg. Nagle wpadają w pułapkę: dżdżownica zastępuje im drogę. 23 zachęca ranne i wycieńczone towarzyszkę:

– *Chodźcie za mną.*

Prorok rzuca się na robaka i ku największemu zaskoczeniu swoich wiernych zadaje mu cios zuwaczką, a następnie wskazuje na szramę, jak gdyby chodziło o właz do statku. Oto jej pomysł: posłużyć się tą pierścienią niczym podziemnym

wehikułem. Na szczęście dżdżownica jest dość tłusta. Całej grupie udaje się w niej zmieścić, nie zabijając jej.

Zwierzę opiera się, czując wciskające się w nie obce istoty, ponieważ jednak jego system nerwowy jest raczej nieskomplikowany, po chwili rusza w dalszą drogę wraz z niechcianymi pasażerami.

Olbrzymia lepka rura wspina się już na ścianę, gdy 13 i jej oddział docierają na miejsce. Niewierne nie są w stanie się zorientować, w którą stronę robak podąża. Wspina się? Schodzi w dół?

Zapach pierścienicy jest niewyraźny i trudno jest go wysledzić w labiryncie korytarzy metropolii myrmeczeńskiej. Tłusta istota pełznie więc spokojnie, transportując uciekinierki.

172. U NAUCZYCIELA FILOZOFII

Nauczyciel filozofii nie był zaskoczony, gdy zadzwonili do drzwi. Sam zaproponował, żeby się u niego zatrzymali.

Julie natychmiast pobiegła pod prysznic i była zachwycona tym, że znowu jest czysta; zmyła z siebie wszystkie ohydztwa z kanałów i ich straszny odór. Wyrzuciła swoje brudne ubrania królowej do worka na śmieci i ubrała się w dres nauczyciela. Na szczęście ubrania sportowe nie różnią się w zależności od płci ich posiadacza.

Przyjemnie czysta wyciągnęła się na kanapie w salonie.

– Bardzo panu dziękujemy. Uratował nas pan – powiedział David, który również założył dres.

Nauczyciel podał im drinki, orzeszki ziemne i poszedł przygotować coś na kolację.

Pożarli kanapki z łososiem oraz z jajkiem i kaparami.

Gdy siedzieli przy stole, nauczyciel włączył telewizor. Na samym końcu wiadomości regionalnych była mowa o nich. Julie podkreśliła dźwięk. Marcel Vaugirard przeprowadzał wywiad z przedstawicielem sił porządkowych, który wyjaśnił, że tak zwana rewolucja mrówek była dziełem grupy anarchistów, odpowiedzialnych między innymi za zranienie kolegi, który był w śpiączce.

Na ekranie pokazano zdjęcie Narcisse'a.

– Narcisse jest w śpiączce! – wykrzyknął David.

Julie oczywiście widziała, jak stylistą owadów został pobity przez Czarne Szczury i jak potem zabrała go karetka, ale do głowy by jej nie przyszło, że jest w śpiączce!

– Musimy pojechać odwiedzić go w szpitalu – powiedziała Julie.

– Mowy nie ma – sprzeciwił się David. – Natychmiast by nas złapali.

Rzeczywiście w telewizji pokazano plakat z ośmioma powiększonymi portretami muzyków grupy „Mrówki”. Ucieszyli się, dowiadując się w ten sposób, że podobnie jak im, udało się uciec także pięciu pozostałym. Tak samo jak Elisabeth.

– Dobrze, powiedzcie sami, co za historia! Lepiej zrobicie, jak zostanieie tutaj, spokojnie czekając, aż wszystko się uspokoi.

Nauczyciel filozofii zaproponował im na deser jogurt i wstał, żeby zrobić kawę.

Julie wściekała się, gdy na ekranie pokazywano zniszczenia, jakie spowodowała „Rewolucja mrówek” w liceum w Fontainebleau: zdewastowane klasy, podarte prześcieradła, meble wrzucone do ognia.

– Udało nam się udowodnić, że można zrobić rewolucję bez użycia siły. Chcą nas nawet tego pozbawić!

– Oczywiście – wtrącił się profesor filozofii. – Wydaje mi się, że wasz kolega Narcisse jest raczej w ciężkim stanie.

– Ale to Czarne Szczury go skatowały. To tylko prowokatorzy! – wykrzyknęła Julie.

– W ciągu sześciu dni naszej rewolucji nikt nie używał siły – poparł ją David.

Nauczyciel skrzywił się, jakby ich obrona nie zadowalała go w pełni. Tak mało rygorystyczny przy stawianiu not, wydawał się nagle rozczarowany ich pracami.

– Jest coś, o czym zupełnie zapominacie. Bez przemocy nic nie jest widowiskowe, a zatem interesujące dla mediów. Wasza rewolucja rozminęła się z rzeczywistością właśnie dlatego, że miała być rewolucją bez przemocy. W obecnych czasach, żeby poruszyć tłumy, należy koniecznie wystąpić w wiadomościach o dwudziestej, a żeby wiadomości o dwudziestej coś pokazały, muszą być trupy, ofiary wypadków drogowych, lawiny, nieważne czego, liczy się to, żeby była krew. Interesujemy się jedynie tym, co jest złe i co budzi strach. Powinniście byli zabić choćby jednego gliniarza. Głosząc rewolucję bez użycia siły, sprowadziliście ją do roli małej imprezy szkolnej, kiermaszu licealistów, to

wszystko.

– Żartuje pan – oburzyła się Julie.

– Nie, jestem realistą. Na szczęście ci mali faszyci was zaatakowali, w przeciwnym razie wasza rewolucja stałaby się w końcu czymś śmiesznym. Smarkacze z dobrych rodzin, którzy okupują liceum, aby produkować tam ubrania w kształcie motyla, to budzi raczej śmiech niż podziw. Powinniście im podziękować za to, że wprowadzili waszego kolegę w stan śpiączki. Jeżeli umrze, będziecie mieli przynajmniej jednego męczennika!

Czy mówił poważnie? Julie się zastanawiała. Wiedziała, że opowiadając się za brakiem przemocy, jej rewolucja traciła z pewnością część swojej mocy, ale takie zasady gry jej narzuciła, zgodnie z zaleceniami *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*. Gandhiemu udało się przeprowadzić bezkrwawą rewolucję. To mogło się udać.

– Ale wam się nie udało.

– Zdołaliśmy mimo wszystko uruchomić solidną działalność gospodarczą. Na płaszczyźnie gospodarczej nasza rewolucja była sukcesem – przypomniał David.

– I co z tego? Ludzie mają to gdzieś. Jeżeli nie ma kamer telewizyjnych, aby przekazać jakieś wydarzenie, to tak, jakby go nie było.

– Ale... – ciągnął dalej chłopak. – Wzięliśmy własny los w swoje ręce, stworzyliśmy społeczność bez boga i pana, tak, jak pan nam radził.

Nauczyciel filozofii wzruszył ramionami.

– I na tym polega ból. Próbowaliście, ale się wam nie udało. Przez was ten projekt zamienił się w żart.

– A więc nie podoba się panu nasza rewolucja? – zapytała Julie, zdziwiona tonem nauczyciela.

– Wcale mi się nie podoba. Rewolucja, podobnie jak wszystko inne, podlega pewnym zasadom, których należy przestrzegać. Jeżeli miałbym wam postawić jakąś ocenę, dałbym wam ledwie cztery. Jesteście tylko domorosłymi rewolucjonistami! Natomiast Czarnym Szczurom dałbym z pełnym przekonaniem osiemnaście.

– Nie rozumiem pana – wyjąkała przybita Julie.

Nauczyciel filozofii wyciągnął cygaro z etui, zapalił je z namaszczeniem i zaciągnął się, z rozkoszą wypuszczając dym. Dopiero, gdy dziewczyna

zauważyła, że co jakiś czas patrzy na zegar w salonie, zrozumiała. Wszystkie prowokacyjne przemówienia miały na celu jedynie odwrócenie ich uwagi i zatrzymanie ich w mieszkaniu.

Skoczyła na równe nogi, ale było za późno. Usłyszała policyjne syreny.

– Zadenuncjował nas pan!

– To było konieczne – oznajmił nauczyciel filozofii, uciekając wzrokiem przed oskarżycielskimi spojrzeniami i zaciągając się niedbale cygarem.

– Zaufaliśmy panu, a pan nas wydał!

– Pomagam wam tylko przejść do kolejnego etapu. To niezbędne, powtarzam wam. Pogłębiam waszą rewolucyjną edukację. Następny etap: więzienie. Wszyscy rewolucjoniści przez to przeszli. Na pewno będziecie lepszymi męczennikami niż utopistami niestosującymi przemoc. A z odrobiną szczęścia, tym razem będziecie mieli dziennikarzy.

Julie była oburzona.

– Mówił nam pan, że kto nie jest anarchista w wieku dwudziestu lat, ten jest głupi!

– Tak, ale dodałem jeszcze, że kto po trzydziestce jest nadal anarchista, jest jeszcze głupszy.

– Mówił pan, że ma pan dwadzieścia dziewięć lat – zaznaczył David.

– Przykro mi, właśnie wczoraj... miałem urodziny.

David złapał dziewczynę za ramię.

– Nie widzisz, że stara się, abyśmy stracili jeszcze więcej czasu? Zajmijmy się tylko tym, jak stąd uciec. Może nam się jeszcze uda. Dziękujemy za kanapki i do widzenia panu.

David musiał wypchnąć ją na schody. Uniknąć wyjścia przez bramę na dole, gdzie być może czekała już na nich policja. Zaciągnął dziewczynę na ostatnie piętro. Znaleźć klapę. Wyjść na dach, potem na następny i na kolejny. Julie odnalazła swoje odruchy, gdy skłonił ją do zjazdu po rynnie. Trzymał laskę w ustach, aby mu nie przeszkadzała.

Biegli. David powłóczył nieco nogą, ale laska pomagała mu poruszać się dość szybko.

W ten piękny wieczór na ulicach Fontainebleau był tłum. Julie obawiała się przez chwilę, żeby nikt jej nie rozpoznał, potem odwrotnie, chciała, żeby pokazał

się jakiś wielbiciel i pospieszył im z pomocą. Ale nikt jej nie rozpoznał. Rewolucja umarła, a Julie nie była już królową.

Policja była na ich tropie, a Julie miała tego dosyć. Była zmęczona. Nowo nagromadzony tłuszcz na pośladkach i brzuchu nie wystarczał już, aby dać jej energię konieczną do szybkiego biegu.

Blisko nich rozbłysły światła supermarketu i Julie przypomniała sobie, że *Encyklopedia* zalecała, aby być czujnym na wszystkie znaki. Znajdziecie tu wszystko, co wam potrzebne – głosił napis.

– Wejdźmy – powiedziała.

Policjanci byli za nimi, ale w środku wciągnął ich tłum.

David i Julie weszli między regały, skryli się za rzędem odkurzaczy i pralek, po czym dotarli do działu ubrań młodzieżowych, gdzie znieruchomieli wśród woskowych manekinów. Mimetyzm, pierwsza forma pasywnej obrony owadów...

Zobaczyli, jak policjanci wydają polecenia ochronie sklepu, a potem przechodzą koło nich, nie zauważając ich, zanim zniknęli z pola widzenia.

Dokąd teraz mieli pójść?

W dziale z zabawkami czekał na nich namiot z różowego odblaskowego plastiku. Julie i David wsunęli się do niego, przykryli się zabawkami i czekali, aż dookoła nich zapadnie cisza. Tymczasem zasnęli, przytuleni i przestraszeni, jak dwa liski.

173. CIEMNE WNĘTRZE

Mrówki deistki podróżują w ciemnych, cuchnących wnętrznościach robaka. Otoczone są pulsującymi trzewiami o mdlącym zapachu, wiedzą jednak, że na zewnątrz czeka je pewna śmierć.

Siedząc wewnątrz, pojmują już, w jaki sposób dżdżownica się porusza. Połyka ziemię, która przechodzi przez jej system trawienny, by niemal natychmiast zostać wydalona. Robak przypomina maszynę wsysającą i wyrzucającą piasek.

Mrówki usuwają się na bok, żeby nie blokować grudek błota. Dżdżownica napycha sobie głowę, a następnie przepycha grudkę ziemi ku ogonowi, dzięki czemu zwiększa swoją prędkość. Tym sposobem, nafaszerowana deistkami, przemierza nowe Bel-o-kan.

Tak się akurat złożyło, że dżdżownice i mrówki zawarły pakt o nieagresji. Mrówki rzadko je jedzą i pozwalają im się poruszać bez ograniczeń po mieście. Karmią je, a te w zamian drażą przejścia, które wymagają od robotnic już tylko niewielkich prac wykończeniowych. Mimo to w tym oślizgłym pomieszczeniu deistki nie czują się zbyt dobrze.

– *Dokąd zmierzamy?* – pyta jedna z nich.

23 odpowiada, że jedynie cud może je teraz ocalić. Modli się, żeby bogowie zechcieli zainterweniować.

Robak wreszcie wychodzi z mrowiska. Jednak w chwili, gdy wystawia głowę na zewnątrz, pewna sikorka chwyta go w locie, nic nie wiedząc o siedzących w jego wnętrzu lokatorkach.

– *Co się dzieje?* – zastanawia się jedna z mrówek, wyczuwając swoim wewnętrznym uchem, że nabierają wysokości.

– *Chyba tym razem bogowie nas wysłuchali. Zapraszają nas do swojego świata – oznajmia z namaszczeniem prorok 23, ześlizgując się wraz z towarzyszkami do żołądka wznoszącego się ku niebu ptaka.*

174. ENCYKLOPEDIA

INTERPRETACJA RELIGII NA JUKATANIE: W Meksyku, w jednym z indiańskich miasteczek Jukatanu zwanym Chicumac, mieszkańcy oddają się dziwnym praktykom religijnym. Zostali nawróceni siłą na katolicyzm przez Hiszpanów w szesnastym wieku. Ale pierwsi misjonarze zmarli, a ponieważ ten region jest odcięty od świata, nie wysłano tam nowych kapłanów. Przez niemal trzy wieki mieszkańcy Chicumac utrzymali jednak liturgię katolicką, ale ponieważ nie umieli czytać ani pisać, przekazywali modlitwy i rytuał według tradycji ustnej. Po rewolucji, gdy władza meksykańska na nowo się ustabilizowała, rząd zdecydował, że ustanowi wszędzie prefektów, aby stworzyć administrację, która będzie naprawdę kontrolowała kraj. Jeden z nich został zatem wysłany w 1925 roku do Chicumac. Prefekt uczestniczył we mszy i zorientował się, że dzięki tradycji ustnej mieszkańcom udało się niemal wiernie zapamiętać pieśni łacińskie. Jednak z czasem pojawiła się mała różnica. Mieszkańcy Chicumac zastąpili kapłana i dwóch kościelnych trzema małpami. A ponieważ ta tradycja małp przetrwała

wieki, byli jedynymi katolikami, którzy na każdej mszy wielbili... trzy małpy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

175. SUPERMARKET

– Mamo, w indiańskiej chatce są ludzie!

Jakieś dziecko pokazywało ich palcem.

Julie i David nie marnowali czasu na dziwienie się, że obudzili się w dresach w odblaskowym tipi, ale wyszli z niego, zanim ktokolwiek wpadł na pomysł zaalarmowania ochrony.

Od samego ranka supermarket był pełen ludzi.

Góry różnokolorowych produktów piętrzyły się jak w gigantycznym sezamie Ali Baby.

Klienci w pośpiechu pchali wózki, idąc podświadomie w rytm *Wiosny* Vivaldiego, puszczonej z głośników w szybszym tempie, aby skłonić klientów do robienia zakupów jeszcze szybciej.

Wszystko jest kwestią rytmu. Ci, którzy kontrolują rytm, kontrolują bicie serca.

Wzrok przyciągały czerwone etykiety z napisem *promocja, wyprzedaż lub dwa w cenie jednego*. Dla większości klientów tyle wystawionej żywności było czymś zbyt pięknym, zbyt bluźnierczym, aby mogło trwać wiecznie. Czytając gazety, nabierali przekonania, że żyją w epoce przejściowej między dwoma kryzysami i że koniecznie muszą to wykorzystać.

Paradoksalnie, im dłużej na Zachodzie trwał pokój, tym bardziej ludzie wpadali w zachwyty na widok żywności i obawiali się, że jej zabraknie.

Rzędy produktów spożywczych rozciągały się, jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach, nawet w górę. Konserwy, mrożonki, produkty pakowane próżniowo i liofilizowane, produkty roślinne, zwierzęce i chemiczne, zrodzone jedynie w wyobraźni inżynierów przetwórstwa rolno-spożywczego.

Na stoisku z herbatnikami kilkoro dzieci pożerało je paczkami, które zdejmowały bezpośrednio z półek, a potem rzucały na podłogę.

Ponieważ David i Julie nie mieli przy sobie pieniędzy, poszli w ich ślady. Dzieci rozbawione widokiem dorosłych, którzy zachowywali się tak jak one, częstowały

ich słodyczami: cukierki anyżowe, ciągutki karmelowe, cukierki ślazowe, pianki cukrowe, gummy do żucia. Trochę mdliło od cukierków jedzonych na śniadanie, ale uciekinierzy byli zbyt głodni na to, aby być wybrednymi.

Po tym posiłku Julie i David skierowali się dyskretnie w stronę wyjścia, przechodząc przez bramkę bez zakupów. To miejsce było monitorowane przez dwie kamery wideo.

Szedł za nimi jeden ochroniarz i David zasugerował Julie, żeby się nieco pospieszyła.

W tle szedł teraz utwór *Stairway to Heaven* Led Zeppelin. Jego zaletą było to, że zaczynał się wolno, a kończył w zawrotnym tempie – tak, jak mieli zachowywać się klienci hipermarketu.

Licealiści przyspieszyli kroku w rytm muzyki. Podobnie jak ochroniarz, który szedł za nimi. Teraz nie było już wątpliwości. Szedł właśnie za nimi. Albo zauważył dzięki kamerom wideo, że obżerali się za darmo herbatnikami, albo rozpoznał ich dzięki portretom publikowanym w gazetach.

Julie jeszcze bardziej przyspieszyła, Led Zeppelin podobnie.

Wyjście bez zakupów wydawało się jeszcze w ich zasięgu. Zaczęli biec. David wiedział, że nie należy nigdy biec w obecności policjanta czy psa, ale strach był silniejszy. Gdy tylko przebiegli kilka kroków, ochroniarz wyjął gwizdek i wydał ostry dźwięk, który na wskroś przeszył skronie wszystkich klientów dookoła. Wielu sprzedawców porzuciło natychmiast swoją pracę i zmierzało w kierunku podejrzanych.

Znowu musieli uciekać, i to szybko.

Julie i David przyspieszyli, aby pokonać barierę kas i wydostać się na ulicę. David utykał coraz mniej. Są momenty, gdy reumatyzm stawowy jest luksusem, na który nie można sobie pozwolić.

Pracownicy sklepu nie zniechęcili się i nadal próbowali ich złapać. Musieli być przyzwyczajeni do polowania z nagonką na złodziei. Z pewnością była to dla nich rozrywka w monotonii codziennej pracy.

Za nimi biegła gruba sprzedawczyni potrząsająca pojemnikiem z gazem łzawiącym, pracownik gospodarczy wymachiwał żelazną sztabą, podczas gdy ochroniarz wrzeszczał: „Zatrzymajcie ich, zatrzymajcie ich!”.

David z Julie biegli i trafili w ślepią uliczkę. Znaleźli się w pułapce. Niebawem

złapią ich sprzedawcy z supermarketu. Wtedy pojawił się samochód, roztrącił sprzedawców i gapiów, którzy zebrali się, aby zagrzewać ich do boju. Otworzyły się drzwi samochodu w biegu.

– Szybko, wsiadajcie! – rozkazała kobieta, której twarz przesłaniała chustka i duże okulary przeciwsłoneczne.

176. PANOWANIE

Wszystkie deistki zostały zgładzone. Pozostał po nich tylko biały totem, czczona przez nie tablica.

Księżniczka 103 prosi inżynierki ognia, żeby i ją zniszczyły. Układają zatem u jej stóp stos suchych liści i zachowując największą ostrożność, podkładają żarzący się węgielek. Wkrótce tablicę i jej sekret pochłania ogień. Gdyby mrówki potrafiły czytać, dowiedziałyby się, że napis głosił: Uwaga: ryzyko pożaru. Nie rzucać niedopałków.

Mrówki przyglądają się płonącemu monumentowi. Księżniczka 103 czuje się o wiele lepiej. Wielki biały totem został obrócony w popiół, a wraz z nim główny symbol religii deistycznej.

Ma świadomość tego, że prorokowi 23 udało się zbiec, lecz już jej to nie niepokoi. Wpływy kapłanki nie są wystarczająco mocne, żeby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Ocalałe wierne będą musiały się poddać.

24 zbliża się do niej.

– *Dlaczego zawsze musi tworzyć się podział na tych, którzy „wierzą” i „niewiernych”?* Głupie jest ignorowanie istnienia Palców, tak jak i niemądre jest czczenie ich.

Zdaniem księżniczki 103, jedyną rozsądną postawą wobec Palców jest „rozmowa” i „próba ich zrozumienia”.

24 potakuje ruchem czułków.

Księżniczka wspina się na kopułę, zajęta swoimi myślami na temat rozmaitych kłopotów nowego, rozwijającego się miasta. Ponadto martwią ją pewne kwestie natury fizjologicznej. Jak wszystkim płciowym mrówkom, na grzbiecie zaczynają jej rosnąć skrzydła, a przez żółty ślad po lakierze do paznokci zaczyna prześwitywać trójkątny receptor podczerwieni, przedzierający się przez jej czoło niczym robak.

Nowe Bel-o-kan rozrasta się nieustannie. Ponieważ piece spowodowały już rozliczne pożary, zapadła decyzja, żeby wewnątrz metropolii zachować tylko jeden z nich, pozostałe zaś w innych podległych jej miastach. Inne społeczeństwa nazywają to decentralizacją przemysłową.

Umiejętność pokonywania nocy okazuje się najważniejszym wynalazkiem. Odtąd wieczorny chłód nie unieruchamia mrówek, które – dzięki lampionom – mogą pracować bezustannie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Księżniczka 103 twierdzi, że Palce wydobywają z ziemi metale, które po stopieniu pozwalają im wytwarzać twarde przedmioty. Trzeba je odkryć. Zwiadowczynie przekopują okolicę i znoszą do mrowiska najdziwniejsze kamienie, które następnie inżynierki wrzucają w ogień, lecz nie udaje im się otrzymać metalu.

24 kontynuuje swoją sagę pod tytułem *Palce*, przedstawiając w niej sceny bitew i reprodukcji tych zwierząt. Gdy brakuje mu szczegółów, wypytuje o wszystko 103 albo zdaje się na swoją wyobraźnię. W końcu to przecież tylko powieść...

7 kieruje ruchem artystycznym. W całym mieście nie ma już ani jednej mrówki, której klatka piersiowa nie byłaby naznaczona motywem mniszka pospolitego, pożaru lub zimowitu.

Pozostaje jednak jeszcze jeden problem. 103 i 24 są tylko wirtualną parą królewską nowego Bel-o-kan. Żeby zostać nimi w rzeczywistości, musieliby mieć potomstwo. Technika, sztuka, strategia nocnej walki i wykorzenienie religii zapewniły im pozycję, o jakiej nie mogła nigdy marzyć żadna ze zwykłych królowych, mimo to ich bezpłodność zaczyna rodzić plotki. Import robotnic z zewnątrz chroni miasto przed kryzysem demograficznym, lecz owady czują się coraz bardziej nieswojo w mieście, którego geny nie są przekazywane dalej.

Książę 24 i księżniczka 103 zdają sobie z tego sprawę i żeby odwrócić uwagę, zachęcają ze wszystkich sił do uprawiania sztuki i nauki.

177. FEROMON ZOOLOGICZNY: MEDYCYNA

Zaśliniająca się 10 notuje.

MEDYCYNA: Palce zapomniały o zaletach natury.

Zapomniały o naturalnych lekarstwach na swoje choroby.

Stworzyły więc sztuczną naukę, zwaną „medycyną”.

Polega ona na zarażaniu daną chorobą setek myszy i wypróbowywaniu na nich przeróżnych środków chemicznych.

Jeśli niektóre poczują się po nich lepiej, wówczas te środki chemiczne podawane są także Palcom.

178. DESKA RATUNKU

Drzwi samochodu były otwarte na oścież, a pracownicy supermarketu coraz bliżej. Nie mieli wyboru. Lepiej było rzucić się w nieznane niż dać się złapać ochronie sklepu, która prawdopodobnie oddałaby ich w ręce policji miejskiej.

Kobieta z ukrytą twarzą nacisnęła na pedał gazu.

– Kim pani jest? – spytała Julie.

Prowadząca zwolniła, zdjęła czarne okulary, ukazując swoje rysy w lusterku wstecznym, Julie cofnęła się odruchowo.

Jej matka.

– Co ty tu robisz, mamó? – zaprotestowała.

– Szukałam cię. Nie wracałaś od kilku dni do domu. Zadzwoniłam do prefektury, do wydziału poszukiwanych na wnioski rodziny, odpowiedzieli mi, że po ukończeniu osiemnastego roku życia jesteś dorosła i możesz spać, gdzie ci się podoba. Przez pierwsze wieczory powtarzałam sobie, że jak tylko wrócisz, każę ci drogo zapłacić za ucieczkę i za to, że się tak martwiłam. A potem dowiedziałam się wszystkiego z gazet i telewizji.

Znowu jechała bardzo szybko i kilku pieszych o mało nie zostało przejechanych.

– Pomyślałam wtedy, że jesteś jeszcze gorsza niż mi się wydawało. A potem się zastanowiłam. Jeżeli reagujesz na mnie z taką agresją, to znaczy, że gdzieś popełniłam błąd. Powinnam była cię szanować jako niezależną istotę ludzką, a nie dlatego, że tak się składa, że jesteś „moją” córką. Jako niezależna istota ludzka stałabyś się bez wątpienia moją przyjaciółką. A poza tym... uważam, że jesteś niezwykle sympatyczna i podoba mi się nawet twój bunt. A więc, ponieważ nie sprawdziłam się jako matka, postaram się teraz sprawdzić jako przyjaciółka. Dlatego cię szukałam i dlatego jestem teraz tutaj.

Julie nie wierzyła własnym uszom.

– Jak mnie odnalazłaś?

– Kiedy przed chwilą usłyszałam w radiu, że uciekłaś i chowałaś się gdzieś w zachodniej dzielnicy miasta, pomyślałam sobie, że wreszcie trafiła mi się szansa odkupienia. Pojechałam tam jak najszybciej, aby przeczesać teren, modląc się, aby udało mi się ciebie znaleźć przed policją. Bóg wysłuchał moich próśb...

Szybko się przeżegnała.

– Możesz ukryć nas w domu? – spytała Julie.

Dojechali do blokady. Policjanci najwyraźniej chcieli ich zatrzymać.

– Niech pani zawróci – doradził David.

Ale matka jechała za szybko. Wołała przyspieszyć i przerwać blokadę. Policjanci szybko uskoczyli, aby nie zetknąć się z rozpędzonym bolidem.

Za nimi znowu zabrzmiały syreny.

– Gonią nas – powiedziała matka. – I z pewnością spisali już numery rejestracyjne. Wiedzą, że to ja pospieszyłam wam na pomoc. Za dwie minuty gliny będą w domu.

Matka wjechała pod prąd w ulicę jednokierunkową. Gwałtownie skręciła w ulicę prostopadłą, zgasiła silnik i poczekała, aż samochody policyjne przejadą przed nimi i zawróciła.

– Nie mogę ukryć was u siebie. Musicie schować się gdzieś, gdzie gliny was nie znajdą.

Matka obrała konkretny kierunek. Zachód. Zielony kształt i jeszcze jeden. Drzewa stały w rzędach jak armia, która, w miarę jak się do niej zbliżali, stawała się coraz bardziej potężna.

Las.

– Twój ojciec powiedział kiedyś, że gdyby miał wielkie problemy, poszedłby tutaj. „Drzewa chronią tych, którzy je o to grzecznie proszą”, zapewniał. Nie wiem, czy miałaś czas, aby zdać sobie z tego sprawę, Julie, ale twój ojciec był wspaniałym facetem.

Zatrzymała się i podała pięćsetfrankowy banknot córce, żeby nie zostawiać jej bez pieniędzy.

Julie potrząsnęła głową.

– W lesie pieniądze na wiele się nie przydadzą. Dam ci znać, co u mnie słyhać, jak tylko będę miała taką możliwość.

Wysiedli z samochodu i matka machnęła ręką.

– Nie ma potrzeby. Żyj swoim życiem. Świadomość, że jesteś wolna, będzie dla mnie rekompensatą.

Julie nie wiedziała, co odpowiedzieć. O ile łatwiej było rzucać obelgi i znajdować jadowite repliki niż reagować na tego typu słowa. Dwie kobiety ucałowały się i mocno uściskały.

– Do widzenia, Julie!

– Mamo, jeszcze jedno...

– Co, córeczko?

– Dziękuję.

Kobieta oparta o samochód patrzyła, jak dziewczyna i chłopiec znikają wśród drzew, następnie usiadła za kierownicą i ruszyła.

Samochód zniknął na horyzoncie.

Zagłębiali się w cienie roślin. David i Julie mieli wrażenie, że drzewa przyjmowały ich jako uciekinierów. Być może była to jedna z globalnych strategii lasu. Jego sposób na walkę z rodzajem ludzkim polegał na chronieniu wyrzutków.

Aby umknąć przed ewentualnym pościgiem, młody człowiek wybierał systematycznie nieoznakowane ścieżki. Nagle uwagę Julie przyciągnęła latająca mrówka, która od pewnego czasu wydawała się lecieć za nimi. Zatrzymała się, a owad przeleciał najpierw nad jej głową, a potem zaczął krążyć dookoła niej.

– Davidzie, wydaje mi się, że ta latająca mrówka się nami interesuje.

– Myślisz, że to owad podobny do tego, którego spotkaliśmy w kanałach?

– Przekonamy się.

Dziewczyna wyciągnęła otwartą dłoń z lekko rozstawionymi palcami, aby stworzyć lądowisko latającej mrówce. Owad delikatnie wylądował i zaczął spacerować.

– Chce coś napisać, tak jak tamta!

Julie zerwała jagodę z krzewu, trochę ją przycisnęła, a owad natychmiast zatopił w niej swoje zuwaczki.

„Chodźcie za mną”.

– Albo to ta sama, której udało się wydostać z wnętrza żaby, albo to jej siostra bliźniaczka – oznajmił David.

Obserwowali owada, który zdawał się na nich czekać jak taksówka.

– Nie ma żadnych wątpliwości, chciała nas przeprowadzić przez kanały, a teraz chce nas przeprowadzić przez las! – wykrzyknęła Julie.

– Co robimy? – spytał David.

– Skoro zabrnęliśmy już tak daleko...

Owad leciał przed nimi, kierując się na południowy zachód. Przeszli między różnego rodzaju dziwnymi drzewami, grabami o gałęziach rozpiętych jak parasolki, osikami o żółtej korze pociętej czernią, jesionami, których liście pachniały mannitolem.

Ponieważ zapadała noc, w pewnym momencie stracili go z oczu.

– Nie będziemy mogli iść za nim w ciemnościach.

Natychmiast pojawił się przed nimi jakiś blask, jakby mała iskierka. Latająca mrówka „zapaliła” właśnie swoje prawe oko, jak latarnię.

– Myślałam, że świetliki są jedynymi owadami, które mogą emitować światło – zauważyła Julie.

– Hm... Wiesz, zaczynam sądzić, że nasza przewodniczka nie jest prawdziwą mrówką. Żadna mrówka nie pisze po francusku i nie zapala oczu.

– Więc?

– Więc może to być maleńki zdalnie sterowany robot w kształcie latającej mrówki. Widziałem w telewizji reportaż o tego rodzaju urządzeniach. Pokazywali roboty-mrówki wyprodukowane w NASA z myślą o podboju Marsa. Ale te ich mrówki były większe. Nikt jeszcze nie osiągnął takiego stopnia miniaturyzacji – zapewnił David.

Za nimi rozległo się wściekłe ujadanie. Nagonka się zaczęła i policjanci spuścili psy.

Zaczęli biec ile sił w nogach. Latająca mrówka świeciła im reflektorem, ale psy biegingy szybciej niż oni. A utykając, David nie był w korzystnej sytuacji. Wspięli się na wzniesienie, z którego David, posługując się swoją laską, starał się trzymać rozwścieczone zwierzęta na odległość. One z kolei podskakiwały, starając się wbić w nich kły i usiłowały także złapać latającą mrówkę, która oświetlała tę przygnębiającą scenę.

– Rozdzielmy się – powiedziała Julie. – Może w ten sposób przynajmniej jednemu z nas uda się wyjść z tego cało.

Nie czekając na odpowiedź, wyruszyła, przeskakując przez krzaki. Całe stado

dogów rzuciło się za nią w pościg, szczekając, śliniąc się i chcąc rozszarpać dziewczynę na strzępy.

179. ENCYKLOPEDIA

BIEG DŁUGODYSTANSOWY: Kiedy chart i człowiek ścigają się ze sobą, pies przybiega pierwszy. Chart dysponuje taką samą zdolnością mięśni w stosunku do ciężaru ciała jak człowiek. Zgodnie z zasadami logiki powinni biec z taką samą szybkością. Jednak chart zawsze wygrywa. Dzieje się tak dlatego, że gdy człowiek biegnie, myśli o linii mety. Biegnie, mając w głowie konkretny cel, który ma osiągnąć. Natomiast chart biegnie tylko po to, żeby biec.

Wyznaczając sobie cele, myśląc o dobrej czy złej woli, marnujemy olbrzymią ilość energii. Nie należy myśleć o osiągnięciu celu, ale jedynie o posuwaniu się do przodu. Posuwamy się naprzód, a następnie zmieniamy trasę w zależności od zachodzących wydarzeń. W ten sposób, posuwając się do przodu, osiągamy cel albo wręcz osiągamy go podwójnie, nie zdając sobie z tego sprawy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

180. NAWIĄZAĆ KONTAKT

Księżniczka 103 siedzi bez ruchu w swojej komnacie. Księżę 24 krąży wokół niej bez celu. Niektóre niańki twierdzą, że gdy samiec krąży wokół samicy, lecz nie dochodzi do kopulacji, wytworzone napięcie erotyczne może być odczuwane w postaci czystej energii.

Księżniczka 103 nie bardzo wierzy w te legendy, lecz przyznaje, że widok kręcącego się wokół niej 24 powoduje u niej swego rodzaju napięcie.

Denerwuje ją to.

Stara się zatem skierować myśli na inny tor. Jej najnowszym marzeniem jest skonstruowanie latawca. Ma w pamięci liść topoli, który spadał na ziemię nie pionowo, lecz łagodnym, posuwistym ruchem. Zastanawia się, czy mrówki nie mogłyby latać na liściach, surfując z prądem powietrza. Pozostaje do rozwiązania

kwestia kontrolowania kierunku lotu.

Eksploratorki przekazują jej wiadomość, że nowe miasta ze wschodu dołączyły do federacji nowego Bel-o-kan. Z sześćdziesięciu czterech miast-córek zamieszkiwanych wyłącznie przez rudnice, Federacja rozrosła się do trzystu pięćdziesięciu, gromadzących co najmniej dziesięć różnych gatunków. Nie wspominając o kilku gniazdach os i termitierach, z którymi prowadzone są aktualnie negocjacje dotyczące ich akcesji.

Każde nowo przyjęte miasto otrzymuje zapachową flagę Federacji oraz żarzący się węgielek wraz z instrukcją obsługi: Suche liście trzymać z daleka od ognia. Nie rozpalać ognia w wietrzną pogodę. Nie spalać liści wewnątrz miasta: grozi to wytworzeniem się duszącego dymu. Nie posługiwać się ogniem w walce bez uzyskania pozwolenia od miasta-matki. Instruuje się je również na temat funkcjonowania lewara i koła; być może odkryją w swoich laboratoriach inne ciekawe zastosowania tych przyrządów.

Niektóre z mrówek wołałyby, żeby nowe Bel-o-kan zachowało tylko dla siebie tajemnice technologiczne. Księżniczka 103 jest jednak odmiennego zdania: wiedza powinna być rozpowszechniana wśród wszystkich owadów. Nawet jeśli miałyby one kiedyś wykorzystać ją przeciwko sobie w walce. To kwestia wyboru politycznego.

Magia ognia i jego zaskakujące rezultaty powodują, że mrówkom łatwiej jest pojąć postęp, jakiego dokonały władające płomieniem od dziesięciu tysięcy lat Palce.

Palce.

Obecnie wszystkie sfederowane miasta wiedzą, że Palce nie są ani potworami, ani bogami, i że księżniczka 103 dąży do nawiązania z nimi porozumienia. W swojej powieści 24 wyjaśnia tę kwestię w dwóch krótkich zdaniach:

Dwa światy przyglądają się sobie, ten nieskończenie mały i ten nieskończenie duży. Czy będą potrafiły znaleźć wspólny język?

Część mrówek popiera ten projekt, inne są przeciwne. Wszystkie jednak rozmyślają nad sposobami nawiązania takiej współpracy, myślą o jej zaletach i wadach. Być może oprócz ognia, dźwigni i koła Palce mają jeszcze inne tajemnice, o których mrówkom nawet się nie śni.

Jedynie karłowate i sprzymierzone z nimi plemiona nadal usiłują zgładzić nową

Federację i jej niszczycielskie pomysły. Po straszliwej klęsce, jaką poniosły podczas bitwy lampionów, chwilowo powstrzymują się przed atakiem na nowe Bel-o-kan. Ale to tylko chwilowe zawieszenie broni. Ich królowe – a karłowate mają ich setki – pracują nad wydaniem na świat nowego pokolenia wojowniczek, które gdy tylko osiągną odpowiedni wiek, czyli za tydzień, ponownie wyruszą na podbój Federacji rudnic.

Nie jest powiedziane, że palcowe technologie będą zawsze skuteczniejsze od kilku płodnych brzuchów zdolnych produkować wojowniczeki w ilościach hurtowych.

Nowe Bel-o-kan zdaje sobie sprawę z tego zagrożenia. Dojdzie jeszcze do wielu wojen między tymi, które chcą popchnąć świat naprzód, i tymi, które wolą go takim, jaki jest teraz.

W swojej komnacie księżniczka 103 dochodzi do wniosku, że trzeba przyspieszyć bieg Historii. Żadna trwała ewolucja nie będzie możliwa bez prawdziwego porozumienia między dwoma najważniejszymi gatunkami na Ziemi. Wzywa do siebie księcia 24, dwanaście eksploratorek i tyleż przedstawicielek sprzymierzonych gatunków. Wszyscy łączą swoje czułki we wspólnym Porozumieniu Absolutnym.

Księżniczka uważa, że powinno się postawić wszystko na jedną kartę. Ponieważ Palce nie potrafią nawiązać kontaktu z mrówkami, to owady muszą zainicjować spotkanie. Sądzi, że jedynym sposobem zrobienia wrażenia na Palcach i ukazania się im jako partner godny do rozmowy jest zbliżenie się do nich większą liczbą.

Zaproszone na konferencję insekty rozumieją, o co chodzi płodnej mrówce: dąży do kolejnej krucjaty. Księżniczka 103 precyzuje. Nie chce organizować krucjaty, nie życzy już sobie bezużytecznych wojen, woli pacyfistyczny marsz mrówek. Księżniczka jest przekonana, że Palce spokornieją na widok olbrzymiej masy owadów żyjących w ich sąsiedztwie. Ma nadzieję, że inne miasta dołączą do ich marszu i wspólnymi siłami doprowadzą do rozmowy obu gatunków.

– *Pójdziesz z nami?* – pyta księżę 24.

– *Oczywiście.*

103 ma zamiar osobiście stanąć na czele marszu.

Pozostałe gatunki owadów są zaniepokojone. Kto w tym czasie zostanie w nowym Bel-o-kan, żeby sprawować pieczę nad miastem?

– *Jedna czwarta populacji* – sugeruje 103.

Owady są zdania, że to zbyt ryzykowne. Tylko patrzeć, jak zaatakują karłowate, poza tym w pobliżu kręcą się nadal deistki. Siły reakcjonistek są wciąż znaczne. Trzeba je brać pod uwagę.

Zdania są podzielone. Wiele owadów zadowala spokój panujący w nowym Bel-kan i odniesiony sukces. Nie pojmują, z jakiej przyczyny miałyby ponownie ryzykować życie. Inne obawiają się, że spotkanie z Palcami może być fatalne w skutkach. Jak na razie wszystkie próby nawiązania porozumienia zakończyły się fiaskiem. Po co inwestować siły w pacyfistyczny marsz, którego rezultat jest wielce niepewny?

Po czym Palce odróżnią pokojowy marsz od krucjaty wojennej?

Księżniczka 103 upiera się, że nie ma wyboru: spotkanie to jest konieczne. Jeśli nie one zorganizują marsz, będzie to zadanie dla jednego z kolejnych pokoleń. Lepiej więc od razu załatwić tę sprawę, a nie zrzucić obowiązku na innych.

Dyskusja ciągnie się dość długo. Księżniczce 103 udaje się w końcu przekonać pozostałe owady, głównie dzięki charyzmie swoich feromonów. Przytacza anegdoty stworzone wokół jej własnej legendy. Nalega: nawet klęska będzie źródłem wielu cennych informacji dla tych, które zdecydują się pójść w nasze ślady.

Jednego po drugim przekonuje owady negatywnie nastawione do całej sprawy. Pokłada w marszu tyle nadziei, widzi tyle potencjalnych zysków. Może Palce zdradzą im tajemnicę jeszcze innych cudów?

– *Na przykład jakich?* – zastanawia się 24.

– *Tajemnicę humoru* – odpowiada 103.

A ponieważ żadna z obecnych nie ma tak naprawdę pojęcia, o co chodzi, wyobrażają sobie „humor” jako wynalazek typowo palcowy i nadają mu olbrzymie znaczenie. 5 podejrzewa, że humor to najnowszy model katapulty. 7 – że jest to najbardziej niszczycielski z płomieni. Książę 24 sądzi, że to forma sztuki. Pozostałe myślą, że chodzi o nowy materiał lub nieznaną dotąd formę magazynowania pożywienia.

Każdą z innego powodu kusi idea tego niezidentyfikowanego Graala, jakim jest humor. Wszystkie przystają zatem na propozycję księżniczki 103.

181. SAMA W CIEMNYM LESIE

To nie był moment na żarty. Jedyne ratunek stanowiła ta wysoka sosna. Julie niepokoiła jej stromizna, ale sfora ujadających psów okazała się najlepszą pomocą.

Rzuciła się ku gałęziom. W sytuacji zagrożenia odnalazła w swoich komórkach pamięć odległego przodka, który znakomicie chodził po drzewach, gdyż na nich stale mieszkał. Jeżeli prawdą jest, że w głębi każdego człowieka drzemie jeszcze małpa, niech przynajmniej będzie można ten fakt wykorzystać.

Ręce i stopy dziewczyny znalazły niewielkie, ale wystarczające oparcie. Kora raniła jej dłonie. Julie posuwała się w górę, gdy złowrogie kły szczękały koło jej palców u nóg. Jeden pies zdołał także wspiąć się na drzewo. Dziewczyna miała już dosyć tego psiego uporu – w przyływie wściekłości pokazała zęby i wydała agresywny pomruk.

Dog popatrzył na nią przerażony, jakby nigdy nie sądził, że przedstawiciel gatunku ludzkiego jest zdolny do tak zwierzęcego zachowania. Psy pozostałe na dole nie miały już odwagi za bardzo się zbliżyć.

Z góry Julie rzucała szyszki w kierunku ich wyciągniętych pysków.

– Idźcie sobie! Idźcie stąd! Wynoście się, paskudne zwierzaki!

O ile psy zrezygnowały z zatopienia swoich kłów w ciało dziewczyny, o tyle nadal z uporem starały się powiadomić swoich panów, że uciekinierka tu jest. Szczękały w najlepsze.

Nagle pojawiła się nowa postać. Z daleka można by sądzić, że to pies, ale poruszał się spokojniej, jego postawa była pełna dumy i wydzielał silniejszy zapach. To nie był pies, ale wilk. Prawdziwy dziki wilk.

Psy patrzyły na zbliżające się do nich wspaniałe zwierzę. Tworzyły stado, a wilk był jeden, a mimo to właśnie psy wydawały się pod wrażeniem. Wilk jest przodkiem wszystkich psów. Nie jest zwierzęciem zepsutym przez kontakt z człowiekiem.

Wszystkie psy o tym wiedzą. Od chihuahua do dobermana, od pudła do maltańczyka, mgliście pamiętają o tym, że kiedyś żyły bez ludzi, mając inny kształt i innego ducha. Były wtedy wolne: były wilkami.

Psy spuściły łby i uszy na znak poddaństwa; podkuliły ogony, aby ukryć swój zapach i chronić swoje narządy. Oddały mocz, co w psim języku oznaczało: „Nie

mam określonego terytorium, dlatego oddaję mocz w dowolnym momencie i miejscu”. Wilk wydał pomruk, który oznaczał, że on oddaje mocz jedynie w czterech kątach określonego terytorium i że psy właśnie się na nim znajdują.

To nie nasza wina, to ludzie uczynili nas takimi – bronił się owczarek niemiecki w języku psio-wilczym.

Wilk odpowiedział z pogardliwym grymasem na pysku:

W życiu zawsze ma się wybór.

I rzucił się do przodu, wysuwając kły, zdecydowany zabijać.

Psy zrozumiały i uciekły, skomląc.

Julie nie miała przyjemności podziękować swojemu wybawcy. Wściekły na dalekich zdegenerowanych kuzynów, wilk zaczął gonić jednego z dogów ze sfory. Ktoś musiał zapłacić za to zamieszanie w lesie.

Kły pokazuje się po to, żeby zabijać.

Takie jest prawo wilków, a poza tym małe wilczki nie rozumiałyby, dlaczego wieczorem ojciec wraca do nory bez łupu. Na kolację zjedzą sobie ucywilizowanego kuzyna.

– Dziękuję ci, Przyrodo, za to, że wysłałaś mi z pomocą wilka – wyszeptała Julie na drzewie, gdzie słyszała już jedynie szum liści wstrząsanych wiatrem.

Puchacz powitał pohukiwaniem nadejście nocy.

Julie, która bała się swojego wybawiciela wilka tak samo jak psów, zdecydowała się zostać na sośnie. Ułożyła się wygodnie na jej gałęziach, ale nie udało jej się zasnąć.

Obserwowała uważnie las skąpany w bladym świetle księżyca. Wydawał jej się pełen zaklęć i ukrytych tajemnic. Dziewczyna o jasnoszarych oczach odczuła nową potrzebę, konieczność, której dotychczas nie знаła: wyć do księżyca. Podniosła głowę i z jej wnętrza wydobył się słup energii dźwiękowej.

– O-O-O-O-O-O-U-U-U-U-U-u-u-u-u-u!

Yankélévitch, jej nauczyciel, mawiał, że sztuka co najwyżej naśladuje naturę. Odtwarzając nawoływania wilków, dochodziła do szczytu swojej sztuki śpiewu. Z oddali kilka wilków odpowiedziało:

– O-U-U-u-u-u-H-H-H!

W języku wilków mówiły:

Witaj we wspólnocie tych, którzy lubią wyć do księżyca. Dobrze jest to robić, prawda?

Przez pół godziny nieprzerwanie wyła dalej i pomyślała, że jeżeli pewnego dnia znowu stworzy społeczeństwo utopijne, doradzi wszystkim jego członkom, aby co najmniej raz w tygodniu, na przykład w sobotę, wszyscy wyli razem do księżycy. Razem, bo przyjemność musiała być znacznie większa w kilka osób. Ale tu była sama, porzucona przez przyjaciół i społeczeństwo. Sama, zgubiona w lesie, pod olbrzymim sklepieniem nieba. Jej wycie przekształciło się w żalosne poszczekiwanie.

Rewolucja mrówek wytworzyła w niej złe nawyki. Czuła teraz nieustanną potrzebę bycia otoczoną ludźmi, aby rozmawiać z nimi o nowych doświadczeniach i projektach, które trzeba zrealizować.

W ciągu ostatnich dni przyzwyczała się do życia we wspólnocie. Musiała teraz wyznać, że szczęścia nie zaznała samotnie, ale w grupie. Ji-woong. Ale nie tylko Ji-woong. Ironiczna Zoé. Rozmarzona Francine. Zawsze niezręczny Paul. Rozważny Léopold. Narcisse, oby to nie było nic poważnego. David... David. Na pewno rozszarpały go psy. Co za straszna śmierć... Mama. Nawet matki jej brakowało. Czuła się tym bardziej zredukowana, że była pomnożona przez siedmiu przyjaciół, a nawet przez wszystkich pięciuset dwudziestu jeden uczestników rewolucji mrówek, nie mówiąc o tych wszystkich, którzy na świecie przyłączyli się do ich projektu.

Próbowała zamknąć oczy i wydobyć płat światła ze swojego umysłu. Powiększyła go, aby opuścił jej mózg i przekształcił się w olbrzymią chmurę, która przykryła cały las. To ciągle było możliwe. Schowała płat światła i zawyła przeciągle raz jeszcze do księżycy.

– O-O-O-U-u-u-u-H-H-H!- O-O-O-U-u-u-u-H-H-H! – odpowiedział jakiś wilk.

Tutaj mogło ją usłyszeć tylko kilka oddalonych wilków, których nie znała i nie miała ochoty poznać. Skuliła się i poczuła zimno docierające do jej stóp. Jej siatkówka rozpoznała jakiś poblask.

„Latająca mrówka, która chciała nas poprowadzić...” – pomyślała, prostując się, pełna nadziei.

Ale tym razem to naprawdę były robaczki świętojańskie. Krążyły w miłosnym tańcu. Tańczyły w trzech wymiarach, oświetlane własnymi, wewnętrznymi projektorami. Na pewno miło było być robaczkiem świętojańskim i tańczyć ze

swoimi przyjaciółmi i ich światełkami.

Julie było zimno.

Musiła koniecznie odpocząć. Wiedziała, że sen może trwać krótko, i zaprogramowała swój umysł tak, aby natychmiast wejść w fazę głębokiego regeneracyjnego snu.

O szóstej rano obudziło ją ujadanie. To szczekanie rozpoznałaby wśród tysiąca innych. To nie były psy policyjne, to był Achilles. Odnalazł ją. Pomyśleli o tym, aby wykorzystać Achillesa do znalezienia jej.

Człowiek ustawił sobie latarkę pod brodą. Podświetlona od dołu twarz Gonzague'a Dupeyrona w znacznej mierze straciła swój anielski wygląd.

– Gonzague!

– Tak, gliniarze nie wiedzą, jak cię odszukać, ale ja wpadłem na pewien pomysł. Twój pies. Biedne zwierzę było samo w ogrodzie. Nie musiałem się bardzo starać, żeby zrozumiał, czego od niego oczekuję. Daliśmy mu do powąchania kawałek spódnicy, który zabrałem ostatnim razem, i natychmiast wyruszył na łowy. Psy są naprawdę najlepszymi przyjaciółmi człowieka.

Złapali Julie i przywiązali ją do drzewa.

– Ach, tym razem będziemy mieli więcej spokoju. Można uznać, że to drzewo jest indiańskim palem tortur. Ostatnio mieliśmy nóż segmentowy, teraz zrobiliśmy postępy pod względem wyposażenia...

Pokazał swój rewolwer.

– To mniej dokładne, ale ma tę zaletę, że działa na odległość. Możesz krzyczeć, w lesie nikt cię nie usłyszy poza twoimi przyjaciółkami... „mrówkami”.

Zaczęła się wyrywać.

– Na pomoc!

– Krzycz swoim pięknym głosem! No już, krzycz!

Przestała. Utkwiła w nich swój jasnoszary wzrok.

– Dlaczego to robicie?

– Lubimy patrzeć na cierpienie innych.

Strzelił w łapę Achillesa, który wyglądał na zaskoczonego. Zanim zwierzę zdołało zrozumieć, że pomyliło się co do sojusznika, druga kula trafiła je w drugą przednią łapę, wreszcie dwie kolejne w tylne łapy, później następna w kręgosłup, wreszcie ostatnia w głowę.

Gonzague ponownie załadował rewolwer.

– Teraz twoja kolej.

Przystawił lufę do jej policzka.

– Nie. Zostawcie ją.

Gonzague odwrócił się.

David!

– Zdecydowanie życie jest wiecznym początkiem. David zawsze przybywa na ratunek uwięzionej pięknej księżniczce. Jakie to romantyczne. Jednak tym razem zmienimy zakończenie tej historii.

Skierował swój rewolwer w stronę Davida, odbezpieczył go... i Gonzague padł na ziemię.

– Uwaga, to latająca mrówka! – powiedział jeden z jego koleżków.

To rzeczywiście była latająca mrówka, która kłuła już swoim żądłem popleczników Gonzague'a Dupeyrona.

Starali się bronić, ale dookoła nich było wystarczająco dużo latających owadów, aby nie mogli zauważyć owada-roboty. Latająca mrówka pikowała trzykrotnie i trzy Czarne Szczury padły na ziemię. David rozwiązał Julie.

– Uff, tym razem myślałam, że nie wyjdę z tego żywa – powiedziała Julie.

– To niemożliwe. Nie było najmniejszego ryzyka.

– Ach tak, a dlaczego, twoim zdaniem?

– Bo jesteś bohaterką. A w powieściach bohaterki nie umierają – zażartował.

To dziwne rozumowanie zaskoczyło dziewczynę, pochyliła się nad psem.

– Biedny Achilles, myślał, że ludzie są najlepszymi przyjaciółmi psów.

Szybko wykopała dziurę i zakopała go. W formie epitafium powiedziała jedynie:

– Tu leży pies, który tak naprawdę nie uczestniczył w ulepszaniu swojego gatunku... Szczęśliwej podróży, Achillesie.

Latająca mrówka nadal krążyła nad nimi, bzyząc z odrobiną niecierpliwości. Jednak Julie chciała nieco ochłoniąć, przytuliła się do Davida. Potem, zdając sobie sprawę z tego, co robi, wzięła się w garść i odsunęła się.

– Musimy iść, latająca mrówka chyba się denerwuje – zauważył młody człowiek.

Prowadzeni przez owada, zagłębili się jeszcze bardziej w ciemny las.

KWESTIA SKALI: Przedmioty istnieją jedynie w takiej formie, w jakiej je postrzegamy w pewnej skali. Matematyk Benoît Mandelbrot nie tylko wymyślił jakże wspaniałe obrazy fraktalne, ale także wykazał, że postrzegamy jedynie cząstkowy obraz otaczającego nas świata. I tak, jeżeli zmierzymy kalafior, uzyskamy średnicę wynoszącą na przykład trzydzieści centymetrów. Ale jeżeli zaczniemy mierzyć poszczególne zwoje, średnica ta zostanie pomnożona przez dziesięć.

Nawet płaski stół pod mikroskopem okaże się ciągiem gór, które, gdybyśmy prześledzili różnice poziomów, zwiększyłyby jego rozmiary do nieskończoności. Wszystko zależy od tego, jaką skalę wybierzemy do badania tego stołu. Widziany w takiej skali, będzie miał taki rozmiar, a w innej – podwójny. Benoît Mandelbrot pozwala nam twierdzić, że w kategoriach bezwzględnych żadna informacja naukowa nie jest prawdziwa, że najważniejsza postawa nowoczesnego, uczciwego człowieka polega na przyjęciu tego, że każda wiedza zawiera ogromną część niedokładności, która zostanie zmniejszona przez kolejne pokolenie, ale nigdy nie będzie całkowicie wyeliminowana.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

183. WIELKI MARSZ

Już od świtu przygotowania do wymarszu ruszają pełną parą. W całym mieście nie mówi się o niczym innym, jak tylko o pacyfistycznym marszu do świata Palców.

Tym razem to nie jedna, lecz cały tłum mrówek ma się spotkać z wyższym wymiarem... być może z samymi bogami.

Każda z wojowniczek napełnia swój odwłok kwasem mrówkowym.

– *Naprawę wierzysz, że Palce istnieją?*

Jedna z mrówek potakuje niepewnie. Przyznaje, że nie jest o tym w pełni przekonana, ale przecież jedynym sposobem, żeby to sprawdzić, jest wzięcie udziału w marszu. Jeśli się okaże, że Palce nie istnieją, będzie można wrócić sobie najzwyczajniej w świecie do nowego Bel-o-kan i żyć dalej.

Nieco dalej toczy się bardziej zajadła dyskusja.

– *Sądzisz, że Palce zgodzą się uznać nas za równych sobie?*

Rozmówczyni drapie się u nasady czułka.

– Jeśli tego nie zrobisz, wypowiemy im wojnę i będziemy bronić się do ostatnich sił.

Wokół nowego Bel-o-kan gromadzą się pielgrzymi.

Ślimaki szykują się do podróży. Te olbrzymie gruboskórne i śliskie stworzenia są zdecydowanie najlepszymi tragarzami. Poruszają się wolno, ale są w stanie pokonać niemal każdą przeszkodę, a na dodatek zaledwie jeden osobnik może ocalić mrówki od śmierci głodowej. Ziewają, ukazując tysiąc sześćset małych zębów, podczas gdy przytracza im się bagaże.

Będą niosły na grzbietach ciężkie kosze żarowe i zapasy pożywienia.

Niektóre ślimaki będą nieść jajeczka-amfory wypełnione pitnym miodem. Mrówki zorientowały się bowiem, że nawet w małych ilościach alkohol ten pozwala lepiej znosić chłód i dodaje odwagi.

Jeszcze innym ślimakom ładuje się na grzbiet mrówki-cysterny, te słynne nieruchome owady, wypełnione spadzią do tego stopnia, że ich odwłok jest pięćdziesiąt razy większy niż reszta ciała i nabrzmiały jak balon.

– Mamy wystarczająco dużo jedzenia, by przetrwać nawet dwa okresy hibernacji – oznajmia książe 24.

Księżniczka 103 przyznaje, że przeprawa przez pustynię nauczyła ją, iż brak pożywienia może skazać na klęskę nawet najsukuteczniejszą ekspedycję. Ponieważ nie ma pewności, że cała trasa będzie obfitować w zwierzynę, lepiej się zabezpieczyć.

Nad mrówkami zajętymi przygotowaniami do wymarszu lata nowo utworzona eskadra os i pszczoł, czuwając nad ich bezpieczeństwem.

Największy rozgardiasz panuje przy trzecim wejściu do nowego Bel-o-kan, gdzie olbrzymi tłum stara się ustawić zgodnie z przynależnością do danej kasty, laboratorium czy też ślimaka.

7 przytracza do swojego ślimaka długi liść konopi, na którym ma zamiar namalować przebieg podróży w stronę świata Palców. Przygotowuje również kilka rodzajów pigmentu do barwienia fresku: pyłek kwiatowy, krew żuka i trociny.

Robotnice z kasty inżynierek pracują nad zakładaniem uprzęży z traw, która ma utrzymać na grzbietach ślimaków kamienie wypełnione żarem. Nie obawiają się pożaru, raczej nie chcą stracić cennych węgielków. Zabierają ze sobą oczywiście suche szczapki, by podsycać ogień w razie potrzeby. Wiedzą, że ogień to żarłoczne

zwierzę.

Wreszcie wszyscy są gotowi, a temperatura odpowiednia, żeby ruszyć w drogę. Pada komenda:

– *Naprzód.*

Olbrzymia karawana, składająca się z co najmniej siedmiuset tysięcy osobników, rusza. Zwiadowczynie stoją w pierwszym szeregu, formując trójkąt. Co jakiś czas bardziej wypoczęte zastępują na czele wyprawy te bardziej zmęczone. Dzięki temu „nos” wielkiego zwierzęcia odnawia się bez przerwy.

Za zwiadowczyniami kroczą mrówki z kasty artylerzystek. Na dany znak automatycznie przyjmą pozycję do strzału. Następnie idzie pierwszy ze ślimaków, niosący dymiący kosz żarowy. Grupa artylerzystek siedzi na jego grzbiecie gotowa do ataku.

W dalszych szeregach podąża piechota. Wojowniczkki te mają również za zadanie polować i dostarczać całej procesji pożywienie.

Za nimi pełźnie drugi ślimak, również niosący na grzbiecie kosz żarowy i artylerzystki.

Kolejnym oddziałem jest legia cudzoziemska. Należą do niej głównie mrówki czerwone, czarne i żółte.

W centrum znajdują się robotnice inżynierki i artystki.

Księżniczka 103 i książę 24 mają do swojej dyspozycji całego ślimaka, dzięki któremu podróż nie powinna ich za bardzo zmęczyć.

Wreszcie na tyłach pochodu kroczy jeszcze jeden oddział artylerzystek oraz dwa ślimaki gotowe do obrony.

Po bokach biegają wojowniczkki, których rola polega na dopingowaniu maszerujących, kontrolowaniu podejrzanych terenów i utrzymywaniu spójności pochodu. 5 i jej towarzyszkki sprawują pieczę nad pilnującymi i naprowadzają na właściwą drogę przewodników. To one tak naprawdę kierują marszem.

Wszystkie mają poczucie, że uczestniczą w wydarzeniu o niezwykłym znaczeniu dla ich gatunku. Pod ciężarem tak ogromnej masy owadów ziemia drży, trawa się pokłada, nawet drzewa nie pozostają obojętne. Nigdy, za ich pamięci, nie miały do czynienia z taką liczbą mrówek zmierzającą w tym samym kierunku. Nigdy wcześniej ślimaki nie kroczyły ramię w ramię z mrówkami, niosąc na grzbietach dymiące kosze żarowe.

Wieczorem owady rozbijają olbrzymi obóz. W centrum umieszczono rozżarzone węgielki, dzięki którym najbliższe znajdujące się insekty mogą aktywnie funkcjonować, podczas gdy te znajdujące się na peryferiach obozowiska śpią. Księżniczka 103, stojąc na czterech nóżkach, opowiada wielkiej rzeszy towarzyszek to, co jeszcze wie o Palcach.

184. FEROMON ZOOLOGICZNY: PRACA

Zaśliniająca się 10 notuje.

PRACA:

Palce najpierw walczyły, by zdobyć pożywienie.

Następnie, gdy zdołały zaspokoić tę potrzebę, zaczęły bić się o wolność.

Gdy uzyskały wolność, zaczęły starania o to, by móc jak najdłużej wypoczywać, nie pracując.

Obecnie, dzięki maszynom, udało im się osiągnąć ten cel.

Siedzą w swoich gniazdach i korzystają z uroków pożywienia, wolności i braku pracy, lecz zamiast mówić sobie: „Życie jest piękne, możemy spędzać całe dni, nic nie robiąc”, czują się nieszczęśliwe i głosują na szefów, którzy obiecują im pracę i zmniejszenie bezrobocia.

Co ciekawe: w palcowym języku francuskim słowo „praca” pochodzi z łacińskiego tripalium – ‘trójnóg’, oznaczającego jedną z najgorszych kar, jakie wymierzano niewolnikom.

Polegała ona na powieszeniu delikwenta głową w dół z trójnogu i okładaniu go kijem.

185. SANKTUARIUM

Krzewy jeżyn otaczały zagłębienie. W środku był pagórek, a na nim jeszcze jeden, mniejszy. Latały ptaki, śpiewając wesołe melodie. Cyprysy falowały, słuchając ich.

Wychylając się z długiej skały piaskowca, Julie powiedziała cicho:

– Wydaje mi się, że rozpoznaję to miejsce.

Miejsce również ją rozpoznało. Poczwała, że jest śledzona. Nie przez drzewa, ale przez samą ziemię. Dwa wzniesienia były niczym oko z wielką źrenicą, której rzeszy stanowił rząd jeżyn.

Latająca mrówka nie prowadziła ich jednak w stronę krzewów, ale w kierunku parowu znajdującego się bezpośrednio poniżej palca z piaskowca.

Julie szła dalej. Tym razem nie miała już wątpliwości. To tutaj znalazła *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*.

– Jeżeli zejdziemy tam na dół, już nigdy nie będziemy mogli się stamtąd wydostać – uznał David.

Latająca mrówka krążyła nad nimi, zmuszając ich do skoku. Zrezygnowani, poddali się.

Dziewczyna i chłopak ranili sobie ręce i twarze o pokrzywy, akacje, pnącza i osty. Naprawdę było tu pod dostatkiem wszystkiego, co cieszy się złą sławą w świecie roślin. Kilka powojów ożywiało kwiatową nutą to ponure otoczenie.

Latająca mrówka zaprowadziła ich do otworu. Na czworakach, jak krety, posuwali się w głąb ziemi.

Latająca mrówka oświetlała tunel swoim okiem płonącym jak latarnia. David z trudem włókł się do przodu, nie wypuszczając z rąk laski.

– Na dole nie ma przejścia, to ślepy zaułek. Wiem o tym, bo już tu schodziłam – oznajmiła Julie.

Rzeczywiście, na końcu tunel był zamknięty. Latająca mrówka wylądowała tak, jakby zakończyła już pracę w charakterze przewodnika.

– Cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak przemierzyć tę drogę z powrotem – westchnęła dziewczyna.

– Poczekaj, ten owad-robot z pewnością nie przyprowadził nas tutaj na próżno – powiedział David.

Z uwagą badał miejsce. Pomacał mur i wyczuł dłonią coś twardego i zimnego. Strząsnął piasek i odkrył okrągłą metalową płytkę, którą latająca mrówka natychmiast oświetliła. Na metalowej płytce była wyryta zagadka, którą otaczała klawiatura typu digicode, pozwalająca wpisać odpowiedź.

Razem odczytali: „Jak z sześciu zapalek ułożyć osiem równych trójkątów równobocznych?”.

Teraz na odmianę geometria. Julie złapała się za głowę. Przed szkołą nie można uciec, dopadnie cię wszędzie.

– Zastanówmy się. To zagadka z telewizji – powiedział David, który lubił zagadki i rzadko opuszczał „Pułapkę w rozumie”.

– Ach tak! Cóż, kobieta z telewizji, która jest taka bystra, nie znalazła rozwiązania. A więc my...

– Przynajmniej tak długo, jak staramy się je znaleźć, jesteśmy bezpieczni – nalegał David.

Młody człowiek wyrwał z ziemi jakiś korzeń, połamał go na sześć kawałków, które zaczął układać we wszystkie strony.

– Sześć zapalek i osiem trójkątów... To powinno dać się zrobić.

Długo bawił się z zapalkami. Nagle oznajmił:

– Już wiem, znalazłem rozwiązanie!

Wyjaśnił jej zagadkę. Wystukał słowo i nagle metalowe drzwi otworzyły się ze szczękiem.

Za nimi było światło i ludzie.

186. FEROMON ZOOLOGICZNY: INSTYNKT STADNY

Zaśliniająca się 10 notuje.

INSTYNKT STADNY:

Palce są zwierzętami stadnymi.

Z trudnością znoszą samotne życie.

O ile to możliwe, łączą się w stada.

Jednym z najbardziej spektakularnych miejsc, gdzie się gromadzą, jest „metro”.

Są tam zdolne znieść coś, na co żaden owad by się nie zgodził: przyciskają się jedne do drugich, tłoczą i gniotą w gęstym tłumie, uniemożliwiającym jakikolwiek ruch.

Fenomen metra nakazuje zadać sobie pytanie: czy Palce posiadają indywidualną inteligencję, czy też kierują nimi nakazy słuchowe lub wzrokowe, zmuszające je do tego rodzaju zachowania stadnego?

187. A WIĘC TO BYLI ONI

Pierwszą twarzą, którą zobaczyła Julie, była twarz Ji-woonga. Później pojawili się Francine, Zoé, Paul i Léopold. Z wyjątkiem Narcisse’a „Mrówki” były w komplecie.

Przyjaciele wyciągnęli ramiona i objęli ich mocno. Ściskali się wszyscy,

szczęśliwi z ponownego spotkania. Całowali Julie w rozpalone policzki.

Ji-woong opowiedział ich przygody. Po tym, jak udało im się, lepiej lub gorzej, ale w każdym razie cało wyjść z potyczek w liceum, chcieli pomścić Narcisse'a i ścigali po uliczkach sąsiadujących z liceum Czarne Szczury, lecz te były już daleko. Policjanci rzucili się za nimi w pościg i musieli zadać sobie wiele trudu, aby przed nimi uciec. Las wydał im się dobrym schronieniem, a później pojawiła się latająca mrówka, która doprowadziła ich tutaj.

Otworzyły się drzwi i w prześwicie pojawiła się mała, przygarbiona postać: starszy pan z długą, białą brodą, przypominający Świętego Mikołaja.

– Ed... Edmund Wells? – wymamrotała Julie.

Starzec potrząsnął głową.

– Edmund Wells zmarł trzy lata temu. Nazywam się Arthur Ramirez. Do usług.

– To pan Ramirez wysłał roboty w kształcie latających mrówek, aby nas tu doprowadzić – zapewniła Francine.

Dziewczyna o jasnoszarych oczach przez chwilę patrzyła na wybawcę.

– Znał pan Edmunda Wellsa? – zapytała.

– Nie lepiej ani nie gorzej niż pani. Znam go jedynie dzięki tekstom, jakie nam pozostawił. Ale czy czytanie czyichś tekstów nie jest najlepszą metodą, aby go poznać?

Wyjaśnił, że to miejsce istniało dzięki *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* Edmunda Wellsa. Edmund Wells miał zwyczaj budowania podziemnych korytarzy i drzwi, które otwierały się po rozwiązaniu zagadek o zapalkach i trójkątach. Edmund Wells lubił kopać nory i chować w nich tajemnice i skarby.

– Myślę, że w głębi serca był dużym dzieckiem – powiedział z rozbawieniem starszy człowiek.

– Czy to on umieścił książkę na dnie tunelu?

– Nie, to ja. Edmund miał zwyczaj tworzenia oznakowanych ścieżek pozwalających dojść do jego kryjówek. Z szacunku dla dzieła Wellsa poszedłem w jego ślady. Kiedy odkryłem trzeci tom *Encyklopedii*, najpierw skopiowałem go na kserokopiarce, a następnie położyłem oryginał przy wejściu do mojej kryjówki. Byłem przekonany, że nigdy nikt go nie znajdzie, ale pewnego dnia stwierdziłem, że zniknął. A zatem to pani, Julie, go odkryła. I dlatego właśnie pani powinna przejąć pałeczkę.

Znajdowali się w czymś w rodzaju wąskiego przedpokoju.

– W walizce był mininadajnik. Bez trudu panią zidentyfikowałem. Od tego momentu moje szpiegowskie mrówki już pani nie opuszczały, śledząc panią ciągle z bliska lub z daleka. Chciałem się dowiedzieć, jak pani wykorzystywała wiedzę zawartą w *Encyklopedii* Edmunda Wellsa.

– Ach, to dlatego mrówka usiadła mi na rękę w czasie mojego przemówienia w pierwszym dniu!

Arthur uśmiechnął się życzliwie.

– Pani interpretacji myśli Edmunda Wellsa nie brak pikanterii. Tutaj, dzięki latającym mrówkom szpiegowskim, dysponowaliśmy wszystkimi obrazami z rewolucji mrówek.

– Całe szczęście, bo nie doczekałby się pan, żeby dziennikarze pokazali je w telewizji! – powiedział z ironią David.

– Oglądaliśmy to jak serial. Za pomocą moich małych zdalnie sterowanych mrówek szpiegowskich odkrywamy to, co nie przyciąga uwagi mediów.

– Ale kim pan jest?

Arthur opowiedział swoją historię.

Kiedyś był specjalistą w dziedzinie robotyki. Na potrzeby armii wynalazł zdalnie sterowane wilki – roboty wojenne. Te maszyny pozwalały bogatym krajom, które chciały oszczędzić życie własnych obywateli, prowadzić wojnę z biednymi przeludnionymi krajami, chętnie wysyłającymi na śmierć ludzi, których nie były w stanie wyżywić. Stwierdził jednak, że żołnierzy, którzy sterowali wilkami, ogarniał szal i zabijali wszystkich dookoła siebie, tak jak w grze komputerowej. Załamany odszedł z pracy i otworzył sklep z zabawkami „U Arthura, Króla Zabawek”. Jego talenty w zakresie robotyki pozwoliły mu wynaleźć mówiące lalki, które pocieszały dzieci lepiej niż prawdziwi rodzice. To były miniroboty wyposażone w syntetyczny głos i program informatyczny dostosowujący odpowiedzi do słów dziecka. Myślał, że dzięki tym uspokajającym pluszakom całe pokolenie będzie dorastało w mniejszym stresie niż poprzednie.

– Wojna jest głównie sprawą źle wychowanych ludzi. Mam nadzieję, że moje małe pluszaki zapoczątkowały już proces dobrej edukacji.

Pewnego dnia przypadkowo dotarła do niego paczka, listonosz na pewno pomylił się przy roznoszeniu. Zawierała drugi tom *Encyklopedii wiedzy względnej*

i *absolutnej* Edmunda Wellsa i była przeznaczona dla Laeticii Wells, jedynej córki profesora – list zawierał informację, że książka stanowi jedyny spadek po uczonym. Arthur i Juliette, jego żona, chcieli natychmiast odesłać Laeticii to dzieło, ale ciekawość była silniejsza. Najpierw przekartkowali książkę. Była w niej oczywiście mowa o mrówkach, ale także o socjologii, filozofii, biologii, a przede wszystkim o porozumieniu między różnymi cywilizacjami oraz miejscu człowieka w czasie i przestrzeni.

Zafascynowany słowami Edmunda Wellsa, Arthur przystąpił do budowy słynnej maszyny tłumaczącej język zapachowy mrówek na mówiony język ludzki, zwanej Kamieniem z Rosetty. W ten sposób udało mu się nawiązać dialog z owadami, a szczególnie z bardzo rozwiniętą mrówką zwaną 103.

Następnie, z pomocą Laeticii Wells, policjanta Jacquesa Mélièsa i ówczesnego ministra badań naukowych Raphaëla Hisauda, skontaktował się z Prezydentem Republiki, aby spróbować przekonać go o potrzebie otwarcia mrówczo-ludzkiej ambasady.

– A więc to pan wysłał list Edmunda Wellsa? – zapytała Julie.

– Tak, po prostu go przepisałem. Znajdował się już w *Encyklopedii*.

Dziewczyna o jasnoszarych oczach wiedziała, jak małe zaufanie wzbudził ten list, ale nie powiedziała mu, że przesyłka stała się przedmiotem żartów na przyjęciach wydawanych na cześć wysłanników zagranicznych.

Arthur przyznał, że prezydent nigdy mu nie odpowiedział, a minister, który popierał jego projekt, został zmuszony do dymisji. Wtedy poświęcił całą energię na sprostanie temu wyzwaniu: otwarciu mrówczo-ludzkiej ambasady, która umożliwiłaby wreszcie współpracę obu cywilizacji z korzyścią dla wszystkich.

– Czy to pan zbudował tę podziemną kryjówkę? – zapytała Julie, aby zmienić temat.

Przytaknął, dodając, że gdyby zjawili się zaledwie tydzień wcześniej, stwierdziliby, że z zewnątrz miejsce przypominało bardziej piramidę.

Miejsce, do którego dotarli David i Julie, stanowiło zaledwie przedsionek. Dalej drzwi prowadziły do większego pomieszczenia. Była, to duża okrągła sala, w której środku unosiła się trzy metry nad ziemią świetlna kula o około półmetrowej średnicy. Światło pochodziło z cienkiej szklanej kolumny wznoszącej się aż do szczytu zakończonego szpicem sufitu, doprowadzającej do wnętrza piramidy

naturalne światło dzienne.

Dookoła były rozmieszczone stanowiska laboratoryjne, na których piętrzyły się skomplikowane urządzenia i komputery.

– Sprzęt znajdujący się w dużej sali to maszyny mogące się łączyć ze sobą. Drzwi, które widzicie z tej i z tamtej strony, prowadzą do laboratoriów, w których moi przyjaciele pracują nad projektami wymagającymi większego spokoju.

Arthur wskazał ręką wąski korytarz nad nimi, gdzie również znajdowało się dużo drzwi.

– Całość składa się z trzech pięter. Na pierwszym pracujemy, przeprowadzamy doświadczenia, testujemy projekty. Na drugim żyjemy wspólnie, odpoczywamy. Tam znajdują się jadalnie, pomieszczenia na cele rekreacyjne, jak również zapasy żywności. Wreszcie na trzecim są sypialnie.

Kilka osób wyszło z laboratoriów, aby przedstawić się uczestnikom rewolucji mrówek. Był tu Jonathan Wells, bratanek Edmunda, jak również jego żona, Lucie, ich syn Nicolas i babcia Augusta Wells. Był także profesor Rosenfeld, naukowiec Jason Bragel, a także policjanci i strażacy, którzy wyruszyli na ich poszukiwanie².

Przedstawili się jako „ludzie pierwszego tomu” *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*.

Laetitia Wells, Jacques Méliès i Raphaël Hisaud, podobnie jak Arthur Ramirez, byli z kolei „ludźmi drugiego tomu”. Znajdowało się tu ogółem dwadzieścia jeden osób, do których dołączyła Julie wraz z szóstką przyjaciół.

– Dla nas jesteście „ludźmi trzeciego tomu” – oświadczyła Augusta Wells.

Jonathan Wells wyjaśnił, że ponieważ propozycja otwarcia mrówczo-ludzkiej ambasady nie wzbudziła zainteresowania, ludzie pierwszego i drugiego tomu postanowili odgrodzić się od świata i pozostać razem, aby przygotować warunki do tego koniecznego spotkania. W największej tajemnicy, wybierając szczególnie gęsto zarośnięte miejsce w lesie, zbudowali dwudziestometrową piramidę. Siedemnaście metrów znajdowało się pod ziemią, a trzy wystawały ponad ziemię, na podobieństwo góry lodowej, której tylko wierzchołek wylania się z wody. To właśnie tłumaczyło, dlaczego całość była tak duża, a piramida tak mała. Aby zamaskować wystającą część, pokryli ją taflą luster.

W tym schronieniu, którego większa część znajdowała się pod ziemią, mogli spokojnie prowadzić badania, doskonalić narzędzia komunikacji z mrówkami

i budować zdalnie sterowane mrówki latające, które chroniły piramidę przed intruzami.

Jednak gdy w zimie opadły liście, piramida była lepiej widoczna. Jej mieszkańcy z niecierpliwością czekali na wiosnę i nową roślinność, ale nie pojawiła się ona wystarczająco szybko, aby uchronić budynek przed ciekawością ojca Julie.

– Czy to wy go zabiliście?

Arthur spuścił oczy.

– To pożałowania godny wypadek. Nie miałem jeszcze możliwości przetestowania żądź-strykawek o działaniu usypiającym moich latających mrówek. Kiedy pani ojciec podszedł, obawiałem się, że ujawni władzom istnienie naszego budynku. Wpadłem w panikę. Zaatakowałem go za pomocą jednego z moich zdalnie sterowanych owadów i wstrzyknąłem mu środek usypiający.

Starzec westchnął i pogładził białą brodę:

– To był środek usypiający powszechnie używany przy zabiegach chirurgicznych i nie sądziłem, że może być śmiertelny. Chciałem tylko uśpić tego spacerowicza, który za bardzo się nami interesował. Prawdopodobnie pomyliłem dawkę.

Julie potrząsnęła głową.

– To nie to. Nie wiedział pan, że mój ojciec był uczulony na środki usypiające zawierające chlorał.

Arthur był zaskoczony faktem, że dziewczyna nie ma mu tego bardziej za złe.

Wrócił do swojego opowiadania. Mieszkańcy piramidy zainstalowali kamery wideo na sąsiednich drzewach. W ten sposób zobaczyli, że zbyt ciekawy spacerowicz jest martwy. Zanim zdolali wyjść, aby przenieść ciało, znalazł je pies innego spacerowicza, który uprzedził policję.

Kilka dni później jeden z policjantów kręcił się dookoła budynku. Zdołał oswobodzić się od latających mrówek, miażdżąc je podeszwą, i sprowadził ekipę saperów, aby wysadzić ściany.

– W ostatecznym rozrachunku to wy uratowaliście nas dzięki rewolucji mrówek – oznajmił Jonathan Wells. – Była to kwestia sekund, kiedy nagle odwróciliście uwagę policjanta, który się oddalił.

Właściwie ludzie z leśnej piramidy powinni byli wykorzystać chwilę spokoju i wyprowadzić się. Ale zainstalowano tu zbyt dużo ciężkiego sprzętu.

– Podłączając się do serwera spółki „Rewolucji mrówek”, znaleźliśmy

rozwiązanie – wyjaśniła Laetitia Wells. – Wbudowanie domu we wzgórze to znakomity sposób na to, aby go zamaskować!

– Nie musieliśmy wydrążyć domu we wzgórzu, wystarczyło przekształcić naszą piramidę we wzgórze, przykrywając ją piaskiem.

Ji-woong włączył się do rozmowy:

– To był pomysł Léopolda, ale w gruncie rzeczy jest on bardzo stary. W moim kraju, w Korei, w pierwszym wieku po Chrystusie królowie cywilizacji Paekche zbudowali olbrzymie groby w kształcie piramid na podobieństwo grobów faraonów egipskich. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że znajdują się w nich bogactwa i klejnoty zmarłych, były regularnie rabowane. Wówczas władcy i architekci postanowili przysypać je ziemią, aby je ukryć. W ten sposób groby wtapiały się we wzgórze i ewentualni rabusie musieliby wydrążyć wszystkie wzgórza w kraju, aby wejść w posiadanie skarbów ukrytych w grobach.

– Skorzystaliśmy zatem z tego, że policja była zajęta liceum, aby przykryć naszą piramidę ziemią. W cztery dni wszystko zostało zrobione – zakończyła Laetitia.

– Zrobiliście to ręcznie?

– Nie, Arthur, nasz majsterkowicz, zbudował krety-roboty zdolne wykonać pracę bardzo szybko, i do tego w nocy.

– Następnie umieściłem na szczycie wzgórza wydrążone drzewo, wewnątrz którego znajduje się szklana kolumna, żeby docierało do nas światło dzienne, Lucie i Laetitia ozdobiły nasze wzgórze wyrwanymi drzewkami, posadzonymi tu na nowo, aby całość sprawiała wrażenie dzikiego zakątka.

– Nie jest prosto rozmieścić drzewa całkowicie bezładnie. Mamy naturalną skłonność do sadzenia ich w rzędach. Ale udało się. Obecnie żyjemy pod ziemią, w naszym „gnieździe”, z dala od świata.

– U nas, w plemienu Nawaho – włączył się Léopold – uważamy, że ziemia chroni przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Gdy ktoś zachoruje, zakopuje się go w ziemi aż po szyję, aby wystawała tylko głowa. Ziemia jest naszą matką i logiczne jest, że nas chroni i leczy.

Arthur był mimo wszystko niespokojny.

– Miejmy nadzieję, że gdy ten węszący policjant wróci, nie odgadnie naszej strategii...

Stary człowiek nadal oprowadzał ich po „gnieździe”. Prąd docierał do piramidy

za pośrednictwem setek sztucznych liści wyposażonych w komórki fotoelektryczne umieszczone na szczycie drzew rosnących na wzgórzu i identycznych jak prawdziwe, łącznie z użyłkowaniem. Tym sposobem dysponowali energią wystarczającą, aby wszystkie urządzenia mogły funkcjonować.

– Kiedy zapada zmrok, nie macie prądu?

– Mamy, ponieważ założyliśmy wielkie kondensatory, które gromadzą energię elektryczną.

– Czy macie słodką wodę? – zapytał David.

– Tak, niedaleko płynie podziemna rzeka. Łatwo było doprowadzić ją tutaj.

– Zaprojektowaliśmy też sieć przewodów zapewniających dobrą wentylację w budynku – powiedział Jonathan Wells.

– Wreszcie stworzyliśmy własne rolnictwo, wykorzystując grzyby, które zbieramy w podziemiu.

Potem Arthur Ramirez pokazał im swoje laboratorium. W akwarium długości dwóch metrów po grudkach ziemi biegały mrówki.

– Nazywamy je naszymi „skrzatami” – poinformowała Laetitia. – Właściwie mrówki są prawdziwymi leśnymi skrzatami.

Znowu Julie miała wrażenie, że jest w bajce. Była Królową Śnieżką w towarzystwie Krasnoludków. Mrówki były skrzatami, a ten pan z białą brodą i fantastycznymi wynalazkami był prawdziwym czarodziejem Merlinem.

Arthur pokazał im mrówki, które zaaferowane obsługiwały mikroskopijne metalowe tryby i komponenty elektroniczne.

– Są bardzo sprawne, popatrzcie.

Julie nie mogła ochłonąć ze zdziwienia. Mrówki podawały sobie elementy, a niektóre z nich były tak maleńkie, że nawet zegarmistrz wyposażony w lupę nie mógłby ich dokładnie zobaczyć.

– Trzeba było je zapoznać z naszą technologią, zanim mogliśmy je wykorzystać – wyjaśnił Arthur. – Mimo wszystko, nawet gdy buduje się fabrykę w Trzecim Świecie, trzeba zwrócić się do instruktorów.

– W wypadku prac przy użyciu maleńkich części są dokładniejsze od naszych najlepszych robotników – podkreśliła Laetitia. – To one i tylko one zdołały wyprodukować nasze latające mrówki-roboty. Żaden człowiek nie byłby w stanie

manipulować trybikami, które są aż tak miniaturowe.

Julie, uzbrojona w lupe, obserwowała owady, które pracowały nad latającą mrówką-robotem za pomocą narzędzi dostosowanych do ich rozmiarów. Maleńcy technicy uwijali się dookoła urządzenia jak inżynierowie lotnictwa dookoła myśliwca. Potrząsając nerwowo czułkami, podawały sobie z nóżki do nóżki skrzydło, które dwie z nich przytwierdzały i przymocowywały klejem.

Z przodu inne mrówki montowały dwie żarówki w miejsce oczu. Z tyłu jeszcze inne napełniały zbiornik z kwasem żółtym, przezroczystym płynem. Trzecia ekipa przekazywała sobie baterię, którą umieszczała na wysokości krtani.

Maleńkie mrówki-inżynierowie sprawdzały następnie właściwe funkcjonowanie całości, włączając jedno oko-latarnię, a potem drugie. Wcisnęły włącznik i skrzydła zaczęły poruszać się z różną szybkością.

– Imponujące – powiedział David.

– To po prostu mikrorobotyka – odparł Arthur. – Gdybyśmy umieli z większą zręcznością posługiwać się naszymi dziesięcioma palcami, również byśmy do tego doszli.

– Wszystko to musiało was bardzo drogo kosztować – zauważyła Francine. – Skąd wzięliście pieniądze na zbudowanie piramidy i pozostałych urządzeń?

– Hm... gdy byłem ministrem badań naukowych – powiedział Raphaël Hisaud – zorientowałem się, że dużo pieniędzy było marnotrawionych na niepotrzebne badania, na przykład na badanie istot pozaziemskich. Prezydent republiki, zafascynowany tym tematem, rozpoczął bardzo kosztowny program z cyklu SETI, Search for ExtraTerrestrial Intelligence. Nie miałem żadnych problemów z defraudacją pewnych kwot, zanim podałem się do dymisji. Jest przecież bardziej prawdopodobne, że uda nam się porozumieć z mieszkańcami Ziemi niż z istotami pozaziemskimi. Jeśli chodzi o mrówki, to przynajmniej jesteśmy pewni, że istnieją, wszyscy mogą to stwierdzić.

– Chce pan przez to powiedzieć, że to wszystko zostało zbudowane z pieniędzy podatnika?

Z wyrazu twarzy ministra wynikało, że jest to jedynie maleńkie marnotrawstwo w porównaniu z tym, czego był świadkiem w okresie, gdy pełnił swój urząd.

– No i, w mniejszej skali, są to także pieniądze Juliette – dodał Arthur. – Moja żona Juliette Ramirez pozostała poza gniazdem. Służy za lotniskowiec dla naszych

latających mrówek w mieście i występuje w „Pułapce w rozumie”. Mogę was zapewnić, że gry telewizyjne zapewniają niezły zysk.

– Teraz raczej jej się nie wiedzie, nieprawdaż? – zauważył David, przypominając sobie, że pani Ramirez nie mogła rozwiązać właśnie tej zagadki, która była wyryta na drzwiach wejściowych.

– Nie bójcie się – powiedziała Laetitia – ta gra to oszustwo. To my wysyłamy zagadki. Juliette z góry zna wszystkie odpowiedzi. Musi tylko podbijać stawkę w każdym programie, żebyśmy zarobili jak najwięcej.

Julie oglądała z podziwem to, co ci ludzie nazywali swoim „gniazdem”. Być może dlatego, że mieszkali tutaj już od roku, wykazali się inteligencją i sprytem, którym rewolucja mrówek nie mogła dorównać.

– Odpocznijcie w łóżach. Jutro pokażę wam inne cuda naszych laboratoriów.

– Czy pan jest pewien, że nie jest pan profesorem Edmundem Wellsem? – spytała Julie.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem, który szybko zmienił się w atak kaszlu.

– Nie powinienem się śmiać, to mi szkodzi. Nie, niestety, nie, zapewniam was, że nie jestem Edmundem Wellsem. Jestem tylko chorym starcem, który schronił się tu z przyjaciółmi, aby móc spokojnie pracować nad dziełem, które go bawi.

Zaprowadził ich następnie do pokoi.

– Przewidzieliśmy tutaj około trzydziestu łóż, czegoś w rodzaju małych pokoi, z myślą o „ludziach trzeciego tomu”. Nie wiedzieliśmy, ilu was będzie, gdy dołączycie do nas. Jest więc aż nadto miejsca dla was siedmiorga.

Francine wyjęła świerszcza Jimmy’ego i położyła go na komodzie. Udało jej się zabrać go w ostatniej chwili, w czasie ataku sił porządkowych.

– Biedny świerszcz, gdybyśmy go stamtąd nie zabrali, zakończyłby beznadziejnie swoją karierę piosenkarza w klatce, jako rozrywka dla dzieci.

Każdy zajął swój pokój przed kolacją. Następnie udali się do sali telewizyjnej, gdzie znajdował się już Jacques Méliès.

– Jacques jest fanem telewizji. To jego narkotyk i nie może się powstrzymać, aby jej nie oglądać – powiedziała kpiąco Laetitia Wells. – Czasami trochę za bardzo podkreca dźwięk i wtedy go ochrzaniamy. Nie jest łatwo żyć we wspólnocie na niedużej przestrzeni. Ale niedawno odizolował akustycznie salę telewizyjną za pomocą pianki i jest lepiej.

Jacques Méliès właśnie podkreślił dźwięk, bo zbliżały się wiadomości. Wszyscy zgromadzili się, aby zobaczyć, co działo się w świecie zewnętrznym. Po omówieniu wojny na Bliskim Wschodzie i wzroście bezrobocia, prezenter poruszył wreszcie temat rewolucji mrówek. Oznajmił, że policja nadal szuka prowodyrów. Głównym gościem programu był dziennikarz Marcel Vaugirard, który utrzymywał, że ostatni przeprowadził z nimi wywiad.

– Znowu on! – oburzyła się Francine.

– Przypomnijcie sobie jego dewizę...

Wszyscy siedmioro powiedzieli chórem:

– „Im mniej się o czymś wie, tym lepiej się o tym pisze”.

Rzeczywiście dziennikarz najwyraźniej nic nie wiedział na temat ich rewolucji, ponieważ usta mu się nie zamykały. Utrzymywał, że jest jedynym powiernikiem Julie, która zwierzyła mu się ze swojego zamiaru zmienienia świata za pomocą muzyki i sieci komputerowej. Wreszcie prezenter odebrał mu mikrofon i oświadczył, że stan jedyne go zatrzymanego, Narcisse’a uległ niewielkiej poprawie. Wyszedł ze śpiączki.

Wszystkim ulżyło.

– Nie przejmuj się, Narcisse. Wydostaniemy cię stamtąd! – krzyknął Paul.

Potem w reportażu pokazano zniszczenia w liceum po jego okupacji przez „wandalów” z rewolucji mrówek.

– Ale przecież nic nie zniszczyliśmy – złościła się Zoé.

– Może Czarne Szczury wróciły, aby wszystko zniszczyć po ewakuacji liceum.

– Chyba że policja wzięła to na siebie, aby jeszcze bardziej was zdyskredytować – powiedział Jacques Méliès, były komisarz.

Na ekranie znowu pojawiły się portrety całej siódemki.

– Nie bójcie się, nikt nie wpadnie na pomysł, aby szukać was tu, pod ziemią – oświadczył Arthur.

I wybuchnął śmiechem. Śmiech znowu przeszedł w atak kaszlu.

Wyjaśnił im, że to rak. Przeprowadził badania naukowe, aby walczyć z chorobą, ale bez rezultatu.

– Boi się pan śmierci? – spytała Julie.

– Nie. Obawiam się jedynie, że umrę, nie wypełniwszy tego, po co przyszedłem na świat – zaczął kaszleć. – Wszyscy mamy jakąś misję, choćby bardzo małą, i jeżeli

jej nie wypełnimy, to znaczy, że nasze życie nie miało sensu. To marnotrawienie ludzkości.

Roześmiał się i znowu zakaszłał.

– Ale nie przejmujcie się, mam dużo sił. A poza tym... nie pokazałem wam wszystkiego. Mam jeszcze jedną tajemnicę...

Lucie przyniosła mu lekarstwa. Podała mu mleczko pszczele, podczas gdy starzec wstrzyknął sobie morfinę, aby uśmierzyć ból. Ludzie z gniazda zanieśli go następnie do jego łóżka, aby odpoczął. Wiadomości kończyły się wywiadem ze słynną piosenkarką Alexandrine.

188. TELEWIZJA

Prezenter:

– Dzień dobry, Alexandrine. Dziękujemy, że zechciała pani przyjść do naszego studia. Wiemy, jak cenny jest pani czas. Alexandrine, pani ostatnia piosenka *Kocham cię, kochany mój* jest już na ustach wszystkich. Jak pani to wyjaśni?

Gwiazda:

– Myślę, że młodzi ludzie rozpoznają się w przesłaniu moich piosenek.

Prezenter:

– Czy może nam pani coś powiedzieć na temat swojego nowego albumu, który jest już na czele wszystkich list sprzedaży.

– Ależ oczywiście. *Kocham cię, kochany mój* to mój pierwszy album zaangażowany. Zawiera głębokie przesłanie polityczne.

Prezenter:

– Ach tak, a jakie?

Gwiazda:

– Miłość.

Prezenter:

– Miłość? To genialne. To nawet, jak to powiedzieć? Rewolucyjne!

Gwiazda:

– Zamierzam także skierować petycję do Prezydenta Republiki, aby wszyscy mogli żyć w miłości. Jeżeli okaże się to konieczne, zorganizuję sit-in przed Pałacem Elizejskim i zaproponuję, żeby moja piosenka *Kocham cię, kochany mój*

stała się jego hymnem. Wielu młodych ludzi napisało do mnie, że są gotowi manifestować na ulicach i zrobić rewolucję idącą w tym kierunku. Znalazłam już dla niej nazwę. To będzie „Rewolucja miłości”.

Prezenter:

– W każdym razie przypominam, że pani ostatni album, *Kocham cię, kochany mój* można już kupić we wszystkich sklepach muzycznych za przystępną cenę dwustu franków. Nasza stacja objęła patronat medialny nad tą płytą, której klip reklamowy będzie emitowany co godzinę przed naszymi programami świątecznymi, a ponieważ wszyscy teraz jadą na urlop, jak wygląda sytuacja na drogach, Danielu?

– Dzień dobry, François. Tu, w naszym studiu w Rosny-sous-Bois, nie mieliśmy szczęścia oglądać zjawiskowej Alexandrine, ale możemy przedstawić pierwszy bilans korków na francuskich drogach w pierwszym dniu ferii wielkanocnych.

Filmowane z helikoptera rzędy samochodów ciągnęły się w nieskończoność na ekranie, unieruchomione w wielokilometrowych korkach. Wypadki i stłuczki spowodowały już dziesiątki ofiar, komentował trzeźwo dziennikarz, co w żadnym stopniu nie zniechęciło tłumu do wyruszenia na zatłoczone drogi, aby cieszyć się płatnym urlopem.

189. ENCYKLOPEDIA

ODWAGA ŁOSOSI: Od urodzenia łososie wiedzą, że czeka je długa droga. Opuszczają rodzinny strumyk i płyną aż do oceanu. Po przybyciu do morza, te ryby żyjące w wodach słodkich klimatu umiarkowanego zmieniają sposób oddychania, aby dostosować się do warunków słonej zimnej wody. Pochłaniają masy pożywienia, aby wzmocnić mięśnie. A następnie, jak gdyby w odpowiedzi na tajemniczy apel, łososie postanawiają wrócić. Przemierzają ocean, znajdują ujście rzeki, do której wpada rzeczka, do której wpada z kolei strumyk, w którym się urodziły.

Jak odnajdują kierunek w oceanie? Nikt tego nie wie. Łososie z całą pewnością dysponują bardzo wyczulonym węchem, pozwalającym wykryć im w morskiej wodzie smak molekuly pochodzącej z ich rodzinnej słodkiej wody, chyba że orientują się w przestrzeni za pomocą ziemskich pól magnetycznych. Ta druga

hipoteza wydaje się mniej prawdopodobna, bo w Kanadzie odkryto, że łososie myślą rzekę, jeśli została zbyt zanieczyszczona.

Gdy łososie uznają, że odnalazły swój rodzinny ciek wodny, płyną w górę, aż do jego źródeł. To straszna próba. Przez kilka tygodni będą walczyć z gwałtownymi prądami płynącymi w przeciwnym kierunku, skakać, aby pokonać wodospady (łosoś jest w stanie skoczyć na wysokość trzech metrów), bronić się przed atakami drapieżników: szczupaków, wydr, niedźwiedzi czy ludzi – wędkarzy. Będzie to hekatomba. Nieraz łososie zostają zatrzymane przez zaporę zbudowaną po ich wypłynięciu.

Większość łososi zginie po drodze. Te, które ocaleją, dopłyną wreszcie do rodzinnej rzeki i przekształcą ją w jezioro miłości. Wycieńczone i wychudzone, będą baraszkować w celach reprodukcyjnych z samicami, którym udało się przeżyć na tarlisku. Resztki energii poświęcą na ochronę ikry. Ponieważ, gdy wyklują się z nich małe łososie gotowe do powtórzenia przygody, rodzice czekają na śmierć.

Zdarza się, że niektóre łososie zachowują wystarczająco dużo sił, aby wrócić z oceanu i udać się drugi raz w wielką podróż.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

190. KONIEC PIERWSZEJ ZAGADKI

W jeepie zaparkowanym w środku lasu Maximilien wyjął ze schowka kanapkę z wędzonym łososiem i delektował się nią, skropiwszy kilkoma kroplami cytryny i odrobiną śmietany.

Dookoła niego policjanci gadali przez krótkofalówki. Maximilien spojrzał na zegarek i pospiesznie nacisnął przycisk małego telewizora podłączonego do zapalniczki samochodowej.

– Brawo, pani Ramirez, znalazła pani rozwiązanie!

Oklaski.

– To było prostsze niż myślałam. Ułożenie ośmiu trójkątów z tylko sześciu zapalek wydawało mi się naprawdę niemożliwe. A jednak... Miał pan rację. Wystarczy pomyśleć.

Maximilien był wściekły. O kilka sekund spóźnił się na rozwiązanie zagadki

trójkątów równobocznych o równych wymiarach.

– Dobrze, pani Ramirez, przejdźmy teraz do następnej zagadki. Uprzedzam panią, jest nieco trudniejsza od poprzedniej. Brzmi następująco: „Pojawiam się na początku nocy i w połowie ranka. Można mnie zauważyć dwa razy w annałach i widać mnie bardzo dobrze, gdy księżyc jest w nowiu. Kim jestem?”.

Maximilien odruchowo zapisał zadanie w swoim notesie. Lubił mieć w głowie zagadkę do rozwiązania.

Policjant przerwał mu rozmyślenia, pukając do drzwi samochodu.

– Jest, szefie. Znaleźliśmy ich ślad.

191. SĄ ICH MILIONY

Ich nóżki zostawiają ślady na ziemi. Wielki marsz nadal przyciąga nowych uczestników. Już nie tysiące, lecz miliony insektów zmierzają w stronę świata Palców. Już dłuższą chwilę mrówki pokonują kamieniste zbocza i obręcze wystających z ziemi korzeni.

Księżniczka 103 widzi, jak z każdą chwilą grupa coraz bardziej się jednoczy.

Czeka je ważne spotkanie; wszystkie zdają sobie sprawę z tego, że w tak podniosłej chwili będą musiały być u szczytu formy.

Mają poczucie, że uczestniczą w jednej z najważniejszych chwil w życiu planety. Mrówki były już świadkami wielu przełomowych wydarzeń. Pamiętają wyginięcie dinozaurów, które jednak odbyło się w dość niejasnych okolicznościach i było bardzo rozciągnięte w czasie. Klęska termitów – również czasochłonna i wymagająca wiele wysiłku. A teraz czeka je spotkanie z Palcami.

Ostatnie z „przełomowych spotkań”.

Ślimaki niosące pomarańczowe światełka nadają procesji kształt składającego się z migoczących punkcików węża. Każdą ze skorupek otaczają cienie małych mrówek.

Wygodnie usadowiona na grzbiecie jednego z wyjątkowo śliniących się ślimaków, 7 rozpoczyna prace nad freskiem przedstawiającym marsz w stronę Palców. Pośliniwszy pazurek, macza go w pigmentcie i rysuje na wielkim liściu. Na razie ogranicza się do robienia szkiców postaci mrówek, starając się oddać otaczający ją tłum.

192. TRZY WRESZCIE RAZEM

Pierwsza noc w piramidzie była bardzo przyjemna. Być może było to zmęczenie, może kształt ich gniazda, może ochrona, jaką stanowiła warstwa ziemi na dachu – po raz pierwszy od bardzo dawna Julie zasnęła niemal bez uczucia lęku.

Rano zjadła śniadanie we wspólnej jadalni, a potem spacerowała po piramidzie. Na dużym stole w bibliotece odkryła dwie książki podobne do jej książki. Patrzyła na pierwszy i drugi tom *Encyklopedii*, poszła po trzeci, który wyjęła z plecaka i położyła obok pozostałych.

Trzy tomy były wreszcie razem.

Dziwna wydała się myśl, że cała ich przygoda zdeterminowana była przez człowieka, który pisząc jedynie trzy książki, zdołał wywrzeć wpływ na tych, którzy go przeżyli.

Arthur Ramirez dołączył do niej.

– Byłem pewien, że znajdę panią tutaj.

– Dlaczego napisał trzy tomy? Dlaczego nie tylko jeden? – zapytała Julie.

Arthur usiadł.

– Każda księga jest poświęcona kontaktom z inną cywilizacją lub sposobem myślenia. Stanowią one trzy kroki ku zrozumieniu Innego. Pierwsza księga, pierwszy etap: odkrycie istnienia Innego i pierwszy kontakt. Druga księga, drugi etap: konfrontacja z Innym. Trzecia księga, trzeci etap: jeżeli konfrontacja nie zakończyła się ani zwycięstwem, ani klęską żadnej ze stron, wtedy naturalne jest przejście do współpracy z Innym.

Ułożył trzy tomy w stos.

– Kontakt. Konfrontacja. Kooperacja. Trylogia jest zamknięta, spotkanie z Innym jest całkowite. Jeden plus jeden równa się trzy...

Julie otworzyła drugi tom.

– Mówił pan, że zbudował Kamień z Rosetty, maszynę do porozumiewania się z mrówkami, to prawda?

Arthur przytaknął.

– Czy może ją nam pan pokazać?

Arthur zawahał się, a potem zgodził. Julie zawołała swoich przyjaciół. Starzec poprowadził ich do pomieszczenia, w którym przydymione światło oświetlało

akwaria wypełnione kwiatami, roślinami i grzybami. Było tu też urządzenie, w którym Julie rozpoznała Kamień z Rosetty opisany w *Encyklopedii*.

Arthur włączył komputer, który cicho zamruczał.

– To komputer o „demokratycznej strukturze”, o którym jest mowa w *Encyklopedii*? – zapytała Francine.

Arthur potwierdził, ciesząc się, że ma do czynienia ze znawcami. Julie rozpoznała spektrometr masowy i chromatograf. Zamiast połączyć je, jak ona to zrobiła, Arthur włączał urządzenia równolegle, w ten sposób, że analiza i synteza molekuł zachodziły równocześnie. Julie zrozumiała, dlaczego jej własny prototyp nie działał.

Ustawił odpowiednio różne przełączniki na przewodach.

Po zakończeniu przygotowań Arthur delikatnie chwycił jedną mrówkę i umieścił ją w przezroczystym, szklanym pojemniku, w którym znajdowały się plastikowe widełki. Owad instynktownie przyłożył swoje czułki do sztucznych czułek. Arthur powiedział do mikrofonu, dokładnie artykułując:

– Człowiek chce nawiązać dialog z mrówką.

Musiał powtórzyć zdanie kilkakrotnie, regulując kilka pokręteł. Fiolki zapachowe wypuściły gazy, które służyły jako feromony. Połączyły się, zanim zostały przekazane do sztucznych czułek. W głośnikach pojawił się jakiś szmer i syntetyczny głos komputera odpowiedział wreszcie w słyszalnym języku:

– *Dialog przyjęty.*

– Dzień dobry, mrówko sześć sto czterdzieści dwa. Mam tutaj ludzi z mojego narodu, którzy chcieliby cię posłuchać.

Arthur znowu poprawił ustawienia, aby poprawić odbiór.

– *Jakich ludzi?* – zapytała mrówka 6 142.

– Przyjaciół, którzy nie wiedzą, że możemy ze sobą rozmawiać.

– *Jakich przyjaciół?*

– Gości.

– *Jakich gości?*

– Yyy...

Arthur zaczął tracić cierpliwość. Przyznał jednak, że przeważnie bardzo trudno jest rozmawiać z owadami. Nie technika stanowiła problem, nie, obie strony nawiązywały już dialog, nieporozumienia dotyczyły raczej sensu.

– Nawet, jeżeli uda nam się porozmawiać ze zwierzęciem, nie jest powiedziane, że zrozumiemy, co mówi. Mrówki nie postrzegają świata tak samo jak my i zawsze trzeba wszystko definiować na nowo i rozkładać na czynniki pierwsze. Na przykład, aby zrozumieć słowo „stół”, należy wyjaśnić „płaska drewniana deska na czterech nogach, używana do jedzenia”. W kontaktach między ludźmi posługujemy się całą masą podtekstów i dopiero zwracając się do innego gatunku obdarzonego inteligencją, orientujemy się, że nie potrafimy już mówić jasno.

Arthur dodał jeszcze, że mrówki 6 142 nie należało zaliczać do najgłupszych wśród przedstawicielek swojego gatunku. Niektóre emitowały jedynie „na pomoc”, jak tylko włożyło się je do pojemnika dialogowego.

– To zależy od jednostki.

Stary człowiek z nostalgią wspominał 103, niesłychanie zdolną mrówkę, którą niegdyś znał. Nie tylko prowadziła rozmowy i bardzo sensownie odpowiadała, ale była także w stanie uchwycić pewne typowo ludzkie abstrakcyjne pojęcia.

– Sto trzy była mrówczym Marco Polo. Ale cechowała ją niesamowita otwartość ducha, większa niż u tego odkrywcy. Jej ciekawość była niezaspokojona i nie miała właściwie żadnych odgórnie ustalonych opinii na nasz temat – przypomniał sobie Jonathan Wells.

– A wiecie, jak nas nazywała? – westchnął Arthur. – „Palce”. Bo mrówki nie widzą nas w całości. Jedyne, co postrzegają u ludzi, to palec, który zbliża się, aby je zmiążyć.

– Jakie one muszą mieć o nas wyobrażenie! – zauważył David.

– Właśnie, dlatego dobre u 103 było to, że chciała szczerze się dowiedzieć, czy jesteśmy potworami, czy „sympatycznymi zwierzętami”. Zbudowałem dla niej telewizor dostosowany do jej wymiarów, aby widziała ludzi w całości i mogła zobaczyć, jak w różnych częściach świata zajmują się swoimi zajęciami.

Julie starała się wyobrazić sobie, jaki to musiał być dla mrówki szok. To tak, jakby pokazano jej za jednym zamachem społeczność mrówek widzianą od wewnątrz i pod wieloma kątami. Wojny, handel, przemysł, legendy...

Laetitia Wells poszła po portret tej wyjątkowej mrówki. Ludzie trzeciego tomu zdziwili się najpierw, że jedno zdjęcie mrówki może różnić się od innego zdjęcia mrówki, ale wpatrując się w nie, wreszcie wyróżnili kilka rysów szczególnych w „twarzy” 103.

Arthur usiadł.

– Ładny profil, prawda? 103 zbyt lubiła przygody, była zbyt wielką wizjonerką, miała za dużą świadomość swojej roli planetarnej, aby zadowolić się siedzeniem w zamkniętym akwarium, słuchając naszych dowcipów, oglądając na ekranie hollywoodzkie komedie romantyczne i obrazy w Luwrze. Uciekła.

– Po tym wszystkim, co dla niej zrobiliśmy! Myśleliśmy, że mamy w niej przyjaciółkę, a ona nas porzuciła – powiedziała Laetitia.

– To prawda. Poczuliśmy się sierotami po odejściu 103. Potem zastanowiliśmy się nad tym – podjął Arthur. – Mrówki są dzikimi zwierzętami. Nigdy nie będziemy mogli ich oswoić. Wszystkie istoty na tej planecie są wolne i mają równe prawa. Nie mieliśmy żadnego powodu, aby trzymać 103 w niewoli.

– A gdzie teraz jest ta niezwykła mrówka?

– Gdzieś na łonie przyrody... Zanim sobie poszła, zostawiła nam wiadomość.

Arthur wziął skorupkę mrówczego jajka i przyłożył ją do sztucznych czułek. Komputer przetłumaczył wiadomość zapachową tak, jakby jajko było żywe i zwracało się do nich.

Drogie Palce,

Tu nie jestem do niczego potrzebna.

Idę do lasu, aby uprzedzić moją społeczność, że istniejecie i nie jesteście ani potworami, ani bogami.

Dla mnie jesteście jedynie „kimś innym”, istniejącym równoległe z nami.

Nasze dwie cywilizacje powinny współpracować i zrobić wszystko, aby przekonać moją społeczność do nawiązania z wami kontaktu.

Spróbujcie uczynić podobnie z waszej strony.

Podpisano: 103

– Mówi bardzo dobrze w naszym języku – zdziwiła się Julie.

– To komputer układa poszczególne zdania, na pewno coś ginie w tłumaczeniu – przyznała Laetitia. – W czasie swojego pobytu tutaj 103 zadała sobie wiele trudu, aby pojąć zasady naszego mówionego języka. Zrozumiała wszystko z wyjątkiem, jak sama przyznała, trzech pojęć.

– Jakich?

– Poczucia humoru, sztuki i miłości.

Fiołkowe oczy Laetitii spoczęły na twarzy Koreańczyka.

– Te pojęcia są bardzo trudne do zrozumienia dla istot innych niż ludzie. Ostatnio wszyscy zastanawialiśmy się nad dowcipami, które moglibyśmy opowiedzieć 103, ale nasze poczucie humoru jest za bardzo „ludzkie”. Trzeba byłoby się dowiedzieć, czy istnieje poczucie humoru typowo myrmeceńskie. Na przykład historyjki o chrabąszczach, których nóżki zaplątały się w pajęczą sieć, lub o motylach, które zrywają się do lotu z wilgotnymi jeszcze i nierozprostowanymi skrzydełkami, i spadają na ziemię...

– Na tym polega prawdziwy problem – przyznał Arthur. – Z czego może śmiać się mrówka?

Wrócili do maszyny i mrówek doświadczalnych, które bez przerwy nerwowo się poruszały.

– Od ucieczki 103 musimy się zadowalać tym, co mamy – powiedział Arthur.

Zwracając się do mrówki w szklanym pudełku, zapytał:

– A ty wiesz, co to jest poczucie humoru?

– *Jakiego humoru?* – wyemitowała mrówka.

193. WIELKI MARSZ

– *Humor musi być czymś wspaniałym.*

Grzejąc się przy obozowisku, księżniczka 103 opisuje swoim towarzyszkom jeszcze jeden z aspektów świata olbrzymów, z którymi niedługo mają się spotkać. By się nie przegrzać, mrówki zgromadziły się w jedną wielką masę i uczepiły zwisającej gałęzi. Cała gromada otoczyła płciową mrówkę i z niecierpliwością czeka na kolejne niesamowite opowieści.

– *Humor wywołuje u Palców drgawki, gdy słuchają historii o „Eskimosie na krze lodowej” albo o „muszce, której odcięto skrzydła”.*

Obecne w zgromadzeniu muchy nie biorą tej uwagi do siebie.

Księżniczka 103 rozpoznaje po dochodzących do niej zapachach, że kwestia humoru niespecjalnie interesuje słuchaczki, zmienia więc temat.

Wyjaśnia, że Palce nie posiadają twardego pancerza, który chroniłby ich organizm od zewnątrz, są zatem znacznie bardziej delikatne niż mrówki. Mrówka potrafi unieść przedmiot ważący sześćdziesiąt razy więcej niż ona sama,

tymczasem Palec – co najwyżej odpowiednik swojej własnej wagi. Co więcej, mrówka może bez szwanku na zdrowiu znieść upadek z wysokości odpowiadającej jej dwustukrotnej wielkości, podczas gdy Palec ginie od upadku z wysokości równej jego trzem długościom.

Słuchaczki, czy też raczej węszące, śledzą z uwagą opary feromonowe księżniczki 103, zachwycone, że Palce – mimo swoich imponujących rozmiarów – są w gruncie rzeczy wątłymi istotami.

Księżniczka wyjaśnia następnie, w jaki sposób Palce utrzymują równowagę, stojąc na tylnych nóżkach. 10 notuje wszystko w swoim feromonie zoologicznym.

CHÓD:

Palce poruszają się na dwóch tylnych nogach.

Pozwala im to dostrzec swoich pobratymców znad krzaków.

Żeby tego dokonać, Palce rozstawiają lekko dolne kończyny, przerzucają środek ciężkości ku przodowi i dążą do osiągnięcia równowagi za pomocą kończyn górnych.

Mimo niewygody tej pozycji, Palce mogą utrzymywać ją przez długi czas.

Gdy tracą równowagę, wysuwają jedną z nóg do przodu i tym sposobem unikają upadku.

Nazywają to „chodem”.

5 robi małą prezentację. Doszła do takiej wprawy, że potrafi przejść około dziesięciu kroków, opierając się na kulach z gałązek.

WŁADZA:

Nie wszystkie Palce są sobie równe.

Niektóre mają prawo decydować o życiu lub śmierci innych.

Te „najważniejsze” Palce mogą wydawać rozkazy – wymierzać kary cielesne lub zamykać inne Palce w więzieniach.

Więzienie to zamknięte pomieszczenie, z którego nie ma wyjścia.

Każdy z Palców ma szefa, który z kolei ma swojego szefa, który także ma szefa... i tak aż do szefa całego narodu, panującego nad wszystkimi podszefami.

W jaki sposób wybierani są szefowie?

Mamy tu do czynienia z kastą szefów, którzy wybierani są najzwyczajniej w świecie spośród dzieci szefów sprawujących aktualnie rządy.

To rzekłszy, 103 przypomina, że nie pojęła wszystkich zasad funkcjonowania świata Palców. Spieszno jej, żeby tam powrócić i uzupełnić swoją wiedzę, gdyż pozostaje jeszcze wiele do poznania.

Olbrzymie obozowisko porusza czułkami. Ściany rozmawiają z podłogą, drzwi dyskutują z sufitem.

Księżniczka 103 toruje sobie przejście aż do żywego okna. Kontempluje horyzont od strony wschodu. Nie ma już odwrotu. Zaszły za daleko. Muszą albo osiągnąć sukces, albo zginąć.

Skubiące trawę ślimaki nie biorą udziału w ożywionej dyskusji. Rozkoszują się smakowitą koniczyną.

Czwarte rozdanie:

TREFL

194. ENCYKLOPEDIA

TALIA KART: Zwykła talia złożona z pięćdziesięciu dwóch kart jest sama w sobie lekcją, historią. Po pierwsze, cztery kolory oznaczają cztery dziedziny zmian w życiu. Cztery pory roku, cztery uczucia, cztery wpływy planet...

Kier: wiosna, afektywność, Wenus.

Karo: lato, podróże, Merkury.

Trefl: jesień, praca, Jupiter.

Pik: zima, problemy, Mars.

Liczby i postaci nie są dziełem przypadku. Oznaczają jeden z etapów ludzkiej egzystencji. Dlatego zwykła talia kart była używana, podobnie jak tarot, do wróżenia. Na przykład podobno szóstka kier oznacza otrzymanie prezentu, piątka karo – zerwanie z ukochaną osobą, król trefl – sławę, walet pik – zdradę przyjaciela, as kier – czas odpoczynku, dama trefl – łut szczęścia, siódemka kier – ślub. We wszystkich grach, nawet tych, które wydają się najprostsze, można odnaleźć antyczną mądrość.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

195. EMISARIUSZE BOGINI

Julie i jej przyjaciele z trzeciego tomu tyle zobaczyli w ciągu dnia, że byli zbyt podekscytowani, aby zasnąć.

W charakterze środka uspokajającego Paul otworzył piersiówkę miodu pitnego „Cuvée révolutionnaire”, którą ocalił z liceum, potem Ji-woong zaproponował partyjkę gry eleuzyjskiej.

Każdy kolejno położył swoją kartę w długim rzędzie.

– Karta wchodząca w porządek świata. Karta odrzucona przez porządek świata – oznajmiał na zmianę Léopold, traktując bardzo poważnie swoją rolę tymczasowego boga.

Pozostałym nie udawało się odkryć prawa wymyślonego przez Léopolda. Na

próżno oglądali ciągi kart przyjętych lub odrzuconych, nie rozpoznawali żadnej sekwencji, żadnej regularności, żadnej zasady. Kilku z nich próbowało odegrać rolę proroka, ale za każdym razem Léopold odrzucał ich interpretację swojego boskiego zamysłu.

Julie zaczęła się zastanawiać, czy nie podejmuje decyzji na zasadzie przypadku. Nieraz mówił „tak”, nieraz mówił „nie”, i nie wiedziała, czym motywuje swój wybór.

– Pomóż nam trochę. Mam wrażenie, że liczby i kolory kart nie mają żadnego znaczenia zgodnie z twoim prawem.

– Rzeczywiście.

Wreszcie wszyscy się poddali. Kiedy zażądali rozwiązania, Léopold się uśmiechnął:

– Jest ono proste. Moje prawo brzmi: „Raz karta, której nazwa kończy się na samogłoskę, raz karta, której nazwa kończy się na spółgłoskę”.

Zaczęli go bić poduszkami.

Rozegrali jeszcze kilka partii. Julie pomyślała, że w ostatecznym rozrachunku z rewolucji mrówek pozostały jedynie symbole: rysunek sztandaru z trzema mrówkami ułożonymi w „Y”, dewiza „1 + 1 = 3”, gra eleuzyjska i miód pitny.

Chce się zmienić świat, a w pamięci ludzkiej pozostaje zaledwie kilka nieistotnych drobiazgów. Edmund Wells miał rację. Wszystkim rewolucjom brak jest pokory.

Dziewczyna o jasnoszarych oczach położyła na stole damę kier.

– Karta odrzucona – powiedział Léopold, który wydawał się tym zakłopotany.

– Odmowa karty często jest bogatsza w informacje niż jej przyjęcie – powiedziała Zoé, występując w roli prorokini.

Dzięki niepowodzeniu Julie Zoé zrozumiała prawo rządzące tą partią.

Podawali sobie miód pitny. Dobrze się czuli, grając razem w tę śmieszna grę. Pochłonięci kartami zapominali nawet, gdzie są. Rozmawiali o wszystkim, unikając kwestii nieobecności Narcisse’a. Po tym, jak raz utworzy się koło, nie można go już utworzyć inaczej. Kogoś zabraknie i wszyscy czują się okaleczeni.

Arthur wszedł do pomieszczenia.

– Udało mi się nawiązać kontakt z waszym amerykańskim uniwersytetem w San Francisco.

Wszyscy pobiegli do sali komputerowej. Francine poprosiła Arthura, aby znalazł pamięć serwera „Rewolucji mrówek”. Wyświetlał się teraz na małym ekranie. Francine usiadła nad klawiaturą i zaczęła rozmawiać z ludźmi z San Francisco. Po potwierdzeniu jej tożsamości chętnie zgodzili się przesłać znowu drogą telefoniczną całą ich wiedzę.

W pięć minut komputer piramidy zapełnił się pamięcią rewolucji. Cudownym zrządzeniem zaawansowanych technologii wszystko się odrodziło. Po kolei otworzyli na nowo filie. „Centrum pytań” zostało wprowadzone w stan hibernacji. David je reaktywował. Natomiast wirtualny świat *Infra-World* nadal funkcjonował na przyjmującym go komputerze. Najwyraźniej czuł się znakomicie, podobnie jak skorupiak pustelnik w każdej goszczącej go muszelce.

Julie, która kilka minut wcześniej obawiała się, że we wspomnieniach zachowa jedynie miód pitny i grę eleuzyjską, była zachwycona, widząc, że jej rewolucja odżywa, jak wysuszona gąbka ponownie zanurzona w wodzie. A zatem rewolucja mogła nie mieć żadnego fizycznego punktu zaczepienia i być reaktywowana w każdym momencie z skądkolwiek i przez kogokolwiek. Nieśmiertelność dzięki informatyce; żadna poprzednia rewolucja do tego nie doszła.

Odnaleźli wzory ubrań Narcisse’a, plany architektoniczne Léopolda, a nawet przepisy Paula. Ji-woong ponownie uruchomił sieci i ogłosił całemu światu, że twórcy rewolucji mrówek żyją, ukrywają się, a ich ruch nadal istnieje.

Aby ich nie wykryto, gromadzili informacje na serwerze uniwersytetu w San Francisco, który następnie drogą satelitarną przekazywał ich komunikaty.

Patrząc na migające diody, które przekazywały wieść o ich przebudzeniu, Julie nie rozumiała, jak mogli ponieść klęskę w liceum w Fontainebleau.

Francine zajęła miejsce Ji-woonga i uruchomiła swój program.

– Chcę jak najszybciej zobaczyć, jak ewoluował *Infra-World*.

Stwierdziła, że jej wirtualny świat niesłychanie się rozrósł. Jego mieszkańcy przekroczyli granicę czasu rzeczywistego świata i żyli teraz w 2130 roku. Odkryli nowe sposoby przemieszczania się oparte na energii elektromagnetycznej i nową medycynę wykorzystującą fale. Co dziwne, na płaszczyźnie technologicznej dokonali zupełnie innych wyborów estetycznych i mechanicznych. Na przykład naśladowali przyrodę. To znaczy nie było helikopterów, ale pojawiły się samoloty machające skrzydłami, nazwane „ornitopterami”. Łodzie podwodne nie miały

śrub napędowych, ale przedłużeniem ich silnika był długi ruchomy ogon, który rytmicznie uderzał w wodę. I tak dalej. Francine obserwowała ten równoległy świat i poczuła, że coś nie gra. Zbliżyła zoomem wjazdu do miast i aż podskoczyła.

– Zabili „ludzi-mosty”!

W istocie przy wjazdach do miast jej szpiedzy zostali powieszoni w widocznych miejscach na szubienicach.

Politycy, specjaliści od reklamy i dziennikarze nie powstrzymali zemsty, tak jakby mieszkańcom *Infra-World* zależało na tym, aby skierować przesłanie do mieszkańców wyższego świata.

– A zatem zrozumieli, że byli tylko iluzją informatyczną. Być może wywnioskowali z tego, że istnieję – powiedziała zdumiona Francine.

Poruszała się po swoim *Infra-World*, aby lepiej zrozumieć, co się tam dzieje, i zauważyła napisy proszące bogów, aby – jeśli je zobaczą – zwrócili wolność wirtualnym mieszkańcom.

„Bogowie, zostawcie nas w spokoju”.

Napisali swoją prośbę na dachach domów, wryli ją na pomnikach, wypisali kosiarką na trawnikach.

A zatem uświadomili sobie, kim są i gdzie mieszkają. Francine chciałaby móc im pokazać grę *Ewolucja*, aby zobaczyli, czym jest świat całkowicie kontrolowany przez boga-gracza.

Jako bogini dała im wolną wolę. Nie ingerowała w ich życie. Mógł nawet pojawić się tam krwawy tyran, zadecydowała, że nie będzie im narzucać zasad moralnych i będzie szanować ich wybór, choćby był głupi lub samobójczy.

Czyż nie jest to najlepszym dowodem szacunku boga dla swojego wyemancypowanego narodu? Przeszkadzała im jedynie po to, aby przetestować proszki do prania i nowe koncepcje, a nawet na to nie chcieli się zgodzić...

Niewdzięczny naród.

Francine nadal krążyła po miastach. Wszędzie wystawione były straszliwie okaleczone ciała jej ludzi-mostów, a mieszkańcy *Infra-World* żądali wyemancypowania się spod kurateli Francine. Obserwowała ekran, gdy nagle wybuchł jej prosto w twarz.

RUCH GNOSTYCZNY: Czy Bóg ma boga? Pierwsi chrześcijanie w czasach starożytnego Rzymu musieli walczyć z ruchem heretyckim, który głosił takie przekonanie, z gnostycyzmem. W drugim wieku po Chrystusie niejaki Marcjon twierdził, że Bóg, do którego się modlono, nie był najwyższym Bogiem, ale że istniał inny Bóg, jeszcze wyższy, przed którym musiał się rozliczać. Zdaniem gnostyków, bogowie zazębiali się ze sobą jak matroszki, bogowie większych światów mieścili w sobie bogów mniejszych światów.

Ta religia, zwana również biteizmem, była zwalczana szczególnie przez Orygenesę. Zwykli chrześcijanie i chrześcijanie gnostycy długo walczyli ze sobą, aby ustalić, czy Bóg miał nad sobą boga. Gnostycy zostali ostatecznie wymordowani, a ci nieliczni, którzy ocaleli, wyznają swoją religię w najściślejszej tajemnicy.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

197. PRZEPRAWA PRZEZ RZEKĘ

I oto ponownie stanęły nad brzegiem rzeki. Tym razem mrówki mają atut – wielką liczbę uczestniczek wyprawy. Jest ich tyle, że połączone nóżka za nóżkę tworzą unoszący się na powierzchni wody most, po którym przechodzą miliony pozostałych mrówek.

Nawet ślimaki niosące na grzbietach gorące węgielki przedostają się na drugą stronę bez strat w swoich szeregach.

Na drugim brzegu mrówki ponownie rozbijają obóz, a 103 dzieli się z nimi swoimi wspomnieniami z krainy Palców. Siedząca z boku 7 tworzy kolejne szkice, 10 zaś stara się nie stracić najmniejszego feromonu, który mogłaby zapisać.

BEZCZYNNOŚĆ:

Palce stoją w obliczu olbrzymiego problemu: bezczynności.

Są jedynym gatunkiem zwierząt, który musi stawiać sobie pytanie: „No dobrze, czym mógłbym się teraz zająć?”

5 nadal krąży wokół obozowiska, wspierając się na kulach. Wojowniczką jest

przekonana, że regularne ćwiczenia chodu na dwóch nóżkach spowodują, że jej ciało przystosuje się do tej nietypowej pozycji, a ona zmieni się w dwunożną mrówkę o zmodyfikowanym kodzie genetycznym, który następnie przekaże swoim dzieciom – zamierza bowiem również któregoś dnia spożyć nieco pszczelego mleczka.

24 jest całkowicie pochłonięty redagowaniem sagi pod tytułem *Palce*.

By móc ją ukończyć, czeka niecierpliwie na spotkanie z nimi.

198. NIEZDECYDOWANA KOBIETA

Francine zdążyła jedynie przykryć rękami twarz, żeby nie raniły jej odłamki szkła z kineskopu. Okulary ochroniły jej oczy i miała tylko zadrapania, ale trzęsła się ze strachu i ze złości. Ludzie z *Infra-World* próbowali zamordować swoją boginię-stworzycielkę! Bogobójstwo!

Lucie opatrzyła blondynkę, podczas gdy Arthur badał elementy z tyłu zniszczonego ekranu.

– Nie do wiary! Wysłali wiadomość elektroniczną, która spowodowała błąd przy określaniu parametrów ekranu. Zmodyfikowali właściwości tego urządzenia. Zgodnie z informacją zawartą na karcie elektronicznej, ekran miał funkcjonować pod napięciem dwustu dwudziestu woltów, podczas gdy w rzeczywistości jest to sto dziesięć woltów. Przeciążenie spowodowało, że wybuchł.

– Znaleźli zatem sposób, aby wejść do naszej sieci informatycznej... – zauważył zaniepokojony Ji-woong. – Znaleźli sposób oddziaływania na nasz świat.

– Nie można ot tak, niewinnie, bawić się w uczniów Boga – zauważył Léopold.

– Lepiej całkiem wyłączyć *Infra-World*. Ci ludzie mogą być dla nas niebezpieczni... – powiedział David.

Zgrał program na dyskietkę o bardzo dużej pojemności, a następnie usunął go ze swojego twardego dysku.

– Zostali dezaktywowani. Buntowniczy ludu, oto zostałeś sprowadzony do najprostszej formy: plastikowej dyskietki magnetycznej chronionej sztywnym opakowaniem.

Wszyscy patrzyli na dyskietkę jak na jadowitego węża.

– Co teraz zrobimy z tym światem, zniszczymy go? – zapytała Zoé.

– Nie! W żadnym wypadku! – krzyknęła Francine, która stopniowo wracała do siebie. – Nawet jeśli w stosunku do nas stali się agresywni, trzeba kontynuować doświadczenie.

Poprosiła Arthura o drugi komputer. Może być stary. Sprawdziła, czy ten komputer nie ma żadnego modemu, żadnego połączenia z jakimkolwiek innym urządzeniem. Zainstalowała *Infra-World* na twardym dysku i włączyła program.

Natychmiast *Infra-World* zaczął znowu żyć, a jego mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy z tego, że przez pewien czas przebywali na zwykłej dyskietce. Zanim mogli ponownie dać dowód agresji, Francine wypięła ekran, a nawet klawiaturę i mysz. Teraz *Infra-World* funkcjonował w obiegu zamkniętym i nie mógł nawiązać kontaktu ze swoimi bogami ani z kimkolwiek innym.

– Chcieli się wyemancypować i udało im się. Są do tego stopnia niezależni, że można powiedzieć, że są pozostawieni własnemu losowi – oznajmiła Francine, głaskając się po zadrapaniach.

– Dlaczego w takim razie zostawiłaś ich przy życiu? – spytała Julie.

– Kiedyś może interesujące będzie zobaczyć, dokąd doszli...

Po tylu emocjach siedmioro przyjaciół położyło się w swoich łóżach. Julie otuliła się nową pościelą.

Była znowu sama.

Była pewna, że Ji-woong do niej przyjdzie. Musieli wrócić do momentu, w którym przerwali. Żeby tylko Koreańczyk przyszedł. Teraz, gdy wszystko ulegało przyspieszeniu i stawało się niebezpieczne, chciała poznać miłość.

Dyskretne pukanie do drzwi. Julie szybko wstała i otworzyła, na progu stał Ji-woong.

– Tak się bałem, że już cię nie zobaczę – powiedział, biorąc ją w ramiona.

Stała nieruchoma i milcząca.

– Przeżywaliśmy tak cudowny moment, gdy...

Objął ją mocniej. Uwolniła się.

– Co się dzieje? – zapytał ze zdziwieniem młody człowiek. – Myślałem, że...

Niemal mimo woli powiedziała:

– Magiczny moment zdarza się tylko raz, a potem...

Kiedy młody człowiek chciał dotknąć swoimi ciepłymi wargami jej ramienia, cofnęła się:

– Tyle rzeczy zdarzyło się od tego czasu... czar przysł.
Ji-woong nie rozumiał zachowania Julie. Ona też nie.

– Ale to ty przyszłaś do... – zaczął.

A potem cicho zapytał:

– Myślisz, że czar powróci?

– Nie mam pojęcia. Chcę teraz zostać sama. Zostaw mnie, proszę.

Pocałowała go przelotnie w policzek, wypchnęła z pokoju i cicho zamknęła drzwi.

Położyła się i próbowała dokonać podsumowania. Dlaczego go odepchnęła, chociaż tak bardzo go pragnęła?

Czekała na to, że Koreańczyk wróci. Musiał wrócić. Żeby tylko wrócił. Rzuci się na niego, gdy zapuka znowu. Nie będzie niczego wymagać. Odda mu się, drżąca, zanim zdoła wymówić słowo.

Ktoś zapukał. Wskoczyła z łóżka. To nie był Ji-woong, tylko David.

– Co ty tu robisz?

Nie odpowiadając, tak jakby nie usłyszał pytania, usiadł na skraju łóżka i zapalił lampkę nocną. W dłoni trzymał małe pudełeczko.

– Spacerowałem trochę po laboratoriach, poszperałem trochę i na brzegu zlewu znalazłem to.

Umieścił pudełko w świetle lampy. Julie nie podobało się, że zajmuje jej łóżę, podczas gdy Ji-woong może wrócić, ale ciekawość była silniejsza.

– Co to jest?

– Chciałaś skonstruować Kamień z Rosetty, który umożliwia rozmowy z mrówkami, oni go skonstruowali. Léopold chciał zbudować dom wtopiony we wzgórze, oni go zbudowali. Paul próbował uprawiać grzyby, żebyśmy byli samowystarczalni, oni posadzili ich całe mnóstwo. Wymyślili komputer o demokratycznej strukturze, którego sam pomysł tak podniecał Francine... A pamiętasz projekt Zoé?

– Sztuczne czułki do porozumienia absolutnego między istotami ludzkimi!

Julie podniosła się na poduszkach.

David otworzył pudełko i pokazał jej dwa małe różowe czułki z końcówką pozwalającą umieścić je w nosie.

Czyżby nawet to im się udało?

– Rozmawiałeś o tym z Arthurem? – zapytała.

– Wszyscy w piramidzie śpią. Nie chciałem nikomu przeszkadzać. Znalazłem dwie pary takich czułek. Wziąłem je, to wszystko.

Patrzyli na dziwne przedmioty jak na zakazane owoce. Przez chwilę Julie miała ochotę powiedzieć: „Poczekajmy do jutra i zapytajmy Arthura o zdanie”, ale wszystko w niej krzychało: „No już, spróbuj”.

– Przypominasz sobie? Edmund Wells mówi, że w trakcie PA dwie mrówki nie wymieniają się jedynie informacjami, ale podłączają się bezpośrednio nawzajem do swoich mózgów. Za pomocą czułek hormony krążą następnie między czaszkami tak, jakby stanowiły one jedność i tym sposobem rozumieją się całkowicie i doskonale.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Spróbujemy?

199. ENCYKLOPEDIA

EMPATIA: Empatia jest zdolnością do odczuwania tego, co odczuwają inni, postrzegania i dzielenia ich radości czy bólu (w języku greckim pathos oznacza 'cierpienie'). Nawet rośliny postrzegają ból. Jeżeli przyłożymy do kory drzewa elektrody galwanometru, przyrządu do mierzenia oporu elektrycznego, a osoba oparta o to drzewo rozetnie sobie palec nożem, można stwierdzić zmianę tego oporu. Drzewo postrzega zatem zniszczenie komórek, jakie następuje, gdy człowiek się zrani. Oznacza to, że kiedy człowiek zostanie zamordowany w lesie, wszystkie drzewa to postrzegają i są tym poruszone. Zdaniem amerykańskiego pisarza, Philipa K. Dicka, autora powieści Blade Runner, jeżeli robot jest w stanie postrzegać ból człowieka i cierpieć z tego powodu, zasługuje wówczas na miano człowieka. Natomiast jeżeli człowiek nie jest zdolny do postrzegania bólu innego, uzasadnione byłoby pozbawienie go statusu człowieka. Wychodząc od tego stwierdzenia, można byłoby wyobrazić sobie nową sankcję karną: pozbawienie tytułu człowieka. W ten sposób karano by oprawców, morderców i terrorystów, wszystkich tych, którzy zadają ból innym, nie przejmując się tym.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

200. CIĘŻAR STÓP

Maximilien sądził, że wreszcie trafił na poważny trop. Ślady kroków były wyraźne. Szła tędy dziewczyna z chłopakiem. Ich młody wiek można było rozpoznać po tym, że przenosili ciężar ciała na przednią część stóp, pozostawiając przez to głębszy ślad dużych palców, a nie pięt. Z kolei płęć komisarz określił na podstawie kilku włosów. Ludziom wszędzie wypadają włosy, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Długie czarne włosy z całą pewnością przypominały włosy Julie. Ślad laski Davida ostatecznie go przekonał, że ich odnaleźli.

Ślad wiódł w stronę zagłębienia otoczonego krzakami jeżyn, w którego środku wznosił się pagórek.

Maximilien rozpoznawał to miejsce. Tutaj właśnie walczył z pszczołami. Ale gdzie się podziała leśna piramida?

Popatrzył na palec z piaskowca, który zdawał się odpowiadać na jego pytanie, wskazując pagórek. Świat pełen jest znaków, które pomagają nam za każdym razem, gdy mamy problemy. Jednak jego mózg nie był jeszcze gotowy na to, aby zwrócić nań uwagę.

Maximilien próbował zrozumieć, jak zniknęła piramida. Wyjął notes i uważnie oglądnał szkic, który sporządził za pierwszym razem.

Za nim nadbiegali zniecierpliwieni inni policjanci.

– I co teraz robimy, panie komisarzu?

201. ŚWIADOMOŚĆ TERAŹNIEJSZOŚCI

– No to już!

David wyjął dwie pary czułek nosowych. Urządzenia przypominały małe różowe różki z plastiku, złączone na wysokości nozdrzy i przedłużone dwoma cieńszymi drążkami długości piętnastu centymetrów. Części, które miały pełnić funkcję właściwych czułek, zbudowane były z jedenastu segmentów wyposażonych w mikropory i długą szparę umożliwiającą połączenie z drugą parą czułek.

David wziął *Encyklopedię* i poszukał fragmentu dotyczącego PA. Przeczytał:

– Należy włożyć czułki do nozdrzy, co dziesięciokrotnie zwiększy moc naszego

zmysłu powonienia przy emisji i odbiorze. Ponieważ jamę nosa wypełnia śluzówka, przez którą przebiegają małe przepuszczalne żyłki, wszystkie nasze emocje przenikają szybko do krwi. Będziemy porozumiewać się bezpośrednio z nosa do nosa. Za kanałami nosowymi znajdują się receptory, które przekażą bezpośrednio informacje chemiczne do mózgu.

Julie oglądała czułki z niedowierzaniem.

– Wszystko to za pomocą węchu?

– Oczywiście, węch jest naszym pierwszym zmysłem, naszym zmysłem pierwotnym, naszym zmysłem zwierzęcym. Jest szczególnie rozwinięty u noworodka, który może rozpoznać zapach mleka matki.

David chwycił czulek.

– Zgodnie ze schematem z *Encyklopedii*, powinien mieć w środku system elektroniczny, z pewnością pompę, która pochłania i wyrzuca nasze molekuly zapachowe.

Młody człowiek nacisnął mały przycisk oznaczony ON, włożył sobie do nosa parę czuleków i zachęcił Julie, aby poszła w jego ślady.

Na początku mieli trochę trudności, bo plastik uciskał ścianki nosa. Przyzwyczaili się do tego, zamknęli oczy i wciągnęli powietrze.

Julie natychmiast osaczyły zapachy ich potu. Ku jej wielkiemu zdziwieniu, zapachy potu zawierały informacje, które była zdolna stopniowo rozszyfrować. Rozpoznała w nich strach, pragnienie i stres.

To było jednocześnie wspaniałe i niepokojące.

David dał jej znak, aby oddychała bardzo głęboko i pozwoliła zapachom dojść aż do mózgu. Kiedy im obojgu udało się opanować to ćwiczenie, poprosił dziewczynę, aby się przysunęła.

– Gotowa?

– To dziwne, mam wrażenie, że mnie przenikniesz – wyszeptała Julie.

– Poznamy tylko to, o czym ludzie marzą od zawsze: całkowite i szczere porozumienie – uspokoił ją David.

Julie miała chwilę wahania.

– I poznasz moje najskrytsze myśli?

– W czym problem? Masz coś do ukrycia?

– Tak jak wszyscy. Właściwie czaszka jest moim ostatnim bastionem.

David ujął ją delikatnie za kark i poprosił, żeby zamknęła oczy. Zbliżył do niej swoje urządzenie węchowe. Ich czułki szukały się przez chwilę, dotknęły się i połaskotały, zanim ułożyły się obok siebie w dwóch szparach. Julie zaśmiała się nerwowo. Teraz czuła się trochę śmiesznie z tą plastikową protezą na końcu nosa. Z pewnością przypominała langustę.

David ponownie ujął jej głowę. Dwa czoła stykały się ze sobą całą powierzchnią. Zamknęli oczy.

– Posłuchajmy naszych doznań – powiedział cicho David.

Nie było to łatwe. Julie bała się, co David u niej odkryje. Gdyby dziewczyna miała wybór, mimo całej swojej pruderii wolałaby odkryć swoje ciało niż pokazać komukolwiek wewnątrz swojego mózgu.

– Oddychaj – wyszeptał David.

Posłuchała i natychmiast osaczył ją straszny odór nosa, odór nosa Davida. O mało nie wypięła aparatu. Powstrzymała się, gdyż zaraz po zapachu nosa wyczuła coś innego, różaną mgiełkę, pociągającą i pachnącą. Otworzyła oczy.

Naprzeciw niej z zamkniętymi powiekami David oddychał harmonijnie z jej ustami. Julie co prędzej zaczęła go naśladować.

Ich oddechy w naturalny sposób dostosowały się do siebie.

Dziewczyna poczuła następnie dziwne szczypanie w jamie nosa, tak, jakby ktoś wlał tam sok cytrynowy. Znowu chciała przerwać, ale kwaśność cytryny ustępowała stopniowo miejsca ciężkiemu zapachowi opium. Wyobraziła go sobie. Różana mgiełka zamieniła się w gęstą materię, która płynęła ku niej jak lawa, chcąc za wszelką cenę przeniknąć do jej nozdrzy.

Przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl. W starożytności, przed zabalsamowaniem zwłok faraonów, Egipcjanie wrywali im mózgi za pomocą łodyg wkładanych do nozdrzy. Tu zachodziło coś wręcz przeciwnego: inny mózg wdzierał się do jej jamy nosa.

Wciągnęła głęboko powietrze i naraz myśli Davida napłynęły do jej półkul mózgowych. Julie nie mogła wyjść ze zdziwienia. Myśli Davida krążyły w jej mózgu z szybkością jej własnych myśli. Odbierała obrazy, dźwięki, muzykę, zapachy, projekty, wspomnienia, które wychodziły z sąsiedniego mózgu. Chwilami, mimo całego oporu młodego człowieka, mała myśl w błyszczącym kolorze fuksji, pojawiała się jak nieśmiały króliczek, aby natychmiast zniknąć.

David z kolei zobaczył granatową chmurę i drzwi otwierające się w tej chmurze. Po drugiej stronie biegła mała dziewczynka – poszedł za nią. Zaprowadziła go do nory, którą zamykała olbrzymia głowa Julie, pełna zakrętów i korytarzy. Twarz Julie otworzyła się jak drzwi i ukazał się mózg w kształcie mrowiska. Był tam mały tunel, do którego wszedł.

David zaczął krążyć w mózgu Julie. Obrazy zniknęły i zabrzmiał głos, ale nie z zewnątrz, tylko z wewnątrz niego samego.

– Jesteś tam teraz, prawda?

Julie zwracała się bezpośrednio do swojego umysłu.

Pokazywała mu, jak go widziała i był tym bardzo zdziwiony.

Uznawała go za wątlęgo i nieśmiałego młodego człowieka.

Pokazał jej, jak on ją widział. Dla niego była dziewczyną o niebywałej urodzie i inteligencji.

Wyjaśnili sobie wszystko, wyznali sobie wszystko, zrozumieli swoje prawdziwe wzajemne uczucia.

Julie odczuła coś nowego. Jej neurony zaczęły się układać z neuronami Davida: gadały ze sobą, polubiły się i zaprzyjaźniły. Potem w różowej mgiełce znowu pojawił się płochliwy króliczek w kolorze fuksji i zastygł w bezruchu z drżącym futerkiem. Tym razem dziewczyna zrozumiała. To było uczucie, jakim darzył ją David.

To było uczucie, które wzbudziła w nim od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, w pierwszym dniu roku szkolnego. Cały czas rosło, jak wtedy, gdy podpowiadał jej rozwiązanie na lekcji matematyki. Dało mu niezbędną odwagę, aby wyrwać ją dwukrotnie ze szponów Gonzague'a Dupeyrona i jego bandy. Skłoniło go do tego, aby zaprosić ją do grupy rockowej.

Rozumiała Davida, był już w samym jej umyśle.

1 + 1 = 3. Była ich trójka, David, Julie i ich porozumienie.

Lodowata fala przebiegła im po kręgosłupach, kiedy komunikacja się skończyła. Zdjęli czułki nosowe i Julie przytuliła się do Davida, aby się ogrzać. Głaskał ją delikatnie po twarzy i włosach, i w wielkim trójkątnym sanktuarium czule zasnęli obok siebie.

ŚWIĄTYNIA SALOMONA: Świątynia króla Salomona w Jerozolimie stanowiła wzór doskonałych form geometrycznych. Składała się z czterech tarasów, z których każdy okalał kamienny mur. Tarasy przedstawiały cztery światy, które tworzą życie:

- Świat materialny: ciało.*
- Świat emocjonalny: duszę.*
- Świat duchowy: inteligencję.*
- Świat mistyczny: część boskości, która jest w każdym z nas.*

W świecie boskim trzy portyki miały przedstawiać:

- Stworzenie.*
- Kształtowanie.*
- Działanie.*

Budynek miał ogólny kształt dużego prostokąta długości stu łokci na pięćdziesiąt łokci szerokości i trzydzieści łokci wysokości. Świątynia usytuowana w środku mierzyła trzydzieści łokci długości i dziesięć łokci szerokości. W głębi świątyni znajdowało się Miejsce Najświętsze w formie doskonałego sześcianu.

W Miejscu Najświętszym umieszczony był ołtarz z akacjowego drewna. Miał kształt doskonałego sześcianu o bokach mierzących pięć łokci. Dwanaście leżących na nim chlebów symbolizowało poszczególne miesiące w roku.

U góry siedmioramienny świecznik symbolizował siedem planet.

Z tekstów autorów starożytnych, a szczególnie Filona z Aleksandrii, wynika, że świątynia Salomona jest figurą geometryczną obliczoną w ten sposób, aby tworzyła pole sił. Na początku złota liczba jest miarą świętej dynamiki. Miejsce Najświętsze ma kondensować energię kosmiczną. Świątynia pomyślana jest jako punkt styku dwóch światów: widocznego i niewidocznego.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

203. CISZA, TO MIŁOŚĆ

Tu ślady kroków ginęły. Maximilien przemierzał wzgórze z góry na dół oraz wzdłuż i wszerz, nie rozumiejąc, jakim sposobem betonowa piramida się ulotniła. Jego zmysł obserwacji był pobudzony. Coś się nie zgadzało, ale miał wrażenie, że

brakuje mu jednego elementu, aby pojąć całość. Wbijał piętę w ziemię.

Pod butem Maximiliena podeszwa, pod podeszwą trawa, pod trawą ziemia.

Pod ziemią korzenie, robaki, kamyki, piasek. Pod piaskiem betonowa ściana. Pod warstwą betonu sufit łoży Julie. Pod sufitem powietrze.

Pod powietrzem bawełniana kołdra. Pod kołdrą uśpiona twarz. Pod skórą twarzy żyły, mięśnie, krew.

Puk, puk.

Julie zerwała się ze snu. Arthur wsadził głowę przez drzwi. Przyszedł ją obudzić i nie oburzyła go obecność Davida w łóżku dziewczyny. Zobaczył czułki na stoliku nocnym i zrozumiał, że ich użyli.

Zapytał młodych ludzi, którzy przecierali oczy, czy dobrze działały.

– Tak – odpowiedzieli chórem.

Wówczas Arthur wybuchnął śmiechem. Popatrzyli na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi, a starszy człowiek powstrzymał atak kaszlu, aby wyjaśnić im, że był to jedynie prototyp. Mieszkańcy piramidy nie mieli czasu, żeby dokończyć ten projekt.

– Trzeba będzie z pewnością poczekać kilka wieków, zanim ludzie będą zdolni do Porozumienia Absolutnego.

– Myli się pan, pana system jest całkowicie sprawny, to działa – odparł David.

– Ach tak, naprawdę?

Stary człowiek wyglądał na rozbawionego. Rozmontował czułki i wskazał puste miejsce.

– Zdziwiłbym się, gdyby to zadziałało bez baterii. W jaki sposób mogłyby uruchomić się pompy zapachowe?

To był zimny prysznic dla młodych ludzi.

Arthur z kolei bawił się świetnie.

– Drogie dzieci, wyobraziliście sobie, że to działa, to wszystko. Ale to już dużo. Właściwie to tak, jakby to naprawdę działało. Gdy wierzy się w coś bardzo mocno, nawet jeśli jest to wyobrażenie, to tak, jakby to naprawdę istniało. Wyobraziliście sobie, że za pomocą tego gadżetu ludzie także mieli prawo do PA i przeżyliście jedyne w swoim rodzaju doświadczenie. Zauważcie, że w ten właśnie sposób powstawały całe religie.

Arthur pieczołowicie schował prototypy do pudełeczka.

– Czy sądzicie, że nawet jeśli to by działało, dobrze byłoby rozpowszechnić te sztuczne czułki? Pomyślcie, co by się stało, gdyby wszyscy mogli czytać w umysłach innych... Jeżeli chcecie poznać moje zdanie, byłaby to katastrofa. Nie jesteśmy na to przygotowani.

Po ich minach Arthur zorientował się, że Julie i David są bardzo rozczarowani.

– Tak to już jest z dziećmi – wymamrotał na schodach.

W łóżku dwoje rewolucjonistów miało wrażenie, że dało się nabrać. Tak bardzo uwierzyli w swoje PA.

– Zawsze wiedziałem, że to niemożliwe – zapewnił David, zupełnie nie wierząc w to, co mówi.

– Ja też – przytaknęła Julie.

I razem wybuchnęli śmiechem, turlając się po łóżku. Może Arthur miał rację. Wystarczyło w coś bardzo mocno wierzyć, aby to istniało. David wstał, zamknął drzwi i wrócił do łóżka. Na kolanach podnieśli kołdrę i prześcieradło, aby zrobić sobie namiot.

Pod warstwami bawełny ich usta szukały się i znalazły. Po połączeniu czułek połączyli języki, skórę, a potem przerywany oddech i pot.

Była pod ścianą. Po raz pierwszy miała poznać miłość fizyczną. Wirtualność miała ustąpić miejsca rzeczywistości. Pozwoliła Davidowi się pieścić, a wszystkie jej komórki nerwowe zastanawiały się, co powinny o tym myśleć.

Większość neuronów opowiadała się za pójściem na całość. Ogólnie znały dobrze Davida, a nieuniknione było, że Julie pewnego dnia straci cnotę. Zdecydowana mniejszość uważała z kolei, że oznaczałoby to utratę tego, co dziewczyna miała najcenniejszego – czystości. Jednak pieszczoty Davida uwolniły wielobarwne fale acetylocholíny – tego naturalnego narkotyku euforycznego – które w końcu uciszyły niechętnie neurony.

Było tak, jakby otworzyły się wreszcie ostatnie środkowe drzwi. Julie czuła się jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz swojego ciała. Wewnątrz był ten głęboki oddech i krew, która biła jej w skroniach z wdzięczności, że pozwoliła na tę przyjemność. Jej mózg przebiegały tysiące maleńkich wyładowań elektrycznych.

Wymiana płynów.

Była szczęśliwa, że żyje, szczęśliwa, że istnieje, szczęśliwa, że się urodziła i jest tym, kim właśnie była. Tyle było do nauczenia się, tylu ludzi trzeba było spotkać,

świat był taki wielki.

Zrozumiała, dlaczego dotąd tak obawiała się przejść do czynu. Trzeba było najpierw znaleźć idealne okoliczności.

Teraz wiedziała.

Miłość jest tajemną ceremonią, która powinna odbywać się w miejscu położonym pod ziemią, najlepiej mającym piramidalny kształt, z mężczyzną, najlepiej mającym na imię David.

204. PIECZONE MIĘSO

Książę 24 domaga się szczegółów dotyczących życia seksualnego Palców, pisze bowiem właśnie o tym w swojej powieści.

SEKSUALNOŚĆ:

Palce są gatunkiem najszczodrzej obdarzonym przez naturę organami płciowymi.

Podczas gdy wszystkie inne zwierzęta ograniczają swoją aktywność seksualną do krótkiego okresu w ciągu roku, zwanego „okresem godowym”, Palce są bez przerwy gotowe do kopulacji.

Robią to zresztą kiedy bądź, mając nadzieję utrafić w moment sprzyjający zapłodnieniu: żaden zewnętrzny symptom nie informuje samca o owulacji samicy.

Samiec potrafi zapanować nad aktem seksualnym i przedłużyć go tak długo, jak tylko ma na to ochotę. Tymczasem u większości ssaków czas trwania tego aktu rzadko przekracza dwie minuty.

Samice Palców w szczytowym momencie kopulacji wydają z siebie głośne okrzyki. Nie wiadomo dlaczego.

Księżniczka 103 i książę 24, delikatnie kołysani ruchami swojego ślimaka, rozprawiają o świecie Palców, nie zwracając większej uwagi ani na otaczające ich pejzaże, ani na rogi ślimaka, który od czasu do czasu im się przygląda.

Ciemna gromada mrówczych pielgrzymów podąża dwiema kolumnami, unikając kontaktu ze śliną ślimaka. Obozowiska rozbijane przez mrówki są tak duże, że owady już nie wieszają się na gałęziach jak owoce, lecz pokrywają całe drzewa. Wokoło płoną małe ogniska.

Księżniczka 103 czuje za sobą ciężki zapach tłumu, który wprowadziła w ruch.

Ponieważ feromony jej opowieści nie zawsze docierają na koniec długiego szeregu, inne insekty przekazują je dalej. Podobnie jak przekaz ustny, przekaz zapachowy powoduje czasami deformację treści.

– *Księżniczka powiedziała, że samice Palców krzyczą podczas kopulacji.*

Nic, co dotyczy Palców, nie dziwi już mrówek. Mimo to nie brakuje owadów, które dodają po drodze kilka osobistych uwag:

– *Dlaczego samice Palców krzyczą?*

Odpowiedź:

– *By przegonić drapieżniki, które mogłyby im przeszkodzić w kopulacji.*

Owady idące na samym końcu pochodu otrzymują wersję daleką od oryginalnego przekazu.

– *Palce przeganiają drapieżniki okrzykami.*

Księżniczka 103 całkowicie odcina się od poglądów deistek, mimo to w zaskakującym tempie rośnie liczba uczestniczek marszu, które zaczynają uważać Palce za bogów i są przekonane, że biorą udział w pielgrzymce.

Księżę 24 ma kolejne pytania. W jaki sposób Palce informują się o niebezpieczeństwie?

ALARM:

Ponieważ Palce nie znają języka zapachowego, nie dysponują feromonem alarmowym.

Niebezpieczeństwo sygnalizują dźwiękiem – na przykład syreną zasilaną pompą z powietrzem lub znakami wizualnymi – migoczącym czerwonym światłem.

Ogólnie rzecz biorąc, pierwsze informowane są zawsze czułki telewizora i to one przekazują następnie wiadomość o niebezpieczeństwie całej ludności.

Wszyscy mieszkańcy lasu przyglądają się pochodowi. Wielu jest zaniepokojonych. Zwierzyna, na którą polują wojowniczkami, jest coraz większa, a na dodatek... coraz częściej jest zamieniana na pieczeń.

205. PĘKNIĘTE JAJKO

Julie nadstawiła wargi do nowego pocałunku, kiedy na zewnątrz zabrzmiał znajomy głos:

– Wyjdźcie natychmiast! Jesteście otoczeni.

W piramidzie rozległ się alarm. Wszyscy zaczęli biec do sali kontroli. Na ekranach wideo mrowiły się sylwetki policjantów zajmujących miejsce na wzgórzu.

Arthur Ramirez westchnął:

– Znowu przekleństwo człowieka jaskiniowego...

W łóżu Julie alarm sygnalizowała czerwona migająca lampka.

– To koniec! – wykrztusił David.

– Zostańmy mimo wszystko – powiedziała Julie. – Jest nam za dobrze.

Ji-woong uchylił drzwi, spojrział zaskoczony i bez komentarza oznajmił:

– Atakują nas. Szybko, musimy iść.

Jonathan i Laetitia przynieśli walizkę z nalepką Obserwacja. Była wypełniona pianką, a w niej, w małych szparach, umieszczone były latające mrówki roboty, każda pod właściwą liczbą.

Cztery z tych maleńkich cudów mikromechaniki umieszczono przy otworach wentylacyjnych. Jonathan Wells, Laetitia Wells, Jason Bragel i Jacques Méliès zasiedli przed ekranami kontrolnymi i ujęli w dłonie drążki sterownicze. Jak torpedy podwodne cztery owady ruszyły przez przewody, podczas gdy sterujący nadzorowali ich trasę na peryskopach wideo.

Wkrótce latający szpiedzy przekazali obraz telewizyjny z bliższej odległości. Wszyscy mieszkańcy piramidy śledzili z niepokojem ruchy policjantów dookoła gniazda.

Maximilien wydawał precyzyjne rozkazy przez krótkofalówkę. Przyjechała ciężarówka, z której wyładowano sprzęt do robót ziemnych. Zbliżyli się ludzie uzbrojeni w młoty pneumatyczne.

Jonathan i Laetitia pospiesznie wyjęli kolejną walizkę z napisem Walka. Nowi mieszkańcy gniazda dołączyli do nich przed ekranami kontrolnymi. Arthur nie sterował, gdyż za bardzo drżały mu ręce, a kierowanie lotem mrówek wymagało dokładności co do milimetra.

Młot pneumatyczny wbił się we wzgórze. Ziemia zmniejszała wstrząsy, ale wszyscy tu wiedzieli, że wreszcie dotrze do kości, ściany ich gniazda.

Zręcznie sterowana mrówka bojowa wylądowała na szyi policjanta, który obsługiwał sprzęt i wstrzyknęła mu środek usypiający. Człowiek padł na ziemię.

Maximilien wrzeszczał rozkazy przez krótkofalówkę i zaledwie kilka minut później mikrobus dostarczył stroje pszczelarskie. Policjanci wyglądali jak płuwonurkowie. Byli poza zasięgiem mrówczych żądań.

Ludzie z piramidy nie mieli innej broni poza latającymi mrówkami ze środkiem usypiającym i byli teraz rzeczywiście bezbronni. Patrzyli na siebie bezsilni.

– To koniec z nami – powiedział Arthur.

Policjanci tak dobrze chronieni nie mieli żadnych problemów z przebiciem ziemi. Teraz stal młotów pneumatycznych docierała do warstwy betonu, podobnie jak wiertarka dentystyczna dotykająca szkliwa zęba. W piramidzie wszystko drżało i serca biły jeszcze głośniej.

Nagle hałas ustał. Policjanci umieścili w otworach laski dynamitu. Maximilien pomyślał o wszystkim. Chwycił detonator i szybko zaczął odliczać.

– Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

206. ENCYKLOPEDIA

ZERO: Chociaż odnajdujemy ślady zera w chińskich obliczeniach z drugiego wieku po Chrystusie (zero było zapisywane jako kropka), a znacznie wcześniej pojawia się ono u Majów (zero zapisane jako spirala), to nasze rodzime zero pochodzi z Indii. W siódmym wieku Persowie przejęli je od Hindusów. Kilka wieków później Arabowie skopiowali je od Persów i nadali mu tę nazwę, którą stosujemy do dziś. Lecz dopiero w trzynastym wieku pojęcie zera dotarło do Europy za pośrednictwem Leonarda Fibonacciego (prawdopodobnie był to skrót od Filio di Bonacci), nazywanego też Leonardem z Pizy, który wbrew temu, na co wskazywałby jego przydomek, był kupcem weneckim.

Kiedy Fibonacci starał się wyjaśnić swoim współczesnym znaczenie zera, Kościół uznał, że spowodowałoby to zbyt wielkie zamieszanie w wielu obszarach życia. Niektórzy inkwizytorzy uważali, że zero jest sprawką diabła. Trzeba bowiem powiedzieć, że o ile dodawało ono mocy niektórym cyfrom, o tyle jednak sprowadzało też do nicości te wszystkie liczby, które usiłowano przez zero pomnożyć.

Mawiano, że zero jest wielkim „anihiliatorem”, gdyż przekształca wszystko, co się doń zbliży, w zero. Z kolei jedyńka nazywana była wielkim szacownym, gdyż

pozostawiała niezmiennym to, co było przez nią mnożone. Zero pomnożone przez pięć to zero. Jeden pomnożone przez pięć daje pięć.

Ostatecznie sprawy się jednak jakoś ułożyły. Kościół zaledwie potrzebował dobrych księgowych, żeby nie zrozumieć w porę jakże istotnego znaczenia, w wymiarze materialnym, jakie daje wykorzystanie zera.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

207. WIELKA PIELGRZYMKA

Księżniczka 103 rozpoznaje już teren. Niedługo zobaczą gniazdo ludzkie, z którego uciekła. Chwila Wielkiego Spotkania nadchodzi.

103 prosi swój oddział młodych eksploratorek, by przekazały mrówkom idącym na tyłach armii, że pierwsze szeregi będą zmuszone zwolnić kroku. Zdaje sobie sprawę z tego, że pochód przybrał już takie rozmiary, iż zanim informacja ta dotrze do idących na samym końcu oddziałów i zostanie przetłumaczona na wszystkie języki, jakimi posługują się obywatele obcych miast, wielu pielgrzymów zostanie zdeptanych, gdyż nie zdążą wyhamować na czas.

Księżniczka 103 rozgląda się wokoło i nie może wyjść ze zdumienia. Gniazdo znikło. Na jego miejscu wyrosło wzgórze, a wokół panuje straszliwy bałagan. W powietrzu unosi się zapach benzyny, strachu i Palców. Ostatnio, gdy wyczuła taki stopień nasilenia stresu i paniki, było to, gdy zapuściła się na kawałek materiału, który Palce nazywają „piknikiem”.

208. FEROMON ZOOLOGICZNY: POSIŁEK

Zaśliniająca się 10 notuje.

POSIŁEK:

Palce są jedynymi zwierzętami, których proces odżywiania odbywa się zgodnie z pewnym rytmem.

Pozostałe zwierzęta jedzą zawsze: 1) gdy są głodne, 2) gdy dostrzegają pożywienie w swoim polu widzenia, 3) gdy są w stanie biec dostatecznie szybko, by złapać to

pożywienie. *Palce* – czy są głodne, czy nie – jedzą trzy razy dziennie.

System ten pozwala dokonać podziału dnia na trzy części.

Pierwszy posiłek rozpoczyna poranek, drugi go zamyka i otwiera popołudnie, trzeci posiłek zamyka popołudnie i przygotowuje do snu.

209. DZIEŃ DOBRY

Są tam. *Palce* są tam. A sądząc po docierających stamtąd zapachach, jest ich bardzo dużo.

Molekuła powitania.

Wszystkie owady emitują swoje feromony identyfikujące. Zero agresji, zero ostentacji w zapachowych sygnałach.

Molekuła powitania dla wszystkich obecnych Palców.

Ponieważ feromon *Palce* bardzo przypomina feromon o znaczeniu *Bogowie*, wiele mrówek się myli.

Mimo że staramy się działać racjonalnie, gdy tylko następuje coś niezrozumiałego, od razu się okazuje, że irracjonalizm bierze górę.

Molekuła powitania dla wszystkich obecnych Palców.

Wspinając się na bogów, mrówki nadają najczulsze i najbardziej przyjazne feromony. Doskonale zrozumiały, że do *Palców* należy zwracać się z szacunkiem.

– *Molekuła powitania dla wszystkich obecnych Palców* – nadają wspólnie, wspinając się na olbrzymie, ciepłe i wydzielające silne zapachy zwierzęta.

210. ENCYKLOPEDIA

UTOPIA SABBATAJA CWI: Dawno temu w Polsce, po przeprowadzeniu tysięcy obliczeń i ezoterycznych interpretacji Biblii i Talmudu, wielcy erudyci i kabaliści przepowiedzieli nadejście Mesjasza, wyznaczając dokładną datę na 1666 rok. W tym czasie nastroje wśród żydowskiej ludności w Europie Wschodniej były wyjątkowo złe. Kilka lat wcześniej kozacki hetman Bohdan Chmielnicki stanął na czele chłopskiej armii, usiłując zrzucić jarzmo wielkich polskich właścicieli ziemskich. Nie potrafiąc zdobyć ich silnie ufortyfikowanych zamków, orda

ogarnięta szaleńczi mordowania zemściła się na małych żydowskich wioskach, które uznane zostały przez władcę za zbyt wierne swoim polskim panom. Kiedy kilka tygodni później polska arystokracja krwawo stłumiła powstanie, po raz kolejny represje dotknęły także mieszkańców żydowskich wiosek, a ofiary liczono w tysiącach. „To znak ostatniej walki Armagedonu – twierdzili kabaliści. – To zapowiedź nadejścia Mesjasza”.

W każdym razie ten właśnie moment wybrał Sabbataj Cwi, młody i łagodny człowiek o wyrazistym spojrzeniu, żeby podać się za Mesjasza. Potrafił pięknie mówić, uspokajał i umiał też wzbudzać marzenia. Utrzymywano, że jest on w stanie czynić cuda. W krótkim czasie wywołał bardzo silne religijne poruszenie wśród ciężko doświadczonych wspólnot żydowskich w Europie Wschodniej. Wielu rabinów, rzecz jasna, widziało w nim jedynie uzurpatora i „fałszywego króla”. Nastąpiła schizma i podział na zwolenników i krytyków Sabbataja Cwi, a rozłam następował też i w rodzinach. Niektóre osoby postanawiały porzucić wszystko, pozostawić swój dom i podążyć za nowym Mesjaszem, który zachęcał ich do stworzenia nowej utopijnej społeczności na Ziemi Świętej. Potem jednak sprawy potoczyły się szybko. Pewnego wieczoru szpiedzy sułtana pojmali Sabbataja Cwi. Uniknął śmierci, przechodząc na islam. Niektórzy z jego najwierniejszych wyznawców podążyli za nim tą samą drogą. Inni z kolei woleli o nim zapomnieć.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

211. ARMIA SKRZATÓW

Krzyk. Jeden z policjantów zemdlął na widok tej czarnej, mrowiącej się masy zmierzającej w ich stronę, która na dodatek sprawiała wrażenie, jakby chciała się na nich wspiąć. Stało tam dwudziestu mężczyzn. Pozostali wzięli natychmiast nogi za pas.

Wędrując po trzech leżących na ziemi cielskach Palców, eksploratorki emitują uprzejme *molekuły powitania*, lecz dziwi je brak jakiegokolwiek odpowiedzi. Księżniczka 103 twierdziła przecież, że niektóre Palce znają zapachowy język mrówek.

– Cóż to jest? – wykrzyknęła Julie, wpatrując się w ekran monitora.

Księżniczka 103 rozgląda się wokół siebie. Mrówki wbiegają na Palce i witają się z nimi. Nagle dociera do niej, że ruch, który zapoczątkowała, przerasta ją.

Prosi wszystkich, żeby się uspokoiли. Wie, że Palce może przestraszyć sama obecność mrówek. W gruncie rzeczy są bardzo nieśmiałe.

Dwanaście eksploratorek biega wzdłuż kolumny wojowniczek i prosi je o zachowanie bezpiecznej odległości od Palców. Mimo to pierwsze oddziały wkraczają już na leżące nieruchomo ciepłe góry. Niektórzy pielgrzymi zostali, niestety, porwani przez uciekające w szaleńczym pędzie Palce.

Księżniczka 103 radzi, żeby zachować spokój. Próbuje zatrzymać swoje oddziały. Zabrania im zjadać, a nawet gryźć Palce. Prosi każdą z mrówek, by nie panikowały w obliczu tak ważnego wydarzenia.

Opanowawszy sytuację, stara się ukryć zdenerwowanie i wyrusza na obchód wzgórze. 24 i pozostałe dwanaście eksploratorek czują, że coś jest nie tak. Najpierw wszystko toczyło się tak szybko, a teraz zapanował podejrzany spokój. Zbyt podejrzany.

Ślimaki wysuwają głowy ze swoich skorupki.

Księżniczka 103 węszy wśród paproci i w końcu udaje jej się odszukać otwór wywietrznika, przez który udało jej się uciec z gniazda Palców.

Wspina się na jeden z pobliskich kamieni i zwraca się do tłumu. Twierdzi, że wzgórze to jest gniazdem Palców, a żyjące w nim osobniki są jednymi z nielicznych, które rozumieją język zapachowy mrówek. To wyjątkowa okazja, której nie mogą przepuścić.

Zejdzie do nich najpierw sama, a następnie wróci i zda pozostałym relację ze spotkania.

Tymczasem powierza 24 i dwunastu młodym eksploratorom kierownictwo nad pochodem.

Podczas gdy zdalnie sterowane latające mrówki filmowały czarny dywan pokrywający wzgórze, dało się słyszeć jakieś drapanie w kratce wentylacyjnej. Arthur poszedł się temu przyjrzeć z bliska i zauważył tam słusznych rozmiarów mrówkę, wyposażoną w małe skrzydła. Między żuwaczkami trzymała mały patyczek, by móc głośniejsze drapać.

Poprosił, żeby ją puszczono. Gdy dostrzegł niewielki żółty ślad na jej czole, oblicze staruszka rozpromieniło się.

103.

103 wróciła.

– Witaj, 103 – rzekł z przejęciem. – A więc dotrzymałaś obietnicy, wróciłaś...

Ruda mrówka, nie rozumiawszy oczywiście ani słowa, poruszyła czułkami, starając się wylapać zapachy dochodzące z ust Arthura.

– Masz teraz skrzydła – ucieszył się mężczyzna. – Najwyraźniej mamy sobie wiele rzeczy do opowiedzenia...

Ujął ostrożnie 103 w palce i umieścił ją pod kloszem Kamienia z Rosetty.

Wszystkie osoby znajdujące się w piramidzie zgromadziły się wokół aparatury, w której 103 usadowiła się jak za dawnych czasów.

– Witaj, 103.

Machina zazgrzytała, aż wreszcie dobiegł z niej syntetyczny odgłos:

– *Pozdrowienia, Arthurze!*

Arthur spojrzał wokoło podekscytowany i poprosił, żeby powrócili do swoich zajęć. Wolał porozmawiać ze swoją przyjaciółką sam na sam. Wszyscy zauważyli, że to spotkanie bardzo wzruszyło staruszka, i oddalili się.

Chcąc mieć pewność, że nikt ich nie podsłuchuje, Arthur założył słuchawki i zagłębił się w mrówczej opowieści.

212. ENCYKLOPEDIA

NASI RÓŻNI SPRZYMIERZENICY: Historia zna wiele przykładów współpracy militarnej między ludźmi a zwierzętami, chociaż ci pierwsi nie zadali sobie trudu, aby zapytać je w ogóle o zdanie.

Podczas drugiej wojny światowej Sowieci tresowali psy przeciwczołgowe. Z przywiązaną do karku miną psy miały za zadanie wślizgnąć się pod nieprzyjacielskiczołg i spowodować jego wybuch. System jednak nie działał za dobrze, gdyż psy zazwyczaj wracały zbyt wcześnie do swoich panów.

W 1943 roku doktor Louis Feiser wpadł na pomysł, żeby do ataku na japońskie okręty wykorzystać nietoperze wyposażone w zminiaturyzowane bomby zapalające. Miała to być odpowiedź aliantów na japońskich kamikaze. Jednakże po Hiroszimie broń tę uznano za przestarzałą.

W 1944 roku Brytyjczycy opracowali projekt polegający na wykorzystaniu kotów

do pilotowania malutkich samolotów wypełnionych materiałami wybuchowymi. Sądzi, że koty, które zazwyczaj unikają wody, uczynią wszystko, by skierować pojazd na lotniskowce. W praktyce nic jednak z tego pomysłu nie wyszło.

W czasie wojny w Wietnamie Amerykanie próbowali skorzystać z usług gołębi i sępów, żeby zrzucić bomby na Wietkong. Kolejne niepowodzenie.

A kiedy ludzie nie wykorzystują zwierząt jako żołnierzy, próbują postużyć się nimi jako szpiegami. I tak, w czasie zimnej wojny CIA przeprowadziło próby mające na celu naznaczenie podejrzanych osób pracujących dla obcego wywiadu żeńskim hormonem karalucha, peripalonem B. Substancja ta działa tak podniecająco na osobnika męskiego, że potrafi on wyczuć i dotrzeć do źródła zapachu z odległości kilku kilometrów.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

213. AKTUALIZACJA

Nikt się nie dowiedział, co też powiedzieli sobie tego dnia Arthur i 103. Zapewne mrówka wyjaśniła mu, dlaczego uciekła z laboratorium. Zapewne Arthur poprosił ją, by pozostała wraz ze swoimi oddziałami, żeby strzec piramidy przed kolejnym atakiem Palców. Zapewne 103 zapytała go, na jakim etapie znajduje się projekt współpracy między dwoma światami.

214. POROZUMIENIE APOSTOŁÓW

Na zewnątrz, na szczycie pagórka, dwanaście młodych eksploratorek zorganizowało dwanaście obozowisk – w centrum każdego z nich znajdował się żarzący się węgielek.

Każda z eksploratorek opowiada, co sądzi, że może się aktualnie dziać w ludzkim gnieździe. Wszystkie uważają, że księżniczka dołączyła do bogów, którzy – w przeciwieństwie do tych trzech stosów mięsa napotkanych wcześniej – potrafią mówić.

– Księżniczka 103 prosi o nawiązanie porozumienia między Palcami i mrówkami –

oświadcza 24, żeby uspokoić zebranych.

– *O tej porze sprawa jest już pewnie załatwiona.*

Nad ranem 5, stojąc oparta o swoje kule, jako pierwsza słyszy jakiś dźwięk. Wielkie wiosła miały powietrze nad obozowiskiem. Od razu pojmuję, że te unoszące się w powietrzu szerszenie stanowią zagrożenie, lecz latają zbyt wysoko, by można je było dosięgnąć pociskami kwasu mrówkowego. Mrówki potrafią strzelać na odległość około dwudziestu centymetrów, a szerszenie znajdują się zdecydowanie wyżej.

Na monitorach kontrolnych wewnątrz piramidy zagrożenie to wygląda jeszcze bardziej spektakularnie. Powietrzne siły obronne wysłały bowiem na miejsce olbrzymie helikoptery.

Były to maszyny używane do rozsypywania nawozu na terenach rolniczych. Nie ma szans, by 103 zdążyła przetrzeć swoje oddziały. Żółtawy deszcz kryształków kwasu już spada na jej towarzyszkę.

W zetknięciu z trującymi kryształkami ich ciała przeszywa straszliwy ból. Pancerze, trawa i drzewa rozpływają się.

Helikoptery rozpylają mieszanek produktu złuszczonego i skoncentrowanego środka owadobójczego.

Ludzie znajdujący się w gnieździe są wściekli. Miliony mrówek przyszły tu, by zawrzeć z ludźmi pokój, a teraz umierają – nie dano im najmniejszej szansy na ocalenie.

– Nie możemy na to pozwolić! – złościł się Arthur.

Czyżby cały ich wysiłek poszedł na marne?

Księżniczka 103 obserwowała przebieg wydarzeń na małym monitoru i nie mogła pojąć, co się dzieje.

– Oni zwariowali – szepnęła Julie.

– Nie, oni się boją, to wszystko – odparł Léopold.

Jonathan Wells zacisnął pięści:

– Dlaczego zawsze pojawiają się przeszkody nie do pokonania, które uniemożliwiają człowiekowi poznanie tego, co nowe, co inne?! Czemu ludzie upierają się, by badać otaczające je stworzenia jedynie pokrojone na kawałki, pod szkiełkiem mikroskopowym?

Widząc tę żółtą ciecz niszczącą życie, Arthur poczuł wstyd, że urodził się

człowiekiem. Rzekł z przekonaniem:

– Dość tego. Koniec tej zabawy. Poddajmy się i przerwijmy tę masakrę.

Razem ruszyli tunelem, wyszli z piramidy i oddali się siłom porządkowym. Nikt się nie zawahał. Nie mieli wyboru, a tylko jedną nadzieję: że kapitulując, uda im się zatrzymać tańczące nad nimi helikoptery rozsiewające truciznę.

215. FEROMON ZOOLOGICZNY: CORRIDA

Zaśliniająca się 10 notuje.

CORRIDA

Palce są najsilniejsze spośród drapieżników.

Mimo to wydaje się, że czasami ogarniają je wątpliwości i wtedy odczuwają potrzebę rozwiania ich.

Dlatego organizują corridy.

Jest to przedziwny rytuał, podczas którego Palec mierzy się ze zwierzęciem, które wydaje mu się najpotężniejsze: z bykiem.

Przez wiele godzin walczą ze sobą, byk uzbrojony w ostre rogi, a Palec w cienką metalową pikę.

Zawsze wygrywa Palec, byk natomiast nie ma szans, nawet gdyby zwyciężył.

Rytuał corridy pozwala Palcom utwierdzić się w przekonaniu, że potrafią zapanować nad naturą.

Mordując ciężkiego, wściekłego byka, Palec ponownie uzyskuje tytuł władcy zwierząt.

216. PROCES

Trzy miesiące później rozpoczął się proces. Sala rozpraw w pałacu sprawiedliwości w Fontainebleau wypełniona była po brzegi. Ci wszyscy, którzy nie uczestniczyli w godzinach chwały oskarżonych, teraz przybyli, żeby asystować przy skazaniu ich na śmierć. Tym razem zjawiała się nawet ogólnokrajowa telewizja. Obecnych było sześć największych stacji telewizyjnych. Nie brały wprawdzie udziału w powodzeniu rewolucji, lecz teraz chciały asystować przy jej egzekucji. Dla widzów klęska jest zawsze bardziej interesująca i medialna niż zwycięstwo.

Wreszcie udało się pojmać przywódców rewolucji mrówek i szalonych naukowców z piramidy w lesie. Fakt, że znaleźli się wśród nich były minister do spraw badań naukowych, przepiękna Eurazjatka i jakiś starszy schorowany facet, nadawał odpowiedniego kolorytu całemu procesowi.

Dziennikarze, operatorzy i fotografowie przepychali się. Miejsca zarezerwowane dla widzów były zajęte co do jednego, a i tak spory tłum napierał na drzwi pałacu sprawiedliwości.

– Panie i panowie, sąd idzie – ogłosił woźny sądowy.

Przewodniczący sądu wszedł do sali, z dwoma asesorami po bokach, a za nimi oskarżyciel publiczny. Protokolant sądowy zasiadł już na swoim miejscu, podobnie jak dziewięciu przysięgłych. Był tam właściciel sklepu spożywczego, emerytowany pracownik poczty, pani zajmująca się fryzjerstwem dla psów, chirurg, który nie miał klientów, kontrolerka pracująca w metrze, rozdawca ulotek reklamowych, nauczycielka na urlopie zdrowotnym, księgowy i tapicer. Różne były wydzielane przez nich zapachy.

Woźny sądowy zapowiedział:

– Oskarżenie z powództwa publicznego przeciwko ugrupowaniu nazywanemu „Rewolucja mrówek”, działającemu ze spiskowcami pod nazwą „Ludzie z leśnej piramidy”.

Sędzia usadowił się wygodnie na swoim tronie, wiedząc, że proces prawdopodobnie potrwa długo. Miał siwe włosy, starannie przystrzyżoną bródkę w kolorze pieprzu z solą, i we wszystkim emanował od niego majestat wymiaru sprawiedliwości, unoszący się wysoko, wysoko nad partykularnymi interesami.

Dwóch asesorów było w szacownym wieku i wydawało się, że przyszli trochę się rozerwać między dwiema partyjkami belotki. Wszyscy trzej zajęli miejsce za długim stołem z wiązu, nad którym wznosiła się alegoryczna rzeźba przedstawiająca „kroczącą Sprawiedliwość”, ukazaną pod postacią młodej kobiety odzianej w odważnie wydekoltowaną togę, z przepaską na oczach i wagą w ręce.

Protokolant sądowy podniósł się i wezwał oskarżonych, których otaczało czterech policjantów. Razem było ich dwudziestu ośmiu. Znalazło się wśród nich siedmiu inspiratorów rewolucji mrówek, jak również siedemnaście osób z pierwszego tomu *Encyklopedii* oraz cztery z tomu drugiego.

Przewodniczący sądu zapytał, gdzie jest obrońca oskarżonych. Protokolant

sądowy odpowiedział, że jedna z oskarżonych, Julie Pinson, miała zamiar wystąpić w roli adwokata i że pozostali oskarżeni wyrażają na to zgodę.

– Gdzie jest Julie Pinson?

Młoda dziewczyna o jasnoszarych oczach podniosła rękę.

Przewodniczący poprosił ją o zajęcie miejsca za pulpitem zarezerwowanym dla obrońców. Dwóch policjantów natychmiast stanęło po bokach, żeby zapobiec jakiegokolwiek próbie ucieczki.

Policjanci byli uśmiechnięci i sympatyczni. „Cóż – powiedziała do siebie Julie – policjanci są groźni wówczas, gdy polują, ponieważ boją się, że ich misja się nie powiedzie, ale kiedy już uda im się schwytać zdobycz, są raczej miłymi ludźmi”. Julie szukała wzrokiem swojej matki i, dostrzegłszy ją w trzecim rzędzie, dała jej delikatny znak ruchem głowy. Ponieważ od tak dawna matka domagała się, by zrobiła studia prawnicze i została adwokatem, Julie była dosyć zadowolona, że zasiadła na miejscu obrony, nie mając najmniejszego choćby dyplomu.

Przewodniczący składu sędziowskiego uderzył w drewniany stół młoteczkiem z kości słoniowej.

– Otwieram rozprawę. Proszę sekretarza sądu o odczytanie aktu oskarżenia.

Sekretarz przedstawił w dużym skrócie przebieg wydarzeń. Koncert, który przeobraził się w bunt, bójki z policją, zajęcie liceum, kosztowne zniszczenia, pierwsi ranni, ucieczka prowodyrów, obława w lesie, ukrycie się ściganych osób w piramidzie, wreszcie śmierć trzech policjantów uczestniczących w pościgu.

Pierwszy do składania zeznań został wezwany Arthur.

– Nazywa się pan Arthur Ramirez, ma pan siedemdziesiąt dwa lata, mieszka pan przy ulicy Phoenix w Fontainebleau, tak?

– Tak.

– Proszę zwracać się: tak, panie przewodniczący.

– Tak, panie przewodniczący.

– Panie Ramirez, dnia dwunastego marca tego roku zamordował pan pana Gastona Pinsona, wykorzystując w tym celu robota-zabójcę w formie latającej muchy. Ten robot-zabójca był zdalnie sterowany i podobny jest do pocisku z głowicą samonaprowadzającą, a broń tego typu należy do piątej kategorii. Co ma pan do powiedzenia w tym punkcie oskarżenia?

Arthur otarł dłonią wilgotne czoło. Pozycja stojąca wyraźnie męczyła starszego

i schorowanego mężczyznę.

– Nic. Przykro mi, że go zabiłem. Chciałem jedynie go uspić. Nie miałem pojęcia, że ma alergię na środki usypiające.

– Uważa pan za normalne atakowanie ludzi za pomocą much-robotów? – zapytał ironicznie oskarżyciel.

– Zdalnie sterowanych latających mrówek – sprostował Arthur. – Chodzi tu o udoskonaloną wersję mojego modelu zdalnie sterowanej pełzającej mrówki. Rozumie pan chyba, że ja i moi przyjaciele chcieliśmy pracować w spokoju, żeby nie przeszkadzali nam jacyś ciekawscy czy spacerowicze.

„Tę piramidę zbudowaliśmy po to, żeby rozmawiać z mrówkami i nawiązać współpracę między naszymi dwiema kulturami”. Przewodniczący składu sędziowskiego przeglądał akta sprawy.

– Ach tak! Budowa bez pozwolenia na terenie chronionym, w samym środku parku narodowego.

Przewodniczący znowu poszperał przez chwilę w papierach.

– Ale widzę tutaj, że spokój jest dla pana tak cenny, że postąpił pan potem w taki sam sposób, wysyłając jedną z tych „latających mrówek” przeciwko funkcjonariuszowi strzegącemu porządku publicznego, komisarzowi Maximilienowi Linartowi.

Arthur kiwnął głową.

– On chciał zniszczyć moją piramidę. Działalem w obronie koniecznej.

– Tak, jak widać wszystkie argumenty są dobre, żeby zabijać ludzi za pomocą małych latających robotów – zauważył oskarżyciel.

Tymczasem Arthurem wstrząsnął nagły atak kaszlu. Nie był w stanie mówić. Dwóch policjantów odprowadziło go do ławki oskarżonych, gdzie natychmiast osunął się obok swoich przyjaciół, którzy z niepokojem pochylili się nad nim. Jacques Méliès wstał, żądając natychmiastowego wezwania lekarza. Dyżurujący lekarz sądowy podbiegł do Arthura, po czym oświadczył, że za chwilę oskarżony będzie mógł dalej uczestniczyć w rozprawie, ale że nie można też go zanadto męczyć.

– Kolejny oskarżony: David Sator.

David stanął przed przewodniczącym składu sędziowskiego bez laski, odwrócony plecami do zgromadzonej publiczności.

– David Sator, lat osiemnaście, licealista. Jest pan oskarżony o to, że był pan strategiem „Rewolucji mrówek”. Jesteśmy w posiadaniu zdjęć, na których kieruje pan oddziałami manifestantów, tak jak generał dowodzący armią. Czyżby uważał się pan za nowego Trockiego, który chce wskrziesić Armię Czerwoną?

David nie zdążył nawet odpowiedzieć. Sędzia bowiem mówił dalej.

– Chciał pan stworzyć armię mrówek, prawda? Zresztą proszę wyjaśnić ławie przysięgłych, dlaczego stworzył pan ten ruch, wzorując się na owadach.

– Owadami zacząłem się interesować, kiedy do naszej grupy rockowej dokooptowaliśmy świerszcza. Naprawdę bardzo dobry z niego muzyk.

Na sali rozległy się śmiechy. Przewodniczący uciszył publiczność, ale David nie pozwolił się zbić z tropu.

– Po świerszczach, które potrafią porozumiewać się między sobą, odkryłem mrówki, które z kolei porozumiewają się w różne strony. W mieście mrówek każda z nich dzieli się swoimi emocjami z resztą osobników żyjących w mrowisku. Ich solidarność jest totalna. To, do czego od tysięcy lat dążą ludzkie społeczeństwa, społeczność mrówek osiągnęła na długo przed naszym pojawieniem się na Ziemi.

– Chciałby pan, żebyśmy wszyscy mieli czułki? – zapytał z szyderstwem w głosie oskarżyciel.

Tym razem nikt nie uciszał ogarniętej wesołością sali i David musiał odczekać dłuższą chwilę, żeby znowu zapanował spokój i aby mógł odpowiedzieć:

– Myślę, że gdybyśmy dysponowali systemem komunikowania się tak skutecznym jak ten, który posiadają mrówki, nie byłoby tylu pomyłek, tylu *qui pro quo*, tylu przekłamań i tylu kłamstw. Mrówka nie kłamie, gdyż nie jest nawet w stanie wyobrazić sobie, jaki miałaby w tym interes. Dla niej komunikacja to przekazywanie informacji innym.

Pośród publiczności rozległ się szmer, a sędzia uderzył w stół młoteczkiem z kości słoniowej.

– Następny oskarżony: Julie Pinson. To pani była Pasionarią i inspiratorką tego buntu mrówek. Pomijając poważne straty materialne, były też ciężko ranne ofiary. Między innymi Narcisse Arepo.

– Jak się czuje Narcisse? – przerwała mu dziewczyna.

– Nie do pani należy zadawanie pytań. A uprzejmość i obowiązujące zasady wymagają, by zwracała się pani do mnie „panie przewodniczący”. Już o tym

mówiłem wcześniej jednemu z pani współników. Wydaje mi się, że nie jest pani w ogóle zorientowana w kwestii postępowania sądowego. Oddałaby pani usługę samej sobie i swoim przyjaciołom, gdyby przydzielono wam z urzędu profesjonalnego obrońcę.

– Proszę mi wybaczyć, panie przewodniczący.

Sędzia dał się tym razem udobruchać, mrużąc teraz pod nosem niczym stary, zrzędlivy dziadek.

– Już dobrze. Odpowiadając na pani pytanie, powiem, że stan pana Narcisse’a Arepo jest stabilny. Ale to przez panią znalazł się w takiej sytuacji.

– Zawsze opowiadałam się za rewolucją bez przemocy. Dla mnie idea rewolucji mrówek jest synonimem skumulowania drobnych i delikatnych działań, które razem wzięte, pozwalają przenosić góry.

Odwracając się w stronę swojej matki, chcąc ją przekonać, przynajmniej ją, Julie dostrzegła nauczyciela historii, który z aprobatą kiwał głową. Nie był zresztą jedynym nauczycielem z liceum, który pojawił się na sali sądowej. Byli tam również obecni nauczyciele matematyki, ekonomii, wychowania fizycznego, a nawet nauczyciel biologii. Brakowało tylko nauczycieli filozofii i niemieckiego.

– Ale skąd się wzięła ta cała symbolika mrówek? – nalegał przewodniczący składu sędziowskiego.

Na ławkach zarezerwowanych dla prasy było bardzo wielu dziennikarzy. Tym razem Julie mogła dotrzeć do bardzo szerokich rzesz odbiorców. Stawka była ogromna. Należało starannie dobierać słowa.

– Mrówki stworzyły społeczeństwo, którego wszyscy obywatele pragną w takim samym stopniu poprawić dobrostan wszystkich pozostałych.

– Poetycka wizja, która jednak nie ma nic wspólnego z rzeczywistością! – przerwał oskarżyciel. – Mrowisko funkcjonuje doskonale, ale tak samo dzieje się z komputerem czy z pralką. Tracilibyśmy czas, doszukując się tam inteligencji czy sumienia. Chodzi jedynie o zachowania wynikające z zapisu genetycznego.

Szmer w ławkach przeznaczonych dla prasy. Trzeba skontrolować go, i to szybko.

– Boicie się mrowiska, bo jest ono społecznym sukcesem, którego nigdy nie uda nam się osiągnąć.

– To zmilitaryzowany świat.

– Wcale nie. Wprost przeciwnie, przypomina raczej wspólnotę hippisów,

w której każdy robi to, co chce, bez przywódców, bez generałów, księży, prezydenta, bez policji i represji.

– A zatem na czym polega tajemnica mrowiska, według pani? – zapytał dotknięty do żywego oskarżyciel.

– Otóż nie ma żadnej tajemnicy – odpowiedziała spokojnie Julie. – Zachowania mrówek są chaotyczne i żyją one w nieuporządkowanym systemie, który funkcjonuje sprawniej niż system oparty na porządku.

– Anarchistka! – rzucił ktoś z głębi sali.

– Czy jest pani anarchistką? – zapytał przewodniczący.

– Jestem anarchistką, jeśli to słowo oznacza, że możliwe jest życie w społeczeństwie bez przywódcy, bez hierarchii, bez mentorów, bez obietnicy podwyżki pensji, bez obietnicy znalezienia się w raju po śmierci. Tak naprawdę anarchizm jest najwyższą formą tego, co nazywamy społeczeństwem obywatelskim. A przecież mrówki żyją w ten sposób od wielu tysięcy lat.

Kilka gwizdów, trochę oklasków, audytorium było podzielone. Przysięgli coś notowali.

Oskarżyciel wstał i zatoczył wielkie koła czarnymi mankietami.

– Właściwie całe pani rozumowanie można sprowadzić do tego, że przedstawia pani społeczeństwo mrówek jako wzór do naśladowania, czy tak?

– Trzeba od nich wziąć to, co dobre, i odrzucić to, co złe. Ale rzeczywiście, w niektórych punktach mogą one pomóc naszemu ludzkiemu społeczeństwu, które po zbadaniu wszystkiego, co się dało, kręci się teraz w kółko. Spróbujmy, a zobaczymy, co z tego wyniknie. A jeśli to nie zadziała, spróbujmy innych systemów organizacji. Być może od delfinów, małp czy szpaków nauczymy się lepiej żyć w zbiorowości.

Hm, na sali siedział też Marcel Vaugirard. Tym razem uczestniczył więc w spektaklu. Julie zastanawiała się, czy zmienił zdanie na temat swojej dewizy: „Im mniej się o czymś wie, tym lepiej się o tym pisze”.

– Ale przecież w mrowisku wszyscy muszą pracować. Jak pogodzi to pani z podejściem anarchistycznym? – zapytał przewodniczący.

– I znowu błąd. Jedynie połowa mrówek coś wytwarza w mrowisku. Trzydzieści procent wykonuje prace nieproduktywne, w rodzaju samooczyszczania, prowadząc dyskusje i tak dalej, a dwadzieścia procent odpoczywa. I to jest właśnie

wspaniałe: z pięćdziesięcioma procentami nierobów i bez żadnej policji, jakiegokolwiek rządu i planu pięcioletniego, mrówki są znacznie skuteczniejsze od nas i żyją w znacznie lepszej harmonii w swoim mieście.

„Mrówki są wspaniałe i niepokojące, gdyż pokazują nam, że społeczeństwo nie potrzebuje ograniczeń, aby sprawnie i dobrze funkcjonować”.

Na sali rozległ się szmer aprobaty.

Sędzia pogłodził się po brodzie.

– Mrówka nie jest wolna. Jest biologicznie zmuszona do tego, by odpowiadać na bodziec węchowy.

– A pan? Z pańskim telefonem komórkowym? Przecież pana przełożeni dzwonią do pana co chwilę, żeby wydać panu polecenia, których musi pan słuchać. W czym jest różnica?

Sędzia uniósł oczy do nieba.

– Wystarczy może już tej apologii społeczeństwa insektów. Przysięgli dość już się tego nasłuchali i na pewno wyrobili sobie na ten temat zdanie. Może pani usiąść. Przejdźmy do następnego z oskarżonych.

Z trudem odczytując każdą z sylab, z oczami utkwionymi w kartkę, odszyfrowywał powoli:

– Ji... woong... Choi.

Koreańczyk stanął za barierką.

– Panie Ji-woong Choi, jest pan oskarżony o stworzenie sieci informatycznej, za pośrednictwem której rozpowszechniano w różnych miejscach wywrotowe idee tej waszej rewolucji mrówek.

Twarz Koreańczyka rozjaśnił uśmiech. Na ławie przysięgłych panie nagle okazały wyraźne zainteresowanie. Nauczycielka na urlopie zdrowotnym przestała przyglądać się swoim paznokciom, a kontrolerka z metra już nie stukała palcami o stół.

– Dobre pomysły zasługują na to, by rozpowszechnić je tak szeroko, jak to możliwe – powiedział Ji-woong.

– Czy to ma być „mrówkowa” propaganda? – zapytał oskarżyciel.

– W każdym razie odwołanie się do innego niż ludzki sposobu myślenia po to, żeby właśnie zreformować ludzkie myślenie. Spodobało się to wielu osobom, które odwiedziły naszą stronę.

Oskarżyciel wstał z miejsca, znowu wymachując rękawami.

– Dobrze państwo słyszeli, panie i panowie przysięgli. Oskarżony starał się podkopać fundament, na jakim zbudowane jest nasze społeczeństwo, proponując zwodnicze idee. Czymże bowiem jest społeczeństwo mrówek, jeżeli nie społeczeństwem kastowym? Mrówki rodzą się robotnicami, żołnierzami lub są pozbawione płci i w żadnym wypadku nie mogą zmienić losu, który został im przeznaczony. Żadnej mobilności społecznej, żadnej możliwości awansu za zasługi, zupełnie nic. Jest to najbardziej nieegalitarne społeczeństwo, jakie istnieje na świecie.

Twarz Koreańczyka wyrażała teraz szczere rozbawienie.

– U mrówek, kiedy robotnica wpadnie na jakiś pomysł, mówi o tym wszystkim wokoło. Inne testują ten pomysł i, jeśli jest dobry, realizują go. U nas, jeśli nie mamy całej masy dyplomów i jeśli nie osiągnęliśmy odpowiedniego wieku, gdy nie należymy do właściwej kategorii społecznej, nikt nie pozwoli wam wyrazić waszych idei.

Przewodniczący nie miał zamiaru udostępnić trybuny tym buntowniczo nastawionym dzieciakom. Przysięgli, tak jak i cała reszta osób znajdujących się na sali, słuchali trochę zbyt uważnie argumentów prezentowanych przez młodego człowieka.

– Następna oskarżona, Francine Tenet. Proszę pani, co panią skłoniło do wspierania tego buntu mrówek?

Dziewczyna o blond włosach starała się pokonać swoją nieśmiałość. Taka widownia była czymś, co robiło na niej znacznie większe wrażenie niż sala koncertowa. Spojrzała w stronę Julie, żeby dodać sobie odwagi.

– Tak jak i moi przyjaciele, panie przewodniczący...

– Proszę mówić trochę głośniej, tak, żeby przysięgli słyszeli.

Francine odkaszlnęła:

– Tak jak moi przyjaciele, panie przewodniczący, uważam, że potrzebujemy innych przykładów społeczeństw, żeby poszerzyć horyzont naszej wyobraźni. Mrówki są znakomitym sposobem na to, żeby zrozumieć nasz świat. Obserwując je, obserwujemy jakby w miniaturze samych siebie. Ich miasta przypominają nasze, a ich drogi podobne są do naszych dróg. Pozwalają nam zmienić nasz punkt widzenia. I już choćby z tego tylko powodu bunt mrówek bardzo mi

odpowiadał.

Oskarżyciel wyjął z akt plik papierów, którym wymachiwał teraz z dużą pewnością siebie.

– Zanim przystąpiliśmy do wysłuchania oskarżonych, zasięgnąłem informacji u prawdziwych naukowców, u entomologów będących specjalistami od mrówek.

Przybierając uczony ton kontynuował:

– Zapewniam państwa, panie i panowie przysięgli, że mrówki wcale nie są takimi miłymi i przyjemnymi zwierzątkami, jak mówią nam oskarżeni. Wręcz przeciwnie, społeczności mrówek stale prowadzą wojny. Od stu milionów lat wszędzie na świecie prowadzą ekspansję. Moglibyśmy nawet powiedzieć, że mrówki zapanowały nad światem, gdyż zajmują praktycznie rzecz biorąc wszystkie nisze ekologiczne. Tylko lodowców nie udało im się jeszcze skolonizować.

Julie podniosła się ze swojego miejsca przeznaczonego dla obrony.

– A zatem przyznaje pan, panie prokuratorze, że mrówki nie muszą już niczego zdobywać?

– W rzeczy samej. Zresztą, gdyby jakaś pozaziemska istota zjawiała się nagle na naszej planecie, miałyby większe szanse, aby spotkać mrówkę niż człowieka.

– ...I zwrócić się do niej jako do przedstawiciela populacji na Ziemi – uzupełniła Julie.

Na sali rozległ się śmiech.

Przewodniczący sądu niepokoił się kierunkiem, w jakim rozwijała się debata. Od początku rozprawy była mowa wyłącznie o mrówkach i o społeczności mrówek. Sędzia wolałby, żeby sprowadzono dyskusję do bardziej konkretnych kwestii, jak wandalizm w liceum, zamieszki, a przede wszystkim śmierć policjantów. Jednakże oskarżyciel wszedł w grę tych młokosów o nieuczesanych myślach, a i ława przysięgłych wydawała się coraz bardziej zainteresowana tą przedziwną wymianą zdań. Co więcej, jego kolega oskarżyciel rzeczywiście zadał sobie wiele trudu, by zdobyć odpowiednią wiedzę od specjalistów, i teraz najwidoczniej chciał się koniecznie nią podzielić.

– Mrówki wszędzie prowadzą z nami wojnę – podjął na nowo oskarżyciel. – Mam tutaj przed sobą dokumenty świadczące o tym, że jesteśmy teraz świadkami grupowania się miast mrówek. Panie protokolancie, proszę rozdać kopie tego

dokumentu paniom i panom przysięgłym oraz przedstawicielom prasy. Nie wiemy jeszcze, co jest przyczyną tego zjawiska, ale jest ewidentne, że ta koalicja jedynie spotęguje ich obecność. Miasta mrówek wyrastają jak grzyby po deszczu. Mrówki wdzierają się wszędzie. Udaje im się nawet budować gniazda w betonie. Żadna kuchnia nie jest dzisiaj bezpieczna.

Julie poprosiła o udzielenie jej głosu:

– To, co znajduje się w naszych kuchniach, pochodzi z Ziemi. A Ziemia nigdy nie określiła, którym spośród swoich dzieci zastrzegła swoje bogactwa. Nie ma też żadnych powodów, dla których miałyby je powierzyć bardziej ludziom niż mrówkom.

– To zaczyna wyglądać na zupełne szaleństwo! – krzyknął oskarżyciel. – Pani Pinson chciałaby teraz ustanowić prawo własności dla zwierząt... A dlaczego by nie nadać takich praw roślinom albo minerałom, skoro już przy tym jesteśmy... Tak czy inaczej, miasta mrówek opanowują wszystko! – powiedział, żeby zyskać na czasie.

Julie odparła oschłym tonem:

– Ich miasta są wspaniałe. Nie ma korków, chociaż nie ma tam żadnych zasad ruchu. Każdy dostrzega innych i dostosowuje się tak, żeby jak najmniej utrudniać poruszanie się pozostałym. A jeśli to niemożliwe, drążą nowy tunel. Nie ma poczucia braku bezpieczeństwa, gdyż wzajemna pomoc jest czymś powszechnym. Nie ma zapuszczonych przedmieść, gdyż nie ma opuszczonych mrówek. Nikt niczego nie posiada ani też nie chodzi nago. Nie ma zanieczyszczeń, gdyż jedna trzecia działalności polega na sprzątaniu i odzyskiwaniu. Nie ma przeludnienia, bo królowa dostosowuje znoszenie jaj, zarówno pod względem jakości, jak i liczby, do potrzeb miasta.

Oskarżyciel rzucił jej wyzwanie:

– Insekty niczego nie „wymyśliły”! Proszę to zapisać do protokołu.

– Jeśli mogę sobie pozwolić, to pan protokolant będzie mógł to zapisać dzięki owadom. Gdyż to one wynalazły papier. I jeśli pan chce, mogę wyjaśnić, w jaki sposób. Stało się to w pierwszym wieku w Chinach, gdy eunuch z cesarskiego pałacu, niejaki Tchouen, zauważył, że pszczoły zbierają maleńkie kawałeczki drewna, które następnie przeżuwiają i pokrywają śliną. Wpadł na pomysł, żeby zrobić to samo.

Przewodniczący nie miał już ochoty, by podążać dalej tą drogą.

– Przypominam, że wasze mrówki zabiły trzech policjantów.

– One ich nie zabiły, zapewniam pana, panie przewodniczący. Byłam świadkiem tej sceny, patrząc na monitory kontrolne w piramidzie. Policjanci umarli ze strachu, gdy zobaczyli, że są pokryci masą ruszających się owadów. Zabiła ich wyobraźnia.

– A czy zasypanie ludzi mrówkami nie jest czymś okrutnym?

– Okrucieństwo jest szczególnie ludzką cechą. Człowiek jest jedynym zwierzęciem, które zadaje cierpienie bez powodu, dla samej tylko przyjemności przyglądania się, jak cierpi ktoś inny.

Przysięgli się zgadzali. Oni również wyczuwali niejasno, że mrówki nie zabijają dla przyjemności, lecz z konieczności. Jednak starali się też nie okazywać swoich odczuć. Przewodniczący wyraźnie ich przed tym przestrzegł. Nic nie mogło przeniknąć z doznawanych przez nich wrażeń: jedno słowo za dużo, okazanie aprobaty lub niechęci, i proces mógłby zostać unieważniony. Przysięgli mocno się starali, aby ich twarze pozostawały nieprzeniknione.

Przewodniczący obudził przysypiających asesorów, trącając ich łokciem, i przez chwilę naradzał się z nimi. Wezwał teraz komisarza Maximiliena Linarta.

– Panie komisarzu, kierował pan siłami porządkowymi zarówno podczas szturmów na liceum w Fontainebleau, jak i na piramidę.

– Tak jest, panie przewodniczący.

– Był pan obecny przy śmierci trzech policjantów. Czy mógłby pan opowiedzieć o okolicznościach, w jakich zginęli?

– Moich ludzi zalała fala wrogich mrówek. To one ich zamordowały. W zasadzie żałuję, że nie wszyscy winni znaleźli się na ławie oskarżonych.

– Ma pan zapewne na myśli Narcisse'a Arepo, ale ten biedny chłopiec nadal przebywa w szpitalu.

Komisarz zrobił teraz dziwną minę.

– Nie, myślę o prawdziwych mordercach, o tych, którzy są prawdziwymi inicjatorami tej rzekomej rewolucji. Mam na myśli... mrówki.

Po sali rozszedł się szmer. Przewodniczący zmarszczył brwi, a potem użył swojego młoteczka z kości słoniowej, żeby przywrócić spokój.

– Proszę sprecyzować tę myśl, panie komisarzu.

– Po tym, jak poddali się okupujący piramidę, wypełniliśmy całe worki mrówkami, które były obecne na miejscu zbrodni. To one zabiły policjantów. Byłoby więc czymś naturalnym, by postawiono je przed sądem i by je przed nim osądzono.

Teraz z kolei asesorzy dyskutowali między sobą i, jak się wydawało, mieli odmienne zdania na temat postępowania przed sądem oraz orzecznictwa. Sędzia pochylił się do przodu i powiedział półgłosem:

– Czy te mrówki są nadal u pana pod kluczem?

– Oczywiście, panie przewodniczący.

– Czy jednak prawo francuskie znajduje zastosowanie wobec zwierząt? – zapytała Julie.

Komisarz stawiał jej czoło, odpierając ten argument.

– W historii znane są bardzo konkretne wypadki procesów wytoczonych zwierzętom. Przyniosłem zresztą ze sobą kilka przykładów wyroków na wypadek, gdyby sąd miał jakieś wątpliwości w tej kwestii.

Na stole przed przewodniczącym położył opasły tom akt. Sędziowie spoglądali na wysoką stertę papierów i długo się naradzali. W końcu przewodniczący uderzył młotkiem o stół.

– Zawieszam rozprawę. Wniosek komisarza Linarta zostaje przyjęty. Rozprawa będzie wznowiona jutro. W obecności mrówek.

217. ENCYKLOPEDIA

PROCESY WYTACZANE ZWIERZĘTOM: Od dawna zwierzęta były uważane za godne tego, by być osądzone przez ludzki wymiar sprawiedliwości. We Francji już od dziesiątego wieku torturuje się, wiesza i rzuca ekskomunikę na osły, konie czy świnię. W 1120 roku, żeby ukarać je za szkody spowodowane na polach, biskup Laon i wielki wikary Valence obłożył ekskomuniką gąsienice i polne myszy. W archiwach sądu w Savigny przechowywany jest wyrok, który zapadł podczas procesu maciory odpowiedzialnej za śmierć pięcioletniego dziecka. Maciora została znaleziona na miejscu zbrodni w towarzystwie sześciu prosiąt z ryjkami powalаныmi krwią. Czy były one współnikami zbrodni? Maciora została powieszona za tylne nogi w publicznym miejscu, gdzie w końcu nastąpiła śmierć.

Małe zaś prosiątka zostały umieszczone w miejscu strzeżonym przez jednego z miejscowych chłopów. Ponieważ nie przejawiały agresywnych zachowań, pozwolono im urosnąć i zjedzono je „normalnie”, gdy osiągnęły wiek dorosły.

W 1474 roku w Bazylei w Szwajcarii odbył się proces kury oskarżonej o czary ze względu na to, że zniosła jajko, w którym nie było żółtka. Kura miała prawo do obrońcy, który twierdził, że kura popełniła ten czyn nieświadomie. Daremnie. Kura została skazana na spalenie na stosie. Dopiero w 1710 roku pewien uczoney odkrył, że zniesienie jajka bez żółtka jest spowodowane chorobą. Nie było jednak rewizji procesu.

We Włoszech w 1519 roku pewien rolnik wszczął proces przeciwko kretom pustoszącym jego pola. Adwokat występujący w imieniu kretów, wyjątkowo zresztą elokwentny, udowodnił, że w chwili popełnienia czynu były one bardzo młode, a więc nie do końca odpowiedzialne, a ponadto że były także pożyteczne dla chłopów, ponieważ żywiły się owadami, które niszczyły ich zbiory. Karę śmierci zamieniono więc na dożywotnie wygnanie z pola powoda.

W Anglii w 1662 roku James Potter, oskarżony o wielokrotne akty sodomii popełnione na zwierzętach domowych, został skazany na ścięcie, ale sędziowie, uznawszy jego ofiary za współwinne, skazały na ten sam rodzaj śmierci krowę, dwie maciory, dwie jałówki i trzy owieczki.

Wreszcie w 1924 roku w Pensylwanii pies rasy labrador, o imieniu Pep, został skazany na dożywotnie więzienie za zabicie kota gubernatora. Pies został zatrzymany, nadano mu odpowiedni numer w rejestrze skazanych i umieszczono w więzieniu, gdzie zdechł ze starości sześć lat później.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

218. LEKCJA DIALEKTYKI

Druga rozprawa. Policjanci postawili przed oskarżonymi akwarium, w którym znajdowała się co najmniej setka mrówek, które od tej chwili stały się współoskarżonymi.

Jeden po drugim przysięgli podchodzili do zbiornika oświetlonego projektorami. Kręcili nosem na wydobywający się stamtąd zapach rozkładających

się jabłek, wyobrażając sobie, że tak właśnie pachną mrówki.

– Mogę zapewnić, że wszystkie te mrówki uczestniczyły w ataku na moich ludzi – stwierdził komisarz Maximilien Linart, wyraźnie zadowolony, że jego wniosek został zaakceptowany przez sąd.

Julie podniosła się z miejsca. Coraz pewniej czuła się teraz w roli obrońcy i zabierała głos zawsze wtedy, gdy wymagała tego sytuacja.

– Tym mrówkom brakuje powietrza. Para na ściankach wskazuje, że one się duszą. Jeżeli nie chcecie, by umarły przed końcem procesu, trzeba wywiercić więcej otworów w plastikowej przykrywce.

– Ale one mogą uciec! – krzyknął Maximilien, któremu, jak się zdaje, z trudem przyszło utrzymanie winnych w zamknięciu i doprowadzenie ich aż tutaj.

– Obowiązkiem sądu jest czuwać nad dobrym zdrowiem wszystkich, którzy są przed nim postawieni i dotyczy to także mrówek – oświadczył kategorycznie sędzia.

Polecił woźnemu zrobienie dodatkowych otworów. Żeby przewiercić się przez pleksiglas, woźny wziął szpilkę, kombinerki i zapalniczkę. Rozgrzał szpilkę do czerwoności, a potem zagłębił ją w plastik. Po sali rozszedł się zapach spalenizny.

Julie ponownie zabrała głos.

– Myślimy, że mrówki nie cierpią, dlatego, że nie krzyczą, kiedy zadaje im się ból. Tymczasem to nieprawda. Tak jak my, mają one system nerwowy, a więc cierpią. Oto kolejna ułomność naszego etnocentryzmu. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że współczujemy jedynie tym, którzy krzyczą, gdy zadaje im się ból. A nasza litość pomija ryby, owady i wszystkie bezkręgowce pozbawione możliwości komunikacji ustnej.

Oskarżyciel rozumiał teraz, w jaki sposób Julie udawało się elektryzować tłumy. Jej elokwencja i swada były bardzo przekonujące. Poprosił jednak przysięgłych o to, by nie uwzględniali tych wypowiedzi, które jego zdaniem były jedynie propagandą na rzecz rzekomej rewolucji mrówek.

Podniosły się protesty i przewodniczący nakazał ciszę, aby udzielić głosu świadkowi, Maximilienowi Linartowi. Julie jednak jeszcze nie skończyła. Stwierdziła, że mrówki potrafią mówić i same się bronić, i że nie jest rzeczą normalną, by wytaczano im proces, nie udzielając im głosu, żeby mogły odeprzeć ciężące na nich zarzuty.

Oskarżyciel się zaśmiał. Sędzia poprosił o wyjaśnienia.

Wtedy Julie ujawniła istnienie maszyny Kamienia z Rosetty i wytłumaczyła, na czym polega jej działanie. Komisarz potwierdził, że odkrył w piramidzie urządzenie, którego opis pokrywał się z tym, co mówiła dziewczyna. Przewodniczący zarządził, by przyniesiono je na salę. Ponownie rozprawa została zawieszona, a w tym czasie Arthur, pod fleszami fotoreporterów, instalował na środku sali swój zestaw komputerów, przewodów, rurek i fiolek z esencjami zapachowymi, jak również podłączał chromatograf i spektrograf masowy.

Julie pomagała Arthurowi przy odpowiednim wyregulowaniu aparatury. Po doświadczeniach zdobytych w liceum stała się znakomitą asystentką w zakresie wykorzystania Kamienia z Rosetty.

Wszystko było już na miejscu. Sąd, przysięgli, dziennikarze, a nawet policjanci byli bardzo ciekawi, jak też funkcjonuje to przedziwne urządzenie i czy rzeczywiście uda się być świadkiem dialogu między istotami ludzkimi a mrówkami.

Przewodniczący poprosił o przeprowadzenie pierwszego przesłuchania. Arthur wygasił część świateł na sali rozpraw, a oświetlił maszynę, która stała się nową gwiazdą tego procesu, w którym nie brakowało zaskakujących zwrotów akcji.

Woźny sądowy chwycił pierwszą z brzegu mrówkę, Arthur umieścił ją w probówce, a następnie włożył do środka sondę z dwiema antenami. Poruszył jeszcze kilkoma pokrętłami i dał znak, że wszystko jest gotowe. Po chwili z głośnika rozbrzmiał syntetyczny i skrzypiący głos. To mrówka się odezwała.

– NA POMOC!!!!

Arthur znowu coś podregulował.

– Pomocy! Wyciągnijcie mnie stąd! Duszę się! – powtarzała mrówka. Julie położyła obok niej okruszek chleba, który mrówka zjadła tym bardziej łapczywie, że czuła się potwornie sterroryzowana. Arthur przesłał jej informację, pytając, czy jest gotowa odpowiedzieć na pytania.

– Co tu się dzieje? – zapytała mrówka za pośrednictwem maszyny.

– Odbywa się wasz proces – powiedział Arthur.

– A co to jest proces?

– No, chodzi o sprawiedliwość.

– A co to takiego sprawiedliwość?

– Trzeba ocenić, czy ktoś ma rację, czy też nie.

– *A co oznacza „mieć rację, czy też nie”?*

– Mamy rację, gdy postępujemy dobrze. Nie mamy racji, gdy postępujemy źle...

A co to znaczy „postępować dobrze”?

Arthur westchnął ciężko. Już wcześniej, w piramidzie, trudno było prowadzić dialog z mrówkami, gdyż trzeba było bez przerwy definiować każde słowo.

– Problem w tym – powiedziała Julie – że nie znając moralności, mrówki nie wiedzą, czym jest dobro, czym zło, i nie mogą też wiedzieć, czym jest sprawiedliwość. Ponieważ są pozbawione moralności, nie można przyjąć, że ponoszą odpowiedzialność za swoje czyny. Trzeba zatem wypuścić je na wolność.

Sędzia i asesory szepotali coś między sobą. Odpowiedzialność zwierząt znalazła się ewidentnie w centrum ich debaty. Nawet skłaniali się ku temu, by pozbyć się tych stworzeń i wypuścić je w lesie, ale z drugiej strony nie mieli znowu aż tak wielu rozrywek w życiu i nadzwyczaj rzadko zdarzało się, aby dziennikarze relacjonowali przebieg rozprawy i wydarzenia toczące się przed sądem w Fontainebleau. A skoro ich nazwiska mają się po raz pierwszy pojawić w gazetach...

Oskarżyciel wstał, aby zabrać głos:

– Wszystkie zwierzęta nie są wcale tak niemoralne, jak zostało to powiedziane – oświadczył. – Na przykład wiadomo, że wśród lwów istnieje konkretny zakaz: nie wolno im zjadać małp. Lew, który zje małpę, jest wykluczony ze stada, a jak inaczej można wytłumaczyć takie zachowanie, jak nie faktem istnienia „moralności lwów”.

Maximilien przypomniał sobie, że w swoim akwarium widział matki gupików goniące za swoimi małymi i zjadające je. Podobnie pamiętał jak małe szczeniaki próbowały kopulować ze swoją matką. Kanibalizm, kazirodztwo, mordowanie własnych dzieci...

„Tym razem Julie ma rację, a oskarżyciel jest w błędzie – pomyślał. – U zwierząt nie ma moralności. Nie są one ani moralne, ani niemoralne, lecz po prostu amoralne. Nie dostrzegają tego, że robią złe rzeczy. I z tego właśnie powodu powinny zostać zniszczone”.

Kamień z Rosetty zaczął znowu skrzeczeć.

– *Na pomoc!*

Oskarżyciel podszedł do próbki. Mrówka musiała zauważyć jego sylwetkę, gdyż krzyknęła:

– *Na pomoc. Kimkolwiek jesteś, wypuść nas stąd, cała okolica jest zainfekowana przez Palce!*

Publiczność na sali się roześmiała.

Maximilien z trudem się hamował. Zaczynało to zakrawać na cyrk i to na najbardziej żałosny z numerów: tresurę pcheł. Zamiast skierować uwagę na niebezpieczeństwo przenoszenia społecznego systemu mrówek na ludzkie społeczeństwo, trwała zabawa z maszyną, która pozwalała prowadzić dialog z mrówkami.

Julie, korzystając z dobrego humoru, jaki zapanował na sali, ponownie ruszyła do ataku.

– Uwolnijcie je. Trzeba je albo uwolnić, albo zabić, ale nie można pozwolić im cierpieć w tym akwarium.

Przewodniczący nie znosił sytuacji, gdy oskarżeni, choćby nawet pełnili też funkcję adwokata, cokolwiek mu nakazywali, ale oskarżyciel pomyślał z kolei, że jest to znakomita okazja, żeby coś na tym wszystkim ugrać dla siebie. Był przy tym wściekły, że dał się w ten sposób zaskoczyć Maximilienowi i że on sam pierwszy nie wpadł na pomysł, żeby oskarżyć mrówki.

– Te mrówki, tak naprawdę, są w tym wypadku tylko statystami – krzyknął głośno, stając przy Kamieniu z Rosetty. – Jeśli chcemy ukarać prawdziwych winnych, trzeba uderzyć w samą głowę i dosięgnąć przewodyra: 103, ich królową.

Na ławie oskarżonych zdziwiono się, że oskarżyciel wiedział o istnieniu 103 i o roli, jaką odegrała podczas obrony piramidy.

Przewodniczący oświadczył, że jeśli mają rozmawiać całymi godzinami, nie rozumiejąc się nawzajem, to lepiej od razu z tym skończyć.

– O ile mi wiadomo, ta królowa, 103, potrafi dobrze mówić w naszym języku! – rzucił oskarżyciel, wyciągając przed siebie rękę, w której trzymał wielką oprawioną księgę.

Był to drugi tom *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*.

– *Encyklopedia!* – zdławionym głosem powiedział Arthur.

– Ależ tak! Panie przewodniczący, na czystych kartkach na końcu tego tomu *Encyklopedii* znajduje się dziennik prowadzony przez Arthura Ramireza. Został on

odnaleziony podczas drugiego przeszukania, o które wniósł prokurator. Opowiada on w nim i informuje nas o istnieniu wyjątkowo uzdolnionej mrówki, 103, orientującej się całkiem dobrze w naszym świecie i naszej kulturze. Byłaby w stanie prowadzić z nami dialog, a my wcale nie będziemy musieli szatkować i tłumaczyć słów.

W swoim kąciuku Maximilien był wściekły na siebie. Podczas pierwszego przeszukania udało mu się znaleźć tyle skarbów, że nie pomyślał o książkach w szufladach, które, jak mu się wtedy wydawało, zawierały wyłącznie matematyczne wzory i obliczenia albo też wzory chemiczne wykorzystywane przy obsłudze maszyn. Zapomniał o jednej z najistotniejszych zasad, o jakich sam nauczał w szkole policyjnej: obserwować wszystko wokół nas, zachowując taki sam obiektywizm.

A teraz oskarżyciel wiedział znacznie więcej od niego. Oskarżyciel otworzył księgę na stronie z zagiętym rogiem i przeczytał podnosząc nieco głos:

– 103 przybyła nam dzisiaj na ratunek na czele olbrzymiej armii. Aby przedłużyć swoje życie i przekazać swoje doświadczenie światu ludzi, posiada już płęć i stała się od tej chwili królową. Wydaje się w bardzo dobrej formie mimo wszystkich tych wędrówek, i zachowała żółte znamię na czole. Dyskutowaliśmy o tym za pośrednictwem Kamienia z Rosetty. 103 jest naprawdę najbardziej uzdolnioną ze wszystkich mrówek. Potrafiła przekonać miliony owadów, żeby podążyły za nią i wyruszyły nam na spotkanie.

Po sali rozszedł się szmer.

Przewodniczący zatarł ręce. Dzięki całej tej historii z mówiącymi mrówkami na pewno będzie to niezwykle ważne wydarzenie w orzecznictwie, a może nawet, kto wie, on sam wejdzie do annałów wydziału prawa jako ten, kto poprowadził pierwszy współczesny proces, w którym występowały zwierzęta. Pewnym siebie głosem, bazgrząc coś na kartce papieru, oświadczył:

– Polecenie doprowadzenia przed sąd tej...

– 103 – odpowiedział mu oskarżyciel.

– No tak! Polecenie doprowadzenia 103, królowej mrówek. Panowie policjanci, proszę o wykonanie polecenia i postawienie jej przed sądem.

– Ale w jaki sposób chce pan ją znaleźć? – zapytał pierwszy z asesorów. – Mrówka w lesie! To tak, jakby szukać igły w stogu siana.

Maximilien wstał.

- Pozwólcie mi działać. Mam pewien pomysł, żeby to załatwić.
- Obawiam się jednak, że asesor ma w tym wypadku rację. Igła w stogu siana...
- Tu chodzi tylko i wyłącznie o metodę – powiedział komisarz. – Czy chciałby się pan dowiedzieć, jak znaleźć igłę w stogu siana? Otóż po prostu podpalając siano, a następnie przesuwając magnesem po popiele.

219. ENCYKLOPEDIA

MANIPULOWANIE INNYMI: DOŚWIADCZENIE PROFESORA ASCHA: W 1961 roku amerykański profesor Asch zebrał siedem osób w jednym pokoju. Powiedziano im, że zostaną poddane doświadczeniu na temat postrzegania. W rzeczywistości testowano zachowanie tylko jednej osoby na siedem obecnych, gdyż sześciu pozostałym zapłacono za wprowadzenie w błąd osoby poddawanej doświadczeniu.

Na ścianie narysowano jedną linię długości dwudziestu pięciu centymetrów i drugą linię długości trzydziestu centymetrów. Ponieważ linie były narysowane równoległe, było więc ewidentne, że linia długości trzydziestu centymetrów jest dłuższa od drugiej linii. Profesor Asch zapytał każdą z osób, która linia jest dłuższa, i sześć z nich odpowiedziało identycznie, że jest to linia długości dwudziestu pięciu centymetrów. Kiedy wreszcie zadano pytanie osobie będącej prawdziwym przedmiotem doświadczenia, w sześćdziesięciu procentach wypadków ona także stwierdziła, że dłuższa jest linia długości dwudziestu pięciu centymetrów.

Kiedy zaś badana osoba wybierała linię trzydziestocentymetrową, sześć pozostałych kpiło sobie z niej, a pod taką presją trzydzieści procent osób w końcu przyznawało, że się pomyliło.

Po powtórzeniu doświadczenia z udziałem około stu studentów i profesorów uniwersytetu (a więc niezbyt łatwowiernej grupy odbiorców), okazało się, że o tym, że linia dwudziestopięciocentymetrowa jest dłuższa od linii długości trzydziestu centymetrów udaje się w końcu przekonać dziewięć osób na dziesięć.

A kiedy profesor Asch wielokrotnie zadawał im to samo pytanie, wielu zdecydowanie broniło swojego punktu widzenia, nie mogąc dociec, dlaczego profesor tak bardzo nalega.

Najdziwniejsze zaś jest to, że kiedy ujawniano im sens tego testu oraz fakt, że sześciu pozostałych uczestników odgrywało swoją rolę, wciąż jeszcze dziesięć procent osób utrzymywało, że dłuższa jest linia długości dwudziestu pięciu centymetrów.

Natomiast ci, których zmuszono, by przyznali się do błędu, zawsze starali się znaleźć jakies wytłumaczenie: problemy ze wzrokiem, mylący kąt widzenia...

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

220. UPÓR

Z wyostrzonymi zmysłami Maximilien powrócił w miejsce, w którym znajdowała się pokryta ziemią piramida. Zszedł do jaru u stóp pagórka tonącego w jeżynach i odnalazł prowadzący do tunelu wąwóz. Z kieszonkową latarką w zębach czołgał się, chcąc dotrzeć do metalowych drzwi.

Na metalowej płycie wciąż widniała klawiatura z kodem i z zagadką, jak zbudować osiem trójkątów z sześciu zapalek. Teraz jednak było to już niepotrzebne – po tym, jak buntownicy skapitulowali, ludzie komisarza otworzyli po prostu drzwi palnikiem.

Podczas pierwszego przeszukania policjanci zabrali wszystkie urządzenia. Przetransportowali ciężki sprzęt i, zmęczeni, zaprzestali dalszych poszukiwań. Drugie przeszukanie, które zarządził prokurator, pozwoliło oskarżycielowi zgromadzić kolejne dowody, ale Maximilien stwierdził, że sporo rzeczy pozostało jeszcze na miejscu.

Piramida na pewno nie odkryła przed nim wszystkich swoich tajemnic. W razie konieczności sprowadzi buldożery i saperów, którzy rozniosą w pył całą tę budowlę. Oświetlił lampką opustoszałe miejsce.

Wzrok. Obserwacja. Słuch. Węch. Refleksja.

Nagle jego wzrok, uprzywilejowany zmysł, przyciągnęła... mrówka. Zmierzała do kącika akwarium, które służyło do prowadzenia dialogu za pomocą Kamienia z Rosetty. Owad przesuwiał się wewnątrz plastikowego i przezroczystego przewodu, który zagłębiał się w ziemię.

Maximilien dyskretnie ruszył za nią tropem. Mrówka schodziła, nie zdając sobie

sprawy z tego, że prowadzi wilka prosto do owczarni. Mrówka, jako krótkowidz, nie była w stanie dostrzec tego, co nieskończenie duże. Jej przeciwnik był tak blisko, był tak gigantyczny, że w ogóle nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Ponadto przewód nie pozwalał jej wyczuć zapachu człowieka, będącego dla niej ogromnym zagrożeniem. Maximilien przeciął scyzorykiem przewód tuż nad ziemią i przysunął do niego oko, a potem nadstawił ucho tuż nad otworem. W oddali dostrzegł jakieś światła i usłyszał hałas. Jak dostać się tam na dół? Potrzebny byłby dynamit, żeby wysadzić w powietrze tę grubą płytę. Nerwowo kręcił się po pustej przestrzeni. Czuł, że jest już blisko znalezienia rozwiązania. Brakowało mu jeszcze jednego elementu. Była zagadka, musiało więc istnieć rozwiązanie.

Wszedł na wyższe piętro, zbadał wszystkie przedmioty. Wszedł do łazienki, odświeżył się. Przyjrzał się sobie w lustrze. Spuścił wzrok i ujrzał trójkątne mydło.

Lustro...

Wzrok. Obserwacja. Słuch. Węch... Refleksja.

Refleks-ja, refleks, odbicie...

Maximilien wybuchł śmiechem w opustoszałej piramidzie.

Rozwiązanie było bajecznie proste!

W jaki sposób za pomocą sześciu tylko zapalek zbudować osiem równobocznych trójkątów? Stawiając piramidę, a raczej czworościan, na lustrze. Wyciągnął pudełko z zapalkami, ułożył formę i umieścił ją na lustrze.

Odwzorowana w odwrotnej postaci piramida tworzyła teraz romb. Przypomniawszy sobie kolejne zagadki z „Pułapki w rozumie”: pierwsza zagadka: „Utworzyć cztery trójkąty za pomocą sześciu zapalek”. Uzyskiwało się zwykłą piramidę. To był pierwszy krok, odkrycie trzeciego wymiaru.

Druga zagadka: „Utworzyć sześć trójkątów za pomocą sześciu zapalek”. Tym razem chodziło o połączenie kątów dopełniających. Drugi krok.

Trzecia zagadka: „Utworzyć osiem trójkątów za pomocą sześciu zapalek”. Wystarczyło dalej poprowadzić zagłębienie się dolnego trójkąta w trójkącie górnym i wykonywało się trzeci krok: piramida położona na lustrze, a więc dwie piramidy, jedna na górze, druga w odbiciu, tworzące razem coś w rodzaju przestrzennego rombu.

Ewolucja trójkąta... Ewolucja wiedzy. Tak więc jedna piramida na górze i druga

piramida na dole... a całość tworzyła gigantyczną kość o sześciu ścianach.

Błyskawicznie zerwał wykładzinę, a pod nią znalazł właz ze stali. Chwycił za wystającą rączkę, pociągnął do góry, pod spodem ujrzał schody.

Wyłączył niepotrzebną już latarkę. Wewnątrz wszystko tonęło w świetle.

221. ENCYKLOPEDIA

STADIUM LUSTRA: W wieku dwunastu miesięcy dziecko przechodzi przez dziwną fazę, a mianowicie przez fazę lustra.

Wcześniej dziecko sądziło, że matka, ono samo, pierś, smoczek, światło, ojciec, ręce, świat i zabawki są jedną wielką całością. Wszystko jest w nim. Dla dziecka nie ma różnicy między tym, co duże, a tym, co małe, między tym, co jest przed, i tym, co jest po. Wszystko jest jednią i wszystko jest w nim. Wówczas pojawia się stadium lustra. Roczne dziecko zaczyna utrzymywać się w pozycji stojącej, jego ręce stają się zręczniejsze, udaje mu się zapanować nad potrzebami, które wcześniej je przerastały. Lustró wskazuje mu teraz, że ono samo istnieje i że istnieją inni ludzie oraz świat wokół niego. Lustró poprowadzi je ku socjalizacji albo spowoduje, że dziecko zamknie się w sobie. Dziecko rozpoznaje się, tworzy obraz samego siebie; ów obraz podoba mu się lub nie, a rezultat jest od razu widoczny. Albo daje sobie całusy w lustrze i śmieje się pełnym głosem, albo robi grymasy samo do siebie.

Zazwyczaj identyfikuje się z idealnym obrazem samego siebie. Zakocha się w sobie, będzie się uwielbiało. Zapatrzone w siebie, dokona projekcji w świat wyobrażeń i będzie się identyfikowało z jakimś bohaterem. Dzięki wyobraźni rozbudowanej przez lustró będzie musiało stawić czoło egzystencji będącej ciągłym źródłem frustracji. Zniesie nawet i to, że nie jest władcą świata.

Lecz nawet jeśli dziecko nie odkryje lustra lub swojego odbicia w wodzie, i tak będzie musiało przejść przez tę fazę. Znajdzie sposób na to, żeby się identyfikować ze sobą i odizolowywać się od świata, pamiętając wciąż o tym, że musi ten świat zdobywać.

Koty nigdy nie przechodzą przez fazę lustra.

Kiedy patrzą na siebie w lustrze, starają się przejść na drugą stronę, żeby złapać tego drugiego kota, który się kryje z tyłu, a ich zachowanie, z wiekiem, nigdy się nie zmieni.

222. TRAGICZNY BAL W PIWNICY

Co za niesamowity spektakl!

W pierwszej chwili policjant pomyślał, że spełniło się jego marzenie z dzieciństwa o elektrycznej kolejce. Gdyż tak właśnie to wyglądało: fantastyczna makieta miasta w pomniejszonej skali.

Górna część była zajęta przez Arthura i ludzi z gniazda, a dolna część to było miasto mrówek.

Połowa dla ludzi żyjących jak mrówki i połowa dla mrówek żyjących jak ludzie. Obie strony porozumiewały się ze sobą za pomocą przewodów-korytarzy i kabli elektrycznych przenoszących wiadomości.

Maximilien, niczym Guliwer, pochylił się nad tym miastem liliputów. Wodził palcami po alejkach, zatrzymał się w ogrodach. Mrówki nie wydawały się zaniepokojone. Pewnie były już przyzwyczajone do odwiedzin Arthura i jego przyjaciół.

Cóż za wspaniałe arcydzieło w niemal mikroskopijnej skali...! Były tam uliczki oświetlone latarniami, drogi i domy. Po lewej stronie pola z gałęzi róży, gdzie pasły się stada mszyc, po prawej zaś stronie strefa przemysłowa i fabryki z dymiącymi kominami. W centrum miasta, przed pięknymi domami, po deptaku przechadzali się klienci.

MRÓWKOPOLIS – miasto mrówek, informował napis przy wjeździe na główną aleję.

Mrówki poruszały się samochodami po autostradach i po ulicach. Zamiast kierownicy pojazdy były wyposażone w ster, znacznie wygodniejszy w obsłudze za pomocą pazurków.

Na placach budowy mrówki wznosiły nowe budynki, wykorzystując przy tym minibułdozery. Jakby intuicyjnie, mrówki zdecydowały się na zaokrąglone dachy.

Było tam również biegnące na powierzchni metro, stadiony. Maximilien zmrużył oczy. Wydawało mu się, że dwa zespoły mrówek rozgrywały właśnie mecz w coś, co przypominało amerykański futbol, tyle że nie potrafił dostrzec piłki.

Właściwie wyglądało to bardziej na grupowe zapasy.

Nie był w stanie tego wszystkiego ogarnąć.

A więc na tym polegała wielka tajemnica skrywana przez piramidę! Wspierane przez Arthura i jego przyjaciół mrówki dokonały tu niezwykłego wprost skoku cywilizacyjnego. W kilka tygodni przeszły z czasów prehistorycznych do nowoczesnej epoki.

Maximilien odkrył leżącą na ziemi lupę i wziął ją od razu do ręki, żeby dokładniej się temu wszystkiemu przyjrzeć. Po wielkim kanale płynęły statki z kołami łopatkowymi, podobne do parostatków na Missisipi. Nad nimi przelatywały zeppelinowe wypełnione mrówkami.

Było to feeryczne i przerażające zarazem.

Policjant był przekonany, że królowa 103 była tam, wśród mieszkańców tego mrowiska jak z powieści science fiction. Jak odnaleźć tę królową i doprowadzić ją do pałacu sprawiedliwości? Igła i stóg siana. Zapałka i magnes. Trzeba znaleźć jakąś metodę.

Aby odnaleźć królową mrówek, wystarczyło podążać tropem jajek owadów i dotrzeć do źródła. Tyle że nie było widać tych jajeczek. A może królowa 103 była bezpłodna?

Przypomniawszy sobie wtedy, że oskarżyciel powiedział, że ma ona na czole żółte znamię. To świetnie, tylko że każdy z tych domów krył być może setki mrówek z żółtym znakiem na czole. Trzeba więc było je wygonić na zewnątrz, żeby zgromadziły się na otwartej przestrzeni, tam, gdzie nie byłoby już dachu, pod którym mogłyby się schować.

Wrócił na górę, poszperał przez chwilę i znalazł baniak z ropą. Oblał nią całe to miejsce.

W odruchu paniki ludzie zawsze ujawniają swoje tajemnice. Maximilien wiedział, że gdy pojawią się pierwsze fale czarnej trucizny, mrówki rzucą się na ratunek królowej. I choćby nie wiem jak bardzo zdegenerowane były te owady wprowadzone już w tajemnice ludzi, z pewnością zachowały w sobie potrzebę ratowania królowej.

Rozlał ropę, zaczynając od najwyższej położonego kącika po prawej stronie. Czarna, lepka i cuchnąca ciecz spływała, powoli wypełniając aleje, zalewając domy i zatapiając ogrody i fabryki. Czarna fala rozlała się na całe miasto.

Zapanowała panika. Mrówki wybiegały z domów, żeby wskoczyć czym prędzej do samochodów i dotrzeć jak najszybciej do autostrady. Ale i autostrady były już zalane lepłą cieczą.

Kanał też nie był w lepszym stanie, jego czysta woda stała się oleista i ciemna, a koła parowców poruszały się coraz wolniej.

Mrówki wydawały się zdziwione, że Palce, które przecież je lubiły, dopuściły do tak potwornej katastrofy. Można było odnieść wrażenie, że spodziewały się, iż z nieba nadejdzie szybko ratunek, lecz jedyną interwencją był ruch łyżeczki z nierdzewnej stali, która patrolowała czarny przyływ.

Maximilien przeszukiwał arterie miasta. Nagle dostrzegł spory ruch wokół budynku wyższego od pozostałych.

Komisarz przybliżył lupę. Był pewien, że królowa zaraz się pojawi. I rzeczywiście, z budynku wyległy mrówki, a wraz z nimi, ledwie powłócząc łapkami, ta z żółtym znakiem na czole.

Królowa 103. Policjant wreszcie ją miał.

Wykorzystując moment zaskoczenia i chaosu, jaki pojawił się na sąsiadujących z budowlą uliczkach, zanurzył łyżeczkę i złapał władczynię. Szybko wrzucił ją do plastikowego woreczka, który od razu zapieczętował.

Potem wylał resztę baniaka z ropą na Mrówkopolis. Płyn zalał dokładnie całe miasto.

Samochody, katapulty, cegły, balony, parostatki, samochody ze sterem, ale też i cała masa wykonanych ręcznie przedmiotów unosiły się teraz na powierzchni dawnego Mrówkopolis. Przed śmiercią mrówki z nowoczesnego miasta musiały sobie powiedzieć, że popełniły błąd, wierząc, że przymierze między nimi a Palcami jest możliwe.

223. ENCYKLOPEDIA

1 + 1 = 3 : 1 + 1 = 3 może być dewizą naszej utopijnej grupy. Oznacza ona, że połączenie talentów jest czymś więcej niż zwykłą ich sumą.

Oznacza też, że połączenie pierwiastka męskiego i żeńskiego, tego, co małe, z tym, co duże, połączenie góry i dołu, a więc tego, co zawiaduje światem, pozwala stworzyć coś, co różni się od jednego i drugiego, i co je przerasta.

$$1 + 1 = 3$$

Całe pojęcie wiary pokładanej w nasze dzieci, które są, siłą rzeczy, lepsze od nas, wyrażone jest w tym właśnie równaniu. A zatem wiara w przyszłość ludzkości. Człowiek przyszłości będzie lepszy od człowieka dzisiejszego. Wierzę w to głęboko i taką mam nadzieję.

Ale $1 + 1 = 3$ wyraża również ideę, że zbiorowość i spójność społeczna są najlepszym sposobem na sublimację naszego statusu zwierząt.

Jednakże $1 + 1 = 3$ może przeszkadzać wielu ludziom, którzy powiedzą, że ta zasada filozoficzna jest fałszywa, gdyż jest matematycznie błędna. Będę zatem musiał wam udowodnić, że matematycznie zasada ta jest prawdziwa. Nie chodzi tu o żaden paradoks. Z mojego grobu zniszczę wasze pewniki. Udowodnię wam, że to, co uznajecie za PRAWDĘ, jest tylko jedną spośród wielu prawd. A więc do dzieła:

Weźmy równanie $(a + b)x(a - b) = a^2 - ab + ba - b^2$. Po prawej stronie $(-ab)$ oraz $(+ab)$ znoszą się, mamy więc:

$$(a + b)x(a - b) = a^2 - b^2$$

Kiedy podzielimy oba składniki z każdej strony przez $(a - b)$, otrzymamy:

$$\frac{(a + b)x(a - b)}{a - b} = \frac{a^2 - b^2}{a - b}$$

Uprościmy składnik po lewej stronie:

$$(a + b) = \frac{a^2 - b^2}{a - b}$$

Przyjmijmy, że $a = b = 1$. Otrzymujemy więc:

$$1 + 1 = \frac{1 - 1}{1 - 1}$$

Kiedy mamy ten sam składnik na górze i na dole przy dzieleniu, wówczas iloraz = 1. Tak więc równanie wynosi: $2 = 1$, a jeśli dodamy po obu stronach 1, otrzymamy $3 = 2$, tak więc jeżeli zastąpię 2 przez $1 + 1$, uzyskam $3 = 1 + 1$.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

224. STRATEGIA MYRMECEŃSKA

Trzy uderzenia młotkiem z kości słoniowej. Po raz pierwszy w historii ludzkości królowa mrówek miała zeznawać przed sądem.

Żeby zgromadzeni na sali nie stracili nic z jej opowieści, w oskarżoną wycelowano kamery z obiektywem makro, obraz zaś rzucono na biały ekran umieszczony nad ławą oskarżonych.

– Cisza. Proszę przyprowadzić oskarżoną przed Kamień z Rosetty.

Za pomocą pincety o końcówkach zabezpieczonych watą policjant włożył mrówkę z żółtą plamką na czole do próbówki. Do pojemnika przyłączone były dwie plastikowe antenki połączone z Kamieniem z Rosetty.

Rozpoczęto przesłuchanie.

– Nazywa się pani 103 i jest królową mrówek rudnic?

Mrówka nachyliła się nad receptorami urządzenia tłumaczącego. Wyglądała na całkowicie oswojoną z tym narzędziem. Potrząsnęła czułkami i nadała wiadomość, która natychmiast została rozszyfrowana i zmieniona na syntetyczny głos.

– *Nie jestem królową, lecz księżniczką. Księżniczką 103.*

Sędzia odchrząknął, zmieszany. Poprosił o poprawienie danych dotyczących oskarżonej w protokole. Mimo to, będąc pod wrażeniem, zapytał:

– Wasza... Wysokość... 103 zechce odpowiedzieć na nasze pytania?

Poruszenie i chichoty na sali sądowej. Ale w jaki inny sposób można się zwracać do księżniczki, nawet jeśli jest mrówką, chcąc postępować zgodnie z protokołem?

– Czemu zleciła pani swoim oddziałom zamordowanie trzech funkcjonariuszy policji w czasie służby? – zapytał wprost sędzia.

Arthur wtrącił się, mówiąc, że należy wyrazić to prostszymi słowami, bardziej zrozumiałymi dla mrówki, i doradził przewodniczącemu, żeby na przyszłość unikał określeń typowo prawniczych.

– Dobrze. Dlaczego pani, Wasza Wysokość, zabijać ludzi?

Arthur zauważył, że niegramatyczny język również nie odpowiada mrówkom. Można wypowiadać się w przystępny sposób, a mimo to poprawnie.

Sędzia, nie wiedząc już, w jaki sposób zabrać się do rzeczy, wymamrotał:

– Dlaczego zabijaliście ludzi?

Mrówka nadała:

– *Zanim będziemy kontynuować tę dyskusję, chciałabym zauważyć, że znajdują się tu filmujące mnie kamery. Wy widzicie mnie w powiększeniu, ale ja was nie widzę.*

Arthur potwierdził, że 103 podczas swoich rozmów z ludźmi była przyzwyczajona do korzystania z telewizora. Po krótkiej naradzie przewodniczący zgodził się udostępnić oskarżonej jeden z miniaturowych odbiorników znalezionych w piramidzie.

Księżniczka 103 zbliżyła się do telewizora, który umieszczono w probówce.

Przyjrzała się twarzy sędziego i stwierdziła, że jest to Palec w zaawansowanym wieku. Odkryła już wcześniej, że Palce o białej sierści zazwyczaj przekroczyły już trzy czwarte czasu trwania swojej egzystencji. Palce u schyłku życia są często spychane na margines. Zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno ma obowiązek tłumaczyć się temu staremu Palcowi w czarno-czerwonym stroju. Następnie, stwierdziwszy, że nikt z obecnych nie podawał w wątpliwość jego autorytetu, skierowała czułki w stronę receptora feromonowego.

– *Widziałam już przebieg procesu na filmach. Zazwyczaj świadek musi przysięgać na Biblię.*

– Naoglądała się pani zbyt wiele produkcji amerykańskich! – wykrzyknął sędzia, przyzwyczajony do tego typu komentarzy, które jednak nadal go denerwowały. – Tutaj nie przysięga się na Biblię.

A następnie spokojnie już wyjaśnił:

– We Francji ponad sto lat temu został wprowadzony rozdział Kościoła od państwa. Przysięga się na honor, a nie na Biblię, którą nie wszyscy w naszym kraju uznają za świętą księgę.

Księżniczka 103 rozumiała. Tutaj także istniał podział na deistów i niedeistów, umiała też sobie wyobrazić wszystkie wynikające z tego nieporozumienia. Mimo to liczyła, że będzie mogła przysiąc na Biblię. Lecz skoro w Fontainebleau panuje inny zwyczaj... Rzekła więc zrezygnowana:

– *Przysięgam mówić prawdę i tylko prawdę.*

Widok mrówki stojącej na czterech tylnych nóżkach, z jedną opartą na szybie, robił spore wrażenie. Zabłyśły flesze. Oczywiście chcąc postąpić zgodnie ze zwyczajem Palców, 103 zrobiła tu chwilę przerwy. Znała przysłowie: „Wśród Palców zachowuj się jak Palec”.

Woźny sądowy przeganiał fotografów. Wszystkie osoby obecne na sali sądowej

miały poczucie, że uczestniczą w wydarzeniu, które przejdzie do historii.

Przewodniczący czuł, że sytuacja go przerasta, lecz starał się nie pokazywać tego po sobie. Postanowił przeprowadzić przesłuchanie tak, jak to miał w zwyczaju.

– Powtarzam swoje pytanie. Wasza Wysokość, dlaczego rozkazała pani swoim oddziałom zamordować policjantów-ludzi?

Mrówka przyłożyła czułki do receptora. Światelko w komputerze zaczęło migotać, a następnie przekazało tłumaczenie:

– *Niczego nie rozkazałam. Pojęcie „rozkazu” nie istnieje u mrówek. Każda z nas robi, co chce i kiedy chce.*

– Ale wasze oddziały zaatakowały ludzi! Temu nie może pani zaprzeczyć!

– *Nie mam oddziałów. Z tego, co zdążyłam zobaczyć, Palce znalazły się wśród nas. Zdeptały przynajmniej trzy tysiące moich towarzyszek. W ogóle nie uważacie na nas. Nigdy nie patrzycie, gdzie stawiacie wasze kończyny.*

– Nie miałyście nic do roboty na tym wzgórzu! – wykrzyknął zastępca prokuratora generalnego.

Komputer przekazał mrówce jego wypowiedź.

– *Las jest otwarty dla wszystkich, z tego, co wiem. Przyszłam odwiedzić przyjaciół-Palce, z zamiarem nawiązania stosunków dyplomatycznych.*

– Przyjaciele „Palce”! Stosunki „dyplomatyczne”! Ależ ci ludzie są nikim. Nie reprezentują żadnego organu władzy. To tylko szaleńcy, którzy zamknęli się w leśnej piramidzie! – rzekł zastępca prokuratora generalnego.

Mrówka wyjaśniła spokojnie:

– *Już kiedyś usiłowałyśmy nawiązać oficjalne kontakty z kierującymi waszym światem, lecz oni nie chcieli z nami rozmawiać.*

Zastępca prokuratora generalnego podszedł bliżej, żeby pogrozić owadowi palcem.

– Przed chwilą chciała pani przysięgać na Biblię. Czy przynajmniej jest pani świadoma tego, czym jest dla nas ta księga?

Na ławie oskarżonych zapanowało zdenerwowanie. Czy zastępca prokuratora generalnego chce zniszczyć ich maleńkiego sprzymierzeńca?

– *Biblia to dziesięć przykazań* – nadała mrówka, która doskonale pamiętała tak często emitowany film Cecila B. De Milleta z Charltonem Hestonem.

Arthur odetchnął z ulgą. Naprawdę można liczyć na 103. Przypomniał sobie, że Charlton Heston zawsze należał do jej ulubionych aktorów – nie wiadomo zresztą dlaczego. Obejrzała nie tylko *Dziesięcioro przykazań*, ale też *Ben Hura*, *Zieloną pożywkę* oraz dwa filmy, które dały jej wiele do myślenia: *Naga dżungla*, w którym mrówki opanowują świat, i przede wszystkim *Planeta małp*, który to film udowodniał, że ludzie nie są niezwyciężeni i mogą ich pokonać inne włochate zwierzęta.

Podobnie jak sędzia, zastępca prokuratora generalnego starał się ukryć zaskoczenie i ciągnął dalej:

– Przyjmijmy, że tak. A zatem z pewnością ma pani świadomość, że jedno z tych dziesięciu przykazań mówi: „Nie zabijaj”.

Arthur uśmiechnął się w duszy. Oskarżyciel nie miał pojęcia, w jaką dyskusję się wdaje.

– *Ale przecież wy sami uczyniliście z mordowania wołów i kur prawdziwy przemysł. Nie wspominając już o corridach, które czynią spektakl ze śmierci krowy.*

Zastępca prokuratora generalnego uniósł się:

– Zabijać w znaczeniu biblijnym nie oznacza „nie zabijać zwierząt”. Oznacza „nie zabijać ludzi”.

Księżniczka nie dała się zbić z tropu:

– *Dlaczego życie Palców miałoby być cenniejsze od życia kurcząt, krów czy też mrówek?*

Przewodniczący westchnął. Nawet jeśli dokłada się wszelkich starań, by trzymać się tylko faktów, zawsze kończy się na debacie filozoficznej.

Zastępca prokuratora generalnego wyglądał na wycieńczonego. Biorąc na świadków przysięgłych, wskazał ekran, na którym było widać głowę 103.

– Wyłupiaste oczy, czarne żuwaczki, czułki... ależ te mrówki są brzydkie... Nawet najgorsze potwory z naszych filmów science fiction nigdy nie były tak ohydne. I czy to te zwierzęta, tysiąc razy brzydsze i nieprzyjemniejsze niż my, będą nam prawić kazania?

Nie trzeba było długo czekać na odpowiedź.

– *A pan, rozumiem, uważa się za piękność? Z tą nędzną kępką włosów na czaszce, bladą cerą i dziurami pośrodku twarzy?*

Publiczność wybuchnęła śmiechem, tymczasem rzeczona blada cera stała się szkarłatna.

– Świetnie sobie radzi – szepnęła Zoé do Davida.

– Zawsze uważałem, że 103 jest niepokonana – dodał Arthur, wzruszony wyczynem swojej uczennicy.

Zastępca prokuratora generalnego odzyskał nieco równowagę i przystąpił do kolejnego ataku, z jeszcze większą zaciekłością:

– Nie tylko uroda się liczy – rzekł do mikrofonu Kamienia z Rosetty – ale i inteligencja. Inteligencja to cecha charakterystyczna człowieka. Życie mrówek nie ma znaczenia, bo nie są istotami inteligentnymi.

– Mają swoją inteligencję – zaprzeczyła Julie.

Zastępca prokuratora generalnego roześmiał się. Wszyscy wpadli w zastawioną przez niego pułapkę.

– W takim razie proszę o dowód na to, że mrówki są inteligentne!

Światelko w komputerze Kamienia z Rosetty zamigotało, tłumacząc wypowiedź księżniczki 103. Wreszcie na sali sądowej rozległ się głos.

– *Udowodnijcie mi, że człowiek jest istotą inteligentną.*

Na sali zawrzało. Każdy chciał wziąć udział w dyskusji i wyrazić swoje zdanie. Przysięgli z trudem zachowywali spokój, a przewodniczący składu sędziowskiego walił w stół swoim młoteczkim z kości słoniowej.

– Skoro nie ma możliwości przeprowadzenia przesłuchania w spokoju, niniejszym zamykam rozprawę. Kolejne posiedzenie zwołuję na jutro rano, na dziesiątą.

Radio i telewizja podczas wieczornych wiadomości przyznały przewagę księżniczce 103. Specjaliści uznali, że mała mrówka, ważąca zaledwie 6,3 miligrama, okazała się sprytniejsza od zastępcy prokuratora generalnego i sędziego, których ciężar przekraczał razem 160 kilogramów.

Bohaterowie pierwszej, drugiej i trzeciej części *Encyklopedii* odzyskali nadzieję. Jeśli istniała jakaś sprawiedliwość na tym świecie, nie wszystko jest jeszcze stracone.

Maximilien z wściekłością uderzył pięścią o ścianę.

225. FEROMON PAMIĘCI: PALCOWA LOGIKA

LOGIKA.

Logika jest pewną bardzo oryginalną palcową koncepcją. Wydarzenia logiczne to takie, które następują po sobie w sposób akceptowalny dla społeczności Palców.

Przykład: Palec uważa za logiczny fakt, że niektórzy mieszkańcy miasta obfitującego w pożywienie umierają z głodu, nie mogąc liczyć na niczyją pomoc.

Z kolei nielogiczne jest odmawianie pożywienia tym, którzy chorują z powodu przejedzenia.

Palce uznają, że logiczne jest wyrzucanie pełnowartościowego, nienoszącego śladów zepsucia pożywienia do śmietnika.

Natomiast nielogiczne jest rozdzielanie tych produktów pomiędzy tych, którzy chcieliby je zjeść. Zresztą, chcąc mieć pewność, że nikt nie będzie dotykał ich śmieci, Palce je palą.

226. STRACH PRZED TYM, CO NA ZEWNĄTRZ

Sędziowie opuszczali już salę rozpraw, gdy policjant dogonił jednego z asesorów. W ręce trzymał próbkę z księżniczką 103.

– Co robimy z tą oskarżoną? Nie mogę przecież umieścić jej w więzieniu razem z ludźmi.

Asesor wzniosł oczy ku niebu.

– A zatem proszę ją wrzucić do reszty mrówek. Dzięki tej żółtej plamce na czole z łatwością ją rozpoznamy.

Policjant uniósł przykrywkę akwarium, opróżnił zawartość próbki-więzienia i 103 spadła z nieba w sam środek grupy swoich towarzyszek niedoli.

Mrówki bardzo się ucieszyły na widok swojej bohaterki. Lizaly się nawzajem, oddawały się trofalaksjom, a wreszcie zebrały na naradę.

Wśród uwięzionych znajdowały się 10 i 5. Wyjaśniły: widząc, że Palce wkładają inne wojowniczkę do worka, czym prędzej do nich dołączyły, licząc, że to zaproszenie do palcowego świata.

– *Tak czy inaczej, mają zamiar nas zabić, niezależnie od tego, co uczynimy* – rzekła jedna z mrówek, która straciła dwie tylne nóżki w chwili, gdy policjanci bez żadnych skrępowań wpychali je do wielkich worków.

– *Trudno. Przynajmniej raz dana nam będzie okazja wystąpienia w obronie naszego sposobu życia* – oświadczyła księżniczka 103.

Z ciemnego kącika wyłoniła się mała mrówka i skierowała w ich stronę.

– *Książę 24!*

Tym sposobem wiecznie roztrzepana mrówka, gubiąc się, trafiła we właściwe miejsce. Zapomniawszy o niełatwych okolicznościach, które umożliwiły to spotkanie, księżniczka 103 przytuliła się do księcia 24.

Jak to dobrze go odnaleźć! 103 wiedziała już, czym jest sztuka, teraz zaczynała pojmować, czym jest miłość.

„Miłość jest wtedy, gdy traci się kogoś, kogo się kocha. A następnie, gdy się go odnajduje” – pomyślała.

Książę 24 usiadł tuż przy 103. Prosi o PA.

227. INTELIGENCJA

Przewodniczący składu sędziowskiego uderzył w stół swoim młoteczką.

– Żądamy obiektywnych dowodów na ich inteligencję.

– Potrafią rozwiązywać wszystkie swoje problemy – zaczęła Julie.

Zastępca prokuratora generalnego wzruszył ramionami:

– Nie mają pojęcia o połowie wykorzystywanych przez nas technologii. Nie wiedzą nawet, czym jest ogień.

Na potrzeby tej rozprawy ustawiono na sali małe plastikowe podium z telewizją i antenami bezpośrednio w akwarium.

Księżniczka 103 wspięła się na swoich czterech tylnych nóżkach, żeby lepiej ją było widać. Nadała dość długie zdanie. Komputer rozszyfrował je.

– *Kiedys mrówki odkryły ogień i posługiwały się nim w celach wojennych. Pewnego dnia nie udało im się opanować pożaru, który, rosnąc w siłę, niszczył wszystko. Owady zdecydowały więc, że nigdy więcej nie tkną ognia i skazą na banicję te, które odważą się skorzystać ponownie z tej niszczycielskiej broni...*

– A więc widzicie! Zbyt głupie, by panować nad ogniem – z ironią skomentował jej słowa zastępca prokuratora generalnego, lecz przerwał mu dalszy ciąg wypowiedzi.

– *Podczas zorganizowanego przeze mnie marszu pacyfistycznego w stronę waszego świata wyjaśniłam moim siostram, że odpowiednio użyty ogień może stworzyć nowe możliwości technologiczne.*

– To nie świadczy o waszej inteligencji, ale jedynie o tym, że od czasu do czasu

potraficie naśladować naszą inteligencję.

Mrówka sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Jej czułki zaczęły poruszać się bardzo szybko i niemal uderzały w plastikowe receptory.

– *A MOGĘ WIEDZIEĆ, CO JEST DOWODEM NA TO, ŻE WY SAMI JESTEŚCIE ISTOTAMI INTELIGENTNYMI?!*

Szmer na sali. Kilka stłumionych uśmiechów. Mrówka strzelała kolejnymi feromonami.

– *O ile dobrze zrozumiałam, waszym kryterium inteligencji jest to... czy dane zwierzę jest do was podobne!*

Nikt już nie patrzył na akwarium. Wszystkie oczy utkwione były w ekranie, a kamerzysta filmował ją w ujęciu włoskim, czyli od klatki piersiowej w górę, zapominając, że to zwierzę.

Dzięki obiektywowi makro można było niemal odczytywać jej miny. Nie tyle ruchy twarzy czy spojrzenie oczywiście, ile ruchy czułków, podbródka i żuwaczek, które każdy interpretował na swój sposób.

Uniesione czułki oznaczały zdziwienie, na wpół nachylone: chęć bycia przekonującą. Prawy czułek wysunięty do przodu świadczył o zainteresowaniu argumentami przeciwnika. Czułki opuszczone: rozczarowanie. Czułki miętoszone między żuwaczkami: ulgę.

Na razie czułki 103 były na wpół nachylone.

– *Z naszego punktu widzenia to wy jesteście głupi, a my inteligentne. Trzeba by zapytać o zdanie nie Palce czy mrówki, tylko jakiś trzeci gatunek, by pomógł nam rozwiązać ten spór.*

Wszyscy, łącznie ze składem sędziowskim, mieli świadomość tego, że padło decydujące pytanie. Jeśli mrówki uznane zostaną za inteligentne, będzie to znaczyło, że odpowiadają za swoje czyny. W przeciwnym wypadku byłyby niepoczytalne, tak jak osoba chora na umyśle czy niepełnoletnia.

– Jak udowodnić inteligencję mrówek lub jej brak? – zastanawiał się na głos sędzia, gładząc się po brodzie.

– *I jak udowodnić inteligencję Palców lub jej brak?* – uzupełniła mrówka niezbita z tropu.

– Właściwie zależy nam na tym, by określić, który gatunek jest inteligentniejszy od drugiego – podsumował asesor.

Sąd przysięgłych przypomina trochę teatr. Od najdawniejszych czasów wymiar sprawiedliwości pełnił funkcję widowiska, lecz nigdy jeszcze żaden sędzia nie czuł się tak bardzo reżyserem. Musiał czuwać nad przebiegiem poszczególnych wystąpień, by publiczność nie poczuła się znudzona, odpowiednio przydzielać role świadkom, oskarżonym, przysięgłym. Jeśli uda mu się utrzymać napięcie aż do chwili wydania wyroku, sprawić, by publiczność na sali i przed telewizorami wstrzymywała oddech nie mogąc się doczekać dalszego ciągu wydarzeń – osiągnie prawdziwy sukces.

Jeden z przysięgłych poprosił o głos – rzecz niespotykana.

– Jeśli mogę coś zaproponować... Jestem wielkim amatorem łamigłówek – rzekł emerytowany pracownik poczty. – Szachy, krzyżówki, zagadki, gry słów, brydż, kółko i krzyżyk. Wydaje mi się, że najlepszym sposobem na rozstrzygnięcie, który z gatunków jest sprytniejszy, będzie skonfrontowanie ich w grze, w swego rodzaju „potyczce” na inteligencję.

Słowo „potyczka” spodobało się sędziemu.

Przypomniał sobie, jak uczono go na studiach prawniczych, że w średniowieczu potyczki były swego rodzaju wymiarem sprawiedliwości. Procesujący się wkładali zbroje i walczyli do upadłego, pozostawiając Bogu decyzję o zwycięstwie. Wszystko było wtedy prostsze: ten, który przeżył, miał zawsze rację. Sędziowie nie obawiali się, że się pomylą, nie mieli wyrzutów sumienia.

Oczywiście w grę nie wchodziło zorganizowanie równoprawnego pojedynku „człowiek – mrówka”. Byle prztyczek mógł zabić owada.

Sędzia wyraził swoje wątpliwości. Przysięgły nie poddał się jednak.

– Można przecież wymyślić obiektywną konkurencję, w której mrówka miałaby tyle samo szans na zwycięstwo co człowiek – nalegał.

Pomysł spodobał się słuchaczom. Sędzia zapytał:

– O jakiego rodzaju „potyczce” pan myśli?

228. ENCYKLOPEDIA

STRATEGIA KONIA: W 1904 roku międzynarodowa wspólnota naukowa była w stanie wrzenia. Wydawało się, że wreszcie odkryto „zwierzę równie inteligentne jak człowiek”. Zwierzęciem tym był ośmioletni koń, wychowany przez austriackiego

uczonego, profesora von Ostena. Ku olbrzymiemu zdziwieniu tych wszystkich, którzy go odwiedzali, Hans, gdyż tak właśnie nazywał się ten koń, wydawał się znakomicie rozumieć nowoczesną matematykę. Rozwiązywał precyzyjnie zadawane mu równania, ale też potrafił dokładnie podać godzinę, rozpoznawać na zdjęciach ludzi, których przedstawiono mu kilka dni wcześniej, potrafił też rozwiązywać zadania z logiki.

Hans wskazywał przedmioty końcem kopyta, a liczby podawał stukając o ziemię. Z liter przekazywanych za pomocą uderzeń tworzone były słowa. Jedno uderzenie dla „a”, dwa uderzenia dla „b”, trzy dla „c” i tak dalej.

Poddano Hansa różnego rodzaju doświadczeniom, a koń stale potwierdzał swoje możliwości. Zoologowie, biologowie, fizycy, a na koniec psychologowie i psychiatrzy przybywali z całego świata, żeby zobaczyć Hansa. Przyjeżdżali sceptycznie nastawieni, a wyjeżdżali zbici z tropu. Nie mogli się zorientować, na czym polega manipulacja, i w końcu przyznawali, że zwierzę jest rzeczywiście „inteligentne”.

12 września 1904 roku grupa trzynastu ekspertów opublikowała raport, w którym odrzucano wszelką możliwość oszustwa. Sprawa wywołała wówczas wiele hałasu i świat nauki powoli pogodził się z myślą, że ten koń jest rzeczywiście równie inteligentny jak człowiek.

Jednak pewnego dnia Oskar Pfungst, jeden z asystentów von Ostena, odkrył wreszcie tajemnicę. Zauważył, że Hans myli się w odpowiedziach zawsze wtedy, gdy rozwiązanie podsuwanego mu problemu jest nieznane osobom, które są świadkami przeprowadzanego doświadczenia. Podobnie gdy zakładano mu klapy na oczy, uniemożliwiając oglądanie otaczających go osób, odpowiedzi za każdym razem były błędne. Jedyne wyjaśnienie mogło więc polegać na tym, że Hans był wyjątkowo uważnym zwierzęciem, które uderzając kopytem o ziemię, zauważało zmiany w zachowaniu otaczających go ludzi. Wyczuwał ich podekscytowanie, kiedy zbliżał się do właściwej odpowiedzi.

Jego koncentracja była motywowana nadzieją na otrzymanie smakowitej nagrody.

Kiedy szydło wyszło z worka, naukowcy byli tak bardzo urażeni tym, że dali się łatwo zwieść, że pojawił się ogromny sceptycyzm dotyczący wszelkich prób badania inteligencji zwierząt. Jeszcze dzisiaj na wielu uniwersytetach przytacza się przykład konia Hansa jako karykaturalnego dowodu naukowej łatwowierności.

Tymczasem biedny Hans nie zasługiwał ani na tak wielką sławę, ani też na takie potępienie. Ostatecznie koń ten potrafił odczytywać ludzkie zachowania i to tak trafnie, że przez pewien czas uchodził za równego człowiekowi.

Ale być może przyczyna tak wielkich pretensji pod adresem Hansa leży jeszcze głębiej. Nieprzyjemnie jest gatunkowi ludzkiemu przyznać się do tego, że człowiek może być tak przejrzysty dla zwierzęcia.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

229. SPOTKANIE NA SCHODACH

Przysięgły, specjalista od gier myślowych, zgłosił się na ochotnika, aby opracować test, który po konsultacjach został zaakceptowany zarówno przez sędziego, jak i przez obronę.

Należało teraz wyznaczyć przedstawiciela gatunku ludzkiego i przedstawiciela mrówek.

Oskarżyciel zaproponował ze swojej strony komisarza Maximiliena Linarta, a Julie opowiedziała się za kandydaturą 103. Przewodniczący sądu odrzucił jednak z urzędu obie propozycje. Linart, agent z wieloletnim doświadczeniem prowadzący zajęcia w szkole policyjnej, nie był według niego w żadnym stopniu reprezentatywny dla gatunku ludzkiego. Podobnie 103, z tymi wszystkimi filmami, które widziała w ludzkiej telewizji, w niczym nie przypominała zwykłej mrówki.

Oskarżyciel uważał, że nieodzowne jest, aby reprezentant ludzkości i przedstawiciel mrówek zostali wybrani losowo ze swojej grupy. Sędzia był świadomy tego, że tworzy w tej dziedzinie orzecznictwo i traktował swoją rolę bardzo poważnie.

Policjant i woźny sądowy zostali wysłani na ulicę, żeby przyprowadzić pierwszego napotkanego człowieka, wyglądającego przyzwoicie. Zatrzymali „przeciętną istotę ludzką”, w wieku czterdziestu lat, o ciemnych włosach, z wąsikami, rozwiedzionego i z dwojgiem dzieci. Wytłumaczyli mu, czego od niego się oczekuje.

Człowieka ogarnęła trema na samą myśl, że ma stać się przedstawicielem gatunku ludzkiego i że może narazić się na śmieszność. Policjant zastanawiał się,

czy nie powinien użyć siły, żeby doprowadzić go przed sąd, ale woźny sądowy wpadł na szczęśliwy pomysł zasygnalizowania mu, że jeszcze tego samego wieczoru zapewne pojawi się on w telewizji. Na samą myśl o tym, jakie zrobi wrażenie na sąsiadach, przestał się wahać i podążył za nimi. Mrówki, którą ta sama zaprzysiężona grupa znalazła w ogrodzie przed pałacem sprawiedliwości, nie pytano nawet o zdanie. Wzięli pierwszą z brzegu, o wadze 3,2 mg, długości 1,8 cm, z małymi żuwaczkami i z czarnym chitynowym pancerzem. Sprawdzili, że wszystkie jej kończyny są na miejscu i że kiedy położy się ją na kartce papieru, jej czułki się poruszają.

Instrumenty do pomiaru inteligencji zaproponowane przez przysięgłego były już ustawione na miejscu w sali sądowej. Było to dwanaście drewnianych klocków, które należało ułożyć w taki sposób, żeby można było wspiać się po nich i dotknąć elektrycznej czerwonej gruszki podwieszanej nad nimi. Pierwszy z zawodników, który jej dotknie, włączy automatycznie elektryczny dzwonek i to on zostanie ogłoszony zwycięzcą. O ile klocki były takie same co do formy, o tyle, rzecz jasna, wykonane były w zupełnie innej skali dla jednego i drugiego z zawodników. Konstrukcja przewidziana dla człowieka miała trzy metry po zamontowaniu, a rusztowanie dla mrówki miało mieć wysokość trzech centymetrów. Ażeby zainteresować mrówkę wykonaniem zadania, przysięgły posmarował czerwoną gruszkę miodem. Przed każdym z zawodników ustawiono kamery i po chwili przewodniczący dał sygnał do rozpoczęcia zawodów.

Mężczyzna już w dzieciństwie bawił się klockami. Natychmiast też zaczął układać je metodycznie, czując wielką ulgę, że zaproponowano mu tak prosty do rozwiązania test.

Mrówka zaś kręciła się wokół, przerażona, że znalazła się w nieznanym miejscu, z tyloma zapachami i światłem, daleko od znanych jej punktów odniesienia. Ustawiała się pod gruszką, wyczuła słodki zapach miodu i wtedy ogarnęło ją podekscytowanie. Jej czułki poruszały się na wszystkie strony. Podniosła się na czterech tylnych łapkach, usiłując złapać gruszkę, lecz to się jej nie udawało.

Oskarżyciel pozwolił woźnemu przysunąć kawałeczki drewna bliżej mrówki, żeby ta lepiej zrozumiała, że musi je poukładać, aby wspiać się aż do gruszki. Mrówka przyjrzała się kawałkom drewna i ku ogólnej ucieście zaatakowała je

zuwaczkami, aby zjeść, gdyż one także były lekko przesiąknięte zapachem miodu. Mrówka miotała się, szarpała, stała pod czerwoną gruszką, lecz nie przejawiała żadnych zachowań, które wskazywałyby na to, że uda jej się osiągnąć cel.

Człowiek, głośno wspierany przez swoich bliźnich, kończył już swoją pracę, podczas gdy mrówka jeszcze niczego nie zrobiła, a jedynie nadgryzła kawałeczki klocek, wciąż wracając pod gruszkę i próbując ją uchwycić, stając na tylnych łapkach i wymachując w powietrzu przednimi kończynami. Słysząc było trzask zuwaczek, kręciła się w miejscu i nie posuwała się ani odrobinę do przodu.

Człowiekowi zostały już do ułożenia tylko cztery kawałki drewna, kiedy nagle mrówka, bardzo zdenerwowana, zrezygnowała ze stania pod gruszką i poszła sobie. Nikt nie pomyślał o tym, żeby otoczyć to miejsce jakąś przegrodą.

Wszyscy zebrani widzowie sądzili, że mrówka poddała się i już zamierzali ogłosić zwycięzcą jej przeciwnika, gdy mrówka pojawiła się w towarzystwie innej mrówki. Powiedziała jej coś przekazując informację czułkami, a ta druga stanęła w taki sposób, żeby pierwsza z mrówek mogła się po niej wspiąć. Kątem oka człowiek zauważył wykonywany manewr i jeszcze bardziej przyspieszył. Prawie już był u celu, gdy dosłownie po sekundzie dzwonek mrówki zadźwięczał pierwszy. Na sali wrzało. Niektórzy klaskali, inni wznosili pełne dezaprobaty okrzyki. Oskarżyciel zabrał głos:

– Wszyscy widzieliście: mrówka oszukiwała. Pomogła jej inna mrówka, co świadczy o tym, że inteligencja mrówek jest inteligencją zbiorową, a nie indywidualną. Kiedy jest sama, mrówka nie jest zdolna niczego wykonać.

– Ależ skąd – sprzeciwiła się Julie. – Po prostu mrówki rozumiały, że gdy się jest we dwójkę, problemy łatwiej jest rozwiązać niż gdy się jest samemu. Taka zresztą była dewiza rewolucji mrówek: „Jeden plus jeden równa się trzy”. Połączenie talentów jest czymś więcej niż zwykłą ich sumą.

Oskarżyciel się zaśmiał.

– „Jeden plus jeden równa się trzy” jest matematycznym kłamstwem, grzechem przeciwko zdrowemu rozsądkowi, obrazą dla logiki. Jeżeli tego rodzaju głupstwa odpowiadają mrówkom, tym lepiej dla nich. My zaś jako ludzie ufamy jedynie prawdziwej nauce, a nie ezoterycznym formułkom.

Sędzia uderzył młoteczkiem w stół.

– Ten test nie jest rzeczywiście do końca miarodajny. Trzeba wynaleźć coś

innego, gdzie jeden człowiek będzie mógł rywalizować tylko z jedną mrówką. I jakkolwiek by był wynik, to będzie on wiążący.

Sędzia poprosił do siebie biegłego psychologa i zwrócił się do niego z prośbą o opracowanie odpowiedniego i obiektywnego testu.

A potem udzielił wywiadu, na zasadzie wyłączności, znanemu dziennikarzowi z największej stacji telewizyjnej w kraju.

– To, co się dzieje, jest bardzo interesujące i wydaje mi się, że paryżanie powinni przybyć licznie do Fontainebleau, aby uczestniczyć w rozprawach i bronić sprawy ludzkości.

230. FEROMON ZOOLOGICZNY: OPINIA

Zaśliniająca się 10 notuje.

OPINIA:

Palce straciły niemal zdolność wyrabiania sobie indywidualnej opinii na dany temat.

Wszystkie pozostałe zwierzęta myślą same i wyrabiają sobie własne opinie na podstawie tego, co widzą i czego nauczyło ich doświadczenie. Palce jednak myślą wszystkie to samo, czyli przyjmują jako swoją opinię prezentera wieczornych wiadomości telewizyjnych.

Można to nazwać „wspólnym umysłem”.

231. WIDAĆ JĄ Z DALEKA

Psycholog długo się zastanawiał. Konsultował się z kolegami, z osobami prowadzącymi dział gier w prasie, z autorami różnych łamigłówek, które można znaleźć w handlu. Stworzyć takie zasady, które byłyby odpowiednie zarówno dla ludzi, jak i dla mrówek, to dopiero wyzwanie! A poza tym, jaka gra mogłaby udowodnić w niepodważalny sposób czyjaś inteligencję lub jej brak?

Była gra w go, szachy, warcaby, ale jak wyjaśnić zasady mrówkom? Należały przecież do ludzkiej kultury, tak jak madzong, poker czy gra w klasy. A w jakąż to grę mogły grać mrówki?

Psycholog pomyślał najpierw o grze w bierki, tak zwane mikado. Mrówki są przecież przyzwyczajone do przenoszenia i selekcjonowania tych gałązek, które są

im potrzebne. Szybko jednak zarzucił ten pomysł. Mikado jest przede wszystkim grą zręcznościową, ale w żadnym stopniu nie jest grą sprawdzającą inteligencję. Była też jeszcze gra w kości, ale mrówki nie mają rąk.

W co zatem mogą grać mrówki? Gra wydała się psychologowi czymś szczególnym dla człowieka. Mrówki nie grają. Odkrywają taki czy inny teren, biją się, chowają jajeczka i pożywienie. Każdy z ich gestów ma precyzyjnie określoną użyteczność.

Ekspert wyciągnął z tego wniosek, że trzeba zaproponować taką grę, która odpowiadałaby konkretnej sytuacji praktycznej, bliskiej wszystkim mrówkom. Na przykład eksplorowanie nieznannej drogi.

Po tym, jak rozważył wszystkie za i przeciw, psycholog zasugerował test, według niego uniwersalny: wyścig przez labirynt. Jakakolwiek istota zamknięta w miejscu, którego nie zna, stara się z niego wydostać.

Człowiek byłby zatem umieszczony w labiryncie o wymiarach ludzkich, a mrówka w labiryncie o wymiarach dostosowanych do rozmiarów mrówek. Oba labirynty miałyby taki sam układ, tyle że wykonany w różnej skali. W ten sposób obaj konkurenci mieliby przed sobą takie same przeszkody, które będą musieli pokonać, aby znaleźć wyjście.

Tym razem zmieniono zawodników. Stosując tę samą metodę co poprzednio, policjant i woźny zatrzymali na ulicy młodego studenta o blond włosach. Jako reprezentantkę mrówek wzięto pierwszą z brzegu mrówkę, która siedziała sobie w doniczce z kwiatami na oknie przed stróżówką w pałacu sprawiedliwości. Żeby dysponować odpowiednią przestrzenią, ludzki labirynt z policyjnych barierek ustawiono na dziedzińcu pałacu sprawiedliwości. Dla mrówki zbudowano identyczny labirynt, którego ścianki były wykonane z papieru, a całość umieszczono w wielkim przezroczystym akwarium, do którego nie mogłyby się przedostać inne przedstawicielki tego gatunku. W chwili, gdy konkurenci znajdą się przy wyjściu, powinni włączyć elektryczny dzwonek, naciskając, tak jak i poprzednio, czerwoną gruszkę podłączoną do wyłącznika.

Woźni i asesory mieli być sędziami liniowymi. Przewodniczący chwycił stoper i dał sygnał do startu. Człowiek wyruszył natychmiast, zagłębiając się w papierowe ściany, a jeden z policjantów wypuścił mrówkę do akwarium. Człowiek pomknął błyskawicznie, a mrówka się nie ruszała. *Nieznany teren, trzeba zawsze unikać*

pośpiesznych gestów – tak brzmi jedna z najstarszych mądrości mrówek.

Najpierw mrówka zaczęła się myć, co było zgodne z innym podstawowym zaleceniem. *Na nieznanym terenie trzeba wyostrzyć zmysły*. Człowiek zdobywał coraz większą przewagę. Julie bardzo się niepokoiła, ludzie z piramidy również. Ich oczy utkwione były w ekran, na którym można było śledzić przebieg wyścigu. Nawet 103, 24 i ich przyjaciółki, które przyglądały się rozgrywce na małym telewizorze, nie potrafiły ukryć niepokoju. Przecież gdy zdano się na los przy wyborze mrówki, być może tym razem trafiono na mrówkę debila.

– *No! Ruszaj!* – krzyknął wędchowo książę 24, świadom wagi tej rozgrywki.

Lecz mrówka nadal się nie ruszała. Powoli, ostrożnie zaczęła wachać podłoże wokół łapek. Człowiek z kolei, śpiesząc się, pomylił drogę i znalazł się w ślepym zaułku. Wyruszył więc czym prędzej w przeciwną stronę, gdyż nie wiedząc, że mrówka jeszcze nie wystartowała, obawiał się, że stracił zbyt dużo czasu.

Mrówka wykonała kilka kroków, pokręciła się wokoło, a potem nagle jej czułki się wyprostowały.

Mrówki-widzowie wiedziały, co to oznacza.

Julie, która śledziła walkę, siedząc na ławie oskarżonych, ścisnęła Davida za ramię:

– W porządku, poczuła zapach miodu!

Mrówka wyruszyła prosto przed siebie, podążając we właściwym kierunku. Człowiek na zewnątrz także odkrył właściwą drogę. Na ekranach można było śledzić, w jakim punkcie znajduje się jedno i drugie, a oboje wydawali się pokonywać trasę z taką samą szybkością.

– No, zdaje się, że tym razem mają równe szanse – stwierdził sędzia, dbając o to, by podtrzymać napięcie i zadowolić media.

Jakby przypadkowo, człowiek i mrówka prawie równocześnie weszli w ten sam zakręt.

– Ja stawiam na człowieka! – krzyknął woźny sądowy.

– A ja na mrówkę! – powiedział pierwszy asesor.

Obaj zawodnicy szli teraz łeb w łeb.

W pewnym momencie mrówka zagłębiła się w ślepy zaułek, a w akwarium 103 i jej najbliższemu otoczeniu z niepokoju aż zadrżały czułki.

– *Nie, nie, nie tędy!* – zawyły wszystkimi swoimi feromonami.

Lecz ich zapachowy przekaz nie mógł swobodnie krążyć w przestrzeni. Mrówki były oddzielone przegrodą z pleksiglasu.

– Nie, nie, nie tędy! – krzyczeli nadaremnie Julie i jej przyjaciele.

Mężczyzna także skierował się w stronę ślepej uliczki, a wtedy ludzka publiczność krzyknęła:

– Nie tam, nie tędy!

Obaj rywale znieruchomieli, zastanawiając się, w którą stronę iść.

Mężczyzna skierował się w dobrą stronę. Mrówka tymczasem nie umiała znaleźć odpowiedniej drogi. obrońcy ludzkiej sprawy poczuli się bezpieczniej. Ich mistrz miał już tylko dwa zakręty do pokonania i za chwilę dotrze już do czerwonej gruszki. I wtedy właśnie mrówka, wściekła, że wciąż kręci się w kółko w ślepej uliczce podjęła nieprzewidziane działanie.

Wspięła się po papierowej ścianie.

Idąc za zapachem miodu, galopowała prosto do czerwonej gruszki, przeskakując po kolejnych ściankach, niczym w biegu przez płotki.

Kiedy człowiek pokonywał biegiem zakręty, mrówka przeskakiwała przez ostatnią już ściankę, zawiesiła się na czerwonej gruszcze włączając dzwonek.

Ryk zwycięstwa rozległ się na ławie oskarżonych i w akwariu, w którym mrówki dotykały się czułkami świętując zwycięstwo.

Przewodniczący poprosił widzów o zajęcie miejsc w sali rozpraw.

– Ona oszukiwała! – protestował oskarżyciel, podchodząc do stołu sędziego. – Oszukiwała, tak jak i tamta mrówka. Nie miała prawa wspinać się po ściankach!

– Panie prokuratorze, bardzo pana proszę o zajęcie miejsca – zarządził sędzia.

Gdy już powróciła na ławę oskarżonych, Julie postanowiła zabrać głos.

– Oczywiście że nie, ona nie oszukiwała. Posłużyła się własnym, oryginalnym sposobem myślenia. Trzeba było osiągnąć cel, to go osiągnęła. Udowodniła, że jest inteligentna, dostosowując się szybciej do problemu. W żadnym momencie nie zostało powiedziane, że obowiązuje zakaz wspinania się po ścianie.

– A zatem człowiek również mógł tak zrobić? – zapytał oskarżyciel.

– Oczywiście że tak. Tylko nie przyszło mu do głowy, że może postąpić inaczej, jak tylko posuwając się do przodu korytarzem, i dlatego przegrał. Nie był w stanie pomyśleć inaczej niż zgodnie z zasadami, które traktował jako obowiązkowe, ale które nie zostały nigdzie podane. Ta mrówka wygrała, gdyż udowodniła, że ma

większą wyobraźnię niż człowiek. To wszystko. Trzeba też umieć przegrywać.

232. ENCYKLOPEDIA

SYNDROM BAMBI: Kochać kogoś jest czasami równie niebezpieczne jak nienawidzić. W parkach krajobrazowych w Europie i Stanach Zjednoczonych turysta może często spotkać na swojej drodze jelonka. Zwierzęta te wydają się żyć samotnie i w odosobnieniu, chociaż ich matka zwykle jest w pobliżu. Turysta, rozczulony i szczęśliwy, że może podejść do łagodnie wyglądającego zwierzątka o wyglądzie dużego pluszaka, chce pogłaskać jelonka. Gest ten nie jest w żadnym stopniu agresywny, wprost przeciwnie, to łagodność jelonka wywołuje rozczulenie ludzkiej istoty. Tymczasem taki właśnie dotyk jest gestem śmiertelnym. Przez pierwsze tygodnie bowiem matka rozpoznaje swoje dziecko tylko po zapachu. Kontakt z człowiekiem, chociażby nie wiem jak czuły i przyjemny, sprawi, że jelonek będzie nosił na sobie ludzki zapach. Te nawet nieskończenie drobne zanieczyszczenia niszczą zapachowy dowód tożsamości jelonka, który zostanie natychmiast porzucony przez całą swoją rodzinę. Żadna łania nie przyjmie już jelonka, a ten będzie automatycznie skazany na śmierć głodową. Te mordercze pieszczoty nazwane zostały „syndromem Bambi” albo też „syndromem Walta Disneya”.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

233. SAM POŚRÓD DRZEW

Komisarz Linart nie chciał już tego dłużej oglądać i postanowił szybko wrócić do domu. Rzucił kapelusz na wieszak, zdjął marynarkę i głośno trzasnął drzwiami. Nadbiegła jego rodzina.

Żona Scynthia i córka Margueritte drażniły go w najwyższym stopniu. Czy naprawdę niczego nie rozumiały z tego, co się dzieje? Czy naprawdę nie dostrzegały, jak olbrzymie jest znaczenie tego procesu?

W salonie córka znowu tkwiła przed telewizorem.

Na kanale numer 622 proponowano słynną już rozrywkową audycję zatytułowaną „Pułapka w rozumie”. Po raz kolejny prowadzący program zadawał zagadkę dnia: „Pojawia się na początku nocy, w środku ranka, dwa razy ukazuje się w annałach i bardzo dobrze można ją dostrzec, gdy księżyc jest w nowiu”. Wpadł na rozwiązanie natychmiast. Chodziło o literę „N”. Na początku nocy, w środku ranka, dwa razy w słowie „annały” i w słowie „nów”. Mogło to być tylko to.

Uśmiechnął się. Odnalazł w sobie zdolność szybkiego i skutecznego myślenia. Wszystkie zagadki nie będą w stanie opierać mu się bez końca. Rozumiał to jako przesłany mu znak.

Dwoje chłodnych rąk spoczęło na jego oczach.

– Zgadnij, kto to?

Oswobodził się gwałtownie. Żona spoglądała na niego zaskoczona.

– Co się dzieje, kochanie? Coś nie tak? Może jesteś przepracowany?

– Nie. Po prostu widzę rzeczy znacznie jaśniej. Zdecydowanie jaśniej. Tracę z wami czas. Mam rzeczy naprawdę ważne do zrobienia, i to ważne nie tylko dla mnie, ale i dla całego świata.

– Ależ mój kochany... – podjęła na nowo Scynthia, patrząc na niego pełnym niepokoju wzrokiem.

On zaś wstał i donośnym głosem wypowiedział jedno tylko słowo:

– Wynoś się!

Wskazał jej wzrokiem drzwi, a jego oczy nabiegły krwią.

– Cóż, skoro tak do tego podchodzisz... – powiedziała w końcu mocno wystraszona.

Maximilien już zatrzasnął za nią drzwi gabinetu i zamknął się razem z Mac Yavelem. Podając właściwe parametry, rozpoczął swoją grę w *Ewolucję*. Chciał sprawdzić, co też stanie się z cywilizacją mrówek, gdy ta wykorzystywać będzie ludzkie technologie.

Pokonywał coraz szybciej kolejne etapy, gra zaś pochłaniała go coraz bardziej.

Usłyszał najpierw odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi domu. Chusteczką w kratkę otarł czoło. Uff! Wreszcie uwolnił się od tych dwóch upierdliwych bab. Komputery, te dopiero są szczęśliwe, że nie istnieje ich żeńska wersja.

Mac Yavel posuwał się coraz dalej w grze. W dwadzieścia minut przeleciał przez tysiąc lat mrówczej cywilizacji wzbogaconej o dokonania ludzkości. Było to jeszcze bardziej przerażające niż mógł sobie wcześniej wyobrazić.

Nie chciał już pozostawać w roli zwykłego obserwatora. Postanowił przystąpić do działania, niezależnie od ceny, jaką przyszłoby mu zapłacić.

Natychmiast zabrał się do pracy.

234. PARADOKSALNE SŁOŃCE

Korzystając z chwili przerwy przed dalszym ciągiem przesłuchania, księżniczka 103 i książę 24 decydują się na zbliżenie. Już od samego początku rozprawy intensywne ciepło reflektorów telewizyjnych sprawia, że hormony seksualne burzą się w nich niczym pod wpływem wiosennego słońca.

Światło i ciepło są bardzo ekscytujące.

Nie jest łatwo doprowadzić do zbliżenia w zamkniętym pomieszczeniu, jakim jest akwarium, lecz zachęcana przez pozostałe mrówki księżniczka 103 wznosi się w górę i zaczyna krążyć między ścianami szklanej pułapki.

Książę 24 rusza w jej ślady.

Oczywiście to zdecydowanie mniej romantyczne niż gdyby mieli nad sobą niebo, a wokoło drzewa i leśne zapachy, mimo to oba owady są przekonane, że nie mają już przed sobą przyszłości. Jeśli nie będą się kochać teraz, nigdy nie dowiedzą się, co to za uczucie.

Książę 24 podlatuje od tyłu do księżniczki 103, lecz leci ona zbyt szybko i 24 nie potrafi jej dogonić. Musi ją poprosić, żeby zwolniła.

Wreszcie siada na niej, wpasowuje się w jej ciało, próbuje w nią wejść. Iście ekwilibrystyczne ćwiczenie. Nie jest to łatwe. Przejęta tym, co się dzieje, księżniczka 103 zapomina o kontrolowaniu lotu i uderza w przeźroczystą ścianę. Pod wpływem uderzenia książę 24 osuwa się z niej i musi rozpocząć wszystko od nowa.

Księżniczka 103 śmiała się kiedyś ze skomplikowanych tańców godowych Palców, lecz teraz wiele by dała za to, by móc tak jak one tarzać się po podłodze. To o wiele łatwiejsze niż dążenie do połączenia dwóch małych organów w locie.

Przy trzeciej próbie księciu 24, już dość zmęczonemu, udaje się wejść

w księżniczkę 103. Następuje wtedy coś absolutnie nowego, bardzo intensywnego. Tym bardziej intensywnego, że przeżywają to dwie mrówki, które swoją płeć zdobyły za pomocą sztucznych metod.

Ich czułki się łączą, niczym w PA. Komunia umysłów po komunii ciał.

Psychodeliczne obrazy pojawiają się jednocześnie w ich maleńkich mózgach.

Aby uniknąć kolejnego zderzenia ze ścianami akwarium, kierująca lotem księżniczka 103 robi małe okrążenia pośrodku więzienia, kilka centymetrów zaledwie od plastikowego sklepienia.

Psychodeliczne wizje robią się coraz wyraźniejsze. Nadaje je 103, której umysł nadal wypełniony jest romantycznymi scenami z filmu *Przeminęło z wiatrem*.

Miłość tych dwóch owadów przejawia się bardziej przez obrazy należące do świata Palców niż do ich własnej kultury. Belokanijki mogą się poszczycić wieloma mitologiami, lecz żadna z nich nie przypomina *Przeminęło z wiatrem*. W świecie myrmeczeńskim miłość jest związana jedynie z reprodukcją. Nigdy wcześniej, dopóki nie obejrzała tego filmu, 103 nie przyszło do głowy, by rozważać miłość w kategoriach wyjątkowego uczucia, niezależnego od funkcji prokreacji.

Pozostałe mrówki przyglądają im się z dołu z podziwem. Rozumieją, że odbywa się coś niezwykłego. 10 notuje w „feromonie mitologicznym” swoje odczucia zainspirowane tą romantyczną chwilą.

Nagle sprawy w górze się komplikują. Księżę 24 źle się poczuł. Jego czułki zaczynają podejrzanie drżeć. Serce uderza coraz mocniej. Zalewa go olbrzymia fala rozkoszy i bólu. Ma wrażenie, że jego serce rozpada się, bije mocno, nie poddając się jakiegokolwiek kontroli.

Puk... puk, puk, puk, puk, puk... puk!

Puk, puk, puk!

Sędzia uderzył kilkakrotnie, by zaznaczyć, że rozprawa właśnie się rozpoczyna.

– Panie i panowie przysięgli, proszę zająć miejsca.

Przewodniczący poinformował przysięgłych, że mrówki, które zostały uznane za istoty inteligentne, w obliczu prawa są uznawane za poczytalne. Zadaniem sądu będzie zatem zdecydowanie o losie 103 i jej myrmeczeńskich towarzyszek.

– Nie rozumiem! – wykrzyknęła Julie. – Przecież mrówka wygrała.

– Owszem – odparł sędzia – zwycięstwo to jednak udowodniło tylko, że mrówki są inteligentne, a nie, że są niewinne. Głos ma oskarżyciel.

– Mogę przedstawić kilka dowodów, które poświadczą, że mrówki są wrogami człowieka. Mam tu na przykład pewien artykuł na temat inwazji mrówek ognistych na Florydzie, który powinien zainteresować przysięgłych.

Arthur wstał.

– Zapomniał pan dodać, w jaki sposób powstrzymano te mrówki. A mianowicie dzięki interwencji innego gatunku mrówek: *Solenopsis daugeri*. Potrafią one naśladować feromony królowej mrówek ognistych. Tym sposobem mogą zmylić opiekujące się nią robotnice, a opuszczona królowa umiera. Morał: wystarczy, że ludzie pojedną się z przyjacielskimi gatunkami mrówek, by zwalczyć wrogie...

Zastępca prokuratora generalnego przerwał Arthurowi, wstając i podchodząc do ławy przysięgłych.

– Powierzając nasze sekrety owadom, nigdy się ich nie pozbedziemy. Wręcz przeciwnie, trzeba jak najszybciej wyeliminować te mrówki, które i tak wiedzą już za dużo, zanim przekażą swoją wiedzę pozostałym osobnikom należącym do ich gatunku.

W akwariu nadal panuje ekstaza. Myrmecyńska para krąży coraz szybciej, jakby porwana w piekielny wir. Serce księcia 24 bije coraz chaotyczniej. Puk, puk... puk... puk, puk, puk... Kolor zalewającej go fali rozkoszy zmienia się, w miarę jak ta narasta. Staje się czerwona, fioletowa, aż wreszcie czarna.

Sędzia poprosił zastępcę prokuratora generalnego o podsumowanie i zgłoszenie wniosków.

– Dla spiskującej młodzieży licealnej żądam kary sześciu miesięcy więzienia, pod zarzutem niszczenia sprzętu edukacyjnego i zakłócania porządku publicznego. Dla spiskujących w piramidzie żądam, pod zarzutem współuczestnictwa w morderstwie, kary sześciu lat więzienia. Dla księżniczki 103 i jej współniczek, pod zarzutem zorganizowania powstania i zamordowania policjantów, żądam... kary śmierci.

Na sali rozległ się szum. Sędzia zastukał odruchowo swoim młoteczką.

– Pozwalam sobie przypomnieć mojemu szanownemu koledze oskarżycielowi, że w naszym kraju kara śmierci została zlikwidowana już wiele lat temu – rzekł uczenie.

– W stosunku do ludzi, panie przewodniczący, w stosunku do ludzi.

Sprawdzałem to. Nasz kodeks karny nie zakazuje wykonywania kary śmierci na zwierzętach. Zabija się lisy – nosiciele wścieklizny. Zresztą kto z nas może się poszczycić tym, że nigdy nie zabił mrówki?

Nawet ci, którzy nie zgadzali się z prokuratorem, musieli przyznać, że miał rację. Któż nigdy nie zabił mrówki – nawet przypadkiem?

– Skazując 103 i jej towarzyszkę na karę śmierci, działamy jedynie w obronie koniecznej – podjął zastępca prokuratora generalnego. – Dokumenty znalezione w piramidzie są na to dowodem: mrówki wyruszyły przeciwko nam z krucją. Niech natura wie, że gatunki mające zamiar szkodzić człowiekowi zapłacą za to życiem.

Księżę 24 unosi czułki. Księżniczka 103 czuje go i widzi, lecz rozchodzące się po jej ciele uczucie przyjemności jest tak wielkie, że nie jest zdolna zająć się swoim partnerem.

O ile jego zalewa fala czerwona, wpadająca w czerń, o tyle ją porywa fala czerwona, zmieniająca się w pomarańczową, a następnie jaśniejąca i rozgrzewająca się coraz bardziej. Nie jest już księżniczką: jest królową.

Z księciem 24 jest coraz gorzej.

Jego ciśnienie rośnie. Serce przestaje bić.

Próbuje uderzyć skrzydłami, by zapanować nad upadkiem...

Przewodniczący składu sędziowskiego oddaje głos obronie.

Julie wzywa na pomoc wszystkie swoje neurony.

– Nie jesteśmy świadkami zwykłego procesu. To coś więcej. To jedyna okazja, jaka nam się nadarza, żebyśmy mogli zrozumieć sposób myślenia istot nienależących do gatunku ludzkiego. Jeśli nie jesteśmy w stanie zawrzeć porozumienia z mrówkami: istotami żyjącymi na Ziemi, jak możemy nawet myśleć o komunikowaniu się w przyszłości z istotami pozaziemskimi?

W powietrzu daje się słyszeć suchy trzask. Ciśnienie było zbyt wysokie, przyjemność zbyt intensywna: po przekazaniu wszystkich swoich gamet samicy, księżę eksploduje z rozkoszy. Kawałki chityny rozpryskują się na wszystkie strony i spadają na stojące poniżej owady, niczym szczątki rozbitego samolotu.

Julie ma wrażenie, że dzięki lekturze *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* to

sam Edmund Wells przemawia teraz jej głosem:

– Kontakt z mrówkami może okazać się krokiem milowym naszej ewolucji. Zamiast starać się je zniszczyć, spróbujmy je wykorzystać. Uzupełniamy się. Panujemy nad światem z wysokości jednego metra, one z wysokości jednego centymetra. Arthur udowodnił, że mrówki swoimi żuwaczkami potrafią wyprodukować maleńkie i precyzyjne przedmioty, których nawet najzręczniejszy zegarmistrz nie potrafiłby wykonać. Dlaczego mielibyśmy rezygnować z tak cennych sojuszników?

Królowa 103 wiruje jeszcze przez chwilę w powietrzu, aż wreszcie ląduje awaryjnie na odbiorniku feromonowym.

„Skriiicz”. Z głośników Kamienia z Rosetty dobiega cichutki odgłos, lecz zgromadzeni na sali sądowej ludzie, w ferworze dyskusji, nie zwracają na to najmniejszej uwagi.

Julie ciągnie dalej:

– Nie możecie skazać nas za to, że chcieliśmy poprawić status naszego gatunku. Nie możecie też zabić mrówek.

Spadając, królowa gubi skrzydła.

Śmierć księcia i utrata skrzydeł to cena, jaką trzeba było zapłacić za myrmecęńską koronę.

– Wręcz przeciwnie, uniewinniając nas i uwalniając te owady pokażecie, że droga, którą zaczęliśmy pokonywać, zasługuje na baczną uwagę. Mrówki, czy to nam się podoba, czy nie, są...

Jej usta znieruchomiały na wpółotwarte. Słowa zawisły w powietrzu.

235. ENCYKLOPEDIA

POTEĘGA CYFR: 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10

Już przez samą swoją formę cyfry opowiadają nam o tym, jak ewoluowało życie. Wszystko, co jest krzywą, wskazuje na miłość. Wszystko, co jest kreską, wskazuje na przywiązanie. A wszystko, co się krzyżuje, mówi nam o doznanych przejściach.

Zbadajmy bliżej tę kwestię.

0: to pustka. Zamknięte pierwotne jajko.

1: to stadium mineralne. To tylko kreska. Bezruch i początek. Być, po prostu być, tu i teraz, bez refleksji. Pierwszy poziom świadomości. Coś, co nie myśli, jest tutaj.

2: to stadium roślinne. Dolna część składa się z kreski, a to, co roślinne, zawsze związane jest z ziemią. Roślina nie może poruszyć podstawą, jest niewolnikiem ziemi, ale 2 jest też wyposażone na górze w zakrzywioną linię. Roślina lubi niebo i światło i dlatego kwiat staje się piękny w swojej górnej części.

3: to stadium zwierzęce. Nie ma już kreski. Zwierzę oderwało się od ziemi. Może się poruszać. Są dwie pętle, lubi zarówno górę, jak i dół. Zwierzę reaguje jak niewolnik swoich odczuć. Kocha albo nie kocha. Egoizm jest podstawową jego cechą. Zwierzę jest drapieżcą i zdobywcą zarazem. Stale się boi. Jeśli nie zareaguje w zależności od swoich bezpośrednich interesów, ginie.

4: to stadium ludzkie. Poziom wyższy od poziomem minerałów, roślin i zwierząt. Jest na rozstajnych drogach. To pierwsza cyfra, w której linie się krzyżują. Jeżeli 4 uda się przejść przemianę, przechodzi do świata wyższego rzędu. Przez wolną wolę zrywa ze swoim stanem zniewolenia. Albo uda jej się spełnić swój los, albo nie. Ale wolna wola pozwala również na to, aby nie realizować misji zdobywania wolności i panowania nad uczuciami. 4 pozwala dokonać wolnego wyboru i pozostać zwierzęciem lub przejść na następny poziom. Takie jest wyzwanie, jakie stoi teraz przed ludzkością.

5: to stadium duchowe. Jest przeciwieństwem 2. Piątka ma kreskę u góry i związane jest z niebem. Na dole jest linia krzywa: lubi Ziemię i jej mieszkańców. Ale chociaż udało się jej uwolnić od ziemi, to jednak nie uwolniła się od nieba. Przeszła przez próbę krzyża w 4, lecz stale zawieszona jest w powietrzu.

6: to ciągła linia krzywa, bez kątów, bez prostych kresek. Totalna miłość. Jest prawie spiralą i zamierza wyruszyć dalej, ku nieskończoności. Uwolniła się od nieba i ziemi, oswobodziła się z wszelkich wyższych i niższych ograniczeń. Jest czystym i wibrującym kanałem. Jednak pozostaje jej jedna rzecz do wykonania: musi przejść do świata tworzenia. 6 jest również formą rosnącego płodu.

7: to cyfra przejścia. To odwrócona 4. I znowu znajdujemy się na skrzyżowaniu. Cykl się zakończył, cykl świata materialnego, trzeba zatem przejść do następnego stadium.

8: to nieskończoność. Kiedy je rysujemy, nigdy nie ma końca.

9: to rosnący płód. 9 jest odwrotnością 6. Płód zamierza powrócić do rzeczywistości. Da ona narodziny...

10: to zero pierwotnego jajka, ale w wyższym wymiarze. Zero wymiaru wyższego na nowo rozpoczyna cykl cyfr, ale na wyższym poziomie. I tak dalej.

Za każdym razem, gdy rysujemy cyfrę, przekazujemy tę mądrość.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

236. RÓŻNICA W POSTRZEGANIU

Na monitorze zawieszonym nad ławą dla oskarżonych pojawiła się twarz Maximiliena, na której rysował się dziwny, jakby łakomy uśmiech. Zbliżenie sprawiło, że Julie usiadła jak zamurowana.

Na ekranie było widać Maximiliena z rozpalonymi oczami, uzbrojonego w obcinacz do paznokci. Brał mrówki jedną po drugiej i obcinał im głowę tuż przed obiektywem kamery. Za każdym razem słychać było suchy chrzęst.

– Co się dzieje? Co to za masakra? – zapytał sędzia.

Woźny podszedł do niego i szepnął mu coś na ucho. Maximilien zamknął się u siebie w domu i dzięki prostej kamerze wideo podłączonej do komputera przekazywał teraz obraz za pośrednictwem linii telefonicznej.

Kolejne egzekucje mrówek następowały po sobie. Potem, zapewne zmęczony okaleczeniem setki spośród nich, zebrał martwe ciała i strząsnął je jakby od niechcienia wrzucając do kosza.

Następnie wziął w ręce kartkę i stając prosto przed kamerą powiedział, wyraźnie artykułując słowa:

– Panie i panowie, nadeszła trudna godzina. Nasz świat, nasza cywilizacja, nasz gatunek są zagrożone zagładą. Okrutny wróg stanął u naszych wrót. Kim jest nasz przeciwnik? Inna, inna i większa cywilizacja, inny potężny gatunek na Ziemi, nazywany mrówkami. Od pewnego czasu badam ich zachowania, starałem się zrozumieć ich wpływ na ludzi. Ale przede wszystkim zainstalowałem na symulatorze program, który pozwolił mi dowiedzieć się, czym byłby świat, gdyby mrówki miały dostęp do naszych technologii i do naszej wiedzy.

Stwierdziłem dzięki temu, że mrówki, które przewyższają nas liczebnie, przewyższają nas też zadziornością i sposobami porozumiewania się, potrzebowałyby nie więcej jak stu lat, żeby sprowadzić nas do roli niewolników.

Dzięki nowym technologiom stworzonym przez człowieka ich możliwości osiągną zupełnie inny wymiar. Wiem, panie i panowie, że dla wielu z was wyda się to bezsensowne. A jednak myślę, że nie możemy pozwolić sobie na ryzyko weryfikowania takiej hipotezy.

Wobec tego trzeba nam zniszczyć mrówki, a w pierwszym rzędzie te „cywilizowane” mrówki, które przywłaszczyły sobie las w Fontainebleau. Wiem, że niektórzy z was uważają je za sympatyczne. Inni z kolei utrzymują, że mogą one być pomocne i że wielu rzeczy możemy się od nich dowiedzieć. Ale są w błędzie.

Mrówki są gorsze niż najgorsze zarazy, jakie spadły kiedykolwiek na ludzkość. Miasto mrówek zabija każdego dnia proporcjonalnie więcej zwierząt niż zabija się ich w jakimkolwiek kraju rządzonym przez ludzi.

Najpierw miażdżą, a potem wykorzystują jako bydło wszystkie pokonane gatunki. Mszycom na przykład odcinają skrzydełka, żeby móc lepiej je wydoić. Po mszycach przyjdzie kolej na nas.

Ja, Maximilien Linart, jako istota ludzka, zdałem sobie w pełni sprawę z zagrożenia, jakie stanowią dla ludzkości inteligentne mrówki, i postanowiłem zniszczyć część lasu Fontainebleau, w którym z powodu kilku niefrasobliwych przedstawicieli gatunku ludzkiego aż roi się od mrówek zaznajomionych z naszymi technologiami. I jeśli będzie to konieczne, zamienię w stertę popiołu cały ten las.

Długo zastanawiałem się i myślałem o przyszłości. Jeżeli nie zniszczymy teraz dwudziestu sześciu tysięcy hektarów skażonego lasu, któregoś dnia będziemy musieli zniszczyć wszystkie lasy na świecie. Na razie ta niewielka amputacja pozwoli nam uniknąć totalnej gangreny. Wiedza jest jak choroba zakaźna.

Biblia naucza nas, że Adam powinien był oprzeć się pokusie skosztowania jabłka z Drzewa Poznania. Ewa nakłoniła go do tego, by popełnił nieodwracalny czyn. Ale my jesteśmy w stanie uniemożliwić mrówkom poznanie tego przekleństwa. Umieściłem bomby zapalające w lesie, gdzie znajdują się mrowiska skażone ideami mrówki 103.

Nie próbujcie mnie powstrzymać. Jeżeli co pięć godzin nie wpiszę formuły

zakodowanej na moim komputerze, wszystko wybuchnie, u mnie i w lesie.

Nie mam już nic do stracenia. Poświęcam życie dla mojego gatunku. Dzisiaj pada deszcz, zaczekam więc, aż się wypogodzi, żeby podpalić las. Gdybym miał zginąć w wyniku nierozważnego szturm z waszej strony, niech ludzkość potraktuje moją wypowiedź jako mój testament i niech ktoś inny podejmie dalszą walkę.

Dziennikarze pobiegli przekazać najświeższe informacje. Ludzie, którzy się nie znali, zaczęli ze sobą dyskutować w sali rozpraw.

Prefekt Dupeyron, który przybył, żeby osobiście wysłuchać wyroku w tym bezprecedensowym procesie, w ciągu jednej minuty zajął gabinet sędziego. Podniósł słuchawkę, modląc się, by komisarz nie wpadł na pomysł wyłączenia u siebie telefonu.

Dzięki Bogu, Linart odebrał już po pierwszym sygnale.

– A cóż to za osa pana użądliła, komisarzu?

– Na co się pan skarży, panie prefekcie? Chciał pan się przecież pozbyć całego kawałka lasu, żeby japoński koncern mógł tam wybudować hotele, a zatem pańskie życzenia zostaną wysłuchane. Miał pan rację. Powstaną dzięki temu nowe miejsca pracy i zmniejszy się znacznie bezrobocie.

– Ale nie w taki sposób, Maximilienie. Są przecież bardziej subtelne sposoby, żeby tego dokonać...

– Podpalając ten przeklęty las, uratuję całą ludzkość.

Prefektowi zaschło w gardle, a ręce zrobiły się wilgotne.

– Pan zwariował – westchnął prefekt.

– Niektórzy tak rzeczywiście pomyślą w pierwszej chwili, ale pewnego dnia wszyscy mnie zrozumieją i będą wznosili pomniki na moją cześć, jako zbawcy ludzkości.

– Ale po co tak się upierać i chcieć unicestwić wszystkie te maleńkie mrówki?

– Nie słuchał mnie pan?

– Ależ owszem, słuchałem. Aż do tego stopnia obawia się pan konkurencji ze strony inteligentnych zwierząt?

– Tak.

W głosie policjanta była tak wielka determinacja, że prefekt szukał jakiegoś mocnego argumentu, żeby go przekonać.

– Wyobraża pan sobie, co by się stało, gdyby dinozaury, rozumiejąc, że ludzie pewnego dnia stworzą cywilizację o mniejszych wymiarach, lecz za to niezwykle potężną, systematycznie eliminowały ssaki?

– To jest bardzo dobre porównanie. Wydaje mi się, że rzeczywiście dinozaury powinny były się nas pozbyć. I powinien też być znaleźć się bohaterski dinozaur, który, tak jak ja, zrozumiałby, jak ważna to sprawa w dłuższym wymiarze czasu. Być może nadal by dzisiaj żyły – odpowiedział Linart.

– Ale one były niedostosowane do tej planety. Za duże, za ciężkie...

– No a my? Być może mrówki również uznają nas któregoś dnia za zbyt grubych i ciężkich... A gdybyśmy im dali taką możliwość, to co one by zrobiły?

W tym miejscu odłożył słuchawkę.

Prefekt wysłał najlepszych saperów, żeby spróbowali zlokalizować ukryte w lesie bomby z fosforem. Znaleźli ich około dziesięciu, lecz nie wiedzieli, ile ich rzeczywiście było, a las jest przecież ogromny. Zorientowali się, że ich działania są właściwie jałowe.

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Ludzie wznosili oczy do nieba. Każdy wiedział teraz, że gdy przestanie padać deszcz, las zacznie płonąć.

A jednak ktoś w głębi sali wypowiedział zdanie: „Być może mam pewien pomysł...”.

237. ENCYKLOPEDIA

SZANTAŻ: Kiedy wszystko zostanie już wykorzystane, wówczas pozostanie tylko jeden sposób, aby wytwarzać nowe bogactwa w bogatym już kraju: szantaż. Poczynając od sprzedawcy, który kłamie, twierdząc: „To ostatni artykuł, jaki mi pozostał, i jeśli natychmiast go pan nie kupi, mam innego klienta, który jest tym zainteresowany”, aż po najwyższy poziom, rząd, który oświadcza: „Bez ropy naftowej, która zanieczyszcza środowisko, tej zimy mieszkańcy naszego kraju nie mieliby się czym ogrzać”. W ten sposób lęk przed brakiem lub lęk, że nie uda nam się zrealizować transakcji, będzie generować sztuczne wydatki.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

238. BLISKI POSTAWIENIA NA SWOIM

Przez całą sobotę padało, wieczorem niebo wypełniło się gwiazdami i specjaliści meteorolodzy zapowiedzieli, że niedziela będzie słoneczna i że wiatr będzie mocno wiał nad lasem Fontainebleau. Chociaż Maximilien nie był szczególnie głęboko wierzący, jednak w tych okolicznościach uznał, że Bóg jest po jego stronie. Wcisnął się głębiej w fotel, siedząc przed komputerem, szczęśliwy i świadomy misji, jaką ma spełnić na Ziemi. A potem zasnął.

Drzwi były zaryglowane, okiennice zamknięte. W nocy komuś udało się dostać niepostrzeżenie do gabinetu komisarza. Intruz szukał komputera. Urządzenie było ustawione w pozycji czuwania, gotowe uruchomić wybuch, gdyby nie podano we właściwym momencie odpowiedniego kodu. Nocny intruz podszedł bliżej, aby zneutralizować komputer – w pośpiechu potrącił jakiś przedmiot. Maximilien spał dosyć lekko, a hałas, chociaż przytłumiony, wystarczył, by go całkiem obudzić. Zresztą spodziewał się ataku w ostatniej minucie. Wycelował swój rewolwer w stronę intruza i nacisnął na spust. Cały pokój wibrował, gdy nastąpił wystrzał. Intruz uchylił się od kuli. Maximilien strzelił po raz drugi, i po raz drugi intruz się uchylił. Zdenerwowany komisarz załadował ponownie broń i wycelował raz jeszcze. Intruz doszedł do wniosku, że lepiej jednak będzie się gdzieś ukryć. Jednym skokiem znalazł się w salonie, gdzie ukrył się za zasłonami. Policjant strzelił, lecz ten schylił głowę, a kule przeszły tuż nad jego czołem.

Maximilien zapalił światło. Intruz zrozumiał, że należy czym prędzej zmienić kryjówkę. Wsunął się za fotel z wysokim oparciem, od którego odbiło się rykoszetem kilka kul. Gdzie się schować?

Popielniczka. Pobiegł skryć się w tym zaułku między starym niedopałkiem cygara a brzegiem popielniczki. Policjant na próżno podnosił poduszki, odwijał firanki, dywan, tym razem nie znalazł intruza. Królowa 103 skorzystała z chwili wytchnienia, by złapać oddech i odzyskać spokój. Szybko umyła sobie czułki. Królowa zazwyczaj jest zbyt cenna, żeby ryzykować w ten sposób swoim życiem. Jej zadaniem jest składanie jajek w jej weselnym łożu. Tymczasem 103 zrozumiała, że jest jedyną na świecie, która jest wystarczająco „palczysta” i wystarczająco mrówką, żeby jej misja o kapitalnym znaczeniu mogła się powieść. Ponieważ chodziło o zniszczenie lasu, a więc i mrowisk, postanowiła postawić wszystko na

jedną kartę. Maximilien wciąż celował ze swojego rewolweru, strzelając czasami do poduszek. Lecz do tak niewielkiego celu potrzebna byłaby inna broń.

Maximilien poszedł poszukać aerozolu w kuchennej szafce i po chwili rozpylił w salonie obłok owadobójczego preparatu. Powietrze wypełniło się zapachem śmierci. Na szczęście małe kieszonki płucne mrówki były w ogromnym stopniu autonomiczne. Gdy środek owadobójczy został rozpylony na stosunkowo dużej przestrzeni pokoju, można było mimo wszystko jakoś oddychać. Tyle że mogła tak oddychać przez dziesięć minut, więc nie było już czasu do stracenia. Królowa 103 umykała.

Maximilien pomyślał, że jeżeli jedynym przeciwnikiem, którego wystawiły przeciwko niemu władze i pan prefekt, jest mrówka, to rzeczywiście nie mieli już chyba żadnego innego pomysłu. Siedział tak sobie, zadowolony ze swoich wniosków, kiedy nagle zgasło światło. Jak to możliwe? Przecież mała mrówka nie była w stanie nacisnąć na przełącznik.

Zrozumiał nagle, że mrówka przedostała się do centralnego wyłącznika. Czy oznaczało to, że jest w stanie odszyfrować drukowany obieg i zorientować się, który kabel elektryczny należy przeciąć?

„Nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika”. Była to pierwsza zasada, jaką przekazywał swoim uczniom w szkole policyjnej. A właśnie on sam popełnił teraz ten błąd, ponieważ przeciwnik był od niego tysiąc razy mniejszy.

Wziął kieszonkową latarkę halogenową, którą trzymał w szufladzie komody. Oświetlił ostatnie miejsce, w którym, jak mu się wydawało, widział intruza. Potem skierował się do skrzynki z przełącznikami i stwierdził, że rzeczywiście jeden z kabli został przecięty żuwaczkami. Pomyślał sobie, że tylko jedna mrówka była w stanie tego dokonać: 103, ich zdegenerowana królowa.

W ciemnościach, z jej wyostrzonym zmysłem węchu i możliwością lokalizowania źródeł ciepła za pomocą podczerwieni, mrówka zdobyła w tej chwili niewielką przewagę. Tyle że tej nocy była pełnia i Maximilien odsłonił okiennice, a pokój wypełnił się w jednej chwili niebieskofioletowym światłem. Trzeba było się spieszyć. Mrówka skierowała się w stronę biurka z komputerem. Francine nauczyła ją, w jaki sposób dostać się do środka przez siatkę wentylatora umieszczonego z tyłu komputera. Podążała za wszystkimi jej poleceniami. 103 była już na miejscu. Pozostawało jej odłączyć wszystkie wskazane jej połączenia.

Przeszła po elektronicznych płytkach. Tutaj jest twardy dysk, a tutaj płyta główna. Przeskoczyła przez kondensatory, potem przez tranzystory, oporniki, potencjometry i żeberka. Wokół niej wszystko wibrowało.

Królowa 103 czuła, że porusza się po nieprzyjaznej dla niej strukturze. Mac Yavel wiedział o jej obecności. Nie miał wewnętrznych oczu, ale wyczuwał wszystkie najdrobniejsze spięcia za każdym razem, gdy mrówka kładła swoje nóżki na miedzianych stykach.

Gdyby Mac Yavel miał ręce, zmasakrowałby ją.

Gdyby Mac Yavel miał żołądek, już by ją strawił.

Ale komputer był jedynie nieożywioną maszyną składającą się z komponentów mineralnego pochodzenia. Królowa 103 była w nim i przypominała sobie teraz układ drukowanego obwodu, który opisała jej Francine, kiedy nagle, widząc w podczerwieni, dostrzegła za siatką wentylacyjną olbrzymie oko istoty ludzkiej.

Maximilien rozpoznał żółty znak na jej czole i wysłał w jej kierunku chmurę środka owadobójczego. Otwory oddechowe mrówki były jeszcze otwarte, zakaszła więc, kiedy drugi obłok przemienił całkowicie wnętrze komputera w angielski port zanurzony we mgle. Sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Powietrza, szybko, powietrza. Wyszła przez właz czytnika dyskietek i na nowo powitały ją wystrzały. Biegła zygzakiem między kulami, które dla niej wyglądały jak rakiety. Kieszonkowa latarka nie opuszczała jej ani na chwilę, a ona galopowała w kręgu światła. Aby uciec przed projektorem, przebiegła pod drzwiami biura, aby dotrzeć do salonu i wcisnąć się w jakieś załamanie dywanu. Dywan został podniesiony. Skryła się pod fotelem. Fotel przewrócono.

Mrówka biegła przerażona między butami. Coraz więcej Palców szukało jej teraz. Co najmniej dziesięć. Znalazła schronienie w nylonowej dżungli, na brzegu grubej wykładziny dywanowej.

I co teraz?

Poruszyła czułkami i dotarł do niej strumień powietrza przemieszany z zapachem węgla. Porzuciła pędem wykładzinę i pobiegła w stronę pionowego tunelu, na wprost niej. Znakomita kryjówka, tak, ale projektor wciąż podążał za nią.

– Jesteś w kominku, 103, i tym razem mam cię, przeklęta mrówko! – krzyknął Maximilien, omiatając wnętrze kominka strumieniem kieszonkowej latarki.

Mrówka popędziła w górę pionowego tunelu, brodząc w sadzy. Maximilien chciał raz jeszcze prysnąć w nią chmurą środka owadobójczego, ale aerozol okazał się pusty. Ponieważ przewód kominowy był na tyle szeroki w swojej dolnej części, żeby człowiek mógł tamtędy przejść, postanowił więc się tam przedostać i rozgnieść 103. Tak długo, jak nie ujrzy ciała tego obrzydliwego owada rozdrobnionego na kawałki, niczego nie będzie pewien.

Człowiek wczepiał się w stare kamienie, a dwa pięciopalczaste stada informowały się wzajemnie o postępach, czyniąc to za pośrednictwem centralnego układu nerwowego. Z tyłu, bardziej nieporadne i uwięzione w butach, jego stopy szukały punktów oparcia. Tymczasem im węższy był przewód kominowy, tym łatwiej było się wspinać. Opierając się na łokciach i kolanach, Maximilien poruszał się bez problemu, niczym wytrawny alpinista.

Królowa 103 nie spodziewała się, że Maximilien będzie za nią szedł. Wyszła wyżej, on też. Mrówka wyczuwała oleisty zapach goniących ją palców. Dla mrówek palce pachną oliwą z kasztanów.

Maximilien oddychał coraz ciężiej. Wspinanie się po pionowym przewodzie kominka nie było tak naprawdę już na jego lata. Oświetlił samą górę przewodu i wydawało mu się, że widzi dwa drwiące sobie z niego czułki. Wspiął się jeszcze kilka centymetrów wyżej. Kominek był coraz węższy i coraz ciężiej było mu precisnąć całe ciało. Najpierw wysunął do góry prawy bok, a potem, kiedy zablokowała się już prawa strona, wysunął prawe ramię, a kiedy ramię się zablokowało, wyciągnął je do góry. Królowa 103 wcisnęła się w szparę w cegle, którą Maximilien po chwili oświetlił. Do kryjówki był ciężki dostęp, ale przecież nie pozwoli 103 uciec po tym, jak zadał sobie tak wiele trudu. Nie mogąc poruszyć całym ramieniem, do ataku wysłał samą pięść. Mrówka cofnęła się. Palec zbliżył się do niej i mrówka znalazła się w potrzasku.

– Mam cię wreszcie – mamrotał Maximilien przez zaciśnięte szczęki.

Miał wrażenie, że musnął mrówkę, i żałował teraz, że nie uderzył mocniej. Wcisnął palec wskazujący we wgłębienie, ale królowa 103 wykonała malutki skok w bok i żuwaczkami ugryzła palec aż do krwi.

– Aj!

Krew pojawiła się na maleńkiej ranie. Mrówka wiedziała, że teraz wystarczy wstrzyknąć trochę kwasu do otwartej rany. A ponieważ w tym celu wypełniła swój

zbiornik brzuszny kwasem o stężeniu siedemdziesięciu procent, strumień kwasu powinien być na tyle żrący, że wywoła spore spustoszenie.

Królowa ustawiła się w pozycji do strzału i nie trafiła w cel. Jej trucizna rozprysła się na paznokciu, nie powodując żadnych strat. Palec zamachał w powietrzu. Teraz, kiedy była przyciśnięta do ściany w swojej kryjówce, pojedynek toczył się prawie tak, jakby byli równymi sobie przeciwnikami.

Była już tylko malutką i zmęczoną mrówką walczącą ze zranionym palcem wskazującym. Broń mrówki: jej zbiornik brzuszny z zapasem kwasu mrówkowego i rozcinające ostrza jej maleńkich żuwaczek.

Broń palca: ostrze paznokcia, płytka paznokcia i siła mięśni.

Maximilien ciężko oddychał z wysiłku. Chciał wysłać inne palce z odsieczą dla palca wskazującego. Zerwał naskórek na dłoni, ale udało mu się jednak wprowadzić cztery palce do wgłębienia w cegle.

Pojedynek. Jak wielka ośmiornica prosto z powieści Juliusza Verne'a *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, ręka Maximiliena Linarta starała się rozgnieść malutkiego przeciwnika, wymachując we wszystkie strony.

Mrówka była pełna podziwu i przerażona zarazem, patrząc na tę groźną dłoń bojową. Naprawdę Palce nie zdawały chyba sobie sprawy z tego, jak wielkie mają szczęście, posiadając takie przedłużenia! Unikała, jak mogła, długich różowych wypustek, które próbowały ją zgnieść. Strzeliła kilka salw, nie trafiając jednak w czerwony cel. Postanowiła więc zwiększyć liczbę ran. Wgryzła się w różowe ciało kilkoma ciosami, pozostawiając na nim kilka malutkich nacięć.

Palce stawały się coraz bardziej nerwowe, lecz się nie poddawały. Mrówka nie doceniła ich uporu. Otrzymała cios prosto w głowę, aż rzuciło ją w głąb jej kryjówki.

Ręka była znowu uzbrojona i przygotowana do zadania kolejnego prztyczka. Zagięty palec wskazujący tylko czekał, aż kciuk go uwolni i uderzy mocno i prosto.

Moim jedynym prawdziwym wrogiem jest strach.

Pomyślała o księciu 24, jej jednodniowym małżonku. Zapłodnił ją. Niedługo będzie składać jajka. Zginał dla niej. I choćby tylko dla niego musiała przeżyć.

Wypatrzyła najszerszą ranę i z całych sił wysłała w jej kierunku jad.

Pod wpływem zadanego bólu mężczyzna cofnął się, stracił równowagę i spadł, ciężko osuwając się w leżący na dnie popiół. Leżał na dole ze zmiażdżonymi

kręgami szyjnymi.

Koniec pojedynku. Żadna kamera nie sfilmowała tego wyczynu. Kto mógłby w to kiedykolwiek uwierzyć? Mrówka, maleńka mrówka pokonała Goliata.

Lizała teraz swoje rany. A potem, tak jak zazwyczaj po stoczonym pojedynku, przystąpiła do mycia: oczyściła czułki, wygładziła włoski, wylizała łapki i powoli jej emocje opadały.

Teraz trzeba było dokończyć dzieła. Jeżeli za kilka minut Mac Yavel nie otrzyma kodu, uruchomione zostaną bomby zapalające.

Kiedy biegła, ujrzała podążający za nią cień. Odwróciła się i ujrzała gigantyczne latające monstrum. Miał po bokach cieniutkie, miękkie i długie skrzydełka, a karminowo-czarne barwy wywoływały jeszcze większe przerażenie. 103 aż podskoczyła ze strachu. Ale to nie był ptak. Zwierzę miało wielkie wyłupiaste oczy, które poruszały się we wszystkie strony i ostatecznie zatrzymały się na mrówce. Potwór otworzył paszczę, a bezwonne bańki uniosły się ku niebu.

Ryba.

Koniec z oddawaniem się marzeniom.

Na nowo zaatakowała komputer. W powietrzu wciąż unosił się zapach środka owadobójczego, ale teraz można już było wytrzymać.

Mac Yavel usiłował wysłać w jej kierunku małe ładunki elektryczne, żeby ją porazić, ale mrówka uskakiwała, unikając pułapek. Skoncentrowała się na najważniejszym zadaniu: przeciąć kable podłączone do nadajnika sterującego zapalnikiem bomby.

Tylko się nie pomylić. „Nie wolno mi pomylić kabli”.

Jeden błąd i zamiast rozbrowienia bomby wywołałaby kataklizm. Wycieńczona pojedynkiem na śmierć i życie, czuła, jak drżą jej żuwaczki. Powietrze przepełnione trucizną nie pozwalało jej spokojnie myśleć. Mrówka przeszła drózką z miedzi równie cienką jak jej włoski. Policzyła trzy mikroprocesory, skręciła na skrzyżowaniu pełnym oporników i kondensatorów. Według instrukcji miała przeciąć czwarty kabel na dole.

Chwyciła plastikową oprawkę, potem miedź i rozprowadziła na niej jad. Kiedy jednak była zaledwie w połowie cięcia, powiedziała sobie, że jednak nie, to nie był czwarty kabel, ale jeden z tych dwóch, które były ze sobą połączone.

Mac Yavel włączył wentylator do chłodzenia, żeby wciągnąć i zmielić owada

między łopatkami. Sztorm!

Żeby ta potężna zawierucha jej nie porwała, królowa 103 wczepiła się w podzespoły. Po pokonaniu człowieka musiała teraz zwyciężyć maszynę. Brzęcząc coraz bardziej, Mac Yavel rozpoczął odliczanie wstecz, po którym miał nastąpić wybuch bomb w lesie.

Licznik cyfrowy był przed mrówką, a na nim świeciły na czerwono litery.

10, 9, 8... Pozostały już tylko dwa kable, ale dla mrówki, która widziała tylko w podczerwieni, zielony i czerwony ukazywały się oba w kolorze jasnobrązowym.

7, 6, 5...

Królowa przecięła jeden z nich, zdając się na los. Odliczanie wstecz nie zostało przerwane.

A więc to nie ten kabel!

Szybko i rozpaczliwie rzuciła się na ostatni z kabli.

4...

3...

2...

Za późno! Kabel był przecięty tylko do połowy. A jednak odliczanie zatrzymało się na dwójce. Mac Yavel się popsuł.

Mrówka popatrzyła oszołomiona na licznik, który zablokował się na cyfrze „2”.

A 103 przeżywała teraz coś zupełnie dla niej nieoczekiwanego, kłujące napięcie przeszywało jej mózg. Może wynikało to z emocji, które przeżyła do tej chwili, a może jakiś dziwny melanz feromonów dawał początek jakiejś nowej cząsteczce jej umysłu. Królowa 103 nie była w stanie zapanować nad tym, co się z nią działo. Napięcie rosło, podnosiło się i było nie do opanowania, przy czym nie było to wcale nieprzyjemne uczucie.

Wszystkie napięcia spowodowane niebezpieczeństwem znikwały jedno po drugim, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Napięcie dotarło teraz do jej czułek. Przypominało to, co odczuwała, gdy kochała się z 24. Ale to nie była miłość. To był, to był...

Śmiech i poczucie humoru!

Roześmiała się głośno, co w jej wypadku przejawiało się niekontrolowanymi ruchami głową, wydzieleniem odrobiny śliny i drzeniem zuwaczek.

239. ENCYKLOPEDIA

HUMOR: Jedyne wypadek poczucia humoru u zwierząt opisany w annałach naukowych został podany przez Jima Andersona, specjalistę od człekokształtnych z uniwersytetu w Strasburgu. Naukowiec ten przedstawił przypadek Koko, goryla, który opanował język migowy, jakim posługują się głuchoniemi. Pewnego dnia naukowiec zapytał Koko, jakiego koloru jest biała serwetka, którą podsunął mu pod oczy. Małpa wykonała gest oznaczający „czerwony”. Naukowiec powtórzył pytanie jeszcze raz, podsuwając serwetkę pod oczy małpy, i uzyskał taką samą co poprzednio odpowiedź. Naukowiec nie mógł zrozumieć, dlaczego Koko upiera się i podaje wciąż błędną odpowiedź. Kiedy zaczynał powoli tracić cierpliwość, goryl chwycił serwetkę i pokazał mu malutki wyhaftowany na jej brzegu czerwony otwór. W tym samym momencie małpa zaprezentowała to, co specjaliści od człekokształtnych nazywają „mimiką gry”, to znaczy uśmiech, cofnięte wargi, odsłonięte przednie zęby, szeroko otwarte oczy. Być może chodziło o poczucie humoru...

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

240. SPOTKANIE Z KIMŚ ZASKAKUJĄCYM

Palce przeplatały się ze sobą. Tancerze mocno przytulali swoje partnerki.

Bal na zamku w Fontainebleau.

W związku z podpisaniem umowy partnerskiej łączącej Fontainebleau z duńskim miastem Esjberg wydano wielkie przyjęcie w historycznym miejscu. Wymiana flag, wymiana orderów, wymiana upominków. Występy zespołów folklorystycznych i miejscowego chóru. Prezentacja tablicy z napisem: FONTAINEBLEAU – HACHINOE – ESJBERG: MIASTA PARTNERSKIE, która od tej pory znajdzie się przed wjazdem do każdego z tych miast.

Wreszcie degustacja akwawitu i francuskiej śliwowicy.

Samochody z flagami dwóch państw parkowały na głównym dziedzińcu, a z nich wysiadały spóźnione pary ubrane w wieczorowe stroje. Przedstawiciele duńskich władz witali się ze swoimi francuskimi odpowiednikami. Uściski rąk.

Potem wymiana uśmiechów, wizytówek i przedstawianie małżonek. Ambasador Danii podszedł do prefekta i szepnął mu do ucha:

– Słyszałem coś niecoś o tym procesie mrówek. I jak to się właściwie skończyło?

Prefekt Dupeyron przestał się uśmiechać. Zastanawiał się, jak dużo jego rozmówca wie o całej sprawie. Pewnie przeczytał jeden czy dwa artykuły w gazetach. Prefekt starał się ominąć ten temat.

– Dobrze. Dobrze. Cieszymy się, że interesuje się pan naszymi lokalnymi sprawami.

– Ale może mi pan coś więcej na ten temat powiedzieć, czy ci ludzie z piramidy zostali skazani?

– Nie, nie. Sędziowie byli bardzo łagodni. Nakazano im tylko, aby więcej nie wznosili budowli w lesie.

– Słyszałem jednak, że rozmawiano z mrówkami za pomocą jakiejś maszyny?

– Nie, to są dziennikarskie wymysły. Dali się zwieść, a zresztą wie pan jacy oni są: zawsze gotowi do tego, by zrobić z niczego jakąś historię, żeby lepiej się sprzedawały te ich gazety.

Ambasador Danii nie dawał jednak za wygraną.

– Dobrze, ale było jakieś urządzenie, które pozwalało rozmawiać przez przetworzenie feromonów mrówek na ludzką mowę.

Prefekt Dupeyron wybuchnął śmiechem.

– Ha! Więc i pan, panie ambasadorze, w to uwierzył? To zwykła dziennikarska kaczka. Akwarium, fiolki, monitor komputera. Ale urządzenie nie działało. To jeden z ich współników, który siedział wewnątrz, udzielał odpowiedzi, podając się za mrówkę. Naiwni być może w to uwierzyli, ale prawda i tak wyszła na jaw.

Duńczyk wziął do ręki kanapkę ze słodzonym śledziem, którą połknął, popijając kieliszkiem alkoholu.

– A więc mrówka nie mówiła?

– Mrówki będą mówić wtedy, gdy kurom wyrosną zęby!

– Hm... – westchnął ambasador. – Podobno kury są dalekimi krewnymi dinozaurów, więc być może kiedyś miały już zęby...

Cała ta rozmowa coraz bardziej irytowała prefekta. Próbował jakoś się z tego wycofać, lecz ambasador chwycił go pod ramię i dalej naciskał:

– A mrówka 103?

– Po procesie wszystkie mrówki zostały wypuszczone na wolność. Nie będziemy się przecież ośmieszać, skazując mrówki! Zostaną najzwyczajniej w świecie rozdeptane przez dzieci i spacerowiczów.

Wokół nich coraz więcej osób wyciągało anteny w telefonach komórkowych. Każdy, dzięki tym sztucznym czułkom, będąc tu, na miejscu, rozmawiał z kimś, kto był daleko.

Ambasador podrapał się po czubku głowy.

– A ci młodzi ludzie, którzy okupowali liceum podczas rewolucji mrówek?

– Oni też zostali uwolnieni. Wydaje mi się, że nie kontynuowali nauki, tylko pootwierali jakieś własne małe firmy informatyczne czy usługowe. Zresztą podobno nieźle im to idzie, z tego, co słyszałem. Jestem za tym, żeby zachęcać młodych ludzi, by realizowali projekty, które ich interesują.

– A co z komisarzem Linartem?

– Spadł nieszczęśliwie ze schodów.

Ambasador zaczął tracić cierpliwość.

– Kiedy się tak pana słucha, można by sądzić, że nic się właściwie nie stało.

– Sądzę, że strasznie dużo było przesady w tej historii z „Rewolucją mrówek” i z procesem owadów. Tak między nami...

Mrugnął do niego.

– ...Było to konieczne, żeby rozkręcić turystykę w naszej okolicy. Od tego czasu w lesie jest dwa razy więcej spacerujących. I to jest bardzo dobre. Można przewietrzyć płuca i dzięki temu drobny handel znacznie lepiej prosperuje. Ale, ale... zdaje się, że chcieliście zawrzeć umowę partnerską z naszym miastem trochę ze względu na tę historię, tak?

Duńczyk wreszcie się trochę odprężył.

– Tak, trochę tak, przyznaję. W naszym kraju ten przedziwny proces zainteresował wielu ludzi. Niektórzy pomyśleli nawet, że któregoś dnia mogłaby rzeczywiście istnieć ambasada mrówek w świecie ludzi i ludzka ambasada w świecie mrówek.

Dupeyron uśmiechnął się dyplomatycznie.

– Ważne jest, by podtrzymywać legendy związane z lasem. Choćby były one nie wiem jak bardzo wyimaginowane. Mnie na przykład jest bardzo żal, że od początku dwudziestego wieku nie ma już właściwie autorów piszących legendy.

Można by rzec, że ten gatunek literacki zupełnie odszedł w zapomnienie. Faktem natomiast jest, że ta „mitologia” mrówek z lasu Fontainebleau okazała się bardzo pożyteczna dla tutejszej turystyki.

Wypowiedziawszy te słowa, Dupeyron spojrział na zegarek, nadeszła pora na przemówienia. Wszedł na podium. Uroczyście wyjął kartkę z „tradycyjnym przemówieniem na okoliczność umów partnerskich”, bardzo wymiętą i pożółkłą, a następnie oświadczył:

– Pragnę wznieść toast za przyjaźń między narodami i porozumienie między ludźmi dobrej woli wszystkich krajów. Budzicie nasze zainteresowanie, mam nadzieję, że z wzajemnością. Wierzę, że niezależnie od obyczajów, tradycji, technologii, możemy tym bardziej wzbogacać się nawzajem, im większe dzielą nas różnice...

Wreszcie niecierpliwi zajęli ponownie miejsca za stołem i mogli już bez przeszkód interesować się tym, co podano na talerzu.

– Weźmie mnie pan pewnie za prostaczka, ale ja naprawdę myślałem, że to jest możliwe! – ciągnął dalej Duńczyk.

– Ale co takiego?

– Ambasada mrówek w świecie ludzi.

Dupeyron, wyraźnie już rozzłoszczony, popatrzył mu prosto w oczy. Zrobił znak ręką, jakby chcąc pokazać wielki ekran kinowy.

– Doskonale wyobrażam sobie tę scenę. Podejmuję królową 103, ubraną jak władczyni w piękną, przetykaną złotą nitką suknię, z diademem na głowie. Wręczam jej medal za zasługi dla rolnictwa Fontainebleau.

– Czemu nie? Te mrówki mogłyby wam przynieść niesamowite pieniądze. Jeśli zrobicie z nich swoich sprzymierzeńców, będą pracowały za niewiarygodnie niską stawkę. Będziecie je traktowali jak mieszkańców już nawet nie trzeciego, ale czwartego świata. Dacie im trochę błyskotek i ograbicie je ze wszystkiego, co mają dobrego i pożytecznego. Czyż nie tak postąpiono z Indianami w Ameryce Północnej?

– Jest pan cyniczny – odrzekł prefekt.

– Ale czy można wyobrazić sobie tańszą siłę roboczą, bardziej liczną i o bardziej precyzyjnych gestach?

– To prawda, mogłyby masowo orać ziemię. Mogłyby też wynajdywać źródła

wody pod ziemią.

– Można by je wykorzystywać w przemyśle przy niebezpiecznych albo wymagających precyzji pracach.

– Mogłyby też okazać się znakomitym wsparciem dla wojska, czy to w dziedzinie szpiegostwa, czy sabotażu – zapalał się coraz bardziej prefekt Dupeyron.

– Można by nawet wysłać mrówki w przestrzeń kosmiczną. Zamiast ryzykować ludzkim życiem, czyż nie byłoby lepiej, mniejszym kosztem, wysłać tam mrówki?

– Pewnie tak. Tyle że... jest pewien problem.

– Jaki?

– Porozumiewanie się z nimi. Kamień z Rosetty nie działa. I nigdy nie działał. Mówiłem panu, że ta maszyna to oszustwo. Był jakiś współnik na zewnątrz, który mówił do mikrofonu, podając się za owada.

Ambasador wydawał się mocno rozczarowany.

– Ma pan rację, ostatecznie wszystko to jest tylko legendą. Współczesną legendą lasów.

Tręcili się kieliszkami i zaczęli rozmawiać o poważniejszych sprawach.

241. ENCYKLOPEDIA

ZNAK: Wczoraj zdarzyło się coś dziwnego – spacerowałem, kiedy nagle u jakiegoś bukinisty mój wzrok przyciągnęła książka zatytułowana Tanatonauci.

Przeczytałem ją. Jej autor twierdzi, że ostatnią nieznaną granicą człowieka jest jego własny koniec. Wyobrażał sobie pionierów, którzy wyruszyliby w poszukiwaniu raju, tak jak Krzysztof Kolumb wyruszył na poszukiwanie Ameryki.

Pejzaże i otoczenie zainspirowane było opisami raju zawartymi w tybetańskiej i egipskiej księdze zmarłych. Pomysł jest dziwny. Zacząłem rozmawiać z bukinistą, który powiedział mi, że kiedy ją wydano, książka nie spotkała się właściwie z żadnym oddźwiękiem. Normalne. Śmierć i raj są w naszym kraju tematami tabu. Ale im bardziej wczytywałem się w tę książkę, tym bardziej czułem się nieswojo. Nie temat był niepokojący, lecz coś zupełnie innego. Nagle przyszedł mi do głowy okropny pomysł: „A gdybym ja, Edmund Wells, wcale nie istniał?”. Być może nigdy

nie istniałem. Jestem być może jedynie fikcyjną postacią z papierowej katedry. Tak jak bohaterowie Tanatonautów.

Więc cóż, przebiję się przez tę ścianę z papieru, żeby bezpośrednio zwrócić się do mojego czytelnika. „Witaj, ty, który masz szczęście, że jesteś realny, a to rzadkie, korzystaj więc z tego!”

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom III

242. NOWA DROGA

W mruczącym komputerze, *Infra-World*, wirtualny świat stworzony niegdyś przez Francine nadal żyje w zamkniętym obiegu – nikt już się nim nie interesuje.

W tym świecie, który prawie nie istnieje, tu i tam, wierzący i naukowcy przypuszczają szturm na wyższy wymiar, którego istnienie wreszcie zostało zaakceptowane. Autor powieści science fiction pierwszy wysunął taką hipotezę, która sprawdziła się dzięki rakietom i teleskopom. To, co nazywają „zaświatami”, jest – są o tym przekonani – światem w innym wymiarze. Tam żyją ludzie tacy jak oni, lecz inaczej postrzegają czas i przestrzeń.

Ludzie z *Infra-World* wysnuli wniosek, że ci z wymiaru wyższego posługują się komputerem z oprogramowaniem opisującym świat w najdrobniejszych szczegółach, a opisując go, sprawiają, że świat ten istnieje. Istoty z *Infra-World* zrozumiały, że rzeczywistość istnieje tylko w iluzorycznym świecie stworzonym przez ludzi z innego wymiaru, dysponujących technologią zdolną ich stworzyć. Wszystkie ich media poinformowały o tym mieszkańców.

Istoty z *Infra-World* zrozumiały również, że nie istnieją materialnie. Są jedynie ciągami zerojedynkowymi na magnetycznym nośniku, ciągiem yin i yang w długim łańcuchu informacji, elektronicznym DNA opisującym i programującym ich świat. Najpierw byli przerażeni, dowiadując się, że tak mało „istnieją”, ale potem się przyzwyczaili.

Teraz pragną zrozumieć, dlaczego istnieją. Wszyscy wiedzą, że niegdyś odkryli swojego żeńskiego boga nazywanego „Francine”. Wszyscy też wiedzą, że zabili go albo przynajmniej ciężko ranili. Ale to im nie wystarcza. Pragną bowiem zrozumieć świat, który jest nad nimi.

243. NAWIĄZANIE

Biegła prosto przed siebie. Zsuwała się po zboczu. Omijała slalomem strzeliste topole podobne do purpurowych strzał, wznoszące się wokół niej.

Łopot skrzydeł. Motyle rozpościerały szamerowane ożaglowanie i trzepotały skrzydłami, ścigając ją.

Minął rok. Julie, strażniczka *Encyklopedii*, włożyła księgę do sześciennej walizki i zaniósła ją w to samo miejsce, w którym ją znalazła. Tak, żeby ktoś inny mógł w przyszłości posłużyć się wiedzą względną i absolutną.

Teraz ona i jej przyjaciele nie musieli już mieć tej księgi dla siebie. Wszyscy ośmioro nosili jej zawartość w sobie. A nawet księgę tę rozbudowali. Kiedy mistrz wykona swoje dzieło, powinien się wycofać, choćby nawet była to tylko książka. Zanim zamknęła walizkę, Julie przeczytała koniec trzeciego tomu, ostatnią stronę. Nerwowa dłoń Edmunda Wellsa drżała, pisząc te końcowe zdania.

Koniec. A jednak jest to zaledwie początek. To do was teraz należy dokonanie rewolucji. Albo ewolucji. To wy musicie wzbudzić w sobie ambicję na miarę waszego społeczeństwa i waszej cywilizacji. To wy musicie wymyślić, zbudować, stworzyć tak, aby społeczeństwo nie było zaskorupiałe i żeby nigdy się nie cofało.

Uzupełniajcie *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*. Wymyślajcie nowe przedsięwzięcia, nowe sposoby na życie, nowe metody edukacji, żeby waszym dzieciom żyło się jeszcze lepiej niż wam. Poszerzajcie scenografię waszych snów.

Starajcie się stworzyć utopijne społeczeństwa. Twórzcie dzieła coraz bardziej odważne. Łączcie wasze talenty, gdyż $1 + 1 = 3$. Ruszajcie na podbój nowych wymiarów refleksji. Bez pychy, bez przemocy, bez spektakularnych wyników. Po prostu – działajcie.

Jesteśmy jedynie prehistorycznymi ludźmi. Wielka przygoda jest przed nami, a nie za nami. Wykorzystujcie ten olbrzymi bank danych, jakim jest otaczająca nas przyroda. To prezent. Każda forma życia zawiera w sobie jakąś naukę. Przekazujcie wiedzę o tym, czym jest życie. Starajcie się przemieszczać różne dziedziny nauki i wiedzy.

Przyszłość nie należy ani do potężnych, ani do tych, którzy jedynie

błyszczą.

Przyszłość należy do wynalazców.

Bądźcie więc wynalazcami.

Każdy z was jest mrówką, która przynosi swoją gałązkę, tworząc budowlę. Znajdźcie drobne, oryginalne pomysły. Każdy z was jest wszechmocny i ulotny zarazem. Jeszcze jeden powód, by spieszyć się z tworzeniem. Będzie to trwało długo i nigdy nie ujrzycie owoców waszej pracy, lecz tak jak mrówki wykonajcie ten krok. Jeden krok przed śmiercią. Mrówka przejmie po was dyskretnie wasze zadanie, a potem inna, jeszcze inna i kolejna.

Bunt mrówek dokonuje się w głowach, a nie na ulicach.

Jestem martwy, a wy jesteście żywi. Za tysiąc lat ja wciąż będę martwy, lecz wy, wy będziecie żyć.

Korzystajcie z tego, że jesteście żywi, aby działać.

Dokonajcie rewolucji mrówek.

Julie zakodowała zamek i za pomocą liny zsunęła się do wąwozu, do którego kiedyś wpadła.

Podrapała się o jeżyny, kolce i paprocie.

Odnalazła błotnisty rów i tunel zagłębiający się w pagórek.

Weszła tam na czworaka i odnosząc wrażenie, że podkłada bombę z opóźnionym zapłonem, położyła walizeczkę w tym miejscu, w którym ją odkryła. Rewolucja mrówek dokona się na nowo gdzieś indziej, w inny sposób i w innym czasie. Tak jak ona, pewnego dnia ktoś odkryje walizkę i wymyśli własną rewolucję mrówek. Julie wyszła z błotnistej tunelu i wspięła się po linie na górę. Znała drogę powrotną. Uderzyła się głową o kamień z piaskowca, który wystawał nad wąwozem, i popchnęła łasicę, która uciekając potrąciła ptaka, ten zaś potrącił ślimaka, który z kolei stanął na drodze mrówki w chwili, gdy ta zamierzała przeciąć liść.

Julie odetchnęła, a tysiące informacji przebiegło jej nagle przez mózg. Las zawierał tak wiele bogactw. Młoda dziewczyna o jasnoszarych oczach nie potrzebowała czułek, by przeniknąć duszę lasu. Aby wnikać w umysł innych, wystarczy tylko chcieć.

Umysł łasicy był giętki, cały falujący, z główką o zaostzonych zębach. Łasica

umiała poruszać swoim ciałem w trzech wymiarach, wkomponowując się idealnie w pejzaż.

Julie skierowała teraz swoją uwagę na umysł ptaka i poznała radość latania. Spoglądał z tak wysoka. Umysł ptaka musiał być niezwykle złożony.

Umysł ślimaka był jasny. Żadnego lęku, a jedynie trochę ciekawości i rezygnacji wobec tego, co przed nim się wznosiło. Ślimak myślał tylko o jedzeniu i włóczeniu się.

Mrówka już sobie poszła – Julie jej nie szukała. Z kolei liść był na miejscu, a Julie odczuła to, co odczuwał liść, radość bycia w pełnym świetle. Doznanie, że wciąż pracuje nad fotosyntezą. Liść myślał o sobie jako o bardzo aktywnej istocie.

Julie próbowała jeszcze wejść w empatię z pagórkiem. Był to umysł zimny. Ciężki. Stary. Pagórek nie miał świadomości bliskiej przeszłości. Sytuował się historycznie między permem a jurą. Pamiętała o zlodowaceniach, o sedymentacjach. Życie, które toczyło się na jego plecach, nie interesowało go. Jedynie wysokie paprocie i drzewa były jego starymi dobrymi druhami. Widział, jak żyją i jak umierają ludzie, a ich życie było tak krótkie. Dla niego ssaki były jak niemające żadnego znaczenia meteoryty. Ledwie się urodzili, już byli starzy i umierający.

„Dzień dobry, łasico”, „Dzień dobry, liściu”, „Dzień dobry, pagórku” – powiedziała głośno i wyraźnie.

Julie uśmiechnęła się i wyruszyła w drogę. Oderwała się od ziemi, podniosła swoje jasnoszare oczy do gwiazd i...

244. SPACER PO LESIE

Olbrzymi wszechświat: niebieski i mroźny.

Obraz przesuwa się do przodu.

W centrum wszechświata miriady różnobarwnych galaktyk.

Po jednej stronie, w pobliżu galaktyk, promienieje Słońce.

Wokół Słońca krąży mała, letnia planeta, otoczona perłowymi chmurami.

Poniżej chmur liliowe oceany wśród kontynentów koloru ochry.

Na kontynentach: góry, równiny i puszyste, turkusowe lasy.

Pod gałęziami drzew: tysiące gatunków zwierząt. A wśród nich dwa gatunki

wyjątkowo rozwinięte.

Kroki.

Jest zima.

Ktoś idzie przez pokryty śniegiem las.

Na nietkniętej połaci śniegu dostrzec można maleńką, czarną postać.

Przyglądając się jej z bliska, można stwierdzić, że to owad – niezgrabnie próbuje przedzierać się przez biały puch, w którym grzęzną mu nóżki. Jest silnie zbudowany. Masywne uda, długie i szeroko rozstawione pazury. To młoda, bezpłciowa mrówka. Jej oblicze jest wyjątkowo blade, oczy czarne i sferyczne. Czarne i gładkie czułki przylegają do czaszki.

To 5.

Po raz pierwszy idzie po śniegu. Wkrótce dołącza do niej 10, z lampionem, który pozwala im się zagrzać. Nie można zbyt nisko pochylać lampionu, gdyż pod wpływem ciepła topnieje śnieg.

Dysząc ciężko, mrówka robi jeszcze kilka kroków pośród mroźnej bieli. Małe kroczyki dla mrówki, wielkie dla jej gatunku.

Idzie naprzód, a ponieważ ma już dość zimnego dotyku śniegu przy pyszczku, unosi się na dwóch tylnych nóżkach.

Robi cztery kroki w tej niewygodnej pozycji i zatrzymuje się. Już sam marsz przez śnieg jest nie lada wyczynem. A poruszanie się po śniegu na dwóch nóżkach to jednak zbyt wiele. Lecz się nie poddaje.

Odwraca się w stronę 10 i rzuca w jej stronę:

Chyba odkryłam nowy sposób chodzenia. Chodź za mną.

245. POCZĄTEK

Ręka przewróciła ostatnią stronę książki.

Oczy przerwały swój bieg z lewej ku prawej stronie, a powieki przez krótką chwilę je zakryły.

Oczy przez chwilę trawiają, a potem otwierają się na nowo.

Stopniowo, krok po kroku, słowa przeobrażają się w ciąg małych rysunków.

W głębi czaszki olbrzymi panoramiczny ekran mózgu gaśnie. Koniec.

A jednak, być może to załedwie...

POCZĄTEK

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować wszystkim moim przyjaciołom, z którymi zwykłem jeść obiady. To właśnie słuchając ich historii i obserwując zainteresowanie, jakie okazują moim opowieściom, znajduję materię dla moich książek.

A oto ich lista, podana w nieładzie: Marc Boulay, Romain Van Lynt, profesor Gérard Amzallag, Richard Ducousset, Jérôme Marchand, Catherine Werber, doktor Loïc Etienne, Ji Woong Hong, Alexandre Dubarry, Chine Lanzmann, Léopold Braunstein, François Werber, Dominique Charabouska, Jean Cavé, Marie Pili Arnes, Patrice Serres, David Bauchard, Guillaume Aretos, Max Prieu... (proszę o wybaczenie tych, których pomiąłem).

Pragnę szczególnie gorąco podziękować Reine Silbert, która cierpliwie przeczytała różne wersje *Buntu mrówek*.

Dziękuję również całemu zespołowi wydawnictwa Albin Michel.

Z myślą o tych, którzy chcieliby zanurzyć się w atmosferze, która towarzyszyła mi, gdy pisałem tę książkę, oto lista kompozytorów i muzyka, której słuchałem najczęściej: Mozart, Prokofiew, Pink Floyd, Debussy, Mike Oldfield (sceny w lesie), Genesis, Yes, muzyka do filmu *Dune*, *Gwiezdne Wojny*, *Mewa – Jonathan Livingstone* oraz *E.T.* (sceny pościgu), Marillion, AC-DC, Dead Can Dance, Arvo Part, Andreas Vollenweider (sceny buntu w liceum), a ponadto cisza albo Bach (wszystkie fragmenty zaczerpnięte z *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*).

Na koniec chcę podziękować drzewom, które dostarczyły masy celulozowej. Wierzę, że zostaną szybko posadzone.

¹ We Francji obowiązuje dwudziestostopniowa skala ocen, najwyższą jest 20/20, a najniższą – 0/20 [przyp. tłum.].

² Patrz: *Imperium mrówek*, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2015.